



ANNE RICE

DAR WILKA



REX

# Rice Anne

## Dar wilka

Klify nad Pacyfikiem, piękna rezydencja z sekwojową puszczą w tle. Młody reporter otrzymuje zlecenie – ma napisać artykuł o niesamowitej posiadłości. Przypadkowe spotkanie dwojga ludzi i idylliczną noc przerywa brutalna napaść. Mężczyzna zostaje pogryziony przez bestię, której w nieprzeniknionej ciemności nawet nie widzi... Wkrótce ulega przerażającej, ale i dziwnie pociągającej przemianie. Jest zafascynowany nowo nabytą mocą, ale też pełen obaw. W chwili, gdy najmniej się tego spodziewa, znajduje miłość, ale przede wszystkim stara się zgłębić tajemnicę, która odmieniła jego los. Dlaczego i w jaki sposób otrzymał wilczy dar? Reporter wyrusza w trudną, pełną pokus podróż, by poznać swoją nową, dwoistą naturę: człowieka i wilka.



# 1

Reuben był mężczyzną roslym - miał sporo ponad sześć stóp wzrostu — o brązowych, kręconych włosach i głęboko osadzonych, błękitnych oczach. Nazywali go Słonecznym Chłopcem, a on szczerze nie znosił tego przydomka i dlatego starał się nie epatować zbytnio tym, co dla świata było „zniewalającym uśmiechem”.

W tej chwili jednak był odrobinę zbyt szczęśliwy, by nosić maskę powagi i starać się wyglądać stateczniej niż przeciętny dwudziestotrzylatek. Szedł po stromym stoku wzgórza smaganego oceanicznym wichrem, w towarzystwie eleganckiej, starszej od niego kobiety, Marchent Nideck. Podobało mu się każde jej słowo dotyczące przestronnego domu stojącego na klifie. Była szczupła, a jej wąską twarz o pięknych rysach otaczały rozwiane kosmyki blond włosów, które nigdy do końca nie posiwieją. Zwykle zaczesały ją do tyłu; opadały falą i kręciły się lekko do wewnątrz tuż nad ramionami. Podobała się Reubenowi w tej długiej, brązowej sukni z dzianiny i wysokich wypolerowanych na błysk butach.

Pracował nad materiałem dla „San Francisco Observera”, dotyczącym właśnie tej wielkiej rezydencji, a także nadziei Marchent na zbycie domu teraz, gdy jej stryj został w końcu uznany za zmarłego. Choć Felix Nideck zaginął dwadzieścia lat wcześniej, dopiero niedawno otwarto jego testament; nową właścicielką nieruchomości została Marchent.

Odkąd Reuben przybył do jej posiadłości, spacerowali po

lesistych pagórkach, odwiedzając między innymi chylący się ku upadkowi domek dla gości oraz ruiny stodoły. Maszerowali zapomnianymi drogami i starymi ścieżkami, gdzieniegdzie znikającymi w gąszczu krzewów i wyłaniającymi się z gęstwiny na skalnych tarasach, wysoko ponad zimnymi, stalowymi wodami Pacyfiku, tylko po to, by zaraz powrócić w zaciszny i wilgotny świat poskręcanych dębów i dorodnych paproci.

W gruncie rzeczy Reuben nie był przygotowany na taką wycieczkę. Pojechał na północ w typowym dla siebie „uniformie”: cienkim, kaszmirowym sweterku, granatowej, wełnianej marynarce i szarych spodniach. Pamiętał przynajmniej o zabraniu ze schowka w samochodzie apaszki, którą owinął szyję. Ale tak naprawdę nie miał nic przeciwko przenikliwemu chładowi, który ich otaczał.

Wielki dom też nie emanował ciepłem. Kryty łupkową dachówką, ozdobiony fasetkowymi oknami, stał na litej skale, sięgając ku niebu niezliczonymi kominami. Od zachodu przylegała doń oranżeria ze stali i szkła. Reuben był nim zachwycony. Zauroczyły go już zdjęcia, które widział w Internecie, ale nie był przygotowany na spotkanie z czymś tak wspaniałym.

Dorastał w starym domu na zboczu Russian Hill w San Francisco i mnóstwo czasu spędził w imponujących rezydencjach Presidio Heights, a także na peryferiach miasta, między innymi w Berkeley, gdzie się uczył, oraz w Hillsborough, gdzie co roku spędzał wakacje w drewnianym domu świętej pamięci dziadka. Nic z tego nie mogło się jednak równać z posiadłością Nidecków.

Sam fakt, że dom otoczony był tak ogromnym parkiem, nie pozostawiał wątpliwości: to był inny świat.

- To jest to - mruknął, gdy tylko dotarł na miejsce. - Te łupkowe dachy, te miedziane rynny...

Soczystozielony bluszcz okrywał ponad połowę potężnego gmachu, sięgając aż po ostatni rząd okien. Reuben siedział

w samochodzie przez długą chwilę, z poczuciem nabożeństwa i przyjemnego oszołomienia, marząc o tym, że pewnego dnia - gdy już zostanie sławnym pisarzem, a świat zbytnio mu dokuczy — sprawi sobie taki dom.

Popołudnie zapowiadało się fantastycznie.

Poczuł żal, zobaczywszy zdewastowany, nienadający się do użytku domek dla gości, ale Marchent zapewniła go, że sama rezydencja jest w dobrym stanie.

Czuł, że mógłby jej słuchać bez końca. Nie mówiła ani z brytyjskim akcentem, ani z nowojorskim, ani z bostońskim. A przecież był to akcent jedyny w swoim rodzaju; była dzieckiem świata i jej uroczo precyzyjne słowa dźwięczały jak srebro.

- Och, wiem, wiem, że jest piękny. Wiem, że na całym kalifornijskim wybrzeżu nie ma drugiego takiego domu. Wiem. Wiem. Ale nie mam wyboru, muszę się go pozbyć — wyjaśniła. — Przychodzi taki czas, kiedy to człowiek staje się własnością domu; właśnie wtedy należy się uwolnić i zacząć życie na nowo. — Marchent marzyła o podróżach. Wyznała, że od czasu zniknięcia stryja Feliksa spędziła tu bardzo mało czasu, a sprzedawszy dom, zamierza natychmiast udać się do Ameryki Południowej.

- Serce mi pęka — odpowiedział całkiem szczerze Reuben. Cholernie uczuciowy jestem jak na reportera, pomyślał. Ale nie umiał się opanować. Zresztą niby dlaczego miałby być w tej sprawie beznamietnym świadkiem? - To niepowtarzalne miejsce, Marchent. Ale napiszę o nim najlepiej, jak umiem. Postaram się zwabić ci kupca i mam przeczucie, że nie potrwa to długo.

Nie wypowiedział na głos jeszcze jednej myśli: „Żałuję, że sam nie mogę kupić tego domu”, choć była to opcja, którą usilnie rozważał od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał za drzewami szczyt dachu.

- Tak się cieszę, że redakcja przysłała właśnie ciebie - od-

rzekła Marchent. - Jesteś prawdziwym pasjonatem i bardzo, ale to bardzo mi się to podoba.

Owszem, pomyślał przelotnie, jestem prawdziwym pasjonatem i chciałbym mieć taki dom, bo dlaczego nie? Czy nadarzy się jeszcze taka okazja? Zaraz jednak przypomniał sobie o matce i o Celeste, swojej drobniutkiej dziewczynie o orzechowych oczach, wschodzącej gwiazdce w biurze prokuratora okręgowego. Obie wyśmiałyby ten plan. To wystarczyło, by ochłonął.

- O co chodzi, Reuben? Coś ci się stało? — zaniepokoiła się Marchent. — Takie dziwne spojrzenie.

- Zastanawiałem się - odparł, stukając palcem w skroń. -W głowie zaczynam już pisać artykuł. „Klejnot architektury z nadmorskich okolic Mendocino po raz pierwszy na rynku nieruchomości”.

- Brzmi nieźle — oceniła.

Znowu ten charakterystyczny akcent, pomyślał Reuben. Obywatelka świata.

- Gdybym to ja kupił ten dom - dodał - nadałbym mu jakąś nazwę. Taką, która uchwyciłaby jego ducha, wiesz? Na przykład „Nideck Point”.

- Oto i młody poeta - odpowiedziała. - Wiedziałam o tym od pierwszej chwili. W dodatku zawsze podobały mi się twoje artykuły. Masz swój styl. Pracujesz nad powieścią, prawda? Każdy młody dziennikarz powinien tego spróbować. Wstyd by było, gdybyś nie pisał.

- Oto i muzyka dla moich uszu - odparł Reuben. Była piękna, gdy się uśmiechała; wszystkie te drobne linie na jej twarzy układały się w idealny wzór. — W zeszłym tygodniu usłyszałem od ojca, że człowiek w moim wieku nie ma absolutnie nic do powiedzenia. Jest profesorem - dodajmy, że wypalonym. Odkąd przeszedł na emeryturę, czyli od dziesięciu lat, stara się dopracować swoje „Wiersze zebrane”. — Umilkł, karcąc się w duchu: zdecydowanie za dużo gadam o sobie.

To miejsce mogłoby ojcu przypaść do gustu. Tak, Phil Golding był poetą i może nawet wpadłby w zachwyt, ale zostałyby skarcony przez małżonkę, gdyby jej o tym powiedział. Zawsze praktyczna doktor Grace Golding była architektem ich życia. To ona załatwiła Reubenowi posadę w redakcji „San Francisco Observera”, choć jego kwalifikacje ograniczały się do magisterki z literatury angielskiej oraz doświadczenia zebranego podczas corocznych podróży po świecie, w które zabierali go rodzice. Grace była zadowolona z jego zaangażowania w dziennikarstwo śledcze, ale odradzała mu pisanie o nieruchomościach. Uważała, że to strata czasu.

- I znowu się rozmarzyłeś - zauważyła Marchent. Otoczyła go ramieniem i ze śmiechem cmoknęła w policzek.

Drgnął mimowolnie, kompletnie zaskoczony miękkim dotknięciem jej piersi oraz bogatą wonią perfum.

— Prawda jest taka, że niczego jeszcze w życiu nie osiągnąłem - odpowiedział ze swobodą, która zaskoczyła nawet jego. -Moja matka jest świetnym chirurgiem, a starszy brat księdzem. Dziadek ze strony matki, gdy był w moim wieku, zajmował się handlem nieruchomościami na skalę międzynarodową. A ja jestem niczym i nikim. Pracuję dla gazety ledwie od sześciu miesięcy. Powinienem nosić stosowną naklejkę z ostrzeżeniem. Ale możesz mi wierzyć, że spodoba ci się tekst, który napiszę.

- Bzdury - odrzekła. - Słyszałam w redakcji, że twój artykuł o morderstwie w Greenleaf pomógł w aresztowaniu sprawcy. Jesteś przeuroczym i cudownie skromnym chłopakiem.

Bardzo się starał nie oblać rumieńcem. Dlaczego czyni tej kobiecie takie wyznania? Doprawdy rzadko - jeśli w ogóle -zdarzało mu się tak umniejszać własną wartość. Nie umiał sobie wyjaśnić osobliwej więzi, która od pierwszej chwili połączyła go z Marchent Nideck.

— Tamten materiał powstał w niecały dzień — wymamro-

tał. — A połowa informacji, które zebrałem na temat podejrzanego, nawet nie trafiła do druku. Dostrzegł w jej oku błysk.

- Powiedz mi, Reuben, ile masz lat? Bo ja trzydzieści osiem. I co powiesz na tak absolutną szczerłość? Wiele znasz kobiet, które z własnej woli gotowe są przyznać, że mają trzydzieści osiem lat?

- Nie wyglądasz na tyle - odparł. I naprawdę tak uważał. Choć w rzeczywistości miał ochotę odpowiedzieć: „Jeśli chcesz znać moje zdanie, jesteś idealna”. — Ja mam dwadzieścia trzy.

- Dwadzieścia trzy? Naprawdę jesteś chłopcem... Jasne. „Słonecznym Chłopcem”. Tak zawsze nazywała go

Celeste. Albo „Małym Chłopcem”, jak mawiał jego starszy brat, ojciec Jim. Albo „Chłopczykiem” — matka wciąż jeszcze tak go nazywała, nawet w obecności obcych ludzi. Tylko ojciec, jak zawsze, używał jego imienia i po męsku patrzył mu w oczy. Tato, gdybyś tylko zobaczył ten dom! Cóż za miejsce do tworzenia, coś za azył, coś za inspirujący pejzaż dla twórczego umysłu.

Reuben wepchnął zmarznięte pięści do kieszeni, starając się ignorować szczypanie chłodnego wiatru w oczach. Wracali, by przy ogniu napić się gorącej kawy.

- .. i to wysokim - ciągnęła. - A także, jak mi się zdaje, niespotykane wrażliwym, skoro podoba ci się ten dość zimny i ponury zakątek. Gdy ja miałam dwadzieścia trzy lata, pragnęłam spędzać czas w Nowym Jorku i Paryżu. I byłam tam. Interesowały mnie stolice świata. Czyżbym cię uraziła?

- Ależ skąd - odpowiedział szybko. Znowu się czerwienił. - Mam wrażenie, Marchent, że za dużo gadam o sobie. Ale nie obawiaj się: jestem skupiony na materiale. Dębowy gąszcz, wysokie trawy, wilgotna ziemia, paprocie — rejestruję wszystko.

- O, tak, młody, świeży umysł i pamięć - nic nie może się z nimi równać. Mój drogi, spędzimy razem dwa dni, nieprawdaż? Spodziewaj się więc osobistych pytań. Wstydzisz się tej



swojej młodości, prawda? Ale niepotrzebnie. Jesteś niepokojąco przystojny, wiesz? Powiedziałabym, że jesteś najbardziej uroczym chłopcem, jakiego w życiu spotkałam. Serio. Z takim wyglądem nie musisz się zbytnio przejmować tym, czy coś już osiągnąłeś.

Pokręcił głową. Gdyby tylko wiedziała... Nie znosił, gdy nazywano go uroczym, słodkim albo zabójczo przystojnym. „Jak będziesz się czuł, gdy przestaną tak mówić?”, spytała go kiedyś Celeste. „Pomyślałeś o tym? Wybacz, Słoneczny Chłopcze, zawsze chodziło mi wyłącznie o twoją urodę”. Umiała drwić z sensem. A może każda jej drwina miała sens?

- Teraz już na pewno cię uraziłam, prawda? - spytała Marchent. — Wybacz. Zdaje się, że my, zwykli śmiertelnicy, mamy nawyk mitologizowania ludzi tak przystojnych jak ty. Ale naprawdę od innych odróżnia cię twoja poetycka dusza.

Dotarli na skraj wyłożonego kamiennymi płytami tarasu.

Co się zmieniło w powietrzu. Wiatr stał się jeszcze ostrzejszy. Słońce dogorywało za parawanem srebrnych chmur, nurkując w stronę ciemniejącego oceanu.

Zatrzymała się na chwilę, jakby chciała zaczerpnąć tchu; Reuben nie był pewny przyczyny. Wiatr rozwiewał włosy wokół jej twarzy. Uniosła dłoń, żeby osłonić oczy. Spojrzała w wysokie okna rezydencji, jakby czegoś w nich szukała, a Reuben poczuł się nagle samotny. Przygniotła go pustka tego miejsca.

Od miasteczka Nideck dzieliło ich sporo mil, a przecież i tam nie znaleźliby więcej niż dwie setki ludzi. Reuben zatrzymał się w Nideck w drodze do posiadłości i szybko się przekonał, że większość sklepów przy dość skromnej głównej ulicy była zamknięta. Jedyne małe pensjonat był „od zawsze na sprzedaż”, jak powiedział sprzedawca na stacji benzynowej, ale też nie było się czego obawiać: telefony komórkowe i Internet działały bez zarzutu.

Teraz jednak cały świat poza smaganym wiatrem tarasem wydawał się nierealny.

— Nie ma tu duchów, Marchent? - spytał Reuben, także wodząc wzrokiem po ciemnych oknach.

— Nie są potrzebne — odpowiedziała. — Najnowsza historia tego domu jest wystarczająco ponura.

— A mnie się tu podoba. Moim zdaniem Nideckowie to nadzwyczajni wizjonerzy. Mam przeczucie, że trafi ci się wyjątkowo romantyczny nabywca, który otworzy tu jedyny w swoim rodzaju hotel.

— Niezła myśl — przyznała. — Tylko po co ktoś miałby tu przyjeżdżać, Reuben? Plaża jest wąska i trudno do niej dotrzeć. Sekwojowe lasy są niesamowite, ale naprawdę nie trzeba oddalać się aż o cztery godziny jazdy od San Francisco, żeby je znaleźć. Miasteczko — sam widziałeś. W tych stronach nie ma nic ciekawego, poza - jak powiedziałeś - Nideck Point. Czasem mam przygnębiające wrażenie, że ten dom nie postoji zbyt długo.

— O, nie! Nawet o tym nie myślmy. Dlaczego ktoś miałby się ośmielić...

Znowu chwyciła go pod ramię i poszli w stronę dalekich drzwi frontowych, mijając stojący na piaskowcowych płytach samochód Reubena.

— Zakochałabym się w tobie, gdybyś był w moim wieku — oznajmiła. - A gdybym w swoim czasie spotkała kogoś równie czarującego, nie byłabym dziś sama, nieprawdaż?

— Nie umiem sobie wyobrazić powodu, dla którego miałabyś być sama — odparł. Nieczęsto spotykał osoby tak pewne siebie i pełne wdzięku. A ona nawet teraz, po wędrówce przez las, wyglądała równie dobrze jak na zakupach przy Rodeo Drive. Na lewym nadgarstku nosiła cieniutką bransoletkę — miał wrażenie, że nazywano takie perłowymi łańcuszkami — której migotanie przydawało blasku jej swobodnym gestom. Nie miał pojęcia dlaczego.

Od zachodu nie osłaniały ich już drzewa, a zimny wiatr z wyciem rozciągał szarą mgłę nad oceanem. Muszę uchwycić

ten klimat. Tę dziwną, mroczną chwilę, pomyślał Reuben i poczuł w duszy przyjemny cień.

Pragnął tego miejsca. Możliwe, że byłoby lepiej, gdyby redakcja przysłała tu kogoś innego. Ale przysłała właśnie jego. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Dobry Boże, z każdą sekundą jest coraz zimniej - powiedziała Marchent, przyspieszając. - Wciąż zapominam, jak szybko zmienia się temperatura na wybrzeżu. Niby dorastałam w tym klimacie, a jednak zawsze daję się zaskoczyć.

Zatrzymała się raz jeszcze i spojrzała na wysoką fasadę rezydencji, jakby kogoś szukała. Zamknęła oczy, a potem skierowała wzrok ku napływającej mgle.

Tak, zapewne nie raz będzie żałowała, że sprzedała ten dom, pomyślał. Być może musi to zrobić. Kim jestem, żeby uświadamiać jej ból tej straty, skoro sama nie chce go odczuwać?

Przez chwilę było mu wstyd, że ma dość pieniędzy, żeby kupić ten dom. Może powinien jakoś się z tego wytłumaczyć, ale to byłoby niewymowną bezczelnością. Tak czy owak, kalkulował w duchu i marzył.

Chmury ciemniały i opadały z wolna. Powietrze było bardzo wilgotne. Znowu podążył za spojrzeniem Marchent, ku potężnemu i ciemnemu frontonowi. Drobne szybki w oknach lśniły przydymionym blaskiem, a zwarty masyw sekwojowe-go lasu na wschodzie nie pasował swym ogromem do reszty otoczenia.

- Powiedz - odezwała się po chwili - o czym teraz myślisz?

- O niczym konkretnym. Trochę o tych sekwojach i o tym, jak się czuję wśród nich. Są takie nieproporcjonalne. Jakby wiecznie powtarzały: „Byłyśmy tu, zanim twój gatunek pojawił się na tym wybrzeżu, i będziemy tu, gdy po waszych domach nie będzie już śladu”.

Gdy uśmiechnęła się do Reubena, w jej oczach pojawił się nieomylnie tragiczny cień.

- Szczera prawda. Stryj Felix je uwielbiał - powiedziała. - Pewnie wiesz, że są pod ochroną. Nie wolno ich ścinać. Felix dopilnował, żeby tak się stało.

- Dzięki Bogu - szepnął. - Wzdrygam się za każdym razem, gdy widzę te stare zdjęcia przedstawiające drwali rąbiących tysiącletnie drzewa. Pomyśl tylko: tysiąc lat życia!

- Jakbym słyszała Feliksa. Prawie słowo w słowo.

- On chyba by nie chciał, żeby rozebrano jego dom, prawda? - Reuben natychmiast pożałował tych słów. - Przepraszam. Nie powinienem był.

- Ale masz rację. Nie chciałby tego, absolutnie nie. Uwielbiał ten dom. I właśnie go remontował, gdy zniknął. - Znowu odwróciła głowę, rozglądając się tęsknie. - I pewnie nigdy nie poznamy prawdy - dodała z westchnieniem.

- Co masz na myśli, Marchent?

- No wiesz: prawdy o zniknięciu mojego stryja. — Prychnęła z cicha. - Wszyscy jesteśmy tacy przesądni. Zniknięcie, też coś! Przypuszczam, że jest równie martwy w rzeczywistości, jak od niedawna w papierach. Ale zdaje się, że ostatecznie stawiam na nim krzyżyk, sprzedając ten stary dom, jakbym mówiła: „Prawdy już nie poznamy, ale on nigdy więcej nie przestąpi tego progu”.

- Rozumiem - szepnął Reuben, ale tak naprawdę nie miał bladego pojęcia o tym, czym naprawdę jest śmierć. Matka, ojciec, brat i dziewczyna powtarzali mu to na różne sposoby niemal każdego dnia. Matka żyła pracą w Centrum Urazowym szpitala San Francisco General. Dziewczyna poznawała z bliska najgorsze strony ludzkiej natury, pracując w biurze prokuratora okręgowego. Ojciec dostrzegał śmierć w każdym spadającym liście.

Reuben napisał dla „Observera” sześć artykułów i prześledził z bliska sprawy dwóch morderstw. Obie kobiety jego życia wychwalały pod niebiosa jego styl pisarski, ale jednocześnie nie

szczędziły mu rozwlekłych wykładów o tym, czego nie zdołał uchwycić w swoich tekstach.

Przypomniały mu się zniecierpliwione słowa ojca:

— Jesteś niewinny, Reuben, to prawda, ale wkrótce życie nauczy cię tego, co powinieneś wiedzieć. — Phil zawsze wygłaszał dość niezwykle tezy. Ostatniego wieczoru rzekł: — Nie ma dnia, żebym nie zadawał kosmicznych pytań. Czy życie ma sens? Czy może wszystko to tylko dym i lustra? Czy wszyscy jesteśmy zgubieni?

— Ja wiem, mój Słoneczny Chłopcze, dlaczego tak trudno cię zranić - powiedziała mu później Celeste. - Twoja matka opowiada o szczegółach operacji przy koktajlu z krewetek, a ojciec gawędzi wyłącznie o sprawach, które nie mają najmniejszego znaczenia. Nic dziwnego, że tryskasz optymizmem, który mogę chłonąć bez końca. Dobrze się przy tobie czuję.

Ale czy on, słysząc to, poczuł się dobrze. Nie. Wcale nie. Lecz w Celeste najdziwniejsze było to, że zawsze była znacznie bardziej czuła i kochająca, niż wynikało to z jej słów. W pracy była nader ostrym prokuratorem — pięć stóp i dwa cale żywego ognia — ale przy nim stawała się słodka, do rany przyłoż. Troszczyła się o jego garderobę i zawsze odbierała telefon. Zawsze też była gotowa zadzwonić do któregoś z przyjaciół-prawników, by wyjaśnić sporną kwestię, którą Reuben napotkał, zbierając materiał do artykułu. Ale jej język? Jej język był dość ostry.

Uświadomił sobie nagle, że naprawdę chciałby poznać mroczną, tragiczną tajemnicę tego domu, którego widok budził w nim skojarzenia z dźwiękiem wiolonczeli: głębokim, bogatym, odrobinę szorstkim, ale bezkompromisowym. Ten dom do niego przemawiał, a może raczej przemówiłby, gdyby tylko Reuben przestał na chwilę słuchać głosów z własnego domu rodzinnego.

Poczuł w kieszeni wibrowanie komórki. Wyłączył ją, nie odrywając oczu od frontowej ściany budynku.

- Wielkie nieba, spójrz tylko na siebie - powiedziała Marchent. - Zamarzniesz mi tu, drogi chłopcze. Gdzie ja mam głowę. Chodź, musimy wejść do środka.

- Jestem dzieciakiem z San Francisco - wymamrotał. -Przez całe życie spałem na Russian Hill przy otwartym oknie. Powinienem być przygotowany na taką pogodę.

Wspiął się śladem Marchent po kamiennych stopniach i minął potężne, łukowate drzwi frontowe.

Natychmiast rozkosznie otoczyło go ciepło salonu - przestronnego, wysoko sklepionego drewnianymi balami i wyłożonego ciemnym, dębowym parkietem. Kominek, w którym palił się ogień, znajdował się daleko, po przeciwnej stronie pomieszczenia umeblowanego niczym niewyróżniającymi się starymi kanapami i krzesłami. Delikatną woń płonącej dębiny wyczuł znacznie wcześniej, gdy wspinali się na wzgórze. Uwielbiał ją.

Marchent poprowadziła go do aksamitnej kanapy stojącej na prawo od paleniska. Na dużym marmurowym stoliku stał srebrny serwis do kawy.

- Ogrzej się - powiedziała, stając przy kominku i wyciągając ręce ku płomieniom.

Ruszt i osłonę wykonano z mosiądzu, tylną ścianę tworzyły poczerniałe od ognia cegły.

Odwróciła się po chwili i niemal bezszelestnie weszła na stary, wytarty dywan w orientalne wzory, by z marszu włączyć niezliczone lampy. Ich ciepły blask z wolna zalał salon.

Meble, choć olbrzymie, wydawały się wygodne. Na niektóre zarzucono mocno już zużyte pokrowce. Tu i tam stały skórzane fotele w kolorze karmelu. Światło lamp wydobyło z mroku potężne i zdecydowanie staroświeckie rzeźby z brązu - naturalnie wszystkie wyobrażały mitologiczne postacie.

Ciepło stało się męczące. Po paru minutach Reuben zdjął apaszkę i marynarkę.

Zadarł głowę, by przyjrzeć się ciemnym deskom głęboko

rzeźbionym w powtarzający się motyw wolicz oczu. Identyczne, prostokątne panele zdobiły ścianę nie tylko nad kominkiem, ale i w całym pomieszczeniu. Obok ustawiono regały uginające się pod ciężarem książek — oprawnych w skórę, płótno, czasem i w papier. Kątem oka, gdzieś ponad prawym ramieniem, Reuben dostrzegł przejście do sąsiedniego pokoju, zapewne biblioteki o oknach skierowanych ku wschodowi. Tam także znajdował się kominek. I ciemne drewno na ścianach. Zawsze marzył o takiej bibliotece.

— Zapiera dech w piersiach — powiedział na głos. Wyobraził sobie ojca, siedzącego tam i jak zwykle notującego coś na luźnych kartkach z wierszami. Tak, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, pomyślał. Ojciec zakochałby się w tym domu. Idealne miejsce do kosmicznych przemyśleń i decyzji. I w jakim szoku byłiby wszyscy, gdyby...

A czy matka nie mogłaby być zadowolona? Kochali się z ojcem, choć niezbyt do siebie pasowali. Phil zaledwie tolerował jej znajomych lekarzy. Grace uważała jego nielicznych starych przyjaciół z uczelni za skończonych nudziarzy. Czytanie poezji z zasady doprowadzało ją do szału. Nie cierpiała filmów, które lubił Phil. Gdy podczas kolacji ze znajomymi wygłaszał swoje poglądy, najczęściej zmieniała temat, odzywając się do osoby siedzącej obok, dostawała ataku kaszlu albo po prostu wychodziła po kolejną butelkę wina.

Właściwie nie robiła tego celowo. Nie była przecież z natury wredna. Nie brakowało jej entuzjazmu dla spraw, które były bliskie jej sercu. Uwielbiała na przykład Reubena, a on wiedział, że jej miłość dała mu pewność siebie, jakiej wielu ludzi nigdy nie doświadczyło. Grace po prostu nie znosiła swojego męża, a Reuben przez większą część życia nawet ją rozumiał.

Ostatnio jednak trudniej było wytrzymać ten stan rzeczy. Matka nadal wydawała się mocna, jakby nie poddawała się upływowi czasu; jak zawsze pracowała do upadłego, realizując

swoje powołanie. Ojciec tymczasem był coraz bardziej zmęczony i obscenicznie stary. Najbliższą przyjaciółką mamy stała się Celeste („Jesteśmy kobietami czynu!”) i to ona coraz częściej towarzyszyła jej podczas lunchu. „Stary”, jak nazywała męża Grace, był notorycznie ignorowany. Od czasu do czasu z całą powagą zadawała nawet Reubenowi pytanie: „Spójrz, chyba nie chcesz skończyć tak jak on?”.

Wyobrażam sobie, tato, jak bardzo chciałbyś tu zamieszkać, myślał. Chodzilibyśmy razem do lasu. Może wyremontowalibyśmy ten walący się domek dla gości - pomieściłby twoich przyjaciół poetów. A jeśli nie, to przecież i w rezydencji nie zabrakłoby dla nich miejsca. Mógłbyś sobie z nimi dyskutować do woli, a mama zjawiałaby się tylko wtedy, gdyby nasza ją ochota.

Czyli najprawdopodobniej nigdy.

Do diabła, nie pora na snucie takich fantazji, pomyślał ze złością Reuben. Marchent spogląda smętnie w ogień; to jest właściwy moment, żeby zacząć zadawać jej pytania.

- Wyjaśnijmy sobie coś - powiedziałyby zapewne Celeste. -Ja pracuję siedem dni w tygodniu. Ty podobno masz być reporterem. I co, zamierzasz codziennie spędzać cztery godziny w drodze do pracy?

Byłoby to dla niej ostatecznym rozczarowaniem; pierwszym był fakt, że Reuben w zasadzie nadał nie wiedział, kim jest. Ona przemknęła przez studia prawnicze jak rakieta i ukończyła je w dwudziestym drugim roku życia. On nie zrobił doktoratu z literatury angielskiej, bo nie umiał zdać egzaminu z języka obcego. Nie miał też żadnego planu na życie. Ale czyż nie miał prawa słuchać muzyki operowej, czytać poezji i powieści przygodowych, a także z tego czy innego powodu odwiedzać Europy raz na parę miesięcy oraz przekraczać w swym porsche limitów prędkości, dopóki nie określi własnej tożsamości? Gdy pewnego razu zadał jej to pytanie - dokładnie takimi słowy -wybuchnęła śmiechem. I śmiali się razem.



- Pogratuluje, jeśli ci się to uda, Słoneczny Chłopcze - powiedziała.  
— A teraz muszę lecieć do sądu.

Marchent wzięła łyk kawy.

- Wystarczająco gorąca - oceniła.

Napełniła filiżankę dla Reubena, wskazując jednocześnie na srebrny dzbanek ze śmietanką oraz schludny stosik kostek cukru na srebrnym talerzyku. Jakie to ładne, pomyślał. Jakie miłe. Celeste z pewnością pomyślałaby, że to nudne. Matka pewnie w ogóle nie zauważyłaby tych detali. Miała awersję do wszelkich spraw domowych, z wyjątkiem gotowania na specjalne okazje. Celeste mawiała, że kuchnia służy do przechowywania dietetycznej coli. Ale ojciec byłby zadowolony. Miał rozległą wiedzę o wszystkim, nie wyłączając srebrnych i porcelanowych zastaw, historii widelca, zwyczajów świątecznych z całego świata, ewolucji mody, zegarów z kukułką, walerii, win oraz stylów architektonicznych. W duchu nazywał sam siebie Miniverem Cheevym\*.

Lecz najważniejsze było to, że dom podobał się Reubenowi. Reuben go uwielbiał. Reuben był Reubenem i zachwycił się nawet tym wielgachnym kominkiem.

- Znowu coś piszesz w tej swojej poetyckiej głowie? — spytała Marchent.

- Hmm. Te belki stropowe są olbrzymie, chyba nigdy w życiu nie widziałem dłuższych. Dywany naturalnie perskie, ozdobione motywami roślinnymi, z wyjątkiem tego dywanika modlitewnego. I brak pod twoim dachem jakichkolwiek złych duchów.

- Raczej złych wibracji - skorygowała. - Zgadza się /. tobą, ale pewnie sam rozumiesz, że gdybym tu została, nigdy nie przestałabym oplakiwać stryja Feliksa. Był istnym tytanem.

**Miniver Cheevy to romantyczny bohater wiersza Edwina Arlingtona Robinsona, żyjący w przeświadczeniu, że nie pasuje do współczesnego świata (wszystkie przypisy tłumacza).**

A teraz to wszystko do mnie wróciło: Felix, jego zniknięcie. Przez jakiś czas wcale o tym nie myślałam. Miałam przecież tylko osiemnaście lat, gdy wyszedł tymi drzwiami i wyruszył na Bliski Wschód.

- Dlaczego właśnie tam? - spytał Reuben. - I dokąd dokładnie pojechał?

- Na wykopaliska; często brał w nich udział. Mówiąc ściślej, do Iraku; ponoć chodziło o nowo odkryte miasto, równie stare jak Mari czy Uruk - nie wiem, nigdy nie udało mi się potwierdzić tej informacji. Tak czy inaczej, był wyjątkowo podniecony tym wyjazdem, to pamiętam doskonale. Rozmawiał o tym przez telefon z przyjaciółmi z całego świata. Ale nie bardzo się tym przejmowałam; on zawsze wyjeżdżał, a potem wracał. Jeśli nie na wykopaliska, to do jakiejś zagranicznej biblioteki, żeby przyjrzeć się strzępowi manuskryptu, który jeden z jego studentów odnalazł w nieznanej wcześniej prywatnej kolekcji. Opłacał kilkudziesięciu studentów i zawsze znajdowali dla niego jakieś informacje. Żył we własnym, całkowicie odrębnym i ciekawym świecie.

- Ale skoro w tyle spraw się angażował, musiał zostawić po sobie jakieś papiery - wtrącił Reuben.

- Papiery! Reuben, nawet nie masz pojęcia ile. Na górze są pokoje wypełnione tylko i wyłącznie papierami, manuskryptami, segregatorami, rozpadającymi się książkami. Tyle dokumentów trzeba przekopać, tyle decyzji podjąć. Ale jeśli dom uda się sprzedać już jutro, jestem gotowa odesłać to wszystko do klimatyzowanego archiwum i tam zająć się czytaniem.

- Czy on szukał czegoś konkretnego?

- Nawet jeśli, to nigdy o tym nie wspominał. Raz tylko stwierdził: „Ten świat potrzebuje świadków. Zbyt wiele przepada”. Ale mam wrażenie, że była to skarga ogólniejszej natury. Wiem, że finansował wykopaliska. Często spotykał się ze studentami historii i archeologii, którzy dla niego nie

pracowali - przyjeżdżali tu i odjeżdżali, zwykle z prywatnymi stypendiami od Feliksa.

- A więc wiódł wspaniałe życie.

— Teraz wiem, że pieniędzy mu nie brakowało. Nigdy nie wątpiliśmy, że jest bogaty, ale dopiero niedawno uświadomiłam sobie jak bardzo. Może rozejrzemy się po domu?

Tak bardzo podobała mu się ta biblioteka. A przecież był to pokój urządony wyłącznie na pokaz; Marchent sama przyznała, że nikt nigdy nie przeczytał tam książki ani nie napisał listu. Stare, francuskie biurko było starannie wypolerowane, a jego mosiężne okucia lśniły jak złoto. Zielona, kolebkowa suszka wyglądała na nieużywaną. Siegające sufitu regały pełne były klasyków literatury w skórzanych oprawach. Trudno byłoby nosić takie księgi w plecaku albo czytać w samolocie.

Reuben zauważył dwudziestotomowe wydanie *OxfordEnglish Dictionary*, nienową edycję *Encyclopaedia Britannica*, opasłe albumy z reprodukcjami dzieł sztuki, atlasy oraz liczne naprawdę stare woluminy, z których grzbietów czas zdarł złocone tytuły.

Była to naprawdę imponująca biblioteka. Reuben wyobraził sobie ojca siedzącego za biurkiem i wpatzonego w promienie słońca filtrowane witrażowym szkłem albo na wyściełanym aksamitem podokienniku, z książką w dłoni. Ściana z oknami zwróconymi na wschód musiała mieć przynajmniej trzydzieści stóp długości.

Było już zbyt ciemno, by dostrzec za nimi drzewa. Reuben postanowił zajrzeć tu rankiem. A gdyby udało mu się kupić ten dom, oddałby bibliotekę Philowi. Może nawet mógłby skusić go wizją tego pokoju? Niesamowite wrażenie sprawiał nawet dębowy parkiet układany w kwadratowe wzory, a także zabytkowy zegar kolejowy wiszący na ścianie. Z mosiężnych karniszy zwisały czerwone, aksamitne zasłony.

Nad kominkiem umieszczono wielką fotografię przedsta-

wiającą sześciu mężczyzn w strojach w stylu safari, stojących na tle bananowców i innych egzotycznych drzew. Widać było, że to odbitka z prawdziwej kliszy fotograficznej; wszystkie detale były doskonale widoczne. A jednak dopiero teraz, w erze cyfrowej, można było dokonać takiego powiększenia bez straty jakości. Nie było śladów retuszu, mimo to nawet liście bananowca wyglądały jak grawerowane. Bez trudu można było dostrzec najdrobniejsze zmarszczki na kurtkach podróżników, a nawet pył na ich butach. Dwaj z nich trzymali karabiny, reszta stała w całkiem swobodnych pozach.

- To ja zleciłam wykonanie tej odbitki - powiedziała Marchent. - Sporo mnie to kosztowało. Nie chciałam cyfrowego malowidła, tylko precyzyjnego powiększenia: cztery na sześć stóp. Widzisz tę postać pośrodku? To stryj Félix. Nie mam innych jego zdjęć wykonanych na krótko przed zniknięciem.

Reuben podszedł jeszcze bliżej. Na skraju zdjęcia, tuż przy ramie, dostrzegł szereg nazwisk spisanych czarnym atramentem. Z trudem mógł je odczytać.

Marchent włączyła światło, żeby ułatwić mu zadanie. Teraz dopiero ujrzał Feliksa w całej okazałości. Był to śniady i ciemnowłosy mężczyzna, dość wysoki i całkiem przystojny. Miał smukłe i zgrabne dłonie, uderzająco podobne do tych, które tak się Reubenowi podobały u Marchent. Nawet uśmiechał się podobnie, z niespotykaną łagodnością. Z pewnością był przystępnym człowiekiem, zdradzała to jego niemal dziecięca twarz, pełna ciekawości i zapału. Trudno było określić jego wiek.

Towarzyszący mu mężczyźni wyglądali równie interesująco: wszyscy mieli poważne, lekko nieobecne miny. Wyróżniał się spośród nich zwłaszcza jeden, pierwszy z lewej. Wysoki jak inni, nosił długie, ciemne włosy sięgające ramion - gdyby nie podróżniczy strój khaki, mógłby uchodzić za łowcę bizonów z Dzikiego Zachodu. Jego oblicze emanowało pozytywną energią, przypominał jedną z tych rozmarzonych postaci z obrazów

Rcmbrandta, uchwyconych w mistycznej chwili, w której pada na nie światło wprost od Boga.

— Ach, ten - odezwała się dość teatralnym głosem Mari hent. — Niezły, prawda? To bodaj najbliższy przyjaciel i mentor Feliksa, Margon Sperver. Ale stryj Felix nazywał go po prostu Margonem, a niekiedy Margonem Bezbożnym, choć nie mam pojęcia dlaczego. Tak czy owak, ów przydomek bardzo śmieszył Margona. Felix mówił o nim, że jest nauczycielem. (idy zdarzało się, że nie znał odpowiedzi na jakieś pytanie, mawiał: „Może nauczyciel wie” i zaraz pędził do telefonu, żeby znaleźć Margona Bezbożnego w jakimś dalekim zakątku świata. W pokojach na górze mam tysiące zdjęć tych dżentelmenów - Siergieja, Margona, Franka Vandovera i reszty. To byli jego najbliżsi towarzysze.

— I nie udało ci się skontaktować z żadnym z nich, gdy Felix zniknął?

— Z żadnym. Musisz jednak zrozumieć, że nawet nie próbowaliśmy ich szukać przez dobry rok po jego wyjeździe. Spodziewaliśmy się, że odezwie się lada chwila. Jego podróże bywały bardzo krótkie, ale czasem po prostu przepadał bez wieści - gdzieś w Etiopii albo w Indiach, daleko poza czyimkolwiek zasięgiem. Raz zadzwonił po półtorarocznej nieobecności z jakiejś wysepki na południowym Pacyfiku. Mój ojciec wysłał po niego samolot. I rzeczywiście, nie udało mi się odnaleźć żadnego z nich, nawet Margona Nauczyciela. I to chyba było w tym wszystkim najsmutniejsze. - Westchnęła. Wyglądała na bardzo znużoną. — Z początku mój ojciec nawet specjalnie nie próbował - dodała cicho. - Krótco po wyjeździe Feliksa odziedziczył sporo pieniędzy. Po raz pierwszy w życiu był naprawdę szczęśliwy. Chyba nie chciał, żeby mu o nim przypominano. „Felix, wiecznie ten Felix”, mawiał, gdy o niego pytałam. Wolał, podobnie jak moja matka, cieszyć się fortuną - po ciotce, o ile wiem.

Reuben widział, że to bolesne wyznanie sporo ją kosztowało. Powolnym, ostrożnym gestem wyciągnął ku niej rękę, a potem otoczył ramieniem i pocałował w policzek — równie niewinnie, jak ona pocałowała go wcześniej.

Odwróciła się i wtuliła w niego na moment, mocno i szybko przyciskając wargi do jego ust, a potem raz jeszcze nazwała go uroczym chłopcem.

- Wyjątkowo smutna historia — powiedział.

- Ależ z ciebie dziwny chłopak: taki młody, a jednocześnie taki dojrzały.

- Taką mam nadzieję.

- I jeszcze ten uśmiech. Dlaczego tak go ukrywasz?

- Ukrywam? — powtórzył. - Przepraszam.

- Ale oczywiście masz rację: to faktycznie smutna historia. — Marchent spojrzała znowu na fotografię. — To Siergiej. Wskazała na wysokiego blondyna o bardzo jasnych oczach, najwyraźniej rozmarzonego lub pogrążonego w myślach. — Sądzę, że właśnie jego poznałam najbliżej. Innych prawie wcale. Z początku byłam pewna, że uda mi się odnaleźć Margona, ale numery telefonów, które zdołałam odnaleźć, były numerami hoteli w Azji i na Bliskim Wschodzie. Margon był tam naturalnie dobrze znany, ale nikt nie umiał mi powiedzieć, gdzie go zastanę. Dzwoniłam więc do wszystkich hoteli w Kairze i Aleksandrii, szukając go na oślep. O ile pamiętam, także w Damaszku - Margon i Felix spędzili tam mnóstwo czasu. Interesował ich chyba zabytkowy klasztor, a konkretnie odnalezione tam manuskrypty. Zresztą wszystko, co tam zdobyli, nadal znajduje się tu, na piętrze. Wiem nawet, gdzie konkretnie.

- Stare manuskrypty? Tutaj? Mogą być bezcenne - zauważył Reuben.

- Mogą, ale nie dla mnie. Dla mnie to przede wszystkim wielka odpowiedzialność. Co zrobić, żeby je jak najlepiej zachować? Czego oczekiwałby Felix? Przecież tak często krytykował

muzea i biblioteki. Dokąd, jego zdaniem, mogłabym przenieść te zbiory? Z pewnością chcieliby je przejrzeć jego dawni studenci — wciąż przecież dzwonią do mnie i pytają — ale takie sprawy należy załatwiać z wielką ostrożnością. Skarby trzeba a rchiwizować i doglądać ich.

- Rozumiem to doskonale. Niemało czasu spędziłem w bibliotekach w Berkeley i Stanfordzie - odparł Reuben. - Publikował coś? Mam na myśli jego odkrycia.

- Nie, o ile mi wiadomo.

- Myślisz, że Margon i Felix wyruszyli razem na tę ostatnią wyprawę?

Skinęła głową.

- Cokolwiek zaszło — powiedziała — z pewnością doświadczyli tego obaj. A najgorsze przeczucia mówią mi, że mogło to spotkać ich wszystkich.

- Wszystkich sześciu?

- Tak. A to dlatego, że żaden z nich nie zadzwonił, by zapytać o Feliksa, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Nigdy też nie dostałam listu od żadnego z nich, choć przecież wcześniej często pisali. Diabelnie trudno było odnaleźć tę korespondencję, ale gdy w końcu tego dokonałam, to albo brakowało adresu zwrotnego, albo był to adres nieaktualny. Krótko mówiąc: żaden z przyjaciół już nigdy nie szukał kontaktu i nie szukał stryja Feliksa. Dlatego obawiam się, że podzielili jego los.

- Nie odnalazłaś żadnego z nich i ani razu nie napisali?

- Otóż to - odpowiedziała Marchent.

- A Felix nie zostawił żadnych notatek dotyczących podróży, żadnych planów?

- Możliwe, że zostawił, ale tak się składa, że nikt nie umiał odczytać jego zapisków. Felix posługiwał się własnym językiem. Mówiąc ściślej, wszyscy oni posługiwali się własnym językiem. Nie zawsze, rzecz jasna, ale znali go dobrze. Nie był oparty na angielskim alfabecie. Później pokażę ci próbkę. Parę lat temu

zatrudniłam nawet pewnego geniusza komputerowego, żeby spróbował złamać ten kod, ale nie dotarł nawet do pierwszej bazy.

- Nadzwyczajne. Wiesz, że takie szczegóły zafascynują moich czytelników? Marchent, ten dom może się stać atrakcją turystyczną.

- Przecież widziałeś stare artykuły o stryju Feliksie. Nieraz już o nim pisano.

— Wyłącznie o nim, nigdy o jego przyjaciółach. I brakowało wszystkich tych niesamowitych szczegółów. A ja już widzę w tej historii materiał na trzyczęściową opowieść.

— Brzmi to znakomicie — przyznała. — Rób, jak uważasz. Kto wie, może okaże się, że ktoś coś słyszał o zaginionych. Nigdy nic nie wiadomo.

Reuben pomyślał, że to dopiero jest intrygujący koncept, ale wiedział, że nie należy naciskać. Kobieta żyła z tą tragedią od dwudziestu lat.

Marchent niespiesznie wyprowadziła go z biblioteki.

Wychodząc, Reuben zerknął przez ramię na grupę przystojnych i pewnych siebie dżentelmenów z wielkiej fotografii. Jeśli kupię ten dom, nigdy nie zdejmę ze ściany tego zdjęcia. Oczywiście przy założeniu, że Marchent pozwoli mi ją zatrzymać albo skopiować. Czyż nie byłoby stosowne, aby Felix Nideck choć w tej postaci pozostał w swoim domu?

- Pewnie nie zostawisz tego zdjęcia nowemu właścicielowi domu?

- A dlaczego nie? Mam przecież mniejsze odbitki. Czy nie mówiłam ci już, że sprzedaję dom z całym wyposażeniem? Chodź, pokażę ci oranżerię. Już prawie pora na kolację. Felice jest głucha i prawie niewidoma, ale ma w głowie nieomylny zegar.

— Już czuję zapach — odpowiedział Reuben, przemierzając rozległy salon. - Pyszności.

— Pomaga jej dziewczyna z miasta. Wielu młodych chce



tu pracować prawie za darmo, tylko po to, żeby zdobyć trochę doświadczenia. Umieram z głodu.

Zachodnia oranżeria pełna była martwych roślin w barwnych i starych, orientalnych donicach. Metalowa konstrukcja utrzymująca wysoką, szklaną kopułę przypominała Reubenowi wyblakły szkielet. Pośrodku brudnej posadzki z czarnego granitu dostrzegł starą, od dawna nieczynną fontannę. Zanotował w pamięci, że powinien zajrzeć tu z rana, gdy wewnątrz zostanie z trzech stron rozświetlone promieniami słońca. Teraz wydawało mu się chłodne i wilgotne.

- Gdy pogoda pozwala, można tu otworzyć — powiedziała Marchent, wskazując na przeszklone drzwi. — Pamiętam imprezę, podczas której goście tańczyli w oranżerii i swobodnie przechodzili na taras. Wzdłuż klifu mamy balustradę. Byli ni wszyscy przyjaciele Feliksa. Siergiej Gorlagon śpiewał po rosyjsku, ku zachwytowi pozostałych. Felix też świetnie się bawił. Przepadał za Siergiejem, prawdziwym olbrzymem. Na takich przyjęciach Felix bywał niesamowity; tryskał energią i uwielbiał tańczyć. I tylko mój ojciec wiecznie mamrotał coś o niepotrzebnych wydatkach. — Wzruszyła ramionami. — Spróbuję doprowadzić to miejsce do porządku. Powinnam była pomyśleć o tym, zanim przyjechałaś.

- Wyobrażam sobie, jak tu było — odparł Reuben. — Drzewka pomarańczowe w donicach, bananowce, potężne fikusy, drzewa orchideowe, kwitnący bluszcz. Mógłbym tu przychodzić rankiem, żeby poczytać gazetę.

Marchent przyjęła jego słowa z zachwytem. Roześmiała się.

- Nie, mój drogi, poranną gazetę czytałbyś w bibliotece. Tutaj wpadałbyś po południu, podziwiać zachodzące słońce. I Maczego pomyślałeś o drzewach orchideowych? Ach... Latem wpadałbyś tu przed wieczorem, gdy słońce chyli się nad oceanem.

- Uwielbiam drzewa orchideowe - wyznał Reuben. - Wi-

działem je na Karaibach. Mam wrażenie, że my, ludzie północy, wszyscy tęsknimy za tropikami. Pamiętam, że zatrzymaliśmy się kiedyś w małym hotelu w Nowym Orleanie, a właściwie raczej w pensjonacie w dzielnicy francuskiej. Po obu stronach basenu rosły drzewa orchideowe, a purpurowe płatki ich kwiatów sypały się wprost do wody. Naprawdę uroczo to wyglądało.

— Powinieneś sprawić sobie taki dom, wiesz? - Na twarzy Marchent na mgnienie oka pojawił się cień. Po chwili ścisnęła dłoń Reubena i znowu się uśmiechnęła.

Do pokoju muzycznego o białych ścianach zajrzeli tylko na moment. Drewnianą podłogę także pomalowano tu na biało. Nie było tam natomiast fortepianu, który dawno temu zniszczyła wilgoć.

— Całe to wnętrze, te białe panele, trafiło tu wprost z jakiegoś domu we Francji.

— Jestem skłonny w to uwierzyć — odpowiedział Reuben, podziwiając głęboko rzeźbione listwy i nieco wyblakłe motywy roślinne. Tak, pomyślał, tutaj odnalazłaby się Celeste. Uwielbia muzykę; często gra na pianinie, gdy jest sama. Nigdy nie traktowała poważnie tego swojego muzykowania, ale Reuben wiele razy budził się w jej mieszkaniu, słysząc zza ściany dźwięki szpinetu. Tak, ten pokój musiałby się jej spodobać.

Zaskoczeniem okazała się wielka, dość ciemna jadalnia.

— To wcale nie jest jadalnia — oznajmił Reuben. — To raczej sala bankietowa, żeby nie powiedzieć: hala.

— Rzeczywiście, bardzo dawno temu urządzano tu bale — przyznała Marchent. - Gromadziła się na nich cała śmietanka towarzyska. Pamiętam, że jeden z nich odbył się tu, gdy byłam dzieckiem.

Podobnie jak w salonie, królowały tu ciemne drewniane panele, przepięknie lśniące pod wysokim, mozaikowym stropem w kolorze granatowego nieba usianego gwiazdami. Był to śmiały motyw dekoracyjny — i sprawdzał się znakomicie.

Reuben czuł mocne bicie serca.

Podeszli do stołu, długiego co najmniej na dwadzieścia stóp, a jednak niewielkiego wobec ogromu tej sali o ciemnej, lśniącej podłodze. Usiedli naprzeciwko siebie, na wysokich krzesłach obitych czerwonym aksamitem. Pod ścianą za plecami Marchent stały dwa masywne, czarne kredensy, zdobione płaskorzeźbami w stylu renesansowym, przedstawiającymi myśliwych i ich świtę. Stały na nich sterty srebrnych półmisek oraz kielichy; obok leżał stosik żółtych serwet. Dalej w cieniu ścian stały potężne szafy i stare skrzynie.

Gotycki kominek był ogromny, wykonano go z czarnego marmuru i ozdobiono rzeźbami przedstawiającymi średniowiecznych rycerzy o srogich obliczach. Palenisko znajdowało się dość wysoko, a jego podstawę opatrzone płaskorzeźbą wyobrażającą bitwę toczoną przez rycerzy. Reuben pomyślał, że trzeba będzie zrobić zdjęcie tego miejsca przy znacznie lepszym oświetleniu.

Dwa barokowe świeczniki oraz ogień w kominku były teraz jedynymi źródłami światła.

— Wyglądasz za tym stołem jak księżę — oznajmiła ze śmiechem Marchent. - Zdecydowanie pasujesz do tego miejsca.

— Nabijasz się ze mnie — odrzekł — a sama wyglądasz w blasku świec jak wielka księżna. Czuję się, jakbyśmy siedzieli w domku myśliwskim w okolicy Wiednia, a nie w Kalifornii.

— Byłeś w Wiedniu?

— Wielokrotnie — przytaknął. I zaraz wyobraził sobie Phi-la, oprowadzającego go po pałacu Marii Teresy. Dyskutowali wtedy o wszystkim, od malowideł na ścianach, po ozdobne emaliowane piecyki. O tak, Phil pokochałby ten dom. Phil by zrozumiał.

Jedli ze starych, bogato zdobionych, porcelanowych talerzy. Niektóre były wyszczerbione, a mimo to niepowtarzalnej urody. Reuben jeszcze nigdy nie trzymał w dłoniach tak ciężkich sztucców.

Felice, zasuszona kobiecina o białych włosach i bardzo ciemnej skórze, pojawiała się i znikła bez słowa. „Dziewczyna” z wioski, Nina, była ruchliwą osobką o brązowych włosach, jakby onieśmiałą obecnością Marchent, splendorem jadalni, a może nawet urodą każdego dania, które wносиła na srebrnej tacy. Chichocąc nerwowo i wzdychając ukradkiem, błysnęła uśmiechem w stronę Reubena, zanim w pośpiechu opuściła jadalnię.

- Zdaje się, że masz fankę - szepnęła Marchent.

Mięso z rusztu było znakomite, warzywa wyjątkowo świeże i chrupiące, a sałatka znakomicie doprawiona lekką oliwą i ziołami.

Reuben wypił odrobinę więcej czerwonego wina, niż planował. Wchodziło nadspodziewanie gładko, a przy tym miało głęboki, dymny posmak, który - choć nie był znawcą win -zawsze kojarzył z najlepszymi, starymi trunkami. Poza tym nie jadł, tylko żarł — jak świnia. Zawsze tak się zachowywał, gdy był szczęśliwy, a w tym momencie był szczęśliwy. Zdumiewająco szczęśliwy.

Marchent opowiadała mu o historii domu, którą zdążył już wcześniej poznać.

Jej pradziadek - senior rodu, również Felix - był w tych stronach prawdziwym baronem przemysłu drzewnego: wybudował na wybrzeżu dwa tartaki oraz port — już nieistniejący — do którego zawijały jego statki. Tarcica potrzebna do budowy rezydencji pochodziła wprost z jego zakładów, a granit i marmur z dalszych stron dostarczała jego flota. Kamień, z którego powstały mury, dostarczano i drogą lądową, i morską.

- Zdaje się, że wszyscy Nideckowie korzystali z kapitału zgromadzonego jeszcze w Europie - mówiła Marchent. - Ale i tutaj dorobili się fortuny.

Choć zdecydowana większość majątku należała do stryja Feliksa, to ojciec Marchent, Abel, nie należał do biednych: gdy dorastała, jego własnością były wszystkie sklepy w miasteczku.

Rodzina sprzedała nadbrzeżne działki leżące na południe od rezydencji, ale bardzo niewielu nabywców zdecydowało się na wybudowanie domów.

— Wszystko to wydarzyło się, gdy Felix był w długiej podróży. Ojciec sprzedał i działki przy plaży, i sklepy, a gdy Felix wrócił, był na niego wściekły. Pamiętam, jak strasznie się pokłócili, lecz transakcji nie można było anulować. — Marchent posmutniała. - Żałuję, że ojciec był tak niechętny Feliksowi. Może gdyby było inaczej, wcześniej zaczęlibyśmy poszukiwania. Ale to wszystko zamierzchłe czasy.

Posiadłość rozciągała się na czterdziestu siedmiu akrach, a w jej skład wchodziła między innymi połać chronionego sekwojowego lasu, niezliczone dęby oraz zadrzewione stoki wzgórz na zachodzie, sięgające aż do plaży. W lesie znajdowała się jeszcze jedna nieruchomość: zbudowany przez Feliksa i wyjątkowo wysoko zawieszony domek na drzewie.

— Ja sama w nim nie byłam — powiedziała Marchent — ale moi młodszy bracia twierdzili, że jest naprawdę luksusowy. Naturalnie oni też nie powinni byli tam wchodzić, nim uznano Feliksa oficjalnie za zmarłego.

Marchent wiedziała o swojej rodzinie mniej więcej tyle, ile wiedzieli wszyscy — na przykład to, że jej przodkowie współ-i woryli historię kraju.

— Zdaje się, że inwestowali w ropę i diamenty. Słyszałam też o nieruchomości w Szwajcarii — dodała i wzruszyła ramionami.

Fundusz powierniczy, którym dysponowała, działał na standardowych zasadach obowiązujących w Nowym Jorku. Podobnie było z funduszami jej młodszych braci.

Dopiero po otwarciu testamentu stryja Feliksa wyszły na jaw informacje o znaczących kwotach zdeponowanych w Bank of America oraz Wells Fargo Bank. Były to sumy, jakich Marchent absolutnie się nie spodziewała.

- Wobec tego nie musisz sprzedawać domu - zauważył Reuben.

- Muszę go sprzedać, żeby się uwolnić - odparła i umilkła, na sekundę przymykając oczy, a potem zacisnęła prawą dłoń w pięść i lekko postukała nią w pierś. - Wiesz, ja muszę mieć pewność, że to już naprawdę koniec. Poza tym jest jeszcze kwestia moich braci. - Jej głos zmienił się nagle, podobnie jak wyraz twarzy. - Zostali spłaceni, może nie spróbują obalić testamentu. - Nieznacznie wzruszyła ramionami i jakby posmutniała. — Ale wiem, że chcą dostać swoją dolę.

Reuben skinął głową, choć w istocie niczego nie zrozumiał. Spróbuję kupić ten dom, pomyślał.

Wiedział już, że dopnie swego, że bez względu na to, jak wiele trzeba będzie się natrudzić i wykosztować na remont tego domu, jak trudno będzie go ogrzać i utrzymać. Są takie okazje, których po prostu nie można przepuścić. Ale po kolei, pomyślał.

Marchent zaczęła w końcu mówić o wypadku, w którym zginęli jej rodzice. Wracali z Las Vegas. Ojciec był znakomitym pilotem, a na tej trasie latał ze sto razy.

- Prawdopodobnie nawet nie wiedzieli, co się stało — powiedziała. — To naprawdę niewiarygodnie nieszczęśliwy przypadek: we mgle trafili w słup energetyczny.

Marchent miała wtedy dwadzieścia osiem lat. Feliksa nie było już od dziesięciu lat. Tak oto stała się prawnym opiekunem swoich braci.

- Mam wrażenie, że zawałam sprawę - powiedziała. - Po wypadku już nigdy nie byli tacy sami. Liczyły się tylko narkotyki i trunki, a także niewiarygodnie niesławni przyjaciele. Chciałam wrócić do Paryża. Nie spędziłam z nimi tyle czasu, ile powinnam — ani wtedy, ani później. A oni stali się jeszcze gorsi.

Dwaj bracia, szesnasto- i siedemnastolatek w chwili śmierci rodziców, byli niemal jak bliźniacy. I oni mieli własny, osobisty

język uśmieszków, parsknięć i pomruków, który trudno było zrozumieć, a jeszcze trudniej tolerować na dłuższą metę.

— Jeszcze kilka lat temu wisiały w tej sali piękne obrazy impresjonistów — ciągnęła Marchent. — Moi bracia je ukradli, /jawili się, gdy Felice była tu sama, a potem odsprzedali je za grosze. Byłam wściekła, ale nie mogłam ich odzyskać. Później dowiedziałam się, że zginęło też trochę sztuków.

- Wyobrażam sobie, jak byłaś zniechęcona — rzekł Reuben. Roześmiała się.

- To fakt. Tragedia polega na tym, że te przedmioty zniknęły na zawsze, a co na tym zyskali chłopcy? Pijacką bibę w Sausalito, przerwana policyjnym nalotem.

Felice zjawiała się bezszelestnie. Wydawała się tak krucha, prawie chwiejna, a jednak bardzo sprawnie uprzątnęła zastawę. Marchent wymknęła się, żeby zapłacić „dziewczynie”, ale wkrótce wróciła.

- Felice zawsze ci towarzyszyła? - spytał Reuben.

— O, tak, razem z synem, który zmarł w zeszłym roku. To on był tu gospodarzem i dozorcą. Zarządzał całą posiadłością. I nienawidził moich braci. To oni dwukrotnie podłożyli ogień w domku dla gości, a także zdemolowali niejednego samochód. Od tamtej pory zatrudniałam jeszcze paru ludzi do ochrony, ale to nic nie dało. W tej chwili brakuje tu mężczyzny, jeśli nie liczyć sędziwego pana Galtona, który mieszka niedaleko stąd i dostarcza nam wszystkiego, czego potrzebujemy. Możesz o tym wspomnieć w swoim artykule. Pan Galton zna ten dom na wylot, podobnie jak okoliczne lasy. Gdy stąd wyjadę, zabiorę Felice — nie mam innego wyjścia.

Marchent umilkła, zobaczywszy, że Felice wnosi deser: malinową sherry w kryształowych kieliszkach.

— Felix przywiózł tu Felice z Jamajki — dodała po chwili — wraz z ładunkiem pamiątek i dzieł tamtejszej sztuki. Zresztą zawsze przestępował próg domu z jakimiś skarbami — a to

posążek Olmeków, a to brazylijski obraz olejny z czasów kolonialnych, a to z mumifikowany kot. Poczekaj tylko, aż zobaczysz galerie i magazyny na piętrze. Są tam na przykład całe pudła zabytkowych glinianych tabliczek...

- Prawdziwych, starożytnych tabliczek z Mezopotamii? Mówisz o piśmie klinowym, Babilonii i tak dalej?

- Jasne - przytaknęła ze śmiechem.

- Muszą być bezcenne - stwierdził Reuben. - I zapewne warte odrębnego artykułu. Koniecznie muszę je zobaczyć. Pokażesz mi je, prawda? Na pewno nie wszystko opiszę, nadmiar wątków przeszkadza. Naturalnie chcemy sprzedać ten dom, ale...

- Pokażę ci wszystko - wpadła mu w słowo. - I to z przyjemnością. Z całkiem niespodziewaną przyjemnością. I wcale nie wydaje mi się to niedorzeczne.

- Wiesz, może nawet przydam ci się na coś — oficjalnie lub nieoficjalnie. Studiując w Berkeley, latem bywałem na wykopaliskach - wyjaśnił. - To oczywiście pomysł mojej matki. Stwierdziła, że skoro jej synek nie będzie lekarzem, to niech przynajmniej zdobędzie wszechstronne wykształcenie. I zapisała mnie na kilka wypraw.

- A tobie się to spodobało.

- Brakowało mi cierpliwości - przyznał. - Ale rzeczywiście lubiłem to. Spędziłem trochę czasu w Catal Hüyük w Turcji; to jedno z najstarszych stanowisk na świecie.

- Ja też tam byłam - powiedziała. - Niesamowite miejsce -dodała, rozpromieniona. - A widziałeś Góbekli Tepe?

- Tak. Pojechałem tam ostatniego lata przed ukończeniem studiów. Artykuł, który wtedy napisałem do dziennika wyprawy, pomógł mi zdobyć pracę. Poważnie, Marchent, chciałbym zobaczyć wszystkie te skarby. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym odegrać jakąś rolę w historii tego domu. Może na przykład napiszę osobny artykuł, który nie zostanie opubliko-



wany, póki zbiory nie zostaną przeniesione w bezpieczne miejsce? Nie chciałabyś poczytać o „dziedzictwie Feliksa Nidecka”?

Zastanawiała się przez chwilę, spoglądając na niego z głębokim spokojem.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - odrzekła wreszcie.

Jej zainteresowanie było rozkoszną odmianą. Celeste zwykle ucinała rozmowę, gdy tylko zaczynał opowiadać o swej przygodzie z archeologią. „No i powiedz mi, Reuben, dokąd cię to zaprowadziło? Zyskałeś coś na tych swoich wykopaliskach?”

- Nigdy nie chciałeś być lekarzem, jak twoja matka? - spytała Marchent.

Reuben parsknął śmiechem.

- Nie umiem zapamiętać naukowych danych - odparł. - Potrafię cytować z pamięci Dickensa, Szekspira, Chaucera albo Stendhala, ale nie mam głowy do teorii strun, DNA ani czarnych dziur. I nie jest tak, że nie próbowałem. Ale za nic w świecie nie mógłbym być lekarzem. Poza tym kiedyś zemdlałem na widok krwi.

Marchent zaśmiała się z wyrozumiałością.

- Moja matka jest chirurgiem, na urazówce operuje pięć, sześć razy dziennie.

- I naturalnie była zawiedziona, gdy dowiedziała się, że nie idziesz na medycynę.

- Trochę. O wiele bardziej rozczarował ją mój starszy brat, Jim. To, że został księdzem, było dla niej ciosem. Naturalnie jesteśmy katolikami, ale ona absolutnie nie brała pod uwagę takiej ewentualności. Mam swoją teorię - psychologicznej natury - na temat tego, dlaczego wybrał taką drogę, ale faktem jest, że świetny z niego ksiądz. Posługuje w San Francisco, w Tenderloin, w kościele pod wezwaniem Świętego Franciszka w Gubbio, prowadzi jadłodajnię dla bezdomnych. Pracuje ciężiej niż moja matka. I powiem ci, że tych dwoje to najbardziej pracowici ludzie, jakich znam.

A Celeste byłaby trzecia, nieprawdaż?

Rozmawiali jeszcze o wykopaliskach. Reuben nie przepadał za precyzyjną robotą, więc nie osiągnął wiele, badając skorupy antycznych naczyń, ale ogromnie podobało mu się to, czego się dowiedział. Teraz zaś bardzo pragnął rzucić okiem na gliniane tabliczki Feliksa.

Ale nie tylko o tym konwersowali. Marchent opowiadała o swojej porażce - o tym, że jej bracia w ogóle nie interesowali się ani domem, ani Feliksem, ani tym, co po nim pozostało.

- Po wypadku nie wiedziałam, co robić - powiedziała. Wstała i podeszła do kominka. Poruszyła polana pogrzebaczem

i płomień ożyły. - Chłopcy mieli za sobą pobyt w pięciu różnych szkołach z internatem. Zawsze wylatywali: za picie, za ćpanie, za handel narkotykami.

Wróciła do stołu. Po chwili zjawiała się Felice z kolejną karafką znakomitego wina.

Marchent mówiła teraz cicho, zwierając się Reubenowi ze zdumiewającą ufnością.

- Zdaje się, że odwiedzili wszystkie ośrodki odwykowe w kraju i kilka zagranicznych. Doskonale wiedzą, co powiedzieć w sądzie, żeby dostać skierowanie na kolejne leczenie, i co powiedzieć terapeutom, gdy już trafią do ośrodka. Niesamowite, jak łatwo udaje im się zdobyć zaufanie lekarzy. I oczywiście zanim zostaną zwolnieni, ładują w siebie wszelkie możliwe leki.

Nagle uniosła głowę.

- Reuben, o tym absolutnie nie wolno ci pisać.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło. Ale wiesz, Marchent, że większości dziennikarzy nie wolno ufać?

- Wiem.

- Miałem w Berkeley przyjaciela, który zmarł z powodu przedawkowania. To dzięki niemu poznałem moją dziewczynę, Celeste. Był jej bratem. Tak czy owak, on miał wszystko, a mi-

mo to przegrał z narkotykami i zdechł jak pies, w knajpianej loacie. I nikt nie mógł mu pomóc.

Czasem Reuben miał wrażenie, że to właśnie śmierć Williego tak go związała z Celeste, a przynajmniej przez jakiś czas była głównym spoiwem związku. Celeste przeniosła się z Berkeley na Uniwersytet Stanfordzki, żeby studiować prawo, i gdy skończyła, natychmiast podjęła pracę. Odejście Williego dodało ich związkowi wagi, było jak muzyczny akompaniament w zdecydowanie minorowej tonacji.

— Nikt nie wie, dlaczego ludzie wybierają taką drogę — dodał. - Willie był bystrym facetem, ale był też uzależniony. To, i o dla innych było przelotną przygodą, uwięziło go na dobre.

- Właśnie. Ja przecież też próbowałam większości świństw, którymi raczą się moi bracia. A jednak nie zrobiły na mnie iakiego wrażenia.

- Otóż to - przytaknął Reuben.

— A oni oczywiście są wściekli, że odziedziczyłam cały majątek. Tylko że gdy stryj Felix zniknął, byli dziećmi. Gdyby wrócił do domu, z pewnością zmieniłby testament.

— A co ze spadkiem po waszych rodzicach? Nic nie dostali?

- Ależ dostali. I po dziadkach. I po pradziadkach. Tylko że przepuścili pieniądze w ekspresowym tempie, urządzając imprezy dla setek gości oraz finansując rockowe kapele jakichś ćpunów, bez żadnych szans na sukces. Jeździli po pijanemu, rozbijali samochody — i jakimś cudem zawsze wychodzili cało z opresji. Pewnego dnia zabiją kogoś albo samych siebie.

Marchent wyjaśniła, że zamierza podzielić się z braćmi pieniędzmi, gdy tylko uda jej się sprzedać posiadłość. Nie musiała tego robić, ale chciała. Tyle że tym razem bank wypłacałby im stałą rentę, tak by nie roztrwonili kapitału. Ale nawet ten plan nie przypadł im do gustu. Dom nie miał dla nich żadnej wartości sentymentalnej, a gdyby tylko mieli łatwy dostęp do skarbów Feliksa, sprzedaliby je już dawno.

- Szczerze mówiąc, nawet nie znają prawdziwej wartości większości tych zbiorów. Raz na jakiś czas wyrywają zamek w drzwiach i uciekają z kompletnie bezwartościowymi przedmiotami. Ale najczęściej próbują coś wymusić, wiesz, dzwonią pijani w środku nocy, grożą samobójstwem, a ja prędzej czy później wypisuję im czek na niemałą sumę. Wysłuchują moich kazań, płaczu i porad w sprawie inwestowania pieniędzy, a potem znikają, by dalej hulać gdzieś na Karaibach, Hawajach albo w Los Angeles. O ile wiem, ostatnio planowali wejść do branży pornograficznej. Znaleźli jakąś gwiazdkę i próbują ją wylansować. Jeśli jest nieletnia, mogą skończyć w więzieniu, co zresztą chyba jest nieuniknione. Przynajmniej zdaniem naszych prawników. Mimo to wciąż zachowujemy się tak, jakby jeszcze była nadzieja.

Marchent omiotła jadalnię spojrzeniem. Nie umiał sobie wyobrazić, co czuje, patrząc na to wszystko. Wiedział natomiast, jakie wrażenie zrobił na nim ten dom i ona sama, gdy tak siedziała w blasku świec. Jej policzki zaróżowiły się nieco od wina, usta płonęły intensywną czerwienią, a w oczach koloru dymu ogień budził żywe błyski.

- Najbardziej gryzie mnie to, że nic ich nigdy nie obchodziło. Ani Felix, ani muzyka, ani sztuka, ani historia.

- Nie umiem sobie tego wyobrazić - odparł Reuben.

- I właśnie to jest w tobie tak ożywcze. Nie masz w sobie ani śladu twardego cynizmu moich młodszych braci. - Marchent wciąż się rozglądała, jakby z niepokojem wodząc wzrokiem po ciemnym kredensie, kominku z ciemnego marmuru i po okrągłym, żelaznym żyrandolu, którego mocno już zużyte, zakurzone świece nie zostały tego wieczoru zapalone.

- Tyle wspomnień wiąże się z tą salą - powiedziała. - Stryj Felix obiecywał, że zabierze mnie w tak wiele miejsc. Snuliśmy plany. Musiałam najpierw skończyć college, w tej sprawie był nieugięty. A potem mieliśmy podróżować dookoła świata.

- Myślisz, że będziesz rozpaczać, gdy sprzedasz tę posiad-

łość? — spytał odważnie Reuben i zaraz dodał: — Zgoda, jestem i rochę pijany, ale nie bardzo. To co, nie będziesz żałować? Czy to w ogóle możliwe?

- Moja historia tutaj dobiegła końca, drogi chłopcze — odpowiedziała. — Szkoda, że nie widziałeś mojego domu w Buenos Aires. Nie. Podróż tutaj to tylko pielgrzymka. Nie ma tu dla mnie już nic prócz niezłatwionych spraw.

Reuben miał ochotę powiedzieć: „Tak się składa, że to ja kupuję ten dom, Marchent, a ty możesz tu przyjeżdżać, kiedy tylko zechcesz, i mieszkać tak długo, jak będziesz miała ochotę”. Pompatyczne bzdury, pomyślał. Matka by mnie wyśmiała.

- Spójrz, już dziewiąta. Nie do wiary. Spróbujmy obejrzeć na górze, ile się da, a na resztę rzucimy okiem jutro, w świetle dnia.

Odwiedzili cały ciąg sypialń o ścianach pokrytych intrygującymi tapetami oraz łazienek wyłożonych staroświeckimi kaflami, z umywalkami stojącymi na postumentach i wannami na szponiastych łapach. Pamiątek przeszłości rzeczywiście nie brakowało - i tych amerykańskich, i europejskich. Pokoje były przestronne i wygodnie urządzone; wyblakłe kolory, chłód i kurz nie zniechęcały do ich odwiedzania.

Wreszcie Marchent otworzyła drzwi do „jednej z bibliotek Feliksa”, a w rzeczywistości do ogromnego gabinetu, którego ściany zdobiły regały z książkami, tablice oraz korkowe plansze.

- Od dwudziestu lat nic się tu nie zmieniło - powiedziała, wskazując na zdjęcia, wycinki z gazet i wyblakłe notatki przypięte do plansz. Nawet odręczne zapiski na tablicy pozostały nietknięte.

- Nieprawdopodobne.

- Owszem. Tak się składa, że Felice wciąż wierzy w jego powrót. Ja zresztą też czasem podzielałam tę nadzieję. Nie ośmieliłam się niczego dotknąć. I dostałam szału, gdy dowiedziałam się, że chłopcy włamali się tu i coś ukradli.

- Widziałem podwójne zamki.

- Właśnie. Do tego doszło. Jest też system alarmowy, ale nie wydaje mi się, żeby Felice go uruchamiała, kiedy mnie tu nie ma.

- Te książki, tutaj... Są arabskie, prawda? - spytał, idąc wzdłuż półek. - A to? Nie mam pojęcia, co to może być?

- Ja też - odrzekła. - Felix chciał, żebym poznała tyle języków, ilu sam się nauczył, ale nie mam aż takiego talentu. On potrafił zgłębić każdą mowę. Potrafił nieomal czytać ludziom w myślach.

- Tu oczywiście coś po włosku, a tam po portugalsku. Reuben zatrzymał się przy biurku.

- To jego dziennik, prawda?

- Powiedzmy, że pamiętnik albo roboczy notatnik. Domyślam się, że najnowszy dziennik zabrał ze sobą.

Stronica w niebieskie linie pokryta była osobliwym pismem i tylko datę można było odczytać bez trudu: 1 sierpnia 1991.

- Leży tu tak, jak go Felix zostawił - powiedziała Marchent. - Jak sądzisz, jaki to język? Od ludzi, którzy go badali, usłyszałam kilka różnych opinii. Niemal na pewno pochodzi z Bliskiego Wschodu, ale nie od arabskiego, a przynajmniej nie wprost. Są tam też znaki, których absolutnie nikt nie potrafił zidentyfikować.

- Nieprzeniknione - mruknął Reuben.

Kałamarz był pusty. Obok leżało wieczne pióro przyozdobione złotą inskrypcją: Felix Nideck. Obok stało zdjęcie w ramce, przedstawiające tę samą grupę niezwykłych dżentelmenów, tym razem w bardziej swobodnych pozach. Stali pod girlandami kwiatów, z kieliszkami w dłoniach. Promienieli radością. Felix otaczał ramieniem wysokiego blondyna o jasnych oczach, Siergieja. Margon Bezbożny z łagodnym uśmiechem spoglądał wprost w obiektyw.

- To ja podarowałam mu to pióro — powiedziała Marchent. — Uwielbiał wieczne pióra. Lubił dźwięk, który wydają w zetknięciu z papierem. Kupiłam je w Gump's w San Francisco

specjalnie dla niego. Śmiało, możesz go dotknąć, jeśli chcesz, tylko odłóż potem na to samo miejsce.

Zawahał się. Chciał wziąć do ręki dziennik. Poczł dreszcz i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że obcuje z kimś lub czymś silnym - osobą lub osobowością. Mężczyzna z fotografii bez wątpienia był szczęśliwy; drobne zmarszczki otaczały jego przymrużone z rozbawienia oczy, a wiatr targał jego ciemne włosy.

Reuben rozejrzył się po gabinecie, po gęsto zastawionych półkach, starych mapach przyklejonych taśmą wprost do ściany, a potem ponownie zatrzymał wzrok na biurku. Człł się tak, jakby kochał tego człowieka, a przynajmniej był nim zauroczony.

- Jak mówiłam, jeśli znajdziemy chętnego na dom, wszystko to jak najszybciej trafi do jakiegoś archiwum. Wszystkie pamiątki zostały już sfotografowane, i to dawno temu - na moje zlecenie. Mam całe teczki zdjęć ilustrujących każdą półkę, każdy blat, każdą tablicę. Tylko na taką inwentaryzację siarczyło mi tymczasem odwagi.

Reuben spojrzył na tablicę. Napisy wykonane kredą były już mocno wyblakłe, gdzieśgdzie nawet całkiem zatarte, ale był w stanie odczytać angielskie słowa.

- „Blask korowodu pochodni - poświęta perfumowanych lamp - ognisk, które rozpalono dla niego, gdy był ulubieńcem wszystkich - splendor królewskiego dworu, którego był osobliwą gwiazdą - wszystko to zdawało się zbierać moralną czy materialną chwałę w ten jeden klejnot i płonąć łuną zaczerpniętą i z przyszłości, i z przeszłości”.

- Pięknie to przeczytałeś - szepnęła. - Jeszcze nigdy nie słyszałam tych słów odczytanych na głos.

- Znam ten fragment - odpowiedział. - Jestem pewny, że już go czytałem.

- Naprawdę? Tego też jeszcze nikt mi nie mówił. Skąd go znasz?

- Zaczekaj, muszę pomyśleć... Wiem, kto to napisał. Tak.

Nathaniel Hawthorne. To fragment opowiadania *Zabytkowy pierścień*.

- Niesamowite, mój drogi. Zaczekaj chwilę. - Marchent zaczęła szukać czegoś na półkach z książkami. — Tutaj. To jego ulubieni pisarze, wydania anglojęzyczne. - Wyjęła starą, mocno sfatygowaną książkę w twardej, skórzanej oprawie, o złoconych krawędziach stronic, i zaczęła ją kartkować. - Trafiłeś w dziesiątkę, Reubenie. Oto ten fragment, nawet zaznaczony ołówkiem! Sama nigdy bym go nie odnalazła.

Spojrzał na nią z uśmiechem i rumieniąc się z lekka, sięgnął po książkę.

- Kto by pomyślał. Chyba po raz pierwszy przydały się na coś moje studia z literatury angielskiej.

- Wykształcenie zawsze będzie ci się przydawało, mój drogi — odparła. — Kto ci wmówił, że może być inaczej?

Reuben zaczął przeglądać książkę. Zauważył liczne znaki poczynione ołówkiem, a także osobliwe symbole nieznanego języka, boleśnie uświadamiające mu, jak złożonym i abstrakcyjnym zjawiskiem jest pismo.

Marchent patrzyła na niego z więcej niż życzliwym uśmiechem. A może tak się tylko wydawało w blasku stojącej na biurku lampy z zielonym abażurem?

- Powinnam oddać ten dom tobie, Reubenie Goldingu -powiedziała. - Stać by cię było, żeby go utrzymać, prawda?

- Oczywiście — odparł. — Ale nie musisz mi go oddawać, Marchent. Kupię go od ciebie. - Ledwie to powiedział, a poczuł, że znowu się rumieni. Był podniecony. - Muszę wrócić do San Francisco, porozmawiać z matką i ojcem. Podyskutować z dziewczyną. Przekonać ich. Ale mogę go kupić i zrobię to, jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu. Uwierz mi. Myślę o tym od chwili, gdy tu przyjechałem. I o tym, że żałowałbym do końca życia, gdybym tego nie zrobił. A jeśli kupię ten dom, Marchent, drzwi będą dla ciebie otwarte o każdej porze dnia i nocy.



Uśmiechnęła się do niego jak najłagodniej. Wydawała mu się bliska i bardzo daleka zarazem.

- Masz pieniądze, prawda?

- Zawsze miałem. Może nie tyle co ty, Marchent, ale mam. — Nie zamierzał wchodzić teraz w szczegóły, opowiadać historii rodzinnej fortuny zbudowanej na handlu nieruchomości i imi i funduszach powierniczych ustanowionych na długo przed jego narodzinami. Wyobrażał sobie już wrzaski matki i Celeste, gdy opowie im o swoich zamiarach. Grace pracowała przez całe życie tak, jakby nie miała ani centa przy duszy. Oczekiwała, że tak samo będą postępować jej synowie. Nawet Phil, na swój sposób, ciężko pracował. Jim wyrzekł się wszystkiego, zostając księdzem. A on, Reuben, zamierzał sięgnąć do nienaruszonego dotąd kapitału, żeby kupić ten dom. Ale nic go to nie obchodziło. Ani to, że Céleste nigdy mu tego nie wybaczy.

- Domyślałam się tego — powiedziała Marchent. — Jesteś reporterem dżentelmenem, nieprawdaż? I w dodatku, jak widzę, czujesz się winny z tego powodu.

- Odrobinę — odrzekł półgłosem.

Wyciągnęła ku niemu rękę i dotknęła jego lewego policzka. Jej wargi poruszyły się, choć nic nie powiedziała. Na jej czole pojawiła się ledwie zauważalna zmarszczka, ale miękkie usta nic przestały się uśmiechać.

Drogi chłopcze - powiedziała - gdy już napiszesz kiedyś powieść o tym domu, zatytułuj ją *Nideck Point*. I uwiecznij mnie w niej w jakiś sposób. Dasz radę?

Dał krok w jej stronę.

- Opiszę twoje piękne, szare jak dym oczy i twoje miękkie, złote włosy. Opiszę długą, smukłą szyję oraz to, że gdy gestykulujesz, twoje dłonie kojarzą mi się z ptakami. Opiszę też twój głos, a także ton i precyzję słów, które dźwięczą jak srebro.

Napiszę niejedno, dodał w myśli. Pewnego dnia napiszę coś znaczącego, coś niezwykłego. Wiem, że potrafię. I zadedykuję

tę książkę tobie, ponieważ jesteś pierwszą osobą, która sprawiła, że w to uwierzyłem.

- Kto śmie twierdzić, że nie mam daru, talentu, pasji... -wymamrotał. - Dlaczego ludzie wmawiają młodym takie rzeczy? To nie fair, prawda?

- Nie, mój drogi, to nie fair - odpowiedziała. - Ale prawdziwą zagadką jest to, dlaczego ich słuchasz.

Nagle wszystkie krytyczne głosy w jego głowie ucichły i dopiero teraz pojął, jak głośnym chórem zawsze przemawiały. Czy choćby raz zaczerpnął tchu, nie słysząc ich napomnień? Słoneczny Chłopcze, Mały Chłopcze, Chłopczyku, Braciszku, Mały Reubenku, co ty wiesz o śmierci? Co ty wiesz o cierpieniu? Co ty sobie wyobrażasz? Dlaczego miałbyś próbować, skoro nigdy nie umiałeś skupić się na czymś na dłużej niż... Wszystkie te głosy nagle umilkły. Widział swoją matkę. Widział Celeste. Jej drobną, żywą twarz i wielkie, brązowe oczy. Ale nie słyszał już ich głosów.

Pochylił się lekko i pocałował Marchent. Nie odwróciła się. Jej wargi były delikatne jak u dziecka - tak pomyślał, choć przecież nigdy, a przynajmniej od szczenięcych lat, nie całował dziecka. Pocałował ją po raz drugi. Tym razem coś w niej drgnęło, a Reuben poczuł, że budzi się w nim pożądanie.

Poczuł nagle jej dłoń na swoim ramieniu. Uścisnęła je i odepchnęła go łagodnie. Odwróciła się i skłoniła głowę, jakby wzięła głęboki wdech. A potem chwyciła go za rękę i poprowadziła ku zamkniętym drzwiom.

Był pewny, że za nimi znajduje się sypialnia, i dlatego szybko podjął decyzję. Nieważne, co by pomyślała Celeste, gdyby się o tym kiedykolwiek dowiedziała. Nie zamierzał przepuścić takiej okazji.

Wprowadziła go do ciemnego pokoju i zapaliła niską lampkę. Dopiero teraz zorientował się, że to sypialnia i galeria w jed-

nym. Na postumentach, grubych półkach i na podłodze stały zabytkowe, kamienne figury.

Lóżko w stylu elżbietańskim niemal na pewno pochodziło z Anglii; przypominało wielką skrzynię z rzeźbionymi okiennicami, które można było zamknąć dla ochrony przed nocnym chłodem.

Stara narzuta z zielonego aksamitu mogła nieco zalatywać stechlizną, ale Reuben nie dbał o to ani trochę.

Ocknął się z bardzo głębokiego snu. Z otwartej łazienki wpadał do sypialni snop dość słabego światła. Na haczyku umocowanym na drzwiach wisiał biały szlafrok frotte.

Skórzana torba Reubena leżała na krześle, a na niej jego piżama, świeża - jeszcze nieodpakowana - koszula oraz kilka osobistych drobiazgów. Ktoś schludnie złożył jego spodnie oraz rzucone byle gdzie skarpetki.

Pamiętał, że zostawił torbę w niezamkniętym samochodzie, a to oznaczało, że Marchent wyszła z domu w środku nocy, żeby ją przynieść. Uświadomiwszy to sobie, poczuł lekki wstyd, ale nie umiał wstydić się naprawdę, gdy był tak zrelaksowany i szczęśliwy.

Wciąż leżał na aksamitnej narzucie, tyle że poduszki były już wyjęte z poszewek, a buty, które zrzucił w pośpiechu, były równiutko ustawione obok krzesła.

Przez długą chwilę wspominał to, jak się tej nocy kochali. Nie bardzo rozumiał, że tak łatwo mógł zdradzić Celeste. Choć prawdę mówiąc, nie było aż tak łatwo. Na pewno szybko, impulsywnie, ale nie łatwo, za to rozkosz była niespodziewanie intensywna. I nie żałował. Absolutnie nie. Czuł, że przytrafiło mu się coś, co zapamięta na całe życie; coś ważniejszego niż wszystkie dotychczasowe doświadczenia.

Czy powinien powiedzieć Celeste? Nie był pewny. Z pewnością nie zamierzał zaskakiwać jej takimi wyznaniem; najpierw musiałby mieć pewność, że chciałyby wiedzieć. To zaś

oznaczało rozmowę z Celeste, i to o wielu sprawach, hipotetycznych i realnych. Najgorsze było to, że w jej obecności zawsze przechodził do defensywy, czuł się słabszy i okrutnie go to męczyło. Jeszcze pamiętał, jaka była zdumiona, że ludziom spodobały się jego artykuły pisane dla „Observera”. To bolało.

Lecz teraz czuł przyływ energii, a do tego mieszaninę radości, poczucia winy oraz smutku. Ani przez chwilę nie sądził, że Marchent zaprosi go jeszcze do swego łóżka. Przeciwnie, był pewny, że tego nie uczyni. Skrzywił się, wspominając jej protekcyjne słowa: „mój piękny chłopcze”. Padły w chwili, gdy skupiał się na czymś innym, dlatego nie miały żadnego znaczenia. Ale teraz zaczęły mu przeszkadzać.

Czuł, że dał się zaskoczyć takim obrotem sprawy, a przyczyniło się do tego głębokie wrażenie, jakie wywarły na nim dom i osoba Feliksa Nidecka, a także aura tajemniczości otaczająca jego rodzinę.

Wstał, by pójść do łazienki. Jego otwarte etui z przyborami do golenia leżało na brzegu marmurowej umywalki. Na szklanej półce pod lustrem stały wszelkie potrzebne akcesoria - jakby trafił do dobrego hotelu. Przesłonięte kotarą okna były skierowane na zachód i zapewne widać z nich było jedynie skraj urwiska albo ocean.

Wziął prysznic, umył zęby i włożył piżamę. Zarzucił szlafrok na ramiona i włożył buty, po czym pospiesznie wyrównał narzutę i poduszki.

Pierwszy raz tej nocy spojrzął na wyświetlacz telefonu. Dosił dwie wiadomości od matki, jedną od ojca, dwie od brata i pięć od Celeste. Nie był to jednak najlepszy moment, by u.i nie odpowiedzieć. Wsunął telefon do kieszeni szlafroka, i potem rozejrzał się uważnie po pokoju.

Zobaczył nieprawdopodobne skarby, w miarę porządnie odkurzone i zebrane w dość przypadkową kolekcję. Tabliczki. Tak, to naprawdę były tabliczki: kruche, z wypalanej gliny,

gotowe rozpaść się pod dotykiem jego palców. Dostrzegł na nich maleńkie znaki: pismo klinowe. Tuż obok stały figurki bogów i boginek z nefrytu, diorytu i alabastru - nie wszystkie potrafił zidentyfikować - oraz inkrustowane szkatułki, pełne na pozór przypadkowych skrawków papieru albo tkaniny. Były też stosiki monet, trochę biżuterii oraz ogromny zbiór książek. Niektóre wydano w tajemniczych językach Azji, inne z całą pewnością w europejskich.

Reuben wypatrzył wśród nich bodaj wszystkie powieści Hawthorne'a, a także kilka świeższych dzieł, których obecność przyjemnie go zaskoczyła. Był tam *Ulisses* Jamesa Joyce'a, najwyraźniej wielokrotnie czytany i pełen odręcznych notatek, a także dzieła Hemingwaya, Eudory Welty oraz Zanea Greya. Zauważył też zbiór starych powieści grozy, spisanych przez eleganckich Brytyjczyków: M.R. Jamesa, Algernona Blackwooda oraz Sheridana LeFanu.

Nie ośmielił się ich tknąć. Z niektórych wystawały naddarte stronice; inne, zwłaszcza w miękkiej oprawie, dosłownie się rozpadały. Po raz kolejny ogarnęło go jednak to samo niezwykle uczucie: jakby znał i kochał Feliksa Nidecka. Towarzyszyła mu ta sama tęsknota, którą odczuwają wszyscy wielbicielowie osób znanych i powszechnie pożądanym; on także ją znał z młodych lat, kiedy kochał się na dystans w gwiazdach takich jak Catherine Zeta Jones czy Madonna. Jakże pragnął teraz poznać Feliksa, obcować z Feliksem, wejść w świat Feliksa. Ale Felix już nie żył.

W głowie Reubena rozkwitła nagle dzika fantazja. Żeni się z Marchent. Wprowadza się do niej. Ożywia dla niej ten dom. Razem przeglądają papiery Feliksa. Zaczyna spisywać historię domu i samego Feliksa; tak powstaje jeden z tych zawsze cenionych i cennych — choć niekoniecznie świetnie się sprzedających — albumów pełnych wielkich i kosztownych reprodukcji. Na Boga, pomyślał, przecież sam posiadam kilka takich.

Doskonale wiedział, że to mrzonki. Tak naprawdę, choć już

uwielbiał Marchent, na razie nie miał ochoty żenić się z nikim. Ale książka... Może przynajmniej napisałby tę książkę, na przykład do spółki z nią - nawet gdyby wyjechała do swego nowego domu w Ameryce Południowej. Może proces twórczy zbliżyłby ich do siebie, scementował autentyczną, głęboką przyjaźń, którą oboje ceniliby niezmiernie.

Wyszedł z sypialni i przez chwilę wałęsał się po pokojach na piętrze. Zagłębił się w korytarz wiodący na północ, ku tyłom domu. Wiele drzwi było otwartych, więc zaglądał do małych bibliotek i galeryjek nieróżniących się znacząco od tych, które odwiedził chwilę wcześniej. I znów gliniane tabliczki. Naprawdę był pod wrażeniem. I jeszcze figurki. Wreszcie kolekcja pergaminów. Z trudem powstrzymywał się, by ich nie dotknąć.

Wędrując wschodnim korytarzem, znalazł kilka kolejnych pięknie urządzonych sypialń. Jedna z nich powitała go oszłamiającą, czarno-złotą i zdecydowanie orientálną tapetą. Inną /dobiły czerwone i złote pasy.

Wreszcie wrócił do zachodniego skrzydła rezydencji. Na chwilę przystanął na progu pokoju, który musiał być sypialnią Marchent - tuż obok sypialni Feliksa. Nieomylną wskazówką były pokłady białej koronki zdobiącej zasłony i pościel, a także stosik ubrań w nogach łóżka. Ale Marchent tu nie było.

Reuben miał ochotę zwiedzić poddasze - na obu końcach zachodniego korytarza zauważył wiodące tam schody. Uznał jednak, że nie powinien tego robić, póki nie uzyska pozwolenia. Nie otwierał też zamkniętych drzwi, choć tak bardzo go kusily.

Tak bardzo podobał mu się ten dom. Podobały mu się kinkiety przypominające świece. I rzeźbione listwy podsufitowe. I podłogi z ciemnego drewna. I ciężkie drzwi o mosiężnych klamkach.

Ale gdzie była pani domu?

Zszedł na parter. Usłyszał jej głos, zanim ją zobaczył. Stojąc w kuchni, dostrzegł ją w pomieszczeniu biurowym, pełnym

faksów, kopiarek, monitorów komputerowych i całych gór wszelkiego sprzętu. Rozmawiała półgłosem przez telefon stacjonarny.

Nie zamierzał podsłuchiwać i nawet nie bardzo mógł zrozumieć, co mówiła. Miała na sobie białą koszulę nocną, niezwykle miękką, przyozdobioną koronką i perłami. Jej proste, gładkie włosy lśniły jak jedwab.

Patrząc na jej dłoń zaciśniętą na słuchawce i na plamę światła na jej czole, poczuł nową falę podniecenia. Dostrzegła go wreszcie, uśmiechnęła się i skinęła ręką, dając znak, by zaczekał.

Odwrócił się i odszedł.

Sędziwa Felice snuła się korytarzami domu, wyłączając zapomniane światła.

Gdy wracał przez jadalnię, panowała już w niej ciemność. Z ogniska w kominku został tylko rozrzucony żar. Kolejne pokoje były pogrążone w całkowitym mroku. I tylko w oddali majaczyła sylwetka starej kobiety, raz po raz sięgającej ku wyłącznikom.

W końcu Felice minęła go w drodze powrotnej do kuchni, gdzie również zgasiła światło. Bez słowa minęła Marchent, wciąż zajęta rozmową, a Reuben po cichu wszedł po schodach na piętro.

Korytarz oświetlała teraz jedynie lampka stojąca na małym stoliku; nieco dalej widać było jasny prostokąt otwartych drzwi do sypialni Marchent.

Przysiadł u szczytu schodów, oparty plecami o ścianę. Pomyślał, że jeśli zaczeka chwilę, pewnie się spotkają.

Poczuł nagle, że jest gotów zrobić wszystko, by spędziła z nim resztę nocy. Nie mógł się już doczekać, kiedy znowu będzie ją tulić, całować, zamykać w ramionach. Pierwsze zbliżenie było wyjątkowo podniecające - była dla niego kimś nowym; miękka i uległa, jednocześnie doskonale wiedziała, czego chce, i była znacznie bardziej namiętna niż Celeste. Zupełnie nie



odczuwał różnicę wieku. Był naturalnie świadom tego, ile lat ich dzieli, ale jej ciało było młodzieńczo jędrne i delikatne; bukowało w nim silnej muskulatury Celeste.

Przyszło mu zniechęca do głowy, że to prostackie rozwadnia. Wcale mu się nie podobały. Pomyślał dla odmiany o jej głosie i oczach, w których się zakochał. I o tym, że Celeste pewnie potrafiłaby go zrozumieć. W końcu i ona nie była zawsze wierna - już dwukrotnie zdradziła go z byłym chłopakiem. Szczerze opowiedziała mu o tych „katastrofach” i jakoś przewyciężyli kryzys. Tak naprawdę to ona bardziej wtedy cierpiała niż Reuben.

Nie mógł jednak zapomnieć, że w pewnym sensie Celeste jest mu coś winna. Kobieta w wieku Marchent nie powinna w ogóle wzbudzić jej zazdrości. Celeste była przecież nieprzeciętnie piękna, naturalnie atrakcyjna. Z pewnością puściłaby mu płazem tę zdradę.

Położył się i zapadł w płytki sen. Śnił, choć wydawało mu się, że to jeszcze jawa. Był cudownie rozluźniony i szczęśliwy, a tego uczucia nie zaznał już od bardzo dawna.

### 3

Donośny huk. Brzęk tłuczonego szkła. Obudził się. Światła wciąż były zgaszone. Niczego nie mógł dostrzec. I wtedy usłyszał krzyk Marchent.

Po omacku zbiegł po schodach, sunąc dłonią po szerokiej, dębowej poręczy.

Kolejne przerażające krzyki poprowadziły go w ciemności na wprost, ku drzwiom kuchni.

Oślepiło go światło latarki i zanim zdążył zasłonić oczy, ktoś pochwyił go za gardło i pchnął mocno w tył. Uderzył głową o ścianę. Napastnik próbował go udusić. Latarka potoczyła się po podłodze. Owładnięty furją Reuben wbił kolano w ciało przeciwnika, jednocześnie sięgając obiema rękami do jego twarzy. Wyczuł lewą dłonią włosy i huknął pięścią prosto w oko inttuza. Mężczyzna ryknął z bólu i oderwał ręce od jego gardła. W tej samej chwili pojawiła się druga postać z latarką w dłoni. Reuben dostrzegł błysk metalu i poczuł ostry ból: ostrze wbiło się w jego brzuch. Jeszcze nigdy nie dał się ponieść wściekłości tak, jak w tym momencie, ale miał przed sobą dwóch katujących go z zapalem napastników i czuł, jak krew uchodzi z jego trzewi. Znowu błysnął nóż. Zebrawszy wszystkie siły, uderzył nieco poniżej stalowego ostrza i udało mu się odrzucić jednego z mężczyzn o kilka kroków wstecz.

Tym razem ostrze przecięło jego lewe ramię.

I nagle w ciemnym korytarzu rozbrzmiała cała seria zupełnie nowych dźwięków. Najpierw głęboki, basowy warkot, jakby

bojowo usposobionego psa, potem wrzaski przerażenia, kłapanie paszczy i dziki, zwierzęcy ryk. Reuben poczuł, że osuwa się na podłogę w kałuży własnej krwi.

Kiedyś, dawno temu, był świadkiem walki psów. Zapamiętał jednak nie widok - bo bój rozegrał się zbyt szybko i zbyt gwałtownie, by dało się cokolwiek zauważyć — ale właśnie ten dźwięk.

Dźwięk, który teraz słyszał. Nie widział ani psa, ani napastników. Poczuł tylko ciężar bestii na swojej piersi, gdy przygwoździła go do podłoża. Krzyki dwóch mężczyzn już ustały.

Zwierzę warknęło dziko, a potem pochwycił paszczą głowę Reubena, wbijając zęby w policzek. Gdy szarpnął w górę prawie bezwładne ciało, ból był znacznie gorszy niż w chwili, gdy nóż wbijał się w brzuch.

I nagle potężne szczęki rozluźniły uchwyt.

Opadł wprost na jednego z intruzów, a jedynym odgłosem zakłócającym ciszę był ciężki oddech zwierzęcia.

Reuben spróbował się poruszyć, ale nie czuł nóg. Coś ciężkiego, łapa bestii, spoczęło na jego plecach.

- Dobry Boże, pomóż mi! - powiedział. - Dobry Boże, proszę. — Zamknął oczy i poczuł, że zapada się w ciemność, ale zmusił się do wypłynięcia na powierzchnię. - Marchent! -zawołał, a potem znowu otoczyła go ciemność.

Leżał w absolutnej ciszy. Wiedział, że ci dwaj już nie żyją. Wiedział, że nie żyje także Marchent.

Przewrócił się na plecy, aby sięgnąć do prawej kieszeni szlafroka. Zacisnął palce na obudowie telefonu i znieruchomiał. Czekał w milczeniu, by mieć absolutną pewność, że został sam. Wreszcie z wysiłkiem uniósł komórkę ku twarzy i wcisnął klawisz, żeby podświetlić mały ekran.

Mrok znowu spłynął na niego jak wysoka fala gotowa zmyć go z bezpiecznej plaży. Wielkim wysiłkiem woli otworzył oczy. Telefon zdążył wysliznąć się z jego mokrej dłoni. Odwrócił

głowę, chciał go szukać, ale raz jeszcze ogarnęła go ciemność. Walczył z nią resztką sił.

- Umieram - wyszeptał. - Oni wszyscy już nie żyją. Marchent nie żyje. Umieram i muszę wezwać pomoc.

Sięgnął dłonią po omacku, ale wyczuł jedynie mokre deski. Dotknął lewą dłonią brzucha, jakby chciał zgasić nią palący ból. Krew popłynęła między palcami. Takiego krwotoku nie można przeżyć, pomyślał.

Przewrócił się na bok, by podnieść się z podłogi, przynajmniej na kolana, ale natychmiast opadł z sił.

I wtedy rozległ się daleki dźwięk. Cichy, ale narastający dźwięk. Był jak wstęga światła wijąca się w ciemności.

Złudzenie? Fantazja? Umieranie.

Reuben nie spodziewał się, że śmierć przychodzi tak cicho, tak dyskretnie, tak łatwo.

- Marchent - szepnął. - Przepraszam, przepraszam! Lecz nagle do pierwszej syreny dołączyła następna. Tak,

słyszał ją wyraźnie: nowa wstęga światła. Dwie świetliste wstęgi dźwięku splatały się ze sobą i rosły, były coraz bliżej. I jeszcze trzecia.

Kto by pomyślał.

Były tuż-tuż, aż wreszcie umilkły, jakby ktoś w końcu nawinął na szpulkę trzy lśniące wstęgi. Znowu rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Reuben dryfował, dając się ponieść w stronę mroku. Cóż, przyjaciele, pomyślał, przybyliście za późno. Fakt ten nie wydawał mu się jakoś szczególnie tragiczny. Zbyt szybko i ciekawie potoczyły się zdarzenia, by rozpaczać. Nie walczył już i nie miał nadziei. Umierasz, Reubenie, pomyślał.

Ktoś stanął nad nim. Snopy światła z mocnych latarek ślizgały się po ścianach i krzyżowały w powietrzu. Piękny spektakl.

- Marchent - powiedział. - Marchent! Dopadli ją. - Nie mógł mówić wyraźnie; usta miał pełne krwi.

- Nic nie mów, synu - odpowiedział mężczyzna, który przyklęknął obok. - Zajmiemy się nią. Robimy, co w naszej mocy.

Ale on wiedział. Cisza i bezruch były aż nadto wymowne, podobnie jak smutek w głosie nieznanego. Dla Marchent było już za późno. Urocza, elegancka kobieta, którą znał krócej niż dobę, już nie żyła. Musiała zginąć natychmiast.

- Zostań ze mną, synu - powiedział mężczyzna. Jacyś ludzie unieśli Reubena. Ktoś założył mu plastikową maskę tlenową. Ktoś inny rozerwał jego koszulę.

Z głośnika krótkofalówki dobiegły statyczne trzaski. Reuben poczuł, że leży na noszach. Ratownicy puścili się biegiem.

- Marchent — wyszeptał. Jaskrawe światło w ambulansie oślepiło go. Nie chciał, by go od niej zabrano. Wpadł w panikę, ale przytrzymali go w porę. A potem stracił przytomność.

Tracił i odzyskiwał przytomność jeszcze wiele razy, nim z intensywnej terapii w Mendocino wyprawiono go helikopterem na południe. W szpitalu San Francisco General już czekała na niego doktor Grace Golding ze swym mężem, Philem, u boku.

Reuben szarpał się w ciasno zapiętych pasach, gdy wieziono go szpitalnym korytarzem. Ból i leki, które mu podano, sprawiły, że odchodził od zmysłów.

- Nie chcą mi powiedzieć, co się stało! - ryknął w stronę matki, która natychmiast zażądała, by ktoś z policji odpowiedział na wszystkie jego pytania. Miał prawo znać prawdę.

Problem, zdaniem policji, polegał na tym, że Reuben był zbyt oszołomiony lekami, by odpowiadać na pytania, a stróże prawa potrzebowali odpowiedzi znacznie bardziej niż on. Ale istotnie, Marchent Nideck nie żyła.

Dopiero gdy Celeste zadzwoniła się na posterunek w Mendocino, pojawiły się bardziej szczegółowe informacje.

Marchent została pchnięta nożem więcej niż szesnaście razy, przy czym co najmniej dziesięć ran mogło być śmiertelnych. Zmarła w ciągu paru minut, jeśli nie sekund. Jeżeli cierpiała, to przez bardzo krótką chwilę.

Reuben po raz pierwszy zamknął oczy z własnej woli i po chwili zasnął.

Gdy się obudził, siedział przy nim policjant w cywilnym ubraniu. Cokolwiek bełkotliwie - wciąż pod wpływem leków przeciwbólowych - Reuben oznajmił mu niepytany, że tak,

miał intymny kontakt „z ofiarą” i nie, nie ma nic przeciwko temu, by przeprowadzono testy DNA. Wiedział, że sekcja i tak ujawni wszelkie szczegóły.

Zaraz potem opowiedział o wszystkim, co udało mu się zapamiętać. Nie, to nie on zadzwonił pod 911. Upuścił telefon i nic mógł go już podnieść. Ale jeśli rzeczywiście telefonowano z jego aparatu, to cóż, widocznie jednak mu się udało.

(„Morderstwo, morderstwo”. Czy rzeczywiście powtarzał to słowo, dzwoniąc na policję? Nie wydawało mu się to możliwe).

Celeste poradziła mu, żeby zamilkł. Potrzebował adwokata. Reuben jeszcze nigdy nie widział jej tak zaniepokojonej, tak bliskiej łez.

- Nieprawda - odpowiedział. - Nie potrzebuję adwokata.

- To skutek wstrząsu - wtrąciła Grace. - Nie przypomnisz sobie wszystkiego. Cud, że pamiętasz tak wiele.

- „Morderstwo, morderstwo”? - wyszeptał. - Naprawdę tak mówiłem?

Przecież tak doskonale pamiętał, jak bez powodzenia szukał w ciemności telefonu.

Choć odurzony lekami, widział doskonale, jak głęboko poruszona jest jego matka. Jak zawsze miała na sobie zielony, szpitalny kitel. Rude włosy zaczesana gładko i spięta; w jej zaczerwienionych oczach widać było zmęczenie. Gdy go dotykała, czuł w jej dłoni pulsowanie, jakby gdzieś w środku, poza zasięgiem wzroku postronnych obserwatorów, drżała.

Dwadzieścia cztery godziny później, gdy przeniesiono go do jednoosobowego pokoju, Celeste przyniosła nowinę: zabójcami byli dwaj młodsi bracia Marchent. Widać było, że szczegóły tej szokującej historii dodały jej energii.

Bracia przyjechali do rezydencji skradzionym samochodem, ubrani w peruki, maski narciarskie i rękawice. Odcięli zasilanie w całym domu, ale wcześniej zajrzeli na tyły, do służbówki, by zatłuc sędziwą gosposię w jej własnym łóżku. Starali się,

by napad wyglądał na robotę przypadkowych ćpunów: wybili szybę w oknie jadalni, choć tylne drzwi rezydencji były otwarte.

Złapali Marchent w kuchni, tuż obok biura. W pobliżu znaleziono mały pistolet z odciskami jej palców. Nie zdążyła wystrzelić.

Zwierzę, które uśmierciło braci, wciąż pozostawało zagadką. Nie znaleziono wyraźnych śladów na miejscu zbrodni. Zęby bestii pozostawiły na ciałach intruzów liczne i, jak się okazało, śmiertelne rany. Ale jakie zwierzę je zadało - tego śledczy nie potrafili jeszcze powiedzieć.

Jeśli zaś chodzi o miejscowych, to niektórzy utrzymywali, że do domu zakradła się samica kuguara, nazywanego też pumą albo lwem górskim.

Reuben milczał. Znowu słyszał te odgłosy i czuł ciężar łapy na swoich plecach. Wstrząsnął nim mocny dreszcz, niosący ze sobą poczucie bezradności i pogodzenia z losem. Umrę.

- Szału dostanę z tymi ludźmi - obwieściła Grace. - W jednej chwili twierdzą, że to ślina psa, w następnej, że wilka, a teraz znowu wymyślili, że ślady ugryzień pozostawił człowiek. Musieli solidnie namieszać w laboratorium, tylko nie chcą się przyznać. Tak czy owak, nie mamy porządnych wyników badań twoich ran, ale to oczywiste, że nie człowiek zostawił takie ślady na twojej głowie i szyi. I nie żaden kuguar. Cóż za absurdalne pomysły!

- Ale dlaczego przestał? - spytał Reuben. - Dlaczego nie zabił mnie tak jak pozostałych?

- Gdy zwierzę ma wściekliznę, staje się nieprzewidywalne - wyjaśniła Grace. - Nawet niedźwiedzie mogą cierpieć na tę chorobę. No i kuguary. Może coś odwróciło jego uwagę? Nie dowiemy się. Ważne, że żyjesz. — Umilkła, a po chwili skomentowała półgłosem brak jakichkolwiek próbek sierści nieznanego zwierzęcia: - No przecież musiały zostać choćby pojedyncze włosy, włókna...



Reuben znowu usłyszał to dyszenie. I ciszę. Nie pamiętał, czy wyczuł zapach zwierzęcia, ale czuł jego obecność, bliskość gęstego, długiego futra — może kosmatego psa, może wilka. A może kuguara? Ale czy kuguary nie wydzielają charakterystycznej woni? Czy kiedykolwiek uda się odkryć prawdę?

Grace była wdzięczna ratownikom medycznym, którzy stara unie oczyścili rany Reubena. Zrobili, co do nich należało, ale mogli przecież pobrać wcześniej próbki, dzięki którym łatwiej byłoby teraz ustalić przynajmniej to, czy zwierzę chorowało na wściekliznę.

- Trafili na istną masakrę, Grace — powiedziała Celeste. — Nie mieli czasu myśleć o wściekliznie.

- Za to my musimy i dlatego właśnie zaczynamy stosowną procedurę.

Zapewniła Reubena, że owa procedura nie jest nawet w przybliżeniu tak bolesna jak dawniej. Musiał jedynie przyjmować zastrzyki przez dwadzieścia osiem dni. Gdy pojawią się symptomy wścieklizny, niemal zawsze jest za późno na ratunek. Dlatego nie mieli wyboru: serię zastrzyków należało rozpocząć natychmiast.

Reuben miał to gdzieś. Nie dbał ani o rwący ból w zranionym brzuchu, ani o obolałą głowę, ani o to, że czuł się tak, jakby jego twarz dźgały lodowate szpikulce. W tej chwili mógł myśleć tylko o tym, że Marchent nie żyje.

Zamknął oczy i zobaczył ją. Usłyszał jej głos. Nie mógł do końca pojąć tego, że tak szybko uszło z niej życie, podczas gdy on miał poważne szanse na przeżycie.

Dopiero następnego dnia pozwolili mu oglądać wiadomości w telewizji. Mieszkańcy okręgu Mendocino opowiadali o atakach wilków, które zdarzały się w tych stronach raz na kilka lat. Nikt też nie twierdził, że nie ma tam niedźwiedzi. Ale ci, którzy rezydowali najbliżej domu Nidecków, twardo obstawali przy swoim — opowiadali o kugarze, którego tropili przez ostatni rok. Tak czy inaczej, niezidentyfikowane zwierzę

wciąż pozostawało na wolności. Bezowocnie przeczesywano sekwojowe lasy. Podobno w nocy dało się słyszeć dalekie wycie.

Wycie. Reuben przypomniał sobie te upiorne dźwięki: warkot, parskanie, dziki potok odgłosów, który towarzyszył atakowi bestii na braci Marchent. Miał wrażenie, że zwierzę nie potrafiłoby mordować w ciszy, że te dźwięki były nieodłączną częścią jego zabójczej mocy.

Kolejne lekarstwa. Kolejne środki przeciwbólowe. Kolejne antybiotyki. Reuben przestał liczyć dni.

Grace przyznała, że zastanawiała się, czy nie będzie konieczna operacja plastyczna.

- Ale ten ślad po ugryzieniu goi się fantastycznie - powiedziała. - I nie da się ukryć, że rana kluta na brzuchu też.

- To dlatego, że w dzieciństwie dobrze się odżywił - stwierdziła Celeste. - A jego matka jest świetnym chirurgiem - dodała, mrugając porozumiewawczo do Grace.

Reuben cieszył się niezmiernie, że tak się lubiły.

- Właśnie, a na dodatek potrafi gotować! - podchwyciła Grace. - Ale poważnie, mamy tu prawdziwy cud. - Delikatnym ruchem odgarnęła włosy Reubena, a potem ostrożnie dotknęła skóry na jego szyi i piersi.

- O co chodzi? - spytał szeptem Reuben.

- Sama nie wiem - odparła w roztargnieniu Grace. - Powiedzmy, że już nie potrzebujesz tej kroplówki z witaminami.

Ojciec siedział w kącie szpitalnego pokoju, czytając *Żółta trawa* Walta Whitmana. Od czasu do czasu wygłaszał złote myśli w rodzaju: „Żyjesz, synu, tylko to się liczy”.

Możliwe, że rany się goiły, ale ból głowy stawał się nie do zniesienia. Reuben właściwie nie spał - trwał co najwyżej w półśnie i zaczynał słyszeć rzeczy, których nie rozumiał.

Na przykład Grace rozmawiającą gdzieś z innym lekarzem:

- Widzę zmiany. Wiem oczywiście, że nie może to mieć nic wspólnego z wirusem wścieklizny, nie mamy nawet dowodu

na to, że go złapał, ale... Cóż, może powiesz, że mi odbiło, ale mogłabym przysiąc, że jego włosy stały się gęstsze. Rozumiem, ślady ugryzień, ale... znam włosy mojego syna i widzę, że są teraz gęstsze, a jego oczy...

Reuben miał ochotę zapytać ją: „Co ty wygadujesz? , ale była to tylko jedna z niezliczonych kwestii, które dręczyły teraz jego umysł.

Dumał na przykład nad tym, jak działają leki przeciwbólowe. Byłoby świetnie, gdyby znieczulały świadomość. Niestety, przede wszystkim spowalniały go, oszalałmiały, a jednocześnie uwalniały prześliski wspomnień, po czym budziły frustrację związaną , tym, że nie był już pewny, co jest realne, a co nie. Dźwięki go niepokoiły. Nawet zapachy wyrywały go teraz z płytkiego półsnu.

Ojciec James wpadał do szpitala dwa razy dziennie, zawsze spóźniony na pilne zajęcia czekające go w kościele. Wystarczało mu czasu w zasadzie tylko na to, by powiedzieć bratu, że wygląda z każdym dniem coraz lepiej. Ale Reuben dostrzegał w jego twarzy coś zupełnie nowego: jakby strach. Jim zawsze się o niego troszczył, ale tym razem było to coś poważniejszego.

- Muszę powiedzieć - rzekł ojciec James - że wyglądasz udkiem żwawo i rumiano jak na kogoś, kto przeżył coś takiego Celeste zajmowała się Reubenem na tyle, na ile jej pozwalał. Potrafiła zadbać o wszystko. Poiła go dietetyczną colą przez słomkę, poprawiała pościel, bez końca wycierała mu twarz i była mu oparciem, gdy odbywał nakazane przez lekarzy spacerunki po oddziale. Często wymykała się, by zadzwonić do biura prokuratora okręgowego, ale potem wracała i niezmiennie zapewniała Reubena, że o nic nie musi się martwić. Była rzeczowa, skuteczna i niestrudzona.

- Pielęgniarki uznały cię za najprzystojniejszego pacjenta na oddziale - powiedziała. - Nie wiem, czym cię tu szprycują, ale mogłabym przysiąc, że masz teraz bardziej błękitne oczy niż dawniej.

- To niemożliwe - odparł. - Oczy nie mogą zmienić koloru.

- A może jednak, pod wpływem leków? - Spoglądała badawczo nie w jego oczy, ale na jego oczy. Poczuli się nieswojo.

Spekulacje na temat tajemniczego zwierzęcia nie ustawały. Naczelną „San Francisco Observera” i kobiecy duch redakcji w jednej osobie, Billie Kale, stojąc przy łóżku Reubena, nalegała, by przypomnieli sobie coś jeszcze.

- Naprawdę nie pamiętam - odpowiedział, starając się nie ulec usypującej mocy środków przeciwbólowych.

- A jesteś pewny, że to nie był kuguar?

- Billie, już ci mówiłem: ja nic nie widziałem.

Billie była niewysoką, krągłą niewiastą, noszącą schludnie przyaęte

siwe włosy oraz drogie Jej <sup>^^</sup>

mei karierze w senacie stanowym zainwestował w gazetę, dając Billie szansę na nowe, bardziej znaczące życie. Była fatalną naczelną. Oczekiwała od swoich reporterów indywidualnego stylu i pielęgnowała te style. Poza tym od pierwszej chwili lubiła Reubena.

- Nie widziałem tego stworzenia - ciągnął - tylko je słyszałem. Wydawało mi się, że to wielki pies. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie nie zabiło. Nie wiem też, dlaczego się tam znalazło

A to właśnie jest kluczowe pytanie, czyż nie? Dlaczego to zwierzę weszło do rezydencji?

- Szurnięci bracia rozwalili połowę okien w jadalni - przypomniła Billie. - Popatrz sobie na zdjęcia. Swoją drogą, co za parka! Jak można zamordować własną siostrę? I tę starszą kobietę. Dobry Boże. Postaraj się wrócić do pracy nad tym materiałem, gdy tylko będziesz mógł. A przy okazji: nie wyglądasz mi na poważnie chorego. Co oni ci tu dają?

- Sam nie wiem.

- No dobrze. Zobaczymy się, kiedy się zobaczymy. - Billie wyszła równie niespodziewanie, jak się pojawiła.

Korzystając z wolnej chwili sam na sam z Céleste, Reuben

postanowił powiedzieć jej o sobie i Marchent. Ale ona naturalnie już wiedziała. Nawet ten detal był już znany mediom. Dla Reubena był to cios, a Celeste to zauważyła.

- To nie takie straszne - powiedziała. - Po prostu o tym zapomnijmy.  
- Pocieszała go tak, jakby to jego spotkała zdrada.

Reuben po raz kolejny sprzeciwił się jej pomysłowi skorzystania z usług adwokata. Dlaczego miałby go potrzebować? Przecież został pobity i pchnięty nożem. Tylko niepojęty, nieprawdopodobny przypadek sprawił, że nie były to rany śmiertelne.

Prawie miał rację.

Piątego dnia od tragicznych wydarzeń Reuben wciąż przebywał w szpitalu. Rany prawie się zagoiły, ale podawane profilaktycznie antybiotyki przyprawiły go o mdłości. I właśnie wtedy dowiedział się, że Marchent zapisała mu w spadku dom.

Uczyła to mniej więcej na godzinę przed śmiercią, w rozmowie telefonicznej ze swymi prawnikami z San Francisco. Przekazała im kilka podpisanych dokumentów, w tym jeden poświadczony przez Felice, jako potwierdzenie ustnego oświadczenia woli, zgodnie z którym dom miał się stać własnością Reubena Goldinga. Marchent wzięła na siebie opłacenie podatku od darowizny, co oznaczało, że jej szczodry dar nie będzie kosztował Reubena ani centa. Ponadto opłaciła za dwanaście miesięcy z góry podatki i składkę ubezpieczeniową za dom.

Pomyślała nawet o tym, aby przekazać swoim braciom pewną sumę - tak jakby dom został sprzedany, a nie darowany.

Na jej biurku znaleziono komplet papierów, wraz z listą miejscowych handlowców, rzemieślników i dostawców, zatytułowaną „Dla Reubena”.

Na koniec zadzwoniła do swego przyjaciela w Buenos Aires i zapowiedziała, że wraca do domu wcześniej, niż się spodziewała.

Siedem i pół minuty później miejscowy posterunek policji odebrał zgłoszenie na numer 911: „Morderstwo, morderstwo”.

Reuben milczał oszołomiony.

Zmęczona Grace przysiadła na łóżku, gdy usłyszała nowiny.

- Trochę jakby biały słoń, nieprawdaż? - spytała. - Jak ty go sprzedasz?

- Moim zdaniem to nawet romantyczne - odezwała się cicho Céleste.

Nowe fakty wzbudziły podejrzliwość policji. Tym razem rodzinna firma prawnicza wkroczyła do akcji. Lecz właściwie nikt o nic nie podejrzewał Reubena. Był dobrze sytuowany i niekarany - w życiu nie dostał nawet mandatu za przekroczenie prędkości. Jego matka była znanym i szanowanym - nie tylko w kraju - chirurgiem. Poza tym Reuben otarł się o śmierć. Nóż, który wbito w jego brzuch, cudem ominął najważniejsze organy, na gardle utrzymywał się obrzęk, mózg doznał silnego wstrząsu, nie mówiąc o zagrażającym życiu pogryzieniu przez dzikie zwierzę, którego kły omal nie otworzyły tętnicy szyjnej.

Céleste zapewniła Reubena, że biuro prokuratora okręgowego nie żywi żadnych podejrzeń, ponieważ nikt nie mógłby sam sobie zadać takich obrażeń. No i motyw kierujący braćmi wydawał się oczywisty, zwłaszcza że udało się odnaleźć dwóch ich znajomych, którzy zeznali, iż słyszeli o planie napadu, ale potraktowali to jako cczą gadaninę.

Reuben miał ponadto całkiem sensowny powód, by znaleźć się w domu Nidecków - miał napisać artykuł dla « Observera » na zlecenie Billie. Nie znaleziono też żadnych dowodów na to, że jego zbliżenie z Marchent nie miało całkowicie dobrowolnego charakteru.

Mijały godziny, a Reuben Golding leżał na szpitalnym łóżku i analizował zdumiewający ciąg wydarzeń. Za każdym razem, gdy próbował zasnąć, powracał ten sam piekielny strzęp wspomnienia: znowu biegł schodami w dół, by dotrzeć do Marchent, zanim zrobią ro jej bracia. Czy ona w ogóle wiedziała, że to właśnie oni? Czy zwiodło ją ich przebranie?

Ocknął się bez tchu, czując ból we wszystkich mięśniach, jakby naprawdę powtórzył ów rozpaczliwy bieg w ciemności. Zaraz reż powróciło rwanie w poranionej twarzy i w brzuchu. Nacisnął guzik, by poprosić o Vicodin, i wkrótce potem znowu zapadł w półkoszmar.

Budziły go też dalekie głosy i dźwięki. Ktoś płakał w jednej ze szpitalnych sal. Jakaś kobieta zaciekle kłóciła się ze swoją córką.

- Pozwól mi umrzeć, pozwól mi umrzeć, pozwól mi umrzeć...  
Otworzył oczy i wbił spojrzenie w sufit. I nadal ją słyszał.

Był gotów przysiąc, że szpital ma jakieś problemy z układem wentylacyjnym: doskonale słyszał, jak ktoś na niższym piętrze zmaga się z napastnikiem. I jak samochody suną ulicą. I znowu podniesione głosy.

- Halucynacje, skutek leków - oceniła jego matka. - Cierpliwości, miną. - Właśnie regulowała przepływ kroplówki, jej zdaniem wciąż jeszcze koniecznej. Przerwała nagle tę czynność, by spojrzeć na syna. - Chcę przeprowadzić dodatkowe badania.

- Niby na co, u licha?

- Może uznasz mnie za wariatkę, chłopczyku, ale mogłabym przysiąc, że twoje oczy są teraz bardziej niebieskie.

- Mamo, proszę cię. I ty mi mówisz o halucynacjach pod wpływem leków. - Nie zamierzał przyznać, że Celeste powiedziała mu to samo.

Może nareszcie doczekałem się znaku szczególnego. Tragicznej pamiątki, pomyślał drwiąco.

Grace patrzyła na niego tak, jakby wcale nie dotarły do niej jego słowa.

- Wiesz co, Reuben? Wyglądasz nadzwyczaj zdrowo.

Miała rację. Wszyscy tak twierdzili. Jego najlepszy przyjaciel z Berkeley, Mort Kellery, wpadł do szpitala dwukrotnie. Reuben wiedział, jak znaczące były to wizyty: Keller właśnie się przygotowywał do ustnego egzaminu doktoranckiego

z literatury angielskiej. Innymi słowy, kończył cykl naukowy, który Reuben porzucił. I wciąż jeszcze miał poczucie winy z tego powodu.

- Wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek - rzekł Mort. On sam miał worki pod oczami i nosił wygniecione, a nawet nieco przykurzone ubranie.

Dzwonili i inni znajomi - ze szkoły i z gazety. Nie miał zbyt chęci na rozmowy, ale miło było pomyśleć, że troszczą się o niego. Czytał też wszystkie przychodzące wiadomości. Zatelefonowali nawet kuzyni z Hillsborough, ale nie pozwolił im przyjechać z wizytą. Brat Grace, który pracował w Rio de Janeiro, przysłał kosz ciasteczek — tak wielki, że można było wykarmić nimi cały oddział. Siostra Phila, pensjonariuszka domu opieki w Pasadenie, była zbyt schorowana, więc nie poinformowali jej o tym, co zaszło.

Celeste właściwie nie przejmowała się tym, że Reuben spał z Marchent. Dość bojowo przyjmowała słowa śledczych.

— Twierdzicie, że ją zgwałcił, po czym zeszła na parter, żeby odręcznie sporządzić testament, na mocy którego oddała mu posiadłość wartą pięć milionów dolarów? A następnie zadzwoniła do swojego prawnika i przez godzinę dogadywała szczegóły? Dajcie spokój, czy naprawdę mam myśleć za nas wszystkich?

Mniej więcej to samo powiedziała reporterom. Reuben widział ją potem w telewizji, jak z zapalem odpowiadała na pytania dziennikarzy. Była uroczo drapieżna w tym swoim małym, czarnym garniturku i białej, marszczonej bluzce. Puszyste, brązowe włosy efektownie okalały jej drobną twarz o wyrazistej mimice.

Pewnego dnia będzie tworzyła historię prawniczego rzemiosła, pomyślał.

Gdy tylko był w stanie przyjmować normalne pożywienie, Celeste przyniosła mu porcję zupy minestrone z North Beach. Na nadgarstku miała bransoletkę z rubinami, którą jej podarował,



a na ustach odrobinę szminki w tym samym odcieniu czerwieni. Wiedział, że odkąd znalazł się w szpitalu, dziewczyna specjalnie dla niego ubiera się nieco bardziej elegancko niż zazwyczaj.

- Słuchaj... przepraszam cię - powiedział.

- Myślisz, że nie rozumiem, jak to się stało? Romantyczne wybrzeże, romantyczny dom, romantyczna nieco starsza kobieta. Nie ma o czym mówić.

- Możliwe, że z nas dwojga to ty powinnaś być dziennikarką - wymamrotał.

- O, nareszcie widzę uśmiech Słonecznego Chłopca. A już zaczynałam podejrzewać, że go sobie wymyśliłam. - Czule pogładziła palcami jego szyję. - Wiesz, że to wszystko już się zagoiło? To po prostu cud.

- Tak sądzisz? - Miał ochotę ją pocałować, pocałować ten gładki policzek.

I zasnął. W półśnie poczuł woń jedzenia, a zaraz potem inny aromat. Perfumy. Perfumy matki. I jeszcze całą gamę innych zapachów, typowo szpitalnych, chemicznych. Otworzył oczy. Czuł zapach chemikaliów, którymi myto ściany. Miał wrażenie, że każda z woni zyskała nagle własną osobowość; były dla jego umysłu niczym rozmaite kolory. Było tak, jakby wprost ze ścian odczytywał jakiś kod.

Gdzieś daleko umierająca kobieta prosiła swoją córkę:

- Odłączcie te maszyny, błagam.

- Mamusiu, tu nie ma żadnych maszyn - odpowiedziała córka i rozpłakała się.

Gdy do pokoju weszła pielęgniarka, Reuben spytał o tę matkę i córkę. Choć nie ośmielił się o tym wspomnieć, miał przeczucie, że ta cierpiąca kobieta czegoś od niego chce.

- Nie na tym oddziale, panie Golding - zapewniła go pielęgniarka. - Może po tych lekach ma pan jeszcze halucynacje?

- A właściwie to jakie leki dostaję? Bo ostatniej nocy zdawało mi się, że słyszałem bójkę dwóch facetów w barze.

Kilka godzin później ocknął się nagle i stwierdził, że stoi przy oknie. Niechcący wyrwał z ramienia wężyk kroplówki. Ojciec nadal drzemał na krześle. Celeste była gdzieś daleko, mówiła coś pośpiesznie do telefonu.

— Skąd się tu wzięłem?

Był niespokojny. Chciał chodzić, szybko chodzić, nie tylko korytarzem szpitalnym z kroplówką na kółkach. Chciał iść do lasu, wspinać się stromą ścieżką. Potrzeba chodzenia była tak silna, że zamknięcie w czterech ścianach sprawiało mu ból. Nieznośny ból. Ujrzał lasy otaczające dom Marchent. Mój dom, pomyślał. Już nigdy nie będziemy tam spacerować, a tak wiele chciała mi pokazać. Te prastare lasy, te drzewa, jedne z najstarszych żywych istot na ziemi. Najstarsze żywe istoty.

Te lasy też należały do niego. Został strażnikiem tych konkretnych drzew. Nieznana energia nagle dodała mu sił. Zaczął iść. Najpierw w głąb korytarza, obok stanowiska pielęgniarek, a potem schodami w dół. Dzięki Bogu nie był nagi, miał na sobie tę cienką, szpitalną koszulę zawiązaną na plecach, ale z pewnością nie mógł wybrać się w tym stroju na nocny spacer. Mimo to czuł się dobrze, stawiając mocne kroki na stopniach i obchodząc kolejne kondygnacje szpitala.

Zatrzymał się nagle. Głosy. Słyszał je wszędzie dokoła: ciche, niezrozumiałe szepty, jak drobniutkie fale na tafli wody albo szum wiatru w koronach drzew. Gdzieś daleko ktoś krzyczał, wzywał pomocy. Reuben przycisnął dłonie do uszu, ale wciąż słyszał te głosy. Wrzask chłopca. Biegnij do niego! Głos nie dobiegał ze szpitala. Zatem skąd?

Minął główny hol i był już przy drzwiach, gdy zatrzymali go salowi. Był bosy.

- Hej, sam nie wiem, jak się tu dostałem - powiedział. Ogarnęło go zakłopotanie, ale salowi potraktowali go uprzejmie i odstawili z powrotem na piętro.

- Tylko nie wzywajcie mojej matki - rzucił ostrzegawczo.

Celeste i Phil już na niego czekali.

- Wybrałeś się na węgry, synu?

- Strasznie mnie boli, tato. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

Następnego ranka znowu nasłuchiwał w półśnie. Matka mówiła właśnie o wynikach ostatnich badań.

- To bez sensu. Skąd taki nagły skok poziomu hormonu wzrostu u dwudziestotrzyletniego mężczyzny? I wapnia, i enzymów. Nie, oczywiście, że to nie wścieklizna, tylko zastanawiam się, czy w laboratorium nie popełniono błędu. Chcę, żeby powtórnie przeprowadzili badania.

Otworzył oczy. Był sam w pokoju. Cisza. Wstał, wziął prysznic, ogolił się i spojrzał na ranę na brzuchu. Blizna była ledwie widoczna.

Powtórne badania. Nie było nawet śladu wstrząsu.

- Mamo, chcę wracać do domu.

- Jeszcze nie, Chłopczyku. — Chciała zafundować mu jeszcze jedno bardzo szczegółowe badanie, pozwalające wykryć każdą infekcję w dowolnej części ciała. Trwało czterdzieści pięć minut. Musiał jedynie leżeć całkowicie nieruchomo.

- Ja też mogę pana nazywać Chłopczykiem? — spytała szeptem pielęgniarka.

Mniej więcej godzinę później matka przyprowadziła techników z laboratorium.

- Dasz wiarę, że zgubili wszystkie pobrane wcześniej próbki? — Była w stanie, którą sama nazywała „gotowością do kaftana”. - Tym razem lepiej niech się postarają. I nikomu nie dajemy już próbek DNA. Raz sknócili sprawę, ich problem. Wystarczy.

- Sknócili?

- Tak mówią. Mamy kryzys laboratoryjny w północnej Kalifornii! - Skrzyżowała ramiona na piersi i mrużąc powieki, śledziła lodowatym wzrokiem ruchy techników, którzy napelniali fiołki krwią Reubena.

Pod koniec tygodnia Grace niemal obsesyjnie rozmyślała o przyczynach tak szybkiego powrotu syna do zdrowia. Większą część dnia spędzał już na własnych nogach, spacerując, a czasem czytając doniesienia gazet na temat masakry, rodziny Nidecków i zagadkowego wściekłego zwierzęcia. W końcu zażądał swego laptopa. Telefon naturalnie wciąż był w rękach policji, toteż poprosił o nowy.

Pierwszą osobą, do której zadzwonił, była Billie Kale.

- Nie podoba mi się, że tyle o mnie piszą - powiedział. -Przygotuję własny materiał.

- O niczym innym nie marzymy, Reuben. Przyślij mi go e-mailem. Umowa stoi.

Do pokoju weszła Grace. Tak, gdyby się domagał, mógłby zostać zwolniony do domu.

- Dobry Boże, spójrz tylko na siebie - dodała. - Musisz iść do fryzjera, Chłopczyku.

Jeden z lekarzy, dobry znajomy Grace, poprosił ją na korytarz.

- Dasz wiarę, że laboratorium znowu sparało badania? Długie włosy. Reuben wstał z łóżka i podszedł do lustra w łazience. Hmm. Bez wątplenia miał teraz gęstsze i dłuższe włosy.

Po raz pierwszy sięgnął myślą ku tajemniczemu Margonowi Bezbożnemu i jego włosom sięgającym ramion. Jego obraz uwieczniony na zdjęciu wiszącym nad kominkiem w bibliotece domu Marchent wrył mu się w pamięć. Może i on, Reuben, mógłby nosić taką fryzurę jak niesamowity Margon Bezbożny? Przynajmniej na razie.

Zaśmiał się.

Ledwie przekroczył próg rodzinnego domu w Russian Hill, zasiadł za swoim biurkiem. Odpalił komputer, podczas gdy prywatna pielęgniarka sprawdzała jego parametry życiowe.

Było to wczesne popołudnie ósmego dnia po masakrze -jednego z tych pięknych, słonecznych dni w San Francisco,

kiedy wody zatoki są intensywnie niebieskie, a miasto wciąż białe, mimo tak wielu szklanych budynków. Reuben wyszedł na balkon i stanął twarzą ku chłodnemu wiatrowi. Wdychał jego świeży powiew, jakby go kochał, choć nigdy tak nie było.

Cieszył się z powrotu do własnego pokoju, kominka, biurka.

Pisał przez pięć godzin.

Wysyłając tekst do Billie, był nawet zadowolony z relacji minuta po minucie, którą właśnie stworzył. Miał świadomość, że leki mogą jeszcze zakłócać pracę jego pamięci, a także wpływać na ocenę rytmu opowiadania. „Wytnij, co uznasz za stosowne”, dopisał. Billie wiedziała, co ma robić. Fakt, że właśnie on, jeden z najbardziej obiecujących reporterów, jak mówiono o nim w redakcji, był teraz bohaterem niezliczonych publikacji w innych mediach, wydał mu się ironią losu.

Obudził się rankiem tknięty pewną myślą i zaraz zadzwonił do swego prawnika, Simona Olivera.

- Chodzi o majątek Nidecków - powiedział. - O wszystkie przedmioty osobiste zgromadzone w domu, a zwłaszcza o dobytek i pisma Feliksa Nidecka. Chcę to wszystko kupić.

Simon zaczął naturalnie od rady, by zachował rozwagę i działał małymi krokami. Reuben nigdy jeszcze nie czerpał z odziedziczonego kapitału. Dziadek Spangler (ojciec Grace) zmarł ledwie pięć lat wcześniej — co by powiedział na tak nieprzemysłane wydatki? Reuben nie dał mu skończyć myśli. Chciał zdobyć wszystko, co należało do Feliksa Nidecka, chyba że wola Marchent była inna. To powiedziawszy, odłożył słuchawkę.

To nie było w moim stylu, pomyślał. Ale przecież nie byłem beczelny; po prostu szkoda mi czasu.

Po południu, gdy rozpoczęto druk artykułu, który napisał dla „Observera”, znowu zapadł w półsen, spoglądając przez okno na tuman mgły płynący nad zatoką. Obudził go telefon od Olivera, który zameldował, że prawnicy zarządzający majątkiem Nidecków z zadowoleniem przyjęli propozycję. Marchent

Nideck już dawno dawała wyraz swej frustracji wynikającej z tego, że nie miała pojęcia, co powinna zrobić z przedmiotami należącymi do Feliksa Nidecka. Czy w związku z tym pan Golding chciałby złożyć ofertę nabycia całej zawartości domu Nidecków oraz okolicznych zabudowań?

- Naturalnie - odpowiedział Reuben. - Kupię wszystko. Meble, książki, papiery wszystko, co tam jest.

Zamknął oczy. Płakał przez długi czas. Pielęgniarka zajrzała raz, ale nie chciała mu przeszkadzać.

- Marchent - wyszeptał Reuben. - Piękna Marchent. Wezwawszy pielęgniarkę, powiedział jej, że ma przemożną

chęć na bulion wołowy. Czy więc mogłaby wziąć samochód i poszukać dla niego świeżutkiego, pysznego bulionu?

- Sama go zrobię - odpowiedziała. - Wskoczę tylko do sklepu na małe zakupy.

- Świetnie! - ucieszył się.

Ubrał się, zanim odjechała. A potem wyśliznął się z domu, uważając, by Phil się nie zorientował, i ruszył w dół Russian Hill, w kierunku zatoki, rozkoszując się wiatrem i sprężystością własnych nóg. Czuł w nich większą siłę niż kiedykolwiek wcześniej. Spodziewał się, że po tylu dniach i nocach spędzonych w łóżku będzie cokolwiek sztywny, tymczasem pędził jak sprinter.

Było ciemno, gdy dotarł do North Beach. Szedł wzdłuż całego ciągu restauracji i barów, przyglądając się ludziom i czując, że są mu dziwnie obcy. Patrzył na nich tak, jakby oni nie mogli go zobaczyć - choć oczywiście mogli. On jednak nie miał wrażenia, że go widzą, i było to dla jego umysłu zupełnie nowe doznanie.

Przez całe życie był świadom tego, jak go widzą. Był zdecydowanie zbyt widoczny, by dobrze się czuć. A teraz nagle straciło to znaczenie. Czuł się niewidzialny. Czuł się taki wolny.

Wszedł do baru, w którym panował półmrok. Usiadł na stołku przy końcu kontuaru i zamówił dietetyczną colę. Pierw-

szy raz w życiu absolutnie nie obchodziło go to, co pomyśli o nim barman.

Wypił szybko i poczuł, jak kofeina buzuje w jego mózgu.

Zaczął się przyglądać przechodniom za szybą lokalu.

Do sali wszedł mężczyzna o grubych kościach i masywnym czole. Usiadł o kilka stołków od Reubena. Miał na sobie znoszoną, ciemną kurtkę ze skóry, a palce jego prawej dłoni zdobiły dwa grube, srebrne pierścienie.

Było w nim coś zdecydowanie odpychającego - w sposobie, w jaki pochylał się nad barem, a także w jego słowach, gdy zamówił piwo. Emanował złowrogą siłą. Odwrócił się zniechęcony.

- Coś ci się nie podoba? - zagrmiał, spoglądając na Reubena.

Reuben spokojnie odwzajemnił spojrzenie. Nie czuł najmniejszej potrzeby udzielenia odpowiedzi. Po prostu patrzył.

Nieznajomy, jakby owładnięty nagłą wściekłością, poderwał się z miejsca i wyszedł z baru.

Reuben obserwował go w spokoju. Intelkt podpowiadał mu, że mężczyzna wpadł w furję i że jest to jedna z tych sytuacji, których należy unikać - bo przecież lepiej nie drażnić osiłka w barze. Ale w tym momencie rozumowanie nic dla niego nie znaczyło. Był zajęty analizowaniem tego, co zobaczył.

Ten człowiek był winny, nawet bardzo. Sam fakt, że żył, był dla niego udręką.

Reuben wyszedł na ulicę.

Światło dnia zgasło do reszty, zapaliły się uliczne latarnie. Przybyło samochodów na ulicy i ludzi na chodnikach. Miał wrażenie, że otaczają go niemal wyłącznie weseli, zadowoleni przechodnie.

Lecz nagle usłyszał głosy dobiegające z daleka.

Zamarł na sekundę. W oddali kobieta walczyła z mężczyzną — w gniewie, ale i w strachu. Mężczyzna jej groził, dlatego zaczęła krzyczeć.

Reuben był jak sparaliżowany; jego mięśnie kompletnie

stężały. Unieruchomiły go te dźwięki, których źródła nie zdołał umiejscowić. Dość późno uzmysłowił sobie, że ktoś się zbliża. Ów winowajca z baru.

- Nadal szukasz kłopotów, pedziu? - warknął mężczyzna. Położył otwartą dłoń na piersi Reubena, żeby go popchnąć. Reuben ani drgnął, za to jego prawa pięść wystrzeliła do przodu i trafiła napastnika tuż pod nosem, tak skutecznie, że sfrunął z chodnika wprost do rynsztoka.

Świadkowie tej sceny wstzymali oddech, a potem zaczęli szeptać, wskazując palcami.

Nieznajomy był w szoku. Reuben patrzył w milczeniu, jak przyciska dłoń do krwawiącego nosa, jak wstaje niezdarnie, omal nie zataczając się pod samochód, a potem umyka.

Spojrzał na swoją dłoń. Dzięki Bogu, ani śladu krwi. Mimo to czuł niepohamowaną chęć umycia tęki. Zszedł na jezdnię, zatrzymał taksówkę i wrócił do domu.

To wszystko musiało coś znaczyć. Omal nie stracił życia z rąk dwóch zdeprawowanych ćpunów, a teraz potrafił z łatwością obronić się przed potężnie zbudowanym typem, przed którym jeszcze dwa tygodnie wcześniej pewnie uciekałby gdzie pieprz rośnie. Nie, nigdy nie był tchórzem, po prostu wiedział to, co wie każdy mężczyzna: nierozważnym krokiem jest drażnienie agresywnego zabijaki, który waży o dobrych siedemdziesiąt pięć funtów więcej i ma przynajmniej o pół stopy większy zasięg ramion. Takim ludziom ustępuje się z drogi. W pośpiechu.

Ale nie tetaz.

To musiało coś znaczyć, lecz Reuben jeszcze nie potrafił tego dostrzec. Zbyt mocno był pochłonięty rozpamiętywaniem szczegółów.

Grace zdążyła już wpaść w histerię. Gdzie on się podziewał?!

- Spacerowałem, mamó, a co myślałaś? - odpowiedział, podchodząc do komputera. - Słuchaj, mam trochę pracy...

- Co to ma znaczyć? - wydukała, gestykulując z ożywie-



niem. — Spóźniony bunt młodości? Jak mam to rozumieć? Zresetowałaś sobie system i dojrzewasz po raz drugi? Ojciec uniósł głowę znad książki.

- Synu, czy jesteś pewny, że chcesz wydać dwieście tysięcy dolarów na osobiste rzeczy należące do rodziny Nidecków? Naprawdę zleciłeś Simonowi Olwerowi wykonanie takiej operacji?

- To okazja, tato - odparł Reuben. - Staram się zrobić to, czego życzyłyby sobie Marchent.

Zaczął pisać. Zapomniałem umyć rękę, pomyślał.

Wszedł do łazienki i zaczął szorować dłonie. Coś było nie tak. Rozprostował palce. Nie, to niemożliwe. Przyjrzał się drugiej dłoni. Większe. Obie ręce były większe. Nie miał co do tego wątpliwości. Nie nosił jeszcze obrączki; gdyby było inaczej, zauważyłby tę zmianę znacznie wcześniej.

Podszedł do szafki i wyjął z niej rękawiczki do jazdy samochodem. Nie mógł ich włożyć.

Zamarł, myśląc intensywnie. Bolały go stopy. I to już od rana. Nie przejmował się tym zbyt. To był ciekawy dzień, a ból nie był zbyt silny, ale teraz Reuben zrozumiał jego przyczynę. Jego stopy urosły. Może nie bardzo, ale jednak urosły. Zdjął buty i od razu poczuł się lepiej.

Wszedł do pokoju matki. Stała przy oknie, z rękami złożonymi na piersi, spoglądając na niego bez słowa. Ja też tak patrzę na ludzi, pomyślał. Przyglądam się, studiuje, oceniam. Ale ona nie patrzy tak na wszystkich. Tylko na mnie.

- Ludzki hormon wzrostu - powiedział. - Znaleźli go w mojej krwi. Niespiesznie skinęła głową.

- W zasadzie to jeszcze dojrzewasz. Nadal rośniesz. I pewnie przed trzydziestką się to nie skończy. Dlatego kiedy śpisz, twoje ciało nadal produkuje ten hormon.

- Zatem teoretycznie mógłbym na przykład skokowo urosnąć?

- Może nieznacznie. - Grace wyraźnie coś ukrywała. Nie była sobą.  
- Co się dzieje, mamó?  
- Nie wiem, kochanie, po prostu martwię się o ciebie  
-odpowiedziała. - Chcę, żebyś był zdrowy.  
- I jestem, mamó. W życiu nie czułem się lepiej. Wrócił do siebie, rzucił się na łóżko i zasnął. Następnego dnia po kolacji zajrzał do niego brat i poprosił

o chwilę rozmowy na osobności.

Poszli na górę, na taras na dachu domu, ale tam było już zbyt chłodno. Kilka minut później wrócili do salonu i usiedli przy kominku. Jak we wszystkich domach na Russian Hill, nie był to pokój zbyt przestronny, za to pięknie urządzone i przytulny. Reuben zasiadł w skórzanym fotelu ojca, a Jim na kanapie. Miał na sobie „kleryki” - tak nazywał swój codzienny strój złożony z czarnych spodni, czarnej marynarki i czarnej koszuli z koloratką. Nigdy nie pokazywał się w „cywilnym” ubraniu.

Przejechał palcami brązowe włosy i spojrzał na brata. Reuben - co w ostatnich dniach stało się regułą - czuł się jakby nieobecny. Przyglądał się błękitnym oczom brata, jego bladej cerze i wąskim ustom. Może nie ma takiej prezencji jak ja, pomyślał, ale przystojny z niego facet.

- Martwię się o ciebie - zaczął Jim.

- To normalne, dlaczego miałyby być inaczej? - zdziwił się Reuben.

- O, właśnie o to mi chodzi. O sposób, w jaki się wypowiadasz. Taki spokojny, bezpośredni i dziwny zarazem.

- Wcale nie dziwny - padła odpowiedź. Po co rozwijać temat? Czy Jim nie wie, co przeżyłem? A raczej: czy nie powinien mieć dość rozumu, by pojąć, że nie ma prawa wiedzieć, co przeżyłem? Marchent nie żyje. Dom należy do mnie. Omal nie umarłem. I w ogóle.

- Chcę, żebyś wiedział, że wszyscy jesteśmy z tobą.

To chyba mało powiedziane. Jim uśmiechnął się smutno i posłał bratu raczej ostre spojrzenie.

- Muszę cię o coś spytać - rzekł po chwili Reuben. - Spotykasz w Tenderloin wielu ludzi. Wielu dość niezwykłych ludzi - i wysłuchujesz ich spowiedzi. W dodatku robisz to od wielu lat.

- To prawda.

- Powiedz, czy ty wierzysz w zło? W koncepcję bezcielesnego zła? Jim zaniemówił. Po chwili oblizał usta i zaczął mówić:

- Ci zabójcy byli narkomanami. Prawda o takich ludziach jest całkiem prozaiczna...

- Nie, Jim. Nie o nich mi chodzi. Zresztą znam ich historię. Chciałbym tylko wiedzieć, czy wydaje ci się czasami, że potrafisz wyczuć zło? Wyczuć, że ktoś nim emanuje? Albo wyczuć, że ktoś zamierza popełnić zły uczynek?

Jim zastanawiał się przez moment.

- To kwestia sytuacyjna i psychologiczna - rzekł. - Ludzie są zdolni do destrukcyjnych działań.

- To może być to.

- Co?

Reuben nie miał ochoty relacjonować spotkania z mężczyzną z baru. Zresztą co tu było do opowiadania? Prawie nic się nie wydarzyło. Dlatego zamiast mówić, siedział i zastanawiał się nad tym, co właściwie czuł w tamtej chwili. Może właśnie to: destrukcyjną moc lub skłonność tamtego człowieka.

- Całkiem prozaicznie... - wymamrotał.

- Pamiętasz - odezwał się znowu Jim - jak zawsze drażniłem się z tobą, mówiąc, że wieszdzasz zaczarowany żywot, że taki z ciebie słoneczny chłopiec, szczęściarz.

- Tak — odparł Reuben, sarkastycznie przeciągając samogłoskę. — Ale taki właśnie byłem.

- Rzecz w tym, że nigdy wcześniej nie doświadczyłeś czegoś takiego i... Właśnie dlatego się martwię.

Reuben nie odpowiedział. Znowu rozmyślał. Najpierw o tym mężczyźnie w barze, a potem o swoim bracie. Jim był łagodny. Niezwykle spokojny. Reuben uświadomił sobie nagle, że jego brat ma w sobie prostotę, której inni nigdy nie osiągną.

Drgnął mimowolnie, znowu słysząc jego głos.

- Oddałbym wszystko, bylebyś poczuł się lepiej - powiedział Jim. - Żeby tylko twoja twarz była taka jak dawniej; żebyś znowu wyglądał jak mój szczęśliwy brat, Reuben.

Cóż za znaczące stwierdzenie. Reuben nie odpowiedział -bo czy jakakolwiek odpowiedź miała teraz sens? Musiał to przemyśleć, a tymczasem dryfował. Na krótką chwilę znowu był z Marchent: wspinali się razem ścieżką pod górę, w stronę Nideck Point.

Jim odchrząknął.

- Rozumiem - powiedział. - Ona wołała, a ty próbowałeś do niej dotrzeć, ale nie zdążyłeś na czas. Nawet jeśli wiesz, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, to i tak nie będzie ci łatwo. W takiej sytuacji człowiek miewa bardzo różne myśli i odczucia.

To prawda, pomyślał Reuben. Ale i tym razem nie kwapił się z odpowiedzią. Myślał o tym, z jaką łatwością wymierzył cios prosto w twarz tego człowieka w North Beach. I o tym, że bez trudu na tym poprzestał, pozwolił mu odejść.

- Reuben?

- Tak, Jim, słucham cię. Ale wolałbym, żebyś już się nie martwił. Porozmawiamy, kiedy przyjdzie na to czas.

W kieszeni starszego brata zabrzączał telefon. Jim wyszarpnął go ze złością, spojrzał na mały wyświetlacz, wstał i wyszedł, bez słowa pocałował Reubena w czubek głowy.

Dzięki Bogu, pomyślał Reuben.

Zapatrzył się w ogień. Wprawdzie kominek był gazowy, ale zamaskowany palnik dobrze udawał polana. Za wysokimi

oknami o białych ramach jarzyła się luna miasta. Phil, w piżamie i szlafroku, siedział za swym biurkiem w wielkim, krytym skórą fotelu, słuchając muzyki przez rzucające się w oczy czarne słuchawki. Trzymając nogi na blacie, śpiewał cicho owym dziwnym, wyrwanym z kontekstu głosem, który wydają z siebie wyłącznie ludzie śpiewający do muzyki niesłyszalnej dla otoczenia.

Reuben położył się do łóżka.

Obudził się nagle, mniej więcej o drugiej nad ranem. Jestem właścicielem tego domu, pomyślał. Przez całe życie będę związany z tym, co się wydarzyło. Całe życie. Związany. Znowu śnił o nocnym ataku, ale tym razem już nie w powtarzających się bez końca urywkach scen. Tym razem śnił mu się ciężar z wierzącej łapy na piersi i głośny oddech bestii, która nie była ani psem, ani wilkiem, ani niedźwiedziem. Była po prostu siłą, która w ciemności rozprawiła się z młodymi mordercami, a jemu, Reubenowi, darowała życie z powodów, których nie umiał pojąć. „Morderstwo, morderstwo”.

Rankiem prawnicy rodziny Nidecków osiągnęli porozumienie z prawnikami rodziny Goldingów w sprawie nabycia przedmiotów osobistych. Ręcznie spisany aneks do ostatniej woli podpisany przez Marchent i poświadczony przez Felice został złożony w sądzie i za sześć tygodni Reuben miał oficjalnie zostać właścicielem Nideck Point — bo właśnie takiej nazwy użyła w papierach Marchent — oraz wszystkiego, co pozostawił po sobie Felix Nideck.

- Naturalnie nie należy się łudzić - objaśniał mu Simon Oliver — że nikt nie spróbuje obalić aneksu lub całego testamentu Marchent Nideck. Jednakże znam prawników z kancelarii Baker, Hammermill od bardzo dawna - a zwłaszcza Arthura Hammermilla - i wierzę im, gdy mówią, że gruntownie zbadawszy kwestię ewentualnego dziedziczenia spadku, doszli do wniosku, że nowi spadkobiercy już się nie pojawiają.  
Gdy

ostatecznie zamykano sprawę Feliksa Nidecka, prześlędzono wszystkie możliwe więzy rodzinne i nie znaleziono żyjących spadkobierców. Przyjaciel panny Nideck z Buenos Aires już dawno podpisał stosowne oświadczenie, w którym zagwarantował, że nie będzie rościł sobie praw do jej majątku. Nawiasem mówiąc, i tak zostawiła mu niemałą schedę. I w ogóle była szczodłą osobą - przeznaczyła spore kwoty na wsparcie, jak my to mówimy, słusznych sptaw. A smutne jest to, że spora część spadku nie znajdzie nowego właściciela. Jeśli jednak chodzi o nieruchomości w Mendocino oraz znajdujące się w niej ruchomości, to cóż, chłopaku, możesz je uważać za swoje.

Simon Oliver mówił jeszcze długo o rodzinie Nidecków -o tym, jak „pojawiła się znikąd” w dziewiętnastym wieku i jak wiele pracy włożyli jej prawnicy w poszukiwania krewnych po zniknięciu Feliksa Nidecka. Nie znaleźli nikogo - ani w Europie, ani w Ameryce. Co innego Goldingowie i Spangle-rowie — te rodziny, od dawna osiadłe w San Francisco, miały długą historię.

Reuben znowu chciał spać. Interesowały go wyłącznie ziemia, dom i jego zawartość.

— Wszystko to należy do ciebie — zapewnił go Simon. Krótko przed południem Reuben postanowił, że ugotuje

coś na lunch — jak za dawnych czasów — choćby po to, żeby przekonać wszystkich, że nic mu nie jest. Dawniej obaj z Jimem przygotowywali posiłki pod okiem Phila, stąd wiedział, że w myciu, krojeniu czy smażeniu jest coś, co działa na niego kojąco. Gtace przyłączała się do nich, gdy tylko czas jej na to pozwalał.

Tym razem, gdy tylko wróciła do domu, zasiedli do kotletów jagńczych i sałatki.

— Posłuchaj, Chłopczyku — powiedziała. — Sądzę, że powinienes jak najszybciej wystawić tamten dom na sprzedaż.

Reuben wybuchnął śmiechem.

- Sprzedać? Mamo, to jakieś szaleństwo. Ta kobieta zostawiła mi swój dom, bo go pokochałem. Zachwycił mnie od pierwszej chwili. Jestem gotów przeprowadzić się tam. Grace była przerażona.

- To chyba odrobinę przedwczesna deklaracja - powiedziała, spoglądając ponuro na Celeste.

Celeste odłożyła widelec.

- Naprawdę poważnie myślisz o tym, żeby tam zamieszkać? Niby jak mógłbyś tam żyć po tym, co się tam wydarzyło? Nie sądziłam, że...

Widział w jej twarzy taki smutek i taką kruchość, że serce mu się krajało. Ale czy słowa mogły cokolwiek zmienić? Phil przyglądał mu się z ukosa.

- A tobie co się stało, u licha? - spytała Grace.

- Sam nie wiem - odparł Phil. - Ale spójrz na naszego syna. Chyba przybrał na wadze, nieprawdaż? I masz rację co do jego skóry.

- Coś z nią nie tak? - zainteresował się Reuben.

- Nie mów mu tego - rzuciła ostrzegawczo Grace.

- Twoja matka powiedziała, że nabrałeś ostatnio zdrowych rumieńców, jak kobieta w ciąży. Naturalnie orientuję się, że nie jesteś kobietą i nie jesteś w ciąży, ale mama ma rację. Wyglądasz kwitnąco.

Reuben znowu się roześmiał. Spojrzeli na niego jednocześnie.

- Tato, chcę cię o coś spytać. W kwestii zła. Czy wierzysz, że zło to rzeczywista, namacalna siła? Czy twoim zdaniem istnieje zło niepowiązane z czynami ludzi? A jeśli tak, to czy może wstąpić w człowieka i zmienić go na gorsze?

Phil nie musiał się zastanawiać.

- Nie, nie, nie, synu - powiedział, wkładając do ust porcję sałatki. - Zło należy wyjaśniać w znacznie bardziej przyziemny sposób. To błędy, błędy popełniane przez ludzi. Czy mówimy o ataku na wioskę i wymordowaniu jej mieszkańców, czy

o zabiciu dziecka w napadzie szału - to wszystko są ludzkie błędy, nic więcej.

Nikt się nie odezwał.

- Spójrz choćby na Księgę Rodzaju - ciągnął Phil. - Historia Adama i Ewy to historia błędu. Pomylili się.

Reuben rozważał te słowa przez chwilę. Nie chciał odpowiadać, ale uznał, że powinien.

- Tego właśnie się obawiałem - rzekł. - Tato, mógłbyś mi pożyczyć swoje buty? Nosisz dwunastkę, prawda?

- Jasne, synu. Mam całą szafę takich, których nie noszę. Reuben znowu się zadumał. Był wdzięczny bliskim za milczenie.

Myślał o domu, o zbiorze glinianych tabliczek pokrytych znakami pisma klinowego oraz o pokoju, w którym spał z Marchent. Sześć tygodni, a wydawało się, że minęła wieczność.

Wstał, niespiesznie wyszedł z jadalni i ruszył schodami na górę.

Nieco później, gdy siedział przy oknie, spoglądając na dalekie pylony Golden Gate, zajrzała do niego Céleste, żeby poinformować go, że wraca do biura.

Skinał głową.

Otoczyła go ramionami, a wtedy obrócił się z wolna i spojrzał jej w oczy. Jakaś ty śliczna, pomyślał. Nie tak po królewsku elegancka jak Marchent, o nie. Ale taka świeża i ładna. Jej lśniące włosy i oczy miały barwę głębokiego brązu. Patrzyła na niego tak wnikliwie. Nigdy dotąd nie widział w niej tak delikatnej istoty jak teraz, gdy stała przy nim bezbronna, świeża, niewinna.

Dlaczego do tej pory tak się jej bał? Bał się, czyją zadowoli, bał się, czy dorasta do jej oczekiwań, bał się jej energii i rozumu.

Odsunęła się zniecka, jakby coś ją wystraszyło. Cofnęła się o kilka kroków, przyglądając mu się bacznie.

- Co ci jest, u licha? - spytał. Właściwie nie bardzo chciał



się odezwać, ale przyzwoitość nakazywała zainteresować się i ym, co tak nagle zmieniło jej zachowanie.

- Nie wiem - odpowiedziała. Zmusiła się do uśmiechu, ale zaraz zrezygnowała. - Mogłabym przysiąc, że... wydałeś mi się w tej chwili jakiś inny. Jakby oczami Reubena spoglądała na mnie zupełnie inna osoba.

- Hmm. To tylko ja - odrzekł, uśmiechając się do niej. Ale jej twarz wciąż była ściągnięta grymasem lęku.

- Do widzenia, skarbie - powiedziała szybko. - Zobaczymy się przy kolacji.

Reuben pomyślał, że przygotuje coś z rusztu, i już nie mógł się doczekać, kiedy zostanie sam w kuchni.

W drzwiach stanęła pielęgniarka. Przyszła, żeby dać mu ostatni zastrzyk.

Był piątek.

Wiadomość nadeszła, gdy przeglądał pierwszy plik papierów nadesłanych przez pośrednika, dotyczących nieruchomości w Mendocino.

Porwanie: zniknął autobus pełen uczniów szkoły z okręgu Marin, zwanej Goldenwood Academy.

W pośpiechu włożył jedną ze sztruksowych marynarek Phila, ze skórzanymi łatami na łokciach, a potem zbiegł po schodach, wskoczył do swego porsche i pomknął w stronę Golden Gate.

Po drodze słuchał w radiu serwisu informacyjnego. Wiadomo było tylko, że przepadła bez śladu cała grupa złożona z czterdziestu dwóch uczniów — dzieci od piątego do jedenastego roku życia - oraz trojga nauczycieli. Worek z kilkoma telefonami komórkowymi należącymi do nauczycieli i uczniów znaleziono przy automacie telefonicznym na poboczu autostrady nr 1, z wydrukowaną wiadomością: „Czekajcie, aż zadzwonimy”.

O piętnastej Reuben znalazł się przed wejściem do starego, przestronnego domu w stylu American Craftsman, o ścianach pokrytych ciemnobrązowym drewnem. Dołączył tym samym do gęstniejącego tłumu reporterów i kamerzystów lokalnych stacji telewizyjnych, oblegających siedzibę prywatnej szkoły.

Celeste potwierdziła radiowe rewelacje: nikt nie wiedział, dokąd zabrano uczniów i w jaki sposób; dotychczas nikt nie zażądał okupu.

Reuben zdołał zamienić kilka słów z wolontariuszką pracującą w szkole i dowiedział się, że panowały tu idylliczne warunki, a tutejsze nauczycielki można śmiało nazwać „matkami ziemi” i najłagodniejszymi „dziećmi kwiatami” na świecie. Zaginione dzieci jechały na wycieczkę do pobliskich lasów Muir, gdzie rosły jedne z najpiękniejszych sekwoi.

Goldenwood Academy była szkołą prywatną, niekonwencjonalną oraz drogą. Należący do niej autobus, wykonany na zamówienie, był jednak dość stary i nie wyposażono go ani w nadajnik GPS, ani telefon pokładowy.

Zdobywaniem tego typu informacji zajmowali się dwaj członkowie zespołu redakcyjnego Billie Kale.

Reuben niestrudzenie pracował kciukami, opisując na swym i Phonie malowniczy, trzykondygnacyjny budynek otoczony wiekowymi dębami oraz całą masą dziko rosnących kwiatów, w tym maków, stokrotek oraz azalii kwitnących w cieniu drzew.

Przybywali też rodzice, a policjanci oddzielali ich kordonem od przedstawicieli mediów, umożliwiając dotarcie do szkoły. Kobiety płakały. Reporterzy pchali się jeden przez drugiego, i ratując kwiaty. Stróże prawa zaczęli mieć tego dosyć. Reuben wybrał więc sobie miejsce na tyłach tłumu.

Większość rodziców stanowili lekarze, prawnicy i politycy. Goldenwood Academy była szkołą eksperymentalną, ale i prestiżową. Należało sądzić, że porywacze zażądają niespotykane wysokiego okupu. Czy watto było o to pytać, skoro na miejscu pojawili się już agenci FBI?

Sammy Flynn, młody fotograf z „Observera”, wreszcie odnalazł Reubena i spytał, co ma robić.

- Pstryknij plan ogólny — odparł nieco zniecierpliwiony Reuben. - A potem szeryfa; stoi tam, na werandzie. I spróbuj uchwycić klimat szkoły.

Tylko czemu ma to służyć, pomyślał zaraz. Wcześniej zdarzyło mu się pisać o pięciu innych sprawach kryminalnych i za

każdym razem sądził, że media odgrywają w nich pozytywną, chwalebnią wręcz rolę. Tu nie było to takie pewne. Choć z drugiej strony, może ktoś' widział coś podejrzanego i oglądając w telewizji spektakl rozgrywający się na dziedzińcu szkoły, przypomni sobie istotne detale, skojarzy fakty i zadzwoni.

Stanąwszy na grubych korzeniach niewysokiego dębu, oparł się plecami o jego szorstką, szarą korę. Tutejsze lasy pachniały sosnowymi igłami, więc automatycznie stanęły mu przed oczami obrazy ze wspólnego spaceru z Marchent po posiadłości w okręgu Mendocino, a zaraz potem pojawił się lęk. Czy był nieszczęśliwy, przebywając tu, a nie tam? Czy niespodziewany i niezwykły spadek miał sprawić, że porzuci swoją pracę? I dlaczego wcześniej nawet o tym nie pomyślał?

Zamknął oczy. I tak niewiele się działo. Szeryf powtarzał bez końca swoje odpowiedzi, bo i pytania różniły się w zasadzie tylko głosami mówiących.

Wtem do głosów dołączyły nowe. Reuben sądził przez chwilę, że należą do ludzi stojących opodal, ale szybko zrozumiał, że ich źródłem są dalekie sale w budynku szkoły. Rodzice szlochali. Nauczyciele recytowali banalne słowa pocieszenia. Ludzie odruchowo wspierali się nawzajem słowami niczym nieuzasadnionej otuchy.

Czuł się nieswojo. Nie mógł przecież pisać o tych głosach. Przestał na nie zwracać uwagę, ale po chwili przyszła mu do głowy nowa myśl. Dlaczego, u diabła, w ogóle je słyszę? Jaki to ma sens, skoro nie wolno mi o nich pisać? Zwłaszcza że z tego, co tu widać, trudno sklecić sensowną relację.

Spisał to, co wydawało mu się oczywiste. Rodzice załamują się, nie wytrzymują presji. Nie było żądania okupu. Czuł, że tyle może stwierdzić ponad wszelką wątpliwość. Mówiły o tym wszystkie głosy, które słyszał, nawet ten monotony, należący do szefa sztabu kryzysowego, który spokojnie zapewniał zebranych, że porywacze wkrótce zadzwonią.

Wszędzie dookoła rozprawiano o słynnej sprawie z lat siedemdziesiątych - o porwaniu autobusu szkolnego w Chowchilli. Wtedy nikt z zakładników nie ucierpiał. Nauczyciele i dzieci zostali wyprowadzeni z autobusu i futgonetką wywiezieni do podziemnej skrytki w kamieniołomie, skąd udało im się uciec.

W jaki sposób mogę się przydać w tej sytuacji? Reuben był podniecony i znużony zarazem. Może jeszcze nie nadszedł czas powrotu do pracy? Może w ogóle nie miał ochoty do niej wracać.

Do osiemnastej nie wydarzyło się nic ciekawego, dlatego postanowił wrócić na drugą stronę cieśniny, do domu.

Choć wyglądał jak okaz zdrowia, wciąż nękały go fale nienormalnego zmęczenia, będące - zdaniem Grace - wtórnym efektem działania środka znieczulającego, który podano mu podczas operacji brzucha. I antybiotyków, rzecz jasna. Wciąż je zażywał i wciąż było mu niedobrze.

Gdy tylko wrócił do domu, napisał pełną emocji relację z miejsca wydarzeń i wysłał ją do redakcji — miała się ukazać w porannym wydaniu. Półtorej minuty później zadzwoniła Billie. Była zachwycona, zwłaszcza wzmiankami o doradcach kryzysowych i o kwiatkach tratowanych przez przedstawicieli i zwartej władzy.

Zszedł na dół, żeby zjeść kolację z Grace, która najwyraźniej nie była sobą, i to z kilku powodów. Jednym z nich był fakt, iż tego popołudnia zmarło na stole operacyjnym dwóch jej pacjentów. Naturalnie stan, w jakim ich przywieziono, nie dawał wielkich nadziei, lecz dwa zgony jednego dnia to sporo nawet dla chirurga z urazówki. Dlatego Reuben postanowił, że posiedzi z bliskimi nieco dłużej niż zwykle. Rozmawiali o porwaniu szkolnego autobusu, przy czym Reuben kątem oka zerkał na wyciszony telewizor stojący w kącie jadalni, by śledzić na bieżąco rozwój sytuacji.

A potem wrócił do pracy. Napisał krótkie streszczenie sprawy z Chowchilli i dołączył noty o porywaczach, którzy wciąż

jeszcze siedzieli w więzieniu. Byli w jego wieku, gdy dokonywali przestępstwa. Zastanawiał się, kim się stali przez długie lata odosobnienia, ale nie to było tematem jego pracy. Zakończenie tamtej sprawy pozwalało patrzeć w przyszłość z optymizmem: wtedy przecież wszystkie dzieci i nauczyciele uszli z życiem.

Od czasu masakry w Mendocino nie spędził jeszcze tak pracowicie ani jednego dnia. Wreszcie wykapał się i położył.

I wtedy opanował go niepojęty niepokój. Reuben wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Po chwili znowu się położył. Czuł się samotny, ohydnie samotny, ale nie chciał być teraz z Celeste. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdyby poszła z nim teraz do łóżka, jakoś by ją skrzywdził, zranił jej uczucia. Ale czy nie było tak i bez sypialnianego testu?

Przewrócił się na bok, objął rękami poduszkę i wyobraził sobie, że jest sam w Nideck Point, w starym łóżku Feliksa, i że towarzyszy mu Marchent. Absurdalna fantazja, pomyślał, w sam raz, by zapaść w sen. Ale gdy naprawdę zasnął, nie śnił o niczym - po prostu zapadł się w ciemność.

Otworzył oczy o północy. Jedynym źródłem światła w jego pokoju był ekran telewizora, ale za oknami jarzyły się mocną poświatą wysokie gmachy na ciasno zabudowanych wzgórzach. Zatoka była natomiast kompletnym brakiem światła, nieruchomą, czarną tonią.

Czyżby naprawdę dostrzegał w oddali wzgórze okręgu Marin? Na to wyglądało. Ich zarys majaczył gdzieś za Golden Gate. Czy to możliwe?

Rozejrzał się. Zadziwiająco wyraźnie widział wszystkie detale wystroju, stare stiuki, a nawet drobne pęknięcia sufitu. I każdą linię słojów na drewnianych ścianach komody. Osobliwe było to uczucie, jakby znajdował się w domu podczas sztucznego zmierzchu.

Z mroku dobiegały jakieś głosy; były jak cichy szmer, z którego jeszcze nie umiał wyłowić sensu. Wiedział, że może się

skupić i zrozumieć każdy z nich, tylko nie miał pojęcia, jakim cudem to potrafi.

Wstał, wyszedł na taras i oparł dłonie na drewnianej balustradzie. Słony, zimny wiatr podziałał orzeźwiająco. Reuben miał wrażenie, że chłód dodaje mu sił i odporności. Czuł w sobie nieskończone pokłady ciepła; próbowało wydostać się n.i powierzchnię, rozgrzewało skórę, czuł je w każdej cebulce włosowej. Nigdy jeszcze nie czuł tak przyjemnego pulsowania w swym ciele, takiej pierwotnej, boskiej rozkoszy.

- Tak! — wyszeptał.

Zrozumiał! Ale co właściwie zrozumiał? Sens tego olśnienia umknął mu nagle, ale to nie miało znaczenia. Ważne było to, że ogarniały go kolejne fale ekstazy. Przenikały i definiowały każdą cząstkę jego ciała, skórę twarzy, głowę, dłonie, mięśnie r a mion i nóg. Każda cząstka oddychała tak łąpczywie, jak nigdy dotąd. Reuben miał wrażenie, że rozszerza się, twardnieje, rośnie, z każdą sekundą stając się silniejszy.

Poczuł mrowienie w paznokciach u dłoni i stóp. Dotknął skóry na twarzy i poczuł, że pokrywa ją miękka, jedwabista sierść - gęste włosy wyrastały teraz ze wszystkich porów, także na nosie, policzkach, na górnej wardze! Palce, a może już bardziej pazury, dotknęły zębów, które stały się kłami! Czuł, jak się wysuwają i jak wydłużają się jego szczęki!

- Przecież wiedziałeś, prawda? Wiedziałeś, że coś w tobie tkwi, że coś chce się wyrwać na wolność. Wiedziałeś!

Jego głos był teraz szorstki, gardłowy. Reuben zaczął się śmiać - cicho, dyskretnie, niepowstrzymanie. Jego ręce były już pokryte sierścią. I te pazury, pomyślał, spójrz na te pazury! Zdarł z siebie koszulkę i szorty, bez wysiłku rozerwał na strzępy i upuścił na deski tarasu. Włosy spływały z jego głowy już na ramiona. Pierś zniknęła pod sierścią, a mięśnie ud i łydek przeżyły się rosnącą mocą.

Granicząca z orgazmem ekstaza musiała w końcu osiągnąć

punkt szczytowy, ale moment ten nie nadchodził. Trwając w tym niezwykłym stanie, Reuben poczuł, jak otwiera się jego krtań - chciał zawyc przeciągle, ale się opanował. Spojrzał w górę, ku nocnemu niebu. Ujrzał ponad mgłą warstwy białych chmur, a dalej, daleko poza zasięgiem ludzkich oczu, mrowie gwiazd dryfujących ku nieskończoności.

- O Boże, dobry Boże! - wyszeptał.

Okoliczne budynki żyły: pulsowały światłami małych okien, echem głosów dobiegających z ich wnętrza. Miasto oddychało i śpiewało wokół niego.

Powinieneś chyba zadać sobie pytanie, czyż nie? Dlaczego tak się dzieje? I powinieneś przestać. I spytać.

- Nieee! - szepnął. Było tak, jakby w ciemności sięgał ku Matchent; jakby rozchyłał jej brązową suknię z miękkiej wełny, by odnaleźć jej nagie piersi.

Co się ze mną dzieje? Kim ja jestem?

Wewnętrzny głos, potężny jak głód, odpowiedział mu, że wie. Wie i jest zadowolony. Wiedział też, co się święci: przewidział to w swoich snach i chwilach zadumy na jawie. Ta siła musiała znaleźć jakieś ujście, inaczej rozdarłaby go na strzępy. Każdy mięsień jego ciała pragnął sprężyć się do skoku, uciec srąd, wyrwać się na wolność z tej ciasnoty.

Odwrócił się i naprężywszy potężne uda, wystrzelił w górę, odbił się od gzymsu pod oknami pokoju rodziców i wylądował na płaskim dachu.

Roześmiał się znowu - tak łatwe to było, tak naturalne. Pod bosymi stopami czuł szorstką, asfaltową papę. Zaczął iść, a potem podskakiwać - jak zwierzę pędził wkoło susami, szedł i znowu skakał.

Zanim zastanowił się głębiej nad tym, co robi, potężnym susem przeskoczył nad ulicą i wylądował na dachu innego domu. Nie bał się; upadek wydawał mu się czymś absolutnie niemożliwym.



Przestał myśleć. Poddał się instynktowi i zaczął gnać przed siebie, skacząc z dachu na dach. Jeszcze nigdy nie czuł w sobie takiej siły, takiej wolności.

Głosy to narastały, to znowu cichły, falowały jak chóralna pieśń, w miarę jak zbliżał się do ich źródła i oddalał. Starał się wyłowić w nich dominującą nutę, ale jaką? Co chciał usłyszeć, co chciał wiedzieć? Kto go wzywał?

Pędził od dachu do dachu, skacząc coraz niżej, w kierunku gwaru i ruchu na North Beach. Nabrał takiej prędkości, że ledwie muskał nogami strome dachy najniższych budynków. Łapy zbrojne w pazury pozwalały mu chwytać się i podpierać, gdy tego potrzebował; czasem zawisał na nich bez trudu i wahadliwym ruchem przenosił się ponad kolejną ulicą czy zaułkiem.

Zaułek! Reuben zatrzymał się. Usłyszał głos. Krzyk przerazonej kobiety. Cała była krzykiem, bo bała się o swoje życie.

Zanim pomyślał, co zrobić, był już na ziemi. Wylądował miękko i bezszelestnie na śliskim chodniku, między murami domów. Światło docierające od strony ulicy wyrzeźbiło w mroku przerażający relief: mężczyzna rozdierał ubranie kobiety, prawą ręką trzymając ją za gardło. Dusił ją, nie zważając na rozpaczliwe kopnięcia. Po chwili błysnęły białka jej oczu. Umierała.

Potężny ryk wydarł się bez wysiłku z gardła Reubena. Warcząc i prychnając, przystąpił do napastnika i jednym ruchem oderwał go od ofiary. Zatopił kły w jego gardle i poczuł na twarzy gorącą krew. Mężczyzna kwiknął z bólu. Biła od niego ohydna woń — o ile to była woń. Wrażenie, że w rzeczywistości wyczuwa zamiary, a nie zapach tego człowieka, rozwścieczyło Reubena jeszcze mocniej. Zaczął rwać pazurami ciało bandyty i z dzikim warkotem wbił zęby głęboko w jego ramię. Wspaniałe uczucie. Zagłębił się jeszcze mocniej w mięśnie, czując, jak ustępują pod naporem szczęk. Napędzała go ta woń, którą czuł: woń zła.

Wreszcie puścił.

Mężczyzna upadł na chodnik; z jego rozprutej tętnicy biła rytmicznie fontanna krwi. Reuben znowu wbił kły w jego ramię, tym razem prawie wyrywając je ze stawu. Po chwili odrzucił bezwładne, zmasakrowane ciało — z taką mocą, że czaszka pękła przy zderzeniu z ceglanym murem.

Kobieta stała nieruchomo, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wpatrując się w swego wybawcę. Z jej krtani wydobywały się ciche, nieartykułowane dźwięki. Obraz nędzy i rozpacz, pomyślał Reuben. W głowie się nie mieści, że ktoś mógł wyzłodzić takie zło. Kobieta trzęsła się ze strachu, tak że ledwie mogła ustać. Spod rozerwanej sukienki z czerwonego jedwabiu prześwitywało jej nagie ramię.

Zaczęła szlochać.

— Jesteś już bezpieczna — powiedział Reuben. Czy to naprawdę był jego głos? Ten cichy, szorstki głos? - Człowiek, który chciał cię skrzywdzić, nie żyje — dodał, wyciągając rękę. Zobaczył jednak nie rękę, ale zwierzęcą łapę sięgającą ku niej. Łagodnie pogładził jej ramię. Co mogła teraz poczuć?

Spojrzał na trupa leżącego na boku. Oczy mężczyzny lśniły w mroku jak szkło. To niedorzeczne, pomyślał, takie błyszczące klejnoty w tak ohydnie cuchnącym ciele. Woń zabitego i tego, czym był, wciąż przesycala powietrze.

Kobieta zaczęła się cofać, a po chwili odwróciła się i pobiegła. Jej przeraźliwe krzyki niosły się echem w zaułku. Potknęła się i upadła na jedno kolano, ale zaraz się podniosła i pomknęła dalej, ku ruchliwej ulicy.

Reuben skoczył z łatwością w górę, na mur, i zaczął się wspinać po ceglach jak kot po korze drzewa, aż na dach. W niespełna sekundę zostawił za sobą cały kwartał budynków, kierując się w stronę domu.

Myślał teraz tylko o jednym: przetrwać, uciec, wrócić do swojego pokoju. Zostawić za sobą krzyki tej kobiety i trupa w zaułku.

Odnalazł swój dom niemal nieświadomie i zeskoczył z dachu na taras przy swoim pokoju. Przystanął na progu, spoglądając na nieruchomy pejzaż łóżka, telewizora, biurka i kominka. Zlizał krew najpierw z długich kłów, a potem z dolnych zębów. Miała słonawy smak; po trosze okropny, a po trosze nęcący.

Jakże mała i obca wydawała mu się jego sypialnia, jak boleśnie sztuczna, jakby zbudowano ją z czegoś kruchego jak skorupki jaj.

Wszedł do środka, zanurzając się w nieprzyjemnie gęste i i iępie powietrze, a następnie zamknął za sobą drzwi. Sama myśl o tym, że mały, mosiężny zameczek miałby stanowić jakąkolwiek ochronę, wydała mu się absurdalna. Też coś! Przecież każdy może wybić szybę i otworzyć go od wewnątrz. Albo wybić je wszystkie, a ramy i ościeżnice wyrwać i cisnąć w ciemność.

Dopiero tu, w zamkniętej przestrzeni, usłyszał własny, swobodny oddech.

Odblask telewizyjnego ekranu tańczył na suficie białymi i błękitnymi plamami.

Reuben spojrział na swoje odbicie w długim lustrze umocowanym na drzwiach łazienki. Miał przed sobą potężną, kudłatą posiac z długą grzywą. Wilkołaka.

- *A* zatem to taka bestia ocaliła mnie wtedy w domu Marchent, nieprawdaż? - Wybuchnął znowu tym stłumionym, basowym, niepowstrzymanym śmiechem. Naturalnie. -I ukąsiłeś mnie, diable. A ja nie umarłem, tylko stałem się... tym. - Miał ochotę roześmiać się na całe gardło, wręcz ryczeć ze śmiechu.

Niestety, znajdował się w pograżonym w nocnej ciemności domu i nie mógł sobie pozwolić ani na śmiech, ani na otwarcie okna i głośne wycie do gwiazd, na które miał równie wielką ochotę.

Podszedł bliżej do lustra. Na ekranie telewizora rozgrywała

się dzienna scena, toteż światła było dość, by dostrzec każdy detal. Oczy się nie zmieniły: wielkie i bardziej błękitne, wciąż były jego oczami. I widział w nich samego siebie, nawet jeśli resztę twarzy pokrywało gęste, ciemnobrązowe futro, na którego tle połyskiwał czarny czubek niewielkiego nosa, tylko nieznacznie przypominającego wilczy narząd węchu. W wydłużonej paszczy pozbawionej warg lśniły białe zęby, a wśród nich długie kły. *Żeby cię lepiej zjeść, moja droga.*

Całe ciało było teraz większe, wyższe co najmniej o cztery cale. Ręce, a raczej łapy, były olbrzymie i zakończone śmiertcionośnymi, białymi pazurami. Stopy także urosły, a mięśnie ud i podudzi stały się potężne; doskonale widział ich zarysy pod sierścią. Dotknął krocza i poczuł tam nieznaczną twardość.

Wszystkie części ciała schowane były pod dwuwarstwową okrywą: głębiej dało się wyczuć mięciutki puch, a z wierzchu nieco bardziej szorstką sierść. Wewnętrzna warstwa była różnej grubości w różnych rejonach ciała — zdecydowanie więcej włosów wyczuwał właśnie w kroku, na wewnętrznej stronie ud oraz na podbrzuszu. Rozchylił pazurem zewnętrzną warstwę, tę długowłosą sierść, i poczuł osobliwy dreszcz.

Zapragnął znowu wyjść, znowu skakać po dachach, by nasłuchiwać głosów ludzi w potrzebie. Zaczął się ślinić.

- A ty patrzysz na to, czujesz, myślisz - powiedział, raz jeszcze dając się zaskoczyć basowemu brzmieniu swego głosu. - Przestań!

Spojrzał na swoje dłonie, a raczej bezwłose końce kudłatych łap. Pomiedzy tym, co zostało z jego palców, rozciągały się cieniutkie błony. Nadal miał kciuki.

Bez pośpiechu podszedł do stolika nocnego. Było mu zdecydowanie za ciepło. Dokuczało mu pragnienie. Sięgnął po małego iPhone'a — trudno go było podnieść wielką łapą, ale poradził sobie.

Wrócił do łazienki, włączył światło i spojrzał na lustrzaną

ścianę naprzeciwko prysznic. Korciło go, by się odwrócić, wycofać, wyłączyć lampę, ale zmusił się do patrzenia na swoje odbicie.

Tak, ten czarno zakończony, zwierzęcy nos, który potrafił wyczuć niezliczone zapachy. Te potężne szczęki, niezbyt wystające, za to jak uzębione!

Chciał ukryć twarz w dłoniach. Tylko że nie miał już dłoni. Uniósł telefon i zrobił sobie zdjęcie. A potem jeszcze jedno. I jeszcze.

Oparł się o marmurową płytę obok prysznic. Wysunął język między kły i znowu posmakował ludzkiej krwi. Pragnął więcej. Przecież nie brakowało ludzi takich jak ten cuchnący gwałciciel i szlochająca kobieta. Ich głosy wciąż były słyszalne. Gdyby tylko chciał, mógłby sięgnąć w ten leniwie falujący ocean dźwięku i wyłowić kolejny głos, a potem przystąpić do działania.

Ale nie zrobił tego. Był sparaliżowany, skończony. Chciało mu się płakać, choć nie czuł fizycznej presji, by tak zareagować. To była tylko myśl: płacz, módl się do Boga, błagaj o zrozumienie, wyznaj swój strach.

Nie. Nie miał zamiaru.

Odkręcił kurek, by napęścić umywalkę wodą, a potem pił długo, łapczywymi haustami. Miał wrażenie, że pierwszy raz w życiu pije wodę, że nigdy nie poznał jej cudownego smaku, jej słodczy, ożywczości i czystości, którą ze sobą niosła.

Właśnie usiłował uchwycić łapą szklanekę, żeby napęścić ją wodą, gdy rozpoczęła się przemiana. Poczul się tak, jak za pierwszym razem: nagle mrowienie ogarnęło miliony mieszków włosowych na całym jego ciele. Zaraz potem nastąpił skurcz brzucha — mocny, ale nie bolesny; bliższy raczej spazmowi rozkoszy.

Z wysiłkiem uniósł głowę. Zmusił się też do utrzymania pionowej pozycji, choć z każdą chwilą było to trudniejsze.

Włosy cofały się, znikały w skórze, choć część opadła też na podłogę. Czarny czubek nosa bladł w oczach, jakby się rozpuszczał. Nos stawał się coraz krótszy, podobnie jak kły. Mrowienie ogarnęło teraz także usta, dłonie i stopy. Czuł się tak, jakby całe jego ciało przenikał prąd.

Wreszcie opanowało nim poczucie intensywnej, fizycznej rozkoszy. Nie mógł już na siebie patrzeć, nie mógł skupić uwagi. Omal nie zemdłał.

Zataczając się, powrócił do pokoju i runął na łóżko. Potężne spazmy, tak podobne do orgazmu, targały mięśniami jego ud i łydek, pleców i ramion. Poślanie wydawało mu się cudownie miękkie, a głosy dobiegające z daleka zmieniły się w cichy, dźwięczny pomruk.

Nastała ciemność, jak wówczas, w rozpaczliwych minutach nocy w domu Marchent, gdy sądził, że umiera. Teraz jednak nie walczył ze sobą tak jak wtedy.

Zasnął, zanim transformacja dobiegła końca.

Był jasny dzień, gdy obudził go sygnał telefonu. Skąd dobiegał? Umilkł po chwili.

Reuben odwrócił się na bok, a potem wstał. Był nagi i zmarznięty, a jasność nieba — wprawdzie zakrytego chmurami - raziła go w oczy. Wystraszył go nagły, ostry ból głowy, który na szczęście szybko ustąpił.

Rozejrzał się, szukając iPhonea. Znalazł go na podłodze łazienki. Otworzył galerię zdjęć.

Był absolutnie pewny, że nie znajdzie w pamięci telefonu niczego, poza całkiem zwyczajnym zdjęciem starego dobrego Reubena Goldinga. Miałby tym samym niezbity dowód na to, że stary dobry Reuben Golding postradał rozum.

Ale mylił się. Z wyświetlacza spojrział na niego człowiek wilk.

Jego serce przestało bić.

Głowa była ogromna, brązowa grzywa opadała daleko po-

nizej ramion, a długi nos z czarnym czubkiem od razu rzucał się w oczy, podobnie jak białe kły na tle czarnej obwódki ust. I niebieskie oczy. Moje niebieskie oczy, pomyślał.

Zasłonił usta dłonią. Trząsał się cały. Spoglądając w lustro, pomyślał o swoich naturalnych wargach, całkiem kształtnych, lekko różowych. I znowu popatrzył na te z czarną obwódką. To nie było możliwe, a jednak się zdarzyło. Był potworem, pół człowiekiem, pół wilkiem. Wyświetlił kolejne zdjęcia.

Dobry Boże...

Uszy istoty ze zdjęcia były długie i spiczaste; przylegały do głowy i dlatego większa ich część ginęła w gęstej sierści. Masywne czoło nie zasłaniało wielkich oczu, które jako jedyne zachowały ludzkie proporcje. Bestia właściwie nie przypominała żadnej znanej Reubenowi istoty, a już na pewno nie była podobna do puchatych misiów, które w filmach nazywano wilkołakami. Jeśli już, to raczej przerośniętego satyra.

- Człowiek wilk - szepnął.

Czy właśnie taki stwór omal mnie nie zabił w domu Marchent? Czy to on uniósł mnie w paszczy, gotów rozpruć mi gardło tak, jak uczynił to jej braciom?

Kolejno przekopiował zdjęcia do komputera.

A potem, zasiadłszy przed trzydziestocalowym monitorem, kolejno wyświetlił je na ekranie. Wstrzymał oddech. Na jednym z nich widać było uniesioną łapę tej istoty... Tej istoty? Nie ma sensu używać takich określeń. Przecież to ja. Reuben przyjrzał się łapie w powiększeniu, zwracając uwagę przede wszystkim na błonę między palcami oraz na wielkie pazury.

Raz jeszcze poszedł do łazienki, ale tym razem skoncentrował się na przeszukiwaniu podłogi. Ostatniej nocy gubił sierść jak liniejący pies, ale teraz nie było po niej śladu. Dostrzegł jedynie coś na kształt nitek babiego lata; włókna tak drobne, że prawie niewidoczne, a w dodatku rozpadające się w palcach.

A zatem wysychają i rozpuszczają się, odlatują. Wszelkie

dowody na to, co się stało, tkwią we mnie albo nie istnieją. Czy to dlatego nie udało się znaleźć w Mendocino żadnej próbki sierści?!

Przypomniał sobie o skurczu brzucha i to wystarczyło, by znowu poczuł falę rozkoszy, która wprawiała wszystkie kończyny w ekstatyczne drżenie, tak jak muzyka wprawia w wibrację drewniane pudło skrzypiec lub konstrukcję starego budynku.

Także na łóżku znalazł resztki znikających włosów. Jedne tajały pod dotykiem palców, inne tylko pękały.

Roześmiał się.

- Nic na to nie poradzę - szepnął. - Nie wytrzymam. Ale był to śmiech znużony i rozpaczliwy. Przysiadłszy na

skraju łóżka, z głową w dłoniach, Reuben poddał się mimo wszystko napadowi wesołości. Śmiał się półgłosem tak długo, aż poczuł zmęczenie.

Godzinę później wciąż leżał w swoim łóżku, z głową na poduszce. Przypominał sobie. Woń zaułka, śmieci, uryny; aromat kobiety, delikatnych perfum z nutą kwaskowego, jakby cytrusowego zapachu... trwogi? Nie był pewny. Cały świat wydawał mu się teraz bardziej żywy, pełen zapachów i dźwięków, ale wcześniej, w tamtym momencie, Reuben skoncentrował się wyłącznie na fetorze tego mężczyzny, na odrażającym odorze jego wściekłości.

Zadzwonił telefon. Reuben nie zareagował. Znowu sygnał. To bez znaczenia.

- Zabiłeś kogoś - powiedział. - Może o tym byś trochę pomyślał? Przestań dumać o zapachach, odczuciach, skakaniu na dwanaście stóp w górę i kicaniu po dachach. Po prostu przestań. Zabiłeś człowieka.

Nie umiał czuć żalu. Ani trochę. Ten facet chciał zabić kobietę. Już wyrządził jej nienaprawialną krzywdę, przeraził ją, dusił, miażdżył swoją wściekłością. Ranił też innych ludzi. Żył i oddychał przemocą, krzywdą. Reuben wiedział, że tak



było, widział to i wyczuwał w tym dziwnym, powalającym smrodzie. Zabił zabójcę.

Psy przecież rozpoznają woń strachu, myślał. A ja umiem wyczuć zapach bezradności oraz furii.

Nie, naprawdę nie żałował. Kobieta przeżyła. Widział, jak uciekała ciemnym zaułkiem, padała i wstawiała, biegnąc nie tylko w stronę ruchliwej ulicy, ale w stronę życia, które miała przed sobą, w stronę tego, czego jeszcze mogła się nauczyć i czego mogła dokonać.

Reuben zobaczył znowu Marchent, wybiegającą z biura z pistoletem w dłoni. Zobaczył, jak zbliżają się do niej dwa cienie. Upadła na twatdą podłogę kuchni. Skonała. Nie było przed nią życia. I życie umarło wokół niej. Umarł wielki, sekwojowy las otaczający jej dom i niezliczone pokoje. Cienie zalegające w kuchni jeły się kurczyć, podobnie jak deski, na których leżała Marchent. Aż wreszcie nie było już nic i ta pustka zamknęła się wokół niej. Dla Marchent to był już koniec.

Jeśli po drugiej stronie naprawdę znajdowała się kwitnąca kraina, jej dusza pewnie lśniła teraz w blasku nieskończonej, wyrozumiałej miłości. Tylko skąd możemy mieć pewność, że tak jest, póki sami nie odejdziemy? Spróbował wyobrazić sobie Boga, tak potężnego jak sam wszechświat z milionami gwiazd i planet, z niezmiernymi odległościami, nieuniknionymi dźwiękami oraz z ciszą. Taki Bóg wiedziałby wszystko, absolutnie wszystko; znałby umysł, postawę, lęki i żale każdej żywej istoty, od nędznego szczura po największego z ludzi. Umiałby pochwycić duszę - całą, kompletną i wspaniałą - umykającą z ciała kobiety konającej na kuchennej podłodze. Złapałby ją swymi mocarnymi dłońmi i zaniósł poza granice tego świata, do nieba, gdzie na zawsze zjednoczyłaby się z Nim.

Reuben znowu zobaczył umierający las i znikające izby wielkiego domu. Wszystko, jak okiem sięgnąć, zapadało się w siebie. Z Marchent uszła resztką życia.

A potem ujrzał na nowo ofiarę gwałciciela, biegnącą ze wszystkich sił w stronę życia. Zobaczył całe otaczające ją miasto jako mozaikę, na którą składały się miriady zapachów, dźwięków i eksplodujących świateł, rozszerzającą się we wszystkich kierunkach wokół biegnącej postaci. Patrzył, jak pulsuje, jak buzuje aż po ciemne wody zatoki i dalekiego, niewidzialnego oceanu, aż po odległe szczyty gór i bałwany chmur. Kobieta pędziła z krzykiem, by dogonić życie.

Nie, absolutnie nie żałował. Ani trochę. Ach, ta nieposkromiona pycha, ta chciwość człowieka, który ścisnął ofiarę za gardło, gotów odebrać jej życie. Ach, ta żarłoczna arogancja dwóch szalonych braci, którzy tak wiele razy zatopili ostrze noża w ciele tej niezwykłej istoty, własnej siostry!

— Ani trochę — szepnął.

Jakaś cząstką umysłu był świadom, że nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad takimi kwestiami. Ale w tej chwili analizowanie samego siebie nie było najważniejsze. Musiał się skupić na obsetwowaniu innych. I nie czuł najmniejszego nawet żalu, a jedynie wspaniały spokój.

Wreszcie wstał. Poszedł do łazienki, żeby umyć twarz i uczesać włosy.

W roztargnieniu zerknął na swoje odbicie - i doznał szoku. Był Reubenem, rzecz jasna, nie człowiekiem wilkiem, ale nie takim Reubenem jak dawniej. Miał gęstsze i dłuższe włosy. Cały był jakby większy. Czymkolwiek teraz był — zapewne fabryką alchemicznych przemian — z całą pewnością wyglądał inaczej. Taki tygiel wymagał wszak bardziej trwałego opakowania.

Grace wspominała o hormonach, które ponoć zalewały teraz jego ciało. A hormony sprawiają, że rośniemy, czyż nie? Wydłużają struny głosowe i kończyny, wzmacniają włosy. Zgoda, i tu musiały działać hormony, ale hormony rajemne, nieskończenie bardziej złożone niż te, które da się wykryć badaniami w szpitalnym laboratorium. Z jego ciałem musiało się dzieć coś

takiego, co dzieje się z członkiem podnieconego mężczyzny, w niepojęty sposób zwiększającym swe rozmiary, nawet jeśli jego właściciel wcale sobie tego nie życzy. Niepozorny i miękki, nagle zamienia się w broń.

I to właśnie działo się z Reubenem: stawał się większy, a wszystkie procesy, które zawiadują zmianami hormonalnymi w organizmie człowieka, przebiegały w jego przypadku o wiele szybciej.

Tak naprawdę nigdy nie rozumiał nauki. A teraz być może usiłował zrozumieć magię. Czuł jednak, że za tą magią musi stać nauka. W jaki sposób zyskał tę zdolność przemiany? Przez ślinę bestii, która go ugryzła; tego stworzenia, które równie dobrze mogło zarazić go zabójczym wirusem wścieklizny? Mogło, .ile dało mu coś innego. Czy było takim samym człowiekiem wilkiem, jakim stał się Reuben?

Czy słyszało krzyki Marchent tak, jak on słyszał krzyki niedoszłej ofiary gwałtu dobiegające z zaułka? Czy wyczuło letor zła bijący od braci Marchent?

Tak, z całą pewnością tak właśnie było. Reuben zrozumiał nagle, dlaczego bestia darowała mu życie. Zrozumiała, że nie jest on częścią tego zła, które przerwało życie Marchent. Znała zapach niewinności równie dobrze jak zapach zła.

Ale czy chciała przekazać mu swą niewątpliwą moc?

Jakiś składnik jej krwi trafił do krwiobiegu Reubena niczym wirus, znalazł być może drogę do jego mózgu, może do tajemniczej szyszynki albo do przysadki mózgowej, tego osobliwego organu wielkości ziarna grochu, który odpowiada w naszym mózgu... za co? Za poziom hormonów?

Do diabła.

Nie wiedział. Snuł domysły. Jeśli kiedykolwiek miał ochotę rozmawiać z Grace o „nauce”, to właśnie teraz. I właśnie teraz nie miał takiej możliwości. Żadnej szansy!

Grace nie może się o niczym dowiedzieć! Nigdy. I nikt jej

podobny nie może się dowiedzieć. Grace i tak wykonała już zbyt wiele tych cholernych badań. Nikt nie może się dowiedzieć.

Reuben świetnie pamiętał, jak przypięli go do noszy w Mendocino i jak pokrzykiwał na lekarzy: — Powiedzcie mi, co się stało!

Nie. Nikt nie może się dowiedzieć, myślał, ponieważ absolutnie nikomu nie mogę zaufać. Ktoś może spróbować uwięzić istotę, którą się stałem, a ja nie mogę sobie na to pozwolić, bo teraz muszę przede wszystkim poznać prawdę, dowiedzieć się co się ze mną stało i czy transformacja może się powtórzyć, a jeśli tak, to kiedy i jak. Oto moja podróż. Moja ciemność.

Wiedział, że gdzieś tam, w sekwojowym lesie, żyje stworzenie podobne do niego, człowiek-bestia odpowiedzialny za tę wielką zmianę w jego życiu. A jeśli to nie był człowiek-bestia? Może to po prostu bestia, a on, Reuben, jest hybrydą?

Można oszaleć.

Wyobraził sobie tę istotę, jak biegnie pustym i ciemnym korytarzem w domu Marchent, by kłami i pazurami zmasakrować występnych braci. I jak unosi go w szczękach, gotowa rozprawić się z nim w ten sam sposób. A jednak coś ją powstrzymało. Reuben był niewinny. Dlatego odpuściła.

Ale czy wiedziała, co się z nim stanie?

Zerknął w lustro i znowu się wzdrygnął. Wrócił do rzeczywistości. Jego skóra lśniła. Tak, właśnie tak: miała nienaturalny połysk, jakby natarto ją olejkim. Wyglądało to tak, jakby dłonie, które tego dokonały, przy okazji wypolerowały jego kości policzkowe, linię żuchwy oraz czoło.

Nic dziwnego, że wszyscy tak się na niego gapili.

A przecież nawet nie przeszło im przez myśl, jaka jest przyczyna tej zmiany. Niby jak mieliby się zorientować? Reuben uświadomił sobie nagle, że sam też nie posiada autentycznej wiedzy, a jedynie domysły. Tak wiele trzeba ustalić, pomyślał, tyle...

Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Ktoś spróbował przekręcić gałkę. Po chwili Phil zawołał go po imieniu. Włożywszy szlafrok, podszedł do drzwi.

- Reuben, synu, jest druga po południu. Od paru godzin dzwonią do ciebie z „Observera”.

- Przepraszam, tato - odkrzyknął. - Zaraz tam pojedę, tylko wezmę prysznic.

„Observer”. Ostatnie miejsce, do którego miał teraz ochotę się wybrać. Zamknął się w łazience i puścił gorącą wodę.

Miał tyle innych planów, tyle spraw do przemyślenia, zgłębienia, rozwikłania. Wiedział jednak, że i powrót do pracy jest sprawą wielkiej wagi. Musiał w końcu wyjść z domu i przynajmniej pokazać się w redakcji. Dla Billie Kale. Dla matki i ojca.

Tyle, że jeszcze nigdy w życiu nie pragnął tak silnie samotności. Chciał analizować, myśleć, szukać wyjaśnienia tajemnicy, która go otaczała.

Jechał swym porsche do pracy zdecydowanie zbyt szybko. Na ulicach miasta wóz taki jak ten zawsze był niczym lew na łańcuchu. Reuben pragnął całym sercem gnać teraz szosą w okolice Mendocino, przez lasy otaczające dom Marchent, ale wiedział, że jest na to o wiele za wcześnie. Musiał przede wszystkim poznać prawdę o sobie, by móc bodaj myśleć o poszukiwaniu bestii, która tak go urządziła.

Radiowi reporterzy dbali o to, by był na bieżąco z informacjami na temat zniknięcia autobusu z Goldenwood. Nadal nie pojawiło się żądanie okupu; nie było też żadnych poszlak co do tego, kto i dokąd uprowadził dzieci.

Zdobył się na krótką rozmowę z Celeste.

- Gdzie, do cholery, się podziewałeś, Słoneczny Chłopcze? - spytała. - Miasto już zapomniało o porwanych dzieciach. Trwa Wilkołacza Gorączka. Jeśli jeszcze ktoś mnie spyta „A co o tym wszystkim sądzi twój chłopak?”, to daję słowo, urwę się stąd i zabarykaduję w domu. - Opowiedziała mu też o wariatce z North Beach, której się zdawało, że została ocalona ptzez nieślubne dziecko Lona Chaneya Juniora i Śnieżnego Potwora.

W tym momencie nadszedł SMS od Billie: „Pospiesz się”.

Zanim jeszcze Reuben wysiadł z windy, do jego uszu dobiegł gwar redakcji lokalnej. Ruszył wprost do gabinetu Billie.

Kobieta siedząca przed biurkiem szefowej wydała mu się znajoma, ale przez chwilę nie potrafił jej zidentyfikować. Równie swojski był zapach wyczuwalny w pomieszczeniu. Kojarzył

mu się z czymś niezwykłym, ale z czym? To był dobry zapach. Zapach kobiety, rzecz jasna. Reuben wyczuwał też zapach Billie, bardzo charakterystyczny. Zresztą było tych sygnałów więcej: na nowo i z przyjemnością odkrywał aromaty kawy i prażonej kukurydzy. Nawet nieco słabsze wonie z okolicznych toalet nie wydawały mu się jakoś szczególnie odrażające!

A zatem tak to będzie, pomyślał. Będę umiał wychwycić przeróżne zapachy, niczym wilk. Dźwięki niewątpliwie też.

Kobieta była brunetką raczej drobnej budowy. Szlochala. Miała na sobie cienki kostium z wełny; na szyi nosiła ciasno zawiniętą apaszkę z jedwabiu. Z powodu opuchlizny nie mogła otworzyć jednego oka.

- Jest pan, dzięki Bogu — powiedziała, gdy tylko ujrzała Keubena.

Uśmiechnął się do niej. Natychmiast złapała go za lewą iękę i praktycznie usadziła na sąsiednim krześle. Oczy miała pełne łez.

Dobry Boże, to przecież ta kobieta z zaułka.

- Cóż, zbytnio się nie spieszyłeś — słowa Billie dobiegały jakby z wnętrza wielkiego pieca — a pani Susan Larson nie chciała rozmawiać z nikim innym, tylko z tobą. I trudno się dziwić, skoro całe miasto bawi się jej kosztem.

To mówiąc, rzuciła Reubenowi pierwszą stronę „San Francisco Chronicle”.

- Ten dodatek trafił na ulice, gdy ty trwałeś w swoim upiększającym śnie — powiedziała. — „Kobieta ocalona przez wilkołaka”. A CNN zatytułowała swój materiał: „Tajemnicza bestia atakuje gwałciciela w bocznej uliczce San Francisco”. I już koło południa rozeszło się po świecie. Odbieramy telefony nawet z Japonii!

- Może zaczniesz od początku? — zaproponował Reuben, chociaż doskonale rozumiał sytuację.

- Od początku? — powtórzyła Billie. — Co z tobą, Reuben?

Mamy porwanie autobusu z dziećmi i błękitnookiego potwora w zaułkach North Beach, a ty każesz mi zaczynać od początku?

- Ja nie jestem wariatką - wtrąciła kobieta. - Widziałam, co widziałam. Tak jak pan widział swoje w okręgu Mendocino. Czytałam, jak pan opisał to, co się tam panu przydarzyło!

- Ale ja nic nie widziałem - bronił się Reuben. Ani trochę nie podobała mu się ta sytuacja. Czy naprawdę będzie musiał wmawiać tej kobiecie, że oszalała?

- Było dokładnie tak, jak pan to opisał! - zawołała kobieta piskliwym głosem. Była bliska hysterii. - To sapanie, warczenie, wszystkie te dźwięki. Ale to nie było zwierzę. Widziałam. To był półczłowiek. Wiem, co widziałam. - Przesunęła się na sam skraj siedziska, by spojrzeć mu w oczy. - Nie będę rozmawiać z nikim, tylko z panem - powiedziała. - Mam serdecznie dość tych śmiechów i docinków. „Kobieta ocalona przez Yeti!” Jak można tak z tego żartować?

- Zaprowadź panią do sali konferencyjnej i wysłuchaj uważnie - poleciła Billie. - Chcę, żebyś spisał relację, od początku do końca. Chcę znać wszystkie detale, które tak skwapliwie pominęły inne media.

- Oferowano mi już pieniądze za taki wywiad - wtrąciła pani Larson. - Ale odmówiłam, bo chciałam rozmawiać z panem.

- Chwileczkę, Billie - rzekł Reuben, życzliwie ściskając dłoń pani Larson. - Nie jestem właściwą osobą do pracy nad tym materiałem i doskonale wiesz dlaczego. Minęły dwa tygodnie od tragedii w Mendocino, a ty oczekujesz, że zajmę się kolejnym atakiem zwierzęcia...

- Żebyś wiedział, że oczekuję - wpadła mu w słowo Billie. - Niby kto miałby to zrobić? Wszyscy tu wydzwanają i pytają o ciebie, Reuben. Telewizja, normalna i kablowa, nawet „New York Times”, na miłość boską! I żądają twojego komentarza. „Czy to aby nie bestia z Mendocino?” A jeśli my-



slisz, że z Mendocino nie dzwonili, to pomyśl jeszcze raz. A ty twierdzisz, że nie zajmiesz się sprawą dla nas!

W słowach „dla nas” tkwi pewien ładunek lojalności, Billie - odparował Reuben. - Nie jestem gotowy do...

Panie Golding, proszę. Proszę, niech pan mnie wysłucha -wtrąciła znowu pani Larson. - Czy to możliwe, że nie rozumie pan, jak to jest? Ostatniej nocy omal nie zginęłam. Ten stwór mnie uratował, a media robią ze mnie pośmiewisko na skalę światową tylko dlatego, że opowiedziałam o tym, co widziałam.

Reuben nie znalazł odpowiedzi. Czuł w twarzy pulsowanie krwi. Do diabła, gdzie są Lois Lane i Jimmy Olsen? Uratował go telefon do Billie. Szefowa słuchała z uwagą przez piętnaście sekund, a potem jęknęła i wyłączyła aparat. Reuben słyszał każde słowo.

Biuro koronera potwierdza, że to było zwierzę - może pies, może wilk, ale na pewno zwierzę. Tyle się wyjaśniło. A co z dowodami? Znaleźli sierść? - spytał Reuben. To nie było zwierzę - zaprotestowała pani Larson, prawie k i życząc. - Powtarzam: miało twarz, ludzką twarz, i przemówiło do mnie. Słyszałam słowa! Próbowало mi pomóc. Dotknęło mnie. Pocieszało! Proszę nie mówić, że to było zwierzę.

Billie wstała i skinęła na pozostałych, by poszli za nią.

Sala konferencyjna była sterylnie urządzone pomieszczeniem bez okien, z owalnym, mahoniowym stołem i kilkoma krzesłami w stylu Chippendale. Na dwóch ekranach telewizyjnych, zawieszonych prawie pod sufitem, odtwarzano wiadomości z CNN i Foxa, z wyciszonym dźwiękiem i nieustannie płynącymi napisami. Nagle na jednym z nich ukazała się dość przerażająca podobizna wilkołaka, rodem z komiksu.

Reuben skrzywił się mimowolnie. Wróciło wspomnienie z holu domu Marchent, wzmocnione jego bujną wyobraźnią: człowiek-bestia w ataku na dwóch ludzi, którzy usiłowali go zabić. Zakrył oczy dłonią, ale Billie chwyciła go za nadgarstek.

- Pobudka, Reuben - powiedziała, po czym zwróciła się do młodej kobiety: - Proszę spocząć. Niech pani opowie Reubenowi o wszystkim, co zdołała pani zapamiętać. - To powiedziawszy, wrzasnęła na swoją asystentkę Altheę, domagając się kawy.

Pani Larson ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Reuben czuł, że ogarnia go panika. Przysunął się bliżej do szlochającej kobiety i otoczył ją ramieniem. Na jednym z monitorów prezentowano teraz scenę z *Wilkołaka* z Łonem Chaneyem Juniorem. A potem nagle pojawiła się panorama ze spiczastymi dachami i fasetkowymi oknami Nideck Point - po raz pierwszy, jak mu się wydawało, odkąd telewizja zajmowała się tą sprawą.

- Nie, nie - zaprotestowała kobieta. - Nie tak wyglądał. Może pani kazać to wyłączyć? On wcale nie przypominał Łona Chaneya ani tym bardziej Michaela J. Foksa!

- Althea! - krzyknęła znowu Billie. - Wyłącz ten cholerny telewizor!

Reuben miał wielką ochotę zwyczajnie odmaszerować, ale akurat to jedno rozwiązanie było wykluczone.

- A co z porwaniem? - spytał cicho.

- Jak to co? Zostawiasz. Od tej chwili zajmujesz się na cały etat sprawą wilkołaka. Althea, przynieś Reubenowi dyktafon.

- Nie trzeba, Billie - odpowiedział Reuben. - Mam iPhone'a - odpowiedział, uruchamiając nagrywanie.

Wyszła, trzaskając drzwiami.

Reuben słuchał pani Larson przez godzinę, notując jej słowa gorączkowymi ruchami kciuków, raz po raz wracając wzrokiem do jej twarzy. Ale nie umiał się skupić - wciąż próbował wyobrazić sobie tę „bestię”, która omal go nie zabiła.

Kiwał głową, ścisnął dłoń roztrzęsionej kobiety, raz nawet ją przytulił, ale wciąż był nieobecny.

Wreszcie w redakcji pojawił się jej mąż. Nalegał, by z nim wyszła, nie zważając na to, że bardzo chciała kontynuować

swoją opowieść. Stało na tym, że Reuben odprowadził oboje do drzwi windy.

Wróciwszy do swojego biurka, spojrzął na mrowie karteczek przyklejonych do ekranu monitora - aż tylu ludzi chciało się z nim skontaktować przez telefon. Zobaczywszy go, Althea zawołała, że Celeste czeka na linii numer dwa.

- Coś ty zrobił ze swoją komórką? - spytała zirytowana Celeste. - I co się tam w ogóle dzieje?

- Sam nie wiem — wymamrotał. — Powiedz no, czy dzisiaj jest pełnia?

- Nie. Zdecydowanie nie. Raczej pierwsza kwadra. Zresztą zaczekaj. - Reuben usłyszał w słuchawce klekot klawiatury. — Tak, księżyc jest w pierwszej kwadrze, więc zapomnij. Ale dlaczego w ogóle o to pytasz? Na miłość boską, przecież porywacze właśnie przedstawili żądanie okupu, a ty marudzisz o wilkołaku?

- Muszę się nim zająć, nic na to nie poradzę. Ile chcą pieniędzy?

- To chyba najbardziej obraźliwy, poniżający numer, o jakim słyszałam - oburzyła się Celeste. - Reuben, postaw się jej! Masz się podporządkować tylko dlatego, że na północy spotkało cię nieszczęście? Co Billie sobie wyobraża? Porywacze zażądali pięciu milionów dolarów. Jeśli nie dostaną pieniędzy, zaczną kolejno zabijać dzieci. Powinieneś być w drodze do Marin. Okup ma być przelany na konto w banku na Bahamach, ale możesz być pewny, że pieniądze przemkną przez icn rachunek jak błyskawica, po czym znikną gdzieś w szarej strefie bankowości internetowej. A może i w ogóle nie trafią na to konto? Podobno porywacze są komputerowymi geniuszami.

Nagle przy biurku Reubena pojawiła się Billie.

- Czego się dowiedziałeś? Odłożył słuchawkę.

Wielu rzeczy - odpowiedział wymijająco. - Ale tylko z jej

perspektywy. Teraz chcę pojechać w teren, może coś jeszcze wywęszę.

- Nie ma na to czasu. Chcę mieć twój tekst na pierwszej stronie. Zdajesz sobie sprawę, że „Chronicie” chce ci zaproponować pracę? I wiesz co? Kanał Szósty też chętnie cię przygarnie. Polują na ciebie od czasu tej tragedii w Mendocino.

- Nonsens.

- Nieprawda. Chodzi o to, jak wyglądasz. Tylko to się liczy w telewizji: wygląd. Ale ja dałam ci pracę z zupełnie innego powodu. I powiadam ci, Reuben, popełniłbyś kolosalny błąd, pchając się na antenę w tak młodym wieku. A teraz czekam na twój artykuł, twój własny, charakterystyczny głos w tej sprawie. I żebyś mi znowu nie zniknął, jak dziś rano.

Odeszła.

Przez chwilę siedział bez ruchu, spoglądając na wprost. W porządku, to nie jest pełnia. To oznacza, że przemiana, którą przeżył, nie miała nic wspólnego z fazami księżyca i może się powtórzyć w dowolnym momencie. To tyle, jeśli chodzi o stare legendy. Ale dlaczego miał tkwić tutaj, skoro powinien w tej chwili szukać choćby najdrobniejszych strzępów prawdy na temat ludzi-bestii?

Wróciło wspomnienie tej chwili, kiedy przemykał ponad dachami, czując w nogach pulsowanie nowo nabytej mocy. Spoglądał wtedy w górę i dostrzegał księżyc w pierwszej kwadrze za chmurami, które z pewnością skutecznie zasłaniały go przed wzrokiem zwykłych ludzi.

Czy znowu doświadczy transformacji, gdy tylko zapadnie zmierzch?

Jak pięknie wyglądała ta połówka księżycowej tarczy zawieszona pośród mrowia migotliwych gwiazd. Poczł znowu tę swobodę, która mu towarzyszyła, gdy z rozpostartymi ramionami frunął nad ulicą, by zaraz bez wysiłku wylądować na kolejnym spadzistym dachu. Radość i moc. I znowu ta przerażająca myśl: czy tak będzie każdej nocy?

Althea postawiła przed nim filiżankę kawy. Uśmiechnęła się i skinęła mu dłonią, zanim się oddaliła.

Rozejrzył się. Jego koledzy kręcili się po sali, znikali w swoich boksach, niektórzy odpowiadali mu skinieniem głowy, a inni nie reagowali, pogrążeni w myślach. Po chwili spojrzął na rząd telewizorów zawieszonych na przeciwległej ścianie. Zobaczył na ekranach pusty autobus szkolny, budynek Goldenwood Academy, płaczącą kobietę i znowu Lona Chaneya juniora w pełnej charakterystyce, biegnącego - niczym wielki, pluszowy miś o sterczących, wilczych uszach — przez zasnutą mgłą angielski las.

Określił się na obrotowym krześle, sięgnął po telefon, wybrał numer biura koronera i posłusznie zgodził się zaczekać.

Nie chcę tego robić, myślał. Nie mogę. Wobec tego, co zaszło, wszystko inne wymyka mi się z rąk. Nie mogę. Jasne, żal mi pani Larson, która tyle wycierpiała, a dziś musi znosić drwiny niedowiarków, ale, do diabła, przecież ocaliłem jej życie! Nie należę już do tego świata. Jestem ostatnim człowiekiem, który powinien wykonywać tę pracę. Problem polega na tym, że ona nic już nie znaczy. Przynajmniej dla mnie.

Reuben poczuł, że ogarnia go jakby chłód. Jedną z jego koleżanek, bardzo przyjacielską kobietą, Peggy Flynn, przyniosła mu talerz ciasteczek. Uśmiechnął się do niej ciepło, oczywiście, ale absolutnie nic nie poczuł - jakby wcale jej nie znał, jakby nic ich nigdy nie łączyło, jakby należeli do innych światów.

Tak, o to chodziło: nie należeli do tego samego świata. Nikt nie należał do świata, w którym żył teraz Reuben. Nikt nic mógł należeć.

No, może poza stworzeniem, które zaatakowało go w Mendocino. Zamknął oczy. Znowu poczuł kły wbijające się w skórę na jego głowie i w policzek, ten głęboki, potworny ból w ugryzionej twarzy.

- A gdybym nie zabił tego człowieka w zaułku North

Beach, teraz i on byłby isrotą taką jak ja! — Reuben wzdrygnął się na tę myśl. Dzięki Bogu, że go zabiłem. Nie, zaraz, a cóż to za modlitwa! Zmartwił.

Kawa w filiżance wydała mu się podobna do benzyny. Ciasteczka wyglądały jak kawałki tynku.

Przemiana, której uległ, była chyba nieodwracalna. To nie była kwestia wyboru — nie miał najmniejszego wpływu na to, co się z nim działo.

Z zamyślenia wyrwał go głos zastępcy koronera.

— Tak, to było zwierzę. Można to stwierdzić po poziomie lizozymu w ślinie. W ludzkiej ten poziom jest znacznie niższy. Mamy za to, w przeciwieństwie do zwierząt, sporo amylazy, która dokonuje wstępnego rozkładu zjadanych przez nas węglowodanów. Lizozym w ślinie zwierzęcia zabija bakterie, to dlatego pies może zjeść resztki ze śmietnika albo gnijące ścierwo, a my nie. Ale powiem panu, że w tym stworzeniu jest jednak coś dziwnego. Wykryliśmy znacznie więcej lizozymu, niż normalnie znajduje się w ślinie jakiegokolwiek psa. Były też ślady innych enzymów, których nie jesteśmy w stanie prawidłowo zanalizować w naszym laboratorium. Badania potrwać pewnie parę miesięcy.

Nie, żadnych włosów, żadnej sierści, nic takiego. Tak, znaleziono jakieś włókna, a przynajmniej tak się zdawało, ale ten trop prowadził donikąd.

Reuben czuł wytażnie bicie swojego serca, gdy odkładał słuchawkę. Nie miał wątpliwości, że nie jest już człowiekiem. A wszystko za sprawą hormonów, czy nie tak? Ale nadal nie rozumiał nic ponadto. Pojmował natomiast, że musi pozostać zamknięty w swoim pokoju, zanim zapadnie ciemność.

Musiał się spieszyć: to była jesień, prawie zima, jeden z tych wilgotnych i szarych dni, gdy nad San Francisco nie widać nawet skrawka czystego nieba, tylko mokre sklepienie chmur.

O siedemnastej tekst był gotowy.

Wcześniej po cichu skonsultował jego treść z Celeste, która czytała artykuł „Chronicie” o siniakach i podartym ubraniu oliary. Chciał też dowiedzieć się czegoś w szpitalu San Francisco General, ale nikt nie miał zamiaru ujawniać szczegółów, a Grace właśnie operowała.

Pracując nad materiałem, Reuben przejrzał także najpopularniejsze wersje relacji z ataku tajemniczego zwierzęcia, które zamieszczono w Internecie. Sprawa stała się już głośna na całym świecie, niemal wszędzie napomykano też o „tajemniczym ataku”, którego on sam był ofiarą w Mendocino. Teraz dopiero, i zytając wzmianki o morderstwie Marchent, uświadomił sobie, że i tamta sprawa zyskała międzynarodowy rozgłos. „Tajemnicza bestia uderza po raz drugi?” „Wielka Stopa wybawcą”.

Sprawdził nawet publikacje na YouTube - wielu reporrerów odwiedziło North Beach i wspominało o „bestii z ciemnego zaułka”.

Wreszcie zacytował słowa niedoszłej ofiary napadu.

Miało twarz, mówię panu. Przemówiło do mnie. Poruszało się jak człowiek. Jak człowiek wilk. [Tak, właśnie takich słów użyła: człowiek wilk]. Słyszałam jego głos. Dobry Boże, jak ja żałuję, że uciekłam. To stworzenie ocaliło mi życie, a ja uciekłam, jakby było potworem.

Reuben postatał się, by artykuł miał osobisty ton. Przemyślawszy barwne opisy przekazane przez panią Larson, a także dowody zebrane przez koronera oraz nieuniknione pytania, które z nich wynikały, napisał w podsumowaniu:

Czy naprawdę jakiś „Człowiek Wilk” ocalił ofiarę napadu? Czy podobnie inteligentna istota uratowała niżej podpisanego od pewnej śmierci w ciemnym korytarzu rezydencji w Mendocino?

Nie znamy dziś odpowiedzi na te pytania. Pewne są jedynie intencje niedoszłego gwałciciela z North Beach — już łączonego z kilkoma wcześniejszymi atakami na kobiety - oraz naszprycowanych narkotykami zbirów, którzy odebrali życie Marchent Nideck w jej własnym domu w nadmorskim okręgu Mendocino.

Lecz nawet jeśli nauka nie potrafi dziś wyjaśnić ani sensu dowodów znalezionych na miejscu obu zagadkowych zdarzeń, ani zeznań świadków, to nie mamy powodu sądzić, że nie dokona tego w przyszłości. Tymczasem zaś musimy, jak to często bywa, żyć dalej z pytaniami bez odpowiedzi. Jeżeli Człowiek Wilk rzeczywiście przemierza zaułki San Francisco, ro kto tak naprawdę powinien się go bać?

I wreszcie nadał swemu artykułowi tytuł:

„Człowiek Wilk z San Francisco: moralna siła w sercu tajemnicy”

Zanim jednak wysłał tekst do Billie, poszukał w Google frazy „człowiek wilk”. Tak jak podejrzewał, używano już takiego określenia: tak nazywała się drugoplanowa postać komiksów o Człowieku Pajaku, a także równie nieistotna postać z należącej do gatunku manga-anime serii „Dragon Bali”. Dotarł też do tytułu książki *Człowiek Wilk i inne opowiadania* autorstwa Emile'a Erckmanna i Louisa-Alexandre'a Chatriana, po raz pierwszy przetłumaczonej na angielski w 1876 roku. I bardzo dobrze, pomyślał. Nikt nie będzie żądał tantiem za tę nazwę.

Wysłał artykuł Billie, a potem wyszedł z redakcji.



Zanim Reuben dotarł do domu, zaczął padać deszcz. Zanim zamknął się w swoim pokoju, lało jak z cebra, jak to często bywa w bezwietrzne dni w północnej Kalifornii. Wszystko tonęło w strugach dżdżu; nie było widać ani dogasającego słońca, ani księżyca, ani gwiazd. Patrzył na to z przykrością, wiedząc, że to początek „pory deszczowej” i że najbliższego słonecznego dnia należy się spodziewać w kwietniu.

Nienawidził takiej pogody. Natychmiast rozpałił w kominku i wygasił lampy, by w migotliwym blasku ognia znaleźć i boć małą pociechę. I tylko z lękiem myślał o tym, jak niewiele mogą dlań znaczyć takie drobiazgi, gdy znowu przejdzie metamorfozę - jeśli istotnie miał ją przejść.

A cóż teraz dla mnie znaczy ta niechęć do deszczu, pomyślał. Wyobraził sobie Nideck Point: ciekawe, jak w taką pogodę wyglądają tamtejsze lasy? Gdzieś na biurku leżała mapa posiadłości, przysłana przez Simona Olivera. To na niej po raz pierwszy zobaczył kształt ziemi, którą mu podarowano. (iypel, na którym stał dom, leżał na południe od wysokiego klifu z pewnością chroniącego przed wiatrem sekwojowy las na wschodzie. Plaża nie była szeroka, a zejście do niej ryzykowne, lecz bez wątpienia ten, kto wybrał to miejsce na swą siedzibę, wiedział, co robi: zapewnił sobie widoki i na ocean, i na puszcę.

Będzie jeszcze czas, żeby nad tym dumać, pomyślał Reuben. Ieraz trzeba się tu zabarykadować i wziąć do roboty.

W drodze do domu kupił zapiekankę i napój gazowany; teraz pochłonał jedno i drugie z wielkim apetytem, prawą ręką wpisując do wyszukiwarki kolejne hasła: wilkołaki, legendy o wilkołakach, filmy o wilkołakach i wiele innych.

Niestety, jednocześnie i mimo woli słyszał całą dyskusję, która toczyła się na parterze, przy stole w jadalni.

Celeste była szczerze oburzona tym, że „Obsetver” odebrał Reubenowi sprawę porwania w Goldenwood i polecił zająć się niedorzeczną historią wilkołaka. Grace zaś była zniesmaczona tym, że jej syn nie potrafił postawić się szefowej. Naturalnie tragedia w Mendocino była ostatnią rzeczą, której potrzebował jej chłopiec. Phil mamrotał pod nosem o tym, że Reuben może jednak w końcu zostanie pisarzem, a pisarze potrafią „wykorzystać wszystko, co ich spotyka w życiu”.

Ta myśl poprawiła Reubenowi humor; na wszelki wypadek zapisał ją nawet w notesie leżącym obok klawiatury. Stary, poczciwy tata.

Komitet do spraw Reubena i Jego Żywota był jednak tym razem liczniejszy niż zazwyczaj. Rosy, kochana przez wszystkich gosposia, która tego ranka wróciła z dorocznego urlopu w Meksyku, oświadczyła, że nigdy nie wybaczy sobie nieobecności w czasie, gdy Reuben najbardziej jej potrzebował. Stanowczo stwierdziła też, że musiał go dopaść *loup garoo*.

Na dole był też najlepszy przyjaciel Reubena, Mort Keller - widocznie zaproszono go, zanim jeszcze stało się jasne, że młody Golding zamknie się w swoim pokoju i nie będzie z nikim rozmawiał. Reuben był z tego powodu wściekły. Mort Keller kończył studia doktoranckie w Berkeley i naprawdę nie miał czasu na takie bzdury. Dwukrotnie pojawił się w szpitalu

i zdaniem Reubena było to wystarczające bohaterstwo z jego strony. Mort sypiał ostatnio po cztery godziny; szykował się do ustnego egzaminu ogromnym nakładem sił. A teraz musiał wysłuchać - podobnie jak Reuben - „całej historii” o tym, jaka

przemiana dokonała się w niedoszłej ofierze napadu w Mendocino, a także teorii Grace o tym, że jej syn mógł „coś złapać” od wściekłego zwierzęcia, które go pogryzło.

Coś złapać! Cóż za niedopowiedzenie, pomyślał Reuben. A jakaż to istota urządziła sobie łowy w Mendocino? Czy potrafiła mówić? A chodzić na dwóch nogach? A może... Reuben przerwał potok pytań.

Jasne, że potrafiła mówić. „Morderstwo, morderstwo”. Od początku wiedział, że nie zadzwonił pod 911. To ta istota musiała użyć jego telefonu.

Ta myśl przyniosła mu sporą ulgę. Jest dobrze! Przemiana nie uczyniła z tej istoty zdegenerowanego, bezmózgiego poi wora, ale cywilizowaną siłę podobną do tej, która objawiła się ostatnio w zaułku San Francisco. A skoro tak, to istota ta prawdopodobnie wiedziała — tak, na pewno wiedziała — co teraz przeżywa człowiek, którego omal nie zabiła w domu Marchent.

Ale czy to dobrze, czy źle?

Głosy dobiegające z dołu doprowadzały go do szału. Wstał, i ulszukał płytę z muzyką Mozarta - koncertem fortepianowym, który uwielbiał - wepchnął ją do odtwarzacza marki Bose, który stał przy łóżku, i ustawił głośność.

Pomogło. Nie słyszał już swoich bliskich ani nikogo innego - nawet tych tworzących monotonny szmer głosów płynących z miasta. Włączył funkcję powtórzenia całej płyty i nareszcie się odprężył.

Słuchając trzasku płomieni w kominku, bębnienia kropel deszczu o szyby i cudownie falującej muzyki Mozarta, czuł się prawie normalnie. Przynajmniej przez chwilę. Wkrótce bowiem zabrał się do przeglądania materiałów źródłowych. Niewiele było w nich zaskakujących informacji. Już wcześniej wiedział, że likantropia to - w sensie historycznym - choroba psychiczna, której ofiara wyobrażała sobie, że jest wilkiem, i tak też się zachowywała, oraz swoista demoniczna zdolność do

zmiany kształtu ciała - kto jej uległ, stawał się wilkiem i mógł znaleźć ukojenie i powrócić do ludzkiej postaci jedynie w chwili śmierci, postrzelony srebrną kulą, przy czym niezbędna mu była Cyganka gotowa ogłosić, że oto może spocząć w pokoju.

Jeśli chodzi o filmy, to większość z nich — a nawet żenująco zdecydowaną większość — widział. Łatwo było znaleźć kluczowe ich sceny na YouTube. Przeglądając fragmenty *Zdjęć Ginger* i *Wilka* z Jackiem Nicholsonem, poczuł się nagle nieswojo.

Naturalnie była to czysta fikcja, ale w obu przypadkach faza, w której teraz był Reuben, została opisana jako przejściowa. Bohaterowie mieli ludzkie kształty tylko w początkowej fazie swego wilkołaczego żywota. Jack Nicholson w końcówce *Wilka* był już stuprocentowym zwierzakiem żyjącym w lesie. Nieszczęsna dziewczyna ze *Zdjęć Ginger* stała się w końcu potężnym i naprawdę ohydny demonem.

Ale tamta istota potrafiła mówić, pomyślał Reuben, wspominając Mendocino. Do diabła, skorzystała nawet z telefonu! Wybrała numer 911 i sprowadziła pomoc dla ofiary. Ile mogła mieć lat? Jak długo wiodła taki żywot? I co, do ciężkiej cholery, robiła akurat w tej części sekwojowej puszczy?

W porządku, nie szukajmy odpowiedzi w filmach grozy. Cóż mogą wiedzieć ich scenarzyści? Choć może warto zachować w pamięci jeden detal: w kilku filmach moc przemiany w wilkołaka nazywana była „darem”. To się Reubenowi spodobało. Dar. Tak, to niewątpliwie pasowało do sytuacji, w której się znalazł.

Tyle że w większości scenariuszy ów dar nie miał konkretnego celu. W zasadzie nie było nawet jasne, dlaczego filmowe wilkołaki napadały na swe ofiary — po prostu rozszarpały na strzępy przypadkowych ludzi. Nawet nie piły ich krwi ani nie pożerały mięsa. Zachowaniem w ogóle nie przypominały wilków. Działy tak, jakby... chorowały na wściekliznę. To prawda, że tym ze *Skowytu* zdarzało się przynajmniej zaliczyć

panienkę, ale czy poza tym istniał jakiś pożytek z bycia filmowym wilkołakiem? Wyjiesz do księżycy, nie pamiętasz, co narobiłeś, a potem ktoś pakuje ci kulę w łeb, myślał Reuben.

I o srebrnych kulach też można zapomnieć. Jeśli jest w tym rzetelna wiedza, to ja nie jestem Człowiekiem Wilkiem.

Reuben, Człowiek Wilk. Taki przydomek podobał mu się najbardziej. Akceptowała go też Susan Larson. Oby Billie nie zmieniła nagłówka artykułu.

Czy to coś złego, że chcę nazywać się w myślach Człowiekiem Wilkiem? Reuben znowu spróbował wzbudzić w sobie choć cień współczucia dla gwałciciela, którego pozbawił życia. Nie potrafił.

Mniej więcej o dwudziestej zrobił sobie przerwę. Wyłączył Mozarta i skupił się na wyciszeniu głosów mocą własnej woli.

Nie było to aż tak trudne, jak sądził. Celeste nie było już w domu - poszła do kawiarni z Mortem Kellerem, który na swój sposób zawsze się w niej kochał. Phil i Grace właśnie o tym rozprawiali, ale niezbyt namiętnie. Pewien specjalista z Paryża zadzwonił do Grace - był mocno zainteresowany sprawą wilczego zabójcy - ale nie znalazła dla niego czasu. Reuben nie miał więc zbyt wielu głosów do wyciszenia.

Wywołał na ekran zdjęcia, które zrobił sobie poprzedniej nocy, teraz zapisane w szyfrowanym pliku chronionym hasłem. Spoglądał na nie z przerażeniem, ale i fascynacją.

Chciał znowu to przeżyć.

Pora spojrzeć prawdzie w oczy, pomyślał. Czekam na to tak, jak jeszcze na nic w życiu nie czekałem - nawet na swój pierwszy raz z kobietą ani na bożonarodzeniowy poranek, gdy miałem osiem lat. A teraz czekam, aż to się stanie.

Przypomniawszy sobie, że ostatniej nocy przemiana nastąpiła mniej więcej o północy. Znowu zajął się przeglądaniem klasyki pod kątem wzmianek o likantropii. Wilcze dziedzictwo w kulturach świata wydało mu się równie fascynujące jak znane

powieści o wilkołakach. Oczarowały go też średniowieczne tradycje związane z Bractwem Zielonego Wilka, a zwłaszcza opis dzikich wieśniaczych piasów wokół ognisk symbolizujących wilka, a następnie ich rozrzucania.

Miał już ochotę zasnąć, gdy nagle przypomniał sobie tytuł *Człowiek Wilk i inne opowiadania*, dzieło spółki francuskich pisarzy z dziewiętnastego wieku. Dlaczego nie? Łatwo będzie znaleźć tekst. W serwisie Amazon.com zamówił wersję drukowaną, a potem postanowił znaleźć w sieci przynajmniej tytułową nowelę.

I znalazł bez trudu: można ją było ściągnąć za darmo ze strony [horormasters.com](http://horormasters.com). Nie zamierzał nawet czytać jej w całości; miał tylko cień nadziei, że w starym opowiadaniu znajdzie choć małe ziarenko prawdy.

Mniej więcej w Boże Narodzenie roku 18..., gdy leżałem pogrążony w głębokim śnie w lokalu Cygne w Fribourgu, mój stary druh Gideon Sperver wpadł zniecka do izby, wołając...

- Fritz, mam dla ciebie dobre nowiny: zabiorę cię do Nideck...

Nideck!

I dalej, w następnym zdaniu: „Znasz przecież Nideck, najpiękniejszy zamek baronów w całym kraju, wielki monument ku chwale naszych przodków”.

Nie wierzył własnym oczom. W opowiadaniu zatytułowanym *Człowiek Wilk* natrafił na nazwisko Marchent.

Przerwał czytanie i wpisał w Google hasło „Nideck”. Tak, ten zamek naprawdę istniał. Château de Nideck, słynna ruina przy drodze z Oberhaslach do Wangenbourga. Lecz nie to było najważniejsze. Liczył się fakt, że nazwisko Nideck pojawiło się już sto lat wcześniej w opowiadaniu o wilkołaku. W dodatku angielski przekład powstał w 1876 roku, czyli na krótko przed

przenosinami rodziny Nidecków do okręgu Mendocino i rozpoczęciem budowy ich niesamowitego domu nad oceanem. A była to rodzina, która zdaniem Simona Olivera wzięła się jakby znikąd.

Reuben był oszołomiony. To musiał być zbieg okoliczności, którego nikt dotąd nie zauważył i zapewne nigdy nie miał zauważyć.

Ale w pierwszych wersach opowiadania było coś jeszcze. Przeczytał je ponownie. Sperver. To nazwisko także wydało mu się skądś znajome i musiało mieć coś wspólnego z Marchent i Nideck Point. Ale co? Nie mógł sobie przypomnieć. Sperver. Prawie widział to nazwisko, napisane atramentem... Nareszcie. Takie nazwisko nosił bliski przyjaciel i mentor Feliksa Nidecka, Margon zwany Bezbożnym. Czy nie było go wśród innych nazwisk spisanych na obramowaniu wielkiej fotografii wiszącej nad kominkiem? Och, dlaczego ich nie zanotował? Nie zrobił tego, ale i tak był pewny swego: Marchent wspomniała o Margonie Sperverze.

To nie mógł być zbieg okoliczności. Jedno nazwisko — owszem, ale dwa? Nie, to niemożliwe, myślał Reuben. Ale co, u licha, miało to oznaczać? Przeniknął go głęboki dreszcz.

Nideck.

Co dokładnie mówił o tej rodzinie jego prawnik, Simon Oliver? Opowiadał o niej w kolejnych rozmowach telefonicznych, jakby sam siebie - a nie Reubena - chciał przekonać, że mówi prawdę.

- Trudno raczej nazwać ich prastarym rodem. Pojawili się znikąd w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Gdy Felix zniknął, na dużą skalę poszukiwano jego krewnych oraz osób, które mogłyby coś o nim wiedzieć. I nikogo nie znaleziono. Naturalnie w dziewiętnastym stuleciu mnóstwo było takich, co samodzielnie i niespodziewanie dochodzili do pieniędzy. Na przykład baronów przemysłu drzewnego — to

typowy przypadek. Rzecz w tym, że praktycznie nie ma ryzyka, iż pojawi się znieścacka zapomniany dziedzic rodu. Nie ma ani jednego.

Reuben wpatrywał się w ekran monitora.

Czy to możliwe, by rodzina celowo przyjęła to nazwisko? Nie. To absurd. W jakim celu miałyby to zrobić? Ktoś przeczytał zapomniane opowiadanie o wilkołaku i tak po prostu przyjął nazwisko Nideck? A potem, sto lat później... Nie, to nonsens. Sperver czy nie Sperver, to po prostu niemożliwe. Marchent nic nie wiedziała o takim sekrecie rodzinnym.

Znowu miał przed oczami jej promienną twarz, jej uśmiech, słyszał jej śmiech. Była tak pełna życia, pełna wewnętrzznego... czego właściwie? Szczęścia?

A jeśli jej mroczny dom miał swój mroczny sekret?

Reuben poświęcił kwadrans na przejrzenie opowiadania *Człowiek Wilk*.

Zgodnie z przewidywaniami, było zajmujące i szalenie dziewiętnastowieczne. Główny bohater, Hugon Lupus, był wilkołakiem z zamku Nideck, dotkniętym rodzinną klątwą. W tekście nie brakowało intrygujących - i z punktu widzenia Reubena zupełnie nieistotnych — detali, takich jak karzeł strzegący bramy zamku czy potężna wiedźma zwana Czarną Dżumą. Sperver był zaś myśliwym z Czarnego Lasu.

Co to wszystko miało wspólnego z rzeczywistością, w której tkwił Reuben? Nie wierzył przecież w najbardziej oczywistą i banalną hipotezę, jakoby nad Nideck Point ciążyła wilkołacza klątwa. Ale czy mógł być pewny? Niczego nie mógł wykluczyć.

Wrócił myślą do wielkiego zdjęcia nad kominkiem w bibliotece Marchent. Do ludzi sfotografowanych na tle tropikalnego lasu — Feliksa Nidecka i jego mentora, Matgona Spervera. Marchent wymieniła też nazwiska pozostałych, ale już ich nie pamiętał. Był natomiast pewny, że nie pojawiły się teraz w opowiadaniu.



Czuł, że musi zgłębić literaturę poświęconą wilkołakom. Zaraz też zabrał się do zamawiania książek z tego gatunku, w tym legend, tomików poezji, antologii i opracowań - wszystko z dostawą na następny dzień.

Wciąż jednak czuł, że działa po omacku. Zbyt wiele pozostawia wyobraźni.

Félix od dawna nie żył. Margon prawdopodobnie też. Marchent szukała ich bez końca. Cóż za absurdalna historia, myślał Reuben. A bestia weszła do domu prosto z lasu, przez rozbite okna w jadalni. Usłyszała krzyki tak, jak ja je teraz słyszę. Wyczula zło tak, jak ja je wyczuwam.

Romantyczne banialuki.

Nagle ogarnął go smutek na myśl o tym, że Feliksa już nie ma, że nie żyje. Choć z drugiej strony, te nazwiska z opowiadania... A jeśli nadal żyje jakiś zdegenerowany kuzyn Feliksa, jeśli włóczy się po lesie... pilnując rezydencji?

Reuben był zmęczony. Poczuł całym ciałem falę ciepła. Słyszał cichy pomruk ognia i śpiew deszczu spływającego rynsztokiem. Ciepło i światło. Głosy, którymi pulsowało i szemrało miasto, dając mu przedziwne uczucie przynależności, łączności z całym światem. Hmm, zupełne przeciwieństwo osamotnienia, które odczuwał wcześniej, gdy w redakcji „Observera” i rozmawiał z ludźmi z tego zwyczajnego świata.

Może i należysz teraz do nich - wyszeptał. Głosy tworzyły jeden szum. Tuż pod powierzchnią czaiły się pojedyncze słowa, krzyki, błagania.

Boże, jak to jest być Tobą i słyszeć wszystkich ludzi naraz, jednocześnie - błagających, przekonujących, nawołujących.

Spojrzał na zegarek.

Minęła dziesiąta. A gdyby tak teraz wskoczył do porsche i pojechał do Nideck Point? Żaden problem; tylko kilka godzin w ulewnym deszczu. Najprawdopodobniej bez trudu wszedłby do domu. W razie potrzeby wybiłby szybę. Dlaczego

nie? Przecież za parę tygodni będzie właścicielem rezydencji. Już podpisał wszystkie niezbędne dokumenty. Wziął na siebie opłacanie rachunków. Zatem, do diabła, dlaczego nie miałby tam pojechać?

W tamtejszym lesie mieszka przecież ten stwór. Czy zauważyłby obecność Reubena? Wyczułby woń tego, którego zaatakował, a potem zostawił przy życiu?

Reuben czuł palące pragnienie złożenia wizyty w Nideck Point. I nagle coś go wystraszyło. Właściwie nie dźwięk, coś innego, bardziej wibracja — jakby ulicą jechał samochód, w którym głośniki basują na cały regulator.

Zobaczył mroczny las, ale to nie była okolica Mendocino. Nie, to coś innego: mglisty, splątany gąszcz drzew, który dobrze znał. Niebezpieczeństwo.

Wstał i otworzył drzwi na taras. Powietrze było już bardzo chłodne. Reuben poczuł na twarzy i dłoniach krople deszczu. Bosko przyjemne.

Miasto lśniło w dole, otoczone mokrym welonem, a labirynt rzeźbionych oświetlonych budynków prezentował się wyjątkowo pięknie. Reuben usłyszał szept: „Spalmy go, spalmy ich”. Ohydny, kwaśny głos.

Poczuł mocne bicie serca i nagły skurcz mięśni. Przez skórę przebiegł niczym fala ekstatyczny dreszcz. Poczuł, jak coś w nim pęka i jak uwalnia się niepowstrzymana siła, która prostuje mu plecy.

To było to. Wilcza sierść znowu okrywała jego ciało, a grzywa splotła się na ramiona. Fale rozkoszy przenikały go raz po raz, każąc zapomnieć o ostrożności. Niewidzialne palce wypychały włosy przez pory skóry na jego twarzy, a towarzyszyła temu nieopisana przyjemność. Jęknął cicho. Jego palce już zmieniły się w pazury i jak poprzednio zdarł z siebie ubranie oraz zrzucił buty. Przesunął łapami po gęstym futrze na ramionach i klatce piersiowej.

Dźwięki nocy zyskały nową ostrość, zmieniły się w głośny chór, wymieszany z echem dzwonów, strzępami muzyki i rozpaczliwymi modlitwami. Poczuł niepokorną chęć wyrwania się z tych murów i zniknięcia w ciemności - właściwie było mu obojętne, gdzie wyląduje, gdy zeskoczy z tarasu.

Zaraz, trzeba zrobić zdjęcie! Wracaj do lustra, udokumentuj przemianę. Ale nie było już czasu, bo znowu usłyszał ten głos: Spalimy cię żywcem, staruszk!

Wskoczył na dach. Już prawie nie czuł deszczu, który stopniowo zmieniał się w mżawkę. Ruszył za głosem, błyskawicznie przeskakując ponad ulicami i bocznymi alejkami, wspinając się na wyższe budynki i przelatując nad niższymi. Bez wysiłku, jednym susem przesadzał nawet szerokie aleje, zdążając w kierunku oceanu, rozkołysanego nocnym wiatrem.

Głos stał się mocniejszy i zaczął mieszać się z innym. Po chwili rozległy się też krzyki ofiary:

- Nie powiem wam. Nie powiem. Prędzej zginę, niż powiem.

Reuben wiedział już, gdzie się znajduje: w największym pędzie, na jaki było go stać, mknął ponad budynkami w Haight. Widział już przed sobą wielki, ciemny prostokąt Golden Gate Park. Las, gęsty, bajkowy las z tysiącem kryjówek. Naturalnie!

Wpadł między pnie i przez chwilę biegł po mokrej trawie, a potem zaczął skakać z jednego aromatycznego drzewa na drugie.

Nagle ujrzał obdartego starca, który uciekał przed napastnikami tunelem pośród paproci, obserwowany przez niemych świadków, dobrze ukrytych w zaroślach pod lśniącymi od deszczu płachtami brezentu i połamanymi deskami.

Jeden z goniących wreszcie chwycił mężczyznę za ramię i zaciągnął na polanę porośniętą trawą. Obaj byli przemoczeni do suchej nitki. Drugi napastnik zatrzymał się, by zapalić pochodnię ze zwiniętych gazet, ale deszcz uparcie dusił płomienie.

- Nafta! - przypomniał mu ten, który trzymał ofiarę. Starzec nie przestawał miotać się i wierzgać nogami na wszystkie strony.

— Nigdy wam nie powiem! — zawył.

- No to spłoniesz z tą swoją tajemnicą, dziadku. Zapach nafty mieszał się z odorem zła, gdy mężczyzna polewał pochodnię łatwopalnym płynem i zbliżał płomień zapalniczki.

Z głębokim, basowym rykiem Reuben pochwycił człowieka z pochodnią. Pazury wbiły się głęboko w gardło i prawie oddzieliły głowę od karku. Rozległ się trzask pękającego kręgosłupa.

Odwrócił się ku drugiemu przeciwnikowi, który zdążył już wypuścić z rąk drżącego staruszka i wielkimi susami gnał w strugach deszczu przez polanę, w kierunku bezpiecznej gęstwiny drzew.

Reuben wyprzedził go bez trudu. Instynktownie rozwarł szczęki, wiedziony przemożnym pragnieniem wbicia kłów w samo serce tego człowieka. Lecz choć chciał tego ponad wszystko, powstrzymał się: nie, tylko nie kły, które potrafią przekazać Wilczy Dar. Nie mógł aż tak ryzykować. Jego warkot zabrzmiał jak przekleństwa.

— Chcieliście spalić go żywcem? — ryknął, drąc pazurami twarz i pierś bezradnego mężczyzny. Szybko trafił na tętnicę szyjną i krew trysnęła strumieniem. Mężczyzna przyklęknął, a potem osunął się na ziemię. Jego stara, dżinsowa kurtka była ciemna od krwi.

Reuben odwrócił się na pięcie. Nafta rozlana w trawie jeszcze płonęła, sycząc i dymiąc w deszczu. Blask ognia nadawał całej scenie upiorny, diaboliczny klimat.

Starzec, który miał być ofiarą, klęczał skulony, ciasno obejmując się ramionami i wpatrując w swego wybawcę pustym wzrokiem. Reuben widział, że jest mu zimno, że kuli się i drży w strugach deszczu, ale sam nie czuł wilgoci ani chłodu.

Zbliżył się i pomógł starcowi wstać. Jakże potężny i spokojny czuł się teraz, w blasku ognia, którego ciepła praktycznie nie czuł.

Z ciemności krzaków okalających polanę dobiegały szelesty i szepty; doskonale wyczuwał strach ukrytych tam ludzi. - Dokąd chcesz iść? — spytał.

Mężczyzna wskazał na ciemną gęstwinę pod nisko zwisającymi konarami dębu. Reuben wziął go na ręce i zaniósł w cień potężnych gałęzi. Ziemia była tu sucha i pachnąca, a splecione pnącza zamknęły się za idącymi jak welon. Pośród dorodnych, drżących paproci i gęstego bluszczu stał szalas ze starych desek i kawałków papy. Gdy Reuben położył go na posłaniu ze szmat i wełnianych koców, staruszek skulił się i przykrył aż po szyję.

Ciasne wewnątrz przesycone było wonią brudnego materiału i taniej whiskey. Z zewnątrz docierał zapach ziemi, mokrych i lśniących roślin, a także drobnych zwierząt kryjących się w mroku. Reuben wycofał się ostrożnie, jakby ta wykonana ludzką ręką kryjówka miała się okazać pułapką.

Oddalił się w pośpiechu, skacząc po wierzchołkach co potężniejszych drzew. Rytmicznie zaciskając pazury na kolejnych konarach, przemierzał gęsty las w kierunku zamglonych, żółtych świateł ruchliwej Stanyan Street, stanowiącej wschodnią, asfaltową granicę Golden Gate Park.

Przeskoczył nad ulicą i zniknął w eukaliptusowym gaju wąskiego cypla parku sięgającego jeszcze dalej na wschód.

Starał się skakać jak najwyżej, tuż przy wierzchołkach drzew, chłonąc dziwny, słodko-gorzki aromat ich długich i bladych liści. Chciało mu się śpiewać, gdy się tak przemieszczał płynnymi ruchami z konaru na konar, aż wreszcie wychynął zza ostatnich drzew i po chwili był już na dachach wiktoriańskich domów stojących przy Masonie Street.

Kto mógł go dostrzec w ciemności? Nikt. Deszcz był jego

przyjacielem. Bez wahania wspinał się po śliskich dachówkach i skakał, by po chwili dotrzeć do kolejnej ciemnej plamy drzew: les'nej enklawy zwanej Buena Vista Park.

W drżącej toni dźwięków, na którą składały się tysiące głosów, wyłowił szept pełen rozpacz:

— Umrzeć. Chcę umrzeć. Zabij mnie. Chcę umrzeć.

To nie były zwykłe słowa; to był nierówny rytm przerywany jękami i krzykami bólu, które nie należały do ludzkiego języka.

Wylądował na dachu gdzieś nad ofiarą, wysoko na szczycie pięknej, czteropiętrowej rezydencji, stojącej na stromym wzgórzu, przy uliczce prowadzącej do niewielkiego parku. Zszedł zwinnie po frontowej ścianie, chwytając się rur i gzymsów. Wreszcie zajrzał przez okno i zobaczył ponurą scenę: stara kobieta — skóra, kości i krwawiące rany — leżała przywiązana do mosiężnego łóżka. W blasku małej, samotnej lampki pomiędzy cieniutkich pasemek jej siwych włosów prześwitywała różowa skóra.

Przed nią, na tacy, stał talerz pełen parujących ludzkich odchodów, a nad łóżkiem pochylała się młoda kobieta z łyżeczką, którą usiłowała wepchnąć ohydną masę w usta staruszki. Ofiara trzęsła się ze strachu i chyba była bliska omdlenia. Smród fekaliów, fetor zła, odór okrucieństwa. Młoda kobieta nie przestawała dręczyć staruszki słowami:

— Przez całe życie karmiłaś mnie marnymi resztkami, sądzisz, że teraz mi za to nie zapłacisz?

Wpadając do pokoju, Reuben wybił szybę i połamał szczeb-liny.

Młoda kobieta wrzasnęła i cofnęła się odruchowo, ale jej twarz była wykrzywiona wściekłością, nie strachem.

Ruszył na nią, zobaczywszy, że wyciąga z szuflady pistolet.

Huk wystrzału na ułamek sekundy ogłuszył Reubena. Nie zważając na ostry, paraliżujący ból w ramieniu, skoczył ku kobiecie z głośnym rykiem. Pistolet upadł na podłogę, gdy jej ciało z ogromną siłą zatrzymało się na ścianie. Tynk pękł w zderzeniu

z czaszką, a Reuben poczuł, jak z ciała kobiety, w której gardle uwięzły ostatnie przekleństwa, szybko uchodzi życie.

W bojowym szale cisnął zwłoki przez wybite okno. Z głuchym łoskotem zważyło się na chodnik.

Stał nieruchomo przez sekundę, czekając na powrót bólu, ale nic takiego nie nastąpiło. Czuł w ramieniu jedynie pulsujące ciepło. Podszedł do upiornie chudej postaci leżącej na łóżku i ostrożnie rozerwał więzy z taśmy klejącej i bandażu.

Kobieta odwróciła głowę.

- Święta Mario, łaskiś pełna - modliła się świszczącym szeptem - Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

Pochylił się, by usunąć ostatnie pęta, krępujące jej talię.

- Święta Mario, Matko Boża - wyszeptała niemal bezgłośnie, gdy spojrzał jej w oczy - módl się za nami grzesznymi - za nami grzesznymi! - teraz i w godzinie śmierci naszej...

Jęknęła cicho. Była zbyt słaba, by się poruszyć.

Zostawił ją i bezszelestnie wyszedł z pokoju, by korytarzem wyłożonym miękkim chodnikiem dojść do przestronnego pomieszczenia, w którym znalazł telefon. Zaśmiał się w duchu, wspominając bestię z Mendocino, która musiała wybrać numer na ekranie jego iPhonea. Usłyszawszy głos telefonistki, nie czekał, aż skończy powitanie, tylko od razu przemówił. Kusiło go, by powiedzieć: „Morderstwo, morderstwo”, ale się opamiętał. Pomyślał, że to idiotyczne, a zaraz potem skarcił się w duchu za to, że w ogóle mógł uznać ten pomysł za śmieszny. Zwłaszcza że był nieadekwatny.

- Karetka. Włamanie. Stara kobieta, ostatnie piętro. Uwięziona.

Telefonistka powtórzyła adres, by się upewnić, a potem zaczęła zadawać pytania.

- Prędej - przerwał jej i odłożył słuchawkę, nie przerywając połączenia.

Nasłuchiwał przez chwilę. Dom był pusty, jeśli nie liczyć wycieńczonej staruszki... i jeszcze jednej osoby, pogrążonej we śnie.

Potrzebował tylko paru chwil, by dotrzeć na drugie piętro i przekonać się, że to także bezradny inwalida, sędziwy mężczyzna, podobnie jak kobieta posiniaczony, wyczerpany, spętany i śpiący.

Reuben włączył światło.

Co jeszcze mógł zrobić, by pomóc tym dwóm nieszczęsnym istotom? By mieć pewność, że ktoś nie popełnił kolosalnego błędu?

W holu dojrzał swoje mgliste odbicie w wysokim lustrze oprawionym na złoto. Rozbił je, a wielkie odłamki rozsypały się po podłodze. Następnie zabrał ze stolika w korytarzu staroświecką lampkę ze szklanym abażurem i cisnął ją nad balustradą, tak by rozpadła się na drobiny w dolnym holu, przy drzwiach frontowych.

Odgłosy syren były coraz bliższe; zaczynały zlewać się ze sobą, jak wtedy w Mendocino. Wstęgi w nocnej ciemności.

Mógł już odejść. Uciec. Ale został jeszcze długo w wysokim i ciemnym gaju cyprysowym Buena Vista Park. Choć wierzchołki drzew były smukłe, bez trudu znalazł wśród nich jeden mocniejszy, na którym mógł przysiąść. Z bezpiecznej odległości i przez zasłonę gałęzi spoglądał na ambulanse i wozy policyjne zatrzymujące się kolejno na ulicy przed rezydencją. Widział, jak ratownicy wynoszą najpierw kobietę, a potem mężczyznę. Widział też, że uprzątnięto z chodnika zwłoki ich mściwej prześladowczyni. I wreszcie odprowadził wzrokiem sennych gapiów, którzy z wolna rozchodzili się do domów.

Poczuł wielkie znużenie. Ból w ramieniu znikł całkowicie i Reuben zdążył już o nim zapomnieć. Zwłaszcza że łapy zbrojne w pazury nie nadawały się do obmacywania ran, w przeciwieństwie do ludzkich dłoni nie potrafiły wyczuć faktury lepkiego płynu, który zbrukał jego sierść.



Zmęczenie narastało; był coraz słabszy. Mimo to bez najmniejszego trudu, błyskawicznie i bezgłośnie dotarł do domu.

Zamknawszy się w swoim pokoju, znowu spojrzął w lustro.

- Masz mi coś nowego do powiedzenia? - spytał. - Ach, len twój głęboki głos.

Zaczęła się transformacja. Chwycił łapami za futro między nogami i poczuł, jak się kurczy, zanika. Gdy tylko odzyskał palce, dotknął rany na ramieniu.

Ale rany nie było. Ani śladu.

Był tak znużony, że ledwie stał na nogach, ale co do tego musiał mieć absolutną pewność. Przysunął się do lustra. Rany naprawdę nie było. Ale czy kula pozostała w środku? Kula, która mogła oznaczać zakażenie i śmierć? Jak to sprawdzić?

Omam nie roześmiał się w głos na myśl o tym, co powiedziałaaby Grace, gdyby usłyszała: „Mamo, zdaje się, że tej nocy ktoś mnie postrzelił. Mogłabyś zrobić mi prześwietlenie i sprawdzić, czy w ramieniu tkwi kula? Nie martw się, ja nic nie czuję”. Nie, nie mógł sobie na to pozwolić.

Rzucił się na łóżko i zachwycony miękkością i cudowną wonią świeżej poduszki zapadł w głęboki sen w chwili, gdy jego pokój wypełniła grafitowa poświata poranka.

Reuben obudził się o dziesiątej. Wykąpał się, ogolił i natychmiast pojechał do biura Simona Olivera, by zabrać klucze do Nideck Point. Nie, prawnicy Marchent nie mieli nic przeciwko takiej wizycie. Co więcej, dozorca posesji nawet nalegał, by pojawił się nowy właściciel, bo pewnych napraw w domu należało dokonać jak najszybciej. A czy Reuben mógłby dokonać własnej inwentaryzacji? Ptawnicy martwili się, że w domu „leży ryle tego wszystkiego”.

Zanim minęło południe, był już w drodze: pędził po Golden Gate w stronę Mendocino. Deszcz zaczął monotonnie, bębnić o blachę samochodu załadowanego zapasem ubrań, zapasowym komputerem, dwoma odtwarzaczami DVD marki Bose oraz sporą liczbą drobiazgów potrzebnych do codziennego życia na odludziu.

Rozpaczliwie potrzebował samotności. Potrzebował jej przede wszystkim nocą, by móc obserwować i poznawać tę swoją nową moc, a także uczyć się jej kontrolowania. Może zdołałby zatrzymać transformację albo decydować o jej częstotliwości? Może uruchamiać ją wedle uznania?

Tak czy inaczej, musiał uciec od wszystkiego, w tym także od głosów, które sprawiły, że uśmiercił już czworo ludzi. Nie miał wyboru: musiał wyjechać na północ.

Poza tym... Poza tym, istniała jeszcze możliwość, że w północnej puszczy żyje istota, która wie wszystko o tym, czym stał się Reuben. Może byłaby skłonna podzielić się z nim tą wiedzą?

Chciał, żeby go dostrzegła. Chciał, by zobaczyła, jak spaceruje po pokojach Nideck Point.

Gdy wymykał się z miasta, Grace miała dyżur w szpitalu, a Phil gdzieś przepadł. Reuben porozmawiał tylko krótko z Celeste, dość obojętnie słuchając jej bardzo szczegółowej relacji na temat dramatycznych wydarzeń ostatniej nocy.

- To COŚ cisnęło tę kobietę przez okno, Reuben! Spadła na chodnik jak kamień! To jakieś szaleństwo, co się dzieje w tym mieście! A wcześniej marny los spotkał dwóch włóczęgów z Golden Gate Park: zginęli rozerwani na strzępy, jeden nawet wypatroszony jak ryba. A przy okazji: wszyscy są zachwyceni twoim artykułem, Reuben. Człowiek Wilk, tak go teraz nazywają. Mógłbyś nawet wyciągnąć z tego trochę forsy — pojawią się pewnie kubki i koszulki z tą nazwą. Może powinienes ją zastrzec? Tylko kto uwierzy w majaczenia tej wariatki z North Beach? No i czego można się teraz spodziewać po tym twoim wilkołaku: że wysmaruje poetycki tekst na murze krwią jednej z ofiar?

- Niezła myśl, Celeste - wymamrotał w odpowiedzi Reuben. Stojąc w korku przed tunelem pod Waldo Grade, zadzwonił do Billie.

- Znowu zapunktowałeś, Cudowny Chłopcze - obwieściła Billie. — Nie mam pojęcia, jak ci się to udaje. Wszystkie agencje i serwisy internetowe cytują twój tekst. Ludzie linkują się do niego z Facebooka i Twittera. Nadałeś temu potworowi, Człowiekowi Wilkowi, metafizyczną głębię!

Czyżby? Jak to się stało? Może dlatego, że poświęcił trochę uwagi zeznaniom Susan Larson i jej spostrzeżeniom na temat losu tego stworzenia? Reuben nie pamiętał już nawet, co napisał, ale rzeczywiście ucieszył go fakt, że nazwa Człowiek Wilk się przyjęła.

Billie oczywiście trajkotała o najnowszych wydarzeniach. Chciała, żeby Reuben porozmawiał ze świadkami z Golden Gate Park oraz z sąsiadami z Buena Vista Hill.

On jednak nie miał wyboru. Musiał pojechać na północ i powiedział o tym Billie. Musiał jeszcze raz zobaczyć miejsce zbrodni, gdzie omal nie zginął.

- Jasne. Rozumiem, że będziesz szukał dowodów obecności Człowieka Wilka? Pamiętaj, porób zdjęcia tego korytarza. Dasz wiarę, że nie mamy ani jednej fotki z wnętrza tego domu? Wziąłeś ze sobą Nikona?

- Co nowego w sprawie porwania? — spytał.

- Sprawcy nie gwarantują, że dzieci wyjdą z tego żywe. Właściwie to sytuacja jest patowa, bo FBI twierdzi, że nie przekaze im pieniędzy, dopóki nie przedstawią planu działania. Oczywiście federalni nie mówią nam wszystkiego, ale mój informator w biurze szeryfa twierdzi, że porywacze to prawdziwi zawodowcy. Sprawa nie wygląda dobrze. Skoro ten cholerny Człowiek Wilk z San Francisco tak się pali do wymierzania sprawiedliwości, to dlaczego, do cholery, nie spróbuje odnaleźć tych nieszczęsnych dzieciaków?

Reuben przełknął ślinę.

- Dobre pytanie - bąknął.

A może po prostu Człowiek Wilk jeszcze się nie pozbierał, dodał w myślach, może dopiero zdobywa doświadczenie — nie przyszło ci to do głowy, Billie?

Poczuł mdłości na wspomnienie ttupów, które zostawił za sobą w Golden Gate Park. I o zwłokach kobiety rzuconej na chodnik. Może Billie powinna zajrzeć do kostnicy i spojrzeć na ludzkie szczątki znaczące szlak tego „superbohatera”? To nie przelewki.

Nudności szybko jednak ustąpiły, bo Reuben był w pełni świadomy, że nie czuje nawet śladu żalu z powodu tego, co uczynił. I równie świadomy tego, że nie miał prawa zabić żadnego z tych ludzi. I co z tego?

Samochody wreszcie ruszyły, a deszcz padał jakby bardziej intensywnie. Warkot silników dobiegający ze wszystkich stron

pomógł mu odciąć się od ludzkich głosów - słyszał je jeszcze, ale brzmiały już tylko jak szum gotującej się zupy.

Zaczął zmieniać kanały w radiu, szukając najświeższych wiadomości. Podkreślił też głośność, by zagłuszyć inne dźwięki.

Mówiono albo o porwaniu w Goldenwood, albo o Człowieku Wilku, przy czym - jak należało się spodziewać - nikt nie żałował słuchaczom żartów z tajemniczej bestii i wątpliwych świadków jej dokonań. Rzeczywiście, przydomek się przyjął, ale wciąż jeszcze wielu prowadzących mówiło o Yeti, Wielkiej Stopie, a nawet o Człowieku Gorylu. Komentator o karmelowym głosie, pracujący dla państwowego radia, porównał wyczyny zagadkowej bestii, której wygląd był znany tylko z fragmentarycznych zeznań świadków, do *Zabójstwa przy rue Morgue* i zastanawiał się, czy ich autorem nie jest tresowane i kontrolowane przez człowieka zwierzę albo nawet potężnej budowy mężczyzna w futrzanym kostiumie.

Im dłużej Reuben słuchał tych teorii, tym większego nabierał przekonania, że koncepcja człowieka w kostiumie cieszy się wśród postronnych obserwatorów największym poparciem. Ludzie nie byli skłonni zaakceptować dowodów ani zeznań świadczących o tym, że było inaczej. Nikt też nie śmiał pomyśleć, a tym bardziej powiedzieć, że zabójstw dokonała istota obdarzona specjalną mocą wyczuwania niesprawiedliwości; panowało przekonanie, że Człowiek Wilk całkiem przypadkowo spotykał złoczyńców i wymierzał im karę. Nikt też nie sugerował, że tajemniczy mściciel pokrzywdzonych mógłby albo powinien złapać porywaczy dzieci z Goldenwood. Billie zdecydowanie wyszła przed szereg w tej sprawie; podobnie jak Reuben.

Bo niby dlaczego nie miałyby poszukać tych malców? Dlaczego nie odpuścić sobie tej wycieczki na północ, nie zawrócić na szosie przecinającej okręg Marin i nie odnaleźć tropu gromady dzieciaków i trojga dorosłych?

Nie mógł się uwolnić od tej myśli. Czy nie wydawało się oczywiste, że kidnaperzy nie mogli zbyt daleko wywieźć tak licznej, czterdziestopięcioosobowej grupy zakładników?

Gospodarze niektórych programów byli wielce zniesmaczeni tym, że koledzy dziennikarze zajmują się innymi sprawami, a nie porwaniem w Goldenwood. Jeden z rodziców publicznie skrytykował Federalne Biuro Śledcze i miejscowego szeryfa za niewypłacenie okupu.

Moc, którą Reuben cieszył się ostatniej nocy - a tak, właśnie, cieszył się nią! — była niczym w obliczu rozpaczliwych szlochających za zamkniętymi drzwiami Goldenwood Academy. A gdyby tak...? Ale jak właściwie? Czy powinien po prostu pojechać w to miejsce, w którym dokonano porwania, i użyć swego fenomenalnego słuchu, by namierzyć płacz ofiar?

Problem polegał na tym, że z rana słuch Reubena nie był aż tak fenomenalny. Wyostrzał się z nadejściem nocy, a to oznaczało ładnych kilka godzin do zagospodarowania.

Na północ od San Francisco deszcz był jeszcze bardziej intensywny; wielu kierowców uznało za stosowne włączyć w swych samochodach reflektory. Gdy w granicach okręgu Sonoma sznur aut zwolnił znowu do marszowego tempa, Reuben uzmysłowił sobie, że nie ma najmniejszych szans na dotarcie do Nideck Point i z powrotem przed zapadnięciem zmroku. Do diabła, przecież już teraz, o czternastej, było szaro.

Zjechał z szosy w Santa Rosa i wyszukał za pomocą iPho-ne'a adres najbliższego sklepu z ubraniami dla mężczyzn o rozmiarach XL i większych, a gdy tam dotarł, w pośpiechu kupił dwa największe i najdłuższe płaszcze przeciwdeszczowe — jednym z nich był całkiem niezły, brązowy trencz, który nawet mu się podobał - oraz kilka par ogromnych spodni dresowych i trzy wielkie bluzy z kapturem. Następnie w sklepie sportowym nabył maski narciarskie i największe rękawice, jakie udało się znaleźć w magazynie. Do tego dotzucił pięć szalików

z brązowego kaszmiru, które mogły mu pomóc ukryć twarz aż po ogromne okulary przeciwsłoneczne (kupione w pobliskiej drogerii) - gdyby się okazało, że maski narciarskie się nie sprawdzają lub wyglądają zbyt przerażająco. W Walmarcie znalazł gigantyczne kalosze. Przygotowania te wydały mu się niezmiernie podniecające.

Gdy tylko wrócił na szosę, włączył radio. Jechał teraz w ulewnym deszczu, wlokąc się niemiłosiernie w długiej kolumnie samochodów, a od czasu do czasu nawet przystając. Teraz był już absolutnie pewny, że spędzi noc w Mendocino.

Mniej więcej o szesnastej wjechał na leśną drogę prowadzącą wprost do domu Marchent. No, naturalnie: do naszego domu, poprawił się w myślach.

**Z** radia wciąż płynęły najświeższe wiadomości. Biuro koronera potwierdziło, że martwa kobieta znaleziona na Buena Vista Hill, była tylko daleką krewną dwojga starszych ludzi, których torturowała. Jej matka zmarła dwa lata wcześniej, w bardzo podejrzanych okolicznościach. Jeśli zaś chodzi o dwóch zamordowanych mężczyzn z Golden Gate Park, to dzięki odciskom palców udało się ich połączyć z dwiema sprawami kryminalnymi z okolic Los Angeles: w obu chodziło o zakatowanie bezdomnych kijami baseballowymi. Ich niedoszłą ofiarą, którą lakże odnaleziono w Golden Gate Park, był mężczyzna z Fresno, uznany za zaginionego. Jego rodzina wyraziła ogromną radość z jego odnalezienia. Niedoszły gwałciciel z North Beach był już skazany za gwałt i zabójstwo; od kilku dni przebywał na wolności po odsiedzeniu niespełna dziesięcioletniego wyroku.

Kimkolwiek jest szalony mściciel — powiedział rzecznik policji - trzeba stwierdzić, że ma wyjątkowe wyczucie i interweniuje we właściwych sprawach i we właściwym momencie. Za to należy mu się pochwała, natomiast jego brutalne metody działania sprawiają, że jest dziś celem największej akcji pościgowej w dziejach policji San Francisco. Proszę nie mieć co do tego

żadnych wątpliwości, moi państwo - dodał, gdy ucichł gwar natarczywych pytań. - Mamy do czynienia z niebezpiecznym psychopata.

- Czy to rzeczywiście człowiek przebrany za zwierzę?

- Na to pytanie odpowiemy, gdy przeanalizujemy zebrane dowody.

Może poinformujesz ich o podwyższonym poziomie li-zozymu w ślinie, pomyślał Reuben. Nie, oczywiście, że nie. Zapanowałaby jeszcze większa histeria. Zresztą wczotaj sprawca nie zostawił ani grama śliny; nie znajdziecie niczego, może poza śladami pazurów, którymi rozszarpał ofiary.

Jedno było pewne. Ludzie nie bali się, że Człowiek Wilk ich skrzywdzi. Jednocześnie nie wierzyli - tak przynajmniej wynikało z wypowiedzi osób dzwoniących do radia - że rozmawiał z niedosłą ofiarą napadu w North Beach.

Reuben właśnie miał wyłączyć radio, gdy usłyszał wiadomość, że dwie godziny wcześniej na plaży w Muir Beach znaleziono ciało ośmioletniej uczennicy Goldenwood Academy. Przyczyna śmierci: uderzenie ciężkim narzędziem.

W biurze szeryfa w San Rafael trwała konferencja prasowa, bardzo przypominająca lincz.

- Dopóki nie pojawi się konkretny plan uwolnienia dzieci i nauczycieli - mówił właśnie szeryf - nie możemy ustąpić przed żądaniami porywaczy.

Dość. Reuben nie mógł już tego słuchać. Wyłączył radio. Zwłoki małej dziewczynki w Muir Beach. A zatem „geniusze komputerowi” znali się i na takiej robocie. Zamordowali jedno z dzieci tylko po to, żeby pokazać, że nie żartują. Naturalnie. Kiedy ma się w rękę czterdzieści pięć potencjalnych ofiar - dlaczego nie?

Był wściekły.

Dochodziła siedemnasta, zmrok już zapadł, a deszcz wciąż lał się strumieniami. Głosy świata były teraz bardzo dalekie.



Reuben właściwie już ich nie słyszał. A to oznaczało, że jego słuch podobny jest do zwierzęcego — choć znakomity, ma swoje granice. Ale gdzie leżały granice nowo nabytych mocy? Nie miał pojęcia.

Mała martwa dziewczynka na plaży. Jeszcze jeden powód, by przyjąć założenie, że cała grupa porwanych nie została wywieziona zbyt daleko.

Zatrzymał wóz nagle, na szczycie ostatniego pagórka. W snopach światła z samochodowych reflektorów ujrzał przed sobą olbrzymi dom, choć w takiej ulewie wyglądał on raczej jak miraż domu. Mimo to prezentował się znacznie wspanialej, niż co Reuben zapamiętał. W oknach paliły się światła.

Ten widok, ta chwila, wzbudziły w nim zachwyt. Ale wciąż czuł się podle; nie mógł przestać myśleć o porwanych dzieciach, o małej dziewczynce na zimnej plaży.

Gdy podjechał przed frontowe drzwi rezydencji, zapaliły się lampy oświetlające nie tylko schody i samo wejście, ale

i imponującą fasadę budynku, co najmniej po szczyty okien na pierwszym piętrze. Cóż za wspaniałe miejsce.

Lecz jakże daleko był dziś Reuben od niewinnego młodzieńca, który tak niedawno przekroczył próg tego domu w towarzystwie Marchent Nideck.

Drzwi otworzyły się i dozorca w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym wyszedł, by pomóc Reubenowi przenieść bagaże.

W kominku wielkiego salonu już huczał ogień; w powietrzu czuć było bogaty aromat kawy.

Gtzeję dla ciebie kolację, młody człowieku — powiedział dozorca, wysoki i szczupły mężczyzna o szarych oczach, włosach w kolorze żelaza i bezbarwnym, w miarę miłym uśmiechem na pomarszczonej, ogorzałej twarzy. Miał przyjemny, kalifornijski głos bez śladu akcentu i nie sposób było określić, z jakich stron i z jakiego środowiska pochodzi. — Żona przyniosła co nieco, choć oczywiście nie gotowała sama. Zamówiła

w Redwood House, w miasteczku. Zrobiła też małe zakupy. Pomyślała, że nie będzie pan miał nic przeciwko...

- Bardzo się cieszę - odpowiedział szybko Reuben. - Pomyślałem o wszystkim, tylko nie o jedzeniu, więc dziękuję. Teraz myślę, że chyba zwariowałem, sądząc, że zajadę tu przed czwartą. Przepraszam za spóźnienie.

- Nie ma sprawy — odparł mężczyzna. — Jestem Leroy Galton, wszyscy mówią na mnie po prostu Galton. A żona ma na imię Bess. Mieszka tu całe życie. Gotowała tu i sprzątała od czasu do czasu, zwłaszcza gdy zdarzały się imprezy. — Wziął walizkę z ręki Reubena i dźwigając także resztę pakunków, ruszył korytarzem w stronę schodów.

Reuben wstrzymał oddech. Zbliźali się do miejsca, w którym walczył z mordercami Marchent. Do miejsca, w którym omal nie zginął.

Nie pamiętał tych ciemnych, dębowych paneli na ścianach. Śladów krwi już nie było, ale najwyraźniej miał przed sobą dobrych siedem stóp zupełnie nowej wykładziny, ułożonej między podnóżem schodów a kuchennymi drzwiami. Nie pasowała do leżącego na stopniach chodnika w orientalne wzory.

- Aż trudno uwierzyć, co tu się stało! - oświadczył triumfalnie Galton. - Szorowaliśmy te deski podłogowe bez końca. Były na nich ze dwa cale starego wosku! Ale kto by pomyślał.

Reuben przystanął. Nie kojarzył tego miejsca; pamiętał tylko ciemność oraz to, że się w nią osuwał. Mimowolnie wracał myślą do tragedii, która się tu rozegrała, do jej kolejnych scen - jakby przeżywał kolejne stacje drogi krzyżowej u Świętego Franciszka w Gubbio w Wielki Piątek. Do zębów ostrych jak igły, dziurawiących jego szyję i głowę.

Czy wiedziałeś, co się ze mną stanie, gdy pozostawiałeś mnie przy życiu?

Galton przystąpił teraz do wygłaszania niebywale długiej serii banałów, których ogólny sens był taki, że życie toczy się

dalej, życie należy do żywych, takie rzeczy się zdarzają, nikt nie jest bezpieczny, bo wiesz, synu, nigdy nie wiadomo, co się komu przytrafi, aż się przytrafi, a poza tym nawet najporządniejsze chłopaki mogą zejść na złą drogę, skoro sięgają po prochy, a my musimy jakoś to przeżyć i kroczyć naprzód.

- Powiem tylko — dorzucił po chwili konfidencjonalnym półgłosem — że wiem, co to było. Wiem, co cię dopadło. To cud, że przeżyłeś, synu.

Reuben poczuł, że jeżą mu się włosy na karku, a puls zaczyna dudnić w uszach.

- Wie pan, co mnie dopadło? - powtórzył.

- Kuguar — oznajmił Galton, mrużąc oczy i nieznacznie unosząc podbródek. — W dodatku wiem który. To samica, już o wiele za długo urzęduje w tych stronach.

Reuben pokręcił głową, czując nagłą ulgę. Stara zagadka miała się całkiem dobrze.

- Możliwe — powiedział.

- Och, synu, my tu wszyscy wiemy, że to ona. Musi gdzieś tu mieć legowisko, tam trzyma swoje młode. Już trzy razy wyszła mi pod lufę i trzy razy chybiłem. Porwała mi psa, młody człowieku. Oczywiście nie miałeś okazji go poznać, ale to nie był zwyczajny pies.

Reuben słuchał tego w poczuciu głębokiej ulgi, teorie Gallona nie miały bowiem nic wspólnego z prawdą.

- To był najpiękniejszy owczarek niemiecki, jakiego kiedykolwiek widziałem. Wabił się Panzer, a hodowałem go od szóstego tygodnia życia. Od szczeniaka wiedział, że nie wolno przyjąć jedzenia z innej ręki niż moja. Wszystkie polecenia wydawałem mu po niemiecku i naprawdę nigdy wcześniej nie miałem tak świetnego psa.

- Aż dopadła go ta puma — mruknął Reuben.

Stary znowu uniósł podbródek i z powagą skinął głową.

- I powlokła do lasu, prosto z mojego podwórka. Znalazłem

tylko nędzne resztki truchła. Wiem, że ona to zrobiła. Ona i jej młode, teraz już prawie dorosłe. Ścigałem ją bez skutku. I jeszcze dopadnę, z pozwoleniem czy bez. Nie zatrzymają mnie. To tylko kwestia czasu. Ale ty, młody człowieku, bądź ostrożny w tych lasach. Młode wciąż są przy niej. Wiem, że tak jest: uczy je polowania. Trzeba uważać po zmroku i o świcie.

— Będę uważał — zapewnił go Reuben. — Ale to nie puma mnie zaatakowała.

— A skąd możesz to wiedzieć, synu? — spytał dozorca.

Po co się z nim spierać? Po co w ogóle się odzywać? Niech sobie staruszek wierzy w to, w co chce wierzyć. Jak wszyscy.

— Stąd, że wyczułbym zapach dzikiego zwierzęcia, gdyby to była puma — odpowiedział szczerze. — I zapach ten pozostałby i na mnie, i na dwóch trupach.

Galton zastanawiał się nad tym przez chwilę, niechętnie, ale chyba uczciwie. Wreszcie pokręcił głową.

— Cóż, dopadła mojego psa — rzekł wreszcie. — Więc i tak ją zabiję.

Reuben pokiwał głową.

Dozorca zaczął się wspinać po szerokich, dębowych schodach.

— A słyszałeś już o tej nieszczęsnej dziewczynce z Marin? — spytał przez ramię.

Reuben mruknął twierdząco.

Trudno mu było oddychać, ale chciał tu być, chciał zobaczyć wszystko.

Dom był wysprzątnany, a deski wystające spod orientalnego chodnika lśniły ciemnym blaskiem. Małe kinkiety udające świece były zapalone, całkiem jak wtedy, pierwszej nocy.

— Chętnie prześpię się w tej ostatniej sypialni - powiedział Reuben, mając na myśli dawny pokój Feliksa, na samym końcu zachodniego kotytarza.

— A nie chce pan głównej, od frontu? - zdziwił się Galton. - Jest znacznie bardziej słoneczna. Naprawdę piękny pokój.

- Zastanowię się, ale ta na razie wystarczy.

Dozorca prowadził, pewnymi ruchami włączając kolejne lampy. Znał dom jak własną kieszeń.

Na łóżku leżała świeża pościel, okryta tandetną, kwiecistą narzutą z poliestrowej tkaniny; w łazience wisiały bardzo stare, ale czyste ręczniki.

- Moja żona zrobiła, co mogła — wyjaśnił Galton. — Bank nalegał, żeby doprowadzić dom do porządku, gdy tylko policja skończy swoją robotę.

- Rozumiem.

Dozorca był uprzejmy i pogodny, ale Reuben chciał, by ta olicjalna część wizyty nareszcie dobiegła końca.

Obeszli jeszcze kilka pokoi, rozmawiając głównie o prostych, niezbędnych naprawach: tu należało wymienić klamkę, tam odblokować okno sklezione farbą, a w jednej z łazienek wymienić fragment gipsówki.

Główna sypialnia, o ścianach wyłożonych oryginalną, kwiecistą tapetą Williama Morrisa, naprawdę była imponująca. We frontowej części domu rzeczywiście nie było lepszej.

Zajmowała południowo-zachodni narożnik, miała okna z dwóch stron oraz niezwykle przestronną, marmurową łazienkę z kabiną prysznicową. Specjalnie dla Reubena Galton napalił nawet w głębokim, kamiennym kominku zdobionym spiralnymi reliefami.

- Dawniej w tym narożniku po lewej stały żelazne schody prowadzące do pokoju na poddaszu. Ale Felix ich nie chciał. Wolał mieć tam więcej prywatności, więc kazał swojemu bratankowi i jego żonie zlikwidować te schody. — Galtonowi najwyraźniej podobała się rola przewodnika wycieczki. — Wszystkie te meble są oryginalne — dodał, po czym wskazał na wielkie, orzechowe łóżko. — Neorenesans. Zwróć uwagę na te niedokończone łuki i ozdobne kwiatony. I na to wezłowie — dziewięć stóp litego drewna orzechowego. I jeszcze te rzeźbione

panele. — Galton skinął dłonią w stronę komody o marmurowym blacie. - A tam znowu łuki - dodał, wskazując na wysokie lustro. — I jeszcze oryginalna umywalka; to Berkey i Gay z Grand Rapids. Podobnie jak stół. Nie wiem, skąd pochodzi ten skórzany fotel, ale ojciec Marchent go uwielbiał. Każdego ranka zasiadał w nim do śniadania i jedząc, czytał gazety. Ktoś musiał po nie jeździć, bo nikt nie chciał dowozić prasy tak daleko. Same amerykańskie antyki, młody człowieku. Dla takich mebli wzniesiono ten dom. A do tego Felix sprowadził z Europy całe wyposażenie biblioteki i wielkiej sali na dole. Był człowiekiem renesansu.

- To widać - odrzekł Reuben.

- Wyszukowaliśmy tę sypialnię specjalnie dla ciebie, synu. Masz tu najlepszą pościel. Wszystko, czego potrzebujesz, znajdziesz w łazience. A te kwiaty na stole pochodzą prosto z mojego ogrodu.

Reuben był wdzięczny i nie omieszkał poinformować o tym Galtona.

- Prędzej czy później przeniosę się tutaj - dorzucił. - To naprawdę najpiękniejsza sypialnia w całym domu.

Cień pani Danvers\*, dodał w duchu. I znowu poczuł przyjemny dreszcz. Zaczynał się do nich przyzwyczajać. Teraz to mój dom, pomyślał. Mój dom.

Bardzo chciał pokazać go Philowi, ale na razie nie mógł.

Południowo-wschodnia sypialnia była równie niezwykła jak główna; podobnie było z dwiema środkowymi, o oknach również zwróconych na południe. Wszędzie stały podobne, ciężkie meble z Grand Rapids. Wszędzie też oszalały kwieciste tapety Williama Morrisa, choć tu i ówdzie zaczynały już odchodzić od ścian albo pleśnieć. Wymagały pilnej renowacji, ale, jak przyznał Galton, w żadnej z nich jeszcze nie zaczął się remont.

**\* Bohaterka powies'ci *Rebeka Daphne du Maurier*.**

Brakowało w nich gniazdek elektrycznych, a i kominki czekały na naptawę. Stare łazienki, z umywalkami na postumentach i wannami na szponiastych łapach, były może i urokliwe, ale lakże niewygodne.

— Felix w końcu by się do tego zabrał — powiedział Galton, kręcąc głową.

Nawet w szerokim głównym korytarzu, wyłożonym wyleli iałym chodnikiem, przydałoby się zmienić to i owo.

Odwiedzili jeszcze kilka wschodnich pokoi wyposażonych w zabytki amerykańskiego rzemiosła - masywne łoża, neorenesansowe krzesła.

— Te wszystkie są już odnowione — oznajmił z dumą Galton. - Są nawet przewody kablówki, i to we wszystkich pokojach w tym skrzydle. Podobnie jest z centralnym ogrzewaniem; kominki też działają. A stare telewizory wywalone. Marchent nie przepadała za telewizją, więc kiedy chłopcy zostali wyrzuceni z domu, kupowanie nowego sprzętu nie miało sensu. Ona wolała spędzać czas z przyjaciółmi. Kiedyś sprowadziła tu całą gromadę ludzi z Ameryki Południowej, ale oni też nie byli zainteresowani telewizją. Mówiła, że tak jest lepiej.

— Sądzi pan, że dałoby się zamontować dla mnie duży, płaski telewizor w tej głównej sypialni i pociągnąć do niego kablówkę? - spytał Reuben. - Jestem uzależniony od wiadomości. Niech to będzie naprawdę dobry model. Nie pogniewałbym się, gdyby podobny trafił do biblioteki na dole. I może jakiś mały do kuchni. Jak mówiłem, sam będę sobie gotował.

— Nie ma problemu, zaraz się tym zajmę - odparł wyraźnie uradowany Galton.

Zeszli na dół i ponownie minęli hol śmierci.

— Pewnie już wiesz, synu, że pracuje dla mnie jeszcze dwóch ludzi — rzekł Galton — i że bywają tu od czasu do czasu. Jeden z nich to mój kuzyn, a drugi - pasierb. Zajmują się wszystkim, jak ja - cokolwiek zechcesz, będzie zrobione.

Na parterze dozorca z dumą pokazał Reubenowi naprawione okna w jadalni, jak twierdził „prawie nie do odróżnienia od oryginałów”. A nie była to łatwa robota, bo każde skrzydło składało się z wielu małych szybek w kształcie rombu.

Żałośni bracia zrujnowali zawartość obu schowków przy głównym wejściu do jadalni, rozrzucając na podłodze srebrne talerze i dzbanki. Chcieli tym sposobem upozorować włamanie, „jakby liczyli, że kto głupi się na to nabierze”.

- Wszystko już uporządkowane - opowiadał Galton. Otworzył drzwi po obu stronach, by Reuben mógł się przekonać na własne oczy. -1 w tych dwóch, i schowku lokaja, o tam, przy wejściu do kuchni. Mam nadzieję, że myśli pan o założeniu rodziny i o gromadzie dzieci. Na końcu korytarza jest jeszcze szafa pełna porcelany i sztucców.

Reuben spał się w sobie, wkraczając do kuchni. Bardzo wolnym ruchem pochylił głowę, by przyjrzeć się podłodze. Jak się przekonał, biały marmur zakryto kilkoma owalnymi dywanikami z plecionki. Gdzieś pod nimi musiały pozostać ślady krwi Marchent, jeśli nie na kamieniu, to na fudze. Nie wiedział, w którym miejscu upadła. Czuł jedynie całym sercem, że nie chce tu dłużej przebywać, a na samą myśl o tym, że mógłby zanurzyć chochlę w gotującym się gulaszu, robiło mu się niedobrze. Zawsze tak reagował na zestawienie śmierci i jedzenia. Pamiętał, jak było, gdy brat Celeste zmarł w Berkeley: minęło parę dni, zanim był w stanie zjeść coś albo wypić i nie wymiotować. Teraz jednak całkiem dobrze maskował swoje uczucia. Dozorca stał z boku, przypatrywał mu się i czekał.

- Proszę działać, Galton - rzekł po chwili Reuben. - Daję panu wolną rękę w kwestii niezbędnych napraw. - Otworzył portfel i wyjął zwitek banknotów. - To powinno wystarczyć na początek. Proszę napełnić lodówkę i spiżarnię, tym co zwykle. Poradzę sobie nawet z odmrożeniem i ugotowaniem jagnięcego udźca. Proszę też o worek lub dwa ziemniaków,



marchwi i cebuli. Ja się wykarmię, a pan niech zadba o dom. Najbardziej mi zależy na prywatności. Proszę nikogo, podkreślam: nikogo tu nie wpuszczać. Nawet pańscy ludzie mają tu wstęp tylko i wyłącznie w pańskim towarzystwie.

Galton znowu wyglądał na zadowolonego. Kiwając głową potakująco, schował pieniądze do kieszeni. Przypomniawszy, że „ci dziennikarze” kręcili się wokół domu, ale żaden nie ośmielił się wejść. Potem, gdy doszło do porwania dzieciaków, zniknęli bez śladu.

- Tak to dzisiaj jest, w czasach Internetu i innych takich — stwierdził dozorca. - W jednej chwili sprawy stają się nieważne. Chociaż trzeba powiedzieć, że niektórzy znowu tu wydzwaniali, gdy w San Francisco zrobiło się głośno o wyczynach tego Człowieka Wilka. A wcześniej dwa razy byli tu policjanci.

Galton dodał, że gdy tylko odjechali, osobiście uruchomił system alarmowy i nie wyłączał go więcej. Tego sobie życzył prawnik rodziny. Parter był całkowicie zabezpieczony: działały detektory ruchu, czujniki na szybach oraz kontaktrony w drzwiach i oknach.

- Gdy uruchomi się alarm, słyhać sygnał w moim domu, a jednocześnie na posterunku policji. Wtedy dzwoniemy tutaj, a oni, bez względu na wszystko, przyjeżdżają.

Galton podał Reubenowi kod do alarmu, przeszkolił go w obsłudze i wskazał położenie klawiatury na piętrze, z której co rano, przed zejściem na parter, mógł wyłączyć detektory mchu.

- A gdybyś chciał zostać w domu przy częściowo włączonych zabezpieczeniach, wystarczy wpisać kod i nacisnąć HOME. Wtedy czujniki na drzwiach i oknach będą nadal działać, a detektory ruchu nie. I jeszcze jedno: proszę sobie zapisać mój e-mail. Często sprawdzam skrzynkę w ciągu dnia. Wystarczy słówko, że coś w domu nie działa, a ja zaraz się tym zajmę — wyjaśnił, dumnie unosząc swego iPhone'a. — Albo zwyczajnie

dzwoń do mnie, młody człowieku. W nocy trzymam telefon przy łóżku.

O piece gazowe, zdaniem dozorca, Reuben też nie musiał się martwić. Były względnie nowe - przynajmniej w porównaniu z wiekiem budynku. Cały dom był też wolny od azbestu. Na co dzień ogrzewanie utrzymywało temperaturę dwudziestu stopni Celsjusza, bo taką lubiła Marchent. Naturalnie teraz wiele zaworów było zamkniętych, ale czyż nie było wystarczająco ciepło?

A przy okazji: dom był częściowo podpiwniczony — niewielkie pomieszczenie znajdowało się pod głównymi schodami, ale nie było w nim niczego ciekawego. Piece wiele lat wcześniej przeniesiono do pomieszczenia gospodarczego na tyłach domu.

- Świetnie - mruknął Reuben.

Łączność z Internetem działała bez zarzutu, zgodnie z życzeniem panny Marchent. W jej gabinecie oraz w komórce z bezpiecznikami na końcu korytarza na piętrze stały routery bezprzewodowe, obejmujące swym zasięgiem całą rezydencję.

Reuben był zadowolony. Odprowadził Galtona do tylnego wyjścia.

Po raz pierwszy zobaczył w blasku reflektorów zawieszonych wysoko na drzewach rozległy parking na podwórzu oraz — daleko po lewej — piętrowe, najwyraźniej nieco później dobudowane, skrzydło domu przeznaczone dla służby. Prawdopodobnie właśnie tam zamordowano Felice.

Za linią świateł nie można było dostrzec lasu, jedynie tu i ówdzie plamy zieleni albo błyski mokrej kory na pniach.

Jesteś tam? Obserwujesz mnie? Pamiętasz człowieka, któremu darowałeś życie, gdy zabijałeś pozostałych?

Galton przez kilka minut wychwalał zalety swego stojącego opodal wozu - nowiutkiej półciężarówki marki Ford. Niewiele jest bowiem rzeczy, które sprawiają mężczyźnie większą radość niż nowiutka półciężarówka. Reuben pomyślał, że sam

powinien sobie sprawić taki wóz, z pewnością przydatny w tak dużej posiadłości. Ale miał przecież do dyspozycji wóz Galtona. W końcu dozorca pożegnał go, przypominając, że może się pojawić w ciągu dziesięciu minut, jeśli tylko Reuben wezwie go przez komórkę lub telefon stacjonarny.

- Ostatnie pytanie - odezwał się Reuben. - Oglądałem mapy posesji, ale jednego z nich nie wyczytałem: czy jest otoczona ogrodzeniem?

- Nie - odparł Galton. - Puszcza ciągnie się całymi milami i można w niej znaleźć jedne z najstarszych drzew na całym wybrzeżu, mimo to rzadko spotyka się tu turystów. Jesteśmy zbyt daleko od popularnych szlaków. Wszyscy wolą zwiedzać parki sianowe. Hamiltonowie mieszkają na północy, a Drexelowie żyli i na wschodzie, ale zdaje mi się, że wynieśli się na dobre, ich ziemia od lat jest wystawiona na sprzedaż. Parę tygodni temu widziałem u nich światło, ale to pewnie tylko agent z biura nieruchomości. Na ich ziemi rosną równie stare drzewa jak tutaj.

- Nie mogę się doczekać spaceru po lesie - powiedział Reuben, ale zaprzętała go całkiem inna myśl: naprawdę był tu sam. Sam.

Choć cóż innego mógł uczynić, gdy znowu zacznie się przemiana, jeśli nie zagłębić się w tę puszcę jako Człowiek Wilk, oglądając, nasłuchując, a może i smakując otoczenie w zupełnie nowy sposób?

A co z pumą i jej potomstwem? Czy kuguarza rodzina naprawdę czai się gdzieś w pobliżu? Coś drgnęło w sercu Reubena, gdy pomyślał o zwierzęciu tak potężnym, że nazywano je lwem górskim. Czy potrafiłby pobiec szybciej niż ono? Czy potrafiłby je zabić?

Na chwilę zatrzymał się na progu kuchni, słuchając, jak gaśnie w oddali warkot wozu Galtona, a potem odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z pustym domem i wszystkim, co zaszło pod jego dachem.

Gdy przybył w to miejsce po raz pierwszy, nie obawiał się absolutnie niczego. Teraz zaś uczucie strachu było jeszcze bardziej obce niż kiedykolwiek wcześniej. Od czasu pierwszej przemiany czuł w sobie cichą moc, odporność, niezachwianą pewność, a wszystko to było dla niego zupełnie nowe.

Mimo to, podobnie jak w dawnym życiu, nie do końca podobała mu się ta samotność, całkowita samotność.

Dorastał w ludnym San Francisco, w wysokim i wąskim domu na Russian Hill, w małych i elegancko urządzonych pokojach, w nieustannym ruchu pełnych życia postaci Phila, Grace i jej licznych znajomych. Całe życie spędził, będąc członkiem rozmaitych grup, spotykając się z ludźmi, a wszystko to o krok od wiecznie zatłoczonych ulic North Beach i Fisherman's Wharf, ledwie parę minut od ulubionych restauracji przy Union Street czy Union Square, nie mówiąc o tym, jak uwielbiał rodzinne wakacje i włości z brygadą wszędobylskich studentów po bliskowschodnich ruinach.

A teraz został sam, w ciszy, której tak pragnął, o której śnił. W samotności i ciszy, które z taką mocą uwiodły go już pierwszego popołudnia z Marchent. Jeszcze nigdy nie czuł się tak opuszczony, tak wyobcowany, tak daleki od wszystkiego, nawet od wspomnień o Marchent.

Nawet jeśli tam, w mroku, czaiło się coś lub ktoś, kto wiedział o nim więcej niż ktokolwiek inny, to Reuben nie umiał wyczuć jego obecności. Nie słyszał też żadnego głosu, a jedynie

ciche, neutralne dźwięki niekryjące w sobie żadnego zagrożenia. I nic ponadto.

I raczej nie mógł mieć nadziei, że to ów stwór przyjdzie do niego.

Był zbyt samotny.

Pora zabrać się do pracy, pomyślał. Poznać lepiej to miejsce, zobaczyć, co jeszcze w sobie kryje.

Kuchnia była olbrzymia i nieskazitelnie czysta. Nawet plecionki na podłodze były zupełnie nowe; niestety kompletnie nie pasowały do białej, marmurowej podłogi. Patelnie o miedzianych dnach wisały na żelaznych hakach ponad centralną wyspą, na której obok niewielkich, gustownych zlewów leżała masywna deska do rąbania mięsa. Wzdłuż ścian lśniły czarne, granitowe blaty. Za szklanymi drzwiczkami białych, lakierowanych szafek dostrzegł niezliczone rzędy porcelanowych naczyń o rozmaitych kształtach, a także nieco mniej ozdobne dzbanki i miseczki. W podobnych, oszklonych szafkach ukrytych w długim i wąskim schowku lokaja, wciśniętym między kuchnię a jadalnię, znalazł kolejne części zastawy, a także zapas obrusów i serwetek.

Wreszcie spojrział w stronę gabinetu Marchent. Wszedł tam po chwili i nie zapalając światła, popatrzył na puste biurko. Pomieszczenie to wygospodarowano z zachodniego krańca kuchni; widać było identyczną, marmurową posadzkę. Masę rozrzuconych drobiazgów, które dostrzegł kątem oka owej fatalnej nocy, zebrano do białych kartonów, na których wypisano mazakiem rzędy cyfr i skrótów, zapewne znaczących coś dla policjantów badających sprawę śmierci Marchent. Podłogę zamieciono i wymyto, widać to było na pierwszy rzut oka. Pozostał jednak delikatny zapach Marchent.

Dwa uczucia owładnęły zniecka Reubenem: miłość i nieznośny ból. Napiął mięśnie, czekając, aż atak minie.

Na nieużywanych sprzętach zaczął już osiadać kurz. Kom-

puter stał na swoim miejscu, ale Reuben nie umiał odgadnąć, co pozostało na jego twardym dysku. Drukarka i faks były gotowe do ptacy, podobnie jak kopiarka ze szklanym oknem, zapewne służąca do kserowania fragmentów książek. Na ścianie, w ramce, pod szkłem, wisiała fotografia. Nieznany Reubenowi portret Feliksa Nidecka.

Była to jedna z tych oficjalnych podobizn, których model patrzy prosto w oczy oglądającego. To też z kliszy fotograficznej, pomyślał Reuben. Doskonale widać najdrobniejsze detale.

Felix miał ciemne, falujące włosy. Uśmiechał się szczerze, a jego ciemne, głębokie oczy spoglądały ciepło. Miał na sobie jakby na miarę szytą, wytartą kurtkę dżinsową, a pod nią białą koszulę rozpiętą pod szyją. Wyglądał tak, jakby właśnie miał coś powiedzieć.

W lewym rogu widniała dedykacja spisana czarnym atramentem: „Kochana Marchent, nie zapomnij mnie. Uściski, stryj Felix, '85”.

Reuben wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Nie spodziewał się aż takiego bólu.

- Nideck Point - szepnął - przyjmuję wszystko, co mi ofiarujesz. - Ale odważył się jedynie na przelotne spojrzenie w stronę korytarza wiodącego do kuchni i miejsca, w którym omal nie wyzionął ducha.

Nie wszystko naraz, pomyślał.

Stał nieruchomo. Przez chwilę nie słyszał absolutnie nic. Potem wychwycił podobny do armatnich wystrzałów huk fal bijących o piaszczysty brzeg. Musiał jednak wyteńczyć zmysły, by go usłyszeć, musiał sięgnąć daleko poza te ciche, dobrze oświetlone pokoje.

Nałożył na talerz trochę gulaszu, wyjął widelec z szuflady pełnej sztuców i poszedł do wschodniego pokoju śniadaniowego, by usiąść za stołem przy oknie.

Gdyby zechciał, tu także mógłby rozpalić ogień, choć nie

w kominku, tylko w żelaznym piecyku stojącym w kącie. Pod jedną ze ścian stał regał wypełniony ręcznie malowanymi talerzami.

Pięknie rzeźbiony zegar z kukułką w stylu szwarcwaldzkim wisiał tuż obok, po prawej stronie. Phil byłby zachwycony, pomyślał Reuben. Kiedyś kolekcjonował takie zegary, a ich nieustanne bimbanie, ćwierkanie i kukanie doprowadzało wszystkich domowników do białej gorączki.

Szwarcwaldzki... Jak w tej historii o *Człowieku Wilku* i niejakim Sperverze. Czarny Las. I wzmianka o zamku Nideck. Reuben postanowił, że przyjrzy się jeszcze temu zdjęciu w bibliotece, jednemu z tak wielu zdjęć, na które powinien rzucić okiem.

Nie wszystko naraz.

Wschodnia ściana pokoju śniadaniowego składała się w większości z okien. Nigdy nie lubił siedzieć nocą przy odsłoniętym oknie, zwłaszcza gdy nic nie było widać w ciemności na zewnątrz, ale tym razem czynił to świadomie, wręcz celowo. Jeśli ktoś obserwował go z lasu, musiał go teraz widzieć jak na rześkim oświetlonej scenie.

Jeśli tam jesteś, zdegenerowany kuzynie wielkich Nidecków, to na miłość boską ujawnij się!

Nie wątpił, że i tej nocy — tak jak ostatniej i przedostatniej — przemieni się w Człowieka Wilka, choć nie wiedział, dlaczego i w którym momencie. Zamierzał spróbować przyspieszyć metamorfozę. Zastanawiał się, czy stwór, który być może właśnie go obserwował, zaczeka na jego przemianę, zanim się pojawi.

Zjadł wołowinę, marchewkę, ziemniaki i wszystko, co znalazło się w zasięgu widelca. Nawet mu smakowało. Niechęć do jedzenia mam raczej z głowy, pomyślał. Uniósł taletz do ust, by spić resztkę sosu. Miło, że żona Galtona tak się postarała.

Nagle odłożył widelec i ukrył twarz w dłoniach, wspierając łokcie na stole.

— Marchent, wybac mi - wyszeptał. — Wybac, że na chwilę zapomniałem, że tu umarłaś.

Siedział tak w bezruchu, gdy zadzwoniła Céleste.

- Nie boisz się?

- Czego mam się bać? - odpowiedział pytaniem. - Ludzie, którzy mnie zaatakowali, już nie żyją. Nie żyją od tamtej nocy, mówiąc ściślej.

- No nie wiem. Jakoś nieprzyjemnie mi się robi na myśl, że siedzisz tam sam. Słyszałeś już, co się stało? Znaleźli jedną dziewczynkę.

- Słyszałem w podróży.

- Reporterzy koczują pod biurem szeryfa.

- Nie wątpię. Ale ja się tam jeszcze nie wybieram.

- Reuben, możliwe, że omijasz najciekawszy materiał w swojej karierze.

- Moja kariera trwa od pół roku, Céleste. Jeszcze wiele przede mną.

- Ty nigdy nie miałaś właściwie ustawionych priorytetów — stwardziła łagodnie. Mile, które ich dzieliły, chyba dodały jej odwagi. — Widzisz, nikt, kto cię dobrze znał, nie spodziewał się, że napiszesz takie ciekawe artykuły dla „Observera”. Teraz też powinieneś pisać. Gdy brałaś tę robotę, pomyślałam: dobra, jasne, tylko jak długo to potrwa? A teraz jesteś tym, który nadał imię Człowiekowi Wilkowi. Wszyscy cytują twój opis...

- Opis naocznego świadka, Céleste... - Dlaczego się z nią spierał? Po co w ogóle się odzywał?

- Słuchaj, jest ze mną Mort. Chciałby się przywitać. A to niespodzianka.

- Jak się masz, stary?

- Świetnie, po prostu świetnie - odparł Reuben.

Przez dłuższą chwilę Mort wychwalał jego artykuł o Człowieku Wilku.

- Naprawdę dobry - podsumował. - A teraz pewnie piszesz coś o tym domu?

- Nie chcę, żeby ktoś jeszcze się nim interesował — odpo-



wiedział Reuben. - Nie chcę już nikomu przypominać o jego istnieniu.

- Słusznie. Zresztą to jedna z tych historii, które zdychają, zanim nabiorą rozpędu. Tak sądzisz?

Mort wspomniał, że chciałby zabrać Celeste na film do Berkeley. Żałował, że Reuben nie może pójść z nimi.

Hmmm. Odpowiedział, że nic nie szkodzi i że odezwie się za parę dni. Koniec rozmowy.

A więc to tak, pomyślał. Celeste jest z Mortem i dobrze się bawi, w związku z czym poczuła wyrzuty sumienia i zadzwoniła do mnie. Tylko co będzie robić z nim w kinie, gdy całe miasto szuka kidnaperów i Człowieka Wilka?

Od kiedy to Celeste interesuje się życiem kulturalnym Berkeley, gdy tyle się dzieje w mieście? Cóż, może coś zaczyna ją łączyć z Mortem. Reuben nie mógł jej winić. I tak naprawdę, niespecjalnie go to obchodziło.

Włożywszy talerz i widelec do jednej z trzech zmywarek, które znalazł pod kuchennym blatem, zabrał się do poważnego zwiedzania swojego nowego domu.

Zaczął od parteru. Zaglądał do wszystkich szaf i niezliczonych schowków. Stwierdził, że właściwie nic się w nich nie zmieniło, jeśli nie liczyć zapomnianej oranżerii, którą starannie wysprzątało. Ktoś wyniósł wszystkie uschnięte rośliny i dokładnie zamiótł podłogę krytą czarnym granitem. Nawet stara grecka fontanna została doprowadzona do porządku, a do jej bocznej ścianki ktoś przykleił taśmą kartkę z lakoniczną notatką: „Potrzebna pompa”.

Pod głównymi schodami istotnie znajdowało się wejście do piwnicy. Betonowe stopnie zaprowadziły Reubena do pomieszczenia o boku może dwudziestu stóp, którego ściany od posadzki po sufit obstawiono mocno już pociemniałymi, drewnianymi regałami. Na półkach leżały między innymi stosy

starej, sfatygowanej pościeli. Pod ścianą pozostał jeden staty piec; po pozostałych zostały jedynie puste miejsca. Nie było też rur, a otwory w stropie zasklepiono. Pęknięte krzesło z jadalni stało w kącie, obok starego kufra podróżnego i zepsutej suszarki do włosów.

Wreszcie nadeszła kluczowa chwila, na którą czekał i którą celowo odkładał: chwila powrotu do biblioteki i do portretu w złoczonej ramie, przedstawiającego dżentelmenów na tle dżungli. Wrócił schodami na górę.

Wchodząc do biblioteki, czuł się tak, jakby wkraczał do świętego miejsca. Włączył górne światło i odczytał nazwiska zapisane na fotografii.

Margon Sperver, Baron Thibault, Reynolds Wagner, Felix Nideck, Siergiej Gorlagon, Frank Vandover.

Wpisał je pospiesznie jako treść wiadomości e-mailowej i wysłał na własny adres.

Cóż za niezwykle, pogodne twarze. Siergiej był olbrzymem, Marchent o tym wspominała. Miał bardzo jasne włosy, gęste jasne brwi oraz smutną, prostokątną twarz. Nordyckie rysy, pomyślał Reuben. Pozostali nie byli tak rośli, a różnili się wyraźnie fizjonomią. Jedynie Felix i Margon mieli śniadą skórę, jakby w ich żyłach płynęła po części azjatycka albo latynoska krew.

Czy na zdjęciu uwieczniono jakiś żart, który wprowadził ich w dobry nastrój? A może po prostu była to jedna z wielu wspaniałych chwil, które zdarzają się, gdy bliscy przyjaciele dzielą wspaniałą przygodę?

Sperver, Nideck. Może to tylko zbieg okoliczności i nic więcej? Pozostałe nazwiska właściwie z niczym się Reubenowi nie kojarzyły.

Cóż, tych sześciu miało tu pozostać na wieczne czasy; mógł spędzać z nimi długie godziny nie tylko tego wieczoru, ale i jutro, i pojutrze...

Poszedł na górę. Znów szczególne chwile. Otworzył drzwi

pokoju, które pierwszej nocy były zamknięte. Teraz do żadnego z nich nie potrzebował klucza. „Magazyny”, powiedział o nich lekceważąco Galton. Reuben ujrzał rzędy półek, które tak bardzo pragnął zobaczyć, niezliczone posążki z nefrytu, diorytu i alabastru, rozrzucone książki, fragmenty...

Przechodził z pokoju do pokoju, próbując ogarnąć to wszystko.

Wreszcie wbiegł po nagich stopniach frontowej klatki schodowej, by dostać się na drugie piętro. Odnalazł włącznik światła i przekonał się, że trafił do wielkiej sali wciśniętej pod ukośne połacie południowo-zachodniego dachu. Miał przed sobą drewniane stoły zasypane książkami, pismami, rzeźbami oraz pojemnikami pełnymi kart zapisanych drobnymi znakami, pustych ksiąg - jakby niewypełnionych rejestrów - i listów powiązanych w pęczki.

To właśnie było pomieszczenie nad główną sypialnią, które Felix kazał zamknąć. Przyjrzawszy się bliżej podłodze, Reuben znalazł nawet kwadratowy zarys miejsca, w którym niegdyś musiały się zaczynać żelazne schodki wiodące w dół.

Pośrodku poddasza, tuż pod szerniałym żyrandolem z kutego żelaza, stały stare, nieco zdeformowane, ale bardzo wygodne fotele.

Na podłokietniku jednego z nich Reuben znalazł małą, zakurzoną książeczkę w miękkiej oprawie. Wziął ją do ręki.

## **PIERRE TEILHARD DE CHARDIN**

### *Jak wierzę*

Arcyciekawe, pomyślał. Czyżby Felix czytywał prace Teilharda de Chardina, jednego z najbardziej eleganckich i tajemniczych teologów katolicyzmu? Reuben nie miał głowy do abstrakcyjnej filozofii ani teologii, podobnie jak nie miał głowy

do nauk ścisłych. Zawsze jednak kochał poetycki wymiar prac Teilharda - podobnie jak jego brat Jim. Doszukiwał się swoistej obietnicy u francuskiego teologa, który nie tylko żarliwie wierzył w Boga, ale także w świat, jak to często mawiał.

Reuben otworzył książeczkę. Papier był stary i kruchy. Wydanie z 1969 roku.

*Wierzę, że wszechświat jest ewolucją.*

*Wierzę, że ewolucja postępuje ku duchowi.*

*Wierzę, że duch materializuje się w pełni w postaci osobowości.*

*Wierzę, że najwyższą osobowością jest Chrystus Uniwersalny.*

Cóż, brawa dla Teilharda, pomyślał z goryczą Reuben. Ogarnął go zniechęcający głęboki smutek z domieszką gniewu i czegoś na kształt rozpaczki. A przecież rozpacz nie leżała w jego naturze. W takich chwilach jednak poznawał jej smak. Właśnie miał odłożyć książkę na miejsce, gdy dostrzegł u dołu strony dopisek:

*Drogi Feliksie, to dla Ciebie! Przetrwaliśmy to; przetrwamy wszystko. Na chwałę, Margon Rzym '04*

A teraz książeczka należała do Reubena. Wcisnął ją do kieszeni kurtki.

W głębi pomieszczenia, pod ścianą, leżały porzucone schody. Nietknięta żelazna spirala spoczywała na boku, pokryta kurzem. Obok niej ustawiono pudła, których teraz nie miał czasu przeszukać.

Jeszcze przez godzinę zwiedzał poddasze. Znalazł dwa podobne, odizolowane pokoje ze zbiorami oraz jeden pusty. Do wszystkich wchodziło się po schodach ukrytych w schowkach na korytarzu.

Wreszcie wrócił do starego pokoju Feliksa, w którym zamierzał spędzić tę noc. Poczł leką panikę na myśl o tym, że znalazł się tak daleko od telewizyjnych wiadomości, którymi żywił się, odkąd w czwartym roku życia nauczył się używać pilota. Na szczęście miał jeszcze komputer. Może tak było nawet lepiej?

Pewnego razu, gdy w Berkeley zabrakło prądu, przy świecach przeczytał do końca *Finnegans Wake* Joycea. Czasem potrzeba zewnętrznej siły, by zmusić się do studiowania tego, co się ma pod nosem.

Rozejrzył się po półkach Feliksa. To, co znajdowało się w sypialni, musiało być dla niego najważniejsze. Ale od czego zacząć? Czemu przyjrzeć się w pierwszej kolejności?

Czegoś tu brakowało. W pierwszej chwili Reuben pomyślał: nie, pomyliłem się. Pamięć mnie zawodzi. Ale gdy szybko przebiegł wzrokiem po wszystkich półkach, uświadomił sobie, że jednak ma rację.

Tabliczki. Malutkie tabliczki z Mezopotamii, bezcenne tabliczki pokryte pismem klinowym, zniknęły. Wszystkie, co do jednej. Nie został nawet kawałeczek.

Zszedł na dół i zbadał dwa inne pomieszczenia magazynowe. To samo. Ani jednej tabliczki.

Wspiął się na samą górę, na poddasze. To samo. Skarbów w bród, ale ani jednej tabliczki. Brak kurzu wskazał mu nawet miejsca, z których je zabrano.

Wszędzie, gdzie szukał, znajdował takie dowody: ktoś starannie pozbierał tabliczki, zostawiając na półkach puste, lśniące czystością miejsca.

Wrócił do pokoju, który znał najlepiej, żeby przeszukać go

ponownie. Tabliczki naprawdę zniknęły; teraz widział wyraźnie miejsca po nich, a także siady palców. Spanikował.

Ktoś wszedł do tego domu i ukradł najcenniejszą część kolekcji Feliksa. Ktoś zabrał najważniejsze zdobycze z całych lat podróży po Bliskim Wschodzie. Ktoś złupił skarb, który Marchent tak bardzo pragnęła ocalić. Ktoś...

Nonsens, pomyślał Reuben.

Kto miałby to zrobić? Kto mógłby to zrobić, jednocześnie pozostawiając tak wiele innych, bezcennych pamiątek? Te posążki musiały być warte fortunę, nawet stare zwoje papirusów zapewne były bezcenne dla uczonych i kustoszy muzeów. Jaki złodziej zostawiłby pudełka z zabytkowymi monetami albo średniowieczny kodeks leżący na widoku, nie mówiąc o książkach zgromadzonych na poddaszu, za które biblioteki zapłaciłyby każde pieniądze.

Nic z tego nie rozumiał. Kto właściwie mógł wiedzieć, czym są owe tabliczki, skoro wyglądały jak rupiecie, kawałki tynku albo stare, zeschnięte herbatniki? I z jaką troską ów oświecony złodziej wyniósł swoją zdobycz, nie uszkadzając innych cennych przedmiotów! Kto mógł posiadać taką wiedzę, taką cierpliwość, taką zręczność?

Sensu w tym nie było, ale fakt pozostawał faktem: bezcenne tabliczki z pismem klinowym zniknęły. W całym domu nie pozostał ani jeden fragment. A może zginęło znacznie więcej skarbów, a Reuben po prostu nie był tego świadomy?

Zaczął przeglądać z nową uwagą przedmioty zgromadzone na półkach sypialni. Były tam książki z siedemnastego wieku o miękkich, rozpadających się kartkach, ale wciąż zdatne do użytku, wciąż czytelne. Tak, równie prawdziwy jest ten posążek, to widać, pomyślał Reuben, odstawiając niewielką rzeźbę.

I to naprawdę są bezcenne zbiory.

Na jednej z półek znalazł nawet przepiękny i bardzo stary

naszyjnik - motyw drobnych, grawerowanych liści wykonano ze szczerzego złota. Ostrożnie odłożył go na miejsce.

Zszedł do biblioteki i zadzwonił na domowy numer Simona Olivera.

- Potrzebuję informacji - oznajmił. - Muszę wiedzieć, czy w toku śledztwa policja sfotografowała wszystkie przedmioty zgromadzone w tym domu. A konkretnie: czy istnieją zdjęcia z wszystkich pokoi, które nie zostały zdemolowane przez włamywaczy. A jeśli istnieją, to czy mógłbyś je dla mnie zdobyć?

Simon zapewnił go, że kancelaria prawnicza obsługująca rodzinę Nidecków zleciła wykonanie takiej dokumentacji zaraz po śmierci Marchent, ale zaznaczył, że zdobycie tych zdjęć nie będzie łatwe.

- Marchent też wszystko sfotografowała - przypomniał sobie Reuben. - Może chociaż ten materiał mógłbyś mi załatwić?

- Naprawdę nie wiem. Zobaczą, co się da zrobić. Na pewno dostaniesz z kancelarii spis przedmiotów tworzących masę spadkową.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedział Reuben. - Przyślij mi jutro e-mailem tyle zdjęć, ile uda ci się zdobyć.

Przerwał połączenie i zaraz zadzwonił do Galtona.

Dozorca zapewnił go, że absolutnie nikt prócz niego i członków jego rodziny nie wchodził do domu. Bywał tu regularnie z żoną, a czasem z kuzynem lub pasierbem, a także z Niną, dziewczyną z miasta, która często pomagała Felice - no właśnie, ona także przychodziła. Lubiła wędrować pieszo po lesie, ale nie ośmieliłaby się niczego dotknąć.

- I pamiętaj o alarmie, synu - dodał Galton. - Włączyłem go, gdy tylko śledczy zostawili dom w spokoju. - Alarm nigdy się nie psuł. Gdyby panna Nideck go nastawiła tamtej nocy, gdy doszło do napadu, włączyłby się natychmiast, gdy została wybita pierwsza szyba. - Reuben, naprawdę nikt nie wchodził do domu - powtórzył. A potem dodał, że przecież

mieszka ledwie o dziesięć minut jazdy samochodem; na pewno usłyszałyby, gdyby ktoś jechał drogą w stronę rezydencji. Owszem, widywał reporterów i fotografów, ale tylko w pierwszych dniach po napadzie, a i wtedy z reguły pilnował domu i nie spuszczał ich z oczu. Nie weszliby do środka, nie uruchamiając alarmu. - Zrozum, Reuben - ciągnął - że naprawdę trudno się tam dostać. Niewielu ludzi zagląda w te strony. Tylko miłośnicy przyrody i pieszych wędrówek — nikt więcej.

Racja. Reuben podziękował dozorcę za wszystko.

— Jeśli coś cię niepokoi, synu, to z przyjemnością wrócę i prześpię się na tyłach domu.

— Nie trzeba, Galton. Dziękuję panu. — Reuben odłożył słuchawkę.

Przez długi czas siedział przy biurku, spoglądając na wielką fotografię Feliksa i jego kompanii, wiszącą nad kominkiem.

Zasłony nie zostały zaciągnięte, toteż otaczały go ciemne tafle szyb, w których odbijało się wnętrze biblioteki. W kominku leżały dębowe drwa i rozpałka, ale Reuben nie miał teraz ochoty zajmować się ogniem.

Było mu zimno, niezbyt zimno. Siedział i dumał.

Istniała pewna możliwość. Jeden z tych ludzi, jeden ze starych przyjaciół Feliksa, mógł przeczytać o śmierci Marchent w tym domu - nawet jeśli przebywał gdzieś daleko, na drugim końcu świata, dokąd w erze przedinternetowej takie informacje nigdy nie docierały - i poświęcić trochę czasu na zbadanie szczegółów sprawy. Dowiedziawszy się wszystkiego, mógł przybyć tutaj, zakraść się do domu i zabrać gliniane tabliczki.

Morderstwo Marchent było naprawdę głośną sprawą. Reuben nie miał co do tego wątpliwości, sprawdzał w Internecie.

Ale jeśli właśnie tak przebiegały zdarzenia, mogło to oznaczać wiele rzeczy. Na przykład to, że bezcenne tabliczki Feliksa były w dobrych rękach, ocalone przez zaniepokojonego towarzysza-archeologa, który być może planował zwrócić je



Reubenowi, gdy tylko pozna jego — jak najlepsze przecież — zamiary. Albo który mógłby zapewnić im lepszą ochronę niż Reuben. Ta myśl nieco go uspokoiła.

Co więcej, ów towarzysz mógł posiadać informacje o tym, jaki los spotkał Feliksa. A jeśli nie, to Reuben przynajmniej zyskałby kontakt z osobą, która niegdyś znała Feliksa.

Naturalnie był to najbardziej optymistyczny scenariusz i gdyby Reuben nadal miał zwyczaj odtwarzać sobie w myśli zawsze krytyczny głos Celeste — ale nie miał! — to zapewne usłyszałyby teraz słowa w rodzaju: „Chyba śnisz!”.

A właśnie, pomyślał, już nie słyszę co minutę jej głosu. I jakby przestała do mnie pisać i dzwonić. Poszła do kina z Mortem Kellerem. Nie słyszę też głosu matki. Ale do diabła, cóż one mogą wiedzieć o tej sprawie? Phil nawet nie słuchał, gdy mówiłem mu o tabliczkach; czytał *Zdźbła trawy*. Mortowi nawet o nich nie wspominałem, ptawda? Mam wrażenie, że gdy odwiedził mnie w szpitalu, byłem zbyt ogłupiony środkami przeciwbólowymi i antybiotykami, żeby powiedzieć mu coś sensownego.

Reuben wrócił na górę, wyjął z torby laptopa i zaniósł go do biblioteki. Na lewo od biurka stał zabytkowy stolik pod maszynę do pisania. Ustawiwszy tam komputer, Reuben sprawdził jakoś łącza i uruchomił przeglądarkę.

Tak, rzeczywiście, zanim jeszcze Człowiek Wilk objawił się w San Francisco, historia Marchent trafiła na pierwsze strony serwisów informacyjnych nawet w dalekiej Japonii i Rosji. Reuben znał francuski, hiszpański i włoski akurat na tyle, żeby się zorientować, że tajemnicza bestia - zabójca zabójców -stała się sławna praktycznie wszędzie. Opisywano rezydencję Nidecków, a nawet otaczający ją las, ale najważniejszym elementem każdej relacji była zagadkowa istota.

Tak, przyjaciel Feliksa mógł przeczytać o wszystkim: o domu, o wybrzeżu i o charakterystycznym nazwisku Nideck.

Zostawił tę historię, by sprawdzić najświeższe doniesienia

o sprawie porwania w Goldenwood. Nic się nie zmieniło, jeśli nie liczyć wypowiedzi kilkorga rodziców, którzy stracili wiarę w szeryfa i agentów FBI - obwiniali ich o doprowadzenie do śmierci dziewczynki. Susan Kirkland. Tak się nazywała. Mała Susan Kirkland. Miała osiem lat. W sieci ukazały się już kolorowe zdjęcia jej uśmiechniętej buzi — była jasnowłosą istotką o słodkich oczach, nosiła różowe, plastikowe spinki.

Reuben spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta.

Poczuł mocniejsze bicie serca, ale poza tym nic się nie wydarzyło. Zamknął oczy i usłyszał odgłosy lasu oraz monotonną pieśń deszczu. Zwierzęta szeleściły w ciemności. I nocne ptaki. Miał dziwne, nieco dezorientujące wrażenie, że zapada się w dźwięki. Wzdrygnął się i otworzył oczy.

Niespokojny, niepewny, wstał i zaciągnął zasłony. Drobinny kurzu, które się z nich uniosły, szybko opadły. Włączył więcej świateł - przy skórzanej kanapie i krześle Morrisa. A potem rozpałił ogień w kominku. Bo dlaczego nie, do cholery?

Poszedł do wielkiej sali, by i tam podpalić kilka krótkich polan. Gdy buchnęły płomienie, upewnił się, czy osłona - której nie było tu pierwszego dnia — stoi pewnie na swoim miejscu.

Wrócił do kuchni. Kawa w dzbanku już dawno wystygła, ale nie potrzeba było wielkiego geniuszu, żeby nastawić świeżą. Po paru minutach sączył już całkiem niezły napar z urokliwej filiżanki z kolekcji Marchent, przechadzając się przy akompaniamencie wesołych trzasków z kominka i monotonnego śpiewu deszczówki płynącej rynkami i rurami, a także sunącej strumykami po dachówkach i szybach.

Miał dziwne wrażenie, że po raz pierwszy słyszy te dźwięki tak wyraźnie.

Kłopot w tym, że nie zwracasz wystarczającej uwagi na te drobne detale. Nie myślisz jak naukowiec.

Odstawił kawę na biblioteczne biurko i utworzył w komputerze nowy, opatrzony hasłem dokument. Zaczął wypełniać

go przemyśleniami, z których i tak nikt wiele by nie rozumiał.

Jakiś czas później otworzył tylne drzwi domu i stanął na progu, zapatrzonej w ciemność. Wyłączył reflektory i teraz dopiero dostrzegł wyraźnie piękne drzewa oraz wysoki, spadzisty dach nad skrzydłem służby, porośniętym splątaniem bluszczem.

Zmrużył powieki i spróbował wzbudzić transformację siłą woli. Wyobraził ją sobie, przypomniał towarzyszące jej oszołomienie i oczyścił umysł ze wszystkiego, co nie wiązało się z metamorfozą.

Bez skutku.

Znowu oładnęło nim poczucie osamotnienia. Naprawdę był sam, w zupełnie pustym domu.

— Na co masz nadzieję? O czym marzysz?

Mam nadzieję, że wszystkie te wątki jakoś się ze sobą wiążą: ten stwór, który mnie zmienił, nazwisko Nideck, nawet kradzież glinianych tabliczek. Może to właśnie one zawierały jakąś wskazówkę, dzięki której wiedziałbym, co mam teraz zrobić?

Brednie. Co mówił Phil na temat zła? „To błędy, błędy popełniane przez ludzi. Czy mówimy o ataku na wioskę i wymordowaniu jej mieszkańców, czy o zabiciu dziecka w napadzie szału — to wszystko są ludzkie błędy, nic więcej”.

A może i w tej sprawie chodziło o błędy? Może miał tylko szczęście, piekielne szczęście, że ludzie, których wymordował w bezmyślnym szale, zostali przez świat uznani za winnych?

A jeśli tak naprawdę to brutalna, tępa bestia była odpowiedzialna za jego przemianę? Nie jakiś mądry wilkołak, tylko zwykłe zwierzę, jak choćby ta niesławna puma? Co wtedy? Ale Reuben nie wierzył, że tak było. Ilu ludzi od zarania dziejów padło ofiarą podobnych ataków? A przecież nie zmienili się w potwory.

O dwudziestej pierwszej ocknął się w wielkim, skórzanym fotelu za biurkiem. Czuł sztywność w karku i ramionach, bolała go głowa.

W skrzynce miał wiadomość od Grace. Znowu rozmawiała „z tym specjalistą z Paryża”. Czy Reuben mógłby łaskawie zadzwonić?

Ze specjalistą z Paryża? Z jakim znowu specjalistą? Nie zadzwonił. Odpowiedział krótką wiadomością: „Mamo, nie jest mi potrzebny specjalista z żadnej dziedziny. Dobrze się czuję. Całusy, R.”

I najspokojniej w świecie siedzę w moim nowym domu, czekając cierpliwie, aż zmienię się w wilkołaka, dodał w myśli. Całusy, twój syn.

Był niespokojny i głodny, ale nie jedzenia potrzebował, lecz czegoś znacznie gorszego. Rozejrzał się po wielkim, ciemnym pokoju pełnym książek. Ogień zdążył zgasnąć. Reuben czuł, że musi się ruszyć, musi stąd wyjść, musi dokądś pognać.

Słyszał ciche szmery lasu, seplenienie deszczu w gęstych koronach drzew. Nie słyszał natomiast żadnego z większych zwierząt. Jeśli w okolicy przebywała samica kuguara, to zapewne spała teraz ze swymi młodymi. A nawet jeśli tak, to była tylko dzikim zwierzęciem, on zaś był ludzką istotą, czekającą coraz mniej cierpliwie w domu o szklanych ścianach.

Wysłał Galionowi listę zakupów, choć podejrzewał, że wiele z tych przedmiotów znalazłby gdzieś w domu. Przede wszystkim chciał nowych roślin do oranżerii — drzewek pomarańczowych, paproci i bugenwilli. Czego jeszcze? Na pewno coś się znajdzie. Tracił cierpliwość, czekanie doprowadzało go do szału.

Wszedł do sklepu internetowego i zamówił drukarkę laserową do biblioteki oraz stacjonarnego Maca z ekspresową dostawą, a także kilka odtwarzaczy płyt CD marki Bose i zupełnie nowy zestaw Blu-ray. Odtwarzacze płyt kompaktowych tej firmy były bodaj jedynymi przestarzałymi urządzeniami, które uwielbiał.

Rozpakował odtwarzacze Bose, które przywiózł ze so-

bą - w każdym z nich był też tuner radiowy - i ustawił jeden w kuchni, a drugi w bibliotece, na biurku.

Nadal nie słyszał żadnych głosów. Otaczała go głucha noc.

A przemiana wciąż nie następowała.

Przez chwilę snuł się po domu, rozmyślając i mówiąc do siebie. M usiał być w ruchu. Przykleił znaki w miejscach, w których chciał mieć ekrany telewizyjne. Przysiadł na chwilę, wstał, znowu spacerował, wszedł po schodach, przemierzył strych i zszedł na dół.

Stanął w deszczu, na podwórzu za domem. Po chwili ruszył wzdłuż muru, pod osłoną dachu, zaglądając w okna pokojów w skrzydle służby. Z każdego z nich można było wyjść na dziedziniec. Urządzone w stylu z lekka rustykalnym, wydawały się utrzymane w należytym porządku.

Dotarłszy do końca budynku, zauważył szopę. Znalazł w niej ogromny zapas drewna. Wzdłuż ściany ciągnął się długi blat roboczy, a nad nim wisiały na hakach siekiery i piły. Były i inne narzędzia, praktycznie wszystkie, jakich potrzeba do dokonania w domu małych i dużych napraw.

Reuben jeszcze nigdy nie trzymał w ręku siekiery. Sięgnął po największą z nich - miała trzonek długi na trzy stopy - i dotknął palcem ostrza. Musiało ważyć dobrych pięć funtów; miało mniej więcej pięć cali. I było ostre. Bardzo ostre. Reuben nieraz widział w filmach ludzi, którzy takimi siekierami rąbali pniaki na pól. Zastanawiał się, czy polubiłby takie zajęcie. Trzonek nie wydawał się ciężki; to metalowe ostrze musiało nadawać jej moc. Gdyby nie padało, być może poszukałby miejsca do ćwiczeń.

Zaraz jednak przyszła mu do głowy inna myśl. To była jedyna broń, jaką posiadał.

Zaniósł siekierę do domu i postawił przy kominku w wielkiej sali. Trzonek już dawno stracił dawny kolor, był teraz poszarzałym kawałkiem drewna, nierzucającym się w oczy w otoczeniu szczap przygotowanych do spalenia.

Reuben pomyślał, że jeśli zajdzie taka potrzeba, powinien zdążyć tu dobiec. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej nawet nie przyszłoby mu do głowy, że mógłby używać broni, ale teraz na myśl o walce nie miał żadnych oporów.

Niepokój stał się nieznośny. Czyżby opierał się przemianie? A może po prostu było za wcześnie? Jeszcze nigdy nie zaczynało się o tej porze. Trzeba czekać.

Ale nie mógł wytrzymać. Poczł mrowienie w dłoniach i stopach. Deszcz stał się nadzwyczajnie głośny. Reuben miał wrażenie, że znowu zaczyna słyszeć huk fal, ale nie był do końca pewny.

Wreszcie nie wytrzymał. Podjął decyzję. Nie miał wyboru. Zdjął ubranie, powiesił je schludnie w szafie i włożył to nowe, olbrzymie, kupione w Santa Rosa.

Omiał nie utonął w ogromnej bluzie z kapturem i o wiele za luźnych spodniach, ale to nie miało znaczenia. Brązowy płaszcz był zbyt wielki, by włożyć go od razu, ale Reuben postanowił, że zabierze go ze sobą.

Zdjął buty i wskoczył w ogromne kalosze. Owinął szyję szalikiem, wcisnął końce pod bluzę, a do kieszeni płaszcza wsunął okulary przeciwsłoneczne, telefon, portfel i kluczyki. Wreszcie, zabrawszy komputer i rękawice narciarskie, wyszedł z domu.

Omiał nie zapomniał o alarmie. Wrócił po kilku krokach i wpisał kod.

Nie zgasił świateł.

Odjeżdżając spod domu, widział w lusterku wstecznym jasne okna na parterze i na piętrze. Podobał mu się ten widok. Dom wyglądał na żywy i bezpieczny - to dobrze.

I wspaniale było być jego właścicielem. Znowu znaleźć się w tej mrocznej puszczy, tak blisko wielkiej tajemnicy. Cudownie było pracować stopami i zaciskać palce na skórzanej kierownicy wozu.

Deszcz zalewał przednią szybę porsche, ale Reuben bez tru-

du przenikał wzrokiem mokrą zasłonę. Reflektory wyłuskiwały z mroku nierówności drogi, a on stwierdził nagle, że chce mu się śpiewać. I śpiewał, rozpędzając samochód tak mocno, jak tylko się odważył.

Myśl. Myśl jak kidnaper, który przetrzymuje ponad czterdzieścioro dzieci. Myśl jak bezlitosny geniusz komputerowy, który jest w stanie załuc małą dziewczynkę na śmierć i rzucić jej ciało w deszczu na pustą plażę, a potem wrócić do zacisznej kryjówki, do komputera, z którego rozsyła zlecenia przelewów i żądania okupu.

Dzieciaki muszą być blisko, pod samym nosem policji.

Reuben znał boczne drogi okręgu Marin równie dobrze jak ulice San Francisco. Jeszcze niedawno bywał u kumpli w Sausalito i Mill Valley, a wtedy naturalnie włączyli się po szlakach na Mount Tamalpais i niesamowitych ścieżkach w Muir Woods.

Nie musiał zaglądać w okolice biura szeryfa przed rozpoczęciem łowów, ale zrobił to, bo słyszał już głosy policjantów dobiegające ze wszystkich stron i wiedział, że jeśli tylko znajdzie się bliżej, będzie umiał wyłowić je z wnętrza i zrozumieć - może któryś z nich zdradzi mu cenne informacje, którymi stróże prawa nie mieli ochoty dzielić się z resztą świata?

Zaparkował opodal San Rafael Civic Center i wszedł między drzewa, z dala od rozgadanego tłumu reporterów zgromadzonego przy wejściu.

Zamknął oczy i siłą woli skupił się na głosach dobiegających z wnętrza budynku. Szukał charakterystycznych, powtarzających się słów i potrzebował ledwie sekund, by wychwycić całe zdania. Tak, porywacze znowu się zgłosili, ale nie należy ujawniać tej informacji, nawet jeśli opinia publiczna będzie się tego domagać. „Powiemy, jeśli będzie powód!” - mówił stanowczy męski głos. „Na razie nie ma powodu”. I jeszcze: „Grożą, że zabijają kolejne dziecko”.

Gadanina i protesty, argument i kontrargument. Bank na Bahamach absolutnie nie zgadzał się na współpracę. Hakerzy też niczego się nie dowiedzieli.

Ale na ciele zabitej dziewczynki, a właściwie na butach



i ubraniu - choć opłukały je fale i deszcz - odkryto próbki gleby typowej dla okręgu Marin. Naturalnie nie był to niepodważalny dowód, ale brak innych próbek gleby był dobrym znakiem.

To wystarczyło, by utwierdzić Reubena w podejrzeniach, które powziął wcześniej.

Po lasach i górskich drogach krążyły wozy patrolowe. Pojawiły się punkty kontrolne; losowo przeszukiwano domy.

Teraz, gdy sam rozpoczynał poszukiwania, jego jedynym przeciwnikiem byli stróże prawa.

Właśnie wracał do samochodu, gdy zaskoczył go potężny i mpuls. To był odór, odór zła. Ostatnie noce nauczyły Reubena rozpoznawać go bezbłędnie.

Odwrócił się trochę wbrew sobie; bo nie chciał, by inne problemy odwracały jego uwagę od sprawy porwania. Głosy, coraz wyraźniejsze, dobiegały od strony tłumu dziennikarzy. Należały do dwóch młodych ludzi, z drwiną zadających niewinne pytania i ze źle skrywaną satysfakcją słuchających odpowiedzi, które i tak znali. Złowrogie, charakterystyczne, jednoznaczne. „Jesteśmy ze szkolnej gazetki, pomyśleliśmy, że i u zajrzemy...” „I naprawdę zatłukli ją na śmierć, biedactwo!”

Reuben czuł mrowienie na całym ciele, słodkie i wszechobecne.

- Będziemy się już zbierać, musimy wracać do San Frani isco...

Ale wcale się tam nie wybierali!

Reuben zbliżył się do grupy, w którą się wmieszali. Zobaczył dwóch młodych mężczyzn - krótkie fryzury z przedziałkiem, granatowe bluzy - machających na pożegnanie swym kolegom-reporterom.

Po chwili już biegli przez parking, w stronę land rovera i zekającego z włączonymi światłami. Siedzący za kierownicą był śmiertelnie przerażony i dawał sygnały, by się pospieszyli.

Dźwięki i zapachy układały się w ohydny muzykę, emanują-

cą pogardą i pychą. Sylaby właściwie nie miały znaczenia. Gdy dwaj młodzi mężczyźni wsiadali do wozu, Reuben doskonale czuł ich zadowolenie z siebie, podniecenie, radość z intrygi. Tylko kierowca był śmierdzącym tchórzem, ale i w nim nie było nawet cienia współczucia dla ofiar. Reuben wyczuwał i to.

Puścił się sptintern wokół parkingu, wciąż doskonale czując zapach odjeżdżających. Zmierzali w stronę wybrzeża.

Nie musiał obserwować tylnych świateł samochodu. Słyszał każde słowo nieprzyjemnej konwersacji. „Gliny gównem wiedzą!”

Kierowca był bliski hysterii. Nie podobała mu się ta sytuacja. Żałował, że dał się w to wciągnąć. Jąkając się, powtarzał, że tam nie wróci, bez względu na to, co powiedzą. To było szaleństwo, po co tam jechali, po co mieszały się z tłumem reporterów? Dwaj pasażerowie ignorowali go całkowicie. Gratulowali sobie triumfu.

Wiatr niósł ich zapach. Mocny zapach.

Reuben podążał za nimi w mrok. Rozmawiali teraz o czysto technicznych kwestiach. Czy powinni już teraz porzucić ciało na drodze do Muir Woods, czy może poczekać kilka godzin i zrobić to przed świtem?

Ciało. Reuben poczuł jego zapach; wieźli je ze sobą w samochodzie! Kolejne dziecko. Widział coraz wyraźniej. Jechali przed nim, w mroku, a jednak widział sylwetkę roześmianego młodzieńca w tylnej szybie. Dostrzegł też zarys wystraszonej twarzy kierowcy, niewiele widzącego w stugach deszczu.

- Mówię wam, że droga do Muir Woods jest za blisko -powiedział kierowca. - Przeżegnacie, naprawdę przeżegnacie.

- Do diabła z tym! Im bliżej, tym lepiej. Nie widzisz, jaki to genialny pomysł? Powinniśmy wyrzucić trupa przed domem. - Śmiech.

Reuben skrócił nieco dystans i odór porywaczy stał się trudny do zniesienia. Podobnie jak woń rozkładającego się ciała. Omal nie zwymiotował.

Mrowienie jeszcze się nasiliło. Wkrótce poczuł też skurcze

w piersi, a potem przyjemny dreszcz na skórze głowy. Włosy pojawiały się wolno, na całym ciele jednocześnie. Jakby gładziły go czułe ręce i jakby ich dotyk dodawał mu sił. Land rover przyspieszył.

- Damy im czas do piątej rano. Jeśli nie przyślą e-maila, wtedy wywalimy ciało. Niech to wygląda tak, jakbyśmy dopiero go zabili.

A zatem uśmiercili chłopca.

- Jeśli do południa dalej będą milczeć, proponuję dać im i rupa tej nauczycielki z długimi włosami.

Dobry Boże, czyżby zabili już wszystkich?

Nie, to niemożliwe. Po prostu nie widzieli zasadniczej różnicy między żywymi i martwymi zakładnikami, ponieważ i tak zamierzali ich wszystkich zamordować.

Jechał, czując, jak narasta w nim wściekłość.

Czuł się wyraźnie wyższy, a jego ręce pokryła już gęsta sierść. Wstrzymać się jeszcze, zaczekać. Dłonie zachowały swój kształt, ale grzywa już sięgała ramion, a wzrok poprawiał się z każdą chwilą. Reuben miał wrażenie, że w promieniu kilku mil słyszy absolutnie wszystkie dźwięki.

Wydawało mu się, że samochód sam się prowadzi.

Nagle land rover skręcił ostro, zmierzając krętą drogą w stronę otoczonego lasami miasteczka Mill Valley.

Reuben zwolnił. Po chwili do jego uszu dotarł nowy chór głosów.

Zapłakane dzieci. I kobiety, które próbowały nieść im pociechę słowami i śpiewem. Byli w zamkniętym pomieszczeniu, brakowało im powietrza. Niektórzy kaszleli, inni pojękiwali. Reuben wyczuwał wokół nich całkowitą ciemność. Był już bardzo blisko.

Land rover znowu się rozpędził, by po chwili skręcić w zaniedbaną drogę gruntową. Czerwone światła zniknęły wśród drzew.

Reuben wiedział już dokładnie, gdzie są dzieci. Wyczuwał je. Zatrzymał samochód w gęstwinie między dębami, na wzgórzu ponad głęboką doliną, w której zniknął land rover. Wsiadł z wozu i zdjął niewygodne ubranie oraz buty. Przemiana już się zakończyła; Reuben znowu czuł znajomą rozkosz. Zmusił się jeszcze do ukrycia ubrania w samochodzie — tylko dlatego, że było to równie ważne, jak zamknięcie zamka i ukrycie kluczyka w korzeniach pobliskiego drzewa.

Land rover był już na dnie doliny, właśnie wjeżdżał na trawiastą polanę przed wielkim i pięknym domem z tarasami na każdej z trzech kondygnacji. Za budynkiem, na tyłach posesji, pośród drzew stała porośnięta bluszczem stodoła. Właśnie tam znajdowali się porwani.

Wymieszane głosy kidnaperów sączyły się jak dym ku jego nozdrzom. Ruszył w dół stoku, przemieszczając się susami od drzewa do drzewa i mijając pogrążone we śnie, małe domki, aż wreszcie znalazł się na polanie — dokładnie w chwili, gdy trzech młodzi mężczyźni wchodzili do domu. W ciemności nocy budynek płonął niezliczonymi światłami, jak weselny tort.

Reuben już się nie kontrolował: z jego piersi i gardzieli wyrwał się potężny ryk. Żaden człowiek i żadne zwierzę nie potrafiłoby wydać takiego głosu.

Trzej mężczyźni, którzy byli już w przedsionku rezydencji, odwrócili się i ujrzeni szarżującą bestię. Mieli po dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Ich krzyki utonęły w donośnym ryku i warkocie Reubena. Jeden z nich padł na podłogę, a dwaj pozostali — ci bardziej zepsuci i zadowoleni z siebie — bez namysłu rzucili się do ucieczki.

Człowiek Wilk dopadł leżącego bez trudu i rozerwawszy mu gardło, patrzył przez moment, jak krew tryska z tętnicy. Pragnął z całej duszy pożreć tego człowieka, zacisnąć szczęki na jego mięsie, ale nie było na to czasu. Uniósł sflaczałe ciało,

ściskając je chciwie w łapach, a potem z całej siły cisnął w stronę dalekiej drogi.

Za mało, za szybko!

Potężnym susem dogonił dwóch pozostałych, siłujących się z zamkniętymi na klucz drzwiami na tyłach domu. Jeden z nich histerycznie drapał rękami szybę. Drugi był uzbrojony. Reuben wyrwał mu pistolet, łamiąc przy okazji jego nadgarstek, i rzucił w kąt.

Nie mógł się pohamować, po prostu musiał to zrobić: wbić kły w jego ciało. Tak bardzo tego pragnął! Dlaczego nie? Przecież nie zamierzał pozostawić go przy życiu. Warcząc wściekle, zaczął gryźć głowę i szyję porywacza. Zaciskał szczęki z całej mocy, aż wreszcie poczuł, że czaszka nie wytrzyma. Usłyszał i rzask, a z gardła konającego człowieka wyrwał się przeciągły skowyt.

Reuben poczuł rozkoszny dreszcz, zlizując krew ciekącą po twarzy ofiary. Zabójca, parszywy zabójca.

Wgryzł się teraz w jego ramię, jednym szarpnięciem rozrywając tkaninę i mięśnie. Poczuł bogaty, zniewalający smak surowego mięsa, zmieszany z fetorem zła, występku, całkowitego zepsucia. Chciał odrzeć mordercę z ubrania i ucztować na jego nagim ciele. Od początku miał na to ochotę, dlaczego nie miałby w końcu spróbować?

Ale gdzie zniknął drugi bandyta? Przecież nie wolno pozwolić mu uciec.

Trzeci porywacz był bez szans. Nie znalazłszy drogi ucieczki, bezradnie osunął się w kącie pokoju, trzęsąc się gwałtownie. Wyciągnął tęce przed siebie. Z jego ust chlustała woda, a może wymiociny? Zmoczył też spodnie, a uryna rozlewała się coraz szerzej po wyłożonej kafelkami podłodze.

Ohydny ten widok jeszcze bardziej rozwścieczył Reubena. Oni mordowali dzieci. Mordowali je. Cały ten pokój cuchnie zbrodnią. Cuchnie też tchórzostwem. Reuben rzucił się ku trzeciemu

porywaczowi, obiema łapami pochwycił go za tułów i nacisnął. Trzasnęły miażdżone żebra. Patrzył prosto w oczy konającego, aż zaszyły mgłą. Za szybko zdechłeś, tchórzliwy bydlaku.

Rzucił trupa na podłogę. Wciąż niezadowolony, ryknął głośno, znowu podniósł ciało i cisnął je w kierunku okna. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i zwłoki zniknęły w ciemności, za ścianą deszczu.

Reuben poczuł nagle głęboki zawód. Wszyscy trzej byli martwi. Jęknął głośno i westchnął chrapliwie. O wiele za szybko, pomyślał, a potem odrzucił głowę do tyłu i zaryczał gniewnie. Czuł ból w szczękach. Zacisnął je, znowu otworzył i raz jeszcze zaryczał. Jeszcze nigdy nie czuł tak silnego pragnienia. Miał wrażenie, że mógłby własnymi zębami rozrywać ościeżnice drzwi, tak bardzo chciał wbić kły w coś materialnego.

Ślina kapiała mu z ust. Wytarł ją ze złością. Spojrzał na swoje łapy, brudne od krwi. A dzieci? Zapomniałeś o dzieciach? Zapomniałeś, po co tu jesteś?

Ciężkimi krokami wrócił do frontowych drzwi domu, po drodze niszcząc lustra i obrazy wiszące na ścianach. Miał ochotę zdemolować nawet meble, ale wiedział, że musi iść po dzieci.

Kątem oka spostrzegł klawiaturę systemu alarmowego, podobną do tej, którą miał w Mendocino. Wcisnął niebieski klawisz alarmu medycznego, a potem czerwony oznaczający pożar. Głośne wycie syreny przerwało ciszę.

Zakrył łapami uszy i zawył z nieznośnego bólu, który rozsadzał mu czaszkę. Niestety, nie miał czasu, by szukać źródła tego ogłuszającego dźwięku. Musiał się spieszyć, jeśli nie chciał oszaleć.

W ułamku sekundy był już przy bramie stodoły. Zerwał zamki i połamał w drzazgi kilka desek, gdy pchnął ją do środka. W mocnym świetle bijącym od strony domu ujrzał autobus, zakuty w łańcuchy i oklejony całymi wiązkami taśmy, niczym blaszana sala tortur.

Dzieci piszczały przeraźliwie, ale wycie syreny niemal je zagłuszało. Reuben doskonale wyczuwał ich strach i rozpaczliwe podniecenie. Sądziły, że za chwilę zginą. A przecież już za kilka sekund miały się przekonać, że zostały ocalone, że nareszcie odzyskały wolność.

Jego pazury rozpruły taśmę, jakby to była papierowa chusteczka. Jedną łapą wybił szybę w drzwiach autobusu, a zaraz potem wyrwał je w całości.

W jego nozdrza uderzyła paskudna woń kału, wymiocin, moczu oraz potu. Okrutna prawda, pomyślał. Chciało mu się wyć.

Wycofał się. Wycie alarmu dezorientowało go, odbierało siły, ale wiedział, że zadanie zostało prawie wykonane.

Wybiegł ze stodoły prosto w deszcz. Czuł pod stopami rozmiękłą ziemię, gdy biegł do land rovera, gnany rozpaczliwym pragnieniem uwolnienia jeszcze jednego, martwego dziecka. Chciał ułożyć ciało w miejscu, w którym łatwo zostanie odnalezione, ale nie mógł już znieść dźwięku syreny. I tak znajdą tego chłopca, pomyślał. Ale źle by się czuł, gdyby zostawił go w bagażniku. Musiał jakoś przygotować scenę zbrodni dla przybywających ratowników.

Kątem oka spostrzegł w deszczu sylwetki, małe i duże, wysypujące się w pośpiechu z autobusu. Ruszyły w jego stronę. I na pewno widziały już wcześniej, ptzez okna, widziały, kim jest, widziały jego zaktwawione łapy oraz futro.

Wystraszą się jeszcze bardziej! Reuben czuł, że musi uciekać. Pobiegł w stronę lśniących dtzew na tyłach posiadłości, a potem dalej na zachód, w głąb wielkiego, milczącego lasu Muir.

Zielona połać Muir Woods zajmowała dobrych pięćset pięćdziesiąt akrów, a w jej skład wchodziły jedne z najstarszych sekwoi rosnących jeszcze w Kalifornii — drzewa wznoszące się na ponad dwieście stóp, a rosące od tysiąca lat z okładem. Głębokim kanionem przecinającym park płynęły co najmniej dwa strumienie. Reuben znał te strony; wiele razy urządzał tu sobie piesze wędrówki.

Zanurzył się w nieruchomy gąszcz, głodny samotności, która tak go zauroczyła w Mendocino. Czuł własną moc, swobodnie wspinając się na najwyższe drzewa i skacząc z korony na koronę jak na skrzydłach. Otaczał go zewsząd podniecający zapach innych zwierząt.

Gnał coraz dalej w głąb parku i zeskakiwał na miękką, usłaną liśćmi ziemię tylko wtedy, gdy przestawał słyszeć ludzkie głosy. Wtedy śpiewał dla niego jedynie deszcz, przy wtórze szeptów tysiąca drobnych istot ukrytych pośród paproci i listowia, których nawet nie umiał nazwać. Wysoko, między konarami drzew, słyszał ptaki.

Śmiał się w głos, powtarzając śpiewnie przypadkowe sylaby. Biegł na oślep, zataczał się i znowu wspinał po potężnych pniach, jak najwyżej. Krople deszczu kłuły go w oczy jak igły, gdy docierał prawie do wierzchołków, a drzewa, zbyt cienkie tam, by utrzymać jego ciężar, ugiwały się, zmuszając go, by przeskakiwał dalej. A potem znowu lądował na ściółce i gnał, kręcąc piruety z rozłożonymi ramionami.



Wreszcie odrzucił głowę do tyłu i teraz jeszcze zaryczał, tym razem pozwalając, by ryk zmienił się płynnie w głębokie wycie. Z ciemności nie odpowiedział mu żaden głos, poza tupotem i szelestem umykających w przerażeniu zwierząt. Bały się go.

Opadł nagle na cztery łapy i pobiegł tak, jak mógłby to uczynić wilk, zwinnie przebijając się przez gęste zarośla. I wtedy zwęszył zwierzę: rysia, który także przed nim uciekał, wypłoszony z legowiska. Popędził jego tropem, czując nieposkromiony głód, aż wreszcie wyciągnął łapę i pochwycił prychającego wściekle drapieżcę, by zatopić kły w jego gardle.

Tym razem nic nie mogło go powstrzymać przed ucztowaniem. Oderwał od kości soczyste mięśnie i kłapiąc łapczywie szczękami, zaczął pożerać wielkiego kota wraz z rudożółtawym I u trem, chłeptać krew i rwać miękkie wnętrzności, całe bogactwo jego brzucha, dobrych czterdzieści funtów pożywnego mięsa. Zostawił jedynie łapy i łeb, z którego spoglądały nań martwe, żółte ślepia.

Gdy skończył, legł na posłaniu z mokrych liści i zawył z cicha, oblizując z zębów resztki smaku ciepłego mięsa i krwi. Ryś. Pyszny. Koty nigdy nie błagają o litość. Koty prychają i walczą do końca. I to sprawia, że smakują jeszcze lepiej.

Nagle poczuł wielką odrazę i strach. Jeszcze przed chwilą biegł na czterech łapach jak zwierzę. I ucztował jak zwierzę.

W dalszą drogę ruszył na dwóch nogach, w zamyśleniu przebijając się przez gęsty las. Przeszedł nad strumieniem, po omszałym pniu zwalonego drzewa, i ruszył dalej w głąb kanionu, ku miejscom, których nie znał, ku stokowi Mount Tamalpais.

Wreszcie usiadł, by odpocząć wsparty plecami o drzewo. Wpatrując się w ciemny las, po raz pierwszy zobaczył, jak wiele stworzeń znajduje schronienie w gąszczu. Poczł zapach lisa, wiewiórki, tamiasa - skąd wiedział, jak je odróżnić?

Minęła godzina, a on wciąż węszył, włócząc się na czworakach po puszczy.

Znowu poczuł głód. Przykleknął nad strumieniem. Jego oczy bez trudu śledziły ruchy zwinnego łososia, aż zniemacka wbił łapę w nurt i wydobył z wody trzepocącą bezradnie, dorodną rybę, którą w mgnieniu oka rozerwał zębami. Rozkoszował się smakiem surowego mięsa, z błogością kontemplując to, jak bardzo różniło się od soczystej, choć żylastej rysiny.

Ale to nie głód zaspokajał, nieprawdaż? Było w tym coś innego, coś ważniejszego: Reuben sprawdzał, czym tak naprawdę się stał.

Znowu wspiał się na drzewo i wysoko wśród drżących gałęzi zaczął szukać ptasich gniazd. Pożerał jaja ze skorupkami, nie zwracając uwagi na samice, krążącą wokół niego z rozpaczliwym świergotem i dziobiącą daremnie.

Wrócił nad strumień, by opłukać twarz i łapy w lodowatej wodzie, ale po chwili wszedł do niej cały i zmoczył nawet głowę i ramiona. Musiał zmyć z siebie całą krew. Kąpiel podziałała orzeźwiająco, a gdy skończył, przykleknął jeszcze i pił długo, jakby nigdy w życiu nie miał okazji zaspokoić pragnienia — chłepcąc, siorbiąc i połykając wodę wielkimi haustami.

Krople deszczu błyskały, dziurawiając niespokojny, zmarszczony nurt. Ryby w pośpiechu, ale i obojętnie omijały jego nogi.

Reuben znowu skoczył na pień i dalej przemieszczał się skokami z drzewa na drzewo, wysoko ponad dnem doliny. Nie bójcie się, ptaszki. Nie zamierzam was prześladować.

Spojrzał w niebo, na gwiazdy połyskujące za zasłoną gęstej mżawki. Jakże piękny był to widok: otwarte niebo ponad wilgotnym całunem spowijającym ziemię. Wydawało się, że pracowicie szumiący deszcz niesie ku niej srebrzyste światło. Jego krople lśniły jak klejnoty i śpiewały, muskając liście wokół niego. A potem, gdy pikowały z wyższych konarów ku niższym i dalej, w stronę ziemi, znowu stawały się deszczem i miękko lądowały na drżących gałązkach paproci i soczystym, pachnącym kobiercu martwych liści. Nie czuł ich na ciele, a jedynie na powiekach. Ale wyczuwał zapach każdej kropli, niosły w sobie aromat wszystkiego, co obmywały i co karmiły.

Niespiesznie powrócił na ziemię. Szedł wyprostowany, nareszcie wolny od głodu i pragnienia, czując się cudownie bezpiecznie w tym mrocznym lesie. Uśmiechnął się na myśl o tym, że nie trafił jeszcze na istotę, w której nie budziłby strachu.

I tylko wspomnienie śmierci trzech złych ludzi psuło mu nastrój. Poczł mdłości i zachciało mu się płakać. Ale czy potrafił? Czy dzięki zwierzęta potrafią płakać? Zaśmiał się gardłowo. Zdawało mu się, że słuchają go drzewa, ale była to niedorzeczna iluzja: tysiącletni strażnicy nie interesowali się losem innych istot. Jakże olbrzymia była ta sekwojowa puszcza, jakże nie pasowała skalą do reszty naturalnego świata, jakże bosko prymitywna była i jaka wspaniała.

Noc jeszcze nigdy nie wydawała się Reubenowi tak słodka. Przyszło mu na myśl, że już zawsze mógłby tak żyć: był samowystarczalny, silny, potworny, absolutnie nieustraszony. Jeżeli to właśnie był wilczy dar, to był gotów go zaakceptować. Lecz z drugiej strony bał się, że mógłby poświęcić swą świadomą duszę, podporządkować ją sercu bestii, które biło teraz w jego piersi. Poezja jeszcze w nim żyła, a wraz z nią najgłębsze normy moralne.

Przypomniał sobie piosenkę, starą piosenkę, chociaż nie miał pojęcia, skąd ją znał. Zaczł śpiewać ją w głowie, układając na wpół zapomniane słowa we właściwym porządku i nucąc pod nosem melodię.

Wyszedł na trawiastą polanę, zalaną światłem nisko wiszącego, szarego nieba. Była przeciwieństwem ciemnego i gęstego lasu; wydała mu się niezwykle piękna, gdy tak patrzył na falujące na wietrze, błyszczące od deszczu źdźbła.

Zaczł tańczyć, zataczając z wolna szerokie kręgi, i śpiewać znacznie odważniej. Głos miał, jak mu się zdawało, głęboki i czysty, i zupełnie niepodobny do głosu dawnego Reubena,

biednego, niewinnego, lęklivego Reubena. To był głos Reubena, którym teraz się stał.

*Oto dar jest: być prostym. Oto dar: wolnym być. Oto dar: radość z miejsca, W którym dane nam żyć. Niech tam właśnie trafimy, Niech tam los rzuci nas, Gdzie dolina miłości, Igdzie zachwyty czas.*

Zaśpiewał jeszcze raz, z zamkniętymi oczami, tańcząc z większą werwą i zataczając jeszcze szersze kręgi. Przez opuszczone powieki spostrzegł dalekie, blade światło, ale nie zwrócił na nie uwagi. Tańczył i śpiewał...

Przystanął. Wychwycił mocny, niespodziewany zapach. Zapach czegoś słodkiego, z domieszką sztucznie wytworzonego aromatu.

Ktoś był bardzo blisko niego. Otworzył oczy i zobaczył złoty odbłask na mokrej od deszczu ttawie. Nie wyczuwał najmniejszego nawet zagrożenia. To był zapach człowieka - czystego, niewinnego i wolnego od strachu.

Odwrócił się i spojrzał w prawo. Bądź delikatny, ale i ostrożny, napomniał się w duchu. Inaczej przestraszysz, a może nawet przerażysz przypadkowego świadka.

Niedaleko od niego, na tylnym ganku małego i zupełnie nieoświetlonego domku, stała kobieta. Spoglądała na Reubena, trzymając w dłoni latarnię.

W tak ciemną noc blask samotnej lampy rozchodził się szeroko. Kobieta z całą pewnością musiała widzieć, kto przed nią stoi.

Nie ruszała się, mierząc go skupionym spojrzeniem ponad łąnem dzikich, miękkich traw. Miała długie włosy rozczesane

na boki oraz wielkie, ciemne oczy. Reuben miał wrażenie, że jej włosy siwieją, ale w tych warunkach mógł się mylić. Bo choć wzrok miał znakomity, nie potrafił dostrzec szczegółów jej postaci. Pewny był tylko tego, że ma na sobie koszulę nocną z długimi rękawami i jest całkiem sama. Nikogo nie było w ciemnym domku za jej plecami. Nie bój się!

Właściwie o niczym innym nie myślał. Była taka drobna, delikatna, gdy tak stała na ganku, niczym łagodne zwierzątko. I wpatrywała się w niego, ściskając w dłoni latarnię.

Proszę, nie bój się.

Znowu zaczął śpiewać tę samą strofkę, nieco wolniej, ale tym samym głębokim, czystym głosem. Ruszył ostrożnie w jej stronę i zdumiał się, widząc, że i ona zrobiła kilka kroków w kierunku schodków.

Nie bała się. To było jasne. Nie bała się ani trochę.

Podchodził coraz bliżej i bliżej, znowu z pieśnią na ustach. Wszedł już daleko w krąg mocnego światła latarni. Kobieta stała nieruchomo. Była zaciekawiona. Zafascynowana.

Podszedł jeszcze bliżej i przystanął u podnóża schodków.

Naprawdę siwiała, przedwcześnie siwiała, jej twarz była bowiem gładka jak maska z porcelany. Wielkie oczy błyszczały lodowcowym błękitem. Była zafascynowana i absolutnie spokojna, gdy jak zahipnotyzowana wpatrywała się w Reubena.

Co właściwie widziała? Może jego oczy, wpatrujące się w nią z takim samym zaciekawieniem, z taką samą fascynacją?

Poczuł w lędźwiach, że narasta w nim pożądanie, i to zaskakująco mocne. Czuł, że twardnieje. Czy to także widziała? Czy zauważyła, że jest nagi, że nie potrafi ukryć pożądania? Myśl o tym podnieciła go jeszcze bardziej, dodała mu sił i śmiałości. Jeszcze nigdy nie pragnął kobiety w taki sposób.

Wspiął się po stopniach i stanął nad nią, gdy odruchowo cofnęła się o krok. Ale nie był to odruch strachu, raczej zaproszenie.

Skąd ta niezwykła odwaga? Co znaczył ten spokój, który widział w jej oczach? Miała może trzydzieści lat, może nieco mniej. Była drobnej budowy; miała pełne i zmysłowe usta, a ramiona silne, choć szczupłe.

Niepewnie wyciągnął łapę ku niej. Miała dość czasu, by zerwać się do ucieczki, gdyby tylko chciała. Po chwili dwiema łapami odebrał jej latarnię, nie zwracając uwagi na żar klosza. Postawił ją na drewnianej ławie po ścianą. Drzwi były uchylone; dostrzegł za nimi bardzo wątłą plamę światła.

Ptagnął jej. Pragnął zerwać z niej tę białą, flanelową koszulę nocną.

Bardzo ostrożnie wyciągnął ku niej łapy i zamknął ją w uścisku. Czuł wyraźnie bicie własnego serca. Pożądanie, które nim owładnęło, było równie silne jak wcześniejsze pragnienia tej nocy: jak żądza mordy i uctowania. Uleganie takim imperatywom leży w naturze bestii.

W blasku latarni jej ciało było białe, cudownie delikatne. Jej wargi rozchyliły się i westchnęła cicho. Ostrożnie, najostrożniej, musnął je krawędzią łapy. A potem podniósł ją bez wysiłku, podłożywszy lewe ramię pod jej uda. Ważyła tyle co nic. Otoczyła rękami jego masywny kark, wsuwając palce w gęste futro.

Te proste gesty wystarczyły, by przekroczył granicę. Z jego piersi wyrwał się cichy warkot. Musiał ją posiąść, gdyby tylko na to pozwoliła. A najwyraźniej pozwalała.

Ruszył w stronę drzwi, pchnął je łagodnie i wniósł kobietę do ciepłego, słodko pachnącego wnętrza domu. Natychmiast rozpoznał wszystkie wonie tworzące tę mieszankę: zapach polerowanego drewna, perfumowanego mydła, świec, odrobiny kadzidelka oraz ognia. I jeszcze perfum, jej cudownie naturalnych perfum z odrobiną cytrusowej nuty, którą sama dodała. O, ciało, błogosławione ciało. Zawarczał znowu, jeszcze czulej niż poprzednio. Czy na pewno wyczuła w jego głosie czułość?

W małym, czarnym piecyku zarzyły się węgle. Cyfrowy zegar wskazywał godzinę anemicznym blaskiem.

Weszli do niewielkiej sypialni. Reuben zobaczył przed sobą zabytkowe łóżko o wysokim wezglowiu ze złotego dębu. Biała pościel wydała mu się miękka jak gąbka.

Tuliła się do niego. Jedną ręką musnęła jego twarz. Z początku prawie nie czuł dotyku jej palców na gęstym futrze, ale nauczył się po chwili. Pogładziła jego usta, wąską wstążkę czarnego ciała. Dotknęła zębów, długich kłów. Czy widziała, że się do niej uśmiechał? Mocno zacisnęła dłoń na jego grzywie.

Ucałował najpierw czubek jej głowy, a potem czoło, hmmm, satynowe, i wreszcie półprzymknięte oczy. Zacisnęła powieki. Były gładkie jak jedwab. Jedwabno-satynowe istotki, bezwłose i pachnące, miękkie jak płatki kwiatów.

Jakże naga i delikatna była w tej chwili. Szalał w głębi duszy. Proszę, najdroższa, nie rozmyśl się teraz!

Razem opadli na łóżko, ale zadbał o to, by nie przygnieść jej swoim ciężarem. Skrzywdziłby ją w ten sposób, dlatego zatrzymał się w porę i ułożył tak, by bezpiecznie zamknąć ją w ramionach. Zaczął gładzić jej włosy, odgarniać je z czoła. Była blondynką z niezliczonymi pasmami siwizny.

Pochylił się, by ją pocałować. Rozchyliła wargi i poczuła w ustach jego oddech.

- Delikatnie - wyszeptała, rozgarniając grzywę, która zasłoniła mu oczy.

- Och, piękna, piękna - odpowiedział. - Nie zrobię ci krzywdy. Prędzej umrę, kwiatuszku. Mój mały, wrażliwy kwiatuszku. Obiecuję.

Mały, cyfrowy budzik na nocnym stoliku wskazywał czwartą nad ranem. Jego wyświetlacz dawał akurat tyle światła, ile potrzebowały oczy Reubena.

Leżał obok niej, wpatrując się w sękaty sufity, pomalowane na wysoki połysk grubą warstwą lakieru.

Niegdyś ta sypialnia musiała być werandą - ciągnęła się wzdłuż całej tylnej ściany domku. Powyżej linii boazerii z trzech stron umieszczono okna. Wyobrażał sobie, jak pięknie musiało tu być za dnia, gdy promienie słońca przebijały się pośród rudych pni i zielonych, skórzastych liści.

Czuł zapach lasu, czuł to tak wyraźnie, jak nocą pośród drzew. Domek musiał wybudować ktoś, kto kochał tę puszcę i pragnął być blisko niej, a jednocześnie nie zakłócać rytmu jej życia.

Kobieta spała obok niego. Tak, miała mniej więcej trzydzieści lat, a jej niegdyś jasne włosy były teraz jakby przysypane popiołem - siwe, długie i całkiem naturalne. Nocą rozerwał jej koszulę nocną na stżępy, uwalniając nagie ciało, a ona poddała się temu posłusznie. Resztki tkaniny leżały teraz pod nią, niczym pióra wyściełające ptasie gniazdo.

Musiał kontrolować się ze wszystkich sił, aby jej nie skrzywdzić, gdy się kochali. Człowiek i bestia pracowali razem, a jej gorące pożądanie sprawiło, że była jak roztopiony воск. Przyjęła go bez ograniczeń, pojękując spontanicznie jak on, poruszając ciałem z całą mocą i wreszcie sztywniejąc pod nim u szczytu ekstazy.



Jej odwaga budziła w nim zdumienie graniczące z nieufnością.

Zasnęła przy nim jak dziecko. On jednak nie ośmielił się zapaść w sen. Leżał obok, rozmyślając, analizując to, co uczynił—i jako człowiek, i jako bestia — ale jednocześnie czując nieznaną mu wcześniej błogość: był przecież bestią, a ona go zaakceptowała.

Gdyby nie to, że bał się ją zbudzić, wstałby już i rozejrzał się nieco. Może usiadłby na wielkim, drewnianym fotelu na biegunach, a może przyjrzałby się bliżej oprawionym forografom, które stały na nocnym stoliku. Leżąc, widział tylko dwa z nich: jego kobieta uśmiechała się do obiektywu na jednym, ubrana w turystyczny strój, z plecakiem i kijem w dłoni. Na drugim pozowała z dwoma małymi, jasnowłosymi chłopcami. Jakże odmiennie prezentowała się na tym zdjęciu — miała starannie ułożone włosy i sznur pereł na szyi.

Na stoliku leżały też książki, stare i nowe, ale wszystkie traktujące o lasach, dzikiej przyrodzie i roślinach występujących w Muir Woods i na zboczu pobliskiej góry. Nic dziwnego. Któż inny mógłby mieszkać w tak bezbronny siedlisku, jeśli nie kobieta, dla której puszcza była wszystkim?

Reuben miał wrażenie, że leży obok niego najłagodniejsze dziecko tego świata. I tak nierozważnie ufne. Stanowczo zbyt ufne. Pociągała go niewiarygodnie, zwłaszcza tym, że przyjęła go do swego łóżka, mimo iż widziała go w takiej postaci. I była tak gorąca. Spojrzał na nią, zastanawiając się, kim tak naprawdę jest i o czym śni.

Musiał już iść. Zaczynał czuć zmęczenie. Gdyby nie ruszył teraz w drogę powrotną przez las, przemiana mogłaby zaskoczyć go zbyt daleko od samochodu, który pozostawił na wzgórzu nad miejscem, w którym ukryto porwane dzieci.

Pocałował ją ustami bez warg, czując przy tym, jak jego długie kły dotykają jej zębów.

— Przyjmiesz mnie jeszcze? - spytał niskim, chrapliwym głosem, stając się, by zabrzmiało to jak najłagodniej.

— Tak — szepnęła.

Z trudem się opanował, tak bardzo pragnął wziąć ją raz jeszcze. Ale nie miał już na to czasu. Chciał ją poznać i chciał... tak, chciał, żeby ona poznała jego. O, zachłanności, pomyślał. Przecież dostał już tak wiele: nie uciekła przed nim ze strachu, przez długie godziny dzieliła z nim swoje pachnące posłanie.

Unióśł jej dłoń i ucałował, a potem jeszcze raz usta.

— W takim razie do zobaczenia, piękna.

— Laura — podpowiedziała. — Mam na imię Laura.

— Żałuję, że ja nie mam imienia — odparł. — Chętnie bym ci je podał.

To powiedziawszy, wstał i wyszedł.

W pośpiechu skakał po wierzchołkach drzew Muir Woods, kierując się na południowy wschód. Prawie nie dotykał ziemi, aż dotarł do granicy parku i zagłębił się w lesistą gęstwinę Mili Valley.

Właściwie nie zastanawiając się nad tym, co robi, bez trudu odnalazł swoje porsche dokładnie tam, gdzie je pozostawił. Czekają bezpiecznie w dębowym zagajniku.

Deszcz wreszcie ustąpił, zmienił się w lekką mżawkę. Z ciemności dobiegały dalekie głosy. W głębi doliny raz po raz odzywały się krótkofalówki policjantów, którzy w wielkiej liczbie badali miejsce ukrycia porwanych.

Reuben usiadł przy samochodzie i przygarbił się, próbując zmusić ciało do transformacji. I rzeczywiście, zaczęła się po paru sekundach. Wilcza sierść zniknęła, przy wtórze ekstatycznych dreszczy.

Niebo było już prawie jasne. Czuł, że brakuje mu sił; był bliski omdlenia.

Włożył na siebie to wielkie ubranie, które ze sobą przywiózł, ale... dokąd właściwie miał jechać? Na pewno nie do Nideck

Point; nie miał na to siły. Nawet krótka podróż do domu wydawała mu się zbyt daleka. Nie mógł tam wrócić. Nie teraz.

Zmusił się do wysiłku: wyjechał na szosę. Z trudem powstrzymywał opadające powieki. Możliwe, że dziennikarze wykupili wszystkie pokoje w Mili Valley Inn i we wszystkich innych motelach i hotelach w promieniu paru mil, pomyślał. Puszyl więc na południe, w stronę Golden Gate, już tylko siłą woli panując nad sennością. Po chwili przez mgłę przebiły się pierwsze, stalowe i bezduszne promienie słońca.

Reuben wjeżdżał właśnie do miasta, gdy znowu lunął deszcz.

Dostrzegłszy neon dużego motelu przy Lombard Street, bez namysłu skręcił na parking. Od razu zwrócił uwagę na pokoje na piętrze, z balkonami. I właśnie takiego, na tyłach budynku, zażądał. „Byle jak najdalej od ulicy”.

Zaciągnął żaluzje, zrzucił niewygodne, szorstkie ubranie i wpełzł do małżeńskiego łóża niczym do tratwy ratunkowej. Przycisnął twarz do chłodnej, białej poduszki i natychmiast zasnął.

Ojciec Jim zamknął kościół pod wezwaniem Świętego Franciszka w Gubbio, położony w Tenderloin w San Francisco, gdy tylko zapadł zmierzch. Za dnia bezdomni spali na kościelnych ławkach i pożywiali się w jadłodajni przy tej samej ulicy, ale z nastaniem nocy świątynia musiała zostać zamknięta — dla bezpieczeństwa. Reuben doskonale o tym wiedział.

Wiedział też, że około dwudziestej drugiej - czyli właśnie teraz — jego brat śpi już jak dziecko w swym ciasnym, po spar-tańsku urządzonej mieszkanke, w budynku naprzeciwko kościelnego dziedzińca.

Przez pierwszych kilka lat Jim mieszkał na plebanii, ale teraz mieściło się tam biuro parafialne i magazyny. Grace i Phil, za zgodą arcybiskupa, zafundowali synowi nowe lokum. Później kupili zresztą cały budynek, który Jim stopniowo przeistaczał w noclegownię dla co bardziej porządnych, zubożałych mieszkańców dzielnicy.

Reuben, ubrany w swój brązowy trencz i bluzę z kapturem — ale boso - przemierzał się po dachach w stronę kościoła, aż zeskoczył na ciemne podwórze. Przemiana dopadła go trzy godziny wcześniej. Od tamtej chwili walczył, by nie ulec głosom dobiegającym ze wszystkich stron, ale dłużej już nie mógł.

Zadzwoił do brata ze swojej komórki, z którą radził sobie coraz lepiej.

— Muszę się wyświadczyć, koniecznie w kościele — powiedział głębokim, gardłowym głosem, do którego zdążył się już

przyzwyczać, ale którego Jim nie miał prawa rozpoznać. -Muszę do konfesjonału. Tylko tam.

- W tej... chwili? - Jego brat przytomniał z wolna.

- Nie mogę zwlekać, ojczy. Jesteś mi potrzebny. I Bóg jest mi potrzebny. Wybaczysz mi, gdy mnie wysłuchasz. — Być może, dodał w myślach.

Czekając na brata, Reuben poprawił szalik zasłaniający jego usta oraz wielkie okulary przeciwsłoneczne.

Jim, nieustrudzony i wierny swemu powołaniu kapłan, otworzył furtkę i wszedłszy na dziedziniec, zdziwił się mocno - po pierwsze tym, że penitent już się pojawił, a po wtóre tym, że był tak imponujących rozmiarów - ale uprzejmie skinął głową i podszedł do ciężkich, drewnianych drzwi świątyni.

Ależ ryzykuje, pomyślał Reuben. Mógłbym bez trudu rąbnąć go w głowę i ograbić kościół choćby z tych złotych świeczników.

Zastanawiał się też, jak często Jim tak robi i dlaczego jego życie składa się wyłącznie z poświęcenia i ciężkiej pracy. Jak to możliwe, że potrafi każdego dnia częstować zupą i wołowiną z puszek obcych ludzi, którzy tak często sprawiali mu zawód, albo co rano stawać przy ołtarzu i odprawiać ten sam rytuał, jakby naprawdę dokonywał się cud przemiany chleba i wina w ciało i krew Chrystusa?

Kościół Świętego Franciszka był jedną z najbardziej ozdobnych i barwnych świątyń w mieście. Wzniesiono go na długo przed tym, nim Tenderloin stało się największym i najbardziej znanym slumsem San Francisco. Przestronną nawę główną wypełniono pięknie rzeźbionymi, ciężkimi ławami; ściany były pokryte kolorowymi, często złoconymi freskami. Wielkie malowidła pod trzema rzymskimi łukami stanowiły też tło dla ołtarza głównego i dwóch bocznych — świętego Józefa i Najświętszej Marii Panny - a ciągnęły się aż do narożników świątyni. I tam właśnie, po prawej stronie, stały stare, drewniane

konfesjonały. Podobne do małych, trzyczęściowych domków, składały się z kabiny dla księdza i dwóch obudowanych klęczników po jej przeciwległych stronach. Kratkę oddzielającą kapłana od penitenta można było zasłonić drewnianym panelem.

Właściwie nie istniał formalny nakaz dokonywania spowiedzi właśnie w konfesjonale - taką samą wagę miało wyznanie grzechów na parkowej ławce, w zwykłym pokoju czy jakimkolwiek innym miejscu. Reuben o tym wiedział, ale ta spowiedź musiała mieć absolutnie oficjalny charakter i musiała się odbyć w sekrecie - tego pragnął i o to poprosił swego brata.

Poszedł za Jimem do pierwszego konfesjonatu - ostatnio tylko ten był w użyciu. Cierpliwie przyglądał się, jak jego brat wyjmuje z kieszeni małą, satynową stułę i zakłada ją na szyję na znak gotowości do udzielenia sakramentu pokuty.

Reuben bez słowa zdjął okulary i opuścił szalik, odsłaniając twarz.

Jim tylko przelotnie spojrzał na niego, gestem zapraszając, by zajął miejsce z boku konfesjonatu, ale to przelotne spojrzenie wystarczyło. Wstrzymał oddech i cofnął się odruchowo, aż oparł się plecami o drewnianą ścianę. Jego prawa ręka natychmiast skierowała się w stronę czoła. Przeżegnał się. Zamknął oczy i otworzył je ponownie, by stawić czoło rzeczywistości.

- Spowiedź - przypomniał mu Reuben, otwierając drzwi konfesjonatu. Tym razem to on skinął dłonią, wskazując bratu miejsce.

Jim potrzebował minuty, żeby się pozbietać.

Przedziwne było to uczucie, obserwować go w tej sytuacji: nie wiedział, że ten potwór, na którego patrzy, jest jego bratem, Reubenem. Bo czy zdadza się, że brat lub siostra patrzy na nas jak na zupełnie obcą osobę?

Reuben wiedział teraz więcej, niż mógłby poznać z codziennych kontaktów z Jimem. Wiedział na przykład, że jego brat jest odważniejszym i bardziej oddanym swemu powołaniu czło-

wiekim, niż sobie wyobrażał. I że potrafi z pełnym spokojem zapanować nad lękiem.

Reuben wszedł do kabiny penitenta i zaciągnął za sobą aksamitną zasłonę. Było ciasno; najwyraźniej budowano ten konfesjonał z myślą o mężczyznach i kobietach raczej drobnej budowy. Oparł kolana na miękkim klęczniku i spojrzał na okienko dzielące go od spowiednika w chwili, gdy Jim odsunął panel. W półmroku dostrzegł dłoń brata, kreślącą znak krzyża.

— Pobłogosław mi ojcie, bo zgrzeszyłem — zaczął Reuben. — Wszystko, co ci opowiem, musi pozostać tajemnicą spowiedzi.

— Naturalnie — odpowiedział Jim. — Czy twoje intencje są szczerze?

— Najzupełniej. To ja, Reuben. Twój brat. Jim milczał.

— To ja zabiłem gwałciciela z North Beach oraz dwóch ludzi w Golden Gate Park. To ja uśmierciłem kobietę na Buena Vista Hill, która znęcała się nad dwojgiem starszaków. Zabiłem też porywaczy w Marin i uwolniłem dzieci. Spóźniłem się, nie zdążyłem ocalić wszystkich zakładników. Dwoje dzieci zginęło. A dziś rano umarła jeszcze jedna dziewczynka, chora na cukrzycę.

Cisza.

— Naprawdę jestem twoim bratem — powtórzył Reuben. — Zaczęło się od tego ataku w Mendocino. Nie wiem, co za bestia mnie tam dopadła i czy świadomie przekazała mi swoją moc. Wiem tylko, jaką bestią się stałem.

I znowu kompletna cisza. Jim wpatrywał się nieruchomo w przestrzeń. Opierał ramię na podłokietniku fotela, a dłonią zasłaniał usta.

— Przemiana następuje wieczorem, o coraz wcześniejszej porze — ciągnął Reuben. — Dziś zaczęło się już koło siódmej. Nie wiem, czy będę w stanie nauczyć się ją powstrzymywać albo wywoływać siłą woli. Nie wiem, dlaczego nad ranem znowu

staję się człowiekiem. Wiem tylko, że jestem wtedy wyczerpany, bliski śmierci. Jak odnajduję ofiary? Słyszę je. I wyczuwam ich zapach, zapach niewinności, strachu, a także zła emanującego z tych, którzy je atakują. Zupełnie tak, jak pies albo wilk wyczuwa swoją zdobycz. Resztę już znasz. Czytałeś gazety, słuchałeś wiadomości. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Cisza.

Reuben czekał. W ciasnej kabinie było mu potwornie gorąco, ale czekał.

Wreszcie Jim przemówił, głosem chrapliwym i cichym, zmienionym nie do poznania:

- Jeśli jesteś moim młodszym bratem, musisz wiedzieć o czymś, o czym tylko on może wiedzieć. Muszę usłyszeć coś takiego, żeby uwierzyć, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Chryste panie, Jimmy, to naprawdę ja - zachnął się Reuben. - Mama nic o tym nie wie, ani Phil. Nawet Celeste. Nikt nie wie, Jim, oprócz pewnej kobiety, ale ona z kolei nie zna mojej prawdziwej tożsamości. Zna mnie tylko jako Człowieka Wilka. Nawet jeśli zadzwoniła do FBI, NIH czy CIA, to jak na razie nic mi o tym nie wiadomo. Mówię ci o tym wszystkim, Jim, bo cię potrzebuję, chcę, żebyś wiedział. Jestem sam, zupełnie sam. I jestem twoim bratem. Wciąż nim jestem, prawda, Jim? Proszę, odpowiedz mi.

Dostrzegł w półmroku, że Jim zasłania dłońmi twarz aż po oczy. Rozległ się stłumiony dźwięk, jakby kasznięcie.

- Zgoda - powiedział Jim, a potem westchnął i wyprostował się. - Reuben, daj mi chwilę do namysłu. Wiesz, ludzie mawiają, że księdzka w konfesjonale nic nie może zszokować... Ale to chyba nie dotyczy księży, którzy spotykają kogoś w rodzaju. ..

- Zwierzęcia - odpowiedział Reuben. - Jestem wilkołakiem, Jim. Chociaż wolę określenie „człowiek wilk”. Nawet w tym stanie zachowuję pełną świadomość, co zresztą sam na



pewno zauważyłeś. Ale to nie takie proste. Buzują we mnie hormony, gdy przyjmuję tę postać. Mają wpływ na moje emocje, jestem wciąż Reubenem, ale Reubenem ulegającym zupełnie nowym wpływom. I nikt tak naprawdę nie wie, do jakiego stopnia te hormony - i te emocje - wpływają na moją wolną wolę, zahamowania, normy moralne.

- To prawda. Nikt też nie ubrałby tego w słowa lepiej niż mój mały braciszek Reuben.

- Phil Golding nie wychował ani jednego syna niezdolnego do obsesyjnych rozmyślań o sprawach kosmicznych.

Jim parsknął śmiechem.

- Ale gdzie jest Phil, kiedy go naprawdę potrzebuję?

- Nawet o tym nie myśl - odparł Reuben. - To, o czym tu rozmawiamy, musi pozostać tajemnicą.

- Amen. Bezapelacyjnie. Reuben milczał.

- Łatwo jest zabijać — odezwał się po chwili. — Mówię o zabijaniu tych, którzy śmierdzą winą. Chociaż to może nie całkiem tak. Nie śmierdzą winą. Śmierdzą zamiarem wyrządzenia zła.

- A inni? Niewinni ludzie?

- Pachną zwyczajnie, jak ludzie. Pachną niewinnością, pachną zdrowiem. Dobrze pachną. I pewnie dlatego bestia z Mendocino darowała mi życie. Pochwyciła mnie podczas ataku na dwóch zabójców, ale wypuściła. I możliwe, że wiedziała, jaki to będzie miało skutek. Co mi przekazuje.

- Nie wiesz, kim albo czym była?

- Nie. Jeszcze nie. Dowiem się jednak, jeśli tylko istnieje jakiś sposób. Są pewne sprawy, których nie ogarniam. Sprawy, które łączą mój los z tamtym domem i tamtą rodziną. Ale jest jeszcze za wcześnie, żeby doszukiwać się w nich sensu.

- A co z dniem dzisiejszym? Zabiłeś dziś kogoś?

- Nie. Ale jest jeszcze wcześnie, Jim.

— Całe miasto cię szuka. Kamery na wszystkich skrzyżowaniach. Obserwatorzy na dachach. Reuben, samych dachów też pilnują, robią zdjęcia satelitarne. Wiedzą, że właśnie tamtędy się przemieszczasz. I złapią cię, bracie. Zastrzelą na miejscu! Zabiją.

— To nie takie łatwe, Jim. Pozwól, że sam będę się o to martwił.

— Posłuchaj, chcę, żebyś oddał się w ręce władz. Pojadę z tobą do domu. Wezwiemy Simona Olivera i prawnika z firmy, jak mu tam, Garyego Pageta, i...

— Przestań, Jim. Nic z tego.

— Chłopczyku, nie poradzisz sobie sam. Rozrywasz ludzi na strzepy i...

— Przestań, Jimmy.

— Sądzisz, że dam ci rozgrzeszenie za...

— Nie przyszedłem po rozgrzeszenie. Przecież wiesz. Przyszedłem do ciebie jak do spowiedzi, bo musisz dochować tajemnicy. Nie wolno ci z nikim o tym rozmawiać, Jim. Obiecałeś to Bogu, nie tylko mnie.

— To prawda, ale musisz zrobić to, co ci każe. Musisz pójść do mamy i wyjaśnić jej wszystko. Pozwól, że cię zbada; niech ustali fizyczne przyczyny tej przemiany. Kontaktował się z nią jakiś specjalista z Paryża, zdaje się, że Rosjanin, o dziwnym nazwisku — Jaska, o ile się nie mylę. Twierdzi, że widywał już podobne przypadki, że takie dziwne rzeczy przytrafiały się i innym, nie tylko tobie. To nie jest pierwszy raz, Reuben...

— Oczywiście.

— Nie żyjemy w średniowieczu, Reuben. I nie spacerujemy ulicami dziewiętnastowiecznego Londynu! Mama jest idealną osobą; jeśli ktoś ma rzucić światło na tę sprawę, to...

— Mówisz poważnie? Zdaje ci się, że mama urządzi laboratorium Frankensteina, z tym całym Jaską do spółki, żeby zrobić ze mnie swój mały projekt badawczy? Może jeszcze zatrudni garbatego pomocnika imieniem Igor, żeby mi zrobił rezonans

magnetyczny i mieszał chemikalia? Myślisz, że w ciasnej celi przypnie mnie do żelaznego krzesła o zachodzie słońca, żeby patrzeć, jak ryczę i wyrywam się z pianą na ustach? Chyba śnisz. Jedno słowo mamie i jestem skończony, Jim. Do diabła ze specjalistą z Paryża; będzie chciała skrzyknąć najwybitniejsze u mysły naukowe świata. Taka już jest. I tego spodziewałby się po niej cały świat: że chwyci za telefon i wezwie speców z NIH. A tymczasem zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby mnie zatrzymać, żebym „nie skrzywdził” już nikogo więcej. A to byłby koniec, Jim. Koniec. Albo raczej początek życia Reubena w roli królika doświadczalnego, zamkniętego w klatce pod rządowym nadzorem. Jak sądzisz, ile czasu minęłoby, zanim przepadłbym bez śladu w którejś z rządowych instytucji? A mama nie mogłaby zrobić nic, żeby temu zapobiec. Powiem ci, co się wydarzyło, gdy dwie noce temu wszedłem do tego domu na Buena Vista. Kobieta do mnie strzeliła, Jim, a do rana nie było już śladu po kuli. Moje ramię jest najzupełniej zdrowe, chociaż było przestrelone na wylot. Nic się nie dzieje.

Jim, pobieraliby mi krew codziennie przez resztę życia -mówił - usiłując wyizolować składnik, który zapewnia mi lak niewiarygodną zdolność do regeneracji. Zrobiliby biopsję wszystkich organów mojego ciała. Nawet mózgu, gdyby nikt ich nie powstrzymał. Badaliby mnie wszystkimi instrumentami znanymi ludzkości, żeby się dowiedzieć, jak i dlaczego zmieniam się w zwierzę oraz jakie hormony lub związki chemiczne sprawiają, że się rozrastam, że wyrastają mi kły i pazury, że porastam wilczą sierścią, że staję się tak mocny i tak agresywny. Próbowaliby znaleźć sposób na wzbudzenie i hamowanie przemiany. Bardzo szybko doszliby do wniosku, że to, co się ze mną dzieje, można wykorzystać nie tylko do przedłużenia ludzkiego życia, ale także w celach obronnych. Bo gdyby udało się wyhodować korpus elitarnych żołnierzy-wilków, zyskaliby potężne narzędzie do wykorzystania w wojnie partyzanckiej

w tych zakątkach świata, w których nie da się wykorzystać konwencjonalnych metod prowadzenia walki.

— W porządku. Wystarczy. Widzę, że porządnie to przemyślałeś.

— O, tak. Zdecydowanie — odparł Reuben. — Przez cały dzień leżałem w motelowym pokoju, słuchając wiadomości i rozmyślając tylko i wyłącznie o takich sprawach. Na przykład o tym, z jaką łatwością mógłbym dotrzeć do zakładników przetrzymywanych w kolumbijskiej dżungli. Naprawdę myślałem o wszystkim, choć może teraz widzę to jeszcze jaśniej. — Zawahał się, a potem dodał łamiącym się głosem: — Nie masz pojęcia, jak wiele znaczy dla mnie ta rozmowa, Jim. Ale niech będzie prawdziwa. Rozważmy fakty. Co się ze mną naprawdę dzieje?

— Musi być ktoś, komu możesz zaufać - odparł Jim. - Ktoś, kto może przyjrzeć się sprawie, nie stawiając cię w niebezpiecznym położeniu.

— Nie ma nikogo takiego, Jimmy. To dlatego filmy o wilkołakach zawsze kończą się tak samo: ktoś strzela do nich srebrną kulą.

— Czy to realny scenariusz? Srebrna kula może cię zabić? Reuben zaśmiał się cicho.

— Nie mam pojęcia - odparł. - Przypuszczam, że nie. Pewne jest to, że nóż i zwykła kula nie wystarczą. Ale może istnieje jakiś prosty sposób na pozabawienie mnie życia? Może jakaś toksyna? Kto wie?

— W porządku, rozumiem. Rozumiem też, dlaczego nie możesz zawierzyć mamie. Szczerze mówiąc, sądzę, że udałoby się ją przekonać do zachowania tajemnicy - choćby dlatego, że cię kocha, Chłopczyku, i jest twoją mamą. Mogę się jednak mylić, nawet bardzo. Nie sposób zgadnąć, co by zrobiła, ale na pewno postawiłbyś ją przed niezmiernie trudnym wyborem.

— To kolejna sprawa, którą trzeba brać pod uwagę, prawda? — odparł Reuben. — Muszę chronić tych, których kocham,

przed poznaniem mojej tajemnicy, ze względu na to, co mogłaby uczynić z ich umysłami i ich życiem.

I dlatego, dodał w duchu, tak bardzo chcę uciec już stąd i odnaleźć Laurę w głuchej puszczy Marin. I dlatego chcę znowu znaleźć się w jej objęciach: z jakiegoś powodu tylko ona nie czuła strachu ani odrazy. Mało tego, tuliła mnie, pozwoliła się tulić...

Nieźle myśli. W sam raz do konfesjonału.

- Jeśli chodzi o tę kobietę - zaczął z wahaniem. - Naprawdę nie wiem, kim ona jest. Szukałem danych w Internecie, możliwe, że z niezłym skutkiem, ale nie to jest ważne. Widzisz, ja... natknąłem się na nią niespodziewanie i położyłem się z nią.

- „Położyłem się z nią”? Cóż za biblijne krasomówstwo. (!hcesz powiedzieć, że uprawialiście seks?

- Tak. Ale celowo użyłem takich słów, bo było w tym coś niedzisiejszego, klasycznie pięknego.

- Coraz lepiej. Słuchaj, ty naprawdę nie poradzisz sobie sam w tej sytuacji. Nie panujesz nad swoją mocą i z tego, co słyszę, nic panujesz też nad samotnością.

- A kto miałby mi pomóc?

- Właśnie próbuję.

- Wiem, Jim.

- Musisz znaleźć sobie kryjówkę na tę noc. Policja wszędzie cię szuka. Wszyscy sądzą, że jesteś wariatem przebranym za wilka.

- Nic nie wiedzą.

- Owszem, coś już wiedzą. Próbkę DNA z twojej śliny pozostawionej na ciałach ofiar są już w laboratorium. Co będzie, jeśli uda się ustalić, że to zmutowane ludzkie DNA? Jeśli znajdą się w nim niespotykane sekwencje?

- Nie znam się na tym - przyznał Reuben.

- W toku badań pojawiły się problemy, o których władze wolą nie informować opinii publicznej. To wszystko oznacza

kolejne, bardziej zaawansowane testy. Celeste twierdzi, że ich zdaniem ktoś manipulował przy dowodach.

- Co masz na myśli?

- Podejrzewają, że Człowiek Wilk bawi się z nimi w kotka i myszkę, podrzucając dziwaczne dowody na miejsce zbrodni.

- To niedorzeczność! Szkoda, że ich tam nie było!

- Łączą też ostatnie ataki ze sprawą w Mendocino. Mama zresztą też. Naciska, żeby powtórzono badania zwłok tych dwóch narkomanów. I tak się stanie.

- Twierdzisz, że uda się ustalić, że w tamtych próbkach znajduje się inne DNA, co oznacza, że po świecie włóczy się dwie podobne bestie?

- Nie wiem. Nikt tego nie wie. Ale nie lekceważ sieci, którą przez te badania mogą na ciebie zarzucić. Jeśli twoje DNA też jest w systemie, Reuben, to skojarzą je z nowymi danymi!

- Nie ma go w systemie. Mama mówiła, że coś było nie tak z próbkami. Poza tym ja nie jestem... nie byłem przestępcą. Nie mają mnie w bazie przestępców.

- Zdaje ci się, że będą grali zgodnie z regułami? Zresztą mają też próbkę z ciała Marchent Nideck, nieprawdaż? - Jim był coraz bardziej podniecony.

- To prawda — przyznał Reuben.

- Mama mówiła, że już do niej dzwoniли. Pytali, czy mogliby dostać nowe próbki twojego DNA. Na razie odmawiała. Podobno ten lekarz z Paryża doradził jej, żeby się nie zgadzała.

- Proszę cię, Jim, spróbuj zachować spokój. Naprawdę nie nadażam za tobą. Powinieneś być zostać lekarzem, jak mama.

Cisza.

- Jim, muszę już iść.

- Zaczekaj. Dokąd to?

- Muszę coś sprawdzić. A przede wszystkim dowiedzieć się, czy mogę zapanować nad przemianą, zatrzymać ją albo całkiem wyeliminować.

- Zatem pojawia się niezależnie od faz księżyca?

- To nie magia, Jim. W żaden sposób nie łączy się z fazami księżyca. To zwykłe bajki. Bardziej przypomina wirus. Działa od środka. A przynajmniej takie sprawia pozory. Nastąpiła ogromna zmiana w moim sposobie postrzegania świata, a także w moralnej temperaturze większości spraw. Nie wiem jeszcze, co o tym wszystkim myśleć. Ale nie, to na pewno nie magia.

- Skoro nie ma mowy o siłach nadprzyrodzonych, skoro to tylko wirus, to dlaczego zabijasz wyłącznie złych ludzi?

- Już mówiłem: to kwestia zapachów i głosów. — Reuben wzdrygnął się mimo woli. Co to właściwie znaczyło?

- Od kiedy zło ma zapach? — spytał Jim.

- Sam nie wiem. Ale też nie umiemy wyjaśnić, jak to jest, że psy potrafią wyczuć woń strachu, prawda?

- Psy wychwytyją nawet najdrobniejsze sygnały natury fizycznej. Potrafią wykryć zapach potu, a może nawet hormonów, takich jak adrenalina. Chcesz mi powiedzieć, że zło ma, w pewnym sensie, wymiar hormonalny?

- Możliwe - zgodził się Reuben. - Agresja, wrogość, wściekłość, może wszystkie te stany ducha mają swoje zapachy, których człowiek po prostu nie umie jeszcze zmierzyć. Nie wiemy tego, czyż nie?

Jim nie odpowiedział.

- A co, wolałbyś, żeby chodziło o siły nadprzyrodzone? — spytał po chwili Reuben. - Chciałbyś, żeby diabeł maczał w tym palce?

- Czy kiedykolwiek wspominałem ci o diabolicznych mocach? — odparł Jim. — A zresztą... ratujesz niewinne ofiary. Od kiedy to diabeł przejmuje się losem niewinnych ofiar?

Reuben westchnął. Nie potrafił zamknąć w słowach wszystkich swoich myśli. Nie wiedział nawet, jak zacząć wyjaśniać bratu to, jak bardzo zmienił się jego sposób myślenia, nawet

wtedy, gdy jest w ludzkiej postaci. I wcale nie był pewny, czy chce powiedzieć Jimowi absolutnie wszystko.

- Wiem tyle - tzeł - że dopóki transformacja dokonuje się w zupełnie nieprzewidywalny sposób i nie mam nad nią kontroli, jestem w wielkim niebezpieczeństwie. I tylko ja mogę rozpracować ten problem. Masz rację: muszą mieć moje DNA pobrane z ciała Marchent, jeśli nie z innego źródła. Mają je pod nosem, podobnie jak mnie samego. Dlatego muszę działać.

- Dokąd się wybierasz?

- Do Nideck Point. A teraz posłuchaj, ojcze Jimie: przyjedź tam, kiedy tylko będziesz mógł. Możemy rozmawiać prywatnie o tym, co mnie spotkało, jeśli czujesz taką potrzebę. Zgadzam się na to. Ale nigdy nie wspominaj o tym innej osobie ani w obecności innych osób.

- Dziękuję - odpowiedział Jim w wyraźną ulgą. - Reuben, musisz też pozwolić mi czytać, szukać wiedzy na ten temat.

Reuben rozumiał. Ksiądz nie mógł podjąć w takiej sytuacji żadnych działań, bo obowiązywała go tajemnica spowiedzi. Tym bardziej nie mógł - bez pozwolenia - wracać do tematu w późniejszej rozmowie z penitentem.

- Zgoda - powiedział. - Byłem dziś w domu; zabrałem zamówione wcześniej książki - dodał po chwili. - Legendy, powieści, wiersze, różne materiały. Ale to nie tylko literatura; zdarzały się też w Ameryce pewne incydenty, widziano postacie...

- Mama też o tym wspominała - odparł Jim. - I ten cały doktor Jaska. Coś o Bestii z Bray Road.

- To nic ważnego - stwierdził Reuben. - Ktoś podobno widział w Wisconsin dziwne stworzenie, może w typie Wielkiej Stopy. To żaden trop do badania. Ja szukam innych śladów, wszelkich śladów, które mogą rozjaśnić sytuację. Natknąłem się na przykład na osobliwy zbieg okoliczności, związany z nazwiskiem Nideck. Próbuję rozgryźć, o co w tym chodzi. Niestety



jeszcze do niczego nie doszedłem, ale tak, tak, ty oczywiście też możesz spróbować.

- Dziękuję. Chcę cię jeszcze o coś poprosić, Reuben: bądź ze mną w kontakcie, dobrze?

- Będę, Jim.

Reuben sięgnął ręką do zasłony.

- Zaczekaj - zatrzymał go Jim. - Musisz jeszcze okazać skruchę. Szczerze, z głębi serca - dodał łamiącym się głosem. - Tylko wtedy będę mógł udzielić ci rozgrzeszenia.

Ton głosu Jima ścisnął Reubena za serce. Pochyliwszy głowę, wyszeptał:

- Boże, wybacz mi. Wybacz mi moje zbrodnicze serce, które rozkoszuje się tym wszystkim, które nie chce z tego zrezygnować i nie zrezygnuje, które chce zatrzymać tę moc, a jednocześnie pozostać dobre. - Westchnął, a potem zacytował świętego Augustyna: - Boże, uczyni mnie czystym, ale jeszcze nie dziś.

Jim pograżył się w modlitwie, być może udzielając mu rozgrzeszenia - Reuben nie był pewny.

- Niech cię Bóg strzeże.

- Dlaczego miałby to robić? — spytał Reuben.

- Dlatego, że cię stworzył. - W głosie Jima zabrzmiała dziecinna szczerłość. — Czymkolwiek jesteś, to On cię stworzył. I tylko On wie, dlaczego i w jakim celu.

Skacząc po dachach budynków, Reuben wrócił do motelu i zamknął drzwi na klucz. Przez resztę nocy starał się siłą woli odwrócić transformację. Z tymi ogromnymi pazurami nie mógł nawet skorzystać z komputera. Nie mógł czytać książek, które zamówił. Irytowały go. Co miał wspólnego z legendarnymi wilkołakami?

Nie ośmielił się wsiąść do samochodu - zbyt dobrze pamiętał, jak trudno było mu prowadzić, gdy podążał za porywaczami. Zresztą nawet gdyby sobie poradził, nie mógł ryzykować, że zostanie zauważony albo, co gorsza, zattzymany we własnym wozie. Bał się nawet wyjść z pokoju.

Lecz bez względu na to, jak bardzo tego pragnął, nie umiał cofnąć przemiany. A przynajmniej nie od razu.

W mroku nocy słyszał wokół siebie głosy. Słyszał je zresztą i wcześniej, podczas rozmowy z Jimem. Nie odważył się jednak skupić na żadnym z nich. Gdyby się wsłuchał, zapewne dałby się ponieść, odpowiedziałby na wołanie o pomoc.

I czuł się z tym fatalnie: mógł ptzecież w tej chwili nieść komuś wybawienie od cierpienia, a może i śmierci. Przykucnął w kącie pokoju i spróbował zasnąć, ale i to okazało się niemożliwe.

Wreszcie, mniej więcej o trzeciej nad ranem - znacznie wcześniej niż zwykle - zaczął się zmieniać. Znów ogarnęła go fala doznań podobnych do orgazmu, odbierająca siły i pozbawiająca zmysłów. Przyglądał się w lustrze, jak zmienia się na powrót z bestii w człowieka, i robił zdjęcia swym iPhone'em.

Wreszcie miał przed sobą dawnego Reubena Goldinga, którego - jak mu się zdawało - tak dobrze znał. Nie miał mu nic do powiedzenia. Spojrzał na swoje dłonie, delikatne i ludzkie, ale o dziwo, wcale nie czuł się bezbronny. Czuł w sobie siłę i gotowość stawiania czoła każdemu zagrożeniu, bez względu na to, jaką formę przyjmowało jego ciało.

Nie czuł nawet wielkiego zmęczenia. Wziął prysznic i postanowił, że zdrzemnie się trochę, zanim ruszy w drogę.

Minęły dwa dni, odkąd rozmawiał z kimś w domu, a Jim, zgodnie z zasadami sakramentu pokuty, których surowo przestrzegał, nie mógł nawet powiadomić najbliższych, że widział się z Reubenem.

W telefonie i skrzynce e-mailowej miał wiadomości dosłownie od wszystkich, włącznie z Galtonem, który pochwalił się, że zgodnie z życzeniem Reubena zainstalował już nowe telewizory. Donosił też o innej sprawie: do domu przywieziono dwa potężne drzewa orchideowe, przesyłkę ekspresową prosto z Florydy, podobno zamówioną przez Marchent Nideck tej nocy, kiedy zginęła. Czy Reuben chciałby je zatrzymać?

Wzruszenie ścisnęło go za gardło i po raz pierwszy uświadomił sobie, co znaczy ten wyświechtany zwrot. Tak, chciał je zatrzymać. Wspaniale, że je dostarczono. Czy Galton zechciałby zamówić więcej roślin?

Rozesłał kilka e-maili, przekonany, że o tak wczesnej porze nikt ich nie odbierze i nie zechce odpowiedzieć. Zawiadomił Grace, że jest cały i zdrowy, że musi załatwić parę spraw i zająć się czymś w Nideck Point. Philowi wysłał niemal identyczną wiadomość. Billie poinformował, że pracuje nad dłuższym tekstem poświęconym sposobowi działania Człowieka Wilka. Celeste postanowił powiadomić, że musi przez jakiś czas pobyć sam i ma nadzieję, że ona to zrozumie.

Musiał pozwolić jej odejść. Rozpaczliwie potrzebował jej przyjaźni, ale wszystkie inne aspekty tego związku nabrały

upiornego kolorytu - i nie była to jej wina. Absolutnie nie. Reuben głowił się przez chwilę, szukając sposobu na w miarę dżentelmeńskie i łagodne zakończenie romantycznej relacji z Celeste.

„Mam nadzieję, że dobrze się bawisz z Mortem”, dopisał w końcu. „Wiem, jak bardzo go lubisz”.

Czy dyskretnie popychał ją w stronę Morta, czy może brzmiało to jak bierno-agresywna zaczepka, jak wyrzut za ich częste ostatnio kontakty? Nie umiał osądzić; nie w tym stanie ducha. „Zawsze dobrze się dogadywaliście”, dodał. „A ja — ja się zmieniłem. Oboje wiemy, że tak się stało. Pora, żebym przestał się tego wypierać. Nie jestem już tą samą osobą co dawniej”.

Dochodziła czwarta trzydzieści i za oknem było jeszcze ciemno, ale Reuben nie był senny. Ogarnął go niepokój. Nie był to niepokój bolesny, jak ten w Mendocino, ale wystarczająco nieprzyjemny.

Nagle rozległ się huk wystrzału. Ale skąd? Reuben wstał z małego, motelowego biurka i podszedł do okna. Zobaczył jedynie pustawą Lombard Street; o tej porze niewiele samochodów sunęło asfaltową wstęgą w jaskrawym blasku latarni.

Mimowolnie naprężył mięśnie. Usłyszał głos: daleki, ale charakterystyczny. Jakiś mężczyzna skomlał, płakał, powtarzał sobie, że musi z tym skończyć. A kobieta przemawiała do niego błagalnie. Nie krzywdź dzieci. Proszę, proszę, nie rób krzywdy dzieciom. I znowu wystrzał z pistoletu.

Potężne spazmy na chwilę odebrały Reubenowi władzę nad ciałem. Zgiął się wpół, czując, jak gwałtownie oddychają pory jego skóry, jak sierść przebija się przez nie na piersiach, ramionach, na całym ciele. Przemiana dokonywała się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Fala ekstazy sparaliżowała go, niosąc nie tylko rozkosz, ale i poczucie niepowstrzymanej siły.

Kilka sekund później pędził już po dachach budynków.

Mężczyzna wciąż zawodził, jęczał, rozpaczał nad sobą i nad

tymi, których „musiał” pozbawić życia, a także nad żoną, którą już uśmiercił. Reuben kierował się najkrótszą drogą w stronę źródła głosu. Woń, którą już wyczuwał, była porażającą mieszanką fetorów tchórzostwa i nienawiści.

Jednym długim susem przeskoczył nad ulicą i z maksymalną prędkością popędził w stronę domu otynkowanego na biało, stojącego na samym końcu kwartału. Wylądował na jego tyłach, na balkonie na pierwszym piętrze. Zbił szybę i wkroczył do schludnie i przytulnie urządzonego pokoju, rozjaśnionego jedynie poświatą ulicznych lamp.

Martwa kobieta leżała na łóżku o czterech słupkach, a z jej głowy płynęła krew. Stał nad nią bosy mężczyzna bez koszuli, w spodniach od piżamy, z rewolwerem w dłoni - bełkotał coś przez łyżę. Smród alkoholu był niemal równie mocny jak nieomylny fetor nienawiści. Zasłużyli na to, zmusili go do tego, doprowadzili go do rozpacz, nigdy nie dawali mu spokoju.

- Muszę to zrobić, muszę z tym skończyć! - protestował mężczyzna, jakby chciał przekonać niewidzialnego rozmówcę. Spojrzał mętnym wzrokiem na Reubena, ale nie sposób było odgadnąć, czy naprawdę go widział. Chwiał się, skomląc z cii ba. Odciągnął kurek.

Reuben przystąpił do niego bezszelestnie, odebrał mu broń, a potem ścisnął jego śliskie gardło, miażdżąc tchawicę. Naprężył mięśnie jeszcze mocniej i poczuł, że pękł także rdzeń k ręgowy. Zwłoki opadły bezwładnie na podłogę.

Reuben odłożył rewolwer na toaletkę. Na tafli lustra o złoczonej ramie dostrzegł trudny do odczytania list pożegnalny samobójcy, nabazgrany czerwoną szminką.

Szybkim krokiem ruszył w głąb wąskiego korytacza, idąc za cudownym zapachem dzieci. Bezdźwięcznie stawiał wielkie stopy na twardych deskach podłogi. Przystanął przy drzwiach, zza których dobiegał cichy, dziecinny szept. Wolno uchylił drzwi. Na łóżku siedziała mała dziewczynka. Kolana podciągnę-

nęła wysoko i ukryła pod koszulą nocną. Tulił się do niej mały, najwyżej trzyletni chłopczyk o jasnych włosach.

Szeroko otwartymi ze zdumienia oczami spojrzała na Reubena.

— Człowiek Wilk — powiedziała rozpromieniona. Reuben skinął głową.

— Kiedy stąd odejdę, musicie zostać w pokoju — powiedział cicho. — Zaczekacie, aż przyjedzie policja, słyszysz? Nie wychodźcie na korytarz. Zostańcie tu.

— Tatuś nas zabije — odrzekła dziewczynka cichym, ale bardzo pewnym głosem. - Słyszałam, jak mówił o tym mamusi. Zabije mnie i Tracy'ego.

— Nie zrobi tego — zapewnił ją Reuben, a potem wyciągnął łapę i delikatnie pogładził główki dzieci.

— Jesteś łagodnym wilkiem - zauważyła dziewczynka. Reuben skinął głową.

— Zróbcie tak, jak kazałem - przypomniał.

A potem wrócił do głównej sypialni, wybrał numer 911 na klawiaturze telefonu i zameldował telefonistce:

— Dwoje zabitych. Są tu małe dzieci.

Zanim weszło słońce, był już w motelu. Nie mógł wykluczyć, że ktoś go widział schodzącego z dachu na balkon. Było to mało prawdopodobne, ale jednak możliwe. Sytuacja nie była dobra; potrzebował natychmiastowej przemiany.

I w rzeczy samej, metamorfoza dokonała się jak na zawołanie, jakby litościwy, wilczy bóg usłyszał jego prośby i przyszedł z pomocą. A może on sam, Reuben, zdołał wreszcie zmusić się to transformacji?

Walcząc ze zmęczeniem, spakował swoje rzeczy i odjechał kilka minut później.

Zdołał dotrzeć do Redwood Highway, na północ od Sausalito, gdzie wypatrzył mały, stary, parterowy motel, zbudowany z suszonej na słońcu cegły. Zatrzymał samochód i zameldował

się w pokoju na tyłach budynku, z widokiem na dziurawą, asfaltową ścieżkę biegnącą u podnóża wzgórza.

Obudził się wczesnym popołudniem. Był bliski rozpaczy. Dokąd powinien się udać? Co robić? Znał odpowiedź: dom w Mendocino zapewniał mu bezpieczeństwo, samotność i mnóstwo przestrzeni, w której mógł znaleźć schronienie. Tylko tam mógł też odnaleźć „tego drugiego” i być może liczyć na jego pomoc. Chciał też być bliżej czcigodnych dżentelmenów z fotografii nad kominkiem w bibliotece.

Niech was szlag, pomyślał. Żeby chociaż wiedział, kim byliście!

Ale przede wszystkim nie mógł przestać myśleć o Laurze, leżeli coś go powstrzymywało przed wyjazdem do Nideck Point, to właśnie to, że Laura była tutaj. Bez końca rozpamiętywał każdy detal z tych paru godzin, które razem spędzili. Naturalnie Laura mogła już skontaktować się z władzami i zameldować o tym, co ją spotkało. A jednak wyczuwał w niej coś niezwykłego, osobliwego, jakąś siłę, która kazała mu mieć nadzieję, że tak się nie stało.

Kupiwszy kawę i kanapki w pobliskiej kawiarni, wrócił do pokoju i uruchomił komputer.

Nie trzeba było być profesorem, by odkryć, że Laura jest w jakiś sposób zawodowo związana z lasem, z życiem w dziczy otaczającej jej dom. Już poprzedniego dnia namierzył ofertę strony internetowej oferującej kobietom wycieczki z przewodniczką, LJ. Dennys. Teraz ponownie zajrzał do tego serwisu, szukając dalszych informacji. Na zdjęciach jednak LJ. Dennys ukrywała twarz pod rondem kapelusza i za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi - trudno było dostrzec jej rysy, a włosów prawie nie było widać.

Przypadkowe wzmianki o osobie o takim nazwisku — „znawczyni i obrończyni środowiska naturalnego” — znajdował w Internecie bez trudu, ale brakowało w nich wyraźnych zdjęć.

Wreszcie wpisał sekwencję „Laura J. Dennys” w przeglądarce. Najpierw pojawiło się kilka fałszywych tropów, a potem coś zupełnie niespodziewanego: materiał z „Boston Globe” sprzed czterech lat, na temat Laury Dennys Hoffman, wdowy po Caulfieldzie Hoffmannie, który zginął wraz z dwojgiem dzieci w wypadku na morzu, u brzegów Martha's Vineyard.

Pewnie jeszcze jeden fałszywy trop, pomyślał, ale kliknął w link - i wtedy na ekranie pojawiło się zdjęcie, którego szukał. Zdjęcie kobiety z perłami, matki dwóch chłopców z fotografii na nocnym stoliku. Pozowane zdjęcie Laury i jej zmarłego męża, zabójczo przystojnego mężczyzny o tajemniczych oczach i bardzo białych zębach.

Była spokojna, dyskretnie piękna. Kobieta, która trzymała go w ramionach.

Parę sekund później miał już całą serię wyników wyszukiwania, dotyczących utonięcia Caulfielda Hoffmana i jego synów. Gdy doszło do „wypadku”, Laura przebywała w Nowym Jorku - tyle że to wcale nie był wypadek. Po długim śledztwie koroner orzekł, że śmierć ojca i jego dzieci nastąpiła w wyniku samobójstwa/morderstwa.

Na Hoffmannie ciążyły poważne oskarżenia natury kryminalnej w związku z nielegalnymi transakcjami oraz nadużyciami w zarządzaniu funduszami. Ponadto toczył z żoną spór w sprawie ewentualnej separacji i praw do opieki nad chłopcami. Ale to nie była cała historia życia Laury. Hoffmannowie stracili wcześniej pierwsze dziecko, dziewczynkę. Zmarła na skutek infekcji szpitalnej, przeżywszy niespełna rok.

Teraz nie pottzeba było wielkiego talentu, by odkryć w Internecie całą historię Laury J. Dennys.

Była córką kalifornijskiego przyrodnika Jacoba Dennysa, autora pięciu książek o lasach sekwojowych północnej części wybrzeża kalifornijskiego, zmarłego przed dwoma laty. Dwadzieścia lat wcześniej jego żona, Collette, małatka z Sausalito,



przegrała walkę z guzem mózgu. To oznaczało, że Laura bardzo wcześnie straciła matkę. Najstarsza córka Jacoba Dennysa, Sandra, miała dwadzieścia dwa lata, gdy została zamordowana przez sprawców napadu na sklep monopolowy w Los Angeles — była jedną z niewinnych ofiar, które „znalazły się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu”.

Była to zapierająca dech w piersiach litania rodzinnych tragedii. Reuben nie wyobrażał sobie, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć. A jakby tego było mało, Jacob Dennys cierpiał w ostatnich latach życia na chorobę Alzheimera.

Reuben wcisnął się w oparcie krzesła i upił łyk kawy. Spojrzał na kanapkę, ale wydała mu się nieapetyczna, jak papier zmielony z trocinami.

Był oszołomiony wymową tego, co przeczytał, a także czuł się jakby winny, a może nawet zawstydzony, że w ogóle szukał tych informacji. Tak, w pewnym sensie szpiegował ją i owszem, chciał odkryć jej tajemnicę, być może mając nadzieję, że znajdzie w jej biografii coś wyjątkowego, co dałoby mu nadzieję, że Laura zdoła zaakceptować go takim, jaki od niedawna był. Ale tego się nie spodziewał.

Wrócił myślą do dwojga dzieci z San Francisco, skulonych nocą na łóżku. Z jednej strony czuł w duchu radość, że zdołał je ocalić, lecz z drugiej winił się za to, że nie zdążył uratować ich matki. Zastanawiał się też, co się z nimi teraz dzieje.

Nic dziwnego, pomyślał, że Laura postanowiła zniknąć w kalifornijskiej puszczy. Strona L.J. Dennys nie była aktualizowana od trzech lat. Laura musiała pewnie zajmować się chorym ojcem. A potem bez wątplenia i on ją opuścił, jak wszyscy.

Im dłużej Reuben myślał o Laurze, tym bardziej był zasmucony. Wstydził się nawet, że cię pożądam, pomyślał, a nawet leż nadziei, że może chciałabyś mnie pokochać przez wzgląd na to, co w życiu utraciłaś.

Nie wyobrażał sobie, jak to jest być aż tak samotnym, choć

sam jak nigdy dotąd potrzebował teraz bratniej duszy. Izolacja, w której się niespodziewanie znalazł, doprowadzała go do szału.

Nawet teraz jednak otaczała go miłość — czuła więź z Grace i Philem, i oczywiście z ukochanym bratem, Jimem. Celeste zapewne też była gotowa zrobić dla niego wszystko. Miał również Morta, wiernego przyjaciela. Pozostało mu ciepło rodzinnego domu na Russian Hill oraz wielkie grono przyjaciół wszystkich domowników, od zawsze praktycznie należących do rodzinnego kręgu. Była jeszcze Rosy, kochana Rosy. Nawet nudni profesorowie, przyjaciele Phila, wiele znaczyli w życiu Reubena, nie wspominając o poczciwych starych wujkach i ciotkach.

Wrócił myślą do Laury i jej domku na skraju lasu. Spróbował wyobrazić sobie, jak to jest znaleźć partnera na życie, a potem go stracić wraz z całą rodziną. Niewymowny ból.

Taki los, pomyślał, może uczynić człowieka niepewnym i lęklwym. A może przeciwnie — niepospolicie silnym, z filozoficznym spokojem akceptującym życiowe wyzwania oraz zaciekle niezależnym. Może sprawia, że przestaje dbać o własne życie, gardzi niebezpieczeństwem i jest gotów bez względu na wszystko żyć tak, jak ma na to ochotę.

Reuben znał co najmniej kilka sposobów na wyszukanie dalszych informacji o Laurze - choćby wiarygodności kredytowej, numeru rejestracyjnego jej samochodu, przybliżonego majątku — ale to nie byłoby fair. Byłoby to wręcz niesmaczne. Jedno wszakże musiał jeszcze sprawdzić i uczynił to bez trudu. Dom, w którym mieszkała, był tematem kilku artykułów. Należał do jej dziadka, Harpera Dennysa, i był prawdziwym błogosławieństwem, bo dziś nikomu nie udałoby się uzyskać pozwolenia na wybudowanie domu tak głęboko w chronionym lesie.

Reuben wyszedł na spacer wokół motelu. W takiej mżawce, po zmroku, bez trudu mógłby wyśliznąć się z pokoju, wspiać po lesistym stoku i zaraz za szczytem wzgórza zagłębić w pokryte

gąszczem pagórki Mili Valley. Stamtąd z kolei z łatwością przedostałby się do Muir Woods.

W tej okolicy najprawdopodobniej nikt go teraz nie szukał. W końcu ledwie kilka godzin wcześniej zabił człowieka w San Francisco.

A raczej: nikt go tu nie szukał, jeśli Laura J. Dennys nie pochwaliła się stróżom prawa, co się jej przydarzyło. Czy była do tego zdolna? I czy ktokolwiek uwierzyłby choćby w jedno słowo takiej relacji?

Reuben nie wiedział, ale też nie umiał sobie wyobrazić, by mogła go zdradzić.

Jeśli w jej małym domku był telewizor albo jeśli ktoś dostarczał jej gazety, czy choćby kupowała je sama, robiąc zakupy w mieście, to mogła już wiedzieć i o tym, co się zdarzyło kilka godzin temu. A może rozumiała, że Dziki Człowiek z Lasu prędzej sam oddałby życie, niż ją skrzywdził? Chyba że krzywdą była sama jego miłość i graniczące z obłędem pragnienie ujrzenia Laury ponownie.

Tuż przed zmierzchem Reuben wybrał się do sklepu po ubranie, które mniej więcej pasowało do jego ludzkiej postaci, a także świeżą bieliznę i skarpetki. Schował wszystko do torby, którą zamierzał stale wozić w samochodzie. Miał dosyć biegania po lasach w zbyt wielkiej bluzie z kapturem i ogromnym płaszczu. Teraz jednak nie chciało mu się zmieniać ubrania.

Gdy zapadła ciemność, wyruszył samochodem ku moknącej w bezdźwięcznym deszczu Mili Valley. Jechał trasą zwaną Panoramic Highway, aż odnalazł dom Laury - małą, krytą łupkiem chatę stojącą na uboczu, z dala od drogi i ledwie widoczną za drzewami.

Minał ją i pojechał dalej, szukając jaru, w którym mógłby ukryć porsche. Gdy go wreszcie znalazł, zamknął się w samochodzie i zapadł w niespokojny sen. Przemiana obudziła go znacznie wcześniej, niż się spodziewał.

Dom był pusty. Reuben wszedł do środka tylnymi drzwiami, przez ganek. Były uchylone.

Podchodził do domu od strony leśnej gęstwiny. Nie zauważył nikogo - nikt nie stał na straży, a w okolicy nie słyhać było nie tylko głosów policjantów, ale w ogóle żadnych ludzkich głosów.

Sypialnia na tyłach domu była dokładnie tak urokliwa, jaką ją zapamiętał. I tak samo pełna słodkich zapachów. Dębowe łóżko o wysokim wezgłowiu było okryte miękką, kunsztownie szytą z małych łątek narzutą. Stojąca na stole mosiężna lampka z pergaminowym abażurem dawała przyjemne, ciepłe światło. Wśród poduszek na dębowym fotelu na biegunach leżała wyblakła, ręcznie wykonana, szmaciana lalka o starannie wyszywanej twarzyczce, oczach z guzików w kształcie migdałów, różano-czerwonych ustach i długich, żółtawych włosach. Na niedużej półce stały rzędami książki Harpera Dennysa i Jacoba Dennysa. Była nawet jedna autorstwa L.J. Dennys, poświęcona dziko rosnącym kwiatom ze stoków Mount Tamalpais i okolic.

Z sypialnią sąsiadowała bosko rustykalna kuchnia z wielkim, czarnym piecykiem i błękitno-białymi porcelanowymi filiżankami, wiszącymi na haczykach pod otwartymi, białymi półkami. W słojach na podokienniku ukorzeniały się sadzonki psianek. Biało-złote stokrotki stały w niebieskim wazonie pośrodku małego, białego stolika. Jaskrawy, impresjonistyczny pejzaż przedstawiający zamknięty ogród różany zdobił ścianę. Widniał na nim podpis: „Collette D.”

Obok kuchni znajdowała się łazienka z własnym, niewielkim kominkiem z kutego żelaza, potężną kabiną prysznicową i wanną na nóżkach. Naprzeciwko zaczynały się wąskie schodki prowadzące na piętro.

W przestronnej jadalni stały zabytkowy, okrągły stół z dębowego drewna z kompletem wysokich krzesel oraz kredens, również wypełniony błękitno-białą porcelaną. W salonie rzucały się w oczy dwa stare, wygodne fotele zarzucone ozdobnymi narzutami i kocami. Stały blisko siebie, jakby gotowe do czułego tête-à-tête przed kamiennym paleniskiem. Głęboko w kominku płonął niewielki ogień, dobrze osłonięty szklanym ekranem. Na podłodze w narożniku pokoju stała staromodna metalowa lampa, dająca przyjemne, łagodne światło.

W całym domu wisiały obrazy przedstawiające ogrody -wszystkie pędzla Collette D. i wszystkie dość podobne, ale przyjemne dla oka, cudownie kolorowe i urokliwe. Wiele było też fotografii, zwłaszcza pogodnych portretów Jacoba Dennysa, białowłosego już w młodości.

W salonie stał też płaski telewizor (znacznie mniejszy model znalazł miejsce na blacie roboczym w kuchni), a przy kominku leżały świeże gazety. „Człowiek Wilk uwalnia porwane dzieci”, krzyczał nagłówek na pierwszej stronie „San Francisco Chronicle”. Lokalna gazeta z Mili Valley wabiła innymi słowami: „Dzieci bezpieczne w Mili Valley, dwoje nie żyje”. W obu zamieszczono bardzo podobne portrety Człowieka Wilka -człekokształtnej istoty o wilczych uszach i upiornej, zębatej paszczęce.

Szyby licznych okien lśniły kroplami cicho szepczącego deszczu. Ściany z rozmysłem pomalowano na barwy ziemi. Drewniane elementy wystroju miały naturalny charakter i lśniły od wosku.

Reuben siedział w salonie przy kominku, gdy Laura weszła do domu tylnymi drzwiami. Cicho prześliznął się do holu, by

popatrzeć, jak przystaje w kuchni i stawia na kredensie papierową torbę z zakupami i złożoną gazetę.

Włosy miała związane na karku czarną wstążką. Zsunęła z ramion ciężką, sztruksową kurtkę i rzuciła ją na krzesło. Miała na sobie miękki, szary golf i długą, ciemną spódnicę. W jej ruchach dało się wyczuć jakby znużenie czy zniechęcenie. Dom wypełniał się z wolna jej słodkim zapachem. Reuben wiedział, że rozpoznałby ten aromat nawet na końcu świata — tę jedyną w swoim rodzaju mieszankę wewnętrznego ciepła i subtelnej woni cytrusowych perfum.

Wpatrywał się łapczywie w jej smukłe dłonie, gładkie czoło, miękkie, białe włosy okalające jej twarz i w błękitne jak lód oczy o nieobecny spojrzeniu.

Zbliżył się do kuchennych drzwi.

Była niespokojna, niepewna. Podeszła wolno do białego stołu i już miała usiąść, gdy zobaczyła go w holu.

- Piękna Lauro - wyszeptał. Co właściwie widzisz? Człowieka Wilka, tego potwora, bestię rozrywającą na strzępy swoje ofiary?

Zaskoczona ukryła twarz w dłoniach i przez chwilę spoglądała na niego spomiędzy długich palców. Jej oczy napełniły się łzami i nagle zaczęła płakać. Jej głośny szloch szarpał mu serce. Otworzyła ramiona i pobiegła ku niemu. Wyszedł jej naprzeciw, zamknął w objęciach i czule przycisnął do piersi.

- Piękna Lauro - szepnął znowu i podniósł ją tak jak za pierwszym razem. Zaniósł ją wprost do sypialni i położył na łóżku.

Zerwał wstążkę z jej włosów. Rozsypały się falami, lśniąc bielą i żółtawymi pasemkami w blasku lampki.

Z trudem powstrzymywał się, by nie zerwać z niej także ubrania. Czekał wieczność, gdy walczyła z guzikami i haftkami, aż wreszcie ułożyła się przy nim naga i różowa. Jej sutki były jak płatki kwiatów, a ciemne włosy między udami miały

barwę dymu. Gdy zaczął całować jej usta, usłyszał swój basowy, zwierzęcy warkot, który nigdy nie mógłby się wydobyć z krtani człowieka. Już się nie hamował: zasypywał pocałunkami całe jej ciało, jej szyję, piersi, brzuch i wewnętrzną stronę jedwabistych ud.

Zamknął jej głowę w łapach, a ona gładziła jego twarz palcami, sięgając głęboko pod miękkie, wilcze futro, ukryte pod szorstką sierścią.

Płakała jeszcze, ale w jego uszach ten szloch był jak deszcz za oknami - jak pieśń.

Gdy spała, dorzucił dREW do kominka w salonie. Nie, nie było mu zimno, po prostu chciał nacieszyć oczy widokiem światła tańczącego na suficie i ścianach. Chciał patrzeć na żywy ogień.

Stał wsparty jedną nogą o kamienne obramowanie paleniska, gdy Laura weszła do salonu. Miała na sobie białą, flanelową koszulę nocną - taką samą jak ta, którą pierwszej nocy tak zapalczywie podarł na sttżępy. Wokół mankietów i kołnierza zdobiły ją grube, najwyraźniej stare koronki. Małe, perłowe guziczki połyskiwały w ciemności. Miała świeżo wyszczotkowane, lśniące włosy.

Usiadła w starym fotelu po lewej i niepewnym gestem wskazała na ten po prawej - stary i wytarty, był nieco większy i mógł pomieścić potężną postać Reubena.

Gdy w nim zasiadł, skinął na Laurę. Prędko wskoczyła mu na kolana. Otoczył jej ramiona prawą łapą; głowę wsparła na jego piersi.

- Szukają cię - powiedziała. - Wiesz, prawda?

- Oczywiście. - Nie przywykł jeszcze do nowej głębi i chrapliwości swojego głosu. Ale być może miał szczęście, że w ogóle mógł posługiwać się głosem.

- Nie boisz się tu? Sama, w tym domu? - spytał. - Właściwie to widzę, że nie. Pytam taczej: dlaczego nie?

- A czego miałabym się bać? - odpowiedziała pewnie i swobodnie, bawiąc się przy tym kosmykiem długiego futra na jego ramieniu. Przesunęła dłoń, by znaleźć w gęstej sierści jego sutek. Uszczypnęła go leciutko.



- Niegrzeczna! - szepnął. Skrzywił się, bo temu słowu towarzyszył znów pożądliwy warkot. Usłyszał jej cichy śmiech.

- Dorastałam w tym domu - odpowiedziała po prostu. - Nigdy nie zaznałam tu żadnej krzywdy. - Umilkła, by dodać po krótkiej pauzie: - I ty przyszedłeś do mnie właśnie tu, w tym domu.

W milczeniu gładził jej włosy.

- I właśnie o ciebie się martwię - dorzuciła. - Właściwie to umierałam ze strachu, odkąd wyszedłeś. Nawet teraz się boję, że cię śledzili albo że ktoś cię widział...

- Nie śledzili mnie - odparł. - Usłyszałbym, gdyby ktoś za mną szedł. I wyczułbym zapach.

Milczeli przez chwilę. Reuben wpatrywał się w ogień.

- Wiem, kim jesteś - rzekł wreszcie. - Czytałem o tobie. Nie odpowiedziała.

- Dziś każdy ma swoją historię, świat stał się wielkim archiwum. Czytałem o tym, co cię w życiu spotkało.

- W takim razie, jak to mówią, masz nade mną przewagę - odparła. - Bo ja nie mam bladego pojęcia, kim naprawdę jesteś. I dlaczego się tu zjawiałeś.

- Ja sam jeszcze siebie nie poznałem.

- To znaczy, że nie zawsze byłeś taki jak teraz? - spytała.

- Nie. - Zaśmiał się cicho. - Zdecydowanie nie. - Przecisnął język między kłami, by oblizać czarną, jedwabistą tkanę udającą usta. Ułożył się nieco wygodniej w fotelu, chociaż praktycznie nie czuł ciężaru Laury.

- Nie możesz tu zostać - powiedziała. - To znaczy: w tym mieście, ani tutaj. Znajdą cię. Świat jest dziś zbyt mały, zbyt bacznie obserwowany. Jeśli tylko zaczną choćby podejrzewać, że ukrywasz się w lesie, pojawi się tu cała armia ludzi. To miejsce może wyglądać jak dzikie ostępy, ale to tylko pozory.

- Wiem o tym - odparł. - Wiem doskonale.

- A jednak podejmujesz ryzyko. Straszliwe ryzyko.

- Słyszę głosy. Słyszę głosy i podążam za nimi. Nie potrafię się oprzeć, muszę za nimi iść. Jeśli tego nie zrobię, ktoś będzie cierpiał, ktoś umrze.

Bez pośpiechu opisał Laurze - tak jak wcześniej Jimowi -nowy dla niego, tajemniczy świat zapachów. Opowiedział o atakach, których dokonał, o głosach ofiar w ciemności i o całkowitej pewności co do tego, kto jest dobry, a kto zły. Wspomniał też o mężczyźnie, który zastrzelił swoją żonę.

- Tak, zabiłby i dzieci - powiedziała. - Wracając wieczorem do domu, słuchałam w samochodzie wiadomości.

- Spóźniłem się, nie zdążyłem jej uratować. Nie jestem nieomylny. Popelniam czasem straszne błędy.

- Ale jesteś ostrożny, tak bardzo ostrożny - zaproponowała. -Na przykład z tym chłopcem z północy.

- Chłopcem z północy?

- Z tym reporterem - wyjaśniła. - Młodym, przystojnym, w domu w Mendocino, na północ stąd.

Zawahał się. Poczł w sercu ukłucie bólu. Nie odpowiedział.

- Zaskoczyli tam tę kobietę, prawda? - spytała szeptem.

- Tak.

- Gdyby nie to, pewnie byś... - urwała.

- Tak - powtórzył. - Zaskoczyli ją. Mnie też. Umilkli. Po długiej chwili spytała cicho, z wahaniem:

- Co cię sprowadziło aż tak daleko? Nie zrozumiał.

- Czy to głosy? Jest ich tu aż tak wiele?

Nie odpowiedział, chociaż zdawało mu się, że rozumiał. Laura sądziła, że przybył tu z lasów na północy, by polować w miastach nad Zatoką. W pewien sposób było to nawet sensowne założenie.

Bardzo go korciło, żeby wyłożyć jej całą prawdę, ale nie mógł tego uczynić. Jeszcze nie teraz. Nie potrafił zepsuć tej

chwili, kiedy trzymał ją w ramionach, kiedy czuł się jej potężnym, kochającym obrońcą. Nie mógł jeszcze wyznać, że nie zawsze był taki, że to on jest „chłopcem z północy”. Gdyby to zrobił, a ona odwróciłaby się od niego z niechęcią lub obojętnością, zraniłaby jego duszę.

Chłopiec z północy. Spróbował sobie wyobrazić siebie jako zwyczajnego Reubena, Słonecznego Chłopca Celeste, dziecko Grace, małego braciszka Jima, syna Phila. Czy ten nudny młodzian w ogóle mógłby ją zainteresować? Sama myśl o tym wydała mu się absurdalna. W końcu nawet Marchent Nideck nie była nim tak naprawdę zainteresowana. Uważała go za uroczonego, delikatnego poetę, za zamożnego chłopca, który może zdjąć z niej ciężar Nideck Point. Ale to nie było prawdziwe zainteresowanie, a już na pewno nie miłość.

To, co czuł teraz do Laury, było miłością.

Zamknął oczy, wsłuchując się w wolny rytm jej oddechu. Zasnęła.

Zza szyb dobiegał szept lasu. Reuben poczuł zapach rysia. Opanowało go podniecenie: chciał go podejść, pokonać, pożreć. Prawie czuł jego smak. Poczł, że się ślini. Słyszał szum si rumieni płynących gdzieś w głębi puszczy, nawoływania sów na wysokich konarach i szmer kroków drobnych, nieznanym mu zwierząt w trawie.

Zastanawiał się, co pomyślałaby Laura, gdyby go zobaczyła w lesie, jak miażdży szczękami ciało wierzgającego, syczącego wściekle rysia i jak pożywia się jego ciepłym jeszcze mięsem. Właśnie to najbardziej go pociągało w tym ucztowaniu: świeże mięso. Krew jeszcze w nim płynęła, serce jeszcze drżało. Ale co powiedziałałaby Laura, gdyby poznała tę stronę jego natury?

Nie miała przecież pojęcia, co to znaczy ujrzeć człowieka, któremu niepowstrzymana siła wyrywa ramię albo urywa głowę. Nie mogła wiedzieć. My, ludzie, nieustannie izolujemy się od okropieństw tego świata. Bez względu na to, ile prze-

cierpiała, z pewnością nie zaznała jeszcze odrażającej brzydoty tego rodzaju śmierci. Nawet dla niej, kobiety tak doświadczonej przez los, i tak byłaby to scena jak z koszmaru.

Tylko ci, którzy na co dzień mają styczność z zabójcami, wiedzą, jaki to gatunek istot. Reuben jako reporter nie potrzebował wiele czasu, by ich poznać. Wiedział, dlaczego gliniarze, z którymi przeprowadzał wywiady, tak bardzo różnią się od innych ludzi. Dlaczego Celeste tak się zmienia z każdą kolejną sprawą, którą prowadzi w biurze prokuratora okręgowego. I dlaczego inna jest Grace, która na co dzień ogląda ludzi przywożonych na oddział ratunkowy z nożem w brzuchu czy kulą w czaszce.

Jednak nawet oni - policjanci, prawnicy, lekarze - nabywali doświadczenie niejako post factum. Nie byli obecni w chwili, gdy zabójca dopadał swą ofiarę, nie czuli zapachu zła, nie słyszeli tych ktyków, błagania o pomoc.

Ogarnął go przeraźliwy smutek. Tak bardzo pragnął być z tą kobietą, ale czy miał prawo opowiadać jej o tym wszystkim? Czy miał prawo nęcić ją tymi historiami, które wydawały się tak pełne znaczeń, a w rzeczywistości mogły być jedynie wspomnieniem czegoś brutalnego, prymitywnego i mrocznego?

Niech się nacieszę przynajmniej tymi chwilami przy niej, pomyślał. Będę ją tulił przy kominku, w tym małym domku pełnym prostych przedmiotów i niech to mi wystarczy - przynajmniej na razie.

Zasnął, czując bicie jej serca tuż obok swego.

Musiała minąć godzina, może trochę więcej. Otworzył oczy. W puszczy panował spokój. A jednak coś było nie tak. Coś się działo. Przez grubą warstwę neutralnego szmeru, który go otaczał, przebił się głos. Wąty, piskliwy, rozpaczliwy.

Jakiś człowiek wzywał pomocy. Daleko za lasem. Reuben wyczuwał kierunek. Wiedział, że za chwilę wyczuje także zapach.

Zaniósł Laurę do sypialni i ostrożnie ułożył w pościeli.

Drgnęła niespokojnie i otworzyła oczy, a potem podniosła się na łokciach.

- Wychodzisz.

- Muszę, głos mnie wzywa - odparł.

- Złapią cię. Są wszędzie! - szepnęła z rozpaczą i rozplakała się. - Posłuchaj mnie! Musisz wracać na północ, do lasu, jak najdalej stąd.

Pochylił się szybko, by ją ucałować.

- Niedługo znowu się zobaczymy.

Pobiegła za nim, ale on w sekundę był już w połowie drogi przez polanę, a potem skoczył wysoko i zniknął między sekwojami, rozpoczynając napowietrzną podróż w stronę nadmorskiej szosy.

Kilka godzin później stanął w zagajniku, z którego widać było w dole zimną połąć Pacyfiku, a nad nią niskie, srebrzyste niebo. Księżyc zawisł gdzieś za deszczowymi chmurami i jego blask z trudem sięgał niespokojnej, falującej powierzchni oceanu. Och, gdyby tylko księżyc znał sekret, gdyby tylko księżyc znał całą prawdę. Ale księżyc był tylko księżycem.

Wcześniej Reuben śledził samochód, w którym znajdował się uwięziony mężczyzna, i zeskoczył z drzewa wprost na jego dach. Gdy wóz zwolnił na niebezpiecznym zakręcie drogi numer 1, wyrwał drzwi i wyciągnął parszywych, zatwardziałych złodziei prosto w ciemność. Zdążyli już zastrzelić jednego człowieka, ale drugiego oszczędzili. Wieźli go w bagażniku, związanego, zakneblowanego, półżywego. Chcieli zawieźć go do bankomatu i zmusić, by wypłacił tych kilkaset dolarów, a następnie zabić, tak jak jego towarzysza.

Nasycił się ludzkim mięsem, zanim uwolnił jeńca. Zostawił go na urwisku nad oceanem, zapewniwszy, że wkrótce nadejdzie pomoc. A potem włóczył się po skałach i wydmach smagany słonym wiatrem, pozwalając, by deszcz zmył krew z jego łap, ust i piersi.

Teraz zaś zbliżał się świt. Reuben był wyczerpany i tak samotny, jakby nigdy nie trzymał Laury w ramionach.

Pobiegł z powrotem do miejsca opodal Panoramic Highway, gdzie ukrył swoje porsche. W ukryciu czekał na przemianę i znowu się zdziwił, nadeszła bowiem szybko, znacznie szybciej, jakby bardziej posłuszna jego woli.

Pojechał do Mili Valley i zatrzymał się w uroczym, małym hoteliku przy Throckmorton Street, zwanym Mili Valley Inn. Kryjówka w samym środku miasta wydała mu się odpowiednia. Wiedział, że teraz poszukiwania Człowieka Wilka w okręgu Marin nabiorą tempa, a on musiał się jeszcze zobaczyć z Lautą - być może po raz ostatni, zanim na długi czas zaszyje się na północy.

Było południe, gdy zaparkował u stóp pagórka, na którym stał dom Laury, i zauważył, że właśnie wyszła z domu, by wsiąść do oliwkowego, czterodrzwiowego jeepa. Wybierała się do miasta, z którego właśnie przyjechał.

Wstąpiła do przytulnej kafejki i usiadła przy stoliku w witrynie.

Zaparkował i wszedł do środka.

Wydała mu się niezmiernie samotna, gdy tak siedziała otulona sztruksową kurtką, równie świeża i urocza jak nocą. Włosy znowu związała czarną wstążką. Symetria jej twarzy była doskonała. Właściwie po raz pierwszy widział ją w świetle dnia.

Bez słowa zajął miejsce naprzeciwko niej. Ubiorem przypominał teraz dawnego Reubena: miał na sobie umiarkowanie porządną marynarkę khaki, czystą koszulę i krawat - zakupy z poprzedniego dnia — a w dodatku szorował się przez godzinę pod prysznicem, zanim opuścił hotel. Włosy miał gęstsze i dłuższe niż dawniej, ale przynajmniej starannie uczesane.

- Kim pan jest? - spytała ostro. Odłożyła menu i nie kryjąc złości, spojrzała w głąb lokalu, szukając wzrokiem kelnera.

Reuben nie odpowiedział. Kelner akurat gdzieś zniknął, a w całej kawiarni siedziało ledwie kilka osób.

— Nie potrzebuję towarzystwa — powiedziała nieco uprzejmiej, ale wciąż stanowczo. — Proszę odejść.

Nagle coś się zmieniło w wyrazie jej twarzy. Rozdrażnienie

ustąpiło miejsca źle skrywanemu niepokojowi. Po chwili jej spojrzenie stwardniało i taki też był jej głos:

- Pan jest tym reporterem - stwierdziła oskarżycielskim tonem. — Tym z „Observera”.

- Tak.

- Co pan tu robi? - Była prawie wściekła. - Czego pan ode mnie chce?

Jej twarz była teraz nieprzeniknioną maską, ale w środku gotowała się panika.

Pochylił się i przemówił najcieplej, jak potrafił:

- Jestem tym chłopcem z północy.

- Tak, wiem - odpowiedziała, nie chwytając aluzji. - Wiem, kim pan jest. A teraz proszę mi łaskawie wyjaśnić: czego pan ode mnie chce?

Znowu milczał, a ona raz jeszcze rozejrzała się, desperacko i bezskutecznie szukając kelnera. Zaczęła się podnosić.

- Dobrze, w takim razie zjem lunch gdzieś indziej - powiedziała drżącym głosem.

- Lauro, zaczekaj. Zdażył złapać jej lewą dłoń.

Usiadła niechętnie, spoglądając na niego nieufnie.

- Skąd pan zna moje imię?

- Byłem z tobą ostatniej nocy - odpowiedział cicho. - Przez większość nocy. Ale nad ranem musiałem wyjść.

Nigdy dotąd nie widział nikogo tak oszołomionego. Laura zamarła, wpatrując się w niego ponad stolikiem. Widział, jak do jej bladych policzków napływa falami krew. Jej dolna warga zadrżała lekko, ale usta milczały.

- Nazywam się Reuben Golding - ciągnął cichym, ufnym głosem. - Dla mnie to wszystko zaczęło się w tamtym domu na północy.

Odetchnęła głęboko, choć z wysiłkiem. Na jej czole i nad gótną wargą pojawiły się kropelki potu. Słyszał bicie jej serca



i widział jak łagodnieją rysy twarzy i drżą usta. W jej oczach pojawiły się łzy.

— Wielkie nieba — wyszeptała, spoglądając na rękę trzymającą jej dłoń, a potem na twarz Reubena. Czuł, że i jemu zbiera się na płacz, gdy tak taksowała go wzrokiem. — Ale kto...? Jak...?

— Nie wiem — przyznał. — Wiem tylko, że muszę stąd wyjechać. Wracam w tamto miejsce. Dom w Mendocino, w którym się to zdarzyło, należy teraz do mnie. Chcę tam zamieszkać. Po ostatniej nocy nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. Pojedziesz ze mną?

Spodziewał się tego: cofnęła dłoń, odsunęła się, była poza zasięgiem. Jej Człowiek z Dżicy jednak nie był Człowiekiem z Dżicy.

— Wiem, że masz pracę, wycieczki, klientów...

— To pora deszczu — przerwała mu cichym głosem. — Turyści tam nie przyjeżdżają. Nie mam nic do roboty. - Jej oczy były wielkie i lśniące. Znowu odetchnęła głęboko i zaplotła palce wokół jego dłoni.

— Aha... — odpowiedział idiotycznie. Nic innego nie przyszło mu do głowy. — Pojedziesz? — spytał po chwili.

Nie mógł znieść przeciągającego się milczenia i jej badawczego spojrzenia. Nie mógł się doczekać odpowiedzi.

— Tak — powiedziała nagle i skinęła głową. — Pojadę z tobą. — Wciąż wyglądała na oszołomioną, ale w jej głosie była pewność.

— Zdajesz sobie sprawę, na co się decydujesz?

— Jadę z tobą.

Teraz naprawdę musiał siłą woli powstrzymać łzy i pot rwało to dobrą chwilę. Ściskając mocno jej dłoń, spoglądał za okno, na zalaną deszczem Throckmorton Street i na tłum ludzi ukrytych pod parasolami i w pośpiechu mijających sklepowe wittyny.

- Reuben - powiedziała. Teraz to ona uścisnęła jego rękę. Zdążyła już się pozierać i spoglądała na niego z powagą. - Powinniśmy wyjechać natychmiast.

Gdy wyjeżdżali jego wozem na Panoramic Highway, zaczęła się śmiać. Śmiała się coraz głośniej i głośniej, jakby nagle spadł jej z serca wielki kamień. Nie umiała zapanować nad sobą.

Przyglądał się jej zdziwiony i zakłopotany.

- O co chodzi? — spytał wreszcie.

- Na pewno dostrzegasz, jakie to zabawne - odpowiedziała. - No, spójrz na siebie. Spójrz, kim jesteś.

To był cios.

Nagle przestała się śmiać.

- O, przepraszam - powiedziała cicho, wyraźnie zawstydzona. - Nie powinnam się śmiać, prawda? Nie, nie powinnam. To nie jest odpowiednia chwila na śmiech. Tylko że... Pozwól, że tak to ujmę: jesteś jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam.

- Aha - szepnął. Nie mógł jeszcze na nią spojrzeć, ale cieszył się, że przynajmniej nie nazwała go dzieciakiem albo chłopcem. - To dobrze czy źle? - spytał.

- Mówisz poważnie? Wzruszył ramionami.

- To po prostu bardzo zaskakujące - wyznała. - Przykro mi, Reuben, naprawdę nie powinnam się śmiać.

- Nie szkodzi. To nic ważnego, nieprawdaż?

Wjechał i na zwirowy podjazd przed jej domem. Spojrzał na Laureę. Była głęboko zatroskana. Uśmiechnął się odruchowo, żeby podnieść ją na duchu. Rozchmurzyła się natychmiast.

- Wiesz - powiedziała całkiem szczerze - w bajkach o księciu i żabie zawsze występuje żaba. A w tej historii... nie ma żaby.

- Hmm. To zupełnie inna historia, Lauro - odpowiedział. - Bardziej jak *Doktor Jekyll i pan Hyde*.

- Wcale nie - odparła z wyrzutem. - Moim zdaniem to

nietrafione porównanie. I *Piękna i Bestia* to też nie to. Może to zupełnie nowa bajka?

- Tak, nowa bajka - zgodził się ochoczo. -1 mam wrażenie, że kolejny jej wers brzmi: „Zwiali gdzie pieprz rośnie”.

Pochyliła się, by go pocałować - jego, Reubena Goldinga, a nie wielką, kosmatą bestię podobną do wilka.

Ujął jej twarz w dłonie i odwzajemnił pocałunek wolno i z miłością. To było coś innego, powrót do starego rytmu, do starego życia. Coś nieskończenie słodkiego.

Potrzebowała niespełna piętnastu minut, by się spakować i zadzwonić do sąsiada z prośbą, żeby przyprowadził jej samochód z miasta i od czasu do czasu doglądał jej domu, póki nie wróci.

Podobnie jak wcześniej i tym razem podróż do Nideck Point trwała prawie cztery godziny - głównie za sprawą deszczu.

Rozmawiali niemal bez przerwy.

Reuben opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło. Wyjaśnił tyle, ile wiedział, od samego początku, z najdrobniejszymi szczegółami. Mówił też o tym, kim był wcześniej - o swojej rodzinie, o Celeste, o Jimie i wielu innych sprawach. Bez wysiłku przeskakiwał do nowych wątków, czasem nijak ze sobą niepowiązanych, a pytania Laury były taktowne, nie wścibskie. Fascynowało ją wszystko, nawet to, czego niegdyś trochę się wstydził.

- To był czysty fart, że dostałem pracę w „Observerze”. Billie zna moją matkę i wyświadczyła jej przysługę. Ale potem naprawdę spodobało jej się to, co pisałem.

Reuben wspomniał i o tym, że dla Celeste był Słonecznym Chłopcem, dla matki Chłopczykiem, dla Jima Małym Chłopcem, dla szefowej ostatnio Cudownym Chłopcem i tylko dla ojca po prostu Reubenem. Laura znowu się roześmiała i minęła dłuższa chwila, zanim się opanowała.

Reuben czuł zadowolenie, bo była wdzięcznym słuchaczem. Równie miło było słuchać tego, co miała do powiedzenia.

Widywała doktor Grace Golding w porannych programach

telewizyjnych, a raz nawet spotkała ją osobiście na bardzo oficjalnym przyjęciu. Goldingowie zawsze popierali obrońców przyrody.

- Czytałam wszystkie twoje artykuły w „Observerze” -dodała. - Podobają się bodaj wszystkim. Ja sama zaczęłam je czytać, bo ktoś mi je polecił.

Reuben skinął głową. Ten detal mógłby mieć znaczenie, gdyby nie jego niezwykle losy.

Rozmawiali też o latach spędzonych przez Laurę w Radcliffe,

o jej zmarłym mężu i krótko o dzieciach. Szybko wyczuł, że nie są to tematy, nad którymi Laura chciałaby się rozwodzić. Wspominała też o swojej siostrze, Sandrze, i to w taki sposób, jakby jeszcze żyła. Były nie tylko siostrami, ale i najlepszymi przyjaciółkami.

Jej życiowym mentorem był ojciec. Wychowywała się z Sandrą w Muir Woods; potem jako nastolatki wyjechały do szkół na Wschodnie Wybrzeże, letnie wakacje spędzały w Europie, ale miejscem, w którym prawdziwie odpoczywały, pozostał niemal bajkowy raj północnej Kalifornii.

Tak, pierwotnie wyobrażała sobie Reubena jako dzikiego człowieka z puszczy; przedstawiciela tajemniczego gatunku żyjącego blisko natury i wytraconego z właściwego rytmu egzystencji przez codzienny horror życia w mieście.

Mały domek w lesie był niegdyś własnością jej dziadka, którego pamiętała z wczesnego dzieciństwa. Na piętrze znajdowały się cztery puste sypialnie.

- Moi chłopcy tylko jednego lata zdążyli pobawić się w puszczy - powiedziała cicho.

Reuben opowiadał z kolei o czasach studiów w Berkeley

i o wykopaliskach za oceanem. Laura - o swej miłości do książek i latach spędzonych w Nowym Jorku, a także o tym, jak zakochała się w swym przyszłym mężu. Była niezwykle silnie przywiązana do ojca, który nigdy nie skrytykował jej nawet

słowem, gdy wbrew jego delikatnym i dyskretnym sugestiom poślubiła Caulfielda Hoffmana.

Wiodła wówczas swobodne życie, bywała na przyjęciach, koncertach, spektaklach operowych, kolacjach i benefisach. Ów nowojorski etap, który przeżyła u boku Caulfielda, wydawał jej się tetaz snem. Dom przy Central Park East, opiekunki do dzieci, szalone tempo i bogactwo życia — wszystko to stało się z perspektywy czasu jakby nierealne. W chwili, gdy Hoffman zabił siebie i dzieci, był już bankrutem. Stracili wszystko, co posiadali. Wszystko, do ostatniego drobiazgu.

Niekiedy Laura budziła się w środku nocy, nie mogąc uwierzyć, że jej dzieci w ogóle kiedyś istniały, nie mówiąc o tym, że zginęły tak okrutną śmiercią.

Wreszcie rozmowa potoczyła się znowu ku osobliwej sytuacji, w której znalazł się Reuben, a konkretnie owej nocy, kiedy został zaatakowany w okręgu Mendocino. Spekulowali na temat tego, co tak naprawdę zaszło w rezydencji.

Reuben wspomniał też Laurze o z pozoru absurdalnym zbiegu okoliczności związanym z nazwiskiem Nideck, a potem znowu wrócił do chwili, w której tajemnicze stworzenie przekazało mu swój, jak to nazywał, „dar”. Nie wykluczał, że było ono w istocie wędrownym potworem, przemierzającym tę część świata w podróży, której celu nie znał nikt.

Szczegółowo opisał transformację, której doświadczał każdej nocy, a także zrelacjonował spowiedź u swego brata.

Laura nie była katoliczką. Nieszczególnie ufała więc tajemnicy spowiedzi, ale naturalnie akceptowała wiarę Reubena i jego brata, a także szanowała miłość, którą darzył Jima.

Nauka była jej z pewnością bliższa niż Reubenowi, ale kilkakrotnie powtórzyła, że nie uważa się za naukowca. Pytała o badania DNA, które już wykonano, ale nie umiał udzielić precyzyjnych odpowiedzi. Podejrzewał, że zostawił próbki swego kodu genetycznego na miejscu każdej z małych masakr,

które zgotował złoczyńcom. Nie miał jednak pojęcia, co można z nich odczytać.

Zgodzili się, że badania DNA są najbardziej niebezpieczną bronią, jaką można skierować przeciwko niemu. Nie wiedzieli tylko, co w związku z tym mogliby zrobić.

Z pewnością jednak wyjazd do domu w Mendocino był teraz najlepszym posunięciem. Jeżeli w okolicy żyła tamta istota, jeśli znała odpowiedzi na pytania, które sobie zadawali, to powinni dać jej sposobność, by się nimi podzieliła.

Mimo to Laura się bała.

- Nie zakładałabym, że to stworzenie jest zdolne do miłości, że ma sumienie tak jak ty. Możliwe, że jest zupełnie inaczej.

- Dlaczego nie? - spytał Reuben. Co właściwie chciała przez to powiedzieć? Że i on może się stać istotą pozbawioną emocji, bezduszną? Tego w skrytości ducha obawiał się najbardziej.

Tuż przed zmrokiem zatrzymali się na kolację w małym zajeździe nad brzegiem oceanu. Nawet w takiej chwili, gdy niebo było jednolicie szarą masą, a deszcz nie słabł ani na chwilę, było to urokliwe miejsce. Dostali stolik przy oknie, z widokiem na morze i na samotne, majestatyczne skały.

Obrus miał kolor lawendy, podobnie jak serwetki. Reuben żarłocznie pochłaniał subtelnie przyprawiony posiłek; zjadł wszystko, do ostatniego okrucha chleba.

Rustykalne wnętrze zamykał dość niski, pochyły strop. Podłogę pokrywały stare deski, a w kominku huczał ogień.

Ocean za szybami był coraz ciemniejszy. Fale załamujące się przy brzegu były już prawie czarne, nie licząc srebrzystobiałej piany.

- Zdajesz sobie sprawę, co ci zrobiłem? - szepnął Reuben.

W blasku świec wydawało się, że jej jasna twarz płonie własnym, łagodnym blaskiem. Ciemne brwi nadawały jej wyraz powagi, a niebieskie oczy pozostawały piękne nawet wtedy, gdy

pojawiła się w nich odrobina chłodu. Reuben rzadko widywał oczy o tak jasnym, a jednocześnie intensywnym odcieniu błękitu. Rysy twarzy Laury były cudownie wyraziste, a teraz zdawały się oddawać jedynie głęboką fascynację oraz - niezaprzeczalnie - miłość.

- Wiedziałaś, co zrobiłeś, gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy - odpowiedziała.

- Ale teraz jesteś współniczką.

- I to w zdumiewającej serii bardzo brutalnych zbrodni.

- Lauro, to się dzieje naprawdę.

- Czy ktoś może o tym wiedzieć lepiej niż ja?

Reuben milczał. Zastanawiał się, czy gdyby zostawił ją teraz, byłaby wolna. Przeczucie podpowiadało mu, że byłaby to dla niej katastrofa. Ale może nie myślał już logicznie? Z pewnością byłaby to katastrofa dla niego.

- Niektórym tajemnicom nie sposób się oprzeć - odezwała się po chwili. - Mają w sobie składniki zdolne odmienić życie.

Skinął głową. Zrozumiał, jak bardzo jej pragnie, jak bardzo zaborczo, jak jeszcze nigdy dotąd, nawet z Celeste. I sama myśl o tym wydała mu się podniecająca. Na piętrze zajazdu były pokoje gościnne. Ciekawe, jak by to było, pomyślał, teraz, gdy oboje jesteśmy w ludzkiej postaci.

Ale ile czasu mu pozostało? Tęsknił za przemianą, nie mógł się jej doczekać, pragnął znowu być w pełni sobą.

Ta myśl go przeraziła. Zamarł. Laura mówiła do niego, ale nie rozumiał jej słów. Kim i czym teraz jestem, pomyślał, skoro to monstrum to moje prawdziwe ja?

- .. .powinniśmy ruszać.

- Tak - odpowiedział.

Wstał, odsunął jej krzesło i podał kurtkę. Ujął ją tymi prostymi gestami.

- Kto cię nauczył manier Starego Świata? - spytała.



Była dwudziesta pierwsza.

Siedzieli na skórzanej kanapie w bibliotece, grzejąc się przy ogniu i spoglądając na ekran telewizora zawieszzonego na lewo od kominka. Laura zdążyła już przebrać się w jedną ze swych białych koszul nocnych; Reuben miał na sobie stary sweter i równie wiekowe dżinsy.

Człowiek w czerwonym krawacie przemawiał z kamienną i warzą:

— To najgorszy rodzaj psychopaty, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Wydaje mu się, że jest po naszej stronie. Aprobata opinii publicznej z pewnością utwierdza go w tym przekonaniu, umacnia jego obsesje, napędza patologiczne zachowania. Ale nie dajmy się omamić: ten człowiek bez litości rozrywa na strzępy swoje ofiary i pożywia się ludzkim mięsem.

U dołu ekranu pojawiło się nazwisko mówcy i jego zawód: psycholog kryminalny. W obiektywie drugiej kamery pojawiła się znajoma twarz spikera CNN, którego nazwiska Reuben nie mógł sobie przypomnieć.

— A jeśli to rzeczywiście mutant...?

— Wykluczone — wpadł mu w słowo ekspert. — To zwykły człowiek, jak pan czy ja, wykorzystujący wyrafinowane metody, by roztaczać wokół swoich zbrodni aurę tajemnicy, sugerować, że to dzieło nieznanego zwierzęcia. Ale DNA nie kłamie. To człowiek. O tak, z pewnością ma dostęp do płynów ustrojowych zwierząt, to potwierdzony fakt. Zanieczyszcza

nimi dowody. Niewątpliwie używa też protezy zębów, długich kłów. Tego nie negujemy. Podobnie jak faktu, że korzysta z doskonałej maski zakrywającej całą głowę. Mimo wszystko to człowiek, a do tego bodaj najgroźniejszy w najnowszej historii kryminalistyki.

- A co pan sądzi o zeznaniach na temat jego niezwyklej siły? - spytał dziennikarz. - Ten człowiek bez trudu pokonuje dwóch czy trzech przeciwników jednocześnie. W jaki sposób osobnik w zwierzęcej masce mógłby...

- Cóż, najistotniejszy jest element zaskoczenia - wpadł mu w słowo ekspert - ale też należy stwierdzić, że relacje o jego nadzwyczajnej sile są najprawdopodobniej grubo przesadzone.

- Zatem co z dowodami? Mamy trzy zmasakrowane ciała, jedno nawet pozbawione głowy...

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. - Ekspert przemawiał coraz mniej przyjemnym tonem. - Możliwe, że sprawca używa jakiegoś gazu, żeby zdezorientować, a nawet obezwładnić swoje ofiary.

- Zgoda, jednak zdołał wyrzucić kobietę przez okno z taką siłą, że wylądowała siedemdziesiąt pięć stóp od budynku...

- Jeśli będziemy wyolbrzymiać jego wyczyny, nie wyniknie z tego nic dobrego. Na zeznaniach świadków nie możemy polegać...

- A czy jest pan pewny, że władze informują nas o wszystkim, co udało się ustalić po analizie DNA tego stworzenia?

- Ależ skąd - odparł ekspert. - Bez wątpienia zatajają pewne dane, próbując tymczasem logicznie je zinterpretować. Mają też pełne ręce roboty, usiłując zapanować nad powszechną histerią. Ale patentowane brednie, które codziennie można przeczytać w artykułach prasowych poświęconych temu mordercy, mogą jedynie zachęcić go do przeprowadzenia kolejnych brutalnych ataków.

- W jaki sposób wyszukuje swoje ofiary? - spytał pro-

wadzący. — To chyba najbardziej zdumiewające w całej tej historii. Jakim cudem znalazł kobietę na trzecim piętrze budynku w San Francisco albo bezdomnego, którego napadnięto nocą w Golden Gate Park?

— Miał szczęście, to wszystko. — Ekspert był coraz bardziej zniesmaczony. — Nie wiemy zresztą, jak długo śledził tych ludzi, zanim uderzył.

— A kidnapczy? Znalazł ich w okręgu Marin, podczas gdy nikt inny nie był w stanie...

— Nie znamy prawdy, nie możemy wykluczyć, że był w zмовie z porywaczami — przerwał pytającemu ekspert. — Ani jeden świadek tej masakry nie pozostał przy życiu, żeby zaprzeczyć jej tezie. A może sprawcy po prostu dopisało szczęście?

Reuben zmienił kanał w telewizorze.

— Przykro mi, ale nie mogę już tego słuchać — oznajmił. Tym razem na ekranie pojawiła się twarz kobiety. Była w rozpacz.

— Nie obchodzi mnie, co zrobił mój syn — powiedziała. — Miał prawo do sprawiedliwego procesu, jak każdy inny Amerykanin. Nie zasłużył na to, by rozerwał go na strzępy jakiś potwór, który uważa się za sędziego, ławę przysięgłych i kata w jednej osobie. A ludzie jeszcze wychwalają tego mordercę! -Kobieta zaczęła szlochać. — Czy ten świat już do reszty oszalał?

Powrót do studia wiadomości. Spikerka o długich włosach i ciemnej skórze miała głęboki, łagodny głos.

— Kim jest ta tajemnicza istota znana już na całym świecie jako Człowiek Wilk z San Francisco, która pociesza małe dzieci, zanoszą bezdomnego do jego kryjówki oraz uwalnia cały autobus porwanych dzieci, uprzednio uruchomiwszy alarm w celu wezwania pomocy? W tej chwili władze mają znacznie więcej pytań niż odpowiedzi. - [Ujęcia ratusza miejskiego i oficjeli stłoczonych przy mikrofonach]. — Ale jedno jest pewne: ludzie nie boją się Człowieka Wilka z San Francisco. Wysławiają go,

bombardują Internet jego podobiznami i piszą na jego cześć wiersze, a nawet piosenki.

Na ekranie ukazała się para młodych ludzi w tandetnych, pomarańczowych kostiumach goryli, trzymających w rękach ręcznie malowany transparent: **CZŁOWIEKU WILKU, KOCHAMY CIĘ!** Chwilę później nastolatka z gitarą zaśpiewała: „To był Człowiek Wilk, to był Człowiek Wilk, to był Człowiek Wilk o błękitnych oczach!”.

Następnie przemówiła kobieta zaczepiona przez reportera na ulicy:

— To niepokojące, że nie pozwala się świadkom na relacjonowanie wydarzeń przed kamerami. Wciąż słyszymy o tym, co widzieli, więc dlaczego nie możemy ich posłuchać?

— A jak pan sądzi, co ludzie mogą czuć? — odpowiada pytaniem na pytanie rosły mężczyzna stojący na rogu zatłoczonej ulicy. W tle widać Powell Street i tramwaj toczący się z góry z głośnym warkotem i dzwonieniem. - Czy jest wśród nas ktoś, kto nie chciałby walczyć ze złem tego świata? Ci porywacze zamordowali dwoje dzieci. Trzecie zapadło w śpiączkę i zmarło. A czy ktoś się boi tego gościa? Ja nie. A pan?

Reuben wyłączył telewizor.

— Mam dość — stwierdził przeproszającym tonem. Laura kiwnęła głową.

— Ja też - przyznała. Bezszelestnie podeszła do kominka i szturchnęła płonące szczapy mosiężnym pogrzebaczem, a potem wróciła na kanapę, wtuliła się w białą poduszkę przyniesioną z sypialni na górze i przykryła się białym kocem. Miała przy sobie kolekcję kupionych przez Reubena książek poświęconych wilkołakom. Zaglądała do nich raz po raz, odkąd przybyli do rezydencji.

Metalowa lampa stojąca na biurku dawała sporo światła. Wszystkie zasłony były zaciągnięte - i to w całym domu. Reuben sporo się przy tym napracował, ale oboje uznali, że tak będzie lepiej.

Bardziej niż czegokolwiek innego pragnął teraz chwili bliskości z Laurą — albo tu, na kanapie, albo na górze, w królewskim łożu głównej sypialni.

Na razie jednak trwali oboje w niepewności. Reuben zastanawiał się nieustannie, czy transformacja znowu się wydarzy i kiedy to nastąpi, a jeśli nie nastąpi, to czy niepokój, który odczuwał, będzie się nasilał. Już był trudny do zniesienia.

- Gdybym tylko wiedział — rzekł, wzdychając ciężko — czy będę doświadczał przemian co noc, do końca życia. Tak bym chciał umieć je przewidzieć albo jeszcze lepiej: kontrolować.

Laura milczała współczująco. Prosiła tylko o jedno: by mogła mu towarzyszyć.

Pierwszych parę godzin pobytu w rezydencji spędzili w cudownej atmosferze. Reuben z lubością oprowadzał ją po pokojach. Miał nadzieję, że zachwyci ją główna sypialnia - i tak się stało.

Galton zdążył ustawić w oranżerii mnóstwo świeżych roślin, a nawet postarał się, by tworzyły niebrzydką kompozycję. Drzewa orchideowe były imponujące; miały sporo ponad osiem stóp i okryte były mrowiem różowawych i purpurowych kwiatków, z których niestety pewna liczba ucierpiała w transporcie. Stały w drewnianych donicach. Reuben nie mógł znieść myśli o tym, że Marchent zamówiła je tuż przed śmiercią. Galton ustawił je po bokach fontanny, a od frontu dołożył stolik z blatem z białego marmuru oraz dwa krzesła z kutego żelaza, pomalowane na białą.

Sama fontanna także odżyła; woda przelewała się efektownie z górnej misy do szerokiego basenu o niskich burtach.

Dostarczono już także sprzęt komputerowy i drukarkę, zamówione przez Reubena, a także filmy na płytach Blue-ray.

Telewizory zainstalowane przez dozorcę były już podłączone i gotowe do pracy.

Reuben spędził sporo czasu, odpowiadając na e-maile,

głównie po to, by nie przysporzyć sobie dodatkowych kłopotów. Celeste donosiła, że próbki DNA związane ze sprawą Człowieka Wilka „wywołały u wszystkich frustrację”, ale nie wyjaśniła dokładniej, o co chodzi.

Grace nalegała, by Reuben wrócił do domu i poddał się dodatkowym badaniom, ale gdyby ktoś inny prosił go o próbkę DNA, powinien odmówić. Zapewniała, że bez nakazu sądowego nikt nie ma prawa zmusić go do wyrażenia zgody. Po cichu badała możliwość wykorzystania prywatnego laboratorium w Sausalito, polecanego przez rosyjskiego lekarza z Paryża. Ponoć to najlepsze miejsce do dyskretnego prowadzenia badań. Uprzedzała też stanowczo, by nie rozmawiał z dziennikarzami. Z każdym nowym faktem związanym ze sprawą Człowieka Wilka pismacy stawali się coraz śmielsi i głodni kolejnych komentarzy Reubena pojawiali się już regularnie u progu domu na Russian Hill, a także telefonowali na numer stacjonarny.

Billie chciała, by podesłał jej swoje przemyślenia na temat „tego wariactwa zwanego sprawą Człowieka Wilka”.

Możliwe, że to dobry moment na pisanie, pomyślał Reuben. Miał już dość oglądania wiadomości telewizyjnych i poszukiwań prowadzonych w Internecie. Wystarczająco dobrze poznał nastawienie ludzi do tej sprawy.

Dobrze się czuł w Nideck Point, sam na sam z Laurą. Cisza, trzask płomieni, szept lasu za zasłonami. Dlaczego nie miałby popracować? Kto powiedział, że nie może?

I zaczął.

Opisawszy dość szczegółowo dotychczasowe wydarzenia, Reuben pokusił się o kilka refleksji:

Nasz styl życia, zachodni styl życia, zawsze jest „w opracowaniu”. Kwestii życia i śmierci, dobra i zła, sprawiedliwości i tragedii nigdy nie rozstrzygaliśmy definitywnie. Wiecznie wracamy do nich i analizujemy,

bo zmienia się ciągle nasz świat - i ten wewnętrzny, i publiczny. Twierdzimy, że nasze normy moralne mają wartość absolutną, lecz kontekst naszych działań i decyzji zmienia się nieustannie. Nie jesteśmy relatywistami tylko dlatego, że wciąż na nowo próbujemy oceniać nasze najistotniejsze stanowiska moralne.

Dlaczego jednak usiłujemy dostrzegać romantyczny rys w postaci Człowieka Wilka, który, jak się wydaje, karze występki bez zastanowienia i takimi metodami, których sami na co dzień nie akceptujemy?

Dlaczego słyhać głośny aplauz dla nocnych szaleństw kogoś, kto brutalnością swych wyczynów powinien budzić w nas odrazę? Czy potwór będący ucieleśnieniem najprymitywniejszego, najbardziej godnego pogardy instynktu - pragnienia swobodnego zadawania śmierci - naprawdę powinien zostać okrzyknięty herosem? Z pewnością nie. I jeśli możemy spać spokojnie w tych nadzwyczajnych czasach, to tylko dlatego, że ludzie, którym powierzamy nasze bezpieczeństwo, są już na tropie tego zwyrodnialca.

Tkanka społeczna, choć niewiarygodnie wytrzymała, nie może wchłonać i zaakceptować kogoś takiego jak Człowiek Wilk. I nie zmieni tego nawet wielka sława, którą zafundowały mu popularne media.

Warto być może pamiętać, że nasz gatunek cechuje łatwość ulegania wpływom snów i koszmarów. Sztuka, którą tworzymy, wznosi się na fundamencie niepowstrzymanego strumienia obrazów, wypływającego z tajemnego źródła, któremu nie wolno ufać. I choć obrazy te mogą zachwycać i wprawiać w zdumienie, mogą też paraliżować i przerażać. Są takie chwile, w których powinniśmy się wstydić naszych barbarzyńskich ciągot.

Człowiek Wilk to bez wątpienia postać z koszmaru,

nie ze spokojnego snu. Mamy obowiązek bronić tej prawdy - przed nim oraz w imię porządku, który usiłuje zburzyć swymi niesłychanymi wyczynami.

Reuben przesłał artykuł Billie i wydrukował go Laurze. Przeczytała w milczeniu, a potem objęła go i ucałowała. Była przy nim. Zapatrzył się w ogień, wsparłszy łokcie na kolanach, i przeczesywał włosy palcami, jakby chciał dokopać się do myśli, które kłębiły się w jego głowie.

— Powiedz mi szczerze, proszę — odezwał się po chwili. — Czy jesteś rozczarowana tym, że nie jestem takim Człowiekiem z Dziczy, jakim mnie sobie wyobrażałaś? Bo zdaje mi się, że postrzegalaś mnie jako istotę czystą, nieobciążoną rygorami moralności. A może nawet żyjącą wedle zupełnie innego kodeksu zasad, bo nieludzką.

— Rozczarowana... — powtórzyła w zamyśleniu. — Nie, w żaden sposób. Jestem głęboko zakochana. — Mówiła cicho i całkiem spokojnie. - Pozwól, że wytłumaczę ci to innymi słowami, może łatwiej ci będzie je zrozumieć: jesteś dla mnie tajemnicą, tak jak tajemnicą jest sakrament.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Rozpaczliwie pragnął ją pocałować, kochać się z nią, tu, w bibliotece albo w jakimkolwiek innym miejscu, gdyby tylko chciała. Tyle że w jego głowie zakorzeniła się już myśl o tym, że Laura nie pożąda go w takiej postaci. Czyż mogło być inaczej? Pragnęła tego drugiego. Oboje czekali na przemianę; czekali, aż stanie się znowu jej kochankiem, a nie tylko „jednym z najprzystojniejszych mężczyzn”, których spotkała.

Czasem nie trzeba zegara, by usłyszeć tykanie czasu.

A jednak zaczął ją całować. Zareagowała natychmiast, namiętnie zamykając go w ramionach. Odnalazł jej nagie piersi pod koszulą i zacisnął lewą dłoń na jednej z nich. Był gotowy, aż za bardzo gotowy. Tak długo czekał.



Razem zeszli do parteru, a gdy już leżeli na miękkim dywanie, usłyszał, jak przyspiesza jej puls i poczuł bijący od niej aromat pożądania - delikatny, tajemniczy i wonny. Jej rumiane, rozpalone policzki były tak blisko.

Pozbyli się ubrań w pośpiechu i bez słowa, a potem złączyli się znowu w plątaninie pocałunków, z niemal bolesną intensywnością.

Nagle Reuben poczuł skurcz w brzuchu, a zaraz potem w piersi. Dreszcz ekstazy przebiegł po całym jego ciele; mrowienie wręcz sparaliżowało go na krótką chwilę. Przetoczył się na bok, a potem usiadł, zgięty w pół.

Laura wstrzymała oddech.

Miał zamknięte oczy. Czy zawsze czuł to samo? Tak, zawsze, w tym momencie, gdy sierść wyrastała nagle z porów jego skóry, tak, to była ta sama wulkaniczna fala rozkoszy.

Gdy wreszcie uchylił powieki, stał prosto, czując, że długa i ciężka grzywa opada mu na ramiona, a ręce nie są już zakończone dłońmi, lecz pazurami. Futro na jego udach i karku gęstniało z każdą chwilą. Mięśnie przepelniała moc, a ramiona i nogi rosły, jakby rozciągała je niewidzialna siła.

Spojrzał na Laurę. Klęczała przed nim i spoglądała w górę zszokowana. Wstała niepewnie. Prawie bezgłośnie wymamrotała coś jakby modlitwę, a potem ostrożnie wyciągnęła rękę ku Reubenowi. Nagłym ruchem dotknęła go i jak poprzednio wsunęła palce w sierść, czując, jak z każdą chwilą staje się gęstsza i dłuższa.

- Jest jak aksamit! - wyszeptała, muskając dłonią jego twarz. - Taka gładka, jedwabista.

Z trudem się powstrzymywał, by nie poderwać jej z podłogi, tak by jej watgi znalazły się na wysokości jego ust. Miał ją przed sobą całą, naga, drobną i pulsującą pożądaniem. Wziął ją w ramiona.

- Lauro - zamruczał swoim nowym głosem. Prawdziwym

głosem. Odetchnął z głęboką ulgą, gdy otworzyła usta do pocałunku. Czuł basowe dudnienie, jakby gdzieś blisko grały bębny, i wiedział, że dochodzi ono z jego piersi.

Las skradał się ku oknom. Deszcz syczał i bulgotał w rynnach i rurach, a potem spływał po kamieniach w mrok. Oceaniczny wiatr ciskał strugami wody o ściany domu.

Reuben słyszał, jak jego podmuchy wprawiają krokwie w lekką wibrację i jak pojękują rozkołysane konary drzew.

Wszystkie zapachy nocy przedarły się przez twardą skorupę budynku i niczym obłoki pary rozpląnęły się aż po najdalsze kąty domu. Ale najsilniejszy pozostał aromat jej ciała, który przenikał wprost do jego umysłu.

Stał u drzwi frontowych i chłostany strugami deszczu wsłuchiwał się w gwizd wiatru między belkami więźby.

Gdzieś tam, na południe od domu, w sekwojowym lesie ciągnącym się także na wschód i na północ, słyszał prychnięcie zwierzęcia, które chciał dopaść. Tam odpoczywa puma, myślał. Doprawdy godny przeciwnik.

Zmarznięta Laura stała przy nim. Cienkim kołnierzem koszuli nocnej próbowała otoczyć szyję.

- Nie możesz iść - powiedziała. - Nie możesz tak ryzykować. Sprowadzisz ich prosto do domu.

- Nie, tym razem to nie głosy - odparł. Wiedział, że wpatruje się szklistym wzrokiem w ciemną linię lasu. Słyszał niski, warczący głos. - Po tej ofierze nikt nie będzie płakał. Jest bestią z dzikiego świata, podobnie jak ja.

Naprawdę chciał ją dopaść, tę mocarną kocicę, która zabiła psa Galtona, a teraz kryła się w całkiem bliskim gąszczu wraz z trójką swoich prawie dorosłych potomków, pogrążonych w spokojnym śnie, ale gotowych wyrwać się spod matczynej opieki i odejść w brutalny świat. Ich zapachy mieszały się w jego nozdrzach.

Musiał wyruszyć na łowy. Nie mógł się powstrzymać. Głód i niepokój stałyby się nie do zniesienia.

Odwrócił się i pochylił, by raz jeszcze pocałować Laurę. Otaczał jej twarz potężnymi łapami z wielką delikatnością, ale i tak bał się, że ją skrzywdzi.

- Czekaj na mnie przy kominku. Ogrzej się. Obiecuję ci, to nie potrwa długo.

Zaczął biec, gdy tylko opuścił orbitę światła otaczającą dom. Zwinnie zagłębił się w żywy, szepczący las. Gnał na czworaka z taką prędkością, że prawie nic nie widział. Zapach dzikich kotów przyciągał go jak drżąca, naprężona lina.

Wiatr od morza był wśród sekwoi prawie niewyczuwalny, a deszcz stał się ledwie mgiełką muskającą oczy.

Czując, że jest już blisko śpiącej pумы, skoczył na drzewo i zaczął się przemieszczać po niskich konarach, bez trudu utrzymując dotychczasową prędkość. Dzika kocica musiała wyczuć jego zapach, bo ocknęła się i potrząsnęła legowiskiem, by ostrzec młode. Reuben usłyszał ich ciche warczenie i syczenie.

Instynktownie wiedział, co teraz robi puma: zapewne przypadła do ziemi, gotowa skoczyć mu na plecy całą mocą tylnych łap, gdy tylko się zbliży i minie jej kryjówkę. Zatopiłaby kły w jego kręgosłup, w mgnieniu oka pozbawiając go możliwości ruchu, a następnie rozprułaby mu gardło. Widział to wszystko oczami wyobraźni, jakby zapach dzikiej bestii niesiony wiatrem zawierał informacje o jej metodach polowania.

Biedne, dzielne i bezmyślne zwierzę nie wiedziało jeszcze, że padnie łupem człowieka-bestii, który przechytry je, a następnie pokona w otwartej walce. Na myśl o tym Reuben poczuł, jak narastają w nim głód i wściekła żądza zaspokojenia go.

Był już bardzo blisko, gdy młode koty - każdy z nich ważył sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt funtów - wystrzeliły w różne strony z mokrego listowia. Ich jasnobraza matka trwała w przysiadzie, gotowa do skoku. Była potężna, mogła ważyć nawet sto pięćdziesiąt funtów. Czowała już, że jest w niebezpieczeństwie. Czyżby znała zapach istoty, która się do niej zbliżała?

Jeśli go znasz, to wiesz więcej, niż ja kiedykolwiek będę wiedział, pomyślał z goryczą Reuben. Z jego piersi wydobył się

potężny, ostrzegawczy ryk. Zaraz potem wykonał ostatni skok z drzewa na drzewo, by sprowokować pumę do ataku.

Połknęła przynętę. Gdy tylko skoczyła w stronę Reubena, obróciła się błyskawicznie i rzuciła w dół. Objął ją łapą i wbił kły w twardą warstwę potężnych mięśni karku.

Jeszcze nigdy nie zmagał się z istotą o tak wielkiej sile, tak wielką i tak przepełnioną brutalną wolą przetrwania. Razem opadli na ziemię, przy wtórze dzikich prychnięć i warkotu. Przycisnął twarz do jej gęstego, wonnego futra, mocno pracując nogami w kupie mokrych liści i gęstwinie kolczastego bluszczu, liasz po raz wbijał kły w ciało pumy, raniąc ją i doprowadzając do jeszcze większej wściekłości, a potem odrywał kolejny kawałek żywego mięsa, z całą siłą, na jaką stać było jego potężne szczęki.

Dzika kocica nie zamierzała się poddać. Jej długie i silne ciało drgało konwulsyjnie, a tylne łapy wierzgały zaciekle. Z jej gardzieli wyrwał się po trosze wściekły, a po trosze bolesciwy skowyt. Teraz dosiadł ją i przycisnął, lewą łapą szarpiąc łeb pumy ku górze. Zabił ją, wbijając pazury głęboko w miękką szyję i dla pewności rozrywając zębami kręgosłup.

Mięso i krew należały teraz do niego. Tymczasem powróciły młode: otoczyły go cichaczem i teraz rzuciły się do ataku. Trzymając zdobycz w mocno zaciśniętych szczękach, skoczył i wbił pazury w grubą korę sekwoi, by z łatwością wspiać się wysoko poza ich zasięg. Ból w przeciążonej zuchwie był właściwie przyjemny; pozwalał poczuć cały ciężar zdobyczy objijającej się bezwładnie o jego pierś.

Usadowił się wysoko w koronie drzewa, na splełanych konarach, wśród szorstkich igieł. Spłoszone ptaki umykały we wszystkie strony, skrzecząc panicznie i dziko trzepocąc skrzydłami.

Posilał się niespiesznie, pakując do ust wielkie, ociekające krwią kawały słonawego mięsa. Gdy zaspokoił pierwszy głód, jeszcze przez długą chwilę przyglądał się rozdrażnionym

młodym, które miały się wokół drzewa, błyskając złowrogo żółtymi ślepiami. Z ciemności dobiegały ich basowe pomruki.

Przerzucił ciało ich matki przez lewe ramię, by dostać się do jej miękkiego brzucha, i wyrwał zeń kawał soczystej tkanki.

Znowu ogarnęło go swoiste delirium: jadł, aż zaspokoił głód do reszty, a potem ułożył się w rozwidleniu gałęzi i zamknął oczy, z lubością czując wokół siebie słodki welon srebrnych kropelek deszczu. Spojrzał w górę, ku niebu, i zobaczył szczelinę w grubej warstwie chmur, przez którą - niczym promień lasera - przebił się blask księżyca. Fakt, że była to pełnia, nie miał najmniejszego znaczenia. Księżyc był po prostu piękny; płynął dostojnie w wieńcu z chmur, na tle dalekich gwiazd.

Poczuł nagle, że uwielbia ten spektakl: chwałę księżyca i smugi światła, które ciągnął za sobą, gościnność lasu, który dawał mu schronienie, a nawet deszcz, który przynosił srebrzysty blask gwiazd wprost do jego nadrzewnej kołyski.

Czuł też, że rozpala się w nim płomień wiary w rozumną Moc, która ożywia wszelkie swoje dzieła i obdarza je miłością potężniejszą niż wszystko, co Reuben był w stanie sobie wyobrazić. Modlił się, by właśnie tak było, i zastanawiał się, czy cała puszcza nie modli się o to samo. Miał wrażenie, że cały ten biologiczny świat żyje teraz ową modlitwą, że sięga ku niebu z nadzieją. A jeśli wola przetrwania była formą wiary, formą modlitwy?

Nie było mu żal kociąt, które krążyły w ciemności u stóp potężnego drzewa. Owszem, pomyślał o żalu, ale go nie odczuwał; miał za to wrażenie, że stał się nieodłączną częścią świata, w którym takie uczucie ma nikły sens lub zgoła go nie posiada. Bo cóż owe osieroczone zwierzęta mogły sądzić o żalu? Rozerwałyby go na kawałki, gdyby tylko mogły. Ich matka także pożarłaby go bez wahania, gdyby tylko pojawiła się taka możliwość. Tak jak wcześniej brutalnie zakończyła długie i beztroskie życie ulubionego psa Galtona. Jakże łatwą zdobyczą musiał się jej wydawać Reuben!

Horror całej sytuacji polegał na tym, że teraz to on był najgroźniejszą istotą w królestwie leśnych kotów. Zresztą i niedźwiedź pewnie nie miałby z nim szans. To akurat tizeba będzie jeszcze sprawdzić, pomyślał Reuben, a wizja takiego starcia sprawiła, że roześmiał się w głos.

Jakże mylnie ludzie oceniali wilkołaka, wyobrażając sobie, że działa w bezmyślnym szale. Wilkołak nie był wszak ani wilkiem, ani człowiekiem, ale obsceniczną hybrydą, o sile podniesionej do kwadratu.

Teraz jednak nie miało ro znaczenia. Język myśli był tylko językiem myśli. A kto mógłby ufać językowi? Słowom takim jak „potwór”, „horror” czy „obsceniczny”? Sam użył ich niedawno, pisząc artykuł dla Billie, a przecież były ledwie wątłą błoną pozbawioną własnego ciężaru, zbyt słabą, by podtrzymać prawdziwą esencję pulsującej życiem istoty.

Wielki kot, martwy kot, zabójca poczciwego psa, którego kochał Galton. Pokonany. A ja delektowałem się każdą chwilą lej walki!

Czuł, że zapada w półsen. Przycisnął usta do wielkiej rany na brzuchu pumy i wyssał krew, jakby była syropem.

- Żegnaj, siostró kocico - wyszeptał, muskając ustami jej szeroko otwartą paszczę i wodząc językiem po martwych zębach. - Żegnaj, siostró kocico, pięknie walczyłaś.

A potem rozluźnił uchwyt łap i jego trofeum poszybowało w dół. Przebiwszy się przez sieć gałęzi, spadło na miękką, głodną ziemię, tuż obok trojga młodych kugarów.

Znowu się rozmarzył. Gdyby tylko mógł sprowadzić Laurę do tego świetlistego królestwa, tulić ją teraz w ramionach. Byłaby bezpieczna, odpoczywałyby razem z nim i nie czując deszczu ani wiatru kołyszącego koronami drzew, wszechświatem drobnych, niespokojnych stworzeń, utuliłaby go do snu.

A co z dalekimi głosami, których teraz nie słyszał? Czy w miastach na północy albo na południu ktoś wzywał jego

pomocy? Czy ktoś uciekał przed niebezpieczeństwem, krzycząc ze sttachu? Poczucie własnej, wciąż rosnącej siły napełniało go mroczną dumą. Przez ile nocy potrafiłby ignorować te głosy? Jak długo mógłby unikać najniebezpieczniejszej z gier?

Ale właśnie teraz coś usłyszał! Głos, który przebił zielone bramy jego sanktuarium.

Ktoś był w niebezpieczeństwie, straszliwym niebezpieczeństwie, a on znał ten głos!

„Reuben!”, brzmiał krzyk rozpacz. „Reuben!” To Laura go wzywała. „Ostrzegam cię - szlochala - ani kroku bliżej!” I śmiech, basowy, złowrogi śmiech. A potem obcy głos: „Daj spokój, mała kobietko, naprawdę sądzisz, że zabijesz mnie tą siekierą?”.



Pędził przez las na czterech łapach, mijając wielkie drzewa z prędkością, której nie udało mu się osiągnąć nigdy wcześniej.

„Moja droga, ułatwiasz mi zadanie. Nie masz pojęcia, o ile trudniej byłoby mi przelać całkiem niewinną krew”.

„Zostaw mnie. Zostaw mnie!”

Ale to nie zapach zła prowadził go w stronę domu - właściwie żadnego zapachu nie było. Czym więc był ten złowrogi głos?

Dwoma susami przemierzył szeroki, kamienny taras i całym ciężarem ciała naparł na drzwi, wyrywając zamki z drewnianego skrzydła.

Wylądował na podłodze i nie oglądając się, trzasnął drzwiami.

Przerażona i drżąca Laura stała na lewo od wielkiego, kamiennego kominka, ściskając w dłoniach długi, drewniany i rzonek siekiery.

- Reuben, on chce cię zabić! - wydusiła z siebie z niemałym trudem.

Naprzeciwko niej, po prawej, stał niewysoki, smukły i całkiem spokojny mężczyzna o śniadej skórze. Miał nieco azjatyckie rysy twarzy. Wyglądał na pięćdziesięciolatka; miał k rótkie, czarne włosy i małe, czarne oczy. Był ubrany w całkiem zwyczajną, szarą marynarkę i spodnie, a także białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

Reuben stanął naprzeciwko, pomiędzy nim a Laurą.

Niewysoki mężczyzna cofnął się z gracją. Mierzył Reubena

wzrokiem z taką obojętnością, jakby spoglądał na przechodnia mijanego na rogu ulicy.

- Powiedział, że cię zabije — odezwała się znowu Laura. Słowa wciąż z trudem przeciskały się przez jej krtań. - I że nie ma wyboru. Mnie też chce zabić.

- Idź na górę - powiedział Reuben. Zbliżył się nieco do nieznajomego. - Zamknij się na klucz w sypialni.

- Nie sądzę, abyśmy mieli na to czas - rzekł nieznajomy. -Widzę, że w słowach, którymi cię opisywano, nie było przesady. Doprawdy, jesteś imponującym przedstawicielem gatunku.

- Jakiego gatunku? - spytał Reuben. Stał ledwie o kilka stóp od niego i spoglądał nań z wysokości, wciąż mocno zaskoczony brakiem fetoru. Owszem, zapach człowieka wyczuwał wyraźnie, ale nie woń wrogości ani złych zamiarów.

- Żałuję tego, co cię spotkało - ciągnął mężczyzna swobodnym tonem wytrawnego mówcy. - Nie powinienem był cię ranić. To niewybaczalny błąd z mojej strony. Ale cóż, stało się, a teraz nie mam wyboru: muszę go naprawić.

- A więc to ty za tym wszystkim stoisz.

- Jak najbardziej, choć wcale nie było to moim zamiarem. Wypowiadał się całkiem rozsądnie i sądząc po drobnej

budowie ciała, nie mógł być dla Reubena zagrożeniem, ale to nie był ostateczny kształt jego ciała, o nie. Czy lepiej zabić go teraz, zastanawiał się Reuben, zanim dokona się przemiana? Teraz, gdy jest słaby i bezbronny? A może najpierw wydusić z niego informacje, których tak potrzebuję? Ileż tajemnic może znać.

- Tak długo strzegłem tego miejsca - mówił tymczasem nieznajomy, cofając się znowu o krok przed zbliżającym się Reubenem. - Nie masz pojęcia, jak długo. Nie była to najlepsza służba, ptzyznaję, czasem w ogóle mnie tu nie było. Ale tego błędu nie można mi wybaczyć i jeśli mam liczyć choćby na cień litości, to muszę go naprawić. Obawiam się, mój biedny, młody

Człowieku Wilku - bo tak się nazwałeś, prawda? - że byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś się w ogóle nie narodził.

Dopiero teraz na jego ustach pojawił się złowieszczy uśmiech, a w raz z nim nastąpiła transformacja tak nagła, że Reuben nie nadążał z obserwowaniem zmian. Ubranie nieznajomego zmieniło się w strzępy, gdy jego korpus, ramiona i uda zaczęły rosnać i puchnąć. Zerwał z nadgarstka złoty zegarek i upuścił na podłogę. Na jego ciele pojawiła się lśniąca, czarna sierść, gęstniejąca z każdą sekundą. Zakończony potężnymi pazurami stopy lozerwały skórzane buty. Uniósł łapę, by zrzucić z siebie resztki koszuli i marynarki, a potem strząsnął z ud wystrzępione kawałki spodni. Z jego piersi dobiegł głęboki, zwierzęcy pomruk.

Reuben zmrużył oczy. Przeciwnik był niższy, miał krótsze ramiona, ale któż może wiedzieć, ile w nich siły? A te wielkie łapy i stopy? Dolne kończyny nieznajomego wydawały się lepiej umięśnione niż nogi Reubena.

Laura przysunęła się nieco bliżej. Widział ją kątem oka na tle kominka; stała z uniesioną siekierą, podpartą na prawym barku.

Nie ruszał się. Odetchnął głęboko i sięgnął ku pokładom i ej wilczej siły, którą — wiedział o tym dobrze — posiadał. Nie walczysz o swoje życie, pomyślał. Walczysz o życie Laury.

Nieznajomy był teraz o stopę wyższy niż jeszcze przed chwilą. Gęsta, czarna grzywa spływała na jego ramiona jak płaszcz. Nie był jednak tak potężny jak Reuben w swej wilczej postaci. Jego twarz zmieniła się nie do poznania; nie było w niej już ani śladu współczucia, małe oczka przypominały świńskie, a z wydłużonych szczęk sterczały długie, zakrzywione kły.

Różowy język mignął między białymi zębami, gdy mężczyzna poruszył się, naprężając mocarne mięśnie ud. Jego sierść — z wierzchu, i w głębszej warstwie — była jednolicie czarna. Widok jego upiornie spiczastych, wilczych uszu przyprawiał Reubena o mdłości, głównie dlatego, że uświadamiał sobie, tak bardzo podobnie wygląda.

Stój spokojnie, powtarzał sobie w duchu. Stój spokojnie. Wściekłość trawiła go od środka, ale nie ta, od której nogi zmieniają się w watę, a ręce tracą całą moc. Nie, to było coś innego.

Z jakiegoś powodu jego przeciwnik się wahał, coś wyraźnie mu nie pasowało. Reuben zbliżył się o krok.

Czarny wilkołak cofnął się automatycznie.

— I co teraz? Wydaje ci się, że tak po prostu się mnie pozbędziesz? - spytał Reuben. - Sądysz, że możesz mnie zniszczyć tylko dlatego, że popełniłeś błąd.

— Nie mam wyboru — odpowiedział stwór głębokim, dźwięcznym barytonem. — Już mówiłem. To nie powinno było się zdarzyć. Gdybym wiedział, że się zdarzy, zabiłbym cię tak samo jak tamtych, jak zabójców. Lecz ty zapewne już wiesz, jak odrażająca wydaje się choćby myśl o przelaniu niewinnej krwi. Gdy zorientowałem się, że się pomyliłem, darowałem ci życie. Widzisz, zawsze istnieje możliwość, że krzyżmo nie zostanie przekazane, że ofiara całkiem zwyczajnie wróci do zdrowia — albo że umrze. To zresztą zdarza się najczęściej: ofiara po prostu umiera.

— Krzyżmo? Tak to nazwałeś? — zainteresował się Reuben.

— Tak, krzyżmo. Od niepamiętnych czasów używamy tej nazwy. Dar, moc — istnieje setka równie starych słów, których można by użyć, tylko po co?

— „Używamy”? - podchwycił Reuben. - Powiedziałeś: „używamy”? Ile jest na świecie stworzeń takich jak my?

— O, wiem doskonale, jak bardzo ciekaw jesteś tego, co mógłbym ci powiedzieć — rzekł stwór z nutą pogardy w głosie. Był irytująco wstrzemięźliwy. - Pamiętam tę ciekawość wyraźniej niż cokolwiek innego. Ale po co miałbym cię wtajemniczać, kiedy nie mogę pozwolić ci żyć? I komu właściwie staram się ułatwić zadanie, tobie czy sobie? Możesz mi wierzyć, że łatwiej mi być uprzejmym, zadając wam śmierć. Nie chcę przecież, abyście cierpieli. Absolutnie.

Tak uprzejmy, kulturalny głos i twarz bestii — kontrast wy-

dawał się Reubenowi wręcz groteskowy. I pewnie tak wyglądam w oczach ludzi, pomyślał. Ohydny. Potworny.

- Pozwolisz kobiecie odejść - rzekł. - Niech weźmie mój samochód, niech stąd odjedzie...

- Nie, nie pozwolę jej odejść, ani teraz, ani później - odpowiedział spokojnie stwór i dodał najzupełniej obojętnie: - To ty przypieczętowałaś jej los, nie ja. Zrobiłaś to, wyjawiając jej swoją tajemnicę. Sekret tego, kim i czym teraz jesteś.

- Nie mam pojęcia, kim i czym jestem - odparł Reuben. Grał na czas. Kalkulował. W jaki sposób najlepiej go zaatakować? Gdzie jest jego słaby punkt? Czy w ogóle ma słabe punkty? Zrobił jeszcze krok naprzód, a bestia znowu się cofnęła.

- To i tak nie ma już znaczenia, nieprawdaż? — spytała. — taka jest upiorna prawda, przyjacielu.

- Dla mnie ma - odparł Reuben.

Jakiż makabryczny musi być to spektakl w oczach Laury, pomyślał z troską. Jeszcze krok naprzód. Przeciwnik dał krok wstecz.

- Jesteś młody, głodny życia - stwierdził czarny wilkołak. Mówił teraz odrobinę szybciej. - I głodny mocy.

- Wszyscy jesteśmy głodni życia — odpowiedział cicho Reuben. - Bo samo życie tego od nas wymaga. Kto nie jest głodny życia, nie zasługuje na to, by żyć.

- Owszem, ale twój głód jest wyjątkowy, czyż nie? - spytał ironicznie wilkołak. - Uwierz mi, nie będę czuł przyjemności w zabijaniu tak silnej jednostki. - Małe, ciemne oczka błysnęły ostrzegawczo w blasku ognia.

- A co by się stało, gdybyś mnie nie uśmiercił?

- Odpowiadam za ciebie i za twoje nadzwyczajne osiągnięcia - odparł z pogardą czarny stwór. - Te, za których sprawą cały świat chce cię teraz pojmać, uwięzić, uśpić, przebadać na wszystkie strony i zamknąć w szklanej gablocie.

Reuben zrobił jeszcze krok, ale tym razem wilkołak nie

ustąpił. Uniósł tylko łapę słabym, obronnym gestem, jakby chciał zatrzymać roślejszego przeciwnika. Ilu jeszcze sygnałów potrzebuje, pomyślał Reuben.

— To, co zrobiłem, wydawało mi się naturalne — wyjaśnił. — Słyszałem głosy, które mnie wzywały. Czułem woń zła i podążałem jej śladem. Wszystkie te czyny wydawały mi się tak normalne jak oddychanie.

— Wierz mi, naprawdę jestem pod wrażeniem — odparł w zamyśleniu czarny wilkołak. — Nie masz pojęcia, jak wielu popełnia błędy, choruje i ginie w pierwszych tygodniach. W tym czasie trudno cokolwiek przewidzieć. Pod każdym względem! Nikt nie wie, co się wydarzy, gdy krzyżmo dotrze do pluripotencjalnych komórek prekursorowych.

— Wyjaśnij mi to wszystko — poprosił półgłosem Reuben. — Czym jest krzyżmo? - Dał jeszcze krok naprzód, a przeciwnik cofnął się, jakby nie mógł powstrzymać tego odruchu. Jego uda wciąż były napięte, a ramiona, lekko ugięte, zwisały swobodnie.

— Nie — odpowiedział chłodno. — Gdybyś potrafił być choć trochę bardziej wstrzemięźliwy, gdybyś miał więcej rozumu.

— Ach, więc to wszystko moja wina, czy tak? — spytał spokojnie Reuben, podchodząc jeszcze bliżej. Bestia cofnęła się o dwa kroki i zatrzymała tuż przy wyłożonej drewnem ścianie. — A gdzie byłeś, gdy krzyżmo zaczęło działać? Dlaczego nie pouczałeś mnie, nie doradzałeś mi, nie ostrzegałeś przed tym, co miało nastąpić?

— Daleko stąd — odpowiedział wilkołak, po raz pierwszy z nutą zniecierpliwienia w głosie. — Twoje bajeczne wyczyny zastały mnie w połowie drogi dookoła świata. A teraz umrzesz przez nie. Warto było? Powiedz. Czy to był szczytowy punkt twojej dotychczasowej egzystencji?

Reuben nie odpowiedział. Teraz, zdecydował w duchu. Właśnie teraz powinienem go zaatakować.

Ale bestia znowu przemówiła.

— Nie myśl, że nie pęka mi serce — rzekła, odsłaniając zęby w czymś na kształt paskudnego uśmiechu. — Gdybym cię wybrał, gdybym celowo zaszczepił cię krzyżmem, byłbyś wspaniały. Najlepszy z Morphenkindów. Ale ja cię nie wybrałem. Dlatego nie jesteś Morphenkindem. — Reuben znał słowo „kind”: w niemieckim oznaczało „dziecko”. — Jesteś ohydną, obmierzłą zakałą gatunku, oto czym jesteś! — Wilkołak nie podnosił głosu, a jednak wyczuwało się w jego słowach gniew. — Nigdy bym cię nie wybrał, nie zauważyłbym cię nawet. A teraz zna cię cały świat. Pora z tym skończyć.

Teraz on gra na czas, pomyślał Reuben. Ale po co? Czyżby wiedział, że w tej walce nie wygra?

— Kto kazał ci pilnować domu? — spytał.

— Ktoś, kto nie będzie tolerował tego, co się wydarzyło. A już na pewno nie tutaj, nie w tym miejscu. — Wilkołak westchnął. — Nie będzie tolerował ciebie, żaloszny chłopcze, po tym, jak zabawieś się z Marchent, jego drogą Marchent, zanim zginęła.

Jego powieki zadrżały nieznacznie. Bezgłośnie obnażył kły.

— Ale kim on jest? I co go łączy z Marchent?

— Ty sprawiłeś, że straciła życie — odpowiedział stwót i zawył. — Oddaliłem się od domu, bo nie chciałem patrzeć na ciebie i Marchent, na to, co razem robicie. I właśnie wtedy dopadła ją śmierć! To przez ciebie! Dlatego do ostatniego tchu będę walczył, żeby cię zniszczyć.

Te słowa rozwścieczyły Reubena, ale zmusił się do zadawania kolejnych pytań.

— Felix Nideck? To on uczynił cię strażnikiem swojego domu? Wilkołak spiął się w sobie, unosząc ugięte ramiona. Tym razem warkot brzmiał znacznie groźniej.

— Sądysz, że te pytania w czymś ci pomogą? — spytał, a potem parsknął pogardliwie. Było w tym jednym dźwięku

tyle samo treści, ile wcześniej w jego słowach. — Koniec z tobą! — ryknął.

Ale to Reuben zaatakował. Skoczył z wyciągniętymi łapami, by z całej siły huknąć głową czarnego wilkołaka o ścianę, a następnie zacisnąć pazury na jego gardle.

Potwór warknął dziko, wymierzył Reubenowi kopniaka i spróbował dosięgnąć łapami jego twarzy. Stawił żelazny opór.

Reuben pociągnął go ku sobie za długą grzywę, żeby wziąć zamach, po czym znowu pchnął wilkołaka - tym razem w stronę kamiennego kominka. Z krtani czarnego wyrwał się zdławiony ryk. Znowu wyciągnął łapy zbrojne w pazury. Złapał Reubena za bary i kopnął po raz drugi, tym razem kolanem i nieco niżej, za to z równie wielką siłą.

Reuben poczuł, że nie może oddychać. Cofnął się chwiejnym krokiem. Pociemniało mu w oczach. Poczuł stalowy uchwyt łap na szyi, ukłucie ostrych pazurów głęboko pod futrem, na twardej skórze, i wreszcie gorący oddech na twarzy.

Rycząc dziko, wyrwał się z uścisku: uderzył od wewnętrznej w ramiona napastnika. Nikt nie oparłby się takiemu ciosowi. Znowu odepchnął intruza i czarny łeb raz jeszcze zderzył się ze ścianą. Wilkołak pozbierał się jednak w okamgnieniu i skoczył na Reubena. Mocarne uda nadały mu taką prędkość, że razem runęli na podłogę.

Reuben zdążył się podnieść w samą porę, by prawym ramieniem wyprowadzić piękny cios, który oszołomił czarnego, ale tylko na ułamek sekundy. Kontratak nastąpił niemal natychmiast: kły znowu kłapnęły tuż nad twarzą Reubena, a potem dosięgły gardła.

Poczuł ból, nieskończenie bardziej intensywny niż po wszystkich innych ciosach, które przyjął tej nocy. W bojowym szale uderzył na oślep, przed siebie, po raz kolejny odrzucając przeciwnika. Czuł, że z rany płynie gorąca krew. Zerwał się na równe nogi i zaatakował z furją, wymachując łapami i ko-



piąc zawzięcie. Jeden z ciosów dosięgnął twarzy wilkołaka i rozorał jego prawe oko. Czarny ryknął potężnie i zaatakował ze zdwojoną energią, ale i Reuben nie próżnował: skoczył mu naprzeciw, w locie sięgając zębami do twarzy przeciwnika. Wbijał kły coraz głębiej i głębiej, miażdżąc szczękami żuchwę wyjącego z bólu potwora.

Nie pokonam go, myślał gorączkowo Reuben, ale i on nie może mnie pokonać. Znowu poczuł uderzenie kolanem, potem stopą i wreszcie mocne pchnięcie tych żelaznych ramion. Mocowali się jak zapaśnicy, coraz dalej od ściany. Zaraz, zaraz!

Z gniewnym charkotem szarpnął zębami ze wszystkich sił, jak wtedy, gdy uctował na truchle pumy. Zdał sobie sprawę, że aż do tej chwili nie dawał z siebie wszystkiego, ale teraz musiał. Albo użyje pełni sił, albo zginie.

Raz za razem wymierzał przeciwnikowi potężne ciosy lewą łapą, celując w zakrwawiony oczodół, a jednocześnie nie wypuszczał jego głowy ze stalowego uścisku obolałych już szczęk.

Potwór ryczał i kłął na przemian, w języku, którego Reuben nie rozumiał. Aż nagle zwiotczał. Żelazne ramiona opadły. Z czarnej gardzieli wyrwał się bulgocący krzyk bólu.

Reuben patrzył w jego ocalałe oko, spoglądające nieruchomo na wprost. Ciało czarnego wilkołaka stało się wiotkie, ale nie upadło. Zwolnił uchwyt, wypuścił z paszczy pokaleczoną, krwawiącą twarz.

Jego przeciwnik ani drgnął. Po prostu stał, bezradnie spoglądając ku górze jednym okiem, podczas gdy z drugiego oczodołu płynęła krew. Za jego plecami przyczaiła się Laura, mierząc go bojowym spojrzeniem.

Gdy potwór w końcu zgiął się wpół, Reuben ujrzał siekiere wbity w tył jego czaszki.

— Wiedziałem! — ryknął czarny wilkołak. — Wiedziałem, wiedziałem! — zawodził, owładnięty na nowo furją. Rozpaczliwie starał się dosięgnąć trzonka, ale rozedrgane ramiona już go nie słu-

chały. Z szeroko otwartych ust lała się spieniona krew. Odwrócił się chwiejnie i omal nie upadł, wściekle zgrzytając zębami i wyjąc.

Reuben pochwycił długi trzonek i wyszarpnął siekiere z karku wilkołaka, a potem bez namysłu i z całej siły zadał jeszcze jeden cios. Ostrze przecięło grzywę, sierść, skórę i kość, przecinając szyję do połowy. Potwór teraz dopiero umilkł. Jego szczęki znieruchomiały, a jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę był jego świszczący oddech.

Reuben zamachnął się znowu i raz jeszcze uderzył siekiere. Litościwe ostrze przeszło tym razem na wylot i głowa czarnego wilkołaka potoczyła się po podłodze.

Niewiele myśląc, Reuben pochwycił ją za długie włosy i cisnął w ogień. Ciało opadło wolno na orientalny dywan, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

Laura z trudem łapała oddech. Zgięta wpół przy kominku kołysała się mimowolnie w przód i w tył, jęcząc i wskazując na płomienie, aż wreszcie upadła obok krzesła.

— Reuben! — wrzasnęła histerycznie. — Wyjmij ją z ognia! Wyjmij z ognia, proszę cię, na miłość boską!

Płomienie lizały już zakrwawione, szeroko otwarte oko. Reuben nie mógł się powstrzymać: sięgnął w ogień, podniósł uciętą głowę z płonących polan i rzucił na podłogę. Dym uniósł się z niej jak obłoczek kurzu. Kilka przypadkowych iskier tliło się jeszcze w poskręcanych włosach.

Znieruchomiła wreszcie, skrwawiona, zniszczona, lepka, ślepa i zupełnie martwa.

Obraz, który teraz ujrzeli, był jak z wiersza, z bajki, z najdzikszych snów. Lśniące, czarne włosy zaczęły opadać z martwej głowy i leżącego o kilka stóp dalej ciała. Nie było już siły, która mogłaby je wciągnąć do wnętrza, dlatego po prostu sypały się na podłogę, a sama głowa i ciało zaczęły się kurczyć. Po chwili w gnieździe z szybko znikających włosów spoczywały już tylko nagie, okaleczone i zakrwawione zwłoki człowieka.

Reuben opadł na kolana i przysiadł na piętach. Czuł ból bodaj we wszystkich mięśniach, zwłaszcza ramion. Fala gorąca, która ogarnęła jego twarz, była niemal nie do zniesienia.

A zatem jestem Morphenkindem. Ohydna, obmierzłą zakałą gatunku, mówiąc ściślej. Ale tak się złożyło, że ta zakała gatunku właśnie pokonała innego Morphenkinda, naturalnie z małą pomocą ukochanej i jej siekiery.

Laura zanosila się płaczem w podobnie niekontrolowany sposób, jak jeszcze niedawno śmiechem. Klęczała obok Reubena, który tulił ją w ramionach. Teraz dopiero zauważył krew na jej koszuli nocnej i we włosach. Wciąż ją obejmował, gładził czule, próbował uspokoić. Rozpaczała, jakby pękło jej serce. Wreszcie ucichła, ale wciąż wstrząsał nią bezgłośny szloch.

Ucałował ją najpierw w czubek głowy, a potem w czoło. Uniósł łapę i delikatnie dotknął jej ust. Krew. Wszędzie krew. Za dużo krwi.

- Lauro - szepnął.

Wpijała się w jego ciało jak tonący; jakby miała ją porwać jakaś niewidzialna fala.

Na ciele zabitego mężczyzny nie było już nawet śladu sierści, ale i na dywanie nie pozostało jej wiele: większość zdążyła zamienić się w ledwie widoczny pył.

Jeszcze przez długą chwilę klęczeli nieruchomo. Laura uspokajała się wolno, wyczerpana płaczem, aż wreszcie oprzytomniała.

- Muszę to pochować - powiedział Reuben. - W szopie na podwórzu są łopaty.

- Pochować! Reuben, nie możesz tego zrobić! — Laura patrzyła na niego tak, jakby w tej chwili dopiero ocknęła się z nocnego koszmaru. Wytarła nos wierzchem dłoni. - Nie możesz go tak po prostu pochować. Chyba rozumiesz, jak cenne, wręcz bezcenne jest to ciało. Zwłaszcza dla ciebie!

Wstała z wysiłkiem i trzymając dystans, jakby wciąż się go bała, spojrzała na zwłoki mężczyzny. Głowa spoczywała na boku; lewe oko było zamknięte. Podobnie jak reszta twarzy i ciała, powieka miała lekko żółtawą barwę.

- Z tych zwłok można odczytać wszystkie komórkowe tajemnice tej niezwykłej mocy — powiedziała Laura. — Jeśli kiedykolwiek masz je poznać, to właśnie teraz. Nie możesz pozbyć się tego ciała. To niedorzeczne.

- Niby kto miałby się zająć jego badaniem, Lauro? - spytał Reuben. Był kompletnie wyczerpany; miał wrażenie, że szybciej niż zwykle nastąpi przemiana. A przecież potrzebował swojej siły, by wykopać grób dla tego nieszczęśnika. — Kto dokona biopsji organów, usunie mózg, przeprowadzi autopsję? Ja nie potrafię. Ty chyba też nie. Zatem kto to zrobi?

- Musi być jakiś sposób na zakonserwowanie go do czasu, aż znajdzie się ktoś kompetentny.

- Ale jak? Mam wepchnąć trupa do zamrażarki? Zaryzykować, że ktoś go tam znajdzie i skojarzy ze mną? Naprawdę sugerujesz, żebym ukrył to ciało w pobliżu domu, w którym mieszkamy?

- Sama nie wiem - odparła roztrzęsiona. - Ale nie wyobrażam sobie, żebyś wziął szczątki tej tajemniczej istoty i zwyczajnie pogrzebał je w ziemi. To bez sensu. Boże, przecież to zupełnie niepojęty organizm, świat nic o nim nie wie. Może dzięki niemu uda się zrozumieć... — urwała. Przez chwilę stała w milczeniu. Włosy spływające w nieładzie po obu stronach jej

twary wyglądały jak welon. - Może moglibyśmy umieścić je... w miejscu, w którym znalazłby je ktoś inny? Wiele mil stąd.

- Po co? W jakim celu? - spytał Reuben.

- A gdyby tak znaleziono to ciało, zbadano je i stwierdzono, że to ta istota jest sprawcą niedawnych zbrodni? - Laura spojrzała pytająco na Reubena. - Proszę, zastanów się nad tym przez chwilę. Nie odmawiaj od razu. Ta istota próbowała nas zabić. Powiedzmy, że podrzucimy jej zwłoki gdzieś na poboczu autostrady, w widocznym miejscu. Założmy, że policja znajdzie w nich mieszaną ludzkiego DNA i tego wilczego płynu... Krzyżma, skoro tak go nazwał...

- Lauro, badanie DNA mitochondrialnego pozwoli ustalić ponad wszelką wątpliwość, że to nie ta istota była sprawcą tylu zabójstw - odparł Reuben. - Nawet ja orientuję się w temacie na tyle, żeby o tym wiedzieć.

Spojrzał znowu na uciętą głowę. Miał wrażenie, że skurczyła się jeszcze mocniej i pociemniała odrobinę, jak gnijący kawałek owocu. Reszta ciała też wydawała się mniejsza i ciemniejsza, zwłaszcza korpus. Stopy wyglądały ledwie jak wypustki na końcu nóg.

- Zrozumiałaś dobrze, co nam powiedział? — spytał cierpliwie. - Skazał mnie na śmierć za to, że narozrabiałem, za moje „bajeczne wyczyny”, jak się wyraził. Za to, że przyciągnąłem uwagę postronnych osób. Te istoty potrzebują tajemnicy, od jej utrzymania zależy ich byt. Jak sądzisz, jak zareagują inni Morphenkindowie, jeśli bezceremonialnie porzucę te zwłoki w publicznie dostępnym miejscu?

Skinęła głową.

- A przecież są i inni, Lauro! Ten tutaj powiedział nam, wbrew pozorom, bardzo wiele.

- Masz rację, pod każdym względem - przyznała wreszcie. Ona także zauważyła, że z ciałem czarnego wilkołaka dzieje się coś dziwnego. - Mogłabym przysiąc, że on... znika - powiedziała.

- Kurczy się. Jakby wysychał.
- Znika — powtórzyła. Podeszła do trupa i przykucnęła.
- Spójrz na to. Kości chyba zaczynają się rozpadać, całe ciało staje się płaskie. Chciałabym go dotknąć, ale nie dam rady.

Reuben nie odpowiedział. Miała rację. Ciało i głowa chudły, były coraz bardziej płaskie. Tkanka stawała się porowata i jakby przyprószona pyłem.

- Patrz! - zawołała Laura. - Tutaj, na dywan. Tu, gdzie była kałuża krwi...

- Widzę - szepnął. Krew zamieniła się w błonę grubości chustki. Na ich oczach błona ta zaczęła pękać, rozpadać się na milion kawałeczków, na mikroskopijne płatki, które po chwili zaczęły się rozpuszczać, znikać. - Spójrz na swoją koszulę!

Krew krzepła i odrywała się od bawełnianej tkaniny drobnymi płatkami. Laura zgmiotła materiał w dłoni i strzepnęła resztki. Po chwili strząsnęła też resztki krwi z włosów. Opadały na podłogę jak pył.

- Więc to tak - powiedział Reuben. - Rozumiem. Teraz wszystko rozumiem. - Widać było, że jest poruszony.

- Co rozumiesz? — spytała Laura.

- Dlaczego władze wciąż twierdzą, że Człowiek Wilk jest tylko człowiekiem. Rozumiesz? Oni kłamią, Laura. Nie mają w ręku absolutnie żadnych dowodów. Oto, co się z nami dzieje, z każdą cząstką naszego ciała, ze wszystkimi płynami ustrojowymi. Spójrz tylko. Oni nie mają ani jednej próbki kodu genetycznego Człowieka Wilka. Pobrali je na wszystkich miejscach zbrodni i pewnie zanim zdążyli je przebadać, materiał już do niczego się nie nadawał - rozpadł się, tak jak rozpadają się te zwłoki.

Reuben zbliżył się na czworaka do odciętej głowy. Twarz zapadła się już do środka, a całość była tylko kałużą na dywanie. Wciągnął w nozdrza jej zapach. Rozkład, zapach człowieka,

zapach zwierzęcia - bardzo, bardzo subtelna mieszanina. Czy i on był podobnie bezwonny dla wszystkich, czy może tylko dla innych przedstawicieli swojego gatunku?

Przysiadł na piętach i spojrzał na swoje łapy, na miękkie poduszki, które zastąpiły jego dłonie, i na lśniące, białe pazury, które z taką łatwością mógł wysuwać i chować.

- To wszystko - rzekł - cała poddana transformacji tkanka po prostu znika. Najpierw następuje odwodnienie, potem rozpad na cząstki tak drobne, że niewidoczne dla oka, aż wreszcie na tak małe, że nie dają się zaobserwować nawet w warunkach laboratoryjnych. Tak, to wszystko wyjaśnia! Te absurdalne, sprzeczne wyjaśnienia policji w Mendocino, a potem laboratoriów w San Francisco. Teraz rozumiem, co się stało.

- Nie nadażam za tobą.

Reuben opowiedział Laurze o tym, jak zakończyły się fiaskiem badania jego krwi przeprowadzone w szpitalu San Francisco General. Owszem, uzyskano pewne wyniki, ale ponowne badanie okazało się niemożliwe, bo pierwotny materiał był bezużyteczny - ponoć został zanieczyszczony albo zniknął.

- Być może na początku proces rozpadu moich tkanek był wolniejszy. Moje ciało dopiero ewoluowało. Pamiętasz, co on mówił o tych komórkach...?

- Pamiętam. Wspomniał o pluripotencjalnych komórkach prekursorowych. Każdy z nas ma je w sobie. W fazie embrionalnej jesteśmy w gruncie rzeczy kulką takich właśnie komórek. Gdy docierają do nich odpowiednie sygnały chemiczne, zaczynają się przekształcać na różne sposoby - z jednych powstają komórki skóry, z innych oka albo kości...

- O, właśnie - wpadł jej w słowo Reuben. - Komórki macierzyste są pluripotencjalnymi komórkami prekursorowymi.

- Tak jest.

- I wszyscy nosimy je w sobie?

- Tak.

- Zatem ten wilczy płyn, krzyżmo, sprawił, że komórki prekursorowe uczyniły ze mnie tę dziwną istotę, Morphenkinda.

- To całe krzyżmo musi być składnikiem śliny. Nadali mu metafizyczną nazwę, ale w giuncie rzeczy to toksyna albo surowica zawarta w płynach ustrojowych Morphenkinda. Widocznie wywołuje całą serię reakcji hormonalnych, stymulując zupełnie nowy rodzaj wzrostu.

Reuben skinął głową.

- Mówisz, że nawet wtedy, krótko po ugryzieniu, gdy przemiana jeszcze się nie dokonała, badania nie przyniosły żadnych wyników?

- Tak. Próbki ulegały powolnemu rozpadowi. Przetrwały na tyle długo, że udało się zmierzyć poziom hormonów i wykryć nadzwyczajnie wysoki poziom wapnia, ale mama mówiła, że w końcu wszystkie próby laboratoryjne zakończyły się fiaskiem.

Reuben umilkł na długą chwilę, by przeanalizować sytuację.

- Moja matka musi wiedzieć więcej, niż mi powiedziała -stwierdził wreszcie. - Po drugiej serii badań musiała uświadomić sobie, że jakiś składnik mojej krwi powoduje zniszczenie próbek. Nie mogła mi o tym powiedzieć. Możliwe, że próbowała ochronić mnie przed brutalną prawdą - Bóg jeden wie, jak musiała się obawiać o moje życie. O, mamó... Ale wiedziała. A gdy władze zwróciły się do niej z prośbą o próbkę mojego DNA, po prostu odmówiła.

Bardzo żałował, że nie może teraz porozmawiać z Grace, że nie może ujawnić jej całej prawdy ani liczyć na jej miłość i dobrą radę. Czy miał prawo choćby o tym marzyć?

Grace zawsze ratowała życie. Nie mogła bez tego żyć. Dlatego nie poprosiłby o wsparcie, nie wtajemniczyłby jej nawet w swoje sprawy. Wystarczy, że wplątał w to wszystko Laurę. Wystarczy, że zafundował Jimowi bezsenne noce - zapewne do końca życia.



- Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? - spytała Laura. - Całe to gadanie w telewizji o ludzkim DNA, o manipulowaniu dowodami...

- NatURALNIE. Teraz rozumiem, że to tylko puste słowa — Odparł, kiwając głową. - To właśnie próbowałem ci powiedzieć: puste słowa. Lauro, oni nie mają przeciwko mnie nawet cienia dowodu.

Spojrzeni po sobie.

Reuben sięgnął łapą do miejsca, w którym kły potwora zadały mu najbardziej bolesną i niebezpieczną ranę. Nie znalazł śladu krwi. Był zdrowy.

Spojrzeni jednocześnie na głowę i ciało leżące na dywanie. Były już tylko kupkami proszku podobnego do popiołu; byle podmuch wiatru mógłby zmieść je w nicość. Lecz nawet i te popioły nikły w oczach. Po chwili były już tylko szatymi smugami, jak ślady kurzu na białej koszuli nocnej Laury.

Obserwowali ten proces jeszcze przez piętnaście minut. Z czarnego wilkołaka pozostało jedynie kilka ciemnych smużek na wzorzystym dywanie, z wolna znikających z czerwonych róż i zielonych liści orientalnego motywu. Nawet ostrze siekiery było tak czyste, jakby nigdy nie zadano nim ciosu.

Reuben zebrał strzępy ubrania swego przeciwnika. Nie znalazł w nich żadnych przedmiotów osobistych, żadnych dokumentów - kieszenie marynarki i spodni były puste.

Czarny wilkołak nosił małe, bardzo miękkie i drogie mokasyny. Marynarka i spodnie też nie należały do tanich - miały florenckie metki. Takie detale nie wystarczyły jednak, by zidentyfikować tego człowieka lub choćby odgadnąć, skąd pochodził. Z pewnością musiał być gotowy na to, że straci ło ubranie, a to oznaczało, że miał w pobliżu kryjówkę albo pojazd. Ale zostało po nim coś jeszcze: złoty zegarek. Ale gdzie on zniknął? Trudno było go dostrzec na kwiecistym dywanie.

Reuben znalazł go w końcu i przyjrzał się z bliska tarczy

z rzymskimi cyframi, a potem zerknął na tylną ściankę koperty. Wielkimi literami łacińskiego alfabetu wygrawerowano na niej imię **MARROK**.

— Marrok — przeczytał szeptem.

— Nie zostawiaj go na pamiątkę.

— A dlaczego nie? - spytał. - Wszelkie dowody zniknęły, w tym także ślady, które mogły pozostać na tym zegarku: odciski palców, płyny, DNA.

Położył zegarek na kominku. Nie zamierzał kłócić się z Laurą, ale i nie mógł go zniszczyć. Przecież był to właściwie jedyny ślad, jedyna wskazówka co do tożsamości bestii, którą zabił.

Wrzucili strzępy ubrania w ogień i patrzyli, jak płoną.

Czuł bolesne zmęczenie. Musiał jednak spróbować naprawić frontowe drzwi, nim powróci do postaci Reubena Goldinga, człowieka, który ledwie potrafił używać śrubokręta i wbić gwóźdź.

Razem zabrali się do pracy.

Potrzebowali znacznie więcej czasu, niż im się wydawało, ale przynajmniej Laura wiedziała, jak napchać drzazg do otworów po wyrwanych wkrętach, tak by nowe znalazły punkt zaczepienia. Umocowali zamki; resztą uszkodzeń miał się zająć Galton.

Reuben potrzebował snu.

Najpierw jednak musiał wrócić do ludzkiej postaci, a miał wrażenie, że do tej pory siłą woli powstrzymywał przemianę. Bał się nawet jej nadejścia; nie chciał być słaby i niezdolny do obrony, gdyby pojawił się kolejny intruz.

Nie mógł już dłużej o tym wszystkim myśleć. Nie mógł analizować ani trawić nowej wiedzy. Krzyżmo. Morphenkind. Czemu służyły te poetyckie nazwy?

Najbardziej męczyła go myśl o innych. Jak zareagują na wieść o tym, że ich towarzysz został zabity? Przecież może istnieć całe plemię Morphenkindów, czyż nie? A kto wie, może nawet cała rasa?

Felix Nideck musiał być jednym z nich, może jeszcze żył? *Jego Marchent...* Musiał być wśród nich znaczącą postacią. Czy to on zjawił się w swoim domu, żeby zabrać gliniane tabliczki? A może zrobił to ten czarny?

I jeszcze jedno. Nie wyczuł zapachu człowieka wilka, który przyszedł ich zabić! Absolutnie żadnego zapachu, ani ludzkiego, ani zwierzęcego. Ani zapachu zła.

W trakcie walki też nie pojawił się ten dobrze znany odór, który tak go otumaniał i popychał do działania. Może to oznaczało, że martwy Morphenkind też nie wyczuł zapachu zła bijącego od Reubena. Nie wykrył złych intencji ani woli zniszczenia. Czy dlatego walczyli tak beznadziejnie, tak niezdarnie?

Skoro nie umiem wyczuć ich zapachu, nie zorientuję się nawet, kiedy pojawią się w pobliżu domu.

Nie zamierzał mówić o tym Laurze.

Wstał wolno i zaczął obchód domu. Nie udało mu się jednak ustalić, któredy wszedł czarny wilkołak. Wszystkie drzwi były zamknięte. Stan zamków na całym parterze sprawdził już pierwszego dnia po przybyciu do rezydencji.

Mimo to Laura twierdziła, że intruz zaskoczył ją śpiącą w bibliotece i obudził spokojnym potokiem słów: wyjaśnił jej półgłosem, dlaczego musi pozbawić ją życia, choć tak bardzo nie lubi przelewać krwi niewinnych. Wspomniał też, że nienawidzi zabijać kobiet i że wcale nie jest obojętny na jej wyjątkową urodę. Porównał ją nawet do kwiatu, który trzeba będzie zmiażdżyć obcasem.

Reuben skrzywił się, słysząc te okrutne słowa.

Może czarny wilkołak wszedł przez okno na piętrze? To akurat można było sobie wyobrazić.

Reuben obszedł wszystkie pokoje, zajrzał nawet do małych sypialni w północnym skrzydle, z widokiem na tyły domu i pobliski las. Nie znalazł ani jednego okna, które nie byłoby szczelnie zamknięte.

Po raz pierwszy zajrzał też do wszystkich szaf na pościel i na ubrania oraz do wszystkich łazienek z wejściami od strony czterech korytarzy, ale nie znalazł ani tajemnych ptzejść, ani schodów prowadzących na dach.

Obszedł też izby na poddaszu ze wszystkich czterech stron budynku, ale znalazł tam wyłącznie dobrze zabezpieczone okna. Nie było nawet schodów prowadzących na tyły domu. Co więcej, nie bardzo wiedział, jakim sposobem człowiek mógłby wdrapać się aż na dach.

Obiecał sobie, że nazajutrz obejdzie całą posiadłość i znajdzie pojazd, którym intruz przybył w pobliże domu, albo dobrze zamaskowaną wśród drzew kryjówkę, w której zostawił plecak lub worek z rzeczami.

Nadchodził świt, ale nie przemiana.

Znalazł Laurę w głównej sypialni. Zdążyła już się wykapać i przebrać w świeżą koszulę nocną; teraz szcztokowała długie włosy. Była blada ze zmęczenia, ale wyglądała świeżo i delikatnie jak zawsze.

Przez piętnaście minut, a może nawet dłużej, spierali się gwałtownie o to, czy powinna opuścić Nideck Point. Reuben nalegał, by wzięła jego samochód i wróciła na południe, do swego leśnego domu w Marin. Gdyby Felix Nideck miał tu wrócić i gdyby istotnie był ważną postacią swego ludu - któż mógł wiedzieć, jaką władał siłą i jakie posiadał umiejętności? Ale żadne argumenty nie przekonały Laury. Uparła się, że go nie zostawi. Nawet nie podnosiła głosu, nie okazywała emocji. I nie ustąpiła.

- Będę miał szansę, tylko jeśli w jakiś sposób przemówię do Feliksa, przekonam go, żeby... - urwał, zbyt zmęczony, by mówić dalej.

- Nawet nie wiesz, czy się pojawi.

- Nie wątpię, że to któryś z Nidecków - odparł. - Ten stwór znał Marchent, był jej opiekunem, kazano mu strzec

tego domu. Jakim cudem ten, kto mu wydał rozkaz, mógłby nie być Nideckiem?

Ale wiele pytań pozostało bez odpowiedzi.

Reuben wszedł pod prysznic i przez dłuższy czas stał w strumieniach gorącej wody. Pozwolił, by zmyła z niego posokę pumy, ściekającą tetaz rdzawymi strużkami do miedzianego odpływu. Prawie nie czuł dotyku wody; gęsta sierść tęskniła raczej za lodowatym nurtem leśnego potoku.

Za oknami było coraz jaśniej, a widok z okna łazienki był cudowny. Daleko po lewej falował ocean, blady, bezbarwny i lśniący pod białym niebem. Po prawej wznosiły się klify zasłaniające morze, ale i chroniące dom przed wiatrem. Ciągnęły się daleko na północ.

Może ktoś czaił się tam, na skałach? Może Felix Nideck obserwował swój dom i czekał, by pomścić śmierć Marroka.

Nie. Gdyby Felix był w pobliżu, po co wysyłałby tu strażnika domu? Marrok wyraźnie obawiał się spotkania z tym, kto wyznaczył mu tę rolę. Był gotów zatrzeć ślad po swoim błędzie, zanim stanie przed Feliksem.

A zresztą, gdyby Felix Nideck rzeczywiście żył, dlaczego miałby pozwolić, żeby oficjalnie uznano go za zmarłego i przekazano jego majątek spadkobierczyni?

Tyle pytań bez odpowiedzi, pomyślał Reuben.

Lepiej pomyśl o dobrych stronach. Nie zostawiłeś żadnych śladów na miejscu zbrodni. Absolutnie żadnych. Koniec z obawami; świat nie zagraża już ani tobie, ani Laurze. No, prawie. Jest jeszcze kwestia autopsji Marchent, z którą miałeś intymny kontakt, zanim twoje DNA zaczęło się zmieniać. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, skoro policja nie dysponowała żadnym, ale to żadnym materiałem genetycznym z miejsc zbrodni?

Reuben czuł, że przestaje myśleć logicznie.

Otoczył tułów ramionami i wysiłkiem woli spróbował wywołać przemianę. Starał się ze wszystkich sił, aż poczuł gorące

pulsowanie w skroniach i szybsze dudnienie pulsu w uszach. Zmienić się. Powrócić. Niech to coś rozpuści się we mnie i poza mną.

I rzeczywiście zaczął się zmieniać, jakby ciało stało się posłuszne jego woli, jakby wielka moc uznała jego zwierzchność. Postęp był niewielki, ale i tak chciało mu się płakać z radości. Fala rozkoszy pojawiła się jak zwykle i odebrała mu resztę sił. Był półprzytomny, gdy tracił sierść i targany cudownymi dreszczami wracał do ludzkiej postaci.

Laura czekała na niego, czytając książkę. Był to tomik Teilharda de Chardina, własność Feliksa, prezent od Margona. Reuben znalazł ją w kieszeni kurtki, gdy przenosił ubrania z dawnego pokoju Feliksa do głównej sypialni.

— Czytałaś dedykację? — spytał. Nie czytała. Otworzył więc książkę na trzeciej stronie i pokazał jej inskrypcję:

*Drogi Feliksie, To dla Ciebie! Przetrwaliśmy to, przetrwamy wszystko. Ku pamięci, Margon Rzym '04*

— Jak sądzisz, co to znaczy? „Przetrwaliśmy to, przetrwamy wszystko”?

— Nie mam pojęcia.

— Dla mnie sama obecność tej książki oznacza, że Felix jest myślicielem-teologiem, zainteresowanym kwestią przeznaczenia dusz.

— Może tak, a może nie — odpowiedziała z wahaniem Laura. — Zdajesz sobie sprawę...

— Z czego? — spytał.

- Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, ale w sumie to prawda. Katolicy, jak mi się zdaje, bywają czasem... trochę stuknięci.

Reuben parsknął śmiechem.

- Chyba masz rację — powiedział.

- Ale Felix Nideck nie musiał być katolikiem - stwierdziła z powagą. - Nie musiał też być myślicielem-teologiem. I możliwe, że nic a nic nie obchodziło go przeznaczenie dusz.

Skinął głową. Uśmiechnął się. Ale nie wierzył. Znał Feliksa. Wiedział o nim co nieco. Wiedział dość, by go kochać, a to już było coś.

Laura objęła go czule i pociągnęła w stronę posłania. Padli sobie w ramiona. A potem przykryli się kołdrą i zasnęli w wielkim łóżu.

Jim przyjechał późnym popołudniem.

Reuben i Laura zdążyli tymczasem wrócić ze spaceru — nie znaleźli w lesie ani samochodu, ani plecaka, ani żadnego innego przedmiotu, który mógłby należeć do Marroka. Nadal też nie wiedzieli, w jaki sposób dostał się do domu.

Jim jakimś sposobem zdołał wyrwać się na ten jeden wieczór z parafii, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. Poza tym udało mu się zniechęcić Grace, Phila i Celeste do towarzyszenia mu w tej wycieczce. Obiecał im, że spyta Reubena, dlaczego nie odpowiada na telefony i e-maile, i sprawdzi, czy nie wpakował się w żadne kłopoty. Owszem, mógł zjeść w Nideck Point wczesną kolację, ale zaraz potem musiał ruszać w drogą powrotną.

Reuben musiał przyznać, że uradowała go wizyta brata. Uściskał Jima, który jak zwykle pojawił się w „klerykach”, tak serdecznie, jakby nie widzieli się co najmniej od roku. I naprawdę miał wrażenie, że tak długo trwała rozłąka. Nieprzyjemne wrażenie. Nieprzyjemna była też rozłąka z pozostałymi członkami rodziny.

Zwiedziwszy dom dość pobieżnie, zabrali dzbanek z kawą do wschodniego pokoju śniadaniowego, przylegającego do kuchni, i zasiedli za stołem, by porozmawiać.

Uprzedzona przez Reubena Laura wiedziała, że będzie to kolejna „spowiedź”, i taktownie wycofała się na górę, by uruchomić laptopa i zająć się odpowiadaniem na zaległe e-maile. Na swój gabinet wybrała pierwszą sypialnię na zachód od głów-



nej - już wkrótce miały z niej zniknąć wszystkie niepotrzebne niebie. Tymczasem zaś przeniosła tam wszystkie swoje książki i papiery. Było jej bardziej niż wygodnie - za oknami miała panoramę lesistych klifów i oceanu.

Reuben w milczeniu obserwował Jima, który wyjął z kieszeni małą, purpurową stulę i założył ją na szyję, by wysłuchać spowiedzi.

- Czy popełniam grzech, pozwalając ci na to? - spytał Reuben.

Jim nie odpowiedział. Dopiero po chwili odezwał się cicho:

- Przyjdź do Pana z najlepszymi intencjami.

- Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłem - zaczął Reuben. - Staram się znaleźć swoją drogę do prawdziwej skruchy. - Mówiąc to, spojrział na wschodnie okno, na dębowy zagajnik ciągnący się aż po skraj sekwojowego lasu. Drzewa rosły gęsto i miały gruzłowate konary, a ziemia pod nimi była miękka i usiana żółtymi, zielonymi i brązowymi liśćmi. Bluszcz porastał większość pni aż po korony.

Deszcz ustał jeszcze przed świtem. Błękitne niebo jaśniało nad zwartą kopułą listowia. Ciepły blask słońca rozlewał się z zachodu, ukośnymi snopami światła wyławiając z półmroku leśne ścieżki. Reuben zamyślił się na długą chwilę, wpatrzony w tę scenerię.

Wreszcie odwrócił się, oparł łokcie na stole, a twarz na złożonych dłoniach - i zaczął mówić. Opowiedział Jimowi o absolutnie wszystkim, co się wydarzyło, w tym o zadziwiającej zbieżności nazwisk Nideck i Sperver. Wyjaśnił wszystko w najdrobniejszych, chwilami przerażających szczegółach.

- Nie mogę ci powiedzieć, że chciałbym się wyrzec tej mocy - wyznał. - Nie mogę też wyrazić słowami, jakie to uczucie, tak śmigać między drzewami jako ta istota, bestia, to przedziwne stworzenie, gotowe biec na czworaka całe mile, a wspiąć się bez trudu ku koronom drzew, by przez setki stóp

skakać z konaru na konar. Jako istota, która z taką łatwością zaspokaja swoje potrzeby...

Oczy Jima były wilgotne, a twarz jakby przełamana smutkiem i troską. Milczał jednak, kiwał głową, czekał cierpliwie, aż Reuben skończy mówić, i dopiero wtedy zabierał głos.

— Każde inne życiowe doświadczenie blednie w porównaniu z czymś takim - powiedział Reuben. - Jasne, że strasznie tęsknię za tobą, za mamą i Philem. Tęsknię, ale i to blednie.

Opisał dokładnie, jak pożywiał się mięsem pumy i jak dobrze mu było, gdy odpoczywał w kołysce z gałęzi, podczas gdy niebezpieczne kocięta krążyły wokół drzewa, a także o tym, jak bardzo pragnął zabrać Laureę do swego nowego schronienia. Ale w jaki sposób miał przekazać Jimowi uwodzicielskie piękno takiej egzystencji? Jak zmazać tę rozpacz z jego twarzy choćby przeblyskiem tych niesamowitych, zachwycających doznań?

— Czy to w ogóle możliwe, żebyś mnie zrozumiał?

— Nie wiem, czy muszę rozumieć - odparł Jim. - Wróćmy teraz do Marroka i tego, czego się od niego dowiedzieliście.

— Jeśli nie zrozumiesz, nie będziesz mógł mi wybaczyć — nie ustępował Reuben.

— To nie ja mam ci wybaczyć, nie sądzisz? — odpowiedział pytaniem Jim.

Reuben znowu zapatrzył się w okno, na żwir podjazdu i dęby — tak gęste, tak bliskie, tak przepelnione światłem i cieniem.

— Na razie wiesz tyle — zaczął Jim. — Istnieją „inni”, a wśród nich być może jest Felix Nideck, choć co do tego nie masz pewności. Ten drugi, Margon Sperver, również może być Morphenkindem; podejrzewasz, że zgodność nazwisk nie jest przypadkowa. Istoty te posługują się własną terminologią — krzyżmo, Morphenkind — która sugeruje istnienie tradycji, historii sięgającej być może dawnych czasów; wynika to także z aluzji czynionych przez tego, z którym walczyłeś. Wiesz, że krzyżmo, które cię przemieniło, może także sprowadzić cho-

robę i śmierć, ale tobie udało się przeżyć. Wiesz, że komórki i wojego ciała zmieniły się w taki sposób, że gdy zostaną oddzielone od źródła twojej siły życiowej, ulegają dezintegracji. A gdy i to źródło zgaśnie, rozpada się całe ciało. To dlatego władze nie mają pojęcia, że jesteś tym, kim jesteś.

- I to wszystko. Na razie.

- No, nie całkiem. Ten cały Marrok sugerował też, że jesteś porywczy, skłonny do przemocy i że twoja zyskana w ten sposób sława zagraża całemu gatunkowi, czyż nie?

- Tak.

- Dlatego podejrzewasz, że „inny” albo „inni” mogą się pojawić i próbować skrzywdzić, a nawet zabić nie tylko ciebie, ale i Laurę. Uśmierciłeś jednego z nich i być może za to również będą chcieli się zemścić.

- Wiem, co zaraz powiesz — rzekł Reuben. — Ale bez względu na to, jakich argumentów użyjesz, wiedz, że absolutnie nikt nie może nam pomóc w tej sprawie. Nikt. I nie mów mi, żebym zawiadomił tę czy tamtą instytucję! Albo zwierzył się temu czy tamtemu lekarzowi. Taki ruch oznaczałby definitywny koniec mojej wolności — i wolności Laury — a w perspektywie także koniec naszego życia!

- Czy masz wybór, Reuben? Będziesz tu mieszkał i zwalczał w sobie tę moc? Zwalczał pokusę, którą przyniosą głosy z daleka? Walczył z pragnieniem polowania w okolicznych lasach? A jeśli kiedyś spróbujesz zgotować ten sam los Laurze, jeśli podasz jej to krzyżmo, surowicę czy cokolwiek to jest, a ona umrze, dokładnie tak, jak zapowiadał to Marrok?

- Pomyślałem i o tym - odparł chmurnie Reuben. - Oczywiście, że pomyślałem. - I tak właśnie było.

Zawsze uważał, że to idiotyczny i banalny motyw horrorów, że „potwór” potrzebuje partnerki albo czeka go wieczność spędzona na poszukiwaniu utraconej miłości. Teraz jednak doskonale rozumiał, o co chodzi. Rozumiał tę izolację, alienację, strach.

— Nie skrzywdzę Laury — powiedział. — Zresztą ona nie prosi mnie o dar.

— Dar? Nazywasz to datem? Posłuchaj, jestem człowiekiem z wyobraźnią. Zawsze byłem. Mogę sobie wyobrazić tę wolność, tę moc...

— Nie, nie możesz. Nawet nie spróbujesz. Wypierasz to.

— Zgoda, wobec tego nie potrafię sobie wyobrazić ani tej wolności, ani mocy, ale spodziewam się, że stanowią pokusę, o której nie śniłem nawet w najdzikszych snach.

— Teraz zaczynasz rozumieć. Najdziksze sny. Czy kiedykolwiek pragnąłeś odplacić komuś, kto cię zranił, a może nawet sprawić, by poczuł ból? Otóż ja zadałem cierpienie tamtym porwaczom i paru innym złoczyńcom.

— Zabiłeś ich, Reuben. Zabiłeś ich za ich grzechy! Zakończyłeś ich egzystencję na tej ziemi. Pozbawiłeś ich szansy na pokutę i odkupienie. Odebrałeś im wszystko, Reuben. Nawet długie lata, które mogliby poświęcić na zadośćuczynienie. Odebrałeś życie nie tylko im, ale także ich ewentualnym potomkom oraz - tak, tak! - odebrałeś co nieco ofiarom porwania! Odebrałeś im szansę na korzyści, które płyną z zadośćuczynienia winom.

Jim umilkł, a Reuben zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach. Był wściekły. Co takiego odebrał ofiarom? Przecież ginęły z rąk porwaczy! Nie mogły liczyć na żadne zadośćuczynienie, a jedynie na śmierć, gdyby Reuben nie interweniował. Wszystkie te niewinne dzieci były w potrzasku. Przecież nie o to chodzi, czyż nie? Przecież był winny wielokrotnego zabójstwa. Nie mógł zaprzeczyć, ale i nie czuł żalu.

— Posłuchaj, ja naprawdę chcę ci pomóc! - ciągnął błagalnie Jim. - Nie chcę cię potępiać, nie chcę też cię odpychać.

— Nie odpychasz mnie, Jimmy.

Bo to ja niepowstrzymanie sam oddalam się od ciebie.

— Nie poradzisz sobie z tym wszystkim w pojedynkę. Ta

kobieta, Laura, jest piękna i bardzo ci oddana. Nie jest ani dzieckiem, ani idiotką - to także widzę. Ale ona nie rozumie z tego galimatiasu więcej niż ty.

- Wie dokładnie tyle samo. Wie też, że ją kocham. Gdyby w porę nie zaatakowała Marroka siekierą, pewnie bym go nie pokonał...

Jim nie znalazł odpowiedzi.

- Co zatem proponujesz? - spytał Reuben. - Co twoim zdaniem powinienem teraz zrobić?

- Nie wiem. Daj mi pomyśleć. Pozwól, że się zastanowię, komu można zaufać, kto mógłby zbadać sprawę, przeanalizować dane i być może znaleźć sposób na to, żeby odwrócić...

- Co odwrócić? Jim, Marrok wyparował! Obrócił się w proch. Zniknął. Sądysz, że można odwrócić tak potężny proces?

- Nie wiesz nawet, od jak dawna posiadał swoją siłę.

- To zupełnie inna kwestia, Jim. Wiem za to, że nóż i pistolet nie mogą mnie poważnie zranić. Gdyby mój przeciwnik miał jeszcze kilka sekund, pewnie wyciągnąłby tę siekierę z potylicy, a wtedy jego czaszka — nawet czaszka! — i mózg wróciłyby do zdrowia. Ale ja w porę obciąłem mu głowę. Czegoś takiego nie przeżyje żadna istota. Pamiętaj, Jim, że ja sam błyskawicznie wyzdrowiałem po postrzale.

- Wiem o tym, Reuben, pamiętam. Nie wierzyłem, kiedy mi o tym opowiedziałeś. Przyznaję, nie wierzyłem. — Jim pokręcił głową. - W tym domu w Buena Vista naprawdę jednak znaleziono kulę wbity w ścianę. Céleste mi mówiła. Odtworzono trajektorię lotu pocisku i stwierdzono, że coś ją zmieniło, jakaś przeszkoda. Innymi słowy, kula musiała przez coś się przebić, zanim utkwiała w tynku. Ale nie znaleziono na niej nawet najmniejszego śladu tkanki, nawet pojedynczej komórki.

- Co to oznacza, Jim? Jak sądzisz, co to oznacza w kontekście... mojego ciała i upływu czasu?

- Niech ci się nie wydaje, Mały Chłopcze, że jesteś nieśmier-

telny - odpowiedział cicho Jim. Wyciągnął rękę i uszczypnął luźną skórę tuż nad lewym nadgarstkiem Reubena. - Proszę, nie zacznij tak myśleć.

— A jeśli jesteśmy niezwykle długowieczni, Jim? Nie wiem, ale ten Marrok... Odniosłem wrażenie, że bardzo długo chodził po tym świecie.

— Dlaczego tak twierdzisz?

— Wspomniał coś o pamięci, o tym, że zapamiętał tę ciekawość, którą czuł na początku - i właściwie niewiele więcej. Nie wiem, Jim. Przyznaję, że to tylko moje domysły, przeczucia.

— I może być dokładnie odwrotnie — dodał ksiądz. — Nie wiesz tego, ale masz rację co do fizycznych dowodów. Nie istnieje inne wytłumaczenie faktu, że śledczy nie mają absolutnie żadnych próbek - a nie mają, tak twierdzi Celeste... Mama zresztą też nie umie tego wyjaśnić, materiał, który udało się zebrać, po prostu uległ samozniszczeniu.

— Wiedziałem. Musiała widzieć, co się stało już z pierwszymi próbkami, które pobrali ode mnie.

— Nic mi o tym nie mówiła, na pewno jednak coś wie. I boi się. I obsesyjnie o tym myśli. Ten rosyjski lekarz ma tu być jutro. Razem mają obejrzeć mały szpital w Sausalito...

— To ślepy zaułek!

— Rozumiem, co chcą zrobić, ale nie podoba mi się to. Chciałbym, żebyś powiedział mamie o wszystkim, mimo to nie podoba mi się ten ich plan. Nie ufam temu lekarzowi z Paryża, nie podobają mi się jego intencje. Tata jest podobnego zdania. Klócili się już, gdy powiedział mamie, żeby nawet nie przyszło jej go głowy sprowadzać cię na badania wbrew twojej woli.

— Co takiego?

— Mówię ci tylko, o czym słyszałem. Rodzice nie znaleźli w Internecie ani jednej wzmianki o tym szpitalu. Żaden lekarz nawet o nim nie słyszał.

— Do diabła, co mama sobie wyobraża?

- Naprawdę nie rozumiem, co złego mogłoby się stać, gdybyś wyznał jej całą prawdę. Tylko należałoby to zrobić w cztery oczy, na pewno nie przy tym lekarzu z Paryża, kimkolwiek jest. Reuben, nie możesz trafić w prywatne ręce. Nie umiałbyś nawet sobie wyobrazić gorszego scenariusza.

- Prywatne ręce! Jim skinął głową.

- Nie podoba mi się takie rozwiązanie i nie wiem, co takiego dostrzega w nim mama. Musimy brać pod uwagę to, że jest zdesperowana.

- Jim, nie mogę jej powiedzieć. Czy to będzie prywatny szpital, czy państwowy - to nie ma znaczenia. Obawa przed tym, że twój syn stał się potworem, to jedno, ale wysłuchanie szczegółowego wyznania w tej sprawie - to zdecydowanie za wiele. Poza tym i tak tego nie zrobię. To nie moja ścieżka. Gdybym mógł się cofnąć w czasie, tobie też bym nic nie powiedział.

- Nie mów tak, Mały Chłopcze.

- Posłuchaj. Podzielam twoje obawy - być może to, czym się stałem, pochłonie mnie do reszty i będę się kolejno wyzbywał wszelkich zahamowań, może zatracę wolną wolę i będę się poddawał fizycznym imperatywom bez zadawania zbędnych pytań...

- Dobry Boże.

- ...ale, Jim, nie poddam się bez walki. Nie jestem zły, bracie. Jestem dobry. Wiem to. Czuję to. Moja dusza jest na swoim miejscu. Nie jestem stworem pozbawionym sumienia, empatii, niezdolnym do czynienia dobra.

Reuben położył prawą dłoń na piersi.

- Wiem to, czuję tutaj - rzekł. - I powiem ci coś jeszcze.

- Proszę.

- Postęp jakby się zatrzymał, Jim. Mam wrażenie, że nastąpiła stagnacja. Próbuję walczyć z przemianą, zyskać nad nią kontrolę. Uczę się czegoś nowego za każdym razem, gdy jej ulegam. Wygląda na to, że bardziej już się nie zmienię, Jim.

- Reuben, sam mówiłeś, że wszystko inne błędnie w porównaniu z tym, co myślisz i czujesz w chwili, gdy dokonuje się metamorfoza. A teraz chcesz powiedzieć, że jednak tak nie jest?

- Chcę powiedzieć, że moja dusza się nie rozpada - odparł Reuben. - Przysięgam. Spójrz na mnie i powiedz, że nie jestem twoim bratem.

- Jesteś moim bratem. Ludzie, których zabiłeś, także byli twoimi braćmi. Do licha, jak mam to wyrazić jaśniej? Kobieta, którą zabiłeś, była twoją siostrą! Nie jesteśmy dzikimi bestiami, na miłość boską, jesteśmy istotami ludzkimi. Wszyscy jesteśmy braćmi! I nawet nie musisz wierzyć w Boga, żeby wierzyć w to. Nie musisz wierzyć w doktryny, dogmaty ani w nic innego, żeby wiedzieć, że mówię prawdę.

- W porządku, Jimmy, tylko spokojnie. - Reuben sięgnął po dzbanek z kawą i napełnił filiżankę btata.

Jim rozparł się wygodniej na krześle, próbując zapanować nad sobą, ale w jego oczach pojawiły się łzy. Reuben jeszcze nigdy nie widział go płaczącego. Jim był o prawie dziesięć lat starszy od niego. Zanim Reuben wszedł w fazę świadomego dzieciństwa, jego brat był już roslym, bystrym i rozsądnym nastolatkiem. Nigdy nie był w jego oczach dzieckiem.

Jim spojrział przez okno na las. Popołudniowe słońce zmierzało już ku zachodowi. Dom rzucał długi cień, sięgający linii drzew, ale dalej, tam, gdzie nad stokiem górowały prastare sekwoje, promienie triumfalnie przebijały się przez ich korony.

- Nawet nie wiesz, co powoduje metamorfozę i jak nad nią zapanować - powiedział cicho Jim, głosem tak monotonnym, jakby przemawiał do siebie, szkliste spojrzenie wciąż kierując ku puszczy. - Czy już do końca życia co noc będziesz się zmieniał w takie stworzenie?

- To niemożliwe - odparł Reuben. - Ten gatunek, Mor-phenkindowie, nie mógłby przetrwać, gdyby przemiana dotykała każdą z istot każdej nocy. Tak się nie da żyć. Muszę



wierzyć, że to się zmieni. Już zaczynam się uczyć kontrolowania ciała. Nauczę się wzbudzać transformację i powstrzymywać ją. Ten strażnik domu, Marrok, potrafił zmienić się na żądanie, tak po prostu, gdy tylko zechciał. Ja też się tego nauczę. Jim westchnął i pokręcił głową.

Teraz obaj milczeli. Jim wciąż spoglądał w stronę lasu. Zimowe popołudnie dogorywało w szybkim tempie. Reuben zastanawiał się, co słyszy teraz Jim i jakie zapachy jest w stanie wyczuć. Las żył, oddychał, szeptał. Był przepelniony wonią /ycia i śmierci. Czy była to jakaś forma modlitwy? Czy była to swoista odmiana duchowości? Czy las mógł mieć duszę? Reuben chciał o tym rozmawiać z Jimem, ale nie mógł. Nie mógł oczekiwać, że Jim jest do tego zdolny. Spojrzał wysoko ponad dębowym zagajnikiem, na mglistą już i błękitną sylwetę sekwojowego lasu. Poczuł, że odpływa, że jest coraz dalej od lego stołu, tej rozmowy, tej spowiedzi.

Cichy głos Jima przywrócił go nagle do rzeczywistości.

- To wyjątkowe miejsce - powiedział kapłan. - Ale jaką cenę przyszło ci za nie zapłacić...

- Myślisz, że nie wiem? - Usta Reubena wykrzywił gorzki uśmiech. Złożył dłonie do modlitwy i rozpoczął akt skruchy: -Mój Boże, szczerze żałuję... szczerze żałuję, z całego serca, przysięgam, szczerze żałuję; proszę, wskaż mi drogę. Boże, pokaż mi, czym naprawdę jestem, czym się stałem. Proszę, daj mi siłę do walki z wszelką pokusą, abym nikogo już nie skrzywdził, abym jakoś się temu oparł. Obym stał się siłą miłości działającą w Twoim imieniu.

Mówił całkiem szczerze, ale nie czuł głębokiego wzruszenia. Znacznie wyraźniej czuł otaczający go świat, wszystko, co znajdowało się w zasięgu jego zmysłów; czuł, jak nieznaczącą drobiną materii jest planeta Ziemia, mknąca przez galaktykę zwaną Drogą Mleczną, i jak mała jest owa galaktyka w skali wszechświata, którego nie ogarniał żaden ludzki umysł. Miał

też niezbyt przyjemne wrażenie, że nie przemawia do Boga, tylko do Jima - i dla Jima. Ale czyż ostatniej nocy, na swój sposób, nie rozmawiał z Bogiem? Czy nie czynił tego, gdy spoglądał na żyjący, pełen energii las? Czy nie miał wtedy poczucia, że każda forma aktywności żywych istot, które go otaczały, jest swoistą modlitwą?

Smutek przepełniał tę ciszę i łączył ich.

- Sądzisz, że Teilhard de Chardin miał rację? - spytał wreszcie Reuben. - Czy boimy się, że Bóg nie istnieje, ponieważ nie potrafimy przestrzennie ogarnąć bezmiaru wszechświata? Czy obawiamy się, że zatracimy w nim osobowość, podczas gdy może być tak, że istnieje superosobowość, która spaja to wszystko, superświadomy Bóg, który w każdym z nas zainstalował stale ewoluującą świadomość... - Reuben nie dokończył myśli. Nigdy nie był zbyt dobry w abstrakcyjnej teologii ani filozofii. Brakowało mu teorii, które potrafiłyby zrozumieć i powtarzać w tych chwilach, gdy naprawdę były mu potrzebne. Teorii, w których każdy element beznadziejnie bezkresnego kosmosu miał swój sens i swoje przeznaczenie - nawet on sam, Reuben Golding.

- Reuben - odpowiedział mu Jim - gdy odbierasz życie pojedynczej, świadomej istocie, winnej czy niewinnej, sprzeciwiasz się wielkiej sile odkupienia - czymkolwiek ona jest i jakkolwiek chciałbyś ją nazwać - i niszczysz jej wielką tajemnicę.

- Tak - mruknął Reuben, wpatrując się w niknące w mroku dęby. - Wiem, że ty w to wierzysz, Jim. Ale nie czuję tego, gdy jestem Morphenkindem. Czuję wtedy coś zupełnie innego.

Reuben nastawił potrawkę z jagnięcych giczy na długo przed tym, nim wybrał się do lasu. Mięso i warzywa, które mieli zjeść wieczorem, dusiły się w wolnowarze przez całe popołudnie.

Gdy Laura przyrządziła wyjątkowo smaczną surówkę z sałaty, pomidorów i awokado z dodatkiem najdelikatniejszej oliwy i ziół, zasiedli do stołu w pokoju śniadaniowym. Reuben, jak zawsze, spałaszował wszystko, co mu podano. Jim jedynie spróbował dania głównego i dodatków.

Laura miała na sobie cokolwiek staroświecką — zdaniem Reubena — sukienkę z kraciastej, żółto-białej bawełny, z długimi rękawami zakończonymi mankietami oraz z białymi guziczkami w kształcie kwiatów. Włosy miała rozpuszczone i lśniące. Uśmiechała się spontanicznie do Jima, wciągając go z wolna w rozmowę o Kościele i jego pracy.

Później było już łatwiej. Gawędzili o Muit Woods i badaniach Laury nad miejscowym poszyciem leśnym oraz nad sposobami ocalenia go przed zdeptaniem butami tysięcy turystów, którzy — co całkiem zrozumiałe — pragnęli na własne oczy oglądać piękno sekwojowej puszczy.

Laura nie wspomniała ani słowem o swojej przeszłości, a Reuben nie uważał, by miał prawo kierować rozmowę ku tym mrocznym wodom. Jim opowiadał z zapałem o swej jadłodajni przy kościele Świętego Franciszka i liczbie posiłków, które zamierzali wydać w tym roku na Święto Dziękczynienia.

Dawniej Reuben zawsze pomagał w świątecznych przygoto-

waniach u Świętego Franciszka. Podobnie zresztą czynili Phil i Celeste, a nawet Grace, gdy czas jej na to pozwalał.

Poczuł, że ogarnia go przygnębienie. Czuł, że tego roku nie pojawi się tam, gdzie zwykle bywał. Nie zjawi się też na dziękczynną kolację w domu, gdy rodzina jak zawsze zbierze się o dziewiętnastej na tradycyjny posiłek.

Dziękczynienie zawsze było radosnym świętem w domu na Russian Hill. Do domowników dołączała często matka Celeste, a Grace nie wahała się zapraszać stażystów i rezydentów ze swojego oddziału, zwłaszcza tych, którzy spędzali ten dzień z dala od domu. Phil co roku pisał nowy wiersz, a jeden z jego dawnych studentów, ekscentryczny geniusz z bloku w Plaight-Ashbury, pojawiał się często i zostawał przynajmniej tak długo, aż ktoś zaczął kwestionować jego spiskową teorię, wedle której społeczeństwo jest niszczone przez tajną organizację bogatych i wpływowych — wtedy w gniewie opuszczał dom Goldingów.

Tym razem miało tam zabraknąć Reubena.

Odprowadził Jima do samochodu.

Wiało coraz mocniej od strony oceanu. O osiemnastej, jak zwykle o tej porze roku, było już całkiem ciemno i Jim prócz chłodu czuł niepokój. Zgodził się przekazać rodzinie wiadomość, że Reuben potrzebuje przede wszystkim samotności, ale błagał brata, by pozostał z nim w kontakcie.

W tym momencie na podjazd wtoczył się lśniący pick-up Galtona. Dozorca wysiadł z wozu i oświadczył z nieskrywaną radością, że ktoś wreszcie dopadł dzikiego kota, który zagryzł jego ulubionego psa.

Jim, jak zwykle nienagannie uprzejmy, okazał wielkie zainteresowanie tą nowiną, toteż Galton postawił kołnierz, by chronić się przed wiatrem, i raz jeszcze opowiedział historię swego psa, który ponoć potrafił czytać w myślach i wyczuwać niebezpieczeństwo, a także ratować życie, wyłączać łapą światło oraz dokonywać wielu innych cudów.

- Skąd pan wie, że ta puma nie żyje? — spytał Reuben.

- Znaleźli ją dziś po południu. Cztery lata temu ludzie z uniwersytetu oznakowali ją, nosiła metkę na lewym uchu. Stąd wiadomo, że to na pewno ona. Cokolwiek ją dopadło, nieźle ją urządziło! Wiem, że w tych lasach mieszka niedźwiedź, więc bądź ostrożny, mój chłopcze, i uprzedź tę swoją śliczną dziewczynę.

Reuben skinął głową. Zamieniał się powoli w sople lodu, ale Galton, ubrany w puchową kurtkę, ani trochę nie przejmował się chłodem i kontynuował tyradę przeciwko dzikiej kocicy.

- Powinni byli już dawno dać mi pozwolenie na odstrzał tej cholery - rzekł. - Ale nie, oczywiście koniecznie chcieli zaczekać, aż kogoś zagryzie. I prędzej czy później na pewno by to zrobiła, dając głowę.

- A co z jej młodymi? - spytał Reuben, starając się nie okazywać emocji. W duchu jednak chciało mu się śmiać, bo lo on zabił i w połowie pożarł tę pumę, a myśl o tym, że Jim o tym wie, lecz nie może o tym wspomnieć - a Galton nigdy się nie dowie - była dla niego źródłem przewrotnej uciechy. Trochę wstydził się tych uczuć, ale przede wszystkim pamiętał lę kocicy, tę ucztę, tę kołyskę z gałęzi wysoko na drzewie —

i czuł satysfakcję.

- Młode? Rozproszą się teraz i znajdą sobie własne terytoria. Możliwe, że jedno zostanie w tej okolicy, kto wie? W całej Kalifornii jest takich pewnie z pięć tysięcy. Niedawno kuguar wpadł z wizytą do Berkeley i przemaszerował przed witrynami sklepów i restauracji.

- Pamiętam - wtrącił Jim. - Wywołał panikę w mieście... Muszę już lecieć. Miło było pana poznać, panie Galton. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

- Macie nawet księdza w rodzinie — rzekł Galton, spoglądając za odjeżdżającym, wiekowym już suburbanem. Po chwili tylne światła samochodu zniknęły w ciemności, wśród

drzew. - Ty się rozbijasz porsche, synu, a on starym gruchotem po rodzicach?

— Proszę nie myśleć, że nie próbowaliśmy wcisnąć mu porządnego auta - zaoponował Reuben. - Mama kupiła mu mercedesa, jeździł nim ze dwa dni. Ale bezdomni z jego parafii tak mu dogryzali, że odstawił wóz do domu. — Chwycił Galtona pod ramię. — Wejźmy do domu.

Gdy usiedli przy stole w kuchni, nalał dozorca kawy i spytał o Feliksa Nidecka.

— Jakim był człowiekiem?

— Och, najlepszym. Arystokratą ze Starego Świata, jeśli mam być szczerzy. Nie to, żebym cholernie dużo wiedział o arystokratach. Nie wiem, oczywiście. O takich jak on mówi się w naszych stronach „większy od życia”. Wszyscy go tu kochali. Nie znałem bardziej hojnego człowieka. Wszyscy straciliśmy na jego zniknięciu. Choć naturalnie z początku nie wiedzieliśmy, że już nigdy się nie pojawi. Mieliśmy nadzieję, że wróci.

— Ile miał lat, gdy zaginął?

— Gdy zaczęli go szukać, ustalili, że sześćdziesiąt. Tak przynajmniej stało w papierach. Ale ja w życiu bym mu tyle nie dał. Nie wyglądał na więcej niż czterdzieści lat. Ja sam miałem tyle, gdy zniknął. I nie powiedziałbym, że był choćby o dzień starszy ode mnie. A jednak okazało się, że urodził się w 1932 roku. To dopiero była nowina! Oczywiście nie pochodził z tych stron, przybył zza oceanu. Powiedziałbym, że znałem go dobrych piętnaście lat. Tak, chyba tyle. I chociaż ustalili, że miał sześćdziesiątkę, jakoś nigdy nie mogłem w to uwierzyć.

Reuben skinął głową.

— Muszę się zbierać - powiedział Galton. - Kawa mnie rozgrzała. Wpadłem zresztą tylko na chwilę, żeby sprawdzić, czy wszystko w potzadku. A przy okazji: trafił tu ten starszy jegomość, przyjaciel Feliksa?

— Jaki jegomość? — spytał Reuben.

- Marrok - odparł Galton. - Widziałem go parę dni temu w Zajeździe, niedaleko stąd. Wpadł na drinka. Był ciekaw, czy już wróciłeś, chłopcze.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Kręci się po okolicy od lat. Jak mówiłem, przyjaźnił się z Feliksem. Gdy przyjeżdżał, zawsze nocował w domu, przynajmniej do czasu, aż Marchent go wyrzuciła. A robiła to kilka razy. Naprawdę go nie znosiła, a jednak zawsze pozwalała mu wrócić. Pewnie zjawi się tutaj z wizytą, z szacunku dla Feliksa i dla rodziny. Nie jest wścibski. Przypuszczam, że chciałby się upewnić, czy dom jest w dobrych rękach. Chociaż ja już mu powiedziałem, że w bardzo dobrych.

- Nie dogadywał się z Marchent?

- Z początku tak, gdy była małą dziewczynką. Ale potem, gdy Felix zaginał... Sam nie wiem. Nie przepadała za nim i kiedyś nawet powiedziała mi, że pozbyłaby się go z domu, gdyby tylko mogła. Moja żona, Bessie, twierdziła, że zakochał się w Marchent, wiesz, że ją nachodził i w ogóle, a ona tego nie chciała. Miała dosyć.

Reuben nie odpowiedział.

- Bracia wprost go nienawidzili — ciągnął Galton. — To dlatego, że przez niego zawsze mieli problemy. Gdy tylko coś /majstrowali, ukradli samochód albo kupili trunek, on potrafił donieść, że są nieletni. Zresztą ich ojciec też nie znosił Marroka. Abel Nideck w niczym nie przypominał Feliksa Nidecka. Ale nie przepędził Marroka, po prostu nigdy nie miał dla niego nawet chwili. Oczywiście żaden z nich nie spędzał tu wiele czasu, zresztą podobnie jak Marchent, która czasem wstawiała się za Marrokiem, pewnie przez wzgląd na Feliksa. Sypiał zwykle na piętrze, na tyłach domu, a czasem i w lesie. Lubił biwakować. Lubił być sam.

- Nie wie pan, skąd pochodził? Galton pokręcił głową.

— Do domu Feliksa wciąż przyjeżdżali goście, przyjaciele z... do licha, z całego świata! Ten akurat jest Azjata, może Hindusem, sam nie wiem. Śniada skóra, czarne włosy, elokwentny typ, jak wszyscy towarzysze Feliksa. Z całą pewnością za stary dla Marchent, choć w pewnym sensie podobny do starego Nidecka: trudno określić, ile ma lat. Wiem, że nie jest młody, bo pamiętam, że pojawił się tu, gdy Marchent była dziewczynką. - Galton rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nikt nie podsłuchuje, po czym dodał konfidencjonalnym szeptem: -Zdradzę ci, chłopcze, co Marchent powiedziała raz Bessie: „Felix kazał mu opiekować się mną, chronić mnie. Tylko kto mnie ochroni przed nim?!".

Dozorca odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Po chwili wziął jeszcze łyk kawy.

— Ale to naprawdę porządny gość. Gdy Abel i Celia zginęli, pojawił się tu i został z Marchent, żeby nie czuła się samotna. Właściwie chyba tylko wtedy naprawdę go potrzebowała. Ale nie trwało to długo. I ty pewnie też nie będziesz chciał go tu widzieć. Teraz to twój dom, synu, a ludzie muszą się z tym pogodzić. To już nie jest siedziba Feliksa. Felix Nideck to przeszłość.

— Tak czy owak, będę oczekiwał wizyty — powiedział Reuben.

— Jak mówiłem, to nie jest zły człowiek. W okolicy wszyscy go znają. To jeden z tych przybyszów nie wiadomo skąd, którzy wiecznie kręcą się w pobliżu. Pamiętaj jednak: teraz to twój dom.

Reuben odprowadził dozorcę do drzwi.

— Gdybyś miał wieczorem ochotę na drinka, zajrzyj do Zajazdu - powiedział Galton. - Trzeba oblać to, że ktoś wreszcie załatwił kota, który załatwił mi psa!

— Do Zajazdu? Czyli gdzie?

— Trudno go przegapić, synu. Jedź do Nideck, w tej dziurze jest tylko jedna główna ulica. I tam znajdziesz Zajazd.



- A, rzeczywiście, taki mały pensjonat? Widziałem go, gdy przyjechałem tu po raz pierwszy — przypomniał sobie Reuben. — Był na sprzedaż.

- Nadal jest i będzie jeszcze przez długi czas! - Galton znowu się roześmiał. — Nideck leży dwanaście mil od wybrzeża. Po co ktoś miałby szukać tam noclegu? Jak mówię, wpadnij wieczorem. A jeszcze lepiej: wpadnijcie razem.

Reuben zamknął za nim drzwi i poszedł do biblioteki.

Otworzył teczkę z dokumentami dotyczącymi domu, którą przesłał mu Simon Oliver. Pamiętał, że była w niej lista dostawców i rzemieślników świadczących usługi dla domu, którą sporządziła Marchent w ostatniej godzinie przed śmiercią. Może...

Musiała gdzieś tu być.

Znalazł. Szybko przejrzał listę nazwisk. Jest: Thomas Marrok. „Przyjaciel rodziny, pojawia się od czasu do czasu. Może poprosić o pozwolenie na biwakowanie w lesie w pobliżu domu. Stary przyjaciel Feliksa. Decyzja należy do ciebie. Nie jesteś mu nic winien. Rób jak chcesz”.

Poszedł na górę, do „gabinetu” Laury. Streścił jej opowieść Galtona. Wkrótce potem wsiedli do samochodu i pojechali prosto do Nideck.

W głównej salce Zajazdu zastali przyjemną gromadkę gości. Wystrój był rustykalny, ze ścianami z surowego drewna i świecami na kraciastych, biało-czerwonych obrusach. Gitarzysta, który przycupnął w kącie, śpiewał smętną, celtycką piosenkę.

Właściciel siedział w swoim kantorku. Trzymał nogi na biurku i czytał powieść w miękkiej oprawie, jednym okiem oglądając powtórkę *Gunsmoke* na ekranie małego telewizora.

Reuben zapytał go, czy zna człowieka nazwiskiem Marrok, który mógł tu nocować w ostatnim tygodniu.

- Rzeczywiście, był tu — odparł właściciel Zajazdu — ale nie nocował.

- A nie wie pan przypadkiem, skąd przyjechał?

— Z tego co mówił, wynika, że wciąż podróżuje. Gdy był tu ostatnio, wspominał o pobycie w Bombaju. Kiedyś opowiadał też, że właśnie wraca z Kairu. Nie wiem, czy ma gdzieś dom. Pocztę odbierał w starej rezydencji. Zaraz, zaraz, zdaje się, że mam nawet list dla niego. Listonosz mówił mi dziś, że już nie może dostarczać poczty do domu Nidecków. Zostawił list, licząc na to, że Tom Marrok jeszcze tu zajrzy.

— Może ja go wezmę? — zaproponował Reuben. — Mieszkam teraz w rezydencji Nidecków.

— Wiem o tym — odpowiedział gospodarz.

Reuben przedstawił się i przeprosił, że nie uczynił tego wcześniej.

— Nie szkodzi. Wszyscy wiedzą, kim pan jest. I cieszą się, że w starym domu zamieszka nowa rodzina. Miło mi pana poznać.

Właściciel Zajazdu wyszedł do głównej sali, by po chwili wrócić z listem.

— Moja żona otworzyła kopertę, zanim zerknęła na adres i zobaczyła, że to dla Toma Marroka. Przepraszam. Może mu pan powiedzieć, że to nasza wina.

— Dziękuję - odparł Reuben. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się ukraść przesyłki poczty federalnej, toteż czuł, że się rumieni.

— Jeśli się tu zjawi, powiem mu, że jest pan w rezydencji i ma pan list dla niego.

— Byłoby wspaniale — odrzekł Reuben.

Galton pomachał do nich zza baru i wznosił kufel z piwem, ale Reuben i Laura byli już przy wyjściu. Pojechali prosto do domu.

— Nie wierzę w to, co mówił ci Marrok - powiedziała Laura. — Ani w tych „innych”, ani w jego intencje. Musiał kłamać.

Reuben w milczeniu spoglądał prosto przed siebie. W głowie miał tylko jedną myśl: poprzedniego dnia Marrok musiał wejść do domu wcześniej, niż sądzili; zanim jeszcze przyjechali.

Gdy tylko znaleźli się w salonie, otworzył list. Nie miał

wątpliwości, że to własność istoty, która już nie żyła, zatem czy skrupuły w tej sprawie miały jakikolwiek sens?

List nakreślono tym samym zawiłym pismem, które widział już wcześniej — w dzienniku Feliksa. Były tego trzy strony, w tym ani jednego zrozumiałego słowa, rzecz jasna. Na końcu widniało coś, co mogło być podpisem autora.

- Chodź ze mną — zakomenderował, a potem poprowadził Laureę schodami na górę, do małego gabinetu Feliksa. Włączył górne światło.  
- Nie ma go - stwierdził. - Dziennik Feliksa leżał tu, na biurku.

Przeszukał gorączkowo szuflady, ale czuł, że to na nic. Ten, kto zabrał wszystkie gliniane tabliczki, zaopiekował się też dziennikami Feliksa Nidecka.

Reuben spojrzał na Laurę.

- On żyje - powiedział. - Wiem, że tak jest. Żyje i napisał list do Marroka, nakazując mu wrócić tutaj i...

- Nie wiesz, czy coś mu nakazał - wtrąciła rozsądnie Laura. - Nie wiesz nawet, czy ten list naprawdę napisał Felix. Na razie pewne jest tylko to, że ci ludzie posługują się tym samym językiem, tym samym pismem.

- Nie. Ja wiem, że on żyje. Zawsze żył. Coś go powstrzymało przed powrotem do domu, potwierdzeniem tożsamości i zatrzymaniem tej posiadłości. A może chciał zniknąć? Może nie mógł już udawać, że ma tyle lat, ile wpisano w dokumentach, bo po prostu się nie starzał? Może wręcz musiał zniknąć? Choć trudno mi uwierzyć, że mógłby zadać taki ból Marchent i jej rodzicom, tak po prostu przepaść bez wieści.

Przez chwilę siedział nieruchomo, przyglądając się znajomym przedmiotom, których pełen był pokój Feliksa. Tablice, korkowe plansze — wszystko wydawało się niezmienione. Te same wyblakłe znaki nakreślone kredą, te same pożółkłe wycinki z gazet przyklejone pinezkami. Te same zdjęcia: uśmiechnięty Felix, uśmiechnięty Siergiej i pozostali tajemniczy mężczyźni.

- Muszę go jakoś odnaleźć, porozmawiać z nim, błagać, żeby zrozumiał, co mnie spotkało, że nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, że...

- Co ci jest? Westchnął głęboko.

- To ten niepokój - rzekł po chwili. - Pojawia się, gdy nie mogę się przemienić, gdy nie słyszę wzywających mnie głosów. Muszę wyjść. Muszę iść na spacer. Nie możemy się tu ukrywać; jesteśmy łatwym, nieruchomym celem i tylko czekamy na atak.

Zaczął przechadzać się po pokoju, spoglądając na półki z książkami. Zapewne wcześniej gdzieś między nimi znalazłby inne części dziennika, ale żadna z półek nie była pełna i trudno było teraz odgadnąć, czy coś z nich zabrano. Czy to Marrok dostał się do domu pod ich nieobecność i ukrył to, co chciał ukryć? A może to sam Felix?

Drzwi do sąsiedniej sypialni były otwarte - to był ten narożny, północno-zachodni pokój, w którym kochali się z Marchent. Znowu miał wrażenie, że wyczuwa obecność tego człowieka, który niegdyś był tu panem, który wybrał dla siebie to wielkie, bogato zdobione łóżko o czterech słupkach, który postawił czarną, diorytową figurkę kota przy lampie, który zostawił tomik poezji Keatsa na małym stoliku.

Reuben sięgnął po książkę. Wyblakła, bordowa wstążka wskazała mu stronę, którą ktoś czytał. *Oda do melancholii*. Przy pierwszej strofice widniał znak uczyniony atramentem, a obok długa linia osobliwego pisma, pisma Feliksa, niczym rysunek falującego morza.

- Zobacz, zaznaczył ten fragment dawno temu - powiedział, podając tomik Laurze.

Podeszła do lampy i przeczytała na głos:

Nie, nie, nie szukaj Lethe - nie wyciskaj wina Z tojadu trującego z opornym korzeniem,

Nie pozwól, by ci czoło blade Prozerpina  
Muskąła słodkogorzu szkarłatnym dotknięciem,  
Nie czyn sobie różańca z jagódek cisowych,  
Nie daj, by skarabeusz lub ćma z głową trupią  
Stały się twą żalobną Psyche, z swą katuszą  
Nie zechciej zaznajamiać miękkości sowy,  
Bo cień za cieniem, sen ci niosąc, gdy się skupią,  
Twej duszy czujną wiecznie boleść ci zagłuszają.\*

Do bólu pragnął spotkać się z nim, porozmawiać, wyjaśnić.  
Zrobiłem coś, co było dla mnie całkiem naturalne, pomyślał. Zrobiłem  
to, ponieważ nie wiedziałem, jak inaczej mógłbym zareagować.

Ale czy na pewno było to prawdą?

Poczuł, że ogarnia go przemożne pragnienie siły. Niepokój, który  
targał nim od dłuższego czasu, teraz doprowadzał go do szału.

Wiatr ciskał strugami deszczu prosto w czarne szyby. Z oddali  
dobiegał wściekły huk fal rozbijających się o brzeg.

Laura była ikoną cierpliwości, wyrozumiałości, milczenia, gdy tak  
stała przy lampce z poezją Keatsa w dłoniach. W pewnej chwili  
spojrzała na okładkę, a potem na Reubena.

- Chodź - powiedziała. - Muszę coś sprawdzić. Choć może się  
mylę...

Ruszyli korytarzem w stronę głównej sypialni.

Mała książka zatytułowana *Jak wierzę* wciąż leżała na nocnym  
stoliku, czyli tam, gdzie pozostawiła ją rankiem.

Laura otworzyła ją teraz i ostrożnie przerzuciła pierwsze kartki.

- Tak, to jest to. Nie pomyliłam się. Spójrz na dedykację.

**\* Fragment *Ody do melancholii* Johna Keatsa w przekładzie  
Gustawa Wolffa, za: [poema.pl](http://poema.pl).**

*Drogi Feliksie, to dla Ciebie! Przetrwaliśmy to; przetrwamy wszystko. Na chwałę, Margon Rzym '04*

- Tak wiem, Margon podarował tę książkę Feliksowi -powiedział Reuben. Jeszcze nie rozumiał.

- Spójrz na datę. Przeczytał na głos:

- „Rzym '04". Na Boga. Felix zniknął w dziewięćdziesiątym drugim. A to... to oznacza, że on żyje i... że był w tym domu. Był tu już po rzekomym zaginięciu.

- Na to wygląda. Trudno powiedzieć w którym momencie, minęło już osiem lat.

- Że też nie zauważyłem tego wcześniej.

- Podobnie jak ja - odpowiedziała Laura. - Aż nagle mnie olśniło. Jak myślisz, ile jeszcze przedmiotów niezauważenie wniesiono tu i wyniesiono ptzez te lata? Sądzę, że on tu był. Że zostawił tu tę książkę. Skoro Marrok mógł niepostrzeżenie wśliznąć się do domu, to tym bardziej mógł to uczynić Felix.

Reuben przechadzał się w milczeniu, próbując ogarnąć to wszystko i znaleźć sobie jakiś sensowny cel.

Laura usiadła przy stole i zaczęła przeglądać książkę.

- Są jakieś notatki?

- Kropki, podkreślenia, zawijasy - odpowiedziała. - Podobne do tych w wierszu Keatsa. Nawet w tych pojedynczych znakach widać tę samą rękę. Jestem pewna, że on żyje, ale nie możesz zgadywać, kim lub czym jest ani czego mógłby od ciebie chcieć i co jest w stanie uczynić.

- Przecież wiesz, co mówił Marrok, o co mnie oskarżył.

- Reuben, on działał w szale zazdrości — powiedziała. — Posiadłeś jego ukochaną Marchent. Chciał, żebyś za to zapłacił. Wcześniej zdawało mu się, że zostawił cię na pewną śmierć, bo nie przypuszczam, by tamten atak był przypadkowy. Nie, nie miał sumienia zabić cię na miejscu, ale spodziewał się, że krzyżmo zrobi to za niego. Nie zadzwonił pod 911, żeby ratować ciebie. Zrobił to dla Marchent, żeby jej ciało nie leżało porzucone aż do następnej wizyty Galtona lub kogoś innego.

- Chyba masz rację.

- Reuben, tyle masz talentów... Naprawdę nie zauważyłeś, że kierowała nim ślepa zazdrość? Ociekało nią każde jego słowo. Wszystkie te zapewnienia, że nie wybrałby ciebie, że nie zwrócił na ciebie uwagi, że to przez ciebie nie upiłnował Marchent. Zazdrość od początku do końca.

- Rozumiem.

- Ze słów Marroka nie możesz wnosić absolutnie nic na temat Feliksa. Spójrz na to obiektywnie. Jeśli to Felix napisał ten list, jeśli żyje — a list właśnie na to wskazuje — to zauważ, że pozwolił ci przejąć ten dom. Nie próbował w żaden sposób przeszkodzić w objęciu spadku po Marchent. Dlaczego? I dlaczego miałby tu przysłać tego nieprzyjemnego typu, dziwnego, małego stwora? Żeby zabił nowego właściciela domu, tym samym oddając cały majątek w ręce prawników?

- Może dlatego, że już zabrał wszystko, czego potrzebował? — zasugerował Reuben. — Swoje pamiętniki i gliniane tabliczki? Przecież wyniósł je stąd już po śmierci Marchent.

Pokręciła głową.

- Nie wierzę w to. Jest tu tyle skarbów — pergaminowych zwojów, starożytnych kodeksów i nie wiem, czego jeszcze. Tyle pamiątek, które gromadził przez całe życie. Kto może wiedzieć, co się kryje na poddaszu i w schowkach tego domu? Są przecież skrzynie, do których jeszcze nie zaglądałeś, pudła pełne papierów. I są ukryte pokoje.

- Ukryte pokoje?

- Reuben, muszą tu być. Chodź, rozejrzemy się w holu. Stańli w miejscu, w którym spotykały się południowy i zachodni korytarz.

- Mamy tu prostokąt wyznaczony przez cztery korytarze: zachodni, południowy, wschodni i północny.

- Zgadza się, ale odwiedziliśmy już chyba wszystkie pokoje, do których można z nich wejść. Na zewnątrz czworoboku znajdują się sypialnie, a wewnątrz dodatkowe łazienki i schowki na pościel. Niby gdzie miałyby się znajdować ukryte pomieszczenia?

- Reuben, ty rzeczywiście jesteś naukowym antytalentem. Spójrz. - Podeszła do drzwi najbliższego schowka na pościel. - Ten pokój ma głębokość najwyżej dziesięciu stóp. Tak samo wyglądają wszystkie sąsiednie pomieszczenia, na całym obwodzie.

- Zgadza się.

- Wobec tego co znajduje się pośrodku?

- Mój Boże, masz rację. Pośrodku musi się znajdować duże, kwadratowe pomieszczenie.

- Gdy po południu rozmawiałeś z Jimem, zajrzałam do wszystkich szaf, wszystkich łazienek i wszystkich klatek schodowych na tym piętrze, ale nigdzie nie znalazłam drzwi, które mogłyby prowadzić do środkowej części domu.

- Uważasz, że w tych ukrytych pokojach mogą się znajdować przedmioty, które Felix chciałby jeszcze odzyskać?

- Chodź. Sprawdźmy coś jeszcze.

Poprowadziła Reubena do sypialni, którą zamieniła w swój gabinet. Małe biurko przeniosła spod ściany pod okno i postawiła na nim laptopa.

- Pamiętasz dokładny adres tego domu?

Musiał się zastanowić. Nideck Road 40. Pamiętał też kod pocztowy; podawał go, zamawiając przez Internet sprzęt biurowy.



Laura wpisała dane do okna wyszukiwarki i dodała dwa słowa: „mapa satelitarna”.

Gdy tylko na ekranie pojawiło się zdjęcie wybrzeża i nadmorskich lasów, powiększyła fragment, na którym widać było dom. Z każdym kolejnym kliknięciem wypełniał coraz większą część kadru. I rzeczywiście, pośrodku budynku widać było rozległą, szklaną tafłę w kształcie kwadratu, otoczoną z czterech stron spadzistymi połaciami dachu.

- Spójrz tylko - powiedziała.

- Boże, nie miałem pojęcia, że można tak to rozwiązać! -zawołał. - To nie pokój, to ogromne pomieszczenie. A dach zasłania je ze wszystkich stron. Możesz jeszcze powiększyć? Chcę obejrzeć szczegóły konstrukcji.

- Nie mogę - odrzekła. - Ale widzę to samo co ty. Jakby klapę w dachu.

- Muszę wejść na górę, sprawdzić wszystkie pomieszczenia na poddaszu. Musi być jakieś przejście.

- Sprawdziliśmy już wszystkie - przypomniała. - Nie ma lam żadnych drzwi. A z drugiej strony trudno zgadnąć, jak wiele razy przez te wszystkie lata Felix i Marrok przenikali do tej sekretnej części domu. Może przez tę klapę, a może innym wejściem, którego jeszcze nie odnaleźliśmy.

- To wiele wyjaśnia - stwierdził Reuben. - Marrok musiał być w domu tej nocy, kiedy zginęła Marchent. Nie znaleziono żadnych śladów, które by na to wskazywały, ale on musiał się czaić w tym pokoju lub pokojach, cokolwiek to jest.

- A może znajdziemy tam to samo co tutaj? Może tylko półki, regały z książkami i tak dalej.

Reuben skinął głową.

- Ale pewności nie ma - ciągnęła. - A dopóki jej nie ma, wciąż jest nadzieja, że znajdziesz tam coś, co stanie się twoją kartą przetargową. Być może Felix chciałby odzyskać to, co lam ukrył. Może też chcieć odzyskać cały dom. Nie osiągnie

tego jednak, po prostu pozbawiając cię życia. Dom trafi na rynek, a następnie do obcych ludzi. I co mu wtedy pozostanie?

- Cóż, może nadal wślizgiwać się tu niepostrzeżenie, jak dawniej.

- Nie, nie może. Dopóki dom należał do Marchent, śmiało mógł to robić. Może i teraz, gdy ty jesteś właścicielem. A co, jeśli dom przejmie zupełnie obca osoba, która zechce urządzić tu hotel albo - co gorsza, zburzyć te mury, grzebiąc wszystko, co się w nich kryje?

- Trudno ci odmówić racji.

- Siedząc tutaj, nie ułożymy sobie pełnego obrazu sytuacji - powiedziała. - List dopiero tu dotarł. Może Felix sam jeszcze nie wie, co zrobić? Jakoś trudno mi uwierzyć, żeby to on — jeśli jest taki, jak go wszyscy zapamiętali — nasłał na nas Marroka.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Podszedł do okna. Było mu gorąco, nie mógł sobie znaleźć miejsca, był bliski paniki, ale jednocześnie wiedział, że przemiana jeszcze nie nadchodzi. I nawet nie był pewny, czy chce ją teraz przeżyć. Wiedział tylko, że fizyczne i psychiczne doznania, które ją poprzedzają, są trudne do zniesienia.

- Muszę teraz znaleźć wejście do tego pomieszczenia -oznajmił.

- Myślisz, że to ci przyniesie ulgę w mękach, które teraz przeżywasz?

- Nie — odpowiedział krótko i pokręcił głową. Odetchnął głęboko i zamknął oczy.

- Posłuchaj, Lauro. Musimy na krótko wyjść. Pojedziemy samochodem.

- Dokąd?

- Nie wiem, ale nie zostawię cię tu samej. Musimy iść... natychmiast.

Wiedziała, co to oznacza, czuła, co kieruje teraz Reubenem. Nie zamierzała już o nic pytać.

Padał ulewny deszcz, gdy wychodzili z domu.

Pojechali na południe drogą numer 101, z maksymalną prędkością zmierzając w stronę głośów i miast nad Zatoką.

Cmentarz Mountain View w Oakland: ogromne drzewa, z rzadka rozrzucone większe i mniejsze nagrobki, a nad wszystkim monotony rytm deszczu. W oddali — upiorna luna miasta.

I chłopiec krzyczący z bólu, bo dwaj napastnicy kaleczą go nożami. Przywódca: świeżo po wyroku, żyłaste, nagie ramiona pokryte tatuażami, mokra, półprzezroczysta koszulka, drżące mięśnie, narkotyki we krwi, wściekłość w oczach, pragnienie zemsty na tym, który go zdradził: pora złożyć jego jedyne syna w ofierze bogom przemocy.

— No co? — syczał drwiąco, pochylając się nad chłopcem. — Sądysz, że Człowiek Wilk cię uratuje?

Reuben wypadł spomiędzy pobliskich dębów i runął na przywódcę jak mroczny anioł, na oczach dwóch podwładnych, którzy z wrzaskiem rzucili się do ucieczki.

Błysk pazurów, przecięta tętnica szyjna, postać zgięta w pół, pada na ziemię, szczęki zaciskają się na ramieniu, rozrywają ścięgna, staw nie wytrzyma, ale nie ma czasu, by nasycić się kusząco gorącym mięsem.

Wielkimi susami gnał ponad równiną umarłych, by dopaść tych dwóch, którzy w panice uciekali na oślep w ciemność. Pierwszemu z nich rozplątał gardło do połowy, a potem cisnął go na ziemię i pomknął za drugim. Pochwycił go obiema łapami i uniósł na spotkanie z głodnymi szczękami. Soczyste, pulsujące ciało ociekające krwią.

Musiał wrócić. Na zbryzganej posoką trawie leżała ofiara napadu: chłopiec o brązowej skórze i czarnych włosach, zwinięty jak embrion, w skórzanej kurtce, ranny w twarz i w brzuch, prawie nieprzytomny. Miał dwanaście lat. Reuben pochwyił go zębami za kołnierz grubej kurtki i dźwignął tak, jak kotka podnosi swoje małe, a potem pognął bez wysiłku w stronę ulicznych latarni. Przeskoczył nad żelazną bramą. Zatrzymał się dopiero przed ciemnymi oknami narożnej kawiarni i położył chłopca przy wejściu. Wokół panowała cisza. Ulica była o tej porze pusta. Lampy rozlewały swój blask na witryny pustych sklepów. Jednym machnięciem potężnej prawicy stłukł szybę w kawiarni. Zawył alarm i nad leżącym na chodniku rannym zapaliły się krzykliwie żółte światła.

Reubena już tam nie było. Biegł przez cmentarz, podążając za wonią tych, których pozbawił życia. Ale trupy były już zimne; takie go nie interesowały. Wolał ciepłe ciała. A w ciemności odzywały się nowe głosy.

Młoda kobieta śpiewała cichą pieśń śmierci.

Znalazł ją w lesie na terenie kampusu Berkeley, swej dawnej uczelni, którą uwielbiał jako młody chłopak, w swym nieskoń-i zenie dalekim, ludzkim życiu.

Pośród wysokich eukaliptusów znalazła schronienie w swej ostatniej godzinie. Zabrała ze sobą ulubioną książkę, butelkę wi na, haftowaną poduszkę, którą ułożyła na posłaniu z aroma-lycznych liści oraz mały, kuchenny nożyk, którym przecięła sobie oba nadgarstki. Traciła krew i przytomność, ale nie przestawała jęczeć cichutko:

— Źle, źle! Proszę, pomóż...

Nie mogła już utrzymać butelki z winem, nie mogła poruszyć ramionami i dłońmi. Zlepione włosy zakryły jej mokrą twarz.

Zarzucił ją sobie na ramię i ruszył w stronę światła Telegraph Avenue, spiesząc przez spowite mrokiem kępy drzew tego sa-

mego kampusu, w którym jeszcze nie tak dawno temu uczył się, dyskutował i marzył.

Gęsto ustawione budynki tętniły życiem: słyszał głosy ludzi, uderzenia serc, huk bębnów i szmery, wzmocnioną przez głośniki recytację, zawodzenie trąbki — kakofonię kilku źródeł muzyki. Ostrożnie ułożył ranną u drzwi zatłoczonej tawerny, z której raz po raz dobiegały salwy śmiechu. Oddalając się, usłyszał głosy tych, którzy ją znaleźli:

- Wezwijcie pomoc!

Jego wzywały inne głosy, głosy wielkiego miasta. I wybory. Życie to ogród bólu. Kto umrze? Kto przeżyje? Szedł na południe, gdy nagle ogarnęła go zgroza. „To, co zrobiłem, wydawało mi się naturalne... Słyszałem głosy, które mnie wzywały. Czułem woń zła i podążałem jej śladem. Wszystkie te czyny wydawały mi się tak normalne jak oddychanie”.

Kłamca, potwór, morderca, bestia. „Koniec z tobą!”

Niebo miało kolor sadzy, gdy lądował na płaskim, zagraconym dachu starego, poszarzałego budynku z cegły. Zszedł po schodach przeciwpożarowych i po chwili był już w półmroku hotelowego korytarza. Bezszelestnie otworzył drzwi.

Zapach Laury. Zasnęła przy oknie, ułożywszy głowę na ramionach skrzyżowanych na podokienniku. W oddali ołowiane chmury zaczynały już jaśnieć i nabierać srebrzystego blasku. Za mętną ścianą deszczu widać było gąszcz wieżowców. Trasy szybkiego ruchu wibrowały jak cięciwy łuków, wijąc się na lewo i na prawo. Kolejne warstwy miejskiego pejzażu wydawały się tym ciemniejsze, im bliżej leżały wielkiego Pacyfiku — gasły niczym żatzące się węgle we mgle. Ulice budziły się z warkotem i brzękiem. Ogród bólu. Kto dziś będzie żniwiarzem bólu? Proszę, niech już ucichną te głosy. Wystarczy.

Białe włosy same odsłoniły jej twarz, gdy uniósł ją lekko i zaniósł na łóżko. Obudziła się z drżeniem powiek, kiedy poczuła pocałunki. Co można odczytać w jej oczach? Kochany.

Mój. Ty i ja. Zapach jej perfum pobudzał zmysły. Głosy zgasły, jakby ktoś przekręcił gałkę potencjometru. Deszcz pracowicie bębnił o szyby. W zimnym świetle Reuben najpierw zsunął jej ciasne dzinsy — to tylko zasłona; są jak to futro, które ukrywa moje ciało, pomyślał — a potem odsunął cieniutką, błękitną tkaninę bluzki. Przycisnął język do jej szyi, do piersi. Głos bestii zawarczał głęboko w jego piersi. Mieć i nie mieć. Mleko matek.

Wpadł na Grace w chwili, gdy przestąpiła próg domu. Był tu wcześniej i nikogo nie zastał, więc w spokoju spakował prawie wszystkie swoje ubrania i książki. Upchnął je w porsche i właśnie wrócił, żeby sprawdzić, czy nastawił alarm.

Omam nie krzyknęła. Miała na sobie zielony szpitalny strój, ale zdążyła już rozpuścić rude włosy. Na ich tle jej twarz była jak zawsze uderzająco blada, a ostro zarysowane, rude brwi tylko spotęgowały wyraz przerażenia. Zaraz potem rzuciła mu się na szyję.

- Gdzieś ty się podziewał? - spytała. Ucałował ją w oba policzki, zanim ujęła dłońmi jego twarz. — I dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Mamo kochana, naprawdę nic mi nie jest - odpowiedział. - Siedzę sobie w domu w Mendocino. Na razie muszę tam zostać. Wpadłem tylko, żeby ci powiedzieć, że cię kocham i że nie musisz się martwić...

- A ja chcę, żebyś został tutaj! - wpadła mu w słowo. Zaraz potem zniżyła głos do szeptu, a czyniła to tylko wtedy, gdy była bliska hysterii. - Nie wypuszczę cię.

- Wyjeżdżam, mam. Ale wiedz, że jestem zdrowy jak ryba.

- Nie jesteś. Spójrz tylko na siebie. I wysłuchaj mnie: czy wiesz, co się stało z próbkami, które badano w szpitalu? Mówię o wszystkich, które od ciebie pobrano — o krwi, moczu, o biopsjach. .. Wszystkie zniknęły! - Ostatnie słowo wypowiedziała



praktycznie bezgłośnie. -I dlatego zostaniesz w domu, Reuben. Zastanowimy się, jak i dlaczego mogło do tego dojść.

— To niemożliwe, mamó.

— Reuben! — Drżała. — Nie wypuszczę cię.

— Musisz, mamó — odpowiedział spokojnie. — Spójrz mi w oczy i posłuchaj uważnie. Posłuchaj swojego syna. Robię to, co dla mnie najlepsze. Tak, wiem, że od czasu wypadku zaszły zmiany w mojej psychice. A także zdumiewające zmiany hormonalne. Tak. Ale musisz mi zaufać, mamó. Uwierz, że kieruję swoim życiem najlepiej, jak potrafię. Wiem, że rozmawiałaś z tym lekarzem z Paryża...

— Z doktorem Jaską — odpowiedziała. Reuben miał wrażenie, że z pewną ulgą przeszła do bardziej konkretnych spraw. -Z doktorem Akimem Jaską. To endokrynolog, specjalista od takich właśnie osobliwości.

— Tak, wiem. Wiem też, że proponował ci pracę nad tą sprawą w prywatnym szpitalu. Co więcej, wiem, że chciałabyś, żebym się tam znalazł.

Nie przytaknęła. Wydawało się, że wcale nie jest tego pewna.

— Wiem, że o tym rozmawialiście — dodał.

— Twój ojciec jest temu przeciwny - odrzekła, jakby teraz dopiero głośno myślała nad tą kwestią. - Nie przepada za Jaską. I nie podoba mu się cały ten pomysł. - Nagle zaczęła płakać. Nie mogła znieść napięcia, nie mogła się dłużej powstrzymać. - Reuben, ja się boję - wyszeptała.

— Wiem, mamó. Ja też. Ale chcę, żebyś zrobiła to, co będzie dla mnie najlepsze. A najlepiej będzie, jeśli zostawicie mnie w spokoju.

Odsunęła się od niego i oparła plecami o drzwi.

— Nie wypuszczę cię - zapowiedziała kategorycznie i przygryzła wargę. - Reuben, czytałam te twoje rapsodie o tajemniczym wilkołaku, potworze, który cię zaatakował. Ty naprawdę nic z tego nie rozumiesz!

Nie mógł na nią patrzeć. Podszedł bliżej, ale ona tylko mocniej zaparła się plecami o drzwi, jakby była gotowa walczyć na śmierć i życie o to, by nie wyszedł z domu.

- Mamo — odezwał się cicho.

- Reuben, ten Człowiek Wilk... to coś... zabija ludzi - wyjąkała. - To samo, co z próbkami twojej krwi, dzieje się teraz ze wszystkimi dowodami tego typu, które udaje się znaleźć na miejscach zbrodni. Reuben, ten stworzył zaatakował i ciebie. Zaraził cię czymś mocnym, niebezpiecznym, co działa na cały twój organizm...

- Mamo, ty naprawdę myślisz, że zmieniam się w wilkołaka? - spytał.

- Jasne, że nie - odpowiedziała. - Ten wariat też nie jest wilkołakiem, to jakiś nonsens! Ale jest nienormalny, niebezpieczny, koszmarnie szalony. A ty jesteś jedynym człowiekiem, który przeżył jego atak. W twojej krwi i tkankach znajduje się coś, co może pomóc policji odnaleźć sprawcę, ale ważniejsze jest to, synu, że tak naprawdę nie wiemy, co ten wirus robi z twoim ciałem.

Ach, więc o to chodzi, pomyślał Reuben. Oczywiście. I zupełnie sensownie.

- Mój Chłopczyku, pojedź ze mną do szpitala. Nie do jakiejś podejrzananej placówki w Sausalito, tylko do San Francisco General...

- Mamo... - Pękało mu serce. - Przez chwilę sądziłem, że uważasz mnie za Człowieka Wilka, mamo. - Źle się czuł w tej roli, nie chciał testować jej w taki sposób, nie chciał kłamać, ale nie mógł się powstrzymać. W tej chwili najbardziej na świecie chciał ją przytulić, obronić przed prawdą, przed wszystkim. Gdyby tylko nie była doktor Grace Golding.

- Nie, Reuben. Nie wydaje mi się, żebyś potrafił wspinać się na mury i fruwać nad dachami, a także wyrywać ludziom kończyny.

- Co za ulga - mruknął.

- Ale ten stwór, kimkolwiek jest, może być nosicielem zakaźnej choroby, nie rozumiesz? Reuben, proszę cię, skup się na tym, co teraz powiem. Wścieklizna jest na przykład chorobą zakaźną. Rozumiesz? A ty mogłeś zostać zarażony czymś nieporównywalnie bardziej niebezpiecznym niż wścieklizna. To dlatego chcę, żebyś pojechał ze mną do szpitala. Jaska twierdzi, że notowano już podobne przypadki, że pewne zdumiewające szczegóły są praktycznie identyczne. Mówi, że całkiem realne jest zagrożenie nieznanym wirusem.

- Nie, mamó. Nie mogę. Przyjechałem tu, żebyś zobaczyła na własne oczy, że nic mi nie jest - odpowiedział jak najła-godniej. - Zobaczyłaś, więc mogę jechać do siebie. Proszę cię, mamó, odsuń się od drzwi.

- W porządku, więc zostań tu, w domu - nie dawała za wygraną. - Nie uciekaj znowu do lasu! - zawołała, rozkładając ręce.

- Nie mogę, mamó.

Odsunął ją na bok - czuł, że nigdy sobie nie wybaczy tego, jak ostro z nią postąpił - i wyszedł z domu, zanim zdążyła go zatrzymać. Zbiegł po ceglanych stopniach i wsiadł do samochodu.

Została na progu. Pierwszy raz w życiu dostrzegł, jak drobnej jest postury, jak kruchą, słabą i wystraszoną jest istotą. Jego piękna matka, która każdego dnia ratowała życie tylu ludziom.

Zdażył oddalić się o jedną przecznicę od domu, zanim sam zaczął płakać, a gdy dotarł do kawiarni, w której czekała na niego Laura, nic już nie widział przez łzy. Oddał jej kluczyki i zajął miejsce z prawej strony.

- To już koniec - powiedział, gdy jechali w stronę autostrady - Nigdy więcej nie będę częścią rodziny. Już po wszystkim. Boże! Co ja teraz zrobię?

- Chcesz powiedzieć, że ona wie?

- Nie. Ma strzępki wiedzy, których kurczowo się trzyma, ale nie zna całej prawdy. A ja jej nie powiem. Prędzej umrę, niż to zrobię.

Zasnął, zanim przejechali przez Golden Gate.

Gdy się obudził, było późne popołudnie. Właśnie zjechali z drogi numer 101 w kierunku Nideck Road.

E-mailowa wiadomość od Simona Olivera była zwięzła: „Złe nowiny, które mogą się okazać dobre. Zadzwoń jak najszybciej”. Nadano ją poprzedniego wieczoru.

Reuben zadzwonił do domu Olivera i zostawił wiadomość, że jest dostępny online i pod telefonem. Czeka.

Kolację zjedli z Laurą w oranżerii, na nowym stoliku o marmurowym blacie. Siedzieli w bananowym zagajniku, obok niewysokiego fikusa. Reuben zachwycał się widokiem nachylających się ku sobie drzew orchideowych okrytych cudownymi, różowo-purpurowymi kwiatami.

Tego dnia Galton dowiózł sporo paproci w donicach i kilka białych bugenwilli. W gasnących promieniach popołudniowego słońca pod szklanym dachem panowała zaskakująco wysoka temperatura. Laura, która wiedziała o roślinach wszystko, zasugerowała Reubenowi jeszcze kilka zakupów. Gdyby sobie życzył, mogłaby sama zamówić kwiaty, a może i drzewa. Wiedziała, gdzie można kupić naprawdę imponujące okazy. Odpowiedział, że byłoby wspaniale, bo im bardziej zielono i im więcej kwiatów, tym lepiej. Powinna kupić takie, które sama chciałaby mieć, które najbardziej lubi. On także by je polubił.

Na kolację zjedli gęstą zupę, spadek po kolacji z poprzedniego wieczoru, kiedy Reuben przyrządził jagnięcinę. Miał wrażenie, że jest jeszcze smaczniejsza.

— Zmęczony? — spytała Laura.

- Nie. Chętny do badania piętra tak długo, aż odnajdziemy wejście do tego tajemnego pomieszczenia.

- A może nie ma wejścia, z wyjątkiem tej kłapy w szklanym dachu?

- Nie sądzę. Podejrzewam nawet, że jest tam kilka wejść. Po co komu tak fantastyczna kryjówka, skoro nie można się do niej wśliznąć na kilka sposobów? W schowkach na pościel muszą być ruchome panele na ścianach. A może w łazienkach? Sprawdźmy też te małe pokoiki na poddaszu.

- Chyba masz rację. Spojrzeli po sobie.

- Dopóki nie sprawdzimy - dodała - nie możemy mieć pewności, że jesteśmy tu całkiem sami, nieprawdaż?

- Nie możemy. I to doprowadza mnie do szału - przyznał Reuben. Bał się o nią. Szalenie się bał, ale nie chciał jej straszyć. Nie wspominał więc o tym ani słowem; po prostu nie odstępował jej na krok.

Zabrali ze sobą siekiere i latarkę znaną w szopie, a także młotek. Nic jednak nie znaleźli. Obejrżeli i opukali każdy skrawek wewnętrznych ścian na piętrze i na poddaszu. Sprawdzili nawet piwnicę. Bez rezultatu.

Wreszcie Reuben poczuł zmęczenie. Było po dziewiętnastej i modlił się w duchu żarliwie, by przemiana tej nocy w ogóle nie nadeszła, by tym razem zaznał spokoju. Jednocześnie czuł lekką pokusę. Ostatnio nie miał okazji pożywić się mięsem ofiar. Głód, który czuł, nie był osadzony w żołądku, a zupełnie gdzie indziej.

Były i inne powody. Rankiem czuł, że udało mu się wszcząć metamorfozę siłą woli, zaraz po tym, jak skończyli z Laurą uprawiać seks. Miał wrażenie, że nastąpiła szybciej, że mięśnie tym razem współpracowały, a nie stawiały opór przemianie. Pamiętał wrażenie intensywnego połykania, jakby musiał na powrót wchłonąć w siebie i rozpuścić każdą cząstkę ciała, która rozrosła się i stwardniała w wilkołaczej postaci.

Skupił myśli na domu i na tym, jak odnaleźć ukryte wejście. Gdy deszcz nieco ustąpił, włożyli ciepłe bluzy i wyszli na spacer wokół domu. Odkryli, że ze wszystkich stron zainstalowano reflektory, nie porrafilo jednak znaleźć włącznika oświetlenia. Reuben stwierdził, że trzeba będzie zapytać Galtona - przypomniał sobie, że iluminacja budynku była włączona, gdy po raz pierwszy rozmawiał z dozorcą.

Zostawili w domu zapalone światła, by blask okien ułatwił im wędrówkę po dębowym zagajniku po wschodniej stronie rezydencji. Reuben zachwycił się tymi drzewami, na których nisko zwieszono konary tak łatwo byłoby się wspinać. Miał ochotę przyjść tu w słoneczny dzień - gdy tylko taki się wreszcie zdarzy - i najzwyczajniej w świecie powspinać się na drzewa. Laura przyznała mu rację.

Ocenili, że budynek ma przynajmniej sześćdziesiąt stóp wysokości. Przy północno-zachodnim narożniku rosła spora kolonia daglezi; niektóre z nich wydawały się niemal tak wysokie jak sekwoje z pobliskiej puszczy. Kolejny fragment dębowego parku rozciągał się od wschodu, wzdłuż podjazdu. Większość ścian domu porastał bluszcz, starannie przycięty wokół okien. Laura rozpoznała też wiele innych drzew rosnących po sąsiedzku - takich jak choina zachodnia czy dąb beżowy, który wbrew lokalnej nazwie wcale nie był dębem.

Jakim sposobem Reuben, dawny Reuben, miał dostać się na dach, nie korzystając z pomocy specjalistów? Dla ekipy dekarzy z długimi drabinami pewnie nie byłoby to problemem, ale sprowadzania obcych należało unikać za wszelką cenę. Człowiek Wilk naturalnie mógłby wdrapać się nawet po kamiennym murze, ale w tym czasie Laura zostałaby sama.

Reuben jeszcze nigdy nie zastanawiał się nad kupnem broni, ale teraz właśnie taka myśl przyszła mu do głowy. Laura potrafiła strzelać, oczywiście, że tak, tyle że nienawidziła broni. Jej ojciec nigdy nie miał nawet pistoletu. Czym prędzej

zmieniła bieg rozmowy, zapewniając Reubena, że będzie się czuła bezpiecznie z siekierą w ręku, gdy on wejdzie na dach. Zresztą usłyszalby jej wołanie o pomoc, tak jak poprzednim razem, czyż nie?

Gdy weszli do domu, dzwonił telefon. Reuben pobiegł do biblioteki i zdążył podnieść słuchawkę.

Simon Oliver.

- No dobra, tylko się nie denerwuj, dopóki nie wyjaśnię ci wszystkiego do samego końca - zastrzegł prawnik. - Mówię ci, Reuben, to jedna z najbardziej niezwykłych sytuacji, z jakimi miałem do czynienia. Co nie znaczy, że sprawy nie mogą się ułożyć po twojej myśli. Wystarczy, że będziemy bardzo uważali na to, co mówimy i robimy.

- Simon, proszę cię, powiedz mi wreszcie, o co chodzi - odparł Reuben, siadając za biurkiem. Z trudem panował nad sobą.

Laura dorzucała drewna do ognia.

- Wiesz, jak bardzo szanuję ludzi z kancelarii Baker, Hammermill, a zwłaszcza Arthura Hammermilla - zaczął Simon. - Ufam mu tak, jakby pracował w mojej firmie.

Reuben przewrócił oczami.

- Chodzi o to, że pojawił się potencjalny spadkobierca, ale pozwól, że wyjaśnię ci okoliczności. Wygląda na to, że Felix Nideck - ten, który zniknął przed laty, bo...

- Wiem który.

- Otóż ten Felix Nideck miał nieślubnego syna, również Feliksa Nidecka, który właśnie pojawił się tu, w San Francisco. A teraz, Reuben, nie przerywaj mi...

Reuben był oszołomiony.

- Simon, przecież nawet się nie odezwałem.

- Możliwe, że martwię się za ciebie, w końcu na tym polega moja praca. Tak czy owak, ten człowiek twierdzi, że nie rości sobie żadnych praw do majątku, naprawdę żadnych i... Właściwie to nie jesteśmy pewni, czy mógłby sobie rościć,



bo dokumenty, które przedstawił, z łatwością mogły zostać sfałszowane, a jak się dowiedzieliśmy „nie jest zainteresowany” wykonaniem testów DNA dowodzących pokrewieństwa...

- Ciekawe - mruknął Reuben.

- To jeszcze nic — odparł Simon. — Dziwna sprawa, Reuben. Rzecz w tym, że ten człowiek bardzo chciałby się z tobą spotkać, albo tu, albo w kancelarii Baker, Hammermill - decyzja należy do nas. Moim zdaniem lepiej u nas, choć i tam nie byłoby źle, gdybyś wolał. Nideck chce z tobą porozmawiać o domu i rzeczach osobistych, które jego ojciec pozostawił, gdy zniknął.

- Naprawdę? A czy wie coś o okolicznościach jego zniknięcia?

- Nic. Nie jest w stanie dodać niczego do ustaleń śledztwa -tak mi powiedział Arthur. Absolutnie nic. Przez wszystkie te lata nie miał wiadomości od ojca. W ogóle nie ma mowy o otwarciu tamtej sprawy.

- Ciekawe. Skąd wiadomo, że ten człowiek naprawdę jest tym, za kogo się podaje?

- Podobieństwo rodzinne, Reuben, jest wprost uderzające. Arthur znał osobiście Feliksa Nidecka i twierdzi, że nie ma najmniejszych wątpliwości.

- Ciekawe - powtórzył Reuben po raz trzeci.

- Słuchaj dalej. Spotkałem się z tym człowiekiem dziś po południu, w obecności Arthura. To nie byle kto — gdybym nie wiedział, że jest inaczej, powiedziałbym, że dżentelmen z Południa, a przy tym niezły gawędziarz. Urodził się i wykształcił w Anglii, ale nie ma brytyjskiego akcentu. Właściwie to nie wiem, jaki ma akcent, ale to naprawdę niezwykły człowiek, uprzejmy i ciepły. Zapewniał mnie, że nie będzie próbował obalić ostatniej woli panny Nideck. Zależy mu jedynie na rozmowie z tobą, także na temat ruchomego majątku ojca.

- I Arthur Hammermill nic nie wiedział o jego istnieniu? -upytął Reuben.

- Arthur Hammermill zdębiał - odpowiedział krótko Simon. - Wiesz przecież, jak długo jego kancelaria szukała Feliksa Nidecka i wszelkich osób, które miały z nim jakikolwiek związek.

- Ile lat ma ten człowiek?

- Czterdzieści? Może czterdzieści pięć. Czeka, sprawdzę. Czterdzieści pięć; urodził się w Londynie w 1966 roku. Ale wygląda znacznie młodziej. Zdaje się, że ma podwójne obywatelstwo, brytyjskie i amerykańskie, ale mieszkał w różnych zakątkach świata.

- Czterdzieści pięć? Hmm.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się interesujesz tymi szczegółami, Reuben. Liczy się to, że w testamencie zaginionego nie było ani słowa o nieślubnym synu, natomiast gdybyśmy poprosili go o badanie DNA, twierdzi, że przy okazji zapewne spróbowałby uszczknąć nam spory kawałek majątku - choć wcale nie jestem pewny, że zdołałby tego dokonać...

- Powiedział, że chce odzyskać rzeczy swojego ojca?

- Niektóre, Reuben, tylko niektóre. Nie wyjawiał szczegółów. Chce się z tobą zobaczyć i mam wrażenie, że jest dobrze zorientowany w sytuacji. Gdy wiadomość o śmierci Marchent trafiła do mediów, przebywał w Paryżu.

- Ach tak.

- Teraz naturalnie bardzo się spieszy - jak wszyscy w dzisiejszych czasach. Zatrzymał się w hotelu Clift i chciałby się z tobą spotkać, gdy tylko pojawisz się w mieście. Chyba nie ma zbyt wiele czasu, wyjeżdża. Powiedziałem mu, że zrobię, co w mojej mocy.

Co oznacza, pomyślał Reuben, że chce mnie wywabić z domu o umówionej porze i na określony czas, żeby móc wejść tu i zabrać wszystko, co należało do Feliksa - a najprawdopodobniej to właśnie Felix. Tak, to z całą pewnością sam Felix Nideck. Dlaczego nie przyjdzie tu i się nie przedstawi?

- W porządku - powiedział. - Spotkam się z nim, po-

wiedzmy jutro o trzynastej. Jak wiesz, potrzebuję czterech godzin, żeby dotrzeć stąd do miasta, Simon. Zadzwoń jeszcze z potwierdzeniem, zanim ruszę w drogę.

- Nie ma problemu, pan Nideck już zapowiedział, że jutro będzie wolny przez cały dzień. Ucieszy się. Jeśli się nie mylę, wieczorem wyjeżdża.

— Posłuchaj, Simon: nalegam, żeby to spotkanie pozostało wyłącznie naszą sprawą. Phil i Grace nie mogą się dowiedzieć. Znasz przecież mamę — jeśli nie wpadnę do domu przy okazji wizyty w mieście...

— Reuben, nigdy nie rozmawiam z twoją matką o twoich prywatnych sprawach finansowych bez wyraźnego zezwolenia - odparł Simon.

Co wcale nie było prawdą.

— A skoro już o niej mowa, to matka bardzo się o ciebie martwi. Wyniosłeś się do Mendocino, nie odpowiadasz na e-maile, nie odbierasz telefonu...

— W porządku. Jutro o trzynastej w twoim biurze — przerwał mu Reuben.

— Nie tak prędko. Chciałbym się z tobą zobaczyć, powiedzmy godzinę przed spotkaniem z Nideckiem...

- Po co? Przecież rozmawiamy.

- Muszę cię ostrzec, Reuben. To, że pojawia się potencjalny dziedzic fortuny i nie ma ochoty dobrać się do spadku, jest absolutnie niespotykaną sytuacją. Podczas jutrzejszego spotkania musisz podążać za moimi wskazówkami. Podpowiem ci, co wolno i czego nie wolno ci mówić. Usilnie namawiam, żebyś nie odpowiadał na żadne pytania dotyczące wyceny domu, jego wyposażenia, wartości mebli ani wartości ruchomego majątku Feliksa Nidecka...

- Rozumiem. Wiem, do czego zmierzasz, Simon. Będę go przede wszystkim słuchał. Ciekaw jestem, co mado powiedzenia.

- Otóż to, Reuben: masz słuchać. Nie zobowiązuj się do

niczego. Niech się wywnętrzy, jak mawia młodzież. A ty tylko słuchaj. Uparł się, że nie będzie rozmawiał o szczegółach z nikim innym, tylko z tobą, ale nie musisz udzielać mu żadnych odpowiedzi.

- Jasne. Jutro o pierwszej.

- Mam wrażenie, że udało mu się oczarować Arthura Hammermilla. Spędzili razem parę wieczorów. Wczoraj poszli do opery na *Don Giovanniego*. Arthur twierdzi, że facet jest zdumiewająco podobny do swego ojca. A ja i tak twierzę, że w dzisiejszych czasach nie ma szans na potwierdzenie pokrewieństwa, jeśli nie podda się badaniu DNA. On zresztą musi o tym wiedzieć. Choć z drugiej strony, w każdej chwili może zmienić zdanie.

Ale nie zmieni, pomyślał Reuben. Nie może.

- Do jutra, Simon. Przepraszam, że wcześniej tyle czekałeś na telefon ode mnie.

- A ptzy okazji - ten artykuł o Człowieku Wilku, który ukazał się dziś rano w „Observerze”? Pierwsza klasa. Wszyscy tak sądzą. Naprawdę dobry. Pan Nideck junior też był pod wrażeniem.

Czyżby? Reuben pożegnał prawnika i odłożył słuchawkę. Był mocno podniecony. Tak, to musiał być Felix. Wreszcie się ujawnił. Był blisko.

Laura siedziała na dywanie przed kominkiem. Przeglądała jedną z powieści o wilkołakach, od czasu do czasu notując coś w niedużym zeszycie. Ptzyiadł po turecku obok niej i przekazał jej treść rozmowy.

- To oczywiście Felix - zakończył. Spojrzał na portret czcigodnych dżentelmenów, wiszący nad kominkiem. Nie umiał ukryć emocji. Felix żyje. Felix żyje i ma się doskonale. Felix, który jest kluczem do wszystkich zagadek tworzących wokół niego zasłonę dymną tak gęstą, że czasem pozbawiającą tchu. Felix, który może zechcieć zniszczyć i jego, i Laureę.

- Mam przeczucie, że się nie mylisz. A teraz posłuchaj tego. - Laura sięgnęła po zeszyt. - Oto nazwiska czcigodnych dżentelmenów. - Oboje nauczyli się już używać tego określenia. - Vandover, Wagner, Gorlagon, Thibault. Każde z nich wiąże się z jakąś opowieścią o wilkołaku.

Reuben zamarł.

- Zaczniemy od Franka Vandovera. Istnieje bardzo znana powieść o wilkołaku, zatytułowana *Vandover i brutal*, autorstwa Franka Norrisa, opublikowana w 1914 roku.

A zatem to prawda! Reuben wciąż nie mógł wykrztusić słowa.

- Następny: Reynolds Wagner. I znowu bardzo popularna historia - *Wagner wilkołak* George'a W.M. Reynoldsa, opublikowana po raz pierwszy w 1846 roku.

- Mów dalej.

- Gorlagon - to wilkołak ze średniowiecznego opowiadania Marie de France.

- Oczywiście. Czytałem je przed laty!

- Baron Thibault — to kombinacja imion ze słynnej powieści Dumasa *Władca wilków*. Pierwsze wydanie we Francji — rok 1857.

- A zatem to prawda! - wyszeptał. Wstał, by z bliska spojrzeć na zbiorowy portret na tle dżungli. Laura dołączyła do niego.

Baron był jedynym siwowłosym mężczyzną w całym towarzystwie. Był wyraźnie starszy, miał grubo ciosane, ale przyjazne oblicze oraz wyjątkowo wielkie, jasne i poczciwe oczy. Reynolds Wagner mógł być rudzielcem - trudno zgadnąć. Miał mniej więcej tyle samo lat co Felix i Margon, szczupłą twarz i drobne dłonie. Frank Vandover wydawał się młodszy od pozostałych. Czarne, kręcone włosy, ciemne oczy i bardzo jasna cera. Jego usta miały wyraźny kształt łuku Kupidyna.

Wyraz twarzy czcigodnych dżentelmenów łączył podświa-

domie z jakimś sławnym obrazem, ale nie umiał doprecyzować tego skojarzenia.

- A Tom Marrok? - przypomniała sobie Laura. - To z kolei odniesienie do postaci sir Martoka, wilkołaka z romansu rycerskiego *Śmierć Artura*, pióra sir Thomasa Malory'ego. To z kolei dzieło piętnastowieczne i zapewne też je czytałeś.

- To prawda - odpowiedział, wciąż spoglądając na fotografię.

- Fabuła tych utworów jest nieistotna - ciągnęła Laura. - Podobnie jak dary. Ważne jest to, że mamy tu nazwiska związane z literackimi postaciami wilkołaków. Albo mamy tu do czynienia z nazwiskami dowcipnie przybranymi przez członków tej kliky, albo są to czytelne sygnały dla innych osób, które mogą posiadać podobny dar.

- Sygnały - powtórzył Reuben. - Nikt nie zmienia nazwiska tylko po to, by stać się członkiem elitarnego klubu.

- Jak sądzisz, ile razy musieli zmieniać nazwiska? - spytała. - To znaczy: ile razy rodzili się na nowo pod nowymi nazwiskami? Dziś znowu pojawia się Felix Nideck, rzekomo nieślubne dziecko Feliksa Nidecka z tego zdjęcia. O ile wiem, ten dom, wybudowany mniej więcej w 1880 roku, również powstał z inicjatywy niejakiego Feliksa Nidecka.

Reuben zrobił w zamyśleniu kilka kroków, ale zaraz wrócił do kominka. Laura znowu usiadła, tuż przy szklanej zasłonie, z zeszytem w dłoni.

- Zdajesz sobie sprawę, co to może oznaczać? — spytała.

- To, że oni wszyscy są częścią tej historii, rzecz jasna. Mam dreszcze, wiesz? Właściwie nie jestem w stanie nawet... Nie wiem, co powiedzieć. Podejrzywałem to! Podejrzywałem niemal od początku, ale wydawało mi się, że to zbyt fantastyczna teoria.

- A moim zdaniem — odezwała się z powagą — oznacza to również, że te istoty się nie starzeją. I że ty nie będziesz

się starzał. Być może są nawet nieśmiertelne. I ty będziesz nieśmiertelny.

- Tego nie wiemy. Nie sposób przewidzieć... Ale jeśli to naprawdę Felix, to chyba faktycznie nie starzeje się tak jak zwykli ludzie.

Reuben pomyślał o kuli, która nie wyrządziła mu krzywdy, i o stłuczonym szkłe, które go nie zraniło. Żałował, że nie ma dość odwagi, żeby zweryfikować tę teorię, zadając sobie własnoręcznie ranę.

Oszalała go myśl o tym, że Felix Nideck może znać odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania.

- Zastanawiam się, dlaczego chce ze mną rozmawiać w obecności prawników — powiedział. — Myślisz, że chce mnie wywabić z domu tylko po to, żeby wykraść z niego to i owo?

- Nie sądzę — odpowiedziała. — Podejrzewam, że po prostu chce się z tobą spotkać twarzą w twarz.

- Więc dlaczego nie pojawi się tutaj?

- Chce się przekonać, kim jesteś, nie ujawniając własnej tożsamości. Tak przynajmniej uważam. Poza tym chce odzyskać gliniane tabliczki i dzienniki i być może coś jeszcze z rzeczy, które pozostawił w domu. Uczciwie przyznaje, że mu na nich zależy. To znaczy: do pewnego stopnia uczciwie.

- Właśnie.

- Możliwe, że jeszcze nie wie, co się tu wydarzyło. Nie wie na przykład, że Marrok nie żyje.

- W tym się kryje moja szansa, prawda? — spytał. — Pozna mnie, przekona się, kim jestem, zanim mu wyjaśnię, dlaczego musiałem zabić Marroka.

- Razem go zabiliśmy — przypomniała mu Laura. — Nie mieliśmy wyboru.

- Wezmę na siebie pełną odpowiedzialność. Zostaw to mnie. Ale czy to w ogóle będzie miało dla niego znaczenie, dlaczego to zrobiłem lub zrobiliśmy? Czy życzenia Marchent

w ogóle go obchodzą? Może i on będzie we mnie widział zakale rasy?

- Nie wiem, ale jak sam zauważyłeś, to twoja szansa. Znowu usiedli razem przy kominku. Spędzili tak dłuższy

czas. To było coś, co Reuben uwielbiał w Laurze: potrafiła milczeć z nim w nieskończoność. Sprawiała wrażenie pogrążonej w myślach. Podciągnawszy kolana pod brodę, otoczyła je ramionami, zapatrzona w ogień.

Czuł się przy niej tak swobodnie! Ale gdy tylko wracały myśli o tym, że mogłoby ją spotkać coś złego, ogarniała go wściekłość.

- Chciałbym, żebyś poszła ze mną na to spotkanie - powiedział. — Myślisz, że to ryzykowne?

- Myślę, że powinieneś być sam — odrzekła. — Nie wiem, dlaczego tak uważam. Pojadę z tobą, ale zaczekam w innym pokoju.

- Och, jasne, że pojedziesz. Nie zostawiłbym cię tu samej. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym dodał:

- Nie nadejdzie. - Naturalnie miał na myśli przemianę.

- Jesteś pewny?

- Wiem, że nie nadejdzie.

Nie czuł niepokoju. Nie pragnął transformacji.

Nie rozmawiali więcej na ten temat.

Wreszcie Laura postanowiła, że położy się wcześniej.

Reuben raz jeszcze otworzył list, by przyjrzeć się nieznanym znakom pisma. Sięgnął po zegarek leżący na kominku. Marrok.

O pierwszej w nocy obudził Laurę. Stał przy łóżku w szlafroku, z siekierą w dłoni.

- Reuben, na miłość boską! — wyszeptała.

- Trzymaj ją przy sobie — polecił. — Idę na dach.

- Przecież nie dasz rady.

- Spróbuję się zmusić do przemiany. Jeśli się uda, pójdę. Gdybyś mnie potrzebowała, po prostu zawołaj. Usłyszę cię. Obiecuję, że nie pobiegę do lasu. Nie zostawię cię tutaj.



Wyszedł z domu i stanął między dębami. Deszcz wyraźnie osłabł i przycichł, z trudem przebijał się przez korony drzew. Splecione gałęzie skutecznie blokowały poblask bijący od strony kuchennego okna.

Reuben uniósł ramiona i przeczesał palcami włosy.

- Przyjdź - szepnął. - Przyjdź.

Napreżył mięśnie brzucha i natychmiast poczuł głęboki skurcz, którego fala uderzeniowa rozeszła się po tułowiu i kończynach. Pozwolił szlafrokowi opaść na mokre liście. Zrzucił kapcie.

— Prędeej — szepnął. Doznania, które już znał, owładnęły jego ciałem; wielka siła promieniowała teraz od brzucha ku klatce piersiowej i lędzwiom.

Szarpnął za włosy, które właśnie zaczęły rosnać na jego głowie, i odgarnął je ku tyłowi. Potrząsnął głową, rozkoszując się ciężarem grzywy, ochronnym kapturem opadającym falami na ramiona. Czuł, jak rośnie, jak rozszerzają się i wydłużają jego ramiona i nogi. Dreszcze, które nim wstrząsały, były pomocne: działały jak masaż, czyniły go lekkim. Otoczenie stawało się coraz jaśniejsze.

Noc była już prawie przezroczysta. Cienie znikwały, a krople deszczu już w niczym nie przeszkadzały. Las zaczął śpiewać, jakby nawet najmniejsi jego mieszkańcy śpiewali Reubenowi na powitanie.

W oknie kuchni dostrzegł Laurę. Obserwowała go, stojąc na i le bardzo żółtego światła. Jej twarz była w cieniu, ale wyraźnie dostrzegał błyszczące białka jej oczu.

Pobiegł w stronę domu, ku miejscu, nad którym spotykały się dwie pochyłe połacie dachu. Bez wysiłku skoczył na mur i chwytając się wystających kamieni, wspinał się coraz wyżej, aż dotarł na szczyt. Zaczął iść wąską dolinką między dwiema łupkowymi płaszczyznami, w stronę wielkiego, szklanego dachu.

Teraz dopiero zauważył, że znajdował się on poniżej pokoi

na poddaszu, co oznaczało, że przestrzeń pod szkłem mieściła się wyłącznie na pierwszym piętrze.

W głębokich rynnach ułożonych wokół płaskiej części dachu zalegały liście. Szklane tafle lśniły jak czarna sadzawka w blasku lekko zasnutego mgłą księżyca.

Wszedł na czworaka na szklany dach, śliski od deszczówki. Tafle były bardzo grube, podparte od spodu stalowym żebrowaniem, ale ciemne wnętrze pod nimi pozostało niewidoczne. Szkło musiało być hartowane; nadano mu też ciemnawy odcień, być może przez laminowanie. Przy południowo-zachodnim narożniku Reuben odnalazł klapę, której zarys widzieli wcześniej na zdjęciu satelitarnym. Była zaskakująco duża, wzmocniona żelazną ramą i wpuszczona w połąć dachu tak, że nie różniła się wiele od pozostałych tafli. Nie znalazł żadnego uchwyty, zawiasu, mechanizmu, żadnego wgłębienia, o które mógłby zahaczyć pazury. Była zamknięta na głucho.

Z pewnością jakoś można było ją otworzyć — chyba że mylił się od samego początku. Nie, to niemożliwe, pomyślał. Wsunął łapę do głębokiej rynny i jak pies zaczął kopać wśród liści, ale i tam nie znalazł uchwyty, dźwigni ani klawisza, który mógłby nacisnąć.

A jeśli klapa otwiera się do wewnątrz? Jeśli potrzeba ciężaru i siły? Nacisnął ją lekko łapami. Naprawdę była spora, szeroka mniej więcej na trzy stopy.

Wyprostował się i stanął na południowej części klapy. Po chwili ugiął nogi, odbił się z całej siły i skoczył.

Otworzyła się pod jego ciężarem. Zauważył tylko, że zawiasy ma za plecami, a potem runął w ciemność. Zdażył wyciągnąć łapy i chwycić się krawędzi otworu. Zawisł, czując w nozdrzach mieszaninę zapachów drewna, kurzu, starych książek oraz pleśni.

Nie znalazłszy oparcia dla stóp, rozejrzał się i dostrzegł w mroku zarys ogromnego pomieszczenia. Przez chwilę bał

się, że utknie w nim na zawsze, ale ciekawość była silniejsza niż lęk. Skoro zdołał tu wejść, zdoła też wyjść. Opadł na podłogę okrytą dywanem, a kłapa skrzypnęła i zamknęła się, przesłaniając nocne niebo.

Nie doświadczył jeszcze tak głębokiej ciemności. Barwione szkło sprawiło, że blady księżyc stał się ledwie widoczną plamą.

Wymacał przed sobą ścianę pokrytą tynkiem oraz drzwi obite boazerią. Odnalazł gałkę i przekręcił ją, choć tak naprawdę jedynie słyszał ją i czuł, bo pozostała niewidoczna. Otworzył drzwi na prawo.

Wolniutko przestąpił próg, ale i tak omal nie stoczył się po wąskich, stromych schodach. A zatem mylili się, sądząc, że wejście do tego sanktuarium znajduje się na piętrze. Zszedł na dół prędko i bez kłopotu, wodząc łapami po ścianach. Był na parterze.

Znowu miał przed sobą drzwi. Otworzyły się do środka, odsłaniając pomieszczenie, które natychmiast rozpoznał po bukiecie zapachów: obrusy, pasta do polerowania srebra, świece. To był jeden ze schowków między jadalnią a wielkim salonem. Otworzył kolejne drzwi i znalazł się na łukowato sklepionym korytarzu łączącym te dwa pokoje.

Laura przysła do niego od strony kuchni, przez schowek lokaja i ciemną jadalnię.

- Więc to jest to przejście - stwierdziła ze zdziwieniem.

- Potrzebna nam będzie latarka - odpowiedział. - Nawet ja sobie bez niej nie poradzę. Naprawdę ciemno tam.

Laura weszła do ciasnej komórki.

- Spójrz, tu jest włącznik - powiedziała, zaglądając do wąskiej klatki schodowej. Zapaliła światło - małą, samotną żarówkę u samego szczytu schodów.

- Ach tak - mruknął. Czy ukryte pomieszczenie miało też ogrzewanie i instalację elektryczną? Kiedy po raz ostatni ktoś wymienił tę żarówkę?

Ruszył pierwszy na górę, ku drzwiom w pobliżu kłapy. Uchyliwszy je, wpuścili odrobinę światła do sali. Wszędzie wisiały półki pełne zakutanych i obwieszonych pajęczynami książek, ale to nie była biblioteka.

Pośrodku sali stały stoły, a na większości z nich - sprzęt laboratoryjny. Były tam kolby, palniki bunsenowskie, rzędy probówek, niewielkie pojemniki, stosiki szklanych płytek, butelki i słoje. Jeden z długich stołów okryto szarawym, surowym płótnem. Wszędzie zalegała gruba warstwa kurzu.

Znaleźli kolejny włącznik i po chwili pod belkami szklanego stropu, wzdłuż całej zachodniej części sali rozjarzyły się żarówki. Kiedyś było ich znacznie więcej, ale teraz w wielu miejscach wisiały jedynie puste oprawki.

Laura zaczęła kaszleć - ten sam kurz, który ją dusił, tworzył szarą powłokę na kolbach, palnikach i wszystkich innych przedmiotach w zasięgu wzroku, nawet na pojedynczych kartkach leżących tu i ówdzie między przyrządami, a także na porzuconych ołówkach i piórach.

- Mikroskopy - powiedział Reuben. - Prymitywne, co do jednego. Zabytkowe - mówił, przechadzając się między stołami. - Stary sprzęt, nawet bardzo stary. Od dziesięcioleci nie spotyka się takiego w laboratoriach.

Laura wskazała na daleki, słabo oświetlony kraniec sali. Stało tam kilka wielkich, prostopadłościennych klatek. Stare i pordzewiałe, mogły niegdyś służyć do transportu naczelnych. Pod wschodnią ścianą było ich jeszcze więcej, w różnych rozmiarach.

Spoglądając na nie, Reuben wzdrygnął się odruchowo. Klatki dla Morphenkindów? Dla bestii? Ruszył niespiesznie w ich stronę. Szarpnął drzwi jednej z nich - otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Stare kłódki wiszące na łańcuchach także trawiła rdza. W tej klatce zmieściłby się może nieco mniejszy Morphenkind, ale nie on. A może jednak?

- Wszystko to musi tu stać od dobrych stu lat - powiedział.

- Możliwe, że to jedyna dobra wiadomość - odparła Laura. - Cokolwiek się tu działo, zakończyło się dawno temu.

- Ale dlaczego porzucili to laboratorium? - spytał Reuben. — Co sprawiło, że nagle zostawili to wszystko?

Powiódł wzrokiem po półkach z książkami na północnej ścianie. Podeszedł bliżej.

- Czasopisma medyczne - obwieścił. - Wszystkie z dziewiętnastego wieku. Nie, są też z lat 1908-1910, jest 1915. Nowszych nie ma.

- A jednak ktoś tu był - powiedziała Laura. - Od drzwi prowadzi więcej niż jeden ciąg śladów. Widzę tropy biegnące we wszystkich kierunkach.

- Zdaje się, że pozostawiła je jedna osoba. Są drobne. Mały, miękki but bez obcasa. Mokasyn. To był Marrok. Przychodził i wychodził, ale tylko on.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem, przeczuwam. Myślę, że dostał się tu przez klapę w dachu, jak ja, a potem podeszedł tam, do biurka. - Reuben wskazał na północno-zachodni kąt sali. - Spójrz na to krzesło. Ktoś je odkurzył. Widzę też parę książek.

- To chyba jedyne w miarę świeże przedmioty w tym laboratorium.

Reuben przyjrzał im się z bliska. Powieści kryminalne, klasyki: Raymond Chandler, Dashiell Hammett, James M. Cain.

- Musiał tu mieszkać od czasu do czasu - stwierdził.

Na podłodze na prawo od krzesła stała w cieniu do połowy opróżniona butelka wina. Typowego, kalifornijskiego, całkiem przyzwoitego — tyle że w zakręcanej butelce.

Na wysoko zawieszonej półce obok biurka znalazło się miejsce dla oprawionych w skórę woluminów, których roczniki wypisano wyblakłym złotem na grzbietach. Reuben powoli wysunął i otworzył księgę z roku 1912. Gruby, trwały papier

przypominający pergamin był w świetnym stanie. Stronice pokryte były zapiskami w tajemnym języku Feliksa. Niekończącymi się rzędami falistych linii.

- Sądzisz, że właśnie na nich najbardziej mu zależy?

- Wszystko tu jest takie stare - odpowiedziała Laura. - Kto wie, jakie jeszcze kryją się tu sekrety? A może Felix po prostu chce odzyskać swoją własność? Albo własność innej osoby znającej ten język?

Laura wskazała na długi stół okryty płótnem. Reuben zauważył tropy na zakurzonej podłodze: łączyły stół z wyjściem z laboratorium. Wiedział, co tam znajdzie. Ostrożnie odchylił płótno.

- Tabliczki - szepnął. - Gliniane tabliczki ze starożytnej Mezopotamii. Marrok zebrał je z całego domu i przyniósł tutaj. - Ostrożnie odsunął większy płat surowego materiału, odsłaniając równo ułożone odłamki tabliczek. — Zachował wszystko - zawołał. - Zapewne zgodnie z życzeniem Feliksa. - Obok spoczywały dzienniki, kilkanaście brulionów podobnych do tego, który Reuben widział pierwszego dnia na biurku Feliksa. Leżały w równych stosikach po cztery sztuki. — Spójrz, jak starannie je ułożył.

A jeśli tajemnica transformacji ma swoje źródło gdzieś w starożytnych miastach Uruk i Mari? Dlaczego nie? „Krzyż-mo. Od niepamiętnych czasów używamy tej nazwy. Dar, moc - istnieje setka równie starych słów, których można by użyć, tylko po co?”

Laura wędrowała już wzdłuż północnej i wschodniej ściany, przyglądając się księgozbiorowi zgromadzonemu na półkach. Wreszcie stanęła przed niepozornymi drzwiami z ciemnymi śladami zacieków.

Zaczekała na Reubena, by je otworzył. Przekreślił starą, mosiężną gałkę. Uchyliły się bez trudu, odsłaniając kolejne, zamknięte na zasuwkę. Te otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

Znaleźli się w jednej z wewnętrznych łazienek północnego korytarza. Drzwi były przemyślnie ukryte pod wielkim, prostokątnym lustrem w złoconej ramie.

- Powiniennem był się domyślić - powiedział Reuben. Był pewny, że odnajdą także przejście do któregoś z pomieszczeń południowo-zachodniego narożnika budynku. To tam sypiał przecież pierwszy Felix Nideck wkrótce po ukończeniu budowy rezydencji.

I znaleźli je. Kolejne drzwi skrywały przejście do schowka na bieliznę i były zablokowane rzędem półek. Zdemontowanie ich nie stanowiło jednak problemu i wkrótce stanęli na południowo-zachodnim krańcu południowego korytarza, przed wejściem do głównej sypialni.

Przy okazji dokonali kilku pomniejszych odkryć. Znaleźli na przykład ciężką, stalową linkę zwisającą z klapy w szklanym suficie - wyszarczyło ją pociągnąć, by otworzyć klapę od wewnątrz. W większości lamp w wielkiej sali brakowało żarówek. W niektóre stoły wmontowano niewielkie zlewy, połączone rurkami i kolankami z domową kanalizacją. Do palników biegły z kolei pod stołami rurki z gazem. Całe laboratorium było - jak na czasy, kiedy powstało - całkiem niezłe wyposażone.

Wkrótce odkryli też, że wejścia znajdują się również w pozostałych narożnikach sali: jedno prowadziło do kolejnej łazienki i było ukryte za lustrem, w podobny sposób jak to, które znaleźli wcześniej. Za drzwiami w północno-wschodnim narożniku znajdowało się przejście do szafy.

- Domyślam się, co się tu mogło dziać - powiedział Reuben. - Ktoś rozpoczął eksperymenty, których celem było poznanie natury transformacji i zasady działania krzyżma, skoro tak to nazywają. Jeśli Morphenkindowie rzeczywiście są tak długowieczni - naprawdę długowieczni - to pomyśl tylko, ile musiała znaczyć dla nich dzisiejsza nauka, po tysiącach lat alchemii. Zapewne spodziewali się odkrycia niesamowitych rzeczy.

- Ale dlaczego zaprzestali eksperymentów?

- Z tysiąca powodów. Może przenieśli laboratorium w inne miejsce? W takim domu nie da się przeprowadzić wszystkich eksperymentów naukowych. Może poszukiwali jeszcze bardziej dyskretnego miejsca? A może przekonali się, że nie są w stanie dokonać odkryć, na które liczyli.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytała Laura. - Na pewno do czegoś doszli, ba, jestem pewna, że dokonali wielu odkryć.

- Naprawdę? A ja sądzę, że próbki, które pobierali ze swoich ciał, ulegały rozpadowi, zanim zdążyli porządnie je przebadać. Może właśnie dlatego zniechęcili się do tego przedsięwzięcia?

- Ja bym się tak łatwo nie poddała - nie ustępowała Laura. - Szukałabym nowych środków konserwujących, skuteczniejszych technik. Badałabym tkanki, póki nie zaczęłyby znikać. Przypuszczam raczej, że po prostu przenieśli w inne miejsce swoją siedzibę. Pamiętasz, jak sttażnik tego domu mówił o plutipotencjalnych komórkach prekursorowych? To dość fachowa i całkiem współczesna nazwa. Większość ludzi nie posługuje się taką terminologią.

- Skoro tak, to Felix będzie chciał przede wszystkim odzyskać zapiski z badań, może rzeczy osobiste i pewnie te tabliczki - cokolwiek na nich spisano.

- Opowiedz mi o nich - poprosiła. - Czym właściwie są? - dodała, podchodząc do na wpół zakrytego stołu. Bała się dotknąć nawet drobnych odprysków gliny; wydawały się tak kruche, jak wyschnięte ciasto.

Reuben też nie zamierzał ich dotykać, ale żałował, że nie ma pod ręką naprawdę silnej lampy, żeby przyjrzeć im się z bliska. Żałował też, że nie rozumie nawet porządku, w jakim Marrok je poukładał. Czy na półkach w pokojach Feliksa także spoczywały w określonym ordynku? Nie pamiętał, by tak było.

- To zabytki pisma klinowego - powiedział. - Jedne z najstarszych. Mogę ci pokazać przykłady w książkach albo w In-



terniecie. Przymuszczałnie zostały wykopane w Iraku, w najstarszych miastach tego świata.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że są takie malutkie - przyznała Laura. - Wyobrażałam sobie, że są spore, jak kartki naszych książek.

- Chciałbym już stąd wyjść - rzekł nagle Reuben. - Zaczynam się dusić w tym ponurym miejscu.

- Myślę, że teraz i tak nic tu nie zdziałamy. Ale dowiedzieliśmy się czegoś ważnego, nieprawdaż? Gdybyśmy jeszcze mieli pewność, że wyłącznie Marrok bywał w tym laboratorium...

- Ja nie mam wątpliwości - oświadczył Reuben. Ruszył w stronę wyjścia.

Wyłączyli światło i zeszli po schodach na parter.

W ciemnej bibliotece na nowo rozpalili ogień. Laura usiadła blisko kominka, skulona, by jak najszybciej się ogrzać. Reuben spoczął nieco dalej, oparty plecami o biurko, bo nie czuł chłodu.

Dobrze się czuł w wilczym ciele. Tak dobrze, jak dawniej czuł się w ludzkiej postaci. Słyszał świergot i śpiew ptaków w dębowym lasku, słyszał drapieżniki buszujące w głębokim poszyciu. Nie czuł jednak potrzeby dołączania do tych stworzeń ani do ich dzikiego królestwa, nie czuł potrzeby zabijania i ucztowania.

Rozmawiali niewiele, spekulując głównie o tym, że skoro Reuben posiadał przedmioty, na których zależało Feliksowi, a Felix dał się poznać wszystkim jako dżentelmen, to raczej nie należało się spodziewać, że wśliźnie się chyłkiem do rezydencji, żeby ukraść to, czego tak potrzebuje.

- Propozycja spotkania oznacza, że przybywa w dobrych zamiarach - stwierdziła Laura. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Gdyby chciał okraść własny dom, zrobiłby to już dawno. A gdyby chciał nas zabić - mógłby to uczynić w dowolnym momencie.

- Może i tak - zgodził się Reuben. - Chyba że pokonałbym go tak, jak pokonałem Marroka - dodał.

- Pokonać jednego z nich, a pokonać wszystkich - to dwie zupełnie inne sprawy, nie sądzisz?

- Nie wiemy, czy przybyli tu w komplecie. Mało tego, nie wiemy nawet, czy wszyscy jeszcze żyją.

- List - przypomniała sobie Laura. - Ten list do Marroka. Pamiętaj, żeby zabrać go ze sobą.

Skinął głową. Jasne, że musi zabrać ze sobą list, a także zegarek Marroka. Tylko nie wolno mu ćwiczyć teraz przemowy, którą chciałby wygłosić podczas spotkania. Wszystko będzie zależało od Feliksa. Od tego, co powie i co zrobi.

Im dłużej Reuben o tym myślał, tym bardziej się niecierpliwił i tym większe nadzieje pokładał w czekającej go rozmowie. Spoglądał też w przyszłość coraz śmieiej, a nawet odrobinę cieszył się, że dojdzie do spotkania.

Czuł, że choć noc dobiega końca, narasta w nim pożądanie. Nie pragnął jednak dzikości lasu, ale tej, którą mógł znaleźć w tym pokoju. Podszedł wreszcie do Laury i pocałował ją najpierw w tył głowy, a potem w kark i w ramiona. Otoczył ją ramionami i poczuł, jak topnieje jej ciało.

- I znowu będziesz się ze mną kochał jako dziki człowiek z puszczy - powiedziała z uśmiechem, błyskając oczami w blasku ognia. Ucałował jej policzki, zaokrąglone w uśmiechu. - Czy kiedykolwiek przyjdzie do mnie ten gładkolicy Reuben Golding, Słoneczny Chłopiec, Chłopczyk, Mały Chłopiec, zwany też Cudownym Chłopcem?

- Hmm, a dlaczego miałabyś go pragnąć, skoro masz mnie?

- Oto moja odpowiedź - odrzekła, rozchylając wargi dla jego pocałunków, języka i wilczych zębów.

Gdy skończyli, zaniósł ją na piętro, do sypialni, bo lubił to robić, i delikatnie ułożył na łóżku.

Stanął przy oknie, bo uznał za stosowne nie pokazywać jej

twarży w chwili, gdy spina się i przemawia do swojej mocy, a potem wolno nabiera powietrza, jakby pił wodę z czystego stumienia. Przemiana zaczęła się natychmiast.

Poczuł pieszczotliwy dotyk tysiąca palców w kurczącej się grzywie, na twarzy i na ramionach. Uniósł łapy i patrzył na nie w bladej poświacie nocnego nieba. Zmieniały się. Pazury kurczyły się, znikwały, a miękkie poduszki na powrót przyjmowały kształt dłoni.

Poruszył palcami rąk i nóg. Świat pociemniał nieco. Pieśni lasu ucichły, zmieniając się w słodki, ledwie słyszalny szept.

Był dumny z siebie. Moc, którą posiadał, zaczynała mu służyć. Była posłuszna jego rozkazom. Ale jak często mógł wywoływać metamorfozę? Czy pod wpływem jakichś bodźców mogła nastąpić spontanicznie? Czy mogła nie nastąpić w ogóle, choćby najbatdziej jej potrzebował, w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa? I jak miał to sprawdzić?

Nazajutrz miał stanąć przed człowiekiem, który znał odpowiedzi na te pytania — i na wiele innych. Ale czego powinien się spodziewać po tym spotkaniu? Czego chciał od niego Felix Nideck?

I co mógł ofiarować Reubenowi Goldingowi?

Kancelaria Simona Olivera mieściła się przy California Street, na szóstym piętrze budynku z oszałamiającym widokiem na sąsiednie biurowce i na błękitne wody Zatoki San Francisco.

Reuben, ubrany w biały, kaszmirowy golf oraz ulubioną, dwurzędową marynarkę marki Brooks Brothers, został zaproszony do sali konferencyjnej, w której wkrótce miał się spotkać z nieślubnym synem Feliksa.

Było to pomieszczenie urządzone w podobnym stylu jak pozostałe pokoje kancelarii Simona. Stał tu mahoniowy stół w kształcie mocno wydłużonego owalu z kompletem solidnych i ozdobnych krzeseł w stylu Chippendale. Reuben i Simon zasiedli przy dłuższym boku stołu, naprzeciwko wielkiego, nieciekawego, ale za to wielobarwnego, abstrakcyjnego malowidła, z całą pewnością niebędącego dziełem sztuki, a jedynie wątpliwą ozdobą ściany.

Lauta czekała obok, w przytulnie urządzonym pokoju, z filiżanką kawy, porannymi gazetami i telewizorem nastawionym na kanał informacyjny.

Simon, rzecz jasna, ani na chwilę nie przestawał zasypywać Reubena cennymi poradami. Uprzedzał, że Felix Nideck junior może wiązać z tym spotkaniem nadzieję na spore zyski, bo w dowolnym momencie może przedstawić wyniki badań DNA, które dowiodą, że jest tym, za kogo się podaje, a następnie przypuścić prawną ofensywę celem przejęcia schedy po ojcu.

— Muszę przyznać — dodał Oliver — że nigdy nie podobali

mi się długowłosi mężczyźni, ale tobie, Reuben, nawet do twarzy z tą fryzurą. Taka szopa to jakiś nowy, rustykalny styl? Pewnie panienki szaleją.

Reuben parsknął śmiechem.

- Nie wiem. Po prostu przestałem się strzyc - odpowiedział. Wiedział, że włosy ma umyte, uczesane i lśniące, zatem nikt nie powinien mieć nic przeciwko nowej fryzurze. Nie obchodziło go jednak, dokąd sięgają. Myślał właściwie tylko o tym, żeby spotkanie wreszcie się zaczęło.

Miał wrażenie, że spędził już całą wieczność na słuchaniu coraz to bardziej paranoicznych spekulacji Simona, gdy wreszcie do sali wszedł Arthur Hammermill i oświadczył, że Felix zajrzał jeszcze tylko do łazienki i za chwilę się pojawi.

Hammermill był mniej więcej w wieku Simona Olivera; mógł mieć siedemdziesiąt pięć lat. Obaj byli siwowłosi i obaj nosili szare garnitury. Ten pierwszy był odrobinę przy kości i miał krzaczaste brwi; drugi, zdecydowanie szczuplejszy, zaczynał łysieć.

Hammermill podziękował Reubenowi i serdecznie uścisnął jego dłoń.

- To bardzo miłe z pańskiej strony, że zgodził się pan na to spotkanie - powiedział, bardzo starannie dobierając słowa. Usiadł vis-à-vis Simona, pozostawiając wolne miejsce dla tajemniczego potencjalnego dziedzica fortuny dokładnie naprzeciwko Reubena.

Reuben spytał, czy podobał im się *Don Giovanni*, jedna z jego ulubionych oper. Wspomniał też o filmowej wersji Josepha Loseya, do której powracał wielokrotnie. Arthur zareagował na to entuzjastycznie, a potem niepytany wyjawiał, że niezwykle przyjemnie spędził czas w towarzystwie Feliksa i że ze smutkiem pożegna go tego wieczoru, przed jego odlotem do Lu ropy. Wypowiadając ostatnie słowa, spoglądał znacząco na Simona, który przypatrywał mu się z kamienną twarzą i nie brał udziału w rozmowie.

Wreszcie otworzyły się drzwi i do sali konferencyjnej wszedł Felix Nideck.

Jeśli Reuben miał w sercu choćby cień wątpliwości, czy naprawdę spotka stryja Marchent — a nie jego nieślubnego syna — to teraz się ich wyzbył. Miał przed sobą tę samą imponującą postać, którą znał z fotografii na ścianie biblioteki, przedstawiającej uśmiechniętego mężczyznę w otoczeniu przyjaciół, na tle tropikalnej dżungli; tego samego przyjaznego mentora rodziny, który spoglądał na niego z portretu nad biurkiem Marchent.

Felix Nideck we własnej osobie nie wyglądał na choćby odrobinę starszego niż dwadzieścia lat wcześniej. Syn nie mógłby być tak ładząco podobny sylwetką i rysami twarzy do ojca. Poza tym roztaczał wokół siebie osobliwą aurę autorytetu oraz subtelnej siły życiowej, która wyróżniała go spośród obecnych.

Reuben był wstrząśnięty. Pomodlił się w duchu, nie poruszając ustami.

Mężczyzna był rosły, dobrze zbudowany, miał niemal złocistą, opaloną cerę oraz krótkie, lekko falujące włosy w odcieniu brązu. Był niemal zbyt elegancko ubrany na tę okazję, w doskonale dopasowany, brązowy garnitur, karmelową koszulę oraz złoto-brązowy krawat. Ale prawdziwym szokiem dla Reubena była życzliwość bijąca z jego twarzy oraz swobodne zachowanie. Felix uśmiechnął się na jego widok, błyskając figlarnie orzechowymi oczami, i wyciągnął rękę na powitanie. Jego twarz była naturalnie plastyczna. Był uosobieniem przychylności i uprzejmości.

Usiadł, rzecz jasna, naprzeciwko Reubena. Byli mniej więcej tego samego wzrostu. Spojrzeli sobie w oczy, po czym Felix skłonił się lekko i rzekł.

— To dla mnie ogromna przyjemność. — Miał głęboki, ciepły i dźwięczny głos. Trudno było wychwycić w nim jakiś konkretny akcent. — Pozwoli pan, że mu podziękuję. Jestem

świadam, że nie musiał się pan zgodzić na to spotkanie. Jestem pod wrażeniem pańskiej uprzejmości. Dziękuję, że pan przyszedł. — Zwracając się do Reubena, swobodnie gestykulował kształtnymi dłońmi. W spince do jego krawata połyskiwał zielony klejnot, a z kieszeni na piersi marynarki wystawał rąbek prążkowanej, jedwabnej chusteczki w kolorze krawata.

Reuben słuchał go zafascynowany, ale i ostrożny. Przede wszystkim jednak był tak podniecony, że bicie własnego serca czuł nieomal w gardle. Jeśli nie zdoła wyrzucić na tym człowieku pozytywnego wrażenia... Nie umiał nawet myśleć o porażce. W tej chwili wiedział jedynie, że każda minuta spędzona w towarzystwie Feliksa Nidecka będzie miała ogromne znaczenie.

Felix tymczasem usadowił się nieco wygodniej na krześle, nie przestając mówić. Poruszał się równie swobodnie, jak przemawiał - był raczej rozluźniony, niż skupiony.

- Wiem doskonale, że moja kuzynka Marchent bardzo pana polubiła. Pan zaś wie, jak bliska była sercu mojego ojca — przekazał jej cały swój majątek.

— Ale pan nie miał okazji poznać Marchent, nieprawdaż? — spytał Reuben cokolwiek drżącym głosem. Co to miało być? Na pewno niezbyt dobry początek. — To znaczy: nigdy się nie spotkaliście.

— Ojciec pottał tak barwnie o niej opowiadać — odparł bez namysłu Felix. - Jestem pewny, że nasi prawnicy już panu wyjaśnili, że nawet nie dopuszczam myśli o tym, by choćby spróbować przejąć dom i ziemię, którą podarowała panu Marchent?

- Istotnie, wyjaśnili - odpowiedział Reuben. - To dobra wiadomość. Ja zaś chętnie porozmawiam o tym, czego pan ode mnie oczekuje.

Uśmiech Feliksa był olśniewający, a ciepłe spojrzenie bystrych oczu dawało nadzieję, że akceptuje postawę rozmówcy, choć to przypuszczenie Reuben traktował na razie z rezerwą.

Od czego powinien zacząć? I jak przejść do rzeczy?

- Krótko znałem Marchent - powiedział - ale mam wrażenie, że zdążyłem ją dobtze poznać. Była wyjątkową osobą... -Urwał, by przełknąć ślinę. - Z faktem, że nie zdołałem jej obronić...

- Spokojnie, Reuben - wtrącił Simon.

- ...z faktem, że nie zdołałem jej obronić - powtórzył Reuben - będę musiał jakoś żyć aż do ostatniej godziny.

Mężczyzna skinął głową. Spoglądał na Reubena niemal z czułością, a po chwili odezwał się cicho:

- Piękny z pana młodzieniec.

Reuben drgnął mimowolnie. Jeżeli ten człowiek skrycie planuje mnie zabić, to chyba jest diabłem wcielonym.

- Proszę mi wybaczyć — zmitygował się Felix, najwyraźniej szczerze zatroskany. - Zachowuję się trochę jak starszy pan, wygłaszając takie uwagi. Przepraszam. Być może nie jestem aż tak wiekowy, ale są takie chwile, kiedy czuję się znacznie starszy, niż na to wskazuje moja metryka. Chciałem tylko powiedzieć, że prezentuje się pan korzystniej niż na fotografiach. Tam jest pan po prostu przystojnym, pełnym rezerwy mężczyzną, w naturze zaś znacznie pan zyskuje - ciągnął z prostolinijnym uśmiechem. - Teraz dopiero dostrzegam w panu twórcę artykułów, które znam z „Observera”. Lirycznego, ale i konkretnego, że się tak wyrażę.

Prawnicy przysłuchiwali się rozmowie, siedząc sztywno i z wyraźnym zakłopotaniem. Reuben był oczarowany i pełen nadziei, choć nadal ostrożny. „Czy to oznacza, że mnie nie zabijesz?”, miał ochotę zapytać. Czy może raczej będziesz koił moje lęki tą gładką mową, aż nagle spróbujesz potraktować mnie tak jak Marrok?

Po drugiej stronie stołu zasiadał jednak Felix, nie Marrok. Weź się w garść, upomniał się w duchu Reuben.

- Wiem, że chciałby pan odzyskać pamiętki po ojcu



rzekł, skupiając się mocno na tym, by się nie zająknąć. — Chodzi o jego dzienniki? I być może tabliczki, starożytne tabliczki z pismem klinowym...

- Reuben - wtrącił natychmiast Simon, unosząc dłoń. -Nie wchodźmy w szczegóły. O majątku ruchomym zmarłego porozmawiamy wtedy, gdy pan Nideck zechce nam nieco sprecyzować swoje zamiary.

- Starożytne tabliczki? - wymamrotał Arthur Hammermill, nerwowo wiercąc się na krześle. — Jakie znowu starożytne tabliczki? Pierwszy raz o nich słyszę.

- Rzeczywiście, mój ojciec był kolekcjonerem glinianych tabliczek z pismem klinowym; poszukiwał ich przez lata na Bliskim Wschodzie — wyjaśnił mężczyzna. — I faktycznie muszę przyznać, że bardzo mi na nich zależy, podobnie jak na dziennikach. Dzienniki są dla mnie szczególnie ważne.

- Zatem potrafi pan odczytać sekretne pismo ojca? — spytał Reuben.

Jego rozmówca drgnął nieznacznie.

- W domu pełno jest zapisków tego typu - dorzucił Reuben.

- Owszem, potrafię odczytać to pismo — odpowiedział mężczyzna.

Reuben wyjął z kieszeni list do Marroka i przesunął go po stole w jego kierunku.

- A może to pan napisał ten list? - spytał. - Mam wrażenie, że to także sekretne pismo pańskiego ojca.

Mężczyzna spojrział na kopertę z powagą, ale nie chłodno. Był zaskoczony. Wziął list do ręki.

- Skąd pan go ma, jeśli wolno spytać?

- Jeśli pan go napisał, należy do pana.

- Wolalbym jednak wiedzieć, skąd się wziął u pana - powtórzył Felix z pokorą. - Byłbym panu niezmiernie wdzięczny za tę informację.

- Zostawiono go w Zajeździe, w miasteczku Nideck. Miał

go odebrać człowiek, który uważał się za stróża rezydencji i zgromadzonej w nim kolekcji - wyjaśnił Reuben. - Dość nieprzyjemny jego sposób. Nawiasem mówiąc, nie odebrał listu. Wziąłem go więc, kiedy ów mężczyzna zniknął.

- Zniknął?

- Tak, zniknął bez śladu.

Felix milczał przez krótką chwilę.

- Pan się z nim spotkał? - spytał. Wciąż spoglądał na Reubena łagodnie, sondująco, a przemawiał uprzejmie i ciepło.

- O, tak — odparł Reuben. — I nie było to łatwe spotkanie. — Zaczyna się, pomyślał. Teraz kawa na ławę. Trzeba stanąć nad przepaścią. - Powiedziałbym nawet, że bardzo trudne, i dla mnie, i dla mojej towarzyski - przyjaciółki, z którą dzielę dom. Ktoś mógłby nawet stwierdzić, że spotkanie to skończyło się katastrofą. Na szczęście - nie dla nas.

Mężczyzna ważył jego słowa bardzo starannie, a wyraz jego twarzy zmienił się nieznacznie. Tego się nie spodziewał.

- Reuben, myślę, że powinniśmy powrócić do tematu tego spotkania — zasugerował Simon. — Zawsze możecie spotkać się ponownie, porozmawiać o innych sprawach, jeśli tylko zgodzimy się, że...

- Katastrofą - powtórzył mężczyzna, kompletnie ignorując Simona. Teraz wyglądał już na mocno zmartwionego. — Przykro mi to słyszeć — dodał. Pokota, życzliwość, troska.

- Powiedzmy, że ów człowiek — Marrok — był mocno przeciwny mojej obecności w domu, a także mojej bliskiej znajomości z Marchent Nideck; czuł się urażony także innymi sprawami. - „Sprawami”. To takie słabe słowo. Dlaczego nie wybrał innego? Spojrzał na Feliksa, szukając w jego oczach zrozumienia. - Prawdę mówiąc, bardzo się rozgniewał tym, w jaki sposób potoczyły się wydarzenia. Zarzucał mi niezdarność. Był głęboko zirytowany. Ale, jak mówiłem, odszedł. Zniknął i pewnie już nigdy nie odbierze tego listu.

Simon chrząknął już kilkakrotnie i właśnie miał zamiar coś powiedzieć, ale Reuben gestem poprosił o cierpliwość.

Mężczyzna przypatrywał się Reubenowi bez słowa. Był głęboko poruszony.

- Pomyślałem, że może to pan jest autorem listu - dodał Reuben. — I być może ów człowiek przyszedł do mnie z pańskiego polecenia.

- Może powinienem rzucić okiem na to pismo... - zaczął Simon.

Mężczyzna bardzo powolnym ruchem wyjął list i powiódł palcem po rozerwanej krawędzi koperty.

- Tak - powiedział. - To ja napisałem ten list. Nie mam jednak pojęcia, jakim sposobem mógł doprowadzić do tak nieprzyjemnego spotkania. Nie takie były moje zamiary. Przekaz był prosty. Nie pisałem do Marroka od lat, a teraz powiadomiłem go jedynie, że słyszałem o śmierci Marchent i wkrótce przyjadę.

Mówił z takim przekonaniem, tak sugestywnie, że Reuben nie wątpił w jego słowa. Mimo to nadal czuł wyraźne przyspieszone pulsowanie w uszach i dłoniach.

- Jeśli chodzi o tego człowieka... — zaczął Arthur.

- Proszę - przerwał mu Reuben, nieodmiennie spoglądając na Nidecka. - Cóż mogłem myśleć, jeśli przyjąłem logiczne założenie, że pisał pan do niego i wcześniej, a jego dezaprobata mogła być echem pańskiej dezaprobaty? Czy mogłem wątpić, że pojawił się w domu na pańskie życzenie?

- Rozumiem - powiedział cicho mężczyzna. Na moment zmatszczył brwi, ale zaraz się rozluźnił. - Zapewniam - rzekł - że cokolwiek się stało, Marrok nie reprezentował moich interesów.

- Co za ulga - odpowiedział Reuben. Poczul, że drży odrobinę i zaczyna się pocić. - Rzecz w tym, że pan Marrok był zupełnie głuchy na nasze argumenty. Rzekłbym, stracił głowę.

Felix przyjął te słowa w milczeniu.

Simon bardzo mocno ścisnął prawy nadgarstek swego klienra, ale ten nawet tego nie zauważył.

Nie wiem, pomyślał Reuben, czy mógłbym to wyłożyć jeszcze jaśniej.

— I powiada pan, że zniknął? — upewnił się mężczyzna.

— Bez śladu, jak to się mówi — przytaknął Reuben. — Przepadł — dodał, unosząc ręce, jakby chciał narysować w powietrzu ulatujący dym.

Doskonale wiedział, że dwaj prawnicy kompletnie nic z tego nie rozumieją, ale musiał być pewny, że przekaz dotrze do adresata. Nie miał wyboru.

Mężczyzna wydawał się równie spokojny i ufny jak na początku spotkania.

— Proszę zrozumieć, że odebrałem jego postawę jako atak — ciągnął Reuben. - Podobnie poczuła się kobieta, która mi towarzyszyła i którą bardzo kocham. To doprawdy niegodziwe, rzucać groźby pod jej adresem w moim domu. Zareagowałem tak, jak uważałem za stosowne. Nie miałem wyjścia.

Simon znowu próbował się wtrącić. Arthur Hammermill przysłuchiwał się rozmowie w kompletnym osłupieniu.

Tym razem to Felix Nideck uniósł dłoń, by zawczasu uciszyć Simona.

— Rozumiem — rzekł, spoglądając prosto w oczy Reubena. — I żałuję, bardzo żałuję, że sprawy przybrały tak nieoczekiwany obrót.

Reuben sięgnął nagle do kieszeni i wyjął z niej złoty zegarek. Położył go na blacie i przesunął w stronę mężczyzny.

— Zostawił to u nas — powiedział cicho.

Mężczyzna przez długą chwilę przypatrywał się zegarkowi, zanim sięgnął po niego i z namaszczeniem ujął dwiema rękami. Spojrzał na cyferblat, a potem na wygrawerowany napis. Westchnął. Po raz pierwszy wyglądał na przygnębionego, a może nawet nieco rozczarowanego.

- Doigrałeś się, knypku - powiedział cicho, spoglądając znowu na tarczę zegarka. - Twoja włóczęga dobiegła końca.

- Kto to jest knypek? - spytał Arrhur Hammermill. Frustracja i rozdrażnienie objawiały się na jego twarzy nadzwyczajną bladością.

- Kurdupel - wyjaśnił Reuben. - Dawniej nazywano tak kogoś drobnego, słabszego od innych.

W oczach mężczyzny pojawił się błysk aprobaty. Uśmiechnął się do Reubena, ale widać było, że obracając w dłoniach zegarek, nadal żegna się z jego właścicielem.

- Przepraszam - szepnął, chowając zegarek i list do kieszeni marynarki. - Proszę mi wybaczyć to ekscentryczne słownictwo. Znam zbyt wiele języków, zbyt wiele też czytam starych książek.

Prawnicy spojrzeli po sobie niepewnie.

- Możliwe, że komuś w moim położeniu łatwo jest niechcący urazić innych - Reuben brnął dalej, kładąc drżącą dłoń na kolanie. - Jakkolwiek by było, ofiarowano mi wspaniały dom. Wielką posiadłość i wielką odpowiedzialność. Poczuję się wyróżniony. Można by rzec - namaszczone krzyżmem... - Policzki piekły go niemiłosiernie.

Mężczyzna spojrział na niego z nowym zainteresowaniem. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Reuben miał wrażenie, że Felix chce coś powiedzieć, ale obaj wytrwali w milczeniu.

- A przecież nie zawsze życzymy sobie namaszczenia - rzekł po chwili Nideck.

- Krzyżmem? - wyszeptał zdezorientowany Simon. Arthur Hammermill skinął głową i mruknął coś niezrozumiale.

- Przeciwnie - podchwycił Reuben. - Choć z drugiej strony głupcem jest ten, kto nie docenia takiego daru.

Mężczyzna uśmiechnął się. Był to uśmiech smutny, choć świat zapewne nazwałby go filozoficznym.

- Uraziłem pana? - spytał Reuben. - To ostatnia rzecz, której bym sobie życzył - dodał szeptem.

- Ależ skąd - odparł mężczyzna. Mówił teraz ciszej i z uczuciem. - Młodzi są przecież jedyną nadzieją, którą mamy.

Reuben przełknął ślinę. Coraz trudniej było mu zapanować nad dżeniem całego ciała. Nad jego górną wargą lśniły kropelki potu. Balansował na granicy paniki i dzikiej radości.

- Nigdy wcześniej nie stawałem przed takim wyzwaniem - powiedział. - Pewnie doskonale pan to rozumie. Ale chcę stawić mu czoło. Nie brakuje mi woli i siły.

- Naturalnie - odrzekł mężczyzna. - Nazywamy to hartem ducha, czyż nie?

- Nareszcie porządne słowo, które rozumiem - wtrącił Simon, a Arthur Hammermill z zapalem pokiwał głową.

- Dziękuję panu. - Reuben poczuł, że się rumieni. - Myślę, że zakochałem się w tym domu. Wiem, że wcześniej pokochałem Matchent. Zauroczyła mnie też postać Feliksa Nidecka, sam koncept tego człowieka - odkrywcy, uczonego, może nauczyciela. - Umilkł na moment, a potem dodał: - Wspomniałem o dziennikach spisanych w tajemniczym języku, ale dom jest naprawdę pełen skarbów, choćby takich, jak te małe i kruche, gliniane tabliczki. Nawet nazwisko Nideck jawi mi się jako zagadka. Wie pan, że natknąłem się na nie, czytając stare opowiadanie? Jest zresztą więcej nazwisk związanych z tym domem, które uwieczniono w literaturze - Sperver, Gorlagon, nawet Marrok. To doprawdy romantyczna historia, nieprawdaż? Nazwiska nieodłącznie związane ze sztuką, tajemnicą, legendarnym dziedzictwem. Są jak obietnica wyprawy do świata, w którym każdego dnia rodzą się nowe pytania...

- Reuben, proszę cię! - wpadł mu w słowo Simon, tym razem podnosząc głos.

- Widzę, że mamy tu poetę - mruknął Arthur Hammermill, przewracając oczami. - Ojciec byłby z pana dumny.

Simon Oliver spojrział na niego nieprzyjaźnie. Tymczasem Felix Nideck uśmiechał się spokojnie, prawie czule. Zaciśnął usta i ledwo zauważalnie skłonił głowę.

- Jestem zauroczony tym spotkaniem - powiedział Reuben. — Wcześniej czułem się nieco przytłoczony, ale cieszę się niezmiernie, że w przeciwieństwie do pańskiego ponurego przyjaciela spogląda pan na sprawę znacznie przychylniejszym okiem.

- Myślę, że możemy już o nim zapomnieć - odparł szeptem Felix, być może także lekko zdziwiony przebiegiem spotkania.

- Wyobraziłem sobie, że Felix Nideck to krynica wiedzy, może nawet wiedzy tajemnej — ciągnął Reuben. — Wie pan, ktoś taki, kto zna odpowiedzi na niezliczone pytania, które mój ojciec nazywa kosmicznymi. Ktoś, kto potrafi rzucić światło nawet na najciemniejsze zakątki ludzkiej egzystencji.

Simon znowu poruszył się nerwowo, podobnie jak Arthur Hammermill. Reuben zignorował sygnały, które sobie dawali. A Felix Nideck w skupieniu spoglądał na niego wielkimi, współczującymi oczami.

- Domyślam się — dodał Reuben — że cudownie jest znać to sekretne pismo. Właśnie wczoraj odnalazłem całe księgi zapisane takimi znakami. Są bardzo state.

- Naprawdę? - spytał łagodnie Felix.

- Tak, musiały powstać wiele lat temu. Powiedziałbym, że na długo przed tym, nim Felix Nideck przyszedł na świat. Pańscy przodkowie też musieli znać ten dziwny język. Chyba że to Felix posiadał tajemnicę długowieczności, którą nie podzielił się ze światem. W takim domu jak ten człowiek gotów jest uwierzyć w różne rzeczy. To istny labirynt. Wiedział pan na przykład o tym, że są w nim ukryte przejścia do tajnego pomieszczenia? Do wielkiej sali, mówiąc ściślej.

Dwaj prawnicy chrząkali zgodnym chórem. Na twarzy Feliksa malowało się jedynie milczące zrozumienie.

- Wydaje się, że kiedyś pracowali tam uczeni, być może

lekarze. Trudno to dziś ustalić - chyba że ktoś zna to sekretne pismo. Dawno temu Marchenr próbowała je odczytać...

- Naprawdę?

- Ale nikt nie umiał jej pomóc. Sądzę więc, że jest pan w posiadaniu niezwykle cennej umiejętności.

Simon chciał coś powiedzieć, ale Reuben nie dopuścił go do głosu.

- Mieszkając w tym domu, lubię wyobrazać sobie różne rzeczy. Na przykład to, że Felix Nideck jakimś cudem żyje, że powtaca i wyjaśnia mi to wszystko, czego sam być może nigdy nie zrozumie.

- Reuben, proszę cię, za pozwoleniem, chciałbym... — nie wytrzymał Simon. Podniósł się z krzesła.

- Siadaj, Simon - powiedział Reuben.

- Nie miałem pojęcia, że tak wiele pan wie o Feliksie Nidecku - rzekł łagodnie jego rozmówca. - Nie spodziewałem się, że w ogóle pan o nim wie.

- Wiem całkiem sporo, ale to fragmentaryczna wiedza - odparł Reuben. - Był miłośnikiem Hawthornea, Keatsa i starych, gotyckich opowieści rodem z Europy, kochał nawet teologię. Przepadał za Teilhardem de Chardinem. Znalazłem w domu książkę Teilharda *Jak wierzę*. Powinienem był przywieźć ją tutaj, ale zapomniałem. Otóż traktuję ją jak telikwię. Jest w niej dedykacja od jednego z bliskich przyjaciół Feliksa.

W twarzy mężczyzny znowu zaszła drobna zmiana, ale nadal emanowała pozytywnymi uczuciami.

- Teilhard - powiedział. - Błyskotliwy, oryginalny myśliciel — stwierdził, po czym dodał nieco ciszej: — „Nasze wątpliwości, jak i nieszczęścia, są ceną, którą musimy zapłacić za spełnienie wszechświata...”.

Reuben skinął głową. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- „Zło jest nieuniknione” - zacytował - „w dziele kreacji, które rozwija się w czasie”.



Tym razem Nideckowi zabrakło słów.

- Amen - odrzekł wreszcie, cicho i z promiennym uśmiechem.

Arthur Hammermill spoglądał na Reubena tak, jakby ten postradał zmysły.

- Marchent nakreśliła mi niezwykle żywy portret Feliksa - ciągnął Reuben. - Każdy, kto go znał, jeszcze wzbogaca i uzupełnia ten wizerunek. Dawny właściciel jest częścią tego domu. Nie można tam mieszkać i nie znać Feliksa Nidecka.

- Rozumiem - szepnął mężczyzna.

Prawnicy szykowali się do kolejnej werbalnej interwencji. Reuben nieznacznie podniósł głos.

- Ale dlaczego przepadł bez wieści? - spytał. - Co się z nim stało? Dlaczego nagle porzucił Marchent i jej rodzinę?

Arthur Hammermill uznał za stosowne wyjaśnić.

- W tej sprawie przeprowadzono śledztwo - powiedział. - Obecny tu Felix nie ma nic do dodania w tej kwestii, co mogłoby nam pomóc z...

- Jasne, że nie - wpadł mu w słowo Reuben. - Prosiłem i tylko o opinię, panie Hammermill. Pomyślałem, że pan Nideck zechciałby się nią podzielić.

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiedział mężczyzna, po czym wyciągnął lewą rękę i uspokajająco poklepał dłoń Arthura. Znowu spojrzał na Reubena. - Całej prawdy zapewne nie poznamy - rzekł - ale podejrzewam, że Felix Nideck został zdradzony.

- Zdradzony? - powtórzył Reuben. Natychmiast przypomniała mu się dedykacja z książeczki Teilharda: „Przetrwaliśmy to, przetrwamy wszystko”. Zaraz potem napłynęły strzępy innych wspomnień. - Zdradzony.

- Inaczej nigdy nie porzuciłby Marchent - powiedział mężczyzna. - Nie ufał swojemu bratankowi i jego żonie, nie

dowierzał, że zdołają należycie wychować swoje dzieci. Dlatego nie zamierzał zniknąć z ich życia.

Reuben przypominał sobie strzępy rozmowy. Abel Nideck nie dogadywał się ze swoim stryjem, chodziło o pieniądze. Ale o co dokładnie? Zbił majątek wkrótce po zniknięciu Feliksa.

Arthur pochylił się ku swemu klientowi i przemówił basowym szeptem wprost do jego ucha. Ostrzegał, że to poważne kwestie, które lepiej będzie przedyskutować przy innej okazji.

Mężczyzna tylko skinął głową niezrażony. Znowu spojrzął na Reubena.

— Przypuszczam, że było to dla Marchent gorzkie doświadczenie. Zapewne położyło się cieniem na całym jej życiu.

— Niewątpliwie — odparł Reuben. Był coraz bardziej podniecony. Serce biło w jego piersi jak bęben, nadając rytm konwersacji. - Podejrzewała, że stało się coś złego, nie tylko z nim, ale i z jego towarzyszami - z całą grupą najbliższych przyjaciół.

Simon daremnie próbował się wtrącić.

— Niekiedy lepiej jest nie znać całej historii — stwierdził mężczyzna. — Niekiedy lepiej oszczędzić ludziom całej prawdy.

— Tak pan sądzi? Możliwe. Może tak właśnie było w przypadku Marchent i Feliksa. Ale teraz to ja poszukuję prawdy, pożądam odpowiedzi, chcę pojąć sens albo chociaż znaleźć wskazówki, sugestie...

— To są sprawy rodzinne! — zagrzemiał nagle Arthur Ham-mermill. - Sprawy, których nie ma pan prawa...

— Proszę pana, Arthurze! — odezwał się jego klient. — To dla mnie ważne, chcę wysłuchać pana Goldinga. Proszę, czy możemy kontynuować?

Reuben utknął. Chciał opuścić wreszcie tę salę, spotkać się z tym człowiekiem sam na sam, bez względu na niebezpieczeństwo. Dlaczego musieli rozgrywać ten mały dramat na oczach Simona i Hammermilla?

- Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? - spytał niespodziewanie. Miał wrażenie, że trzęsie się cały. Jego dłonie były mokre od potu.

Mężczyzna milczał.

Och, gdyby tylko była ze mną Laura. Wiedziałyby, co teraz powiedzieć, pomyślał Reuben.

- Czy jest pan człowiekiem honoru? — spytał.

Basowy pomruk głosów dwóch prawników, gorączkowo wymieniających uwagi, skojarzył się Reubenowi z warkotem pałeczek uderzających o membranę kotła. Tak, to było to: dudnienie bębnow w utworze symfonicznym.

- Tak - odpowiedział mężczyzna. Trudno było wątpić w jego szczerłość. - Gdybym nie był człowiekiem honoru -dodał - nie byłoby mnie tutaj.

- W takim razie czy da mi pan słowo honoru, że nie uraził pana sposób, w jaki obszedłem się z pańskim przyjacielem? Że nie zamierza pan odegrać się za to, że spotkał się z takim, a nie innym przyjęciem? I czy może pan zagwarantować spokój mnie oraz kobiecie, z którą mieszkam?!

- Na miłość boską! - wybuchnął Arthur Hammermill. - Chyba nie oskarża pan mojego klienta, że...?

- Daję słowo - odpowiedział mężczyzna. - Nie wątpię, że zrobił pan to, co musiał zrobić. - Sięgnął ponad stołem, ale był zbyt daleko od ręki Reubena. - Daję - powtórzył, bezradnie otwierając dłoń.

- Tak — odrzekł Reuben, szukając odpowiednich słów. — Zrobiłem to, co musiałem zrobić. To, do czego czułem się zmuszony. Dotyczy to zresztą nie tylko Marroka, ale i innych niedawnych spraw.

- Wiem — odpowiedział cicho mężczyzna. — I w pełni pana rozumiem.

Reuben wyprostował się na krześle.

- Chce pan dostać osobiste rzeczy Feliksa? - spytał. — Natu-

ralnie, zwrócę je panu. Kupiłem je tylko dlatego, że chyba tego chciałyby Marchent: żebym się nimi zaopiekował, zachował je, może przekazał jakiejś bibliotece albo uczelni - sam nie wiem. Proszę po nie przyjechać. Proszę zabrać, są pańskie.

Prawnicy zaczęli mówić jednocześnie. Simon z zapalem protestował, twierdząc, że za wcześnie na takie porozumienie, że te przedmioty zostały nabyte za niemałą cenę i że należy sporządzić nowy spis majątku, znacznie bardziej szczegółowy od poprzedniego. Arthur Hammermill cedził zaś ciche, prawie nieprzyjemne słowa o tym, że nikt go nie uprzedził o muzealnej wartości tych przedmiotów i że konieczne będą nowe, szczegółowe negocjacje w tej sprawie.

— Może je pan zatrzymać - powtórzył Reuben, uprzejmie ignorując obu prawników.

— Dziękuję — odparł mężczyzna. — Jestem panu niewymownie wdzięczny.

Simon zaczął przekładać papiery i notować coś pilnie, a Arthur Hammermill właśnie wpisywał wiadomość na klawiaturze swego BlackBerry,

— Pozwoli więc pan, że złożę mu wizytę? - spytał Nideck.

— Naturalnie. Proszę przyjechać, kiedy tylko pan zechce. Wie pan, gdzie nas szukać. Pewnie zawsze pan wiedział. Naprawdę zapraszam. Będę czekał. Z przyjemnością... — Urwał, bo omal nie zaczął się jękać.

Mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową.

— Żałuję, że nie mogę odwiedzić pana od razu. Niestety, muszę wyjechać, mam niewiele czasu. Czekają na mnie w Paryżu. Ale odezwę się wkrótce, gdy tylko będę mógł.

Reuben czuł taką ulgę, że był bliski łez. Wstał, gdy to samo uczynił Felix Nideck. Spotkali się przy końcu stołu i podali sobie ręce.

— Młodzi na nowo odkrywają wszechświat — rzekł Nideck. — I dają nam ów nowy wszechświat w prezencie.

- Zdarza się też, że młodzi popełniają straszliwe błędy. Dlatego potrzebna im mądrość starszych.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- I tak, i nie - odparł, a potem zacytował te same słowa Teilharda, które przywołał wcześniej Reuben: - „Zło jest nieuniknione w dziele kreacji, które rozwija się w czasie”.

To powiedziawszy, wyszedł z sali z Arthurem Hammermil-lem, który usilnie starał się go wyprzedzić.

Simon wychodził ze skóry, próbując namówić Reubena, żeby usiadł jeszcze na chwilę.

- Wiesz, twoja matka chętnie wysłałaby cię do lekarza, i powiem szczerze, że chyba popieram ten pomysł - zaczął, nakręcając się z wolna, by wygłosić dłuższy wykład zakończony szczegółowym przesłuchaniem. „Spotkanie nie przebiegło pomyślnie, trzeba to omówić, nie, zdecydowanie nie przebiegło pomyślnie”. - A poza tym powinieneś natychmiast zadzwonić do matki.

Reuben wiedział, że odniósł zwycięstwo. Równie dobrze wiedział i o tym, że w żaden sposób nie wyjaśni tego Simonowi ani go nie udobrucha, ani nie pocieszy. I dlatego od razu poszedł po Laurę.

Gdy wszedł do pokoju, w którym na niego czekała, zastał tam Feliksa Nidecka. Trzymał jej dłoń obiema rękami i przemawiał do niej półgłosem, jakby znali się doskonale.

- ...już nigdy nie zagrozi pani podobne najście.

Laura wymamrotała słowa podziękowania. Wyglądała na lekko oszołomioną.

Uśmiechnąwszy się do Reubena i skłoniwszy lekko, mężczyzna wycofał się i zniknął w korytarzu ciemnych, drewnianych drzwi.

Gdy tylko zostali sami w windzie, Reuben spytał:

- Co ci powiedział?

- Że spotkanie z tobą było dla niego nadzwyczaj przy-

jemne - odrzekła - i że wstyd mu za postawę jego przyjaciela. Nigdy więcej nie nastąpi podobna wizyta i... - Urwała. Wciąż była nieco wstrząśnięta. - To był Felix, prawda? Felix Nideck we własnej osobie.

- Bez wątpienia - odparł Reuben. - Lauro, sędzę, że wygrałem tę bitwę, jeśli to w ogóle była bitwa. Myślę, że wyszliśmy na prostą.

W drodze do restauracji, gdzie zamierzali zjeść wczesną kolację, jak najdokładniej zrelacjonował Laurze rozmowę z Feliksem.

- Na pewno powiedział ci prawdę - stwierdziła. - Gdyby nie był szczery, nie odszukałby mnie i nie rozmawiałby ze mną. - Przeszył ją dreszcz. - Może rzeczywiście zna odpowiedzi na wszystkie pytania? Może będzie chciał podzielić się z tobą całą swoją wiedzą?

- Miejmy nadzieję - odparł Reuben. Nadal przepełniało go poczucie ulgi, a także szczęścia.

Weszli do lokalu w North Beach na długo przed wieczornym szczytem i bez trudu znaleźli stolik przy szklanych drzwiach. Deszcz nareszcie ustąpił i na niebie ukazał się nawet skrawek błękitu, jakby w odpowiedzi na doskonały nastrój Reubena. Mimo chłodu niektórzy wybierali stoliki na świeżym powietrzu. Columbus Avenue była jak zwykle ruchliwa. Miasto wydawało się jasne i świeże; jego pejzaż nie przypominał już tego nocnego, ponurego, od którego Reuben uciekł.

Był uradowany i nie potrafił tego ukryć. To, co czuł, było jak ten niespodziewany koniec deszczowej pogody, jak nagły i stale rozszerzający się błękit nieba.

Na wspomnienie chwili, w której Felix stał przy Laurze, trzymając ją za rękę i rozmawiając z nią, chciało mu się płakać. W głębi duszy był nawet dumny, że tak atrakcyjnie wyglądała w tej ważnej chwili w swoich szarych, wełnianych spodniach i swetrze, taka smukła, zadbana i promieniejąca. Białe włosy

miała związane wstążką na karku, jak zawsze, a odchodzącego Feliksa żegnała szerokim uśmiechem.

Reuben spojrzał na nią z miłością. I jesteś bezpieczna. On nie pozwoli, żeby spotkało cię coś złego. Zatrzymał się specjalnie po to, żeby cię uspokoić. Widział, jak jesteś piękna, jak łagodna i czysta. Nie jesteś mną. A ja nie jestem tobą. On nie złamie słowa.

Reuben zamówił cały zestaw włoskich potraw — sałatkę, zupę minestrone, cannelloni i cielęcinę — a do tego francuskie pieczywo.

Pałaszował właśnie sałatkę, wciąż omawiając z Laurą niedawne spotkanie, gdy odebrał wiadomość tekstową od Céleste: „SOS. Chodzi o nas”.

„Pisz”, odpowiedział.

„Czy jesteśmy jeszcze razem?”

„Najbardziej zależy mi na tym”, odpisał, cierpliwie przebie-  
i ając kciukami, „żebyśmy pozostali przyjaciółmi”.

Jeżeli zabrzmiało to brutalnie, to trudno, ale musiał to z siebie wyrzucić. Kontynuowanie tego stanu zawieszenia, w którym się znaleźli, po prostu nie byłoby w porządku.

„Czy to znaczy, że nie nienawidzisz mnie za to, że spotykam się z Mortem?”

„Cieszę się, że jesteś z Mortem”. Naprawdę tak myślał. Wiedział, że Mort jest szczęśliwy, tak musiało być, bo Céleste od zawsze go fascynowała. Jeżeli wreszcie go zaakceptowała, tego geniusza w wiecznie przykurzonym i wymiętym ubraniu, z antyfryzurą i wiecznym roztargnieniem wymalowanym na twarzy - to wspaniale dla nich obojga.

„Mort też jest szczęśliwy”, odpisała.

„A ty?”

„Jestem szczęśliwa, chociaż kocham cię, tęsknię i martwię się o ciebie, jak wszyscy”.

„Zatem wciąż jesteśmy przyjaciółmi”.

„Na zawsze”.

„Co nowego w sprawie Człowieka Wilka?” „Wiem tyle co wszyscy”. „Kocham cię. Muszę kończyć”. Schował telefon do kieszeni.

- Już po wszystkim - poinformował Laurę. - Celeste jest szczęśliwa, romansuje z moim najlepszym przyjacielem.

Laura uśmiechnęła się oczywiście, ale była też zadowolona. Chciał jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha, ale tego nie zrobił.

Kończył zupę najwolniej, jak potrafił.

Laura nie traciła czasu, kolacja była zbyt dobra. Znowu dostrzegł w jej twarzy ten promienny spokój, którego nie widział od kilku dni.

- Pomyśl tylko, co to wszystko oznacza - rzekł. - Właśnie spotkaliśmy się z człowiekiem, który... - Pokręcił głową. Nie mógł mówić. Znowu te łzy. Przeplakał przy Laurze więcej niż przez całe dotychczasowe życie przy matce. No, może niezupełnie. - Chciałbym, żeby pomógł mi z tym wszystkim - powiedział z naciskiem. - Chciałbym, żeby...

Uścisnęła jego rękę.

- Zrobi to — powiedziała. Spojrzał jej w oczy.

- Przyjęłabyś krzyżmo, prawda? - wyszeptał.

Drgnęła mimowolnie, ale nie oderwała spojrzenia od jego twarzy.

- Miałabym dla niego zaryzykować życie? - spytała. - Nie wiem - odpowiedziała z całą powagą. - I tak mam udział w tej mocy, bo ty ją masz.

To nie wystarczy, pomyślał.



Laura prowadziła. Reuben spał, z głową opartą o boczną szybę porsche.

Zanim opuścili San Francisco, zajrzeli jeszcze do domu. Reuben był przekonany, że Simon Oliver znajdzie jakiś sposób, żeby zawiadomić Grace i Phila, że ich syn jest w mieście. Oczywiście okazało się, że miał rację.

Grace szykowała kolację, a Phil nawet siedział już przy stole. Celeste i Mort też znaleźli się w kuchni, każde z lampką wina w dłoni. Koleżanka Grace, znakomita onkolog, której nazwiska Reuben jak zwykle nie pamiętał, rozstawiała talerze z pomocą jeszcze jednej lekarki, którą pierwszy raz widział. W tle sączyły się dźwięki *Jazz Samba* Staną Getza i Charliego Byrda i wszyscy najwyraźniej nieźle się bawili.

Reuben tęsknił za nimi, i to bardzo. Brakowało mu przytulności rodzinnego domu, wspólnego życia, które zostawił za sobą. Jeśli nie liczyć tej tęsknoty, był szczęśliwy: otaczało go zbyt wiele osób, by musiał się obawiać przesłuchania czy interwencji. Wszyscy gratulowali Laurze, a zwłaszcza Celeste, która z wyraźną ulgą przyjęła to, że Reuben znalazł sobie kogoś tak szybko. Mort, jako osobnik lojalny, wyglądał na zakłopotanego, przynajmniej w tych momentach, kiedy spoglądał na Reubena. Ale Reuben tylko wymierzył mu żartobliwego kuksańca. Rosy rzuciła mu się na szyję, gdy tylko go zobaczyła.

Owszem, Grace miała ochotę przyprzeć go do muru, ale nie mogła zostawić steków bez nadzoru, podobnie jak brokułów,

które podsmażała z czosnkiem. Zadowolona się więc całym całusem od syna i „Kocham cię” wyszeptanym do ucha.

— Żałuję, że nie zostaniesz na wieczór i na noc. I na wszystkie kolejne.

— Mamo, już jedliśmy kolację - odpowiedział szeptem.

— Spodziewamy się gościa.

— Nie mogę, mamo.

— Reuben, wysłuchasz mnie wreszcie? Chcę, żebyś poznał tego człowieka, doktora Jaśkę.

— Nie dziś, mamo - odparł Reuben, idąc w stronę schodów. Z pomocą Rosy zebrał ostatnie książki, teczki i zdjęcia, po czym zaniósł je do samochodu.

Wrócił, żeby po raz ostatni rozejrzeć się po przytulnej jadalni, pełnej zapalonych świec. Przesłał buziaka Grace i ruszył w kierunku drzwi. Phil, jakby wzruszony, pomachał mu na pożegnanie.

Wystraszył go nagły dźwięk dzwonka. Otworzył drzwi i ujrzał wysokiego, siwowłosego mężczyznę - choć niezbyt starego - o zimnych, szarych oczach i kwadratowej twarzy, na której malował się wyraz zaciekawienia i może odrobinę wrogości.

Grace dołączyła do Reubena. Jedną ręką wprowadziła gościa do domu, a drugą mocno chwyciła syna pod ramię.

Mężczyzna nie odrywał od niego wzroku. Najwyraźniej nie spodziewał się, że spotkają się tak prędko.

Reuben znieruchomiał. Wyczuwał zapach, bardzo słaby, ale aż nadto dobrze mu znany zapach.

— Reuben, przedstawiam ci doktora Akima Jaśkę, o którym ci opowiadałam - powiedziała Grace prędko, niezdarnie i ja kby niechętnie. - Proszę, doktorze. Rosy, nalej panu doktorowi drinka.

— Bardzo mi miło pana poznać, doktorze Jaska — powiedział Reuben. - Żałuję, ale nie mogę zostać dłużej - dodał,

z niepokojem szukając wzrokiem Laury. Stała tuż za nim; dała mu znak, ściskając go za ramię.

Im dłużej patrzył w dziwnie mętne oczy tego człowieka, tym wyraźniej czuł tę woń. Co będzie, jeśli bodziec zapachowy wywoła przemianę?

Grace najwyraźniej biła się z myślami, nie była sobą, ale jednocześnie z wielką uwagą przysłuchiwała się tej wymianie uprzejmości.

- Do zobaczenia, mój Chłopczyku - powiedziała nagle.

- Kocham cię, mamó - odpowiedział natychmiast Reuben. Laura wymknęła się z domu jako pierwsza.

- Miłego wieczoru, panie doktorze. Zadzwoń, mamó.

Zbiegając po stopniach, czuł już lekki skurcz mięśni brzucha. To było ostrzeżenie; metamorfoza jeszcze się nie zaczęła. Nie, nie teraz! Wiedział, że może ją powstrzymać siłą woli, ale jednocześnie wciąż czuł w nozdrzach tę woń. Obejrzał się przez ramię, nasłuchując głosów dobiegających z domu, ale były to tylko nic nieznaczące, grzecznościowe zwroty. Zapach wciąż się utrzymywał. Narastał.

- Ruszajmy - powiedział.

W ciężkim, zimowym mroku sznury samochodów sunęły mostem Golden Gate. Jeszcze nie zaczęło padać.

W końcu zasnął. We śnie, lekkim i całkiem przyjemnym, jakimś cudem wyczuł, że zbliżają się do Santa Rosa. Głosy, które nagle usłyszał, były jak szpikulec do lodu wbity prosto w mózg.

Poderwał się, przytomniejąc w jednej chwili. Jeszcze nigdy nie słyszał głosu tak przeraźliwej paniki, takiego bólu.

- Zatrzymaj wóz! - krzyknął.

Skurcze już się zaczęły, swędzenie skóry też. Fetor okrucieństwa pozbawiał go tchu. To było zło w najczystszej postaci.

- Między drzewa - polecił, wskazując na pobliski park. Parę sekund później był już rozebrany i mknął przez mrok.

Przemiana dokonała się w biegu, a on wskoczył na najbliższe drzewo i jeszcze przyspieszył.

Krzyki raz po raz zapalały w nim krew. Dwaj młodzi ludzie, chłopcy, byli bici. Bali się, że zostaną okaleczeni. Bali się, że zginą. Nienawiść ich katów płynęła potokiem przekleństw, seksualnych aluzji i bolesnych drwin.

Nie znajdowali się w parku, ale na przylegającym doń ciemnym, zarośniętym krzewami podwórzu, za popadającym w ruinę domem. Czterooosobowy gang przywlókł tu dwóch nieletnich, by w powolnym, krwawym rytuale zatłuc ich na śmierć. Zbliżając się do nich, Reuben uświadomił sobie, że jedna z ofiar za chwilę wyda ostatnie tchnienie. Czuł ostry zapach krwi, szału, przerażenia.

Nie mógł ocalić umierającego. Wiedział o tym. Ale mógł jeszcze uratować tego, który się nie poddawał, który wciąż walczył o życie.

Z przerażającym rykiem skoczył na dwóch, którzy okładali pięściami po brzuchu młodzieńca stawiającego im zażarty opór: wyrывał się i przeklinał ich z całej duszy. Pluję na was, parszywi mordercy!

W kłębowisku kończyn i kakofonii wrzasków szczęki Reu-bena zacisnęły się w końcu na cuchnącej głowie jednego z napastników, a prawa łapa zbrojna w pazury sięgnęła innego, chwytając go za włosy. Pierwszy wił się konwulsyjnie, z głową nienaturalnie wychyloną w tył, czując coraz głębiej w czaszce długie kły wilkołaka. Ten, który leżał na ziemi, przytrzymując zakrwawioną ofiarę, teraz poderwał się i usiłował wykorzystać ją jako tarczę. Reuben szarpnął łapą, powalając go, a następnie piętą wbił jego głowę w twardą ziemię. Skupił się znowu na pierwszym: rozpruł pazurami jego pierś, a zębami wyrwał kawał świeżego mięsa. Czując, że dłonie martwego oprawcy wiotczeją, chłopak wyśliznął się z uścisku.

Reuben jak zwykle nie miał czasu na ucztowanie: dwaj

pozostali członkowie gangu rzucili się do ataku. Obaj trzymali w dłoniach noże, gotowi pociąć i zedrzeć ten włochaty „kostium” z ciała tego, który tak szybko rozprawił się z ich towarzyszami. Pierwszy wykonał długim ostrzem dwa szybkie pchnięcia, zaraz potem trzecie, podczas gdy drugi usiłował odciąć „maskę” od twarzy Reubena.

Z ran chlusnęła krew. Czuł ją na piersi, zalewała mu oczy. Teraz dopiero wpadł w szal. Jednym cięciem pazurów odkroił bandycie twarz, przy okazji otwierając tętnicę szyjną. Drugiego, który uciekając, wspinał się po drucianej siatce ogrodzenia, dopadł chwilę później i rozprawił się z nim w ciągu sekundy. Przystanął, żeby pożywić się soczystym mięsem z jego uda, a gdy skończył, porzucił trupa i cofnął się chwiejnym krokiem, pijany bojowym szałem i smakiem krwi. Smród zła ulatniał się, parował, ustępował miejsca neutralnemu zapachowi ludzi niewidocznych w ciemności oraz ponurej woni śmierci.

W okolicznych domach zapaliły się światła. Nocną ciszę przecięły pierwsze krzyki.

Rany na ciele Reubena były gorącą, pulsującą masą bólu, ale już czuł, że się zasklepiają. Intensywne mrowienie oznaczało, że rozcięta skóra nad okiem zaczyna się goić. W mroku dostrzegł zakrwawioną ofiarę napadu. Chłopak pełzł przez usiane odpadkami podwórze w stronę kolegi - chłopca, który już nie żył. Przyklęknął obok niego, potrząsnął nim, próbując go obudzić, a potem zawył przejmująco.

Odwrócił się ku Reubenowi. Jego oczy błyszczały w ciemności, gdy przez łzy powtarzał bez końca:

- On nie żyje. Zabili go. Nie żyje, nie żyje, nie żyje...

Reuben stanął przy nim, bez słowa spoglądając na nieruchome, półnagie ciało. Chłopcy mieli nie więcej niż szesnaście lat. Ten, który przeżył, podniósł się powoli. Jego twarz i ubranie były we krwi. Wyciągnął rękę w stronę Reubena... i nagle stracił przytomność.

Dopiero teraz, gdy chłopak leżał u jego stóp, Reuben dostrzegł na jego wyciągniętej ręce malutkie rany, z których także płynęła krew. Rany klute. Na dłoni, na nadgarstku, na przedramieniu. Ślad po ugryzieniu.

Reuben zmartwiał.

Sąsiednie podwórka ożyły; dobiegały stamtąd nerwowe szepty obserwatorów. Ktoś otworzył tylne drzwi domu.

Wycie syren było coraz głośniejsze - znowu te same girlandy dźwięku, tym razem ostre jak stal.

Reuben zaczął się cofać.

Błyskające światła podświetliły nagle mokre sklepienie chmur, wyrwijąc z mroku krzywą sylwetę budynku oraz brud i ruinę zaniedbanego podwórza.

Odwrócił się i przesadził ogrodzenie, a potem zwinnie i szybko pomknął w ciemność. Gdy oddalił się o milę, opadł na cztery łapy, a po kolejnej mili dostrzegł sylwetkę swego porsche w tym samym miejscu pod drzewami, w którym nie tak dawno wysiadł. Spojrzał w dół, zdumiony własną chyżością, i pomyślał, że migające mu przed oczami łapy bardziej przypominają teraz kończyny czworonoga niż dwunożnej istoty.

Musiał wzbudzić przemianę. Zostaw mnie. Wiesz, czego teraz potrzebuję. Oddaj mi moją dawną postać.

Przykucnął obok samochodu, dysząc ciężko i starając się przetrzymać pierwsze skurcze. Gęste futro już zaczynało znikać. Rany na piersi wciąż paliły, pulsowały, a sierść wokół nich pozostała nietknięta i skleciona krwią. Podobnie było z prawym okiem, nad którym wisiała kępa wilczych kłaków. Pazury już zanikały; przypominały długie, zakrzywione paznokcie, gdy nie wytrzymał i dotknął nimi ran, próbując wyrwać resztki włosów. Czuł słabość w nagich udach, stopy nie dawały pewnego oparcia. Chwycił się klamki, by nie upaść, ale stracił równowagę i musiał przykleknąć na jedno kolano.

Laura była już przy nim. Podtrzymała go, pomogła zająć

miejsce pasażera. Kępy sierści na piersi i czole wyglądały znacznie bardziej odrażająco niż wilkołak w pełnej krasie. Na szczęście krew zaczęła już krzepnąć i z wolna opadać w postaci drobnych, szybko znikających płatków. Dreszcze rozkoszy, które ogarnęły jego ranną głowę, były jak dłonie wykonujące masaż.

Laura prowadziła wóz w stronę autostrady, a Reuben w pośpiechu wkładał koszulę i spodnie. Gdy położył lewą dłoń na obolałej piersi, poczuł, że długie futro przerzedza się i zaczyna wypadać, pozostawiając jedynie spodnią warstwę sierści. Czoło miał już bezwłose.

Zrobiło mu się ciemno przed oczami i miał wrażenie, że straci przytomność, ale zwalczył słabość. Jęknął, gdy uderzył głową o boczną szybę.

Syreny — zawodzące przejmująco, ohydne jak upiory.

Na szczęście mknęli już autostradą na północ, włączyli się w hałaśliwy nurt czerwonych i białych świateł samochodów. Kilkakrotnie zmieniali pas, aż wreszcie osiągnęli maksymalną prędkość.

Reuben ułożył się wygodniej, spoglądając na Laurę. W migotliwym blasku wydawała się absolutnie spokojna. Wpatrywała się we wstęgę drogi.

- Reuben? — odezwała się po chwili, nie patrząc na niego. — Reuben, mów do mnie. Proszę cię.

- Nic mi nie jest, Lauro - odpowiedział i westchnął. Znowu przeszły go dreszcze. Zaczął dzwonić zębami. Sierść zdążyła zniknąć z ran na piersi, a one same już się zablizniły. Kolejne fale rozkoszy odbierały mu siły. Wciąż jednak czuł zapach śmierci, śmierci tego chłopca, który skonał na zapomnianym podwórzu. Zapach niewinnej śmierci.

- Zrobiłem coś strasznego, coś niepojętego! - wyszeptał. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale usłyszał z własnych ust tylko przeciągły jęk.

- Co ty mówisz? - spytała. Ruch na drodze był wyraźnie mniejszy. Wyjeżdżali już z Santa Rosa.

Znowu zamknął oczy. Nie czuł już bólu, tylko podwyższoną temperaturę, zwłaszcza na twarzy i dłoniach, a także w tych miejscach, gdzie po bólu zostały tylko łąty świeżego, gładkiego ciała.

- Coś straszego, Lauro - powtórzył szeptem, którego już nie usłyszała. Wciąż widział tego chłopaka, który szedł ku niemu chwiejnym krokiem; wysokiego, o szerokiej piersi i błagalnym spojrzeniu, o pokaleczonym i zakrwawionym obliczu, z szopą jasnych włosów i przerażeniem w oczach, bezgłośnie poruszającego ustami. Ciemność wreszcie go ogarnęła. Przyjął ją z otwartymi ramionami, wtulony w kubelkowy, skórzany fotel, a pędzący samochód ukołysał go do snu.



Światła salonu oślepiały go. Centralne ogrzewanie grzało zbyt mocno, a domowe zapachy — głównie kurzu — były zbyt duszące.

Natychmiast poszedł do biblioteki i zadzwonił do hotelu Clift w San Francisco. Musiał porozmawiać z Feliksem. Dławił go wstyd i chyba tylko Felix mógł pomóc mu w tej sprawie. Skruszony, wystraszony i przygnębiony, wiedział, że nie zazna spokoju, póki nie wyzna wszystkiego Feliksowi. Zawalił sprawę. Przekazał krzyżmo.

W recepcji dowiedział się, że Feliksa już nie ma, wymeldował się po południu.

— Mogę spytać, z kim mam przyjemność? — spytała recepcjonistka.

Zrozpaczony, miał ochotę rzucić słuchawkę, po namyśle jednak się przedstawił. Miał jeszcze cień nadziei, że Felix zostawił chociaż wiadomość. I zostawił.

- Tak, mam panu przekazać, że musiał wyjechać w pilnej sprawie, której nie może zlekceważyć, i że wróci tak szybko, jak będzie to możliwe.

Nie zostawił ani numeru telefonu, ani adresu.

Reuben opadł na fotel i oparł się czołem o zieloną podkładkę leżącą na biurku. Po chwili raz jeszcze sięgnął po słuchawkę i wybrał numer Simona Olivera. W skrzynce głosowej zostawił in u gorącą prośbę, by skontaktował się z Arthurem Hämmernd Hem i spróbował wydusić od niego numer telefonu Feliksa

Nidecka. Pilne, pilne, pilne! Simon nawet nie podejrzewał, jak bardzo pilne.

Reuben nie mógł już nic zrobić. Zupełnie nic, by zapanować nad niesamowitą paniką. Czy chłopak umrze? Czy zabije go krzyżmo? Czy ten łajdak Marrok w ogóle mówił prawdę, gdy ostrzegał, że krzyżmo może być aż tak niebezpieczne?

Musiał odnaleźć Feliksa!

Znowu widział, jak chłopak pada na ziemię na tym zapomnianym podwórzu i jak wyciąga rękę, ranną rękę. Mój Boże!

Spojrzał na uśmiechniętego Feliksa z fotografii. Dobry Boże, proszę Cię, pomóż mi. Nie pozwól, żeby ten nieszczęsny dzieciak umarł. Proszę. I nie pozwól... Nie mógł dłużej znieść paniki.

Laura była przy nim. Obserwowała go, czekała, wyczuwała, że stało się coś bardzo niedobrego.

Wziął ją w ramiona i przesunął dłońmi po grubym, szarym swetrze, który miała na sobie, wykończonym u góry wysokim kołnierzem, dającym się zapiąć aż pod brodę. Zaraz potem sprawdził jej spodnie. Wystarczająco ciepłe, pomyślał.

Chcę się zmienić. Teraz. Chcę wrócić w noc. Natychmiast.

Wciąż tuląc ją do siebie, poczuł nagłą erupcję wilczej sierści. Odsunął Laurę tylko na moment, by zrzucić ubranie. Gęsta sierść chroniła go przed gorącym ogrzewanego pokoju, a nozdrza jak zawsze wychwytywały oszałamiający aromat lasu, który sięgał niemal pod same okna. Ekstaza była jak czarna, wulkaniczna fala i omal nie zwała go z nóg.

Uniósł Laurę i wyszedłszy z domu tylnymi drzwiami, oddalił się w noc. Transformacja już się dokonała. Pochylony, gnał przez las na sprężystych, wilczych nogach, niosąc na lewym ramieniu swoją kobietę, aż wreszcie zostawił za sobą dęby i znalazł się między sekwojami.

- Trzymaj się mnie z całej siły - zawarczał wprost do jej

ucha, owijając jej ramiona wokół swego karku, a nogi wokół tułowia. - Wskoczmy na drzewo, chcesz?

- Tak! — odkrzyknęła.

Wspinał się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie przebili się przez ścianę bluszczu i stracili z oczu dolne konary. Byli prawie na wierzchołku. Rozejrzał się i ponad krawędzią klifu dostrzegł ocean, bezkresny, lśniący ocean pod upiorną, białą poświatą ukrytego za chmurami księżyca. Znalazł kolebkę ze splątanych gałęzi, dość mocną, by utrzymała ich oboje. Tam przysiadł, zaplótłszy lewe ramię wokół wyżej rosnącego konaru, a prawym wciąż tuląc do siebie Laurę.

Śmiała się cicho, odurzona emocjami tej dzikiej eskapady. Całowała każdy składek jego twarzy, którym mógł poczuć jej dotyk: powieki, czubek nosa, usta.

- Trzymaj się mocno - ostrzegł, a potem posadził ją na swoim prawym udzie i mocno objął prawym ramieniem. -Widzisz ocean?

- Tak - odpowiedziała. - A tak naprawdę tylko całkowitą ciemność. Ale wiem, że tam jest.

Oddychał swobodnie, oparty o pień gigantycznego drzewa. Słuchał chóru puszczy, szepu i westchnień najwyższego piętra lasu. Daleko na południu dostrzegał światła domu migające za zasłoną drzew, jakby w jego oknach uwięzione były małe gwiazdy.

Położyła głowę na jego piersi. Przez długi, długi czas spoczywali tak w bezruchu, razem na wysokościach. Reuben wpatrywał się w ocean, nie widząc niczego poza lśnieniem fal i atramentowym niebem, nakrapianym bladymi plamkami gwiazd. Chmury to rozpraszały się, to znowu gromadziły na tle księżyca, a wilgotny, słony wiatr gwizdał w zielonej gęstwinie, k tóra ich otaczała.

Przez krótką chwilę wyczuwał niebezpieczeństwo, a może tylko obecność innego stworzenia w pobliżu? Nie był pewny;

wiedział jedynie, że nie może podzielić się z Laurą tym nagłym niepokojem. Tutaj była od niego całkowicie zależna. Nasłuchiwał w ciszy.

Może to tylko szelest gałęzi? Może jakieś niewielkie zwierzę, którego jeszcze nie znał? Tak wysoko mógł przecież spotkać mroczki, latające wiewiórki, sikory i tamiasy, spędzające w tym środowisku większość życia. Tylko dlaczego ich obecność miałyby go zaniepokoić? Cokolwiek to było, znikło po chwili. Pomyślał, że to obecność Laury musiała uczynić go nadmiernie ostrożnym.

Dokoła panował spokój.

Reuben pomyślał o chłopaku. O jego ciepieniu. Tego się nie da opisać, pomyślał.

W duchu błagał puszcze, by pozostała blisko niego, by ochroniła go przed bezlitosnym ostrzem własnego sumienia. Dawno temu w jego krótkim życiu głos sumienia był głosem Grace, Phila, Jima i Celeste. Teraz było inaczej. Teraz sumienie wbijało nóż w jego duszę.

Zalecz tę ranę, użyj całej swojej mocy! Co uczyniłeś temu chłopcu, Morphenkindzie? Czy przeżyje, żeby stać się takim jak ty?

W końcu nie mógł już znieść tych myśli. Żal sprawiał, że nawet to iglaste królestwo zdawało się tracić swój wieczny, niezachwiany spokój. Musiał być w ruchu. Zaczął skakać z drzewa na drzewo, czując znów nic nieznaczący ciężar Laury wtulonej w jego ciało. Zatoczyli wielki łuk, powoli wracając ku granicy sekwojowego lasu. Niosąc ukochaną, czując jej słodki zapach, czuł się tak, jakby niósł bukiet kwiatów. Szukał językiem jej szyi, jej policzków, a cichy warkot w jego kttani był jak serenada dla niej.

Objęła go ramionami i nogami jeszcze mocniej, gdy schodzili ku cieplejszej, niższej warstwie lasu.

Miała lodowate dłonie. Nawet Reuben to czuł; czuł tę lodowatość tak, jakby była smużką dymu unoszącą się z jej ciała.

Niosąc ją, szedł niespiesznie między dębami i zatrzymy-

wał się od czasu do czasu, żeby ją całować, wsuwać łapę pod jej sweter i dorykać gorącej, jedwabistej nagości, żeby poczuć odurzającą woń żywego ciała. Westchnęła, gdy uniósł ją i zaczął ssać jej piersi.

Gdy wrócili do domu, ułożył ją delikatnie na wielkim stole w jadalni i pochwycił jej zimne dłonie wielkimi, ciepłymi łapami. Było ciemno. Dom skrzypiał i pojękiwał cicho, zmagając się z oceanicznym wiatrem. Smuga światła z otwartego salonu wpełzała leniwie do jadalni.

Przez długą chwilę tylko na nią patrzył, gdy tak leżała i czekała na niego z rozpuszczonymi, wonnymi włosami, a jej wielkie, rozmarzone oczy odwzajemniały spojrzenie.

Wreszcie podłożył zapalną zapałkę pod dębowe szczapy w kominku. Rozpalka z trzaskiem zajęła się ogniem, płomienie popęły w górę i dziki blask zatańczył na kasetonach zdobiących sufit oraz na lakierowanej powierzchni stołu.

Zacząła się rozbierać, ale powstrzymał ją błagalnym gestem. A potem sam zdjął z niej ubranie: ściągnął i wolniutko odłożył sweter, a potem zsunął i już jakby energiczniej odrzucił jej spodnie. Sama pozbyła się butów.

Widok jej nagiego ciała na pustym stole cudownie rozbudził jego zmysły. Przesunął miękką stroną swych wielkich łap po podeszwach jej stóp i pogładził nagie łydki.

- Nie pozwól, żebym cię skrzywdził — wyszeptał niskim głosem, do którego zdążył się już przyzwyczaić, który stał się już jego częścią. — Powiedz, jeśli zboli.

- Nigdy nie boli - odszepnęła. - Nie możesz zrobić mi k izy wdy.

- Delikatna szyja, delikatny brzusek — mruzczał, liżąc ją długim jęzorem i kładąc łapy na jej piersiach. Precz wszelkie smutki, pomyślał, klękając nad Laurą. Wszedł w nią ostrożnie i pokój zawirował wokół niego. Słyszał trzask ognia w kominku, ale myślał tylko o niej, aż wreszcie w ogóle przestał myśleć.

A po wszystkim wziął ją na ręce, wszedł po schodach na piętro i zaniósł pustym korytarzem - w ciemności trwało to tak długo - do ciepłej sypialni. Perfumy, świece. I półmrok, i cisza.

Ułożył ją na pościeli, lekką jak cień na białej pościeli, a sam przysiadł obok. Bez ostrzeżenia przymknął oczy i przywołał przemianę. Poczł w piersi mały ogień i miał wrażenie, że wilcze futro unosi się w powietrzu, mięknie i rozpuszcza się w nim. Spazmy tak podobne do orgazmu wstrząsały nim silnie, ale krótko, a sierść naprawdę znikła. Skóra odetchnęła głęboko, a gdy znowu uniósł powieki, ujrzał swoje ludzkie dłonie.

- Zrobiłem dziś coś strasznego - powiedział.

- Co takiego? - spytała, ściskając delikatnie jego ramię.

- Zraniłem tego chłopaka, którego próbowałem uratować. Myślę, że przekazałem mu krzyżmo.

Nic nie powiedziała. Jej twarz wyrażała zrozumienie i współczucie - i był to cud, którego nie oczekiwał od nikogo. Nadzieja bowiem to nie to samo, co oczekiwanie.

- A co będzie, jeśli on umrze? - spytał z westchnieniem. - Co, jeśli przelałem niewinną krew? A jeśli w najlepszym razie stanie się tym, czym ja jestem?

Historia eksplodowała w porannych wiadomościach, ale nie dlatego, że Człowiek Wilk miał odwagę pojawić się dalej na północy, w mieście Santa Rosa, gdzie skasował kolejnych czterech bezwzględnych morderców, tylko dlatego, że ich niedoszła ofiara była już wcześniej znana.

Tą niedoszłą ofiarą był nieletni, toteż w pierwszej chwili szczególnie troskliwie chroniono jego tożsamość, ale już o piątej rano on sam zadzwonił do gazet ze szpitalnego łóżka i przedstawił wybranym reporterom własną wersję wydarzeń.

Nazywał się Stuart McIntyre, miał szesnaście lat i niedawno skończył szkołę średnią. Sześć miesięcy wcześniej stał się bohaterem mediów, gdy uparł się, że przyprowadzi na bał absolwenta w Akademii Katolickiej Świętego Sakramentu w Santa Rosa... swojego chłopaka. Szkoła nie tylko odmówiła zgody, ale także pozbawiła go zaszczytu przemawiania na zakończeniu roku, który przysługiwał mu jako najlepszemu uczniowi. Stuart nagłośnił sprawę - udzielał wywiadów telefonicznych każdemu, kto tylko chciał go wysłuchać.

Nie była to pierwsza walka w obronie praw gejów, w której Stuart dał się poznać, ale największą sławę przyniósł mu inny sukces. Zanim wybuchła afera z balem absolwenta, udało mu się przekonać władze szkoły do wystawienia z wielkim rozmachem inscenizacji sztuki *Cyrano de Bergerac*, w której / powodzeniem zagrał główną rolę.

Reuben rozpoznał Stuarta, gdy tylko zobaczył w wiado-

mościach jego zdjęcie. Kanciasta twarz, piegi na szerokim nosie i policzkach oraz bujna czupryna w kolorze blond tworząca aureolę wokół głowy - trudno to było zapomnieć. Podobnie jak błękitne oczy i odrobinę psotny, szeroki uśmiech. Miał przyjemną, może nawet ładną twarz. I był fotogeniczny.

Reuben właśnie zaczynał pracę dla «Observera», gdy Stuart zyskał lokalną sławę, toteż nie zwracał wielkiej uwagi na jego historię. Rozbawiła go tylko naiwność tego dzielnego dzieciaka, który sądził, że w szkole katolickiej pozwolą mu przyprowadzić na bal partnera.

Chłopakiem Stuarta był już wtedy Antonio Lopez - ten sam, który ostatniej nocy stracił życie z rąk czterech „bojowników antygejowskich”. Nawiasem mówiąc, owi czterej zapowiadali jeszcze przed napadem, że gdy już się rozprawią z dwoma młodocianymi pedziami, zamierzają okaleczyć ich zwłoki.

W południe materiał o Stuarcie był już wiadomością dnia - nie tylko dlatego, że znowu interweniował „niezwyciężony” Człowiek Wilk, ratując życie Stuarta, ale także z powodu pewnej plotki. Pojawiła się mianowicie sugestia, że organizatorem napadu był ojczym Stuarta, niejaki Herman Buckler, instruktor golfa. Dwaj z zabójców byli szwagrami Antonia. Inni członkowie rodziny rozsiewali zaś plotki na temat wspomnianego ojczyma, który miał zaplanować atak, żeby pozbyć się pasierba. Stuart także zeznał policjantom, że to ojczym zorganizował napad - miał to usłyszeć od sprawców, zanim zginęli.

Informacji wciąż przybywało. Matka Stuarta, farbowana blondyna nazwiskiem Longstreet, Buffy Longstreet, przez parę lat grała w nieszczęśliwie udanym sitcomie, jego ojciec zaś był komputerowym geniuszem — zdążył zbić majątek w Dolinie Krzemowej na krótko przed pęknięciem internetowej bańki giełdowej, a to oznaczało, że Stuart i jego matka byli nieźle ustawieni na resztę życia. Niestety, sam zmarł z powodu infekcji w Salvador de Bahia, podczas wymarzonej podróży po



Amazonii. Ojczym miał więc zaplanować zbrodnię po to, by przejąć majątek Stuarta, a także dlatego, że z całego serca go nienawidził. Naturalnie wypierał się wszystkiego i groził, że pozwie pasierba.

Stuart był teraz studentem University of San Francisco i mieszkał sam w apartamencie w Haight-Ashbury, trzy przecznice od uczelni. Do Santa Rosa wybrał się z wizytą, bo tam właśnie mieszkał jego chłopak, Antonio. Jak zapewniał dziennikarzy, marzył o karierze prawnika i pracy w obronie praw człowieka. Chętnie dzwonił do stacji radiowych, by opowiadać o tragicznej przygodzie, która go spotkała. Był pierwszym - od czasu Susan Larson i jej wizyty w redakcji „Observera” - ocalonym przez Człowieka Wilka, który miał ochotę na kontakty z mediami.

Reuben właśnie chłonał w pośpiechu nowiny, gdy przeszkodzili mu dwaj funkcjonariusze z biura szeryfa w Mendocino, którzy chcieli porozmawiać z nim o Człowieku Wilku oraz o tym, czy przypadkiem nie przypomniał sobie jakichś istotnych szczegółów dotyczących owej strasznej nocy, gdy zginęła Marchent. I czy w ogóle wiedział, że Człowiek Wilk znowu zaatakował, tym razem w Santa Rosa?

Rozmowa była nader krótka, ponieważ Reuben naprawdę nie przypominał sobie nic więcej na temat „owej strasznej nocy”. Funkcjonariusze uznali za stosowne wyrazić oburzenie z powodu faktu, że ludzie nic nie rozumieją ze sprawy Człowieka Wilka i zamiast pomagać w złapaniu go, najwyraźniej czekają, aż ów maniak skonsumuje jakąś niewinną osobę.

Wyszli wreszcie, a pięć minut później Reuben znowu musiał oderwać się od strumienia wiadomości. Dzwonił Stuart.

- Pan wie, kim jestem - odezwał się pełen życia głos w słuchawce. - Niech pan posłucha. Właśnie rozmawiałem przez iclefon z pana szefową, Billie Kale. Czytałem artykuł, który pan wysmarował o tej babce, tej pierwszej, która widziała Człowieka

Wilka. Naprawdę chciałbym z panem pogadać. Jeśli jest pan zainteresowany, proszę przyjechać do Santa Rosa. Na razie mnie stąd nie wypuszczą. Aha, jeśli pan nie chce, to w porządku, ale wolałbym wiedzieć od razu, wtedy zadzwonię do kogoś innego. Zgoda? No, jak będzie? Jak nie, to znowu zadzwonię do tej redaktorki; ona uprzedzała, że może się nie udać...

- Stop! Powiedz mi, gdzie dokładnie jesteś. Przyjadę.

- O Boże, myślałem, że nagrywam się w skrzynce głosowej! To pan? Super. Jestem w szpitalu Świętego Marka w Santa Rosa. Proszę się spieszyć, bo lekarze zapowiadają, że koniec z wizytami.

Zanim Reuben dotarł na miejsce, Stuart dostał gorączki i o odwiedzinach nie było mowy. Postanowił poczekać, bez względu na to, czy miało to potrwać kilka godzin czy kilka dni. Wreszcie, mniej więcej o drugiej, pozwolono mu porozmawiać z pacjentem. Reuben zdążył tymczasem wysłać do Grace dwie wiadomości, w których prosił, żeby skontaktowała się z lekarzami w Santa Rosa i podzieliła się z nimi „protokołem leczenia”, który zastosowała w przypadku Reubena - na wypadek gdyby „wilkołak” podrapał lub ugryzł chłopaka, bo przecież nigdy nic nie wiadomo.

Grace jakoś nie miała ochoty przejąć inicjatywy. Odpisała: „Nikt nie wspominał o tym, żeby chłopak był pogryziony”.

A jednak był.

Gdy Reuben wszedł do sali, Stuart siedział na łóżku wsparty na stercie poduszek, z dwiema kroplówkami na stojakach. Miał opatrunki na twarzy, lewej dłoni i ramieniu - nie mówiąc o tych, które musiał mieć pod szpitalną koszulą - ale wracał do zdrowia w „cudownym” tempie. Pił właśnie czekoladowy koktajl, uśmiechając się promiennie. Spoglądając na jego roześmiane oczy i piegowate oblicze, Reuben pomyślał mimowolnie o Tomku Sawyerze i Hucku Finnie.

- Ugryzł mnie! - zameldował Stuart, unosząc obandażo-

waną rękę, z której zwisały przezroczyste rurki. - Zamienię się w wilkołaka! - dodał, po czym wybuchnął niekontrolowanym śmiechem.

Środki przeciwbólowe, pomyślał Reuben.

Matka Stuarta, Buffy Longstreet, zabójczo urocza blondynka o podobnie piegowatych policzkach i małym, zadartym -dzięki osiągnięciom chirurgii plastycznej - nosku, siedziała w kącie pokoju, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Przyglądała się synowi z mieszaniną fascynacji i przerażenia.

- Ale poważnie, coś panu powiem — oznajmił Stuart. — Jeżeli to jest facet w kostiumie, w co nikt przy zdrowych zmysłach nie wątpi, to jest to kostium pierwszej klasy. Kostium nad kostiumami. A facet musiał się naćpać fencyklidyny, bo po żadnych innych prochach nie dostałby takiej mocy. Skakał i fruwał lepiej niż anioły. Nie uwierzyłby pan, co on potrafi. Nie wykluczam, że to jakieś nieznane nauce zwierzę. Ale moja teoria jest inna.

- To znaczy? - spytał Reuben. Wiedział już, że będzie to jeden z tych wywiadów, w których reporter nie musi zadawać żadnych pytań.

- Dobra — zaczął Stuart, wskazując kciukiem na własną pierś — ja osobiście uważam, że sprawa wygląda tak. Facet jest normalnym człowiekiem, ale przytrafiło mu się coś okropnego. Zapomnijmy o tych bredniach o wilkołaku - to już się przejadło, ślepa uliczka, wystarczają koszulki i kubeczki z jego podobizną. Ten facet musiał przejść jakąś infekcję czy chorobę - jakąś akromegalię-coś-tam-coś-tam — która zmieniła go w potwora. Mój ojciec wymarzył sobie kiedyś wyprawę do Amazonii - chciał popłynąć rzeką, połączyć po dżungli, nieważne. Dostał infekcji, w ciągu tygodnia wysiadły mu nerki i t rzustka. I zmarł w brazylijskim szpitalu.

- To straszne - mruknął Reuben.

- Owszem. Ten stwór musiał przeżyć coś podobnego. To owłosienie, te przerośnięte kości...

- Jakie przerośnięte kości?

- On ma wielkie, kościste łapy, kościste stopy, kościste czoło — no, wie pan. Są takie choroby, które powodują przyspieszony wzrost. W tym przypadku urosły nie tylko kości, ale i włosy. No i facet jest zupełnie sam - jak upiór w operze albo Człowiek Słoń, jak cyrkowe dziwadło, jak Claude Rains w *Niewidzialnym człowieku*. Dlatego ześwirował. Ale on ma uczucia! I to jakie. Żeby pan go widział, kiedy tak stał i patrzył na Antonia. Naprawdę, tylko stał i patrzył. Aż w końcu uniósł łapy, o tak... cholera, prawie wyrwałem igły...

- Nie, są na miejscu.

- Uniósł łapy do twarzy, jakby widok martwego Antonia...

- Stuart, przestań! - wtzasnęła jego matka, wierząc się nerwowo na krześle. — W kółko o tym papłasz!

- Nie, nie, nie, mamu. To jest wywiad. Rozmawiam z reportetem. Gdyby nie chciał usłyszeć, co mam do powiedzenia o Antoniu i o tym, co się wydarzyło, toby tu nie przyszedł. Mamu, przyniesiesz mi jeszcze jeden koktajl? Proszę, proszę!

- Grrr! - warknęła matka i jak burza wypadła z pokoju na swych wysokich obcasach.

Niesamowite ciało, bez dwóch zdań, pomyślał Reuben.

- Teraz możemy normalnie gadać, nie? - powiedział Stuart. - Oszaleć z nią można. Ojczym pierze ją na kwaśne jabłko, a ona wini mnie. To podobno moja wina, że pociął jej nożykiem do tapet całą szafę ciuchów. Moja!

- Co jeszcze pamiętasz z tego ataku? - spytał Reuben. Nie wyobrażał sobie, by ten rumiany, jasnooki chłopak mógł umrzeć z powodu krzyżma. Albo z jakiegokolwiek innego powodu.

- Był silny, niewiarygodnie silny - odparł Stuart. - A tamci dźgali go nożami. Widziałem na własne oczy! Kłuli go, a on nawet nie mrugnął. A potem rozerwał ich na strzępy. Normalnie rozerwał. Ohyda, człowieku. Mówimy tu o kanibalizmie.

Policja nie pozwala świadkom gadać z mediami, ale mnie nie powstrzymają. Wiem, jakie prawa daje mi konstytucja. Nikt mi nie zabroni.

- W porządku. Coś jeszcze?

Stuart pokręcił głową. Nagle jego oczy zwilgotniały. Na oczach Reubena jakby zmienił się w sześciolatka i zaczął płakać.

- Przykro mi, że zabili twojego przyjaciela - powiedział Reuben.

Chłopak nie mógł się uspokoić.

Reuben stanął przy łóżku i przez piętnaście minut tulił go do piersi.

- Wie pan, czego się naprawdę boję? - spytał wreszcie Stuart.

- Czego?

- Że go dorwą. Że naprawdę zrobią krzywdę Człowiekowi Wilkowi. Że rozwalą go z karabinu maszynowego albo zatłuką pałąk jak małą foczkę. Sam nie wiem. Że naprawdę go zniszczą. Bo dla nich on nie jest człowiekiem, tylko zwierzęciem. Napompują go ołowiem jak Bonnie i Clyde'a. Oni przecież byli ludźmi, mimo to potraktowano ich jak zwierzęta

- Fakt.

- I nawet się nie dowiedzą, co się działo w głowie tego fa«eta. Nie dowiedzą się, kim naprawdę jest albo był i dlaczego /robił to, co zrobił.

- Boli cię ręka?

- Nie. Ale nie poczułbym nawet, gdyby się paliła - wpakowali we mnie tyle Valium i Vicodinu, że...

- Rozumiem. I znam to. Dobra, co jeszcze chciałbyś mi powiedzieć?

Przez pół godziny rozmawiali o Antoniu i jego macho-kuzynach, którzy tak go nienawidzili tylko dlatego, że był gejem, a także o ojczymie Stuarta, Hermanie Bucklerze, który zapłacił im za uprowadzenie i zamordowanie Antonia i Stuarta. Obaj

mieli zostać po śmierci okaleczeni. Rozmawiali też o Santa Rosa, o Akademii Katolickiej Świętego Sakramentu, a także o tym, jak to jest naprawdę być wybitnym prawnikiem od spraw kryminalnych, takim jak Clarence Darrow, idol Stuarta. Chłopak widział się w roli obrońcy zmarginalizowanych, zaniedbanych i pogardzanych. Rozpłakał się raz jeszcze.

- To przez te prochy — wyjaśnił. Jego twarz znowu była twarzą małego dziecka.

Matka wróciła z koktajlem.

- Jak będziesz tyle tego pił, zrobi ci się niedobrze! - oznajmiła zjadliwie, po czym z hukiem postawiła kubek na tacy przy łóżku.

Pielegniarka, która zajrzała do sali, zmierzyła Stuartowi temperaturę. Znowu gorączkował, a to oznaczało, że Reuben musi wyjść. Tak, powiedziała, naturalnie będą podawać pacjentowi leki przeciwko wścieklicznie, a także koktajl antybiotykowy, który powinien pokonać wszelkie infekcje przekazane przez tego wilkoluda. Ale Reuben i tak musi stąd wyjść.

- Wilkolud - powtórzył Stuart. - Nawet ładnie to brzmi. Odwiedzi mnie pan jeszcze czy wystarczy już materiału na artykuł?

- Postaram się wpaść jutro, żeby sprawdzić, jak się czujesz - odparł Reuben. Zostawił Stuartowi swoją wizytówkę, z adresem i numerem telefonu do domu w Mendocino zapisanymi na odwrocie. Wszelkie inne numery kontaktowe uwiecznił na wolnej stronie *Gry o tron*, wydania w twardej oprawie.

Wychodząc, zostawił wizytówkę także w pokoju pielęgniarek. Poprosił, żeby zadzwoniły, gdyby stan pacjenta się zmienił. Czuł, że załamałby się, gdyby chłopak miał naprawdę umrzeć.

Przy windzie udało mu się złapać lekarkę prowadzącą, doktor Angie Cutler. Zachęcił ją, by skontaktowała się z Grace w San Francisco, bo przecież miała doświadczenie — leczyła go

w bardzo podobnym przypadku. Starał się zachować taktownie, ale miał wewnętrzne przekonanie, że kuracja, którą zafundowała mu matka, pomogła mu uniknąć najgorszego. Doktor Cutler zareagowała bardziej pozytywnie, niż się spodziewał. Była młodsza od Grace, słyszała o niej i szanowała ją. Była też urocza. Reuben i jej wręczył swoją wizytówkę.

- Proszę dzwonić w dowolnym momencie - powiedział i dodał kilka słów o tym, że sam przechodził podobne perypetie.

- Wiem o panu wszystko - odrzekła doktor Cutler, uśmiechając się zachęcająco. - I cieszę się, że pan odwiedził tego chłopca, bo już zaczynał chodzić po ścianach. Ma niewiarygodny potencjał regeneracyjny, zdrowieje w niebywałym tempie. Gdyby pan widział, jaki był posiniaczony, gdy go tu przywieźli!

Jadąc windą na dół, zadzwonił do Grace i raz jeszcze zachęcił, by skontaktowała się z miejscową lekarką. Chłopak naprawdę został ugryziony.

Matka milczała przez chwilę, a potem odezwała się z wyczuwalną rezerwą:

- Reuben, gdybym jej opowiedziała o tym, co zaobserwowałam podczas twojej rekonwalescencji, straciłabym w jej oczach całą wiarygodność.

- Wiem, mamó. Rozumiem - odrzekł. - Ale być może istnieją ważne fakty, którymi mogłabyś się z nią podzielić. No wiesz - podpowiedzieć, jakich użyłaś antybiotyków, leków przeciwko wścieklicznie... Cokolwiek pomogło mnie, może pomóc temu chłopakowi.

- Reuben, nie mogę tak po prostu do niej zadzwonić, ledyną osobą, którą zainteresowały moje spostrzeżenia na temat twojego przypadku, był doktor Jaska, za którym tak przepadasz.

- Wiem, mamó. Ale mówię jedynie o Jęczeniu chłopaka, który został pogryziony. To wszystko.

Poczuł zimny dreszcz. Wyszedł ze szpitala i ruszył w stronę samochodu. Znowu padało.

- Mamo, przykro mi, że nie zostałem wtedy w domu i nie porozmawiałem z doktorem Jaską. Wiem, że tego chciałaś. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, wkrótce z nim porozmawiam.

Ale gdybym wtedy został, dodał w duchu, to zanim dotarłbym do Santa Rosa, Stuart McIntyre już by nie żył.

Cisza w słuchawce trwała tak długo, że zaczął już podejrzewać, że stracił zasięg. Gdy Grace wreszcie się odezwała, jej głos brzmiał obco.

- Reuben, dlaczego przeniosłeś się do Mendocino? Co się z tobą dzieje?

Jak miał jej odpowiedzieć?

- Mamo, proszę cię, nie tetaz. Cały dzień spędziłem w szpitalu. Po prostu zadzwoń do tej lekarki. Powiedz, że chciałabyś pomóc, bo miałaś podobny przypadek...

- Posłuchaj. Jutro masz przyjąć ostatni zastrzyk przeciwko wściekliźnie. Pamiętasz o tym, prawda?

- Na śmierć zapomniałem.

- Reuben, codziennie zostawiałam ci wiadomość. Jutro mija dwudziesty ósmy dzień i musisz wziąć ostatni zastrzyk. Czy twoja piękna pani, Laura, ma komórkę? I co ważniejsze, czy odbiera telefony? Może to jej powinnam zostawiać wiadomości?

- Poprawię się, obiecuję.

- W porządku. Posłuchaj. Zamierzałam wysłać do ciebie pielęgniarkę z tym zastrzykiem, ale jeśli wolisz, mogę zadzwonić do tej lekarki z Santa Rosa. Niech ci zrobi zastrzyk jutro rano, gdy przyjedziesz z wizytą do tego chłopca. A skoro już będę z nią gadać, to zapytam, czy jakoś mogę jej pomóc, podzielić się doświadczeniem - choć nie wszystkim chciałabym się dzielić. Zobaczmy, jak się potoczy rozmowa.

- Mamo, byłoby idealnie. Jesteś najlepszą mamą świata. Ale mówisz poważnie, że minęło dwadzieścia osiem dni?



Reuben miał wrażenie, że minął wiek. Jego życie zmieniło się nie do poznania. W zaledwie dwadzieścia osiem dni.

- Tak, Reuben. Właśnie cztery tygodnie temu mój ukochany syn Reuben Golding zniknął, a ty zająłeś jego miejsce.

- Kocham cię, mamó. I z czasem spróbuję odpowiedzieć na wszystkie pytania i rozwiązać wszystkie problemy, żeby na powrót wprowadzić harmonię w naszym małym świecie.

Grace parsknęła śmiechem.

- O, teraz przemówiłeś jak mój Chłopczyk. Zakończyła połączenie.

Przystanął przy samochodzie. Ogarnęło go dziwne uczucie -nieprzyjemne, ale nie straszne. Wyobraził sobie scenę z przyszłości. Siedzi z matką przy kominku w wielkim salonie w Nideck Point. Mówi jej o wszystkim. Rozmawiają półgłosem, intymnie, i dzieli się z nią całą prawdą, a ona akceptuje wszystko i ofiarowuje mu całą swoją wiedzę, całe doświadczenie i niezwykłą intuicję.

W tym małym świecie nie ma miejsca dla doktora Akima Jaski ani dla nikogo innego. Tylko on i Grace. Grace wie. Grace rozumie. Grace gotowa jest pomóc mu zrozumieć, co się z nim dzieje. Grace jest przy nim.

To byłoby jednak niemożliwe. Z równym powodzeniem mógł wyobrazić sobie w dzieciństwie, że ciemną nocą anioły rozpościerają swe opiekuńcze skrzydła nad jego łóżeczkiem. Gdy wyobraził sobie matkę w takiej scenie, wyglądała dość dziwnie, przeraziła go. Miała złowrogi błysk w oku, a połowę jej twarzy spowijał cień.

Wzdrygnął się.

Nie, to niemożliwe.

Swoją tajemnicę mógł dzielić co najwyżej z Feliksem Nideckiem, a także - oby jak najdłużej - z Laurą, ale z nikim innym... może z wyjątkiem pogodnego, jasnookiego chłopaka o piegowatej twarzy i szerokim uśmiechu, który w szpitalnej salce

wracał do zdrowia w nieprawdopodobnym tempie. Pora ruszać do domu, pomyślał Reuben. Do Laury, do Nideck Point. Jeszcze nigdy nowy dom nie wydawał mu się tak bezpieczną przystanią.

Zastał Laurę w kuchni, zajętą przygotowaniem wielkiej porcji surówki. Powiedziała, że gdy się czymś martwi, zawsze przyrządza surówkę.

Opłukała już i osuszyła liście sałaty papierowymi ręcznikami. Wyjęła wielką, drewnianą miskę i wysmarowała oliwą oraz świeżo zmiażdżonym, niesamowicie aromatycznym czosnkiem. Zaczęła rwać liście sałaty na małe kawałki i obtaczać w oliwie. Przygotowała wielką stertę lśniących, zielonych skrawków.

Wręczyła Reubenowi drewniane łyżki i poleciła powoli mieszać sałatę. Dorzuciła do niej drobno posiekaną zieloną cebulkę oraz zioła - po szczypcie z każdego: oregano, tymianek i bazylię - energicznie roztarte w dłoniach. Ich drobiny doskonale trzymały się zwilżonych oliwą listków sałaty. Wreszcie dodała octu winnego. Reuben wciąż mieszał, a Laura zajęła się krojeniem awokado i pomidorów, którymi przybrała talerze, a także miękkiego i ciepłego chleba prosto z kuchenki. Zjedli razem.

Gazowana woda mineralna w kryształowych kieliszkach wyglądała jak szampan.

- Lepiej ci? - spytał. Jeszcze nigdy nie wchłonął tak ogromnej porcji surówki.

Przytaknęła. Jadła subtelnie, od czasu do czasu zerkając na wypolerowany, srebrny widelec. Powiedziała, że nigdy nie widziała tak głęboko grawerowanych sztućców.

Reuben spojrział przez okno na dęby.

- Co się stało? - spytała.

- To straszne, ale sam już nie wiem, ilu ludzi zabiłem. Muszę wziąć kartkę, długopis, i policzyć. Nie wiem też, ile nocy minęło, ile razy przeżyłem przemianę. Powinienem rachować, spisywać, prowadzić tajemny dzienniczek zmian, które wciąż postępują.

W jego głowie kłębiły się dziwne myśli. Wiedział, że nie

może wieść w nieskończoność takiego życia. To po prostu nie było możliwe. Zastanawiał się, jak by się żyło w innym kraju, kraju bezprawia, gdzie zło panoszy się wszędzie i nikt nie liczy ofiar. Pomyślał o wielkich miastach, takich jak Kair, Bangkok czy Bogota, i o ogromnych krajach z nieskończonymi połaciami równin i lasów.

— Ten chłopak, Stuart - rzekł po chwili. - Myślę, że wyjdzie z tego. To znaczy: nie umrze. Czy wydarzy się coś innego — jeszcze nie wiem, bo i skąd? Gdybym tylko mógł porozmawiać z Feliksem. Chociaż... chyba wiąże z tą rozmową zbyt wielkie nadzieje.

— On wróci — odpowiedziała.

— Chcę zostać dziś w domu. Nie pójdę do lasu. Nie chcę przemiany. A jeśli już nastąpi, to chcę być sam, w głuszy, tak jak wtedy w Muir Woods, gdy cię poznałem.

— Rozumiem — odrzekła. — Boisz się, że nie będziesz potrafił się kontrolować. Ale nie będziesz tu sam.

— Nigdy nawet nie próbowałem — odpowiedział. — Powinienem się wstydzić. Muszę spróbować. A rano muszę wracać do Santa Rosa.

Zmierzchało już. Ostatnie promienie zachodniego słońca umknęły z lasu i głębokie, granatowe cienie gęstniały z każdą chwilą. Lekki deszcz szemrał za oknami.

Reuben poszedł do biblioteki, żeby zadzwonić do szpitala w Santa Rosa. Pielęgniarka poinformowała go, że Stuart znowu gorączkuje, ale poza tym „nieźle się trzyma”.

Dostał SMS-a od Grace. Umówiła go na ostatni zastrzyk z doktor Angie Cutler, lekarką Stuarta, na jutro o dziesiątej rano.

Nad Nideck Point zapadła noc.

Wpatrywał się w wiszącą nad kominkiem fotografię czcigodnych dżentelmenów - Feliksa, Margona Spervera i pozostałych, pozujących w tropikalnym lesie. Czy wszyscy oni byli bestiami, jak on? Czy zbierali się, żeby wspólnie polować, wymieniać sekrety? A może Felix był sam, jak on?

„Podejrzewam, że Felix Nideck został zdradzony”.

Co to mogło znaczyć? Czy to Abel Nideck spiskował przeciwko swemu stryjowi? Czy wzbogacił się dzięki temu? Czy nie powiedział o tym swej kochającej córce Marchent?

Reuben zaczął przeglądać zasoby Internetu, szukając wzmianek o prawdziwym Feliksie Nidecku, ale niczego nie znalazł. A jeśli wróciwszy do Paryża, Felix przybrał inną tożsamość?

W wieczornym serwisie informacyjnym przekazano wiadomość, że ojczym Stuarta został zwolniony z aresztu za kaucją. Małomówny funkcjonariusz policji poinformował reporterów, że mężczyzna pozostanie „w kręgu zainteresowania”, ale nie jest podejrzany. Matka Stuarta twierdziła stanowczo, że jej mąż jest niewinny.

Człowieka Wilka widziano w Walnut Creek i w Sacramento. Podobno był też w Los Angeles. Jakaś kobieta z Fresno twierdziła, że ma jego zdjęcie. Para z San Diego zeznała, że padła ofiarą napadu i została ocalona przez Człowieka Wilka, tylko nie zdążyła mu się przyjrzeć. Policjanci badali też sprawę rzekomego pojawienia się wilkołaka w okolicy jeziora Tahoe.

Prokurator generalny stanu Kalifornia powołał specjalną grupę operacyjną, której zadaniem było schwytanie Człowieka Wilka, a także komisję złożoną z uczonych, którzy mieli badać wszelkie dowody znalezione na miejscach zbrodni.

Władze nie były skłonne przyznać, że dzięki działalności Człowieka Wilka zmalała liczba przestępstw dokonywanych w tych stronach. Policjanci byli odmiennego zdania. Ulice północnej Kalifornii były ostatnio względnie spokojne.

- On może być wszędzie - powiedział funkcjonariusz z Mili Valley.

Reuben otworzył edytor tekstu, żeby napisać artykuł o Stuarcie McIntyre dla „Observera”. Bazował przede wszystkim na relacji chłopaka - streścił przebieg ataku i dołączył teorię Stuarta o tajemniczej chorobie potwora. Podobnie jak w po-

przednich tekstach, skupił się też na nierozwiązywalnym problemie moralnym: Człowiek Wilk był sędzią, ławą przysięgłych i katem dla tych, którzy wpadli w jego łapy, a społeczeństwo uważało go za superbohatera.

Nie możemy podziwiać jego brutalnej interwencji i barbarzyńskiego okrucieństwa. Jest wrogiem wszystkiego, co uważamy za święte, zatem jest i naszym wrogiem, nie przyjacielem. To, że znowu uratował od pewnej śmierci niewinne ofiary, nie jest chwalebne ani rrochę bardziej niż ewentualne pozytywne skutki wybuchu wulkanu albo trzęsienia ziemi. Spekulacje co do osobowości, ambicji czy motywów sprawcy muszą pozostać tym, czym są - jedynie spekulacjami. Tymczasem zaś radujmy się, że Stuart McIntyre żyje i jesr bezpieczny.

Nie był to ani szczególnie oryginalny, ani natchniony artykuł, ale nie był też zły. Dominującym motywem była osobowość Stuarta, niezwycięzonego, piegowatego, nastoletniego bohatera sztuki *Cymno de Bergerac*, który przeżył brutalny atak i niemal natychmiast gotów był opowiedzieć o tym dziennikarzom, siedząc na szpitalnym łóżku. O ugryzieniu Reuben wspomniał tylko mimochodem, bo i Stuart się nad tym nie rozwodził. Nikt nie skojarzył, że i w pierwszym ataku Człowieka Wilka doszło do ugryzienia. Opinia publiczna ignorowała ten temat.

Reuben i Laura poszli na górę, do swego łoża z wysokim wezłowiem, i przytuleni obejrzel piękny, francuski film leana Cocteau, *Piękna i Bestia*. Reuben był już senny, a poza tym trochę go drażniło to, że Bestia tak uroczo przemawia po liancusku do Pięknej. Filmowy potwór błyskał ślepiami, nosił .iksamitne ubranie i koronki. Piękna była, rzecz jasna, piękna i łagodna - jak Laura.

Zasnął. Przyśniło mu się, że biegnie w wilczej postaci po niekończących się połaciach wybujałych traw, niestrudzenie

wybijając łapami rytm. Na horyzoncie widział ścianę ciemnego, bezkresnego lasu. W lesie spotykał miasta ze szklanymi wieżami wysokimi jak daglezje i sekwoje, budynki przystrojone bluszczem i winoroślą, a także wielkie dęby sięgające koronami wyżej niż wielopiętrowe budynki o spiczastych dachach i dymiących kominach. Cały ten świat był w istocie lasem drzew i wież. To jest raj, nucił, wspinając się coraz wyżej i wyżej.

Chciał się obudzić i opowiedzieć Laurze ten sen, ale wiedział, że wizja umknie, gdy tylko otworzy oczy lub choćby drgnie, ponieważ była delikatna jak mgła - choć tak realistyczna. We śnie nadeszła noc i niebosiężne wieże pokryły się plamkami światła, migocącymi pomiędzy ciemnymi pniami drzew i potężnymi konarami.

- Raj - wyszeptał.

Otworzył oczy. Leżała na boku, wsparta na łokciu, i przyglądała mu się. Upiorne światło telewizyjnego ekranu padało na jej twarz, na wilgotne usta. Dlaczego miałyby go pragnąć takim, jakim teraz był? Był młodym, bardzo młodym mężczyzną o dłoniach tak delikatnych jak matczyne.

A jednak pragnęła. Zaczęła całować go agresywnie; zacisnęła palce na jego lewym sutku, z miejsca budząc w nim pożądanie. Bawiła się jego skórą tak, jak on zwykł bawić się jej. Owalne paznokcie subtelnie drapały jego twarz, dotykały zębów, szczypały wargi. Ciężar jej ciała był przyjemny, dotyk długich włosów łaskotał. Nagie ciało przy nagim ciele. I ten wilgotny, miękki dotyk, tak. Kocham cię, Lauro.

Obudził się o wschodzie słońca.

Minęła dziesiąta noc od czasu pierwszej metamorfozy i pierwsza, podczas której przemiana nie nastąpiła. Czuł ulgę, ale i dziwny niepokój, jakby przegapił coś ważnego, jakby ktoś na niego daremnie czekał, jakby nie był do końca uczciwy wobec czegoś, co przypominało sumienie, choć nim nie było.

Minęło jeszcze siedem nocy, zanim Reuben ponownie spotkał się ze Stuartem.

Przyjął ostatni zastrzyk, tak jak umówił się z mamą, ale doktor Cutler nikogo nie dopuszczała do Stuarta do czasu, aż zostanie opanowana gorączka - i nie tylko. Była w stałym kontakcie z Grace i wdzięczna Reubenowi za pośrednictwo.

Gdyby nie to, że Grace zaczęła się pojawiać w Santa Rosa i osobiście doglądać rannego, a następnie opowiadać Reubenowi o postępach w leczeniu, pewnie oszalałby z niepokoju. Doktor Cutler naturalnie odbierała telefon, gdy dzwonił, i zachowywała się bardziej niż przyjaźnie, ale nie była skłonna do zwierzeń. Wymknęło się jej tylko tyle, że Stuart urósł skokowo, w zupełnie niepojęty sposób. Choć z drugiej strony miał zaledwie szesnaście lat. Chrzastki nasadowe w jego ciele nadal działały, tyle że doktor Cutler jeszcze nigdy nie widziała, by stymulowały wzrost kości w takim tempie. Co ciekawe, błyskawicznie rosły także włosy Stuarta.

Reuben nie mógł się doczekać, kiedy go znowu zobaczy, ale żadne zaklęcia nie działały na doktor Cutler.

Grace znacznie chętniej udzielała informacji, choć z wyraźnym zastrzeżeniem, że nawet jedno słowo nie może trafić do prasy. Reuben przysiągł zachować dyskrecję. Chce tylko, żeby chłopak z tego wyszedł, pomyślał, żeby żył, przetrwał i pozostał laki, jak był dawniej.

A Stuart, choć gorączkował i chwilami majaczył, był zda-

niem Grace w kapitalnej formie i wykazywał wszystkie objawy, które poznała wcześniej u Reubena: siniaki zniknęły, zębra się zrosły, skóra lśniła zdrowym rumieńcem, a całe ciało rozrastało się w tempie obrazowo opisanym przez doktor Cutler.

— Tym razem proces jest szybszy — powiedziała Grace. — Znacznie szybszy. Może dlatego, że chłopak jest młodszy. Tych kilka lat robi ogromną różnicę.

Stuart dostał okropnej wysypki od antybiotyków, która jednak błyskawicznie zniknęła. Nie ma się czym martwić, twierdziła Grace. Gorączka i majaki mogły budzić niepokój, ale skoro nie było śladu infekcji, a chłopak codziennie przez długie godziny czuł się zupełnie zdrowy? Groził nawet, że wyskoczy przez okno, jeśli nie dostanie swojej komórki i komputera; miał też dość siły, żeby się kłócić z matką, która naciskała, by oczyścił ojczyma z zarzutów. Twierdził, że słyszy głosy i wie, co się dzieje nie tylko w szpitalu, ale i w sąsiednich budynkach. Bywał podniecony, nie chciał współpracować, myślał tylko o tym, kiedy wreszcie wstanie z łóżka. A przy tym bał się ojczyma; bał się też, że ojczym skrzywdzi jego matkę. Często dostawał środki uspokajające.

— Straszna kobieta, ta jego matka — stwierdziła Grace. — Zadzrosna o własnego syna. Obwinia go o napady szału ojczyma. Traktuje jak uciążliwego, młodszego braciszka, który rujnuje jej szczęśliwe życie z nowym kochaniem. A chłopak nawet nie widzi, jak bardzo dziecinna jest ta kobieta. Niedobrze się robi.

— Pamiętam ją — mruknął Reuben.

Jednak nawet Grace twierdziła uparcie, że absolutnie nikt nie może teraz odwiedzać Stuarta. Przynajmniej tyle lekarze mogli zrobić, by utrzymać z daleka ludzi szeryfa, policję i prokuratorów. Jak mogłaby zrobić wyjątek dla Reubena?

— Ich pytania wyprowadzały go z równowagi — powiedziała. Reuben rozumiał.

Stróże prawa przyjeżdżali też do Nideck Point — cztery razy



w ciągu tygodnia - i domagali się informacji. Reuben siadał na kanapie przy kominku i cierpliwie po raz kolejny wyjaśniał, że nie widział „bestii”, która go zaatakowała. Po raz kolejny też oprowadzał ich po korytarzu, w którym doszło do napaści. Pokazał im nawet okna, które zostały wtedy wybite. Wyglądali na usatysfakcjonowanych. I wracali następnego dnia.

Nie cierpiał tych wizyt, podczas których zmuszał się, by brzmieć całkiem szczerze, udawał, że żywo reaguje na ich pytania, a jednocześnie wszystko w nim drżało. Byli rzetelnymi funkcjonariuszami, ale i utrapieniem.

Reporterzy biwakowali u drzwi szpitala w Santa Rosa. Dawni koledzy ze szkoły średniej założyli fanklub Stuarta i co dnia pikietowali, domagając się postawienia mordercy przed sądem. Do grupy dołączyły też dwie radykalnie nastawione zakonnice. Oznajmiły światu, że Człowiek Wilk z San Francisco bardziej się przejmuje okrucieństwem wobec młodocianych gejów niż uczciwymi mieszkańcami Kalifornii.

Pod wieczór Reuben wkładał bluzę z kapturem i ciemne okulary, by wiernie patrolować ulice wokół szpitala. Okrążał cały kwartał, nasłuchując i rozmyślając posepnie. Mógł przysiąc, że raz nawet widział Stuarta w oknie. A może Stuart go słyszał? Zaczął szeptać, że czuwa, że nie zostawi go samego, że czeka.

Grace twierdziła, że ryzyko śmierci minęło.

- Można o tym zapomnieć. Chciałabym jednak ustalić, skąd się biorą te dziwne objawy. I co oznaczają. Powiem ci, że powoli staje się to moją pasją.

I to niebezpieczną, dodał w myślach Reuben. Cieszył się niezmiernie, że Stuart będzie żył, między innymi dzięki Grace.

Grace tymczasem pokłóciła się z doktorem Jaską, ale za żadne skarby nie chciała wyjawić Reubenowi, z jakiego powodu. Srwierdziła tylko, że nie spodobały jej się niektóre jego sugestie.

— Ten gość wierzy w różne dziwne rzeczy, Reuben — powie-

działa. - Powiedziałabym, że ma obsesję. Ale były i inne sygnały ostrzegawcze. Jeśli się z tobą skontaktuje, nie odpowiadaj.

- Załatwione - odparł Reuben.

Jaska zaczął tymczasem kręcić się wokół Stuarta i wciągać jego matkę w długie rozmowy na temat spotkania chłopca z Człowiekiem Wilkiem, a to wydawało się Grace mocno podejrzanym. Proponował leczenie w tajemniczym szpitalu w Sausalito, który nie miał udokumentowanej historii i który miał jedynie licencję „prywatnego ośrodka rehabilitacyjnego”.

— Nie dopiął jeszcze swego z jednej prostej przyczyny — komentowała Grace. - Ta kobieta ma to gdzieś.

Reuben umierał z niepokoju. Pojechał na południe i odszukał matkę Stuarta w przestronnym i nowoczesnym pałacu z drewna i szkła, przy Plum Ranch Road, na wschód od Santa Rosa.

Owszem, pamiętała go ze szpitala, bo był przystojny. Niech wejdzie. Nie, nie martwi jej stan Stuarta; kręci się wokół niego więcej lekarzy niż potrzeba. Jakiś dziwak z Rosji, niejaki doktor Jaska, chciał się spotkać z jej synem, ale doktor Golding i doktor Cutler odmówiły. Doktor Jaska był zdania, że Stuart powinien trafić do czegoś w rodzaju sanatorium, ale nie bardzo rozumiała dlaczego.

W trakcie tego wywiadu - który tak naprawdę nie był wywiadem - w domu pojawił się ojczym, Herman Buckler. Był niewysokim, żylastym typem o wyrazistej twarzy i ciemnych oczach. Nosił platynowego jeża na głowie i mocną opaleniznę. Nie życzył sobie, by małżonka rozmawiała z dziennikarzami. Był nawet wściekły, że już to zrobiła. Reuben mierzył go zimnym spojrzeniem. Wyraźnie wyczuwał woń zła, znacznie wyraźniej niż w obecności doktora Jaski. Mimo to wytrzymał w obecności Bucklera tak długo, jak zdołał, żeby mu się przyjrzeć. Usłuchał, gdy stanowczo kazano mu wyjść.

Ten człowiek był zatruty urazą i gniewem. Miał dość tego,

że Stuart przewracał jego życie do góry nogami. Żona bała się go jak ognia i robiła wszystko, żeby go udobruchać. Przepraszała Reubena, ale radziła mu, żeby już poszedł.

Reuben czuł w brzuchu potężne skurcze. A przecież był to środek dnia! To był pierwszy taki przypadek, jeśli nie liczyć tych lekkich dolegliwości podczas spotkania z doktorem Jaską. Wychodząc z wielkiego, drewniano-szklanego domu, nie spuszczał z oczu Hermana Bucklera.

Przez długi czas siedział za kierownicą porsche, podziwiając okoliczne lasy i wzgórza i czekając, aż spazmy ustąpią. Niebo było tego dnia błękitne i w blasku słońca widać było całe piękno kalifornijskiej krainy win. Stuart dorastał we wspaniałej okolicy, pomyślał.

Tak naprawdę nie czuł, że przemiana może nastąpić spontanicznie. Ale czy mógł sprowadzić ją za dnia wysiłkiem woli? Nie był pewny. Pewność miał natomiast co do tego, że Herman Buckler był w pełni zdolny do zlecenia zabójstwa swego pasierba. Żona też zdawała sobie z tego sprawę, chociaż wolą nie wiedzieć. Stała przed trudnym wyborem między mężem a synem.

Reuben wiedział już, że w nocy w pełni kontroluje wilczy dar - i to w obu kierunkach.

Przez pierwsze trzy noce po wizycie u Stuarta w ogóle nie pozwalał sobie na przemianę. I choć dało mu to pewną satysfakcję, wkrótce zaczął odczuwać także negatywne skutki. Czuł to, co czuje poszczący: że jedzenie i napoje to coś więcej niż paliwo służące podtrzymaniu życia.

Gdy wreszcie poddał się transformacji, zaszył się w lesie opodal Nideck Point. Polował, włóczył się, poznawał bieg leśnych strumieni i wspinał się na najwyższe drzewa, jak nigdy dotąd sięgając nieomal wierzchołków. W pniu starego, spalonego drzewa zimował niedźwiedź. W okolicy buszował też dziki kot, najprawdopodobniej samiec, potomek pumy, którą zabił

Reuben. Był nawet jelen, ale Człowiek Wilk nie miał ochoty na niego polować. Z przyjemnością natomiast pożerał drobną zwierzynę - pulchne, kudłate wiewiórki, neotomy, bobry, ryjówki, krety, a także zimnokrwiste, zaskakująco delikatne w smaku salamandry, węże i żaby. Ubóstwiał łowić ryby; jego wielkie łapy szybko nauczyły się chwytać w wodzie dowolną zdobycz. Wysoko w koronach drzew łapał często bezradne kruki i małe strzyżyki; połykał je wraz z piórami, czując, jak ich serduszka wciąż biją w wąskiej piersi. Delektował się mięsem dzięciołów, junco oraz drozdów.

Fascynowało go to, jak słuszne wydaje się pożeranie własnoręcznie upolowanej zdobyczy, a także samo istnienie łowieckiego instynktu. Kusilo go, żeby zbudzić hibernującego niedźwiedzia. Był ciekaw, czy dałby mu radę.

Daleko na północy, w lesie podobnie gęstym jak ten, którego był właścicielem, wyczuł zapach łosia. Miał chęć zapolować, ale powstrzymał się. Marzyły mu się pola pełne owiec; chciał płoszyć je głośnym rykiem i doganiać najdorodniejsze sztuki, by kłami pruć wełniste gardła, sycić głód gorącą baraniną. Jednocześnie pragnął pozostać niewidoczny na własnym terytorium. Nie oddalał się też zbyt od Laury, która czekała na niego w łozu, ubrana w białą flanelę i koronki. Budził ją, gdy wracał, dotykając jej ciała łapami bestii i całując ją ustami bestii.

Czy to mu wystarczało? Te cudowne noce w zaczarowanym lesie, którego był właścicielem? Puszcza wciąż była ledwie cieniem tej miejskiej dziczy leżącej na południu, wzywającej go obietnicą tysiąca zmieszanych głosów. Potrzebuję cię, Ogrodzie Bólu. Czym są pieśni bestii dla krzyków świadomych dusz? Ile jeszcze mógł wytrzymać?

W pewnym sensie łatwiejsze były dni, nawet jeśli policjanci nachodzili go regularnie.

Czytał wszystkie książki o wilkołakach, nie tylko powieści, ale i relacje o rzekomych spotkaniach z wilkołakami w różnych

zakątkach świata, o tybetańskim Yeti i o Wielkiej Stopie z Kalifornii. Przeszukiwał też światowe archiwa, tropiąc wzmianki o czcigodnych dżentelmenach z fotografii, ale ich nie znalazł. Coraz lepiej poznawał swój dom i całkiem realnie myślał o tym, że pewnego dnia może on trafić znowu w ręce Feliksa. Na razie jednak to Reuben był właścicielem i pragnął kochać te mury coraz mocniej i wiedzieć o nich coraz więcej. Razem z Laurą poszukiwał tajemnych przejść i nieodkrytych jeszcze pomieszczeń.

Do ich drzwi zapukała grupa mieszkańców Nideck. Nina, niepozorna licealistka, którą poznał pierwszego wieczoru u Marchent, przywykła do spacerów po okolicznych lasach, ale ostatnio Galton przeganiał wszystkich wędrowców. Wyjaśniła ze łzami w oczach, że dla miejscowych to ulubiona okolica.

Laura zaprosiła gości na herbatę i przy stole udało się wypracować kompromis: każdy, kto chciał, mógł przemierzać leśne ścieżki za dnia, ale nie mógł rozbijać obozu na noc. Reuben nie oponował. Nieco później wyznała mu, że doskonale rozumie, dlaczego mieszkańcy Nideck tak kochają swoje spacerory. Czasem żałowała, że jest ich tak niewielu, bo czuła się w domu bardzo samotna.

— Nigdy w życiu nie bałam się być sama — mówiła — a już na pewno nie w kalifornijskich lasach. Mogłabym jednak przysiąc, że wczoraj widziałam kogoś za drzewami. Ktoś obserwował dom.

— Pewnie jeden z tych miłośników wędrówek - odparł Reuben, wzruszając ramionami.

Pokręciła głową.

— To nie tak — odpowiedziała. — Ale może masz fację, że powinnam się przyzwyczaić do nowego miejsca. Przecież jest tu tak bezpiecznie jak w Mili Valley.

Ostatecznie uznali, że musiał to być któryś ze wścibskich dziennikarzy.

Reuben nie chciał, by czymkolwiek się martwiła. Był pewny, że usłyszałyby każdy dźwięk i każdy zapach, gdyby w pobliżu pojawił się ktoś żywiący złe zamiary, ale Laura nie mogła odzyskać spokoju. Tym mocniej postanowił, że nie będzie jej zostawiał samej, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

Poruszył niebo i ziemię, by na prywatnej drodze prowadzącej do domu zamontowano wielką, mechaniczną bramę - choćby po to, by nie wjechali na teren posiadłości reporterzy, którzy z powodu wydarzeń z udziałem Stuarta chcieli odświeżyć temat pierwszego ataku Człowieka Wilka. Brama naturalnie nie mogła ich powstrzymać przed pieszymi wycieczkami, ale przynajmniej wozy telewizyjne nie podjeżdżały pod frontowe drzwi rezydencji.

Galton powtarzał cierpliwie, że nie ma się czym martwić, bo sprawa przyschnie i ucichnie, tak samo jak za pierwszym razem. Sprowadził dochodzącą ekipę remontową i powierzył jej odnowienie sypialni we frontowej części budynku. Stopniowo pojawiała się tam nowa instalacja elektryczna i kable sieciowe.

Zatem tak to jest, gdy się mieszka w wielkim domu, pomyślał Reuben. Na szczęście wkrótce powróci spokój. A może i Felix?

Laura wzięła w opiekę oranżerię i przemieniła ją w istny raj, pełen ogromnych fikusów, małych drzewek pomarańczowych i cytrynowych oraz kwitnących pnączy - wiciokrzewów, wilców i jaśminów - które mogły wspinać się po stalowej konstrukcji ścian i delikatnych trejżach. W donicach kwitły róże jak z obrazka. Drzewa orchideowe doskonale zniosły podróż; ich gałązki uginały się pod ciężarem kwiatów. Laura ustawiła tu i ówdzie lampy dające namiastkę słonecznego światła. Zgrabny, wiktoriański piecyk na drewno, pokryty białą emalią, pozwalał dogrzać oranżerię, zapewniając dogodne warunki ciepłolubnym roślinom oraz Reubenowi i Laurze, którzy co wieczór jadal kolację przy białym marmurowym stoliku obok fontanny.

W połowie tygodnia Reuben zaskoczył sam siebie. Właściwie nie bardzo wiedział, dlaczego to zrobił. Znalazł w Petalumie nieduży sklep z używanymi komputerami, w którym nie było kamer monitoringu. Ubrany w bluzę z kapturem i ciemne okulary, kupił za gotówkę dwa laptopy marki Apple.

Coraz bardziej złościło go to, że Felix nie dawał znaku życia. Zamartwiał się też losem Stuarta. Na domiar złego, brakowało mu smaku soczystego zła z miast na południu.

Stworzył więc w jednym z komputerów konto pocztowe na nazwisko Vera Lupus i napisał długi list od Człowieka Wilka do redakcji „San Francisco Observera”. Właściwie był to wielki potok dość szczerych wyrzutów, a także gniewny apel do Feliksa Nidecka, by wreszcie powrócił i udzielił mu wsparcia!

Gdyby zechciał nadać tę wiadomość całkiem anonimowo, wystarczyłoby pojechać do dowolnego miasta, do parku, w pobliżu motelu czy hotelu - byle poza zasięgiem kamer - połączyć się z siecią bezprzewodową i kliknąć **WYŚLIJ**. Tak wysłanego e-maila nie można było przypisać ani jemu, ani nikomu innemu.

A jednak go nie wysłał. Zbyt wiele było w nim uzalania się, złości i otwartego przyznawania się do tego, że tak naprawdę nie wie, co robi. Zbyt wiele narzekań, że „brakuje mu mądrego strażnika tajemnic”, który by go poprowadził. W końcu sam był winien temu, że życie Stuarta zawisło na włosku, czyż nie? Jak mógł obarczać odpowiedzialnością Feliksa? W jednej chwili pragnął rozgrzeszenia i zrozumienia. W następnej miał ochotę przyłożyć Feliksowi. I dlatego wstrzymał się z wysłaniem listu od Człowieka Wilka, a komputer ukrył w piwnicznej skrzyni. Czekał.

Bywały takie chwile - niekiedy długotrwałe - w których myślał: zabiję się, jeśli ten chłopiec umrze. Laura jednak przypominała mu wtedy, że nie może jej zostawić. Nie może też porzucić samego siebie i tajemnicy, która go otacza — gdyby naprawdę miał zamiar targnąć się na swoje życie, równie do-

brze mógłby oddać się w ręce matki albo władz. Gdy pomyślał o tym, co by to mogło oznaczać dla Feliksa, natychmiast zapomniał o tych deklaracjach.

- Czekaj na Feliksa - powtarzała Laura. - Nie zapomnij o nim. Kiedy nachodzą cię takie myśli, mów sobie: niczego nie zrobię, póki nie wróci Felix. Obiecuj mi, że tak będzie.

Jim dzwonił kilka razy, ale Reuben nie potrafił się zmusić, by powiedzieć mu o Stuarcie. Kończył rozmowę tak szybko, jak się dało.

Jeśli chodzi o Laurę, to zmagala się z własnymi demonami. Każdego ranka schodziła wąską, długą i niebezpieczną ścieżką na plażę, a potem wędrowała godzinami wzdłuż lodowatych fal. (Reuben uważał, że poruszanie się tą ścieżką jest prawie niemożliwe, bo wiatr znad oceanu zamienił ją w blok zdradliwego lodu).

Godzinami też ptzechadzała się po lesie, z Reubenem lub bez niego, uparła się bowiem, że pokona wreszcie swój strach. Raz wydawało jej się, że z plaży dosttze ga postać na szczycie urwiska, ale tego właściwie mogła się spodziewać.

Niepokoił się za każdym razem, gdy wychodziła. Nasłuchiwał wtedy wewnętrznym, wilczym uchem odgłosów otaczającego ją świata.

Niejeden raz przyszło mu do głowy, że w okolicy może się znajdować więcej Morphenkindów, przypadkowych wędrowców, o których Felix nic nie wiedział, ale nie było sposobu, by się o tym przekonać. Poza tym wierzył, że gdyby istniała taka możliwość, Felix by go uprzedził. A może zbyt romantycznie go postrzegał? Może nie miał innego wyjścia?

Laura przyniosła do oranżerii małe paprotniki zbrojne i zasadziła je w specjalnie przygotowanych doniczkach. Nazbierała też pięknych odłamków skalnych i kamyków, którymi wyłożyła basen fontanny. Na żwirowym podjeździe za oknami kuchni znalazła ciekawe skamieliny. Następnie wpadła w wir prac domowych, na pierwszy ogień biorąc renowację tapet Williama



Morrisa w starych sypialniach oraz dyrygowanie robotnikami, którzy lakierowali listwy i boazerie. Zamówiła zasłony i draperie, zaczęła także inwentaryzację porcelany i sreber.

Znalazła nawet wspaniały fortepian Fazioli do pokoju muzycznego.

Zacząła też za pomocą aparatu fotograficznego dokumentować szatę roślinną posiadłości Nidecków. Obliczyła, że rosło tam siedemdziesiąt pięć naprawdę starych sekwoi, wysokich, jak oceniała, na ponad dwieście pięćdziesiąt stóp. Daglezje niemal dorównywały im rozmiarami, a prócz nich wokół rezydencji rosły także młode sekwoje, choiny oraz świerki sitkajskie.

Nauczyła Reubena tych nazw i rozpoznawania wielu kalifornijskich drzew - w tym wawrzynów i klonów - a także odróżniania jodeł od sekwoi oraz wielu innych botanicznych ciekawostek.

Wieczorami oboje czytali Teilharda de Chardina i innych teologów i filozofów, a czasem poezję. Laura przyznała się Reubenowi, że nie wierzy w Boga. Wierzyła natomiast w świat i rozumiała miłość i wiarę, którymi Teilhard ów świat darzył. Załowała, że nie potrafi uwierzyć w bliskiego, osobistego Boga, Boga kochającego, który potrafiłby wszystko zrozumieć.

Pewnej nocy, gdy właśnie o tym rozmawiali, rozpląkała się. Poprosiła wtedy Reubena, żeby się przemienił i zabrał ją znowu wysoko, w korony drzew. Tak też uczynił. Godzinami przemierzali kopułę lasu. Nie bała się wysokości. Ubrana w obcisłe, czarne ubranie turystyczne i rękawice nie czuła zimnego wiatru i podobnie jak Reuben była niemal niewidoczna dla wścibskich oczu. Nie przestała jednak płakać, wtulona w jego pierś. Powiedziała, że nie ma już wątpliwości: jest gotowa zaryzykować życie, by otrzymać wilczy dar. Gdy tylko przybędzie Félix, jeśli Félix zna odpowiedzi, jeśli Félix jakoś nimi pokieruje, jeśli Félix wie jak... Spekulowali godzinami. Wreszcie, gdy uspokoiła się i poczuła senność, zeskoczył na ziemię i zaniósł

Laure nad strumień, w którym tak często łowił ryby. Obmyła twarz w lodowatej wodzie. Usiedli wśród omszałych kamieni. Reuben zaczął jej opowiadać o wszystkich dźwiękach, które słyszał w lesie, o niedźwiedziu śpiącym nie tak daleko i o jeleniu wędrującym przez ciemny las.

Wreszcie zaniósł ją do domu i znowu kochali się w jadalni, przy starym, ponurym, średniowiecznym i czarnym kominku.

Nie, nie była nieszczęśliwa. Zdecydowanie nie.

Zachodnia sypialnia, którą zamieniła w swój gabinet, została wyposażona w nowe meble: biurko ze szklanym blatem, kilka ładnych, drewnianych szaf na dokumenty oraz duży fotel i kanapę, na której lubiła czytać. Piękne, zabytkowe meble wyniesiono do piwnicy.

Pokój Marchent pozostał nietknięty. Ktoś - zapewne na polecenie kancelarii prawniczej — spakował wszystkie jej rzeczy osobiste i zanim Reuben objął w posiadanie dom, już ich nie było. Pozostała jedynie urocza i przestronna sypialnia urządzona na różowo, z białymi, marszczonymi zasłonami oraz kominkiem z białego marmuru.

Gabinet i przylegająca do niego sypialnia, które należały dawniej do Feliksa i zamykały rząd pokoi w zachodnim skrzydle, tworząc północno-zachodni narożnik, także były dla Reubena świętością.

Razem przygotowywali wszystkie posiłki i razem załatwiali sprawunki. Galton wziął zaś na siebie praktycznie wszystkie czasochłonne prace w obejściu.

Laura przyznała, że poświęciła sporo czasu na rozmyślanie o tym, dlaczego tak łatwo pogodziła się z brutalnością ataków Człowieka Wilka. Nie znalazła jednak odpowiedzi. Wiedziała jedynie, że darzy Reubena głęboką miłością i że nigdy go nie opuści. Nie umiała nawet sobie tego wyobrazić.

Naprawdę jednak dniami i nocami próbowała dociec, skąd bierze się w ludziach to pragnienie zemsty na tych, którzy byli

dla nich okrutni, skąd okrucieństwo w tej zemście i co się dzieje z tymi, którzy jej dokonują. Pragnęła, żeby Reuben już zawsze polował w lesie, żeby nigdy więcej nie podążał za tajemniczymi głosami, które go wzywały. Nie mogła zaprzeczyć, że istniały i że słyszał ich zew. Prasa tymczasem każdego dnia rozpisywała się szerzej o skutkach ubocznych działalności Człowieka Wilka.

Ci, którzy skorzystali na jego brutalnych interwencjach, interesowali media tak samo jak przestępcy, których zgładził. Starsza pani z Buena Vista Hill, którą torturowano, zanim Człowiek Wilk wpadł przez okno do jej mieszkania, zdążyła już odbudować się psychicznie i udzielała wywiadów. Oznajmiła śmiało, wprost do kamery, że Człowiek Wilk powinien być schwytany żywcem, a nie zastrzelony jak dzikie zwierzę, i że jest gotowa poświęcić cały swój majątek, by go wspierać i chronić, jeśli rzeczywiście zostanie złapany. Susan Larson, pierwszy „kontakt” Człowieka Wilka z North Beach, także optowała twardo za „bezpiecznym zatrzymaniem”. Dla niej wciąż był Wilkiem Pocieszycielem; pamiętała, jak dotknął jej i jak dodawał otuchy. Tymczasem w Internecie - także na YouTube - powstawały kolejne fankluby Człowieka Wilka, a co najmniej jedna gwiazda rocka poświęciła mu piosenkę (*Ballada o Człowieku Wilku*); kolejne utwory miały powstać już wkrótce. Ktoś założył też stosowną stronę na Facebooku, ktoś inny zorganizował konkurs poezji poświęconej Człowiekowi Wilkowi na YouTube; co bardziej przedsiębiorczy obywatele produkowali już całą gamę koszulek z jego wizerunkiem.

Pod koniec tygodnia zadzwonił Simon Oliver. Donosił, że firma prawnicza prowadząca sprawę przejęcia nieruchomości przygotowała już komplet dokumentów dotyczących Nideck Point-wystarczyło je podpisać. Reuben odpowiedział, że naturalnie dopełni formalności, ale w głębi duszy miał wątpliwości.

Co z Feliksem? Bo przecież to był Felix, ten prawdziwy Felix. Czyż dom nie był jego własnością?

— W tej sprawie nic teraz nie zrobisz — powiedziała Laura. — Sądzę, że powinieneś odwiedzić firmę, podpisać papiery i niech zrobią wpis do księgi wieczystej. Pamiętaj, że Felix nie może w legalny sposób odzyskać swojego domu. Nie zgodzi się na badanie DNA — które zresztą jest niemożliwe — żeby potwierdzić pokrewieństwo z Marchent, jeśli nie własną tożsamość. Musiałby kupić dom od ciebie. Dlatego na razie Nideck Point należy do ciebie.

Wizyta w kancelarii była krótka. Poinformowano Reubena, że sprawa zosrała dopięta w rekordowym czasie; czynnikiem sprzyjającym był fakt, iż posiadłość od bardzo wielu lat należała do jednej i tej samej rodziny. Reuben złożył podpis we wskazanym miejscu.

Teraz Nideck Point oficjalnie stał się jego własnością. Podatek od nieruchomości został opłacony za cały rok z góry; ubezpieczenie pozostało ważne.

Zawiózł Laurę na południe, by mogła zabrać jeepa i większy ładunek swoich rzeczy. Zdumiał się, zobaczywszy, w jak niewielu kartonach zmieścił się ów ładunek. Połowę stanowiły flanelowe koszule nocne.

Wreszcie Grace zadzwoniła z ważną nowiną: Reuben mógł odwiedzić Stuarta w najbliższy wtorek. Od dwóch dni chłopak nie gorączkował, ustąpiły też ostatnie ślady wysypki i nudności. Po ranach nie pozostał nawet ślad, a wzrost i waga pacjenta jeszcze się zwiększyły.

— Jak już mówiłam, w tym przypadku poszło znacznie szybciej - powiedziała. - Stuart przestał też szaleć, teraz ma napady melancholii.

Prawdę mówiąc, nawet chciała, żeby Reuben złożył mu wizytę. Chciała, żeby z nim porozmawiał. Chłopak marzył o powrocie do domu, do mieszkania w San Francisco. Matka ani myślała zabrać go do domu w Santa Rosa; bała się męża, a Grace ani trochę mu nie ufała.

— Do licha, i mnie będzie o wiele łatwiej zajmować się nim w San Francisco - dodała. - Mówię ci, dziwny z niego chłopak, bardzo dziwny. Choć oczywiście bystrzak jakich mało. Już wie, że nie należy paplać bez przerwy o tym, że słyszy głosy. A jeśli chodzi o wyniki badań, to jest tak samo, jak było z tobą. Robimy małe postępy, a potem próbki znikają! Jeszcze nie rozwiązaliśmy tego problemu. Poza tym chłopak nie jest już taki, jaki był na początku, kiedy go poznałam. Naprawdę chcę, żebyś z nim pogadał.

Wyczuł, że rozmawia im się znacznie łatwiej teraz, gdy sprawa dotyczy przede wszystkim Stuarta. Było tak, jakby nie dzieliła ich bariera milczenia, żadna tajemnica, jakby wszystko, co sekretne, wiązało się teraz z osobą Stuarta. I dobrze.

Reuben odpowiedział, że odwiedzi chłopaka, gdy tylko będzie mógł — najpewniej we wtorek wczesnym rankiem.

Wreszcie Grace spytała, czy on i Laura chcieliby, żeby wpadła z Jimem i Philem na kolację. Reuben był zachwycony. Potrafił już kontrolować swój dar wilka. Nie bał się go. Przecież lego właśnie chciał!

Spędzili z Laurą cały poniedziałek na przygotowaniach do uczyty w majestatycznej jadalni. Znaleźli obrus ozdobiony starą koronką, serwetki z inicjałem *N* oraz mnóstwo zabytkowych sztućców. Zamówili kwiaty do najważniejszych pokoiów i smakowite desery z pobliskiej piekarni.

Grace była pod wrażeniem, gdy zobaczyła dom, ale to Phil zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia - dokładnie tak, jak Reuben się spodziewał. Przestał odpowiadać na pytania i po prostu odłączył się od wycieczki, mamrocząc pod nosem. Szedł jak zahipnotyzowany, wodząc palcami po panelach i ościeżnicach, gładząc lakier fortepianu, pomarszczone liście fikusa i skórzane oprawy książek zgromadzonych w bibliotece. Włożył na nos grube okulary, by przyjrzeć się figurom rzeźbionym w narożnikach kredensów oraz średniowiecznemu palenisku.

W swej znoszonej tweedowej marynarce i z długimi siwymi włosami wyglądał tak, jakby należał do tego miejsca.

Musieli siłą wyciągnąć go z pokojów na piętrze — po prostu dlatego, że padali z głodu. Ale Phil nie przestał szeptać, komunikować się z domem, i nie zwracał najmniejszej uwagi na Grace, gdy zaczęła snuć przypuszczenia o tym, jak kosztowne musi być utrzymanie takiej nieruchomości.

Reuben był w siódmym niebie i nie przestawał ścisnąć Phila. Jego ojciec trafił do wymarzonej krainy. „Zamieszkałbym tu choćby zaraz”, powtarzał półgłosem. I od czasu do czasu obdarzał Reubena uśmiechem pełnym miłości i dumy.

— Synu, to jest twoje przeznaczenie — powiedział.

Grace stwierdziła, że takie rezydencje to przeżytek, że należy je przekształcać w instytucje pożytku publicznego - muzea lub szpitale. Zdaniem Reubena wyglądała tego wieczoru wyjątkowo pięknie. Naturalne rude włosy okalały jej twarz, usta miała tylko lekko przyróżowione, a ostre rysy - ekspresyjne jak zawsze. Kostium ze spodniami z czarnego jedwabiu wyglądał na nowy; specjalnie na tę okazję włożyła też sznur pereł. Widać było jednak, że jest zmęczona, znużona i że obserwuje Reubena uważnie bez względu na to, kto zabiera głos.

Jim stanął w obronie domu, zauważając, że Reuben nigdy nie był szczególnie kosztowny w utrzymaniu. Podróżował prawie za darmo, zadowolając się ciasnymi pokoikami hotelowymi, korzystał z pociągów, a na studia poszedł do stanowego uniwersytetu, a nie jednego z college'ów należących do Ligi Bluszczowej. Szczytem ekstrawagancji z jego strony była prośba o porsche - w ramach prezentu z okazji ukończenia studiów -którym jeździł już od dwóch lat. Nigdy - aż do tej pory - nie czerpał pieniędzy z żadnego z funduszy powierniczych i przez lata żył za połowę pieniędzy z odsetek. Owszem, dom musiał być drogi w utrzymaniu, ale przecież nie ogrzewali codziennie wszystkich pomieszczeń, czyż nie? Poza tym jak długo

jeszcze Reuben miałby mieszkać z rodzicami? W porządku, koszty są wysokie. Ale ile kosztowałyby nowy apartament lub choćby odnowiony wiktoriański domek w San Francisco? I co powiedziałyby dziadek Spangler, gdyby usłyszał o darowiznie w postaci tak cennej nieruchomości? Bez mrugnięcia okiem ponosiłby koszty utrzymania. Sam parął się budownictwem, czyż nie? Pewnego dnia ta posiadłość będzie warta fortunę, niech więc wszyscy łaskawie zostawią Reubena w spokoju!

Grace przyjęła tę tyradę spokojnym skinieniem głową. Jim nie wspomniał bowiem o tym, że on sam zwrócił swoją część funduszy rodzinie, gdy zdecydował się zostać księdzem. Czy jego zdanie nie miało szczególnej wartości?

Jim zrezygnował z drogich studiów medycznych, a jego edukacja w Rzymie kosztowała stosunkowo niewiele. Gdy przyjął święcenia, rodzina dokonała sporej darowizny na rzecz Kościoła, ale większość jego majątku tak naprawdę przypadła Reubenowi.

On zaś zupełnie nie dbał o to, co jego goście mieli do powiedzenia na ten temat. Myślał przede wszystkim o Feliksie i jego moralnym prawie do tej posiadłości. Pękało mu serce na myśl o tym, że mógłby stracić dom, ale naprawdę było to najmniejszym z jego zmartwień. Co powie Feliks, gdy dowie się o Stuarcie?

A może nic się nie stanie? Czy Marrok nie sugerował, że czasem nic się nie dzieje? Och, płonne nadzieje.

Reuben cieszył się, że znowu otacza go rodzina, że głosy bliskich wypełniają wielką i ciemną jadalnię, że jego ojciec jest uszczęśliwiony i nie nudzi się — tak dobrze było znowu znaleźć się wśród nich.

Posiłek, który przygotowali, smakował wszystkim — pieczone mięso, świeże warzywa, makaron i jedna z niesamowitych, choć prostych surówek Laury, pełna ziołowych dodatków.

Laura wdała się w dyskusję z Jimem na temat Teilharda de Chardina, z której Reuben rozumiał nieco mniej niż połowę.

Zauważył za to, że oboje czerpią z tej rozmowy sporo przyjemności. Phil także uśmiechał się do Laury, wyjątkowo serdecznie jak na niego. Gdy opowiadał z kolei o poezji Gerarda Manleya Hopkinsa, słuchała go w nabożnym skupieniu. Grace, rzecz jasna, musiała zacząć rozmowę na zupełnie inny temat, ale Reuben już dawno nauczył się słuchać ich dwóch zupełnie ze sobą niezwiązanych konwersacji. Nie uszło jego uwagi, że Laura polubiła jego ojca. I matkę.

Laura stwierdziła, że nauka jest zależna od poezji, a wszelki opis naukowy ma charakter metaforyczny.

Nieprzyjemnie zrobiło się dopiero wtedy, gdy zaczęli rozmawiać na temat doktora Akima Jaski. Grace w ogóle nie chciała o nim mówić, za to Phil wpadł w gniew.

- Wiesz, Reuben, że on chciał ci załatwić przymusowe leczenie?!

- I na tym się skończyło, prawda? - odparowała Grace. - Ponieważ, nikt, absolutnie nikt nie chciał nawet się zastanawiać nad takim rozwiązaniem.

- Przymusowe leczenie?

- Tak. W tym jego fikcyjnym ośrodku rehabilitacyjnym w Sausalito - wyjaśnił Phil. - Od pierwszej chwili, gdy tylko go spotkałem, wiedziałem, że to jakiś szarlatan. Omal nie zrzuciłem go ze schodów. Jak on mógł przyjść do nas z tymi papierami?

- Z papierami? - spytał Reuben

- To nie jest żaden szarlatan - wycedziła Grace, a potem zaczęli wrzeszczeć na siebie z Philem, aż w końcu interweniował Jim, stwierdzając, że owszem, doktor Jaska z pewnością jest błyskotliwym człowiekiem i zna się na swoim fachu, ale to, że usiłował skierować Reubena na przymusowe leczenie, po prostu nie było fair.

- Więc może już o nim zapomnimy? - zaproponowała Grace. - Na tym sprawa się zakończyła, Reuben. Pan doktor



i ja po prostu się nie zrozumieliśmy. I bardzo dobrze. - A potem dodała szeptem, że to jeden z najgenialniejszych lekarzy, jakich w życiu spotkała. I szkoda, że ma lekkiego hopla na punkcie wilkołaków.

Phil kichnął, upuścił chusteczkę, podniósł ją i znowu upuścił, po czym stwierdził, że Jaska przypominał mu Rasputina.

- Opracował ciekawą teorię - wtrącił znowu Jim - na temat zmian mutacyjnych i zmutowanych organizmów. Na szczęście mama w porę się zorientowała, że jego kwalifikacje nie są takie, jakie powinny być.

- Moim zdaniem nie w porę - odparł Phil. - Ten człowiek próbował zasłaniać braki w życiorysie jakimiś wyssanymi z palca historyjkami o rozpadzie Związku Sowieckiego i o tym, jak to stracił najcenniejsze wyniki badań. Nonsens!

Reuben wstał, żeby włączyć muzykę Erika Satie na uspokojenie nastroju, a gdy wrócił na miejsce, Laura opowiadała już o tutejszej puszczy i namawiała jego bliskich, by przyjechali, gdy ustaną deszcze - na wspólną wędrówkę szlakami wokół Nideck Point.

Jim wziął Reubena na stronę i zaproponował szybki spacer po lesie.

- Czy to prawda, że ten dzieciak został ugryziony? - spytał. Reuben najpierw milczał przez chwilę, a potem opowiedział

o wszystkim, ze szczegółami. Także o tym, że ma już pewność, iż Stuart nie umrze z powodu krzyżma, ale z pewnością stanie się taki sam jak on. Jim zareagował, jakby dostał skurczu. Przyklęknął na mokrej ziemi, pochylił głowę i zaczął się modlić. Reuben opowiedział mu jeszcze o spotkaniu z Feliksem i o tym, jak bardzo potrzebuje odpowiedzi na dręczące go pytania.

- Na co właściwie liczysz? - spytał Jim. - Przecież ten człowiek może cię przekonać, że te brutalne ataki są moralnie akceptowalne!

- Mam nadzieję usłyszeć, że prawdą jest to, na co liczą

wszystkie świadome istoty... że jestem częścią czegoś większego niż ja sam, że odgrywam jakąś rolę, że ktoś ją zaplanował i nadał jej sens. — Reuben szarpnął Jima za ramię. — Zechcesz już wstać z ziemi, ojczyźnie Golding, zanim ktoś cię zobaczy?

Weszli nieco głębiej w las, ale nie na tyle, by stracić z oczu jasno oświetlone okna. Reuben przystanął, nasłuchując. Słyszał coś, słyszał bardzo wiele. Spróbował wyjaśnić to Jimowi. W mroku nie widział nawet wyrazu jego twarzy.

- Ale czy istocie ludzkiej jest pisane słyszeć te głosy? - spytał Jim.

- Jeśli nie, to dlaczego je słyszę?

- Różnie bywa - odparł Jim. - Zdarzają się mutacje, alternatywne drogi rozwoju, które świat toleruje, choć ich nie powiela. Zjawiska, które odrzuca.

Reuben westchnął. Spojrzał w górę, żałując, że nie ma na co dzień tego fenomenalnego wzroku, który zyskuje w wilczej postaci. Chciał dojrzeć gwiazdy ponad sklepieniem lasu, przypomnieć sobie, że Ziemia to jedynie żagiew w nieskończonym strumieniu galaktyk, bo ta myśl dziwnym trafem zawsze przynosiła mu ukojenie. Dziwne, ale nie działała tak na innych. Reuben czuł, że bezmiar wszechświata przybliżyła go do wiary w Boga.

Wiatr poruszył konarami nad jego głową. Coś przykuło uwagę Reubena, seria dźwięków, które nie współgrały z odgłosami nocnego lasu. Czyżby dostrzegł coś tam, w ciemności, czyżby coś się poruszyło? Poczul, że jeżą mu się włosy na ramionach. Ktoś tam jest, wysoko na drzewie.

Skurcz w brzuchu pojawił się natychmiast, ale Reuben potrafił się opanować. Zablokował przemianę. Zadrżał nieznacznie, walcząc z dreszczami zwiastującymi transformację. Nie. Jednak nic nie widział w ciemności. To tylko wyobraźnia starała się wypełnić jednolity pejzaż nocy. Ktoś tam jest. Więcej niż jedna istota. Więcej niż dwie.

- O co chodzi? - zaniepokoił się Jim. - Coś się stało?

- Nie, nic - skłamał.

Wiatr uderzył w drzewa ze zdwojoną siłą, a las zaśpiewał w odpowiedzi jednym głosem.

- Nic.

O dziewiątej jego bliscy musieli zebrać się w drogę powrotną, jeśli chcieli dotrzeć do San Francisco przed pierwszą w nocy. Grace zamierzała pojawić się nazajutrz po południu w Santa Rosa, by dalej namawiać do pozostawienia Stuarta w szpitalu na dłużej. Najwyraźniej czegoś się bała.

- Wiesz może już więcej na temat tego całego syndromu? — spytał ostrożnie Reuben.

- Nie - odpowiedziała. - Nadal nic.

- A czy mogłabyś odpowiedzieć mi całkiem szczerze na jedno pytanie?

- Jasne.

- Doktor Jaska...

- Reuben, już go pogoniłam. Nawet się do mnie nie zbliży.

- A co ze Stuartem?

- Nie ma możliwości dotarcia do Stuarta. Ostrzegłam doktor Cutler w bardzo konkretnych słowach. I powiem ci w zaufaniu, co się teraz wydarzy. Doktor Cutler spróbuje przejąć opiekę nad Stuartem, a przynajmniej uzyskać prawa kuratorskie odnośnie do jego dalszego leczenia. Chłopak nie może wrócić do domu, a już na pewno nie powinien teraz zostać sam w San Francisco, w tym swoim mieszkaniu w Haight-Ashbury. A teraz zapomnij, że ci o tym powiedziałam.

- Jasne, mamó.

Spojrzała na niego prawie z rozpaczą.

Spędzili mnóstwo czasu, rozmawiając o Stuarcie, ale prawie nie wspominali o nim. A czy dawniej matka kiedykolwiek odpuszczała w jakiegokolwiek sprawie? Nie, chirurdzy nigdy się nie poddają. Do końca wierzą, że coś się da zrobić. To leży w ich naturze.

I właśnie taki wpływ na moją matkę ma cała ta sprawa, pomyślał Reuben. Grace stała na schodkach, podziwiając dom i ciemną linię drzew na wschodzie, ale w jej oczach widać było udrękę. Spojrzała na Reubena i na chwilę, na krótką chwilę, na jej ustach zagościł ten czuły uśmiech, od którego tak bardzo zależało jego poczucie szczęścia.

- Mamo, cieszę się, że przyjechaliście - powiedział, obejmując ją. - Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

- Ja też się cieszę - odrzekła. Przytuliła go, a potem spojrzała mu w oczy. - A z tobą wszystko w porządku, mój Chłopczyku?

- Tak, mamo. Martwię się tylko o Stuarta.

Reuben obiecał, że zadzwoni rano, gdy tylko dotrze do szpitala.

W lesie pojawił się dzik, samotny odyniec. Reuben usłyszał go i poczuł mniej więcej o drugiej nad ranem, gdy czytał, próbując powstrzymać przemianę. Zwierzę zerowało samotnie, zostawiwszy rodzinę gdzieś w głębi lasu, zapewne w legowisku z gałęzi i liści.

Nie miał pojęcia, jakim sposobem jego zmysły wychwyciły te sygnały. Rozebrał się prędko, czując szybsze bicie serca i pierwsze skurcze. Gdy wbiegał do lasu, był już pokryty wilczym futrem. Ruszył górą, a potem znowu zeskoczył na ziemię, by pójść tropem dzika. Dogonił go szybko i powalił. Wbił kły najpierw w szczeciniasty grzbiet potężnego brutala, a potem w gardło.

Tak, to była uczta, której mu brakowało. Nie spieszył się, delektując się zwłaszcza miękkimi kąskami z brzucha i wnętrznościami, pożarł też ociekające krwią serce. Wielkie, białe szable lśniły w mroku. Tak, to był zaciekły przeciwnik, ale leraz Reuben sycił głód jego soczystym, pachnącym mięsem.

Jadł długo, aż poczuł się senny. Żuł coraz wolniej, wysysając świeżą jeszcze krew i czując przyjemne ciepło w piersi, żołądku, a nawet w kończynach. Było mu jak w niebie. Deszcz kapał bezgłośnie, zapach mokrych liści unosił się w powietrzu, a woń martwego dzika pieściła zmysły. Nie był w stanie zjeść wszystkiego.

I wtedy zmroził go krzyk. To Laura. Wzywała go z ciemności.

Pognał w stronę głosu.

Stała na polanie przed domem, w żółtawym blasku reflektorów. Nie przestawała wołać, aż wreszcie wyczerpana opadła na kolana i krzyknęła raz jeszcze.

Wypadł spomiędzy drzew.

- Reuben, dzwoniła doktor Cutler! - zawołała. - Nie mogła namierzyć twojej matki. Stuart uciekł ze szpitala, wyskoczył przez okno na pierwszym piętrze i zniknął!

A więc stało się, pomyślał. Stuart potrzebował o połowę krótszego czasu. Ale przemiana w końcu go dotknęła i teraz był sam.

- Moje ubranie, to wielkie - zakomenderował. - I ubranie dla chłopca. Wrzuć wszystko do jeepa i jedź na południe. Znajdę cię w pobliżu szpitala albo tam, gdzie będę mógł.

Zawtócił w stronę lasu, gotów przebiec całą drogę do Santa Rosa, nawet gdyby musiał przeskakiwać nad szosami i autostradami albo pędzić po pastwiskach - jak się wkrótce przekonał, i tak był to najszybszy sposób na dotarcie do celu - i w dzikim pędzie modlił się do bogów lasu albo i do Boga w swoim sercu, by pomógł mu odnaleźć chłopca, zanim uczyni to ktoś inny.

Gdyby poruszał się wzdłuż drogi, pokonałby dystans dziewięćdziesięciu mil. Ale nikt nie wiedział, o ile krótszą trasę pokonał Reuben, skacząc z drzewa na drzewo, biegnąc w prostej linii, jednym susem przesadzając ogrodzenia, drogi i wszelkie inne przeszkody.

Kierowała nim tylko jedna, z pozoru prosta myśl: odnaleźć Stuarta. Jego zmysły jeszcze nigdy nie były tak wyostrzone, mięśnie tak mocarne, a cel wyścigu tak pewny.

Las nie zawiódł jego oczekiwań, choć gdzieś tam musiał łamać gałęzie na swojej drodze, przeskakiwać wądoły i z trzaskiem przebijać się przez chaszczki. Nie bał się też ryzyka, którym był bieg po otwartej przestrzeni.

Głosy gęsto zaludnionego południa stawały się coraz wy-

rażniejsze, a towarzyszyła im mieszanina zapachów typowo ludzkich i aromatu lasu - zrozumiał, że jest już w parku na przedmieściach. Wilcze zmysły i ludzki umysł działały wspólnie, poszukując Stuarta - dźwięków Stuarta, zapachu Stuarta albo chociaż głosów, które mogły przykuć uwagę Stuarta.

Nadzieja, że Stuart oprze się pokusie, którą była woń zła, musiała okazać się płonna. Reuben wiedział to z doświadczenia. Podobnie daremna byłaby wiara, że nowo zyskana moc nie zaprowadzi go do miejsc, w których łatwo mógł dać się zauważyć, a nawet pochwycić.

Syreny zakłócały ciszę nocy, a towarzyszyły im statyczne trzaski i głosy ludzi przetworzone przez radiostacje, a także nerwowy puls miasteczka Santa Rosa, obudzonego ze snu szokującą wiadomością o nowym akcie przemocy.

Zdziwiony i zirytowany tym stanem rzeczy Reuben okrążył szpital i ruszył na wschód. Pochwycił zapach strachu, błagania i rozpacz, a zaraz potem głos niezliczonych i banalnych modlitw oraz skarg.

Podążał na wschód, a instynkt oraz ludzki umysł podpowiadały mu jedno: kieruj się w stronę domu chłopca, bo dokąd mógł pójść, jeśli nie tam? Biegnij na Plum Ranch Road.

Nagi, wystraszony i samotny w parku pełnym ludzi, będzie się tam czał, aż znajdzie sobie kryjówkę w piwnicy lub na poddaszu tego domu z drewna i szkła, który kiedyś był jego domem. Ale im bliżej Reuben był owego pagórka, na którym migotały koguty policyjnych samochodów i wielkich wozów straży pożarnej, a także karetek, tym wyraźniej wyczuwał woń śmierci.

Płaczącą kobietą była matka Stuarta. Martwym mężczyzną na noszach - Herman Buckler. Policjanci już tworzyli tyralierę i zagłębiali się w ciemny park, podnieceni wizją polowania. Człowiek Wilk. Ci, którzy uczestniczyli w tym spektaklu, emanowali sprzecznymi emocjami: histerią i radością.

Psy szczekały. Psy wyły.

Zza wzgórza dobiegł huk wystrzału, a zaraz potem zagłuszył wszystko ostrzegawczy ryk klaksonu.

- Nie strzelać! Meldować się. Nie strzelać.

Reflektory omiatały snopami światła drzewa, łąkę i pojedyncze dachy domostw, wyławiając z ciemności samochody stojące na podjazdach i okna, w których dopiero teraz zapalały się lampy.

Nie mógł podejść bliżej. Już był w większym niebezpieczeństwie niż kiedykolwiek wcześniej.

Noc była ciemna, a deszcz mocny i równy - i tylko on, Człowiek Wilk, widział ten niedostępny dla ludzi pejzaż na wysokościach, złożony z poskhtëcanych konarów drzew. Ruszył ku niemu, okrążając z daleka rozświetlone i hałaśliwe centrum akcji, którym stał się rodzinny dom Stuarta.

Wszedł jak najwyżej, w korony dębów. Nieruchomiał, zasłaniając łapami oczy, by pozostać niewidocznym, gdy ślizgało się po nim światło reflektora.

Karetki odjeżdżały kolejno. Krzyki matki były coraz cichsze, urywane, wreszcie zgasły w oddali. Wozy patrolowe rozpełzły się ciemnymi ulicami we wszystkich kierunkach. Latarnie na gankach i podwórkach były już włączone; widać było w ich blasku puste baseny i gładkie, lśniące trawniki.

Coraz więcej samochodów zbierało się wokół wzgórza.

Musiał iść dalej, zatoczyć szerszy krąg. I nagle przysła mu do głowy oczywista myśl: sygnał. Chłopak usłyszy przecież to, czego nie usłyszą ludzi. Zawołał Stuatta po imieniu niskim, wilczym głosem.

- Szukam cię - dodał po chwili tym samym, gardłowym tonem. - Stuart, chodź do mnie.

Niskie, rozciągnięte, dudniące dźwięki. Sylaby rozciągnięte tak, że dla ludzkiego ucha były tylko warkotem tonącym w szumie opon, stukocie silników i brzęczeniu domowych urządzeń.



- Stuart, chodź do mnie. Zaufaj mi. Szukam cię. Stuart, jestem twoim bratem. Chodź do mnie.

Miał wrażenie, że odpowiadają mu podwórkowe psy - czekały jeszcze bardziej zajadle, skomlały i wyły. Wykorzystał to wsparcie, by zawołać nieco głośniej.

Ruszył wolno na wschód, poza rejon poszukiwań, pewny, że chłopak jest wystarczająco bystry, by uczynić to samo. Dalej na zachód zaczynała się gęsta zabudowa Santa Rosa. Na wschodzie rozciągał się las.

- Stuart. Chodź do mnie.

Wreszcie w splątanej sieci konarów, którą miał przed sobą, dostrzegł dwoje oczu.

Skoczył ku nim, raz jeszcze powtarzając imię.

- Stuart! - zagrzmiało jak basowy dzwon w ciemności. Tym razem odpowiedział mu jęk:

- Na miłość boską, pomóż mi!

Wyciągnął łapę i objął ramiona Chłopca Wilka. Zdumiał się, zobaczywszy, że Stuart dorównuje mu rozmiarami i zapewne siłą, gdy razem przebijali się przez korony młodych dębów.

Przemierzyli kawał lasu, aż wreszcie zatrzymali się w głębokiej i zupełnie ciemnej dolinie. Reuben czuł, że bodaj po raz pierwszy jest mu gorąco w wilczym futrze. Oparł się plecami o pień drzewa, dysząc ciężko. Spragniony, rozejrzał się, węsząc za wodą. Chłopiec Wilk był tuż obok niego, jakby bał się oddalić choćby o cal.

Jego futro, podobnie jak futro Reubena, miało odcień ciemnego brązu, jeśli nie liczyć jasnych pasm w grzywie. Oczy pozostały wielkie i błękitne. Chłopiec Wilk spoglądał na towarzysza w milczeniu. Nie zadawał pytań, o nic nie prosił, ufał bezgranicznie.

- Wyprowadzę cię stąd - powiedział Reuben głosem tak głębokim, że ludzkie ucho nie zrozumiałoby ani słowa. Inny nkt podpowiadał mu, że chłopak zrozumie.

Odpowiedź nadeszła tym samym sposobem.

- Pójdę z tobą.

Dało się wyczuć w tych słowach odrobinę ludzkiego bólu i strachu. Czy zwierzęta potrafią płakać? Jakie zwierzę wybucha śmiechem albo łka?

Zeszli na dół i znaleźli się w ciemnym wąwozie porośniętym paprociami. Maszerowali, aż Reuben przystanął i zatrzymał chłopaka.

- Tu jest bezpiecznie - mruknął wprost do jego ucha. -Czekamy.

Spoglądając na Chłopca Wilka, myślał o tym, jak naturalna wydaje mu się jego postać. Te masywne, włochate ramiona, jedwabiste futro, grzywa lśniąca w blasku księżyca, przefiltrowanym przez chmury i rozświetlającym miliard kropelek deszczu.

Reuben otworzył usta, by złowić choć kilka z nich. Znowu węszył, szukając wody, stojącej wody. I znalazł ją, ledwie o parę jardów dalej, w postaci malutkiej kałuży w korzeniach butwiejącego drzewa. Podbiegł do niej na czworakach i zaczął pić łapczywie, pracując językiem najszybciej, jak potrafił. Usiadł po chwili, robiąc miejsce Stuartowi.

Do ich uszu dobiegały jedynie ciche głosy zupełnie niegroźnych stworzeń.

Niebo zaczynało już jaśnieć.

- Co teraz? - spytał z rozpaczą Stuart.

- Za godzinę, a może nawet wcześniej, znowu się przemienisz.

- Tutaj?

- Pomoc jest w drodze. Możesz na mnie polegać. A teraz pozwól mi nasłuchiwać. Może wyłapię głos osoby, na którą czekamy. A może jej zapach. To może trochę potrwać.

Pierwszy raz w życiu Reuben naprawdę nie chciał, by wstało słońce. Położył się pod butwiejącym drzewem i nasłuchiwał. Stannowczym uściskiem łapy dał Stuartowi sygnał, by zachował ciszę.

Już wiedział, gdzie jej szukać! Nie była blisko, ale już ją zwęszył i usłyszał. Och, Lauro, jesteś taka sprytna. Śpiewała tę samą piosenkę, którą usłyszał, gdy spotkali się po raz pierwszy:

- Oto dar jest: być prostym... Oto dar: wolnym być...

- Za mną - rzucił w stronę Stuarta i natychmiast ruszył z powrotem w kierunku policyjnej obławy i mocnych reflektorów, ale także w stronę Laury. Przyspieszył, czując, że i ona przyspiesza, aż wreszcie zobaczył wstęgę drogi, którą nadjeżdżała.

Skakali z drzewa na drzewo wzdłuż pobocza, aż zrównali się z jadącą terenówką, a wtedy Reuben skoczył na maskę i chwycił się słupka po stronie kierowcy. Jeep zahamował ostro.

Stuart stanął obok jak sparaliżowany. Reuben musiał siłą wepchnąć go na tylną kanapę.

- Schył się - rozkazał. - Jedźmy do domu - dodał, spoglądając na Laurę.

Silnik jeepa zawarczał i ruszyli. Laura poleciła Stuartowi, żeby przykrył się kocami, które leżą obok niego.

Reuben wywołał przemianę. Wyczerpany, pólleżał w fotelu pasażera, czekając, aż ustaną ostatnie skurcze i dreszcze. Jeszcze nigdy nie rozstawał się z wilczą powłoką tak niechętnie, z takim trudem nie wyrzekał się siły i nie rezygnował z woni niebezpiecznej, leśnej krainy.

Spoglądając na czarno-srebrną mozaikę nieba i na strugi deszczu zalewające ciemnozielone pola po obu stronach drogi, poczuł pragnienie głębokiego snu. Teraz jednak nie było czasu na sen. Włożył koszulkę polo, flanelowe spodnie i pantofle, a potem mocno potarł twarz dłońmi. Skóra jeszcze nie chciała się poddać. Skóra wciąż śpiewała. Miał wrażenie, że jeszcze biegnie przez las. To całkiem tak, pomyślał, jakbym przez cały dzień jeździł na rowerze; gdy wreszcie zsiadam, czuję się tak, jakbym jeszcze pedałował, i kołyszę się w górę i w dół.

Obejrzał się, by zerknąć na pasażera leżącego z tyłu. Chło-

piec Wilk przykrył się szorstkim, wojskowym koćcem i tylko błękitne oczy spoglądały na Reubena z pokrytej gładką, wilczą siers'cią twarzy.

- Ty! - powiedział Stuart. - To ty!

- Tak. To ja ci to zrobiłem - odparł Reuben. - To ja przekazałem ci krzyżmo. Nie chciałem. Chciałem zabić ludzi, którzy chcieli zabić ciebie. Ale tak wyszło.

Oczy spoglądały na niego uparcie.

- Zabiłem ojczyzna - powiedział Stuart niskim, dźwięcznym głosem. — Bił matkę, ciągnął ją za włosy przez pokoje. Powiedział, że ją zabije, jeśli nie podpisze papierów o przymusowym leczeniu. Ale ona powtarzała: nie, nie, nie. Miała krew we włosach. Więc go zabiłem. Rozdarłem na strzępy.

- To by się zgadzało - stwierdził Reuben. - Przedstawiłeś się matce?

- Broń Boże!

Zarzuciło nimi, gdy wyprzedzali wolniejszy samochód. Po chwili przyspieszyli nieco i pomknęli naprzód lewym pasem.

- Dokąd mam pójść? Gdzie się ukryć?

- Zostaw to mnie.

Nadal gnali drogą numer 101 pod ciężkim niebem, gdy Stuart zaczął się zmieniać.

Trwało to może pięć minut. Reuben zerknął na zegarek. Nawet krócej.

Chłopak drżał, przyciskając głowę do kolan i obejmując ramionami podkulone nogi. Długie, jasne włosy przesłaniały teraz jego twarz. Próbował mówić, ale sylaby nie układały się w słowa. Wreszcie wydukał:

- Myślałem, że już się nie odmienię. Ze zostanę taki na zawsze.

- Nie, to nie tak — odparł spokojnie Reuben.

Pomógł Stuartowi włożyć bluzę, którą Laura zabrała z domu. Z dzinsami i sportowymi butami chłopak poradził sobie sam.

Był większy od Reubena, miał szerszą pierś i zdecydowanie dłuższe nogi. Nawet jego ramiona wydawały się bardziej muskularne. Mimo to ubranie leżało na nim nieźle. Siedząc z tyłu, Stuart w milczeniu przypatrywał się Reubenowi. Znowu miał chłopięcą, piegowatą twarz o czujnych oczach. Brakowało tylko znajomego uśmiechu.

- Dorodny z ciebie wilczek, przyznaję - rzekł Reuben. Cisza.

— Dobrze ci będzie z nami, Stuart — odezwała się Laura, nie odrywając spojrzenia od czarnej szosy.

Chłopak był zbyt oszołomiony i wyczerpany, żeby odpowiedzieć. Patrzył na Reubena tak, jakby istnym cudem wydawał mu się fakt, że ma przed sobą całkiem zwyczajnego człowieka.

Gwałtownie otworzył oczy. Cyfrowy budzik wskazywał, że minęła szesnasta. Zastony były zaciągnięte. Przespał wiele godzin, ale teraz słyszał głosy dobiegające z zewnątrz. Ludzie przed domem, za domem, po bokach. Usiadł.

Laury nie było. Zauważył, że migoce dioda w bazie telefonu stacjonarnego. Słyszał daleki dzwonek; dźwięk mógł dobiegać aż z kuchni, może nawet z biblioteki. Na nocnym stoliku wibrował jego iPhone.

Telewizor zamigotał i zajaśniał bezgłośnie. Pasek informacji u dołu ekranu powtarzał te same nowiny, które Reuben widział już, zanim zasnął: **PANIKA W SANTA ROSA. CZŁOWIEK WILK ATAKUJE.**

Przypomniał sobie, o czym mówiono w telewizyjnych wiadomościach.

W całym stanie poszukiwano Stuarta McIntyre, który nocą zniknął ze szpitala Świętego Marka. O 3.15 nad ranem jego ojczym został zamordowany przez Człowieka Wilka. Matka jest hospitalizowana. Z całej północnej Kalifornii napływają zgłoszenia od osób, które rzekomo widziały Człowieka Wilka.

Ludzie wpadli w panikę właściwie na całym wybrzeżu. Nie tyle bali się Człowieka Wilka, ile czuli się zdezorientowani, bezradni, sfrustrowani. Dlaczego policja nie potrafiła rozwikłać zagadki tajemniczego mściciela? Reuben widział fragmenty konferencji gubernatora, wypowiedź prokuratora

generalnego, a także przebitki na drewniano-szkłany dom na pagórku w Santa Rosa.

Znowu te głosy, na zewnątrz, wokół domu. I zapach większej grupy ludzi. Poruszali się wzdłuż zachodniej i wschodniej granicy posiadłości.

Wstał nagi i bosy. Podeszedł cicho do okna i odrobinę uchylił zasłonę, wpuszczając do środka promień popołudniowego światła. Zobaczył trzy wozy policyjne. Nie, jeden z nich należał do szeryfa. Dwa pozostałe do patrolu drogowego. A za nimi karetka. Po co karetka?

Rozległo się donośne stukanie do frontowych drzwi. I jeszcze raz. Zmrużył oczy, bo tak lepiej słyszał. Obchodzili dom z dwóch stron, by obstawić tylne wyjście.

Czy było zamknięte na klucz? I czy alarm był włączony?

Gdzie jest Laura? Wyczuł jej zapach. Była w domu, zbliżała się.

Wciągnął spodnie i na palcach wyszedł na korytarz. Usłyszał oddech Stuarta. Zajrzał do sąsiedniej sypialni i zobaczył go: chłopak spał jak zabity, mniej więcej tak jak Reuben jeszcze przed chwilą.

Zapadli w tak głęboki sen, bo nie mieli wyboru. Reuben spróbował wcześniej coś zjeść, ale nie był w stanie. Stuart zadowolił się stekiem. Obaj mieli mętne oczy, brakowało im sił nawet do tego, by wyraźnie mówić. Stuart był prawie pewny, że ojczym zdążył go dwukrotnie postrzelić, ale nie znalazł ran na swoim ciele. Gdy położyli się do łóżek, zasnęli w mgnieniu oka - jakby ktoś zgasił światło.

Nasłuchiwał. Nadjeżdżał kolejny samochód.

Nagle usłyszał kroki gołych stóp Laury na schodach. Wyszła z cienia i przytuliła się do niego.

- Przyjechali już drugi raz - szepnęła. - Alarm jest włączony. Jeśli wybiją szybę albo popchną drzwi, odezwą się syreny we wszystkich czterech narożnikach budynku.

Skinął głową. Laura była blada i drżała.

- Twoja skrzynka e-mailowa jest pełna wiadomości, nie tylko od matki, ale i od brata, ojca i Celeste. Nawet od Billie. Szykuje się coś niedobrego.

- Widzieli cię w oknie? - spytał.

- Nie. Zastony są wciąż zaciągnięte. Ktoś wołał go po nazwisku.

- Panie Gołding! Panie Golding!

Znowu łomot do drzwi, tym razem na tyłach domu. Wiatr wzdychał cicho i wybijał rytm na szybach kroplami deszczu.

Reuben zrobił kilka kroków schodami w dół.

Przypomniał sobie huk, który obudził go tamtej nocy, gdy zginęła Marchent. Mieszkamy w szklanym pałacu, pomyślał. Ciekawe, jak będą się tłumaczyć, jeśli wejdą tu siłą.

Jeszcze raz zerknął na Stuarta. Bosy, ubrany w szorty i bluzę, spał jak niemowlę.

Galton zajechał pod dom. Słysząc było, jak woła szeryfa.

Reuben wrócił do sypialni i znowu przystanął przy południowym oknie.

- Nie wiem, gdzie oni są. Ale chyba widzisz podobnie jak ja, że oba samochody stoją na miejscu. Co mam powiedzieć? Może śpią? Wrócili do domu nad ranem. Może łaskawie mi wytłumaczysz, co się tutaj dzieje?

Szeryf nie odpowiedział. Milczeli też policjanci z patrolu drogowego oraz ratownicy z karetki, stojący w pewnej odległości i z rękami skrzyżowanymi na piersiach przyglądający się domowi Reubena.

- Może wpadniecie później, kiedy się obudzą? - zaproponował Galton. - Owszem, znam przepisy, ale nie zostałem upoważniony do wpuszczenia kogokolwiek. Posłuchaj...

Szepty.

- Dobra, dobra. W takim razie czekamy. Na co?



- Obudź Stuarta - szepnął Reuben do Laury. - Zaprowadź go do sekretnej sali. Prędko.

W pośpiechu włożył granatową marynarkę i przeczesał włosy. Cokolwiek miało się wydarzyć, chciał wyglądać jak wzór szanowanego obywatela.

Zerknął na wyświetlacz telefonu. SMS od Jima.

„Wylądowaliśmy. Jedziemy”. Tylko co to miało znaczyć, u licha?

Stuart protestował z lekka pijanym głosem, ale Laura nieustępliwie prowadziła go w stronę schowka na bieliznę i ukrytych tam drzwi.

Zaczekał, aż zamknęły się za nimi. Idealnie gładka ściana. Zawiesił półki i ułożył na nich dwie spore sterty ręczników.

Zszedł po cichu na parter i ruszył korytarzem w stronę zaciemnionego salonu. Jedyne źródłem mlecznego, słabego światła było otwarte przejście do oranżerii. Deszcz bębnił cicho o szklaną kopułę; boczne szyby były zaparowane. Ktoś sprawdzał, czy zachodnie drzwi oranżerii na pewno są zamknięte.

Przed domem zawarczał silnik kolejnego samochodu. Reuben miał wrażenie, że razem z nim podjechała ciężarówka. Nie chciał nawet dotykać zasłon. Nasłuchiwał w całkowitej ciszy. Tym razem kobiecy głos. I znowu Galton, głośno, przez telefon.

- ...lepiej po prostu tu przyjedź, Jerry. To się już dzieje, tu, u Nidecków, a ja nie widzę, żeby mieli nakaz. Jeśli ktoś spróbuje wejść do domu bez nakazu, to... Mówię ci, przyjedź tu, i to zaraz.

Skręcił do biblioteki, bezszelestnie podszedł do biurka i spojrzał na ekran. Lista wiadomości ciągnęła się od dołu do góry. Zaczął czytać tematy.

„SOS”, pisała Celeste, wielokrotnie. „Ostrzeżenie” - to od Billie. „W drodze” - Phil. Ostatnią wiadomość przysłała Grace: „Lecimy z Simonem”. Dwie godziny wcześniej.

Zatem o to chodziło Jimowi. Wylądowali najprawdopodob-

niej na lotnisku okręgu Sonoma, a resztę drogi musieli pokonać samochodem.

Ile czasu potrzebowali?

Kolejne samochody przed domem.

Ostatnia wiadomość od Billie nadeszła godzinę wcześniej: „Cynk: chcą cię przymknąć”.

Był wściekły, ale kalkulował na zimno. Co mogło wywołać ten kryzys? Czy ktoś widział ich nad ranem ze Stuartem? Galion z pewnością nie pisnąłby nawet słowa. A zresztą, czy na tak wątpliwej podstawie można wszcząć wielką kampanię?

Karetka. Po co karetka? Czy doktor Cutler uzyskała prawo do opieki nad Stuartem i postanowiła zabrać go do szpitala psychiatrycznego albo do więzienia? Bo przecież ten kobiecy głos należał do niej, czyż nie? Ale był jeszcze jeden. Jakaś kobieta mówiła z obcym akcentem.

Wyszedł z biblioteki. W wielkim salonie poczuł pod stopami miękkie, orientalne dywany, a po chwili był już przy drzwiach.

Kobieta z obcym akcentem - zapewne rosyjskim - tłumaczyła właśnie, że ma bogate doświadczenie w tego typu spławach i jeśli tylko funkcjonariusze będą z nią współpracować, wszystko pójdzie jak po maśle. Bo zwykle tak właśnie idzie. Męski głos, nieco złowroźbnie przeciągający sylaby, natychmiast udzielił jej wsparcia. To Jaska, pomyślał Reuben. Tak, czuł jego zapach. Teraz wyczuł także kobietę. Ona kłamie, pomyślał. Degeneratka.

Poczuł pierwszy skurcz i odruchowo położył prawą dłoń na brzuchu. Poczuł pod nią ciepło.

— Jeszcze nie — szepnął. — Jeszcze nie. — Na ramionach czuł z kolei chłód. Na karku też. - Jeszcze nie.

Na zewnątrz było coraz ciemniej; za kilka minut miało zająć słońce, a przy takiej pogodzie oznaczało to rychłe nadejście nocy.

Wokół domu musiało się zebrać już co najmniej piętnaście osób. Wyczuwał na drodze kolejne samochody. Jeden z nich zatrzymał się po chwili w pobliżu frontowych drzwi.

Bez trudu mógł się dostać do sekretnej sali, ale co by się stało, gdyby Galton o niej wiedział? A jeśli nie wiedział o niej absolutnie nikt? Jak długo mogliby się tam ukrywać?

Doktor Cutler wdała się w dyskusję z rosyjską lekarką. Nie życzyła sobie, by Stuart został skierowany na przymusowe leczenie. Nie była nawet pewna, czy Stuart tu jest, ale Rosjanka upierała się, że jest, że dostała informację z bardzo pewnego źródła.

Nagle w dyskusji pojawił się nowy głos: głos jego matki. A w tle jakby niski głos Simona Olivera...

- Pokażcie mi nakaz zatrzymania, jeśli marzy wam się, że zabierzecie stąd mojego syna wbrew jego woli.

Chyba jeszcze nigdy tak się nie cieszył, słysząc jej głos. Tuż za drzwiami pobrzmiwał też szmer rozmowy Phila i Jima. Szacowali, że na miejscu jest już dwudziestu funkcjonariuszy, i zastanawiali się, co robić.

Reuben drgnął, usłyszawszy jakiś szmer w głębi domu.

Skurcze były teraz silniejsze. Czuł, jak otwierają się poty w jego skórze, czuł mrowienie we wszystkich mieszkach włosowych. Siłą woli powstrzymał przemianę.

Szmer dobiegał od strony korytarza. Reuben dałby głowę, że ktoś wychodził z piwnicy po drewnianych stopniach. Skrzypnęły drzwi. Tak, to te drzwi.

Z półmroku wyłoniła się powoli wysoka postać, a po jej lewej stronie - kolejna. Blask bijący od strony oranżerii był zbyt mocny, by Reuben mógł rozpoznać twarze przybyszów.

- Jak się tu dostaliście? — rzucił wyzywająco. Podszedł ku nim śmiało, ignorując skurcz żołądka. Czuł rumieńce na policzkach. - Wynoście się, chyba że macie nakaz sądowy.

- Spokojnie, mały wilczku - odezwał się jeden z przybyszów.

Drugi, który stał bliżej korytarza, włączył światło. To był Felix. A tym, który przemówił, był Margon Sperver.

Reuben omal nie krzyknął ze zdumienia.

Obaj mieli na sobie ciężkie tweedowe marynarki i wysokie buty. Pachnieli deszczem i mokrą ziemią; twarze mieli zarumienione od chłodu i wiatru.

Reuben poczuł ulgę. Odetchnął głęboko i złożył dłonie na wysokości twarzy.

Felix wyszedł poza smugę światła wpadającą z korytarza.

- Chcę, żebyś ich wpuścił - powiedział.

- Nie wiesz jeszcze wszystkiego! - odparł Reuben. - Jest tu ten chłopak, Stuart...

- Wiem. - Felix był zupełnie spokojny. - Wiem wszystko. - Uśmiechnął się, jakby chciał dodać Reubenowi odwagi. - Za chwilę pójde na górę po Stuarta i przyprowadzę go tutaj. Rozpal ogień, włącz światła. Gdy tylko Stuart będzie gotowy, wpuścisz ich.

Margon już zaczął działać - włączał kolejno lampy. Salon stopniowo wyłaniał się z mroku.

Reuben nie zastanawiał się długo. Skurcze osłabły. Na piersi czuł strużki potu. Szybko rozpałił w kominku szczapami dębiny.

Margon najwyraźniej dobrze znał ten dom. Po chwili ogień płonął także w bibliotece, w jadalni i w oranżerii.

Margon miał długie włosy, jak na zdjęciu, tyle że związane rzemieniem. Na łokciach marynarki miał skórzane łąty, a wysokie buty wyglądały na bardzo stare - były zdarte na czubkach i pomarszczone. Twarz miał ogorzałą, ale wciąż młodzieńczą. Wyglądał co najwyżej na czterdziestolatka.

Włączywszy światło w oranżerii, wrócił do Reubena i spojrzał mu w oczy. Było w nim zniewalające ciepło, podobne do tego, które Reuben wyczuł w Feliksie, gdy spotkali się po raz pierwszy. Wydawało się też, że jest w dobrym humorze.

- Czekaliśmy na to bardzo długo - rzekł swobodnie Margon. -  
Żałuję, że nie mogliśmy ułatwić ci zadania. Nie udało się.

- Co masz na myśli?

- Wkrótce zrozumiesz. A teraz posłuchaj. Gdy tylko zjawi się tu Stuart, wyjdiesz za próg i zaprosisz lekarzy do środka. Stróżów prawa poprosisz, żeby poczekali na zewnątrz. Powiedz, że chcesz porozmawiać. Poradzisz sobie?

- Tak - odparł Reuben.

Tymczasem za drzwiami spór toczył się coraz szybciej i gwałtowniej. Głos Grace górował nad pozostałymi.

- Jest nieważny! Kupiliście go! Albo przyprowadzicie tu tego konowala, który podpisał nakaz, albo nie uznam...

Coś drgnęło w twarzy Margona. Położył ręce na barkach Reubena.

- Panujesz nad tym? - spytał. Nie próbował go oceniać, po prostu pytał.

- Tak - odparł Reuben. - Nie przemienię się.

- To dobrze.

- Ale nie wiem, jak będzie ze Stuartem.

- Jeśli zacznie się zmieniać, wyprowadzimy go - wyjaśnił. -Jego obecność jest ważna. Zaufaj nam.

Stuart zjawił się po chwili, ubrany w koszulkę polo i džinsy. Był wyraźnie zaniepokojony; spoglądał na Reubena w milczeniu i jakby z rozpaczą. Laura miała na sobie całkiem zwyczajny sweter i spodnie. Stała u boku Reubena.

Felix skinął na Margona, by się cofnął. Obaj stanęli bliżej przejścia do jadalni i skinęli na Reubena, by odegrał swoją rolę.

Włączył reflektory na zewnątrz domu, wyłączył alarm anty włamaniowy i otworzył drzwi.

Zobaczył rozgniewanych ludzi w lśniących od deszczu płaszczach przeciwdeszczowych i z równie lśniącymi parasolami w dłoniach. Policjantów było znacznie więcej, niż mu się wcześniej zdawało. Rosyjska lekarka - grubokoścista kobieta

w średnim wieku, o krótko obciętych, siwych włosach - podeszła natychmiast, gestem nakazując doktorowi Jaśce i pozostałym, by ruszyli za nią, ale Grace zastąpiła jej drogę.

Phil wszedł po schodkach i zniknął w domu. Jim uczynił to samo.

- Zechcą państwo mnie wysłuchać? - odezwał się Reuben. Uniósł dłonie, prosząc o ciszę i chwilę cierpliwości. - Rozumiem, że państwo przemarzli i przepraszam, że tak długo kazaliśmy na siebie czekać.

Grace i Simon Oliver wspinali się po stopniach, jednocześnie próbując zatrzymać Rosjan, od których biła coraz silniejsza woń zła. Jaska mierzył Reubena lodowatym spojrzeniem, jakby zdawało mu się, że potrafi paraliżować wzrokiem. Uparcie szedł w stronę drzwi. Jego towarzyszką była najwyraźniej poruszona widokiem Reubena. Mierzyła go aroganckim spojrzeniem małych, mlecznobłękitnych oczu.

- Zapraszam do środka lekarzy - rzekł Reuben. Grace była już przy nim. - Panią też, doktor Cutler... - (Modlił się w duchu i miał nadzieję, że Felix i Margon wiedzą, co robią, a przede wszystkim, że są tymi, za kogo ich uważał, ale w tej chwili ta nadzieja wydawała mu się bardzo krucha!) — Porozmawiamy w domu. Galton, przykro mi, że musiał się pan fatygować w taką pogodę. Może zechce pan przygotować kawę dla panów policjantów? Zna pan naszą kuchnię lepiej niż my. Bardzo proszę, mam nadzieję, że starczy nam kubków dla wszystkich...

Galton zdumiał się w pierwszej chwili, ale zaraz skinął głową i zaczął zbierać zamówienia na śmietankę i cukier.

Grace przecisnęła się za plecami Reubena i weszła do domu.

Dwoje Rosjan wciąż stało na schodach, najwyraźniej nie przejmując się potokami deszczu. Wreszcie kobieta przemówiła po cichu do Jaski, a ten odwrócił się i poprosił funkcjonariuszy, żeby zaczekali w gotowości i nie oddalali się od domu.

Nie wyglądali na przekonanych, czy w ogóle powinni się

stosować do życzeń Jaski. Niektórzy oddalili się nieco, ale kilku - w nieznanych Reubenowi mundurach - podeszło bliżej. Próbowali wejść z Jaską do domu.

- Zapraszam, doktorze - rzekł Reuben - ale panowie muszą tu zostać.

Szeryf wyszedł z tłumu, najwyraźniej mając coś przeciwko temu. Reuben bez słowa wpuścił go do środka.

Zamknął drzwi i spojrzał na zebranych w wielkim salonie: na szeryfa, swoich bliskich, Simona Olivera, młodą i ładną doktor Cutler oraz na dwoje demonicznych Rosjan, którzy spoglądali na niego kamiennym wzrokiem.

Nagle doktor Cutler krzyknęła cicho. W cieniu obok kominka dostrzegła Stuarta i pobiegła ku niemu z otwartymi ramionami.

- Nic mi nie jest, pani doktor... - powiedział Stuart, obejmując ją długimi, niezgrabnymi rękami. - Przepraszam. Bardzo przepraszam. Nie wiem, co mi odbiło. Po prostu musiałem się stamtąd wyrwać, więc wybiłem okno...

Reszta słów utonęła w krzykach Rosjanki i Grace, które znowu zaczęły się kłócić.

- Obędzie się bez kłopotów - grzmiała Rosjanka - jeśli pani syn i ten chłopak odjadą stąd z nami!

Była bezczelna, butna, podstępna. Cuchnęła złem.

Simon, bardzo mokry i bardzo wymięty w swym szarym garniturze, zdobył się mimo wszystko na święte oburzenie i stanowczość. Chwycił Reubena pod ramię i rzekł:

- Wasze pięćdziesiąt jeden pięćdziesiąt są fałszywe. Podpisane przez jakichś sanitariuszy, którzy nawet się tu nie stawili! Jak mamy zweryfikować podpisy? Jak sprawdzić, że ci ludzie w ogóle znają tego chłopca i mojego klienta?

Reuben nie wiedział dokładnie, co to jest „pięćdziesiąt jeden pięćdziesiąt”, ale domyślał się, że chodzi o formularz skierowania na przymusowe leczenie.

- Zresztą, jak widać, ten młody człowiek nie wygląda ani na chorego, ani na skłonnego do przemocy - ciągnął Simon lekko drżącym głosem - i ostrzegam, że jeśli spróbują państwo wyprowadzić mojego klienta lub chłopca siłą z tego domu, to...

Rosyjska lekarka niczym stalowy manekin obróciła się w stronę Reubena i wpadła Simonowi w słowo:

- Doktor Daria Kłopowa - przedstawiła się z mocnym, obcym akcentem. Jej siwe brwi uniosły się nieznacznie, a oczy jeszcze bardziej zwężyły, gdy podawała mu swą drobną dłoń. Uśmiechnęła się, ale był to raczej grymas mający na celu prezentację doskonałych, porcelanowych zębów. - Proszę jedynie, żeby mi pan zaufał, młody człowieku. Proszę o odrobinę wiary w moją wiedzę na temat niezwykłych doświadczeń, które stały się pańskim udziałem.

- Tak, tak - odezwał się doktor Jaska. Znowu sztuczny uśmiech, znowu dziwny akcent. - I naprawdę nikt nie musi w tej sytuacji ucierpieć, chociaż widział pan, że mamy wsparcie ludzi pod bronią. - Wypowiadając ostatnie trzy słowa, nieświadomie wyszczerzył zęby. Odwrócił się i wyciągnął rękę w stronę drzwi, jakby naprawdę chciał wpuścić do środka „ludzi pod bronią”.

Grace zasypała go lawiną gróźb, w większości natury prawnej.

Jim, ubrany na czarno i z koloratką pod brodą, stanął ramieniem w ramię z Reubenem. Phil uczynił to samo z drugiej strony. Jak zwykle wyglądał po profesorsku z siwymi włosami w nieładzie, w wymiętej koszuli i krzywo zawiązanym krawacie. Kręcił głową, mamrocząc:

- Nie, nie, nic z tego nie będzie. Absolutnie.

Reuben usłyszał, jak Stuart wywnętrza się przed doktor Cutler:

- Dlatego musi mi pani pozwolić zostać tu, u Reubena. To mój przyjaciel. Proszę, proszę, proszę! Tak bardzo chciałbym tu zostać, pani doktor...



Co teraz?

- Proszę spojrzeć - powiedziała z nieszczerą uprzejmością doktor Kłopowa - oto podpisany nakaz. Zaopiekujemy się panem.

- A widziałeś kiedy tego sanitariusza, który to podpisał? -zagrzmiała Grace. - Kupili sobie te świstki. I chyba nie rozumieją, że nie ujdzie im to na sucho.

- Nie mogę oddać się w państwa ręce - powiedział Reuben. Jaska odwrócił się i otworzył drzwi, wpuszczając do domu

lodowaty wiatr. Zawołał w stronę mundurowych. Szeryf natychmiast zareagował.

- Ja się tym zajmę, doktorze. Proszę zostawić moich ludzi w spokoju - dodał, stając na progu. - Zostańcie na miejscach! -zawołał. Był spokojnym, siwowłosym mężczyzną, dobiegał siedemdziesiątki i najwyraźniej sytuacja nieco go przerosła. Odwrócił się ku Reubenowi i w dość teatralny sposób zmierzył go wzrokiem. - Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić prostą angielszczyzną, dlaczego którykolwiek z tych chłopców miałby zostać wbrew swojej woli skierowany na leczenie? Bardzo chętnie posłucham, bo jakoś nie widzę tu żadnego problemu i naprawdę...

- Jasne, że pan nie widzi! - wpadła mu w słowo doktor Kłopowa, przechadzając się na grubych, czarnych i wysokich obcasach, jakby lubiła słuchać ich dudnienia na dębowym parkiecie. - To dlatego, że nie rozumie pan delikatnej natury schorzenia, z którym mamy tu do czynienia. Nie wie pan też, jak wielkie mamy doświadczenie w leczeniu podobnych, niebezpiecznych przypadków...

Tym razem to Simon Oliver podniósł głos:

- Szeryfie, chyba powinien pan zabrać tych ludzi i wrócić do domu.

Drzwi wciąż były otwarte. Z zewnątrz dobiegał coraz głośniejszy gwar. Wiatr przyniósł aromat kawy. Wśród innych po-

brzmiewał też głos Galtona. Reuben miał wrażenie, że dostrzegł też Laureę, zajęta rozdawaniem kubków z kawą z wielkiej tacy.

Gdzie, u diabła, zniknęli Felix i Margon? I czego właściwie ode mnie oczekują?

- Uwaga! - zawołał, wznosząc ręce do góry. - Nigdzie się nie wybieram - oświadczył, zamykając drzwi. - Szeryfie, od ponad miesiąca nie widziałem się z żadnym sanitariuszem. Nie mam pojęcia, kto podpisał ten dokument. Zabrałem Stuarta do domu, bo błąkał się po nocy, zagubiony i przerażony. Tam stoi doktor Cutler, lekarka, która się nim opiekuje. Racja, że już wczoraj powinienem był zadzwonić, zawiadomić, kogo trzeba, ale fakt jest faktem: Stuart jest zdrowy.

Przybysze z Rosji uśmiechali się protekcjonalnie i kręcili głowami, zaciskając usta.

- Nie, nie, nie - odezwał się doktor Jaska. - Pan pojedzie z nami, młody człowieku, to nie podlega dyskusji. Zadaliśmy sobie wiele trudu i ponieśliśmy niemałe wydatki, żeby zapewnić panu odpowiednią opiekę. Wyjdzie pan z własnej woli czy mamy...

Urwał w pół zdania i zamarł z otwartymi ustami. Doktor Kłopowa, stojąca obok niego, pobladła. Reuben spojrzął za siebie.

Margon i Felix wrócili do salonu. Stanęli na prawo od wielkiego kominka. Dołączył do nich jeszcze jeden z czcigodnych dżentelmenów z fotografii, wyraźnie starszy, siwowłosa Baron Thibault, mężczyzna o wielkich oczach i głęboko pomarszczonym obliczu. Zbliżyli się swobodnym krokiem, a Grace na wszelki wypadek zeszła im z drogi.

- Sporo czasu minęło, moi państwo - rzekł Baron Thibault dźwięcznym barytonem. - Ile właściwie? Będzie z dziesięć lat?

Doktor Kłopowa cofała się wolno w stronę drzwi. Jaska, trzymając się blisko niej, wyciągnął rękę ku gałce.

- Chyba nie zamierzają państwo teraz wyjść? - spytał

uprzejmie Margon. Miał miły głos. - Przecież tak niedawno państwo przyjechali. I jak słusznie zauważył doktor Jaska, ponieśli państwo niemałe koszty i zadali sobie wiele trudu.

- Zna pan tych ludzi? - spytała Grace, zwracając się do Margona. — O co tu właściwie chodzi?

- Nie wtrącaj się, Grace - rzucił ostrzegawczo Phil.

Margon skinął ku nim głową i uśmiechnął się lekko. Rosyjscy lekarze byli przerażeni, ale jednocześnie ogarnęła ich cicha furia. Reuben znowu czuł skurcze w brzuchu, bo trudno było oprzeć się kuszącej woni zła. Felix przyglądał się tej scenie dość obojętnie, może z odrobiną smutku.

Nagle zza drzwi frontowych dobiegły krzyki.

Jaska aż podskoczył. Kłopowa tylko drgnęła i niemal natychmiast posłała Margonowi wściekłe spojrzenie.

Coś ciężkiego z wielką siłą uderzyło w drzwi. Reuben widział, jak się ugięły i zadrżały. Szeryf krzyknął mimowolnie, a Rosjanie odskoczyli na boki.

Krzyki kobiet i mężczyzn, którzy pozostali na zewnątrz, były coraz głośniejsze.

W tym momencie drzwi, wyrwane z zawiasów, wpadły do środka i z dużą prędkością przeleciały na lewo od Reubena. Poczul, że serce podchodzi mu do gardła.

Zza ściany deszczu, niczym z nicości, wychynął wilkołak -mający siedem stóp potwór porośnięty ciemnobrązowym futrem, o szarych ślepiach i lśniących, białych kłach. Z jego gardzieli wyrwał się potężny, gulgocący ryk.

Reuben poczuł serię mocnych skurczów żołądka. Krew odpłynęła mu z twarzy, kolana zmiękły. Zakreśliło mu się w głowie.

Potężne łapy Człowieka Wilka sięgnęły po doktor Kłopową, chwyciły ją pod ramiona i uniosły.

- Nie zrobisz tego! — wrzasnęła, wijąc się i wierzgając nogami. Jej zagięte palce przypominały szpony, gdy bestia wycofała

się na zewnątrz i niosła ją jeszcze wyżej w blasku zewnętrznych reflektorów.

Nagle wszyscy obecni w salonie znaleźli się w ruchu. Reuben cofnął się odruchowo, doktor Cutler piszczała jak opętana, a Jim skoczył w stronę matki.

Na zewnątrz także trwała totalna panika - funkcjonariusze krzyczeli i nie wiedzieć czemu, sprzeczali się ze sobą. Huknęły strzały, a zaraz potem, jak należało się spodziewać, ktoś zawołał:

— Nie strzelać, nie strzelać!

— Rusz się, bierz go żywcem! — ryknął doktor Jaska, łapiąc za klapy przerażonego szeryfa. - Łap go, durniu!

Reuben patrzył tymczasem jak urzeczony na wilkołaka, który właśnie wbijał kły w gardło doktor Kłopowej. Krew chlusnęła strumieniami na jej zmięte ubranie, a ramiona opadły naraz niczym złamane gałęzie. Doktor Jaska zawył przeciągle i przeraźliwie.

— Zabij go, zabij! - wrzasnął do szeryfa, który w panice usiłował wyszarpnąć pistolet z kabury.

Od strony rozkrzyczanej gromady stojących za drzwiami znowu padły strzały. Bestia nie zwróciła na nie uwagi. Zacisnęła szczęki na nieruchomej już głowie kobiety i jednym szarpnięciem oderwała ją od ciała, rozciągając najpierw długie pasma gumowatej i zachlapanej krwią skóry. Zaraz potem potrząsnęła łbem i szerokim łukiem posłała głowę Rosjanki daleko w mrok.

Zmasakrowane ciało wylądowało na schodach, a Człowiek Wilk wskoczył do salonu, z impetem przewracając szeryfa na plecy. Natychmiast ruszył dalej i dopadł uciekającego doktora Jaśkę przy drzwiach oranżerii.

Razem wpadli między doniczki z drzewami i kwiatami. Rosjanin zdążył jeszcze wygłosić rozpaczliwą tyradę w swym ojczystym języku, zanim wilkołak i jemu urwał głowę, po czym rzucił ją do salonu, gdzie potoczyła się ku frontowym drzwiom.

Szeryf usiłował wstać, ale stracił równowagę i omal nie wyla-

dował na martwej twarzy doktora Jaski. Pozbierał się w końcu, lecz nie był w stanie zapanować nad drzeniem ręki na tyle, by skierować broń w stronę bestii.

Mocarny Człowiek Wilk minął go, spoglądając śmiało przed siebie i wlokąc ciało Jaski zaczepione na jednym pazurze.

Reuben patrzył ze zgrozą na muskularne, włochate uda, ugięte kolana, nie całkiem po ludzku pracujące stopy. Sam poruszał się w taki sposób jako Człowiek Wilk, ale po raz pierwszy był jedynie obserwatorem.

Potwór porzucił trupa, zawrócił i imponującym susem przeskoczył nad obecnymi w salonie. Minął Grace i Jima, skręcił do biblioteki i z impetem przebił się przez zasłonę i szyby wschodniego okna, by zniknąć w ciemnościach nocy. Odłamki szkła z brzękiem poleciały na zewnątrz wraz z mosiężnym karniszem i płachtą aksamitu, a do środka wpadły pierwsze krople deszczu.

Reuben stał nieruchomo. Skurcze w brzuchu nie ustawały ani na chwilę, ale jego skóra była niczym lodowaty pancerz; szczelnie izolowała wnętrze.

Dookoła niego rozgrywało się istne pandemonium. Doktor Cutler wpadła w histerię, a Stuart jąkał się, rozpaczliwie próbując ją uspokoić. Grace właśnie wstawała z podłogi, spoglądając w ślad za potworem. Jim klęczał i kryjąc twarz w dłoniach, modlił się żarliwie. Phil podbiegł do żony, a Laura, która chwilę wcześniej minęła próg, zatrzymała się przy zwłokach Jaski. Spoglądała na Reubena, a Reuben na nią. Rozłożył ramiona, by ją przytulić. Simon Oliver opadł ciężko na krzesło, przyciskając dłonie do piersi. Na twarzy miał niezdrowy rumieniec i pocił się obficie, gdy daremnie próbował się podnieść.

Tylko trzech mężczyźni - Felix, Margon i Thibault - w ogóle się nie poruszyli. Thibault ocknął się jako pierwszy i podszedł do szeryfa, by pomóc mu wstać. Szeryf z wdzięcznością chwycił jego ramię, a gdy wrócił do pionu, minął Laurę i Reubena

i zniknął za drzwiami, w marszu wydając komendy swoim ludziom. Wycie policyjnych syren przecięło nocną ciszę.

Felix wciąż stał nieruchomo, spoglądając na prawo, na urwaną głowę doktora Jaski, leżącą na boku - jak bodaj wszystkie urwane głowy - i spoglądającą w przestrzeń niewidzącymi oczami. Margon podszedł do doktora Cutler i otoczywszy ją ramieniem, zapewnił ją łagodnie, acz z przekonaniem, że „stwór” już uciekł. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że doktor Cutler lada chwila przestanie się opierać przemożnej fali mdłości.

Stróże prawa rozchodzili się tyralierą w kierunku lasu, a do już wyjących syren dołączały wciąż nowe. Koguty błyskające upiornie na dachach wozów patrolowych naprzemiennie zalewały salon światłem w dwóch krzykliwych odcieniach. Nienaturalnie wygięte ciało doktora Kłopowej wciąż spoczywało za progiem, niczym kłęb zakrwawionych ubrań przesiąknięty deszczem. Policjanci potykali się o nie, z bronią w rękę wchodząc do domu.

Błada twarz Stuarta nie wyrażała w tej chwili absolutnie żadnych uczuć.

Biedny Stuart, pomyślał Reuben, wciąż trzymając Laurę w ramionach i drżąc nieznacznie. Chłopak już drugi raz widział pokaz siły wilkołaka. Widział, jak wielka, włochata bestia chwyta człowieka niczym pusty manekin i pozbawia go głowy z taką lekkością, jakby zrywała z krzaka dojrzały owoc.

Szeryf wpadł z powrotem do salonu, z twarzą lśniąca od deszczu i policjantem u boku.

- Nikt stąd nie wychodzi! - zawołał. - Nikt nie wychodzi, dopóki nie zbierzemy od wszystkich zeznań.

Grace, wciąż blada i drżąca, rozglądała się dokoła groteskowo wytrzeszczonymi i mokrymi od łez oczami. Phil głaskał ją i pocieszał łagodnym szeptem. Felix był przy nich; Thibault czuwał przy Reubenie i Laurze.

Grace spojrzała na syna. Reuben spojrzał na nią. A potem znowu na Stuarta, który stał bezradnie przy kominku, patrząc na Reubena zgoła inaczej niż poprzednio: z głębokim spokojem, jakby rozmarzony i lekko zdziwiony.

Reuben spojrzał na Margona i Feliksa, zajętych rozmową z szeryfem. Nie słyszał ani jednego słowa.

I wtedy Grace zrobiła coś, czego jej syn jeszcze nigdy nie widział i nie spodziewał się zobaczyć ponownie. Zemdlała i niczym nasmarowany olejem worek wyśliznęła się z ramion Phila, by z głuchym łoskotem upaść na parkiet.

Była to bodaj najdziwniejsza impreza w życiu Reubena, ale jednak impreza.

Ekipa techników kryminalistycznych, złożona ze specjalistów z San Francisco, Mendocino oraz FBI, już dawno opuściła Nideck Point. Nie było też większości personelu karet — niektórzy z ratowników zostali przesłuchani jako pierwsi, inni musieli odjechać wezwani do nagłych wypadków. Simon Oliver został zabrany na oddział ratunkowy pobliskiego szpitala, gdyż stwierdzono u niego wszystkie objawy niewydolności serca, choć być może był to jedynie atak paniki.

Dom był teraz pełen aromatu deszczu, kawy, herbaty z cytryną oraz czerwonego wina.

Wszystkie ciasteczka, które udało się znaleźć w spiżarni, trafiły na tace, podobnie jak plastry salami, krakersy i musztarda. Zona jednego z zastępców szeryfa przywiozła półmiski świeżo pokrojonego chleba dyniowego.

Przy stole śniadaniowym i w kuchni, a także w jadalni, ludzie zbierali się małymi grupkami, by rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Szeryf zbierał ich relacje, podobnie jak funkcjonariusze patrolu drogowego oraz ludzie z biura prokuratora generalnego, których przysłano z Fort Bragg.

Galton i jego kuzyni dokonali prowizorycznej naprawy okna w bibliotece za pomocą grubej folii, a po godzinie ciężkiej pracy zdołali też zawiesić drzwi frontowe na nowych zawiasach i przykręcić nowy zamek.



Teraz pili kawę i gawędzili z resztą towarzystwa.

W kominkach płonął ogień, włączono też wszystkie światła — od ozdobnych kinkietów naściennych po stare lampki stojące na narożnych stolikach i skrzyniach, których Reuben wcześniej nawet nie zauważył.

Młodzi policjanci pod bronią i ratownicy snuli się samotnie po korytarzach i pokojach - niczym single na każdej normalnej imprezie - spoglądając na siebie nawzajem i na klikę „ważniejszych” gości.

Doktor Cutler zapadła się głęboko w wielką, starą kanapę stojącą w salonie przy kominku, przykryta ciepłym kocem nie dlatego, że było jej zimno, ale przez wzgląd na to, co przeżyła.

- To z pewnością gatunek, dla którego nie mamy dziś naukowej etykiety ani definicji — mówiła właśnie do śledczych. — Albo prawdziwie potworna mutacja, ofiara fatalnej kombinacji niekontrolowanego wzrostu kośćca i owłosienia. Podłoga trzęsa się pod ciężarem tego stworzenia. Musiało ważyć ze trzysta funtów.

Grace, Phil i Jim zebrali się przy wielkim stole w jadalni, przy dziwnie wesołym ognisku płonącym w kominku. Rozmawiali z Feliksem, który cierpliwie tłumaczył, że Jaska i Kłopowa przez lata byli zaangażowani w nieortodoksyjne eksperymenty i tajne badania finansowane najpierw przez sowieckie władze, a następnie przez prywatnych sponsorów o wątpliwej reputacji.

- O ile wiem, mocno interesowali się okultyzmem - ciągnął Felix. - Zawsze insynuowali, że Sowieci poznali sekrety rodem ze świata tradycji i legend, które inni w swej głupocie zlekceważyli.

Grace spojrzała na Feliksa ze współczuciem.

- Chce pan powiedzieć, że interesowali się tą istotą, tym wilkołakiem, w ramach prywatnych eksperymentów medycznych? - spytał Phil.

Jim przysłuchiwał się rozmowie z powagą, nienachalnie obserwując Feliksa.

- Czy to aż tak zaskakujące? - odpowiedział pytaniem Felix. - Są na świecie uczeni, którzy leczą swych klientów, miliarderów, w bardzo nieortodoksyjny sposób: serwują im eliksiry młodości, ludzki hormon wzrostu, komórki macierzyste, wyciągi z owczych gruczołów, sklonowaną skórę i kości, a także przeszczepy w celach kosmetycznych, o których zwykli ludzie mogą tylko pomarzyć. Kto wie, jaką wiedzę posiadają i dokąd doprowadziły ich badania? To całkiem naturalne, że Jaska i Kłopowa chcieli schwytać Człowieka Wilka. Kto wie, czy i w Ameryce nie działają tajne laboratoria, które stawiają sobie podobne cele.

Grace stwierdziła znużonym głosem, że chyba zawsze będą się pojawiać naukowcy i lekarze, którym marzy się swoboda moralna, możliwość spełnienia każdej zawodowej zachcianki.

- O, tak - odparł Felix. - Kiedy dowiedziałem się od Arthura Hammermiła, że Jaska nękał rodzinę Reubena, uznałem, że na coś możemy się przydać.

- Spotkał ich pan w Paryżu...? - zaczął Phil.

— Znałem ich — odparł Felix. — I podejrzewałem, jakich używają metod. Domyślałem się, do czego są zdolni, by osiągnąć swoje cele. Przypuszczam, że policja wkrótce ustali, iż Ośrodek Rehabilitacyjny w Sausalito to tylko przykrywka, a w rzeczywistości na Stuarta i Reubena czekał już samolot, który miał ich wywieźć za granicę.

- A wszystko po to, żeby ustalić, dlaczego u obu pojawiły się te dziwne objawy, czymkolwiek by były, te osobliwe zmiany... - powiedział Phil.

— Pojawiły się po ugryzieniu przez tego stwora — stwierdziła Grace i wyprostowała się na krześle, kręcąc głową. — Chcieli sprawdzić, czy ślina Człowieka Wilka wprowadziła do ustroju element, który następnie dałoby się wyizolować z krwi ofiary.

— Otóż to — przytaknął Felix.

— No to srodze by się zawiedli — powiedziała Grace. — A to dlatego, że przeprowadziliśmy już wszelkie możliwe badania.

- Nie wiesz przecież, jakimi środkami dysponują ludzie tacy jak Jaska i Kłopowa - zaoponował Phil. - Nigdy nie zajmowałaś się badaniami. Jesteś chirurgiem. A tych dwoje to uczniowie Frankensteina.

Jim spojrzął nad głowami pozostałych na Reubena. W jego oczach widać było zmęczenie, smutek i odrobinę lęku.

Wcześniej Jim był z Simonem Oliverem w szpitalu i wrócił zaledwie przed godziną, donosząc, że Simon jest w dobrym stanie i że specjalny ambulans zawiezie go do San Francisco. Prawdopodobnie nic mu już nie groziło.

- Co do jednej rzeczy mamy już dziś niezachwianą pewność, nieprawdaż? - spytała Grace. - I to bez względu na to, czy jesteśmy chirurgami, kapłanami czy poetami. Widzieliśmy tego potwora na własne oczy.

- To prawda - odpowiedział cicho Jim.

- A czy jest coś, czego nauczyły panią te wydarzenia? Coś, czego wcześniej pani nie wiedziała? - spytał Felix, spoglądając z uwagą w oczy Grace.

- Przekonałam się, że on naprawdę istnieje - odpowiedziała. - To nie bandyta w kostiumie, to nie zbiorowa halucynacja. To wybryk natury, jak to się kiedyś mówiło. Ludzka istota dotknięta potworną deformacją. Prędzej czy później każdy szczegół tego przypadku zostanie wyjaśniony.

- Być może ma pani rację - rzekł Felix.

- A jeśli to nieznany gatunek? - spytał Phil. - Coś, czego jeszcze nie zdążyliśmy odkryć?

- Nonsens - odpowiedziała Grace. - W dzisiejszym świecie to niemożliwe. Może gdzieś na Nowej Gwinei, ale nie tutaj. To jednorazowy przypadek. Albo ofiara splotu nieszczęśliwych wydarzeń, albo kaleka od urodzenia.

- No, nie wiem - mruknął Phil. - Jaki to nieszczęśliwy wypadek mógłby zrodzić takie skutki? Jaka wada wrodzona? Nie słyszałem o takich, ale to ty jesteś lekarzem, Grace.

- Wszystko to zostanie kiedyś wyjaśnione - powtórzyła. Nie próbowała się spierać, po prostu naprawdę w to wierzyła. -Jacyś pomysłowi ludzie wreszcie go złapią. To nieuniknione. We współczesnym świecie nie ma bezpiecznej kryjówki dla takiego stwora. Ustalą, na czym polega jego fenomen i skąd się wziął. I to będzie koniec pieśni. Na razie świat może się podniecać koncepcją Człowieka Wilka, jakby był wzorcem nowego bohatera, podczas gdy - niestety - jest on zaledwie aberracją. Prędzej czy później ktoś zrobi mu sekcję, wypatroszy go, wypcha i wstawi do gabloty w Smithsonian. A my będziemy opowiadać wnukom, że kiedyś widzieliśmy go na własne oczy, podczas krótkich dni jego chwały. A w ostatecznym rozrachunku ludzki sentyment uczyni z niego postać tragiczną - nowego Człowieka Słonia.

Jim już się nie odezwał.

Reuben oddalił się w stronę kuchni, gdzie szeryf stał z trzynastą filiżanką kawy w dłoni, rozmawiając z Galtonem o wilkołaczych legendach niegdyś popularnych w tych stronach, a od lat niesłyszanych.

- Babcia mi opowiadała, że kiedyś, wiele lat temu, mieszkała tu starsza pani, zdrowo szurnięta. Podobno napisała list do burmistrza Nideck, skarżąc się, że w miejscowych lasach grasują wilkołaki...

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparł Galton. - Jestem starszy od ciebie, a w życiu nie słyszałem o czymś takim...

- ...i twierdząc, że owe wilkołaki to rodzina Nidecków. Zjawiała się, wrzeszcząc dziko i utrzymując...

- Twoja babcia to zmyśliła. I tak bez końca.

Stuart zniknął gdzieś z Margonem Sperverem. Baron Thibault pomagał Laurze w ułożeniu ostatnich ciasteczek i kokosa-nek na kwiecistym, porcelanowym talerzu. Kuchnia pachniała mocno świeżo krojonymi jabłkami i herbatą cynamonową. Laura wyglądała na wyczerpaną emocjonalnie, ale widać by-

ło, że bardzo polubiła Thibaulta. Przyjęcie toczyło się swoim torem, a oni przez cały wieczór konwersowali po cichu.

— Ależ cała moralność to konieczność ukształtowana przez kontekst — mówił właśnie Thibault. — I nie mówię tu o relatywizmie, o nie. Zignorować kontekst decyzji - oto niemoralny postęp.

— Zatem jak właściwie zdefiniować nienaruszalną prawdę? — spytała Laura. - Doskonale rozumiem twoje słowa, ale brakuje mi umiejętności, by zdefiniować to, w jaki sposób konstruujemy wybory moralne, gdy kontekst zmienia się nieustannie...

— Przez rozpoznawanie warunków, w których dany wybór jest dokonywany - odparł Thibault.

Niektórzy zbierali się już do wyjścia.

Przesłuchania świadków dobiegały końca.

Szeryf zameldował, że poszukiwania Człowieka Wilka w rejonie Nideck zostały zakończone. Przy okazji podzielił się najświeższą nowiną: Jaska i Kłopowa byli poszukiwani przez Interpol w związku z kilkoma dochodzeniami prowadzonymi w Niemczech i we Francji.

Poza tym podobno ktoś zdołał wykonać serię doskonałych, niepodważalnie autentycznych zdjęć Człowieka Wilka na południe od San Jose.

— Moim zdaniem wygląda jak prawdziwy - skomentował szeryf, spoglądając na ekran iPhonea. - To ten sam diabeł, nie ma co. Proszę spojrzeć. Tylko jakim cudem dotarł tak daleko w tak krótkim czasie?

Ktoś z ekipy dochodzeniowej zadzwonił i poinformował, że miejsca zbrodni można już przekazać właścicielom.

Wreszcie impreza zaczęła dobiegać końca.

Na pobliskim lotnisku czekał na członków rodziny Gołdin-gów samolot. Reuben odprowadził matkę do drzwi.

— Ci przyjaciele rodziny Nidecków byli dziś bezcenni — stwierdziła. - Bardzo polubiłam Feliksa. Gdy Arthur Hammer-

mili gadał o nim bez końca, pomyślałam sobie, że się w nim zakochał, ale teraz go rozumiem.

Czule ucałowała Reubena w oba policzki.

- Pamiętaj, żeby wozić Stuarta do doktora Cutler na zastrzyki.

- Oczywiście, mam. Od dziś Stuart jest moim młodszym bratem.

Grace spojrzała na niego przeciągle.

- Spróbuj nie myśleć za wiele o wszystkich pytaniach bez odpowiedzi, mam - poradził jej Reuben. - Nauczyłaś mnie kiedyś, że z niektórymi z nich musimy żyć do końca naszych dni.

Zaskoczył ją.

- Naprawdę pomyślałeś, że się martwię? - spytała. - Nawet nie wiesz, co mi dała ta noc. Jasne, była koszmarem. Diabelska noc po diabelskim dniu. Ale pewnego dnia będę musiała powiedzieć ci, co tak naprawdę nie dawało mi spokoju. - Ze smutkiem pokręciła głowę. - Wiesz, zdarza się, że medycyna zadziwia nawet najbardziej racjonalnych ludzi. My, lekarze, każdego dnia bywamy świadkami rzeczy niewytłumaczalnych, zgoła cudownych. Nie uwierzyłbyś, jaką ulgę teraz czuję. - Zawahała się, a potem dodała tylko: - Chirurg bywa czasem równie zabobonny jak wszyscy inni ludzie.

W milczeniu dotarli do czekającej już furgonetki. Reuben objął serdecznie Jima i obiecał mu, że wkrótce zadzwoni.

- Wiem, jakie dźwigasz brzemień - szepnął mu do ucha. - Wiem, w co cię wpakowałem.

- A teraz masz pełen dom tych stworzeń? - spytał równie dyskretnie Jim. - Co ty wyrabiasz, Reuben? Dokąd zmierzasz? I czy możesz zawrócić? Zgoda, dziś przechytrzyli wszystkich. Ale co będzie dalej? - To powiedziawszy, zaraz pożałował swoich słów. Znowu uściskał brata.

- Mam teraz czas i przestrzeń - powiedział Reuben.

- Wiem. Ty i ten dzieciak możecie w końcu odetchnąć. Rozumiem to. Nie chciałbym, żeby ktoś cię skrzywdził. Nie mogę znieść nawet myśli o tym, że tamci mogli cię złapać. Ale nie wiem, co ja sam mogę dla ciebie zrobić.

Kilku policjantów robiło jeszcze zdjęcia.

- Tylko żadnych prywatnych fotek na Facebooku! - upomniał ich szeryf.

Goście rozchodzili się przez całą wieczność, a ostatnią z obcych była doktor Cutler, która koniecznie chciała jeszcze raz sprawdzić, co u Stuarta, ale uświadomiła sobie, że lepiej go nie budzić po niedawnych przeżyciach.

Jego matka miała pozostać w szpitalu jeszcze przez kilka dni. Tak, naturalnie, Reuben był gotów zawieźć tam Stuarta. Tak, dopilnuje, żeby się spotkali. Proszę się nie martwić.

Phil uściskał go serdecznie.

- Któregoś dnia zapukam do twoich drzwi - rzekł - z walizką pod pachą.

- Byłoby cudownie, tato - odparł Reuben. - Wiesz, tam na wzgórzu stoi domek z widokiem na ocean. Wymaga generalnego remontu, ale jakoś tak wyobrażam sobie ciebie, jak siedzisz tam i tłuczesz w tę swoją starą maszynę do pisania.

- Nie kuś mnie, synu, bo jeszcze przyjadę i już się mnie nie pozbędziesz. - Pokręcił głową; to był jeden z jego ulubionych małych gestów. Zaprzeczał w ten sposób co najmniej piętnaście razy dziennie. - Matka byłaby najszcześliwszym z ludzi, gdybym to zrobił - dodał. - Jeśli kiedy będziesz na to gotowy, wystarczy gwizdnąć.

Reuben ucałował jego szorstki, nieogolony policzek i pomógł mu wsiąść do furgonetki.

A kiedy wreszcie odjechali już wszyscy, co do jednego, wrócił przez deszcz do swego domu i zamknął drzwi na klucz.

Siedzieli w jadalni. Zapalone świece stały na kredensach i na stole, osadzone w ciężkich, grawerowanych świecznikach. Thibault znowu dorzucał drewno do kominka.

Za stołem siedział Felix, otaczając ramionami Laurę, która płakała cicho, przyciskając do ust lewą dłoń. Rozpuszczone włosy tworzyły wokół jej twarzy eteryczny welon, który tak się Reubenowi podobał, zwłaszcza w migotliwym blasku ognia.

W głębi duszy Reuben najeżył się nieco na widok Laury w ramionach tego fascynującego mężczyzny, ale Felix jakby to wyczuł - wycofał się natychmiast, wstał i gestem zachęcił go,

by zajął miejsce obok swojej kobiety.

Obszedł stół i usiadł obok Thibaulta. Przez chwilę w ciepłej, sennej jadalni panowało milczenie. Płomienie świec tańczyły na ich twarzach, a w powietrzu unosił się słodki zapach pszczelego wosku.

Laura już nie płakała. Lewą ręką objęła Reubena, a głowę oparła na jego piersi. On także otoczył ją ramieniem, ucałował w sam czubek głowy i położył dłoń na jej policzku.

- Przepraszam cię. Przepraszam za to wszystko - szepnął.

- Och, nie ty powinieneś przeproszać - odrzekła. - To przecież nie twoja wina. A ja jestem tu, bo tego chciałam. Przepraszam za te łzy.

Reuben zastanawiał się, co ją skłoniło do takiej odpowiedzi. Miał wrażenie, że to finał dłuższej rozmowy, która go ominęła. Zmusił się, by spojrzeć w oczy Feliksa, zawstydzony absur-



dalną chwilą zazdrości. Serce bolało go z radości, gdy pomyślał, że pod jego dachem nareszcie pojawił się Felix, a z nim Thibault, nie wspominając o Laurze i całej reszcie towarzystwa — i że nareszcie zostali sami. Ile to razy wyobrażał sobie tę chwilę? Ile razy modlił się o nią? I oto nadeszła; nie było już żadnych przeszkód. Wieczorny horror dobiegł końca. Minęli szczytowy punkt, było po wszystkim.

Pogodny, serdeczny uśmiech Feliksa wystarczył, by roztopić serce Reubena. Thibault, jegomość o wielkich oczach i ciężkich powiekach, także uśmiechał się życzliwie i łagodnie. Jego zmierzwiłone, siwe włosy oraz miękkie fałdy na twarzy sprawiały, że przypominał łagodnego mędrca.

— Nie mogliśmy ci powiedzieć, co planujemy - rzekł Felix. — Musieliśmy zwabić Kłopową i Jaśkę. Z Jaską poszło łatwo — nękał najpierw twoją matkę, a potem Stuarta. Ale Kłopowa pojawiła się na horyzoncie w ostatniej chwili.

— Tak przypuszczałem — odparł Reuben. — Jaska był od niej zależny, nawet ja to wyczułem. To ona przewodziła.

— Była ostatnim członkiem komitetu zarządzającego, za którego sprawą dwadzieścia lat temu zostaliśmy uwięzieni - uzupełnił Felix. — Naprawdę ostatnim. A Jaska był tylko jej gorliwym uczniem. Musieliśmy się uciec do malej prowokacji, żeby ściągnąć ją tutaj, ale teraz to już nieważne. Nie mogliśmy was ostrzec, nie mogliśmy nawet udzielić wam wsparcia. Z pewnością rozumiesz, że ani na ciebie, ani na Stuarta nie padną już nawet najmniejsze podejrzenia o udział w wyczynach Człowieka Wilka?

— Tak, genialnie to rozwiązaliście — odparł Reuben.

— I ani przez chwilę nie byliście w prawdziwym niebezpieczeństwie - zapewnił go Thibault. - Przy okazji pozwolę sobie zauważyć, że zachowałeś się znakomicie, podobnie jak wcześniej w sprawie Marroka. Nie spodziewaliśmy się, że Marrok zechce się tu ujawnić. W ogóle nie braliśmy tego pod uwagę.

- Od jak dawna obserwowaliście dom? - spytał Reuben.

- Właściwie to od samego początku - odparł Felix. - Odkąd sięgnąłem w Paryżu po „Herald Examiner” i ujrzałem na pierwszej stronie artykuł o śmierci Marchent. A gdy tylko „Człowiek Wilk z San Francisco” zadebiutował, wsiadłem do samolotu.

- Domyślam się, że i po naszym spotkaniu w kancelarii nie opuściłeś kraju?

- Nie. Od tamtej pory byliśmy bardzo blisko. Thibault dotarł na miejsce parę godzin później, a Margon, Vandover i Gorlagon musieli przylecieć zza Atlantyku. Ja zaś przebywałem w domu, choć nic o mnie nie wiedzieliście. Wykazaliście się sprytem, odnajdując sanctum, Miejsce Najświętsze, jak nazywaliśmy dawniej tę sekretną salę. Ale nie udało wam się odkryć przejścia w piwnicy. Stary piec to tylko atrapa z aluminium. Pokażę wam później, jak to działa. Wystarczy złapać po prawej, u dołu, i pociągnąć - otworzą się ukryte drzwi do kilku pomieszczeń. Wszystkie mają elektryczne oświetlenie i ogrzewanie. Można z nich zejść po schodkach do wąskiego tunelu, który biegnie na zachód. Jego wylot znajduje się tuż nad tymi wielkimi skałami u podnóża klifu, na samym końcu plaży.

- Znam to miejsce - wtrąciła Laura. - A przynajmniej tak mi się zdaje. - Wzięła do ręki jedną ze starych, obszytych koronką serwetek, ułożonych w równiutki wachlarz przy talerzu z owocami i czekoladkami. Dyskretnie otarła oczy, po czym zmięła ją mocno w dłoni. - Odkryłam je podczas spacerów. Nie mogłam podejść zbyt blisko; skały były śliskie. Ale założę się, że to właśnie to.

- Bardzo możliwe - rzekł Felix. - To rzeczywiście niebezpieczne miejsce, a fale przyływu często wdzierają się do tunelu, zalewając go na sto jardów i więcej. To oczywiście żaden kłopot dla Morphenkindów, potrafiących pływać i wspinać się jak smoki.

- A zatem ukrywaliście się w tych pokojach za ścianą piwnicy - upewnił się Reuben.

- Tak, przez większość czasu. A niekiedy w okolicznych lasach. Naturalnie podążyliście za tobą, gdy wyruszyłeś do Santa Rosa po Stuarta. Wiedzieliśmy od razu, co się stało, towarzyszyliśmy ci w poszukiwaniach. Interweniowalibyśmy, gdybyś nie zdołał go uratować. Ale ty poradziłeś sobie znakomicie, zgodnie z naszymi przewidywaniami.

- Człowiek Wilk - odezwała się znowu Laura - który włamał się dziś do domu, to także jeden z dzentelmenów ze zdjęcia wiszącego w bibliotece?

- To Siergiej - odparł Thibault. - Walczyliśmy o ten przywilej, ale Siergiej był nieugięty. Teraz naturalnie towarzyszy mu Frank Vandover. Doktor Kłopowa więziła nas przez dziesięć lat i zamordowała jednego z nas. Dziś doczekaliśmy się satysfakcji.

- Obaj powinni tu dotrzeć jutro - dodał Felix. - W tej chwili starają się stworzyć szlak występów Człowieka Wilka, prowadzący na południe. Postarają się, żeby jeszcze przed świtem ktoś bardzo wyraźnie zobaczył go już po meksykańskiej stronie granicy. Gdy wrócą - mam nadzieję, że przyjmiecie ich pod swój dach. Czy i my możemy liczyć na gościnę?

- To twój dom - odparł Reuben. - Uważaj mnie tylko za jego opiekuna.

- Nie, drogi chłopcze. - Felix wypowiedział te słowa dokładnie tak, jak czyniła to Marchent. - To twój dom. Zdecydowanie twój. Ale chętnie przyjmiemy twoje zaproszenie.

- Zatem zapraszam - powiedział Reuben. - Teraz i zawsze, gdy tylko będziecie chcieli.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zajmę moje dawne pokoje - rzekł Felix. - Margon zawsze czuł się dobrze w jednym z tych mniejszych, w północnym skrzydle, przy ścianie lasu. Thibault niech zamieszka w którymś z południowych pokoi, obok Stuarta, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Fran-

kowi i Siergiejowi zostawmy północno-wschodni kraniec domu, z narożnymi pokdjami nad dębowym zagajnikiem.

- Przygotuję je dla was - powiedziała Laura, wstając.

- Nie trzeba, moja droga - powstrzymał ją Felix. - Usiądź, proszę. Wiem, że są tak samo wygodne jak dawniej. Może trochę starsze, może przykurzone, ale wciąż wyborne. Chcę, żebyś została z nami. Pewnie chciałabyś wiedzieć, co się z nami działo.

Reuben skinął głową i mruknął z aprobatą, a potem znowu przytulił Laurę.

- Muszę stwierdzić, Reubenie — rzekł Felix — że w tak wielkim domu będzie ci potrzebny zaufany służący albo i dwóch; w przeciwnym razie ta młoda dama urobi sobie ręce z czystej gościnności.

- Masz słuszność - odparł Reuben, rumieniąc się. Nie chciał, by ktokolwiek sądził, że wykorzystuje Laurę, zmuszając ją do wykonywania rozmaitych domowych obowiązków. Pragnął zaprotestować, ale to nie był najlepszy moment. W głębi serca marzył o tym, by ci ludzie pozostali tu na zawsze.

Nie bardzo wiedział, jak wrócić do tematu doktor Kłopowej. Laura go wyręczyła.

- Czy to w Związku Sowieckim uwięziła was doktor Kłopowa? — spytała wprost.

- Początkowo - odparł Felix. - Zostaliśmy zdradzeni i wpadliśmy w jej ręce w Paryżu. Sprytny był to manewr. Naturalnie wcześniej skorzystała z pomocy bardzo bliskiego mi członka mojej rodziny i jego małżonki.

- Rodziców Marchent - domyślił się Reuben.

- Tak jest - potwierdził Felix. Wciąż przemawiał spokojnie, bez urazy, bez osądzania tego, co się stało. - To długa historia. Dość powiedzieć, że sprzedali nas Kłopowej i jej kohortom. Mój bratanek Abel otrzymał za to fantastyczną sumę. Zostaliśmy zwabieni do Paryża pod pretekstem udziału w badaniu archeologicznych tajemnic, odkrytych ponoć przez

doktora Philippe'a Durrella, rzekomo pracującego na Bliskim Wschodzie na zlecenie Luwru. - Felix westchnął, wspominając te chwile. - Ów Durrell, geniusz konwersacji, oczarował nas w rozmowie telefonicznej. Udaliśmy się więc wszyscy do Paryża, przyjmując zaproszenie do małego hotelu na lewym brzegu Sekwany.

- Chodziło o to, by zastawić pułapkę w bardzo ludnym mieście — wyjaśnił Thibault. Odchrząknął cicho, bo w jego głosie, dźwięcznym jak zawsze, pojawiła się nuta szczególnej emocji. — Mieliliśmy się znaleźć tam, gdzie nasze zmysły zostaną przytłoczone nadmiarem dźwięków i zapachów, abyśmy nie wyczuli zbliżającego się niebezpieczeństwa. Odurzono nas — wszystkich, poza Siergiejem, który zdołał uciec i od tamtej pory uparcie nas poszukiwał. — Thibault spojrzał pytająco na Feliksa, a ten dał mu znak, by kontynuował. - Tak się złożyło, że wkrótce potem Durrell i Kłopowa utracili państwowe fundusze. Wtedy potajemnie wywieźli nas z Rosji do obskurnego, źle wyposażonego więzienia-laboratorium nieopodal Belgradu, gdzie rozpoczęła się wojna umysłów i woli. — Potrząsnął głową, wspominając. — Nie ulega wątpliwości, że Durrell był błyskotliwym człowiekiem.

- Wszyscy byli błyskotliwi - zauważył Felix. - Kłopowa, Jaska, wszyscy. I wierzyli w nas bezgranicznie. Wprawiali nas nieustannie w zdumienie tym, jak dużo wiedzieli o naszej historii. Mieli też ogromną wiedzę naukową w dziedzinach, o których bardziej konwencjonalni uczeni nie chcą nawet spekulować.

— Tak, nawet moja matka dała się olśnić tą ich błyskotliwością — przyznał Reuben. — Na szczęście dość wcześnie nabrała podejrzeń co do Jaski.

— Twoja matka jest niezwykłą kobietą — stwierdził Felix. — A przy tym wydaje się całkowicie nieświadoma swojej piękności. Jest ponad to, niczym umysł zupełnie oderwany od ciała.

Reuben roześmiał się.

- Chce być poważnie traktowana - mruknął pod nosem.

- Cóż - wtrącił łagodnie Thibault - zapewne więc uznałaby umysłowość Philippe'a Durrella za jeszcze bardziej pociągającą. Philippe darzył nas ogromnym szacunkiem, wysoko cenił także wiedzę, którą zamierzał z nas wydobyć - czy to za naszą zgodą, czy też bez. Gdy odmówiliśmy przemiany do wilczej postaci, postanowił czekać. Gdy milczeliśmy, wciągał nas w długie rozmowy. I czekał.

- Intrygowała go nasza wiedza - powiedział Felix. - To, co widzieliśmy na tym świecie.

Reuben nie miał pojęcia, co to może oznaczać, ale bardzo chciał się dowiedzieć.

- Traktował nas jak kruche okazy, o które należy się troszczyć, nie tylko badać - ciągnął Thibault. - Kłopowa tymczasem była niecierpliwa, przekonana o własnej wyższości, a z czasem i brutalna. Była potworem, który rozrywa motyla na dwoje, żeby się przekonać, na jakiej zasadzie działają jego skrzydła. - Umilkł na chwilę, jakby wolał nie przypominać sobie szczegółów. — Z żelazną konsekwencją dążyła do wywołania w nas metamorfozy. Gdy przemienialiśmy się od czasu do czasu — tylko na samym początku — szybko przekonaliśmy się, że nie będziemy w stanie uciec. Kraty były zbyt mocne, a liczba przeciwników zbyt wielka. W końcu więc całkowicie odmówiliśmy transformacji. - Thibault umilkł.

Felix odczekał chwilę, zanim podjął opowieść.

- Nie można siłą wydobyć z nas krzyżma — wyjaśnił, spoglądając na Laure, potem na Reubena i ponownie na Laure. — Nie można wyciągnąć go strzykawką z ciała ani pobrać wacikiem z naszych ust. Kluczowe komórki obumierają i rozpadają się w ciągu sekund. Odkryłem to przypadkowo, bardzo dawno temu, gdy nauka dopiero się rodziła. Potwierdziłem wyniki badań tutaj, w sekretnym, domowym laboratorium. Starożytni

też wiedzieli, że tak jest — doszli do tego metodą prób i błędów. Nie byliśmy przecież pierwszymi Morphenkindami, których uwięzili ludzie pożądający krzyżma.

Reuben wzdrygnął się mimowolnie. Kilka tygodni temu — choć wydawało się, że minęły już lata - gdy po raz pierwszy spowiadał się przed Jimem, mówił o bliźniaczo podobnych zagrożeniach: uwięzieniu, wymuszeniu, eksperymentach.

— A skoro już o tym mowa — ciągnął Felix — to nie można tak po prostu podać człowiekowi krzyżma strzykawką. To nigdy nie działa. — Widać było, że snuje swoją opowieść z coraz większą swadą. - Jeśli ma dojść do przekazania skutecznej dawki krzyżma, bezwzględnie muszą być spełnione pewne warunki. To dlatego ugryzienie przez Morphenkinda najczęściej nie wywołuje żadnego skutku, nie przemienia ofiary. Dziś już wiemy, o jakie warunki chodzi. Wiemy na przykład, że nie można nas zmusić do przekazania krzyżma, zakładając oczywiście, że udałoby się skłonić nas do przemiany, a następnie wepchnąć nam do ust dłoń czy ramię ofiary.

- Co akurat wcale nie jest takie łatwe - wtrącił znowu Thibault i zaśmiał się. - Powiedzmy, że kto podejmie taką próbę, musi się liczyć z tym, że poniesie duże straty w ludziach. Bo gdy już zajdzie w nas przemiana, potrafimy, jak wiesz, bez trudu urywać ręce oraz głowy, jeśli ktoś nieostrożny znajdzie się w zasięgu naszych łap.

- Rozumiem, naturalnie - powiedział Reuben. -I wyobrażam to sobie. Sam zresztą sporo myślałem o takich sytuacjach. To znaczy: absolutnie nie wyobrażam sobie, ile musieliście przecierpieć, ile wytrwać. Ale domyślam się, jak to funkcjonowało.

— Wyobraź sobie przede wszystkim całe lata izolacji — rzekł Felix. — Lata spędzone w zimnych celach, dniem i nocą w całkowitej ciemności, w głodzie, przemocy i strachu, a także w nieustannym stresie wywołanym sugestiami, że twoi towarzysze już nie żyją. Którejś nocy opowiem ci o tym dokładnie, jeśli

będziesz chciał. Przejdźmy jednak do sedna. Odmawialiśmy manifestowania - czyli wzbudzania przemiany - oraz wszelkich innych form współpracy. Żadne środki farmakologiczne nie mogły nas zmusić do metamorfozy. Nie działały też żadne fizyczne tortury. Już dawno nauczyliśmy się przechodzić w odmienny stan świadomości, by skutecznie opierać się takim próbom. Kłopowa miała tego wszystkiego serdecznie dosyć. Znużyły ją też niekończące się wywody Philippe'a na temat zagadki Morphenkindów i wielkich prawd filozoficznych, które bez wątpienia były nam znane.

Felix zerknął na Thibaulta, czekając, by przejął pałeczkę. Thibault z rezygnacją skinął prawą ręką.

— Kłopowa uwięziła jeszcze jednego z naszych ukochanych towarzyszy, Reynoldsa Wagnera. Kazała przykuć go do stołu operacyjnego i wraz ze swym zespołem dokonała na nim wiwisekcji.

— Mój Boże! — wyszeptał Reuben.

— Zmuszono nas, abyśmy się temu przyglądali, obraz z kamer przekazywano wprost do naszych cel - ciągnął Thibault. -Moglibyśmy zrelacjonować ci szczegółowo to, co wtedy zaszło, ale dość powiedzieć, że Reynolds nie mógł znieść straszliwego bólu. Przemienił się, ponieważ nie był już w stanie powstrzymać metamorfozy; stał się wilkiem oszalałym z wściekłości. Zdołał zabić trzech lekarzy i omal nie uśmiercił doktor Kłopowej, zanim z pomocą pozostałych unieruchomiła go strzałami w mózg. Ale nawet wtedy nie przestał atakować — oślepiony, powalony na kolana. Zabił jeszcze jednego labotanta, zanim Kłopowa dosłownie urwała mu głowę pociskami: tak długo strzelała mu w gardło, aż gardło przestało istnieć, podobnie jak cała szyja. Przerwała mu rdzeń kręgowy. Wtedy Reynolds padł martwy. — Thibault umilkł. Zamknął oczy i nieznacznie zmarszczył brwi.

— Każdego dnia straszyla nas śmiercią — dodał Felix. —



Awansem pyszniła się niezliczonymi odkryciami, których zamierzała dokonać, przeprowadzając na nas autopsję. Ale Durrell nie pozwolił jej działać.

- Wyobrażam sobie, co było dalej.

- Naturalnie, przecież widziałeś coś podobnego - odparł Felix. Rozparł się wygodniej na krześle, wbijając spojrzenie w blat stołu. - Doświadczenie z Marrokiem pozwala ci się domyślać, że i szczątki Wagnera znikły bez śladu, i to na jej oczach.

- Kłopowa i jej ekipa podjęli gorączkowe wysiłki, żeby powstrzymać rozpad — powiedział Thibault. — Ale bez powodzenia. Właśnie wtedy zdali sobie sprawę, że martwi jesteśmy dla nich bezwartościowi. Mniej więcej wtedy Vandover próbował odebrać sobie życie — a przynajmniej tak im się zdawało — więc postanowili, że znowu spróbują złamać naszą wolę metodami Durrella. Od tamtej pory Durrell nienawidził Kłopowej, ale nie mógł sobie bez niej poradzić. Nie mógł jej zwolnić, bo wraz z Jaską stanowili dla niego zbyt cenny zespół. Robiliśmy wszystko, żeby przetrwać.

- I trwało to dziesięć lat - wtrącił z niedowierzaniem Reuben. Potrafił sobie wyobrazić tę mękę zamknięcia w sterylnej celi.

- Tak - odparł Felix. - Staraliśmy się różnymi sposobami skłonić ich, żeby umożliwili nam spotkanie, ale byli zbyt sprytni - izolowali nas. Wreszcie kryzys w Belgradzie zmusił ich do przeprowadzki. Siergiej nas namierzył, wywarł presję. W końcu działając w pośpiechu, popełnili kardynalny błąd: zgromadzili nas w jednym miejscu i nie uspili na czas podróży furgonetką.

- Sądzieli, że dostatecznie złamali w nas ducha — dodał Thibault. - Że jesteśmy znacznie słabsi, niż w istocie byliśmy.

- Dokonaliśmy jednoczesnej przemiany - powiedział Felix. - Nie była to dla nas specjalnie trudna sztuka. Zerwaliśmy więzy i zabiliśmy wszystkich, którzy nas pilnowali, włącznie z Durrellem i ekipą lekarzy. Tylko Kłopowa i Jaska zdołali uciec. Spaliliśmy laboratorium do fundamentów.

Obaj mężczyźni umilkli na chwilę, zatopieni we wspomnieniach. Pierwszy odezwał się Thibault, z lekkim uśmiechem na ustach i rozmarzonym wzrokiem:

- Uciekliśmy do Belgradu, gdzie Siergiej zdążył już wszystko przygotować. Sądziliśmy, że ostateczne rozliczenie z Kłopo-wą i Jaską będzie kwestią dni.

- Ale tak się nie stało - wtrąciła Laura.

- Nie. Nie zdołaliśmy ich odnaleźć, przypuszczalnie ukrywali się pod fałszywymi nazwiskami. Gdy referencje lekarza związane są z nazwiskiem, pod którym zdobywał doświadczenie, prędzej czy później jednak ujawnia prawdziwą tożsamość, bo to ułatwia życie. - Thibault uśmiechnął się gorzko. - I tak właśnie się stało. Naturalnie znaleźli sobie nowych mocodawców, z którymi kiedyś pewnie przyjdzie nam się zmierzyć, ale na razie nie musimy się tym martwić. — Zakaszłał cicho, a potem dodał: - Dotarła do nas wiadomość z Ameryki, że ukochana krewniaczka Feliksa, Marchent, została zamordowana przez własnych braci, z którymi następnie rozprawił się Morphen-kind, i to w całkiem tradycyjny sposób.

Znowu na długą chwilę zapadła cisza.

- Byłem pewny, że pewnego dnia wrócę do Marchent -rzekł wreszcie Felix. W tych cichych słowach dało się wyczuć ból porażki. - Byłem takim głupcem. Jak mogłem nie nawiązać z nią kontaktu, nie wrócić po prostu do domu. - Zapatrzył się w ciemny blat, jakby nagle zainteresowała go warstewka satynowego lakieru. Lecz tak naprawdę wcale jej nie widział. -Bywałem tu często, gdy podróżowała. Raz lub dwa patrzyłem na nią z daleka, ukryty w lesie. Widzisz... - Urwał.

- Nie chciałeś jej powiedzieć, kto cię zdradził - domyśliła się Laura.

- Nie chciałem - przytaknął Felix. Mówił teraz z wyraźnym wahaniem. — Nie chciałem też wyznać jej, że odpłaciłem obojgu - i ojcu, i matce - pięknym za nadobne. Nie zrozumia-

łaby tego, chyba że zdradziłbym jej absolutnie całą prawdę, a tego uczynić nie chciałem. Pauza.

- Gdy pojawiły się doniesienia o atakach w San Francisco. .. - zaczął Felix i urwał w pół zdania.

- Wiedziałaś od razu, że to Marrok przekazał krzyżmo — dokończyła Laura. - Podejrzewałaś więc, że Jaska i Kłopowa nie oprą się pokusie.

Felix skinął głową.

Milczeli, słuchając bębnienia deszczu o parapety i trzasku płomieni w kominku.

- A czy pojawiłbyś się w domu, gdyby nie możliwość wyrównania rachunków z Kłopową i Jaską? - spytał Reuben.

- Tak - odparł Felix. - Z całą pewnością tak. Nie zostawiłbym cię samego w sytuacji, w której się znalazłeś. Chciałem też wrócić przez wzgląd na Marchent. Poza tym potrzebowałem rzeczy, które zostały w domu. Chciałem cię poznać, odkryć, kim naprawdę jesteś. Nie zostałbyś sam. Nigdy nie zostawiamy naszych bez pomocy. To dlatego zaaranżowałem to niezręczne spotkanie w kancelarii prawnej. A gdybym z jakiegoś powodu nie mógł tu dotrzeć, zastąpiłby mnie Thibault. Albo Vandover, albo Siergiej. Tak się złożyło, że byliśmy razem, gdy sprawa stała się głośna. Wiedzieliśmy, że zaczęło się od Marroka, ale ataki w San Francisco musiały być twoim dziełem.

- Czy to znaczy, że spieszycie na pomoc każdemu, kto zostanie zaszczepiony krzyżmem? - spytał Reuben.

- Drogi chłopcze - odparł Felix - nie zdarza się to aż tak często. A już bardzo rzadko z tak spektakularnym skutkiem.

Obaj spoglądali na Reubena z sympatią; twarz Feliksa jak dawniej emanowała serdeczną troską.

- Zatem w ogóle nie mieliście mi za złe, że oczy wszystkich zwróciły się na Człowieka Wilka? - spytał Reuben.

Felix i Thibault zachichotali i spojrzeli po sobie.

— Mieliliśmy? — spytał Félix z chytrym uśmiechem, szturchając Thibaulta łokciem. - Jak sądzisz?

Thibault pokręcił głową.

Reuben nie bardzo rozumiał przyczynę ich rozbawienia, ale jednego był pewny: nie było w nich nawet śladu gniewu. O niczym innym nie mógł marzyć.

— Prawdę mówiąc, nie byłem zachwycony — rzekł Félix — ale zdecydowanie nie powiedziałbym, że miałem ci za złe to, co zrobiłeś.

— Mamy ci tyle do opowiedzenia — dodał życzliwie Thibault. - Tyle rzeczy do objaśnienia tobie, Stuartowi i Laurze.

I Laurze.

Félix spojrzał na ciemne okno. Po szybie sunęły lśniąca strumyki deszczu. Skierował wzrok w górę, ku ozdobnym belkom stropu i kasetonom pokrytym wzorem gwiazdzistego nieba.

Wiem, co czujesz, pomyślał Reuben. Kochasz ten dom, kochasz równie mocno jak wtedy, gdy go zbudowałeś - a że właśnie tak było, nie mam wątpliwości. I wiem, że chcesz tu wrócić.

— Potrzeba lat spędzonych na takich nocnych rozmowach, by przekazać ci całą wiedzę, którą powinieneś posiadać — rzekł Félix.

— A ja myślę, że na pierwszy raz wystarczy. Za nami niezwykła noc - stwierdził Thibault. - Ale pamiętaj: ani przez chwilę nie byłeś w niebezpieczeństwie, gdy w ukryciu czekaliśmy na ostateczną rozgrywkę.

— Rozumiem - odrzekł Reuben. Tak wiele chciał im jeszcze powiedzieć. Był jednak tak oszołomiony tym wszystkim, że z trudem ubierał myśli w słowa.

W miarę jak w jego głowie tworzył się obraz prawdy, niektóre pytania zupełnie traciły znaczenie. Miał wrażenie, że wizja nowej wiedzy, którą dopiero zaczynał odkrywać, wymyka się arytmetycznej strukturze języka, że jest organicznym, acz

nieograniczonym tworem, który rozpuszcza słowa. Zdecydowanie bardziej przypominała muzykę, która płynie i narasta niczym symfoniczne triumfy Brahmsa. Serce Reubena biło cicho w rytmie jego nadziei, a światło prawdy, gorące i pulsujące, z wolna się przed nim zapalało, niczym Szechina albo jutrzienka.

Mocą wyobraźni przeniósł się znowu w korony drzew, był Człowiekiem Wilkiem odpoczywającym wśród konarów i zapatrzonym w dalekie gwiazdy. Zastanawiał się znów, czy ta wielka tęsknota, którą czuje, jest formą modlitwy. Dlaczego tak ważne jest to pytanie? Czy istnieje dla niego już tylko taka forma odkupienia?

- Margon będzie waszym przewodnikiem - rzekł Thibault. - To on najlepiej z nas wszystkich dzieli się swoją wiedzą. Jest najstarszy.

Reuben poczuł na plecach dreszcz. Margon, najstarszy z nich, był teraz z Chłopcem Wilkiem. Jakże inne będzie to doświadczenie dla Stuarta, tak pełnego energii i ciekawego z natury? Jakże inne od tego, co przeżył Reuben, na ciemnej ścieżce poznania potykając się raz po raz o nowe, zdumiewające odkrycia?

- Jestem zmęczony - oświadczył Félix - a napatrzyłem się dziś na krew wystarczająco, by poczuć wielki głód.

- Och, daj spokój! - skarcił go z udawanym oburzeniem Ihibault.

- Ty urodziłeś się stary - odparował Félix, dając mu kolejnego kuksańca.

- Może i tak - powiedział Thibault. - I nie ma w tym nic złego. Tak czy owak, jeśli teraz ktoś wskaże mi wolne łóżko, będę wdzięczny.

- Ja muszę iść do lasu - stwierdził Félix, a potem spojrzał na Laureę.  
- Moja droga, czy pozwolisz, że porwę na chwilę tego młodzieńca, naturalnie jeśli zechce pójść ze mną?

- Naturalnie - odpowiedziała szczerze, ściskając dłoń Reubena. - A co ze Stuartem?

- Jest niedaleko - odparł Thibault. - Myślę, że Margon celowo próbuje go wymęczyć - dla jego dobra.

- Na zewnątrz są reporterzy - odezwał się Reuben. - Słyszę ich. Wy z pewnością też.

- Podobnie jak Margon - odpowiedział spokojnie Felix. - Można stąd wyjść tunelem albo górą, przez sanctum. Nie martw się. Przecież wiesz, prawda? O nic i nigdy już nie musisz się martwić. Nikt nas nie zauważy.

Laura wstała, by przytulić Reubena na pożegnanie. Czuł przez koszulę, jak gorące są jej piersi. Przycisnął twarz do jej delikatnej szyi. Nie musiał tłumaczyć Laurze, jak wiele dla niego znaczy wyprawa w boski, zielony gąszcz i w samo serce nocy u boku Feliksa.

- Wróć prędko - szepnęła.

Thibault podszedł do niej i zaoferował ramię, niczym dżentelmen z dawnych czasów eskortujący damę po uroczystej kolacji. Uśmiechając się lekko, poprowadził oczarowaną Laurę w głąb korytarza.

Reuben spojrział na Feliksa.

Felix także się uśmiechał, a było w tym uśmiechu wszystko: spokój, empatia oraz prosta, niewymuszona i promienna dobra wola.

Zeszli do piwnicy. Rzeczywiście, wystarczyło odchylić ciężką klapę, do której był umocowany piec ponad betonowym postumentem, i już maszerowali przez sieć ciasnych i oszczędnie oświetlonych zakurzonymi żarówkami pomieszczeń. Mijali skrzynie starych ubrań i szczątki masywnych mebli, a także zamknięte drzwi.

Zeszli po schodach i wreszcie znaleźli się w szerokim tunelu wzmocnionym belkami opartymi na stemplach, podobnym do chodnika w kopalni węgla. Pokłady wilgotnej gliny tworzące ściany korytarza połyskiwały w blasku niedużej lampki.

Minęli dwa zakręty, zanim w oddali, na końcu kanału, spostrzegli metaliczny połysk deszczowego, nocnego nieba.

Tunel kończył się tuż nad powierzchnią ryczącego oceanu.

Felix, kompletnie ubrany, zaczął nagle biec. Pędził coraz prędzej i prędzej, aż wreszcie skoczył naprzód z wyciągniętymi rękami. Koszula i spodnie pękały i opadały w strzępach, buty poleciały na boki, a on gnał przed siebie wilczym klusem, na mocarnych łapach, które w okamgnieniu pokryły się futrem. Potrzebował tylko chwili, by zniknąć u wąskiego wylotu tunelu.

Reuben najpierw spoglądał za nim w zdumieniu, a potem zaufał bezgranicznie przykładowi Feliksa i również zaczął biec. Mknął coraz prędzej i prędzej, czując znajome skurcze. Miał wrażenie, że to one niosą go w stronę wyjścia. Nie miał już ubrania, a długie kończyny błyskawicznie porastały sierścią.

Jeszcze jeden skok i był już Morphenkindem, gnającym w stronę fal, wichru i gościnnego nocnego nieba. Wreszcie minął wylot tunelu i skręcił w bok, brnąc w lodowatej i spienionej wodzie.

Nieco powyżej tego miejsca, na niebezpiecznych, ostrych skałach, stał wilkołak imieniem Felix. Zaczekał na Reubena, a potem razem zaczęli się wspinać po urwisku klifu, wbijając pazury w ziemię i zdrewniałe korzenie. Parli w górę, ku wilgotnemu i wonnemu zaciszu lasu.

Gdy tam dotarli, Reuben podążył wiernie za Feliksem, gnając tak jak wtedy, gdy spieszył na południe, by w Santa Rosa odnaleźć Stuarta. Moc wprawiała jego mięśnie w drżenie, gdy tak przedzierali się na północ, poza granice posiadłości Nideck Point, coraz dalej i dalej między sekwoje wielkie jak filary katedry albo megalityczne pamiątki dawno zaginionego świata.

Wilk, ryś, niedźwiedź - Reuben chwycił nozdrzami zapachy, czując, jak narasta w nim głód, a wraz z nim żądza polowania i ucztowania. Wiatr przyniósł wreszcie woń pól, kwiatów i gleby spalonej słońcem, a następnie nasączonej deszczem. Oni zaś pędzili dalej, aż wreszcie poczuli zapach zwierzyny, której jeszcze nigdy nie skosztował: łosia.

Byk wiedział, że jest ścigany. Jego serce biło szybkim rytmem, gdy biegł majestatycznie, nabierając coraz większej prędkości. Wreszcie jednak go dopadli: skoczyli razem na jego szeroki grzbiet i jednocześnie wbili kły po obu stronach masywnego, łukowatego karku.

Potężne zwierzę padło na ziemię. Jeszcze przez moment dtgały jego zgrabne nogi, serce jeszcze tłoczyło krew, a łagodne, ciemne oczy spoglądały w stronę układanki gwiazdzistego nieba.

Biada wam, wszelkie żywe stworzenia szukające tam pomocy.

Reuben oderwał długi, ociekający krwią pas mięsa, jak-



by nigdy w życiu nie znał żadnych ograniczeń. Miażdżył szczękami chrząstki i kości, łamał je i żuł, wysysając szpik. Rozkoszowali się smakiem miękkiego podbrzusza — tak, to zawsze był najsmaczniejszy kąsek, czy to u zwierzęcia, czy u człowieka - rwąc na strzępy aromatyczne, elastyczne jelita i chciwie chłepcąc szybko gęstniejącą krew. Ucztowali razem w bezgłośnym deszczu.

Gdy skończyli, ułożyli się pod drzewem i zamarli w bezruchu. Felix czuwał, nasłuchiwał, czekał.

Kto potrafiłby ich teraz odróżnić? Byli dwiema bestiami tych samych rozmiarów i tej samej maści. Tylko po oczach można było ich rozpoznać.

Drobna zwierzyna już zwietrzyła padlinę. Armia miniaturowych szczek pełzła wśród liści w stronę skrwawionego truchła, które jeszcze przed chwilą miotano się na wszystkie strony, jakby szarpiące je zęby wilkołaków tchnęły w nie nowe życie.

Z głębokiego mroku wychynęły też kojoty: mocarne, nabite, szare i równie niebezpieczne jak wilki, o szpiczastych uszach i pyskach.

Felix - potężny, włochaty i milczący - spoglądał na nie cierpliwie, ale i z błyskiem w oku. Wreszcie podniósł się na cztery łapy i ruszył w ich stronę. Reuben podążył za nim.

Ujadały, odskakiwały i kłapały zębami, gdy Felix drażnił je, machając łapą. Śmiał się przy tym i warczał zajadle, a potem podpuszczał je bliżej i znowu straszył. Nareszcie pozwolił, by i one posiliły się szczątkami łosia.

Gdy znowu zastygł w bezruchu, stały się śmielsze. Podeszły całkiem blisko i zaczęły ujadać, gdy wystraszył je jego głośny śmiech. Skoczył nagle i przygwoździł łapą największego z nich, po czym wbił wilcze kły w jego paszczę. Poderwał konające zwierzę z ziemi i rzucił Reubenowi. Pozostałe kojoty uciekły, skomląc i szczekając.

I znowu ucztowali.

Zbliżał się świt, gdy schodzili z urwiska, trzymając się korzeni i ślizgając w błocie. Skokami pokonali hałdę śliskich głazów wokół wejścia do tunelu. Jakże mały się wydawał, prawie niewidzialny; był ledwie szczeliną w grubej skale, wylotem wąskiej gardzieli porośniętym lśniącym mchem i raz po raz napełnianym pianą z morskich fal.

Gdy szli tunelem, Felix wrócił do ludzkiej postaci, nie gubiąc nawet rytmu marszu. Reuben przekonał się chwilę później, że też potrafi tego dokonać. Czuł, jak kurczą się jego stopy, jak łydki tracą masę z każdym krokiem.

W półmroku korytarza zebrali resztki powalanych błotem ubrań i włożyli je na siebie - nie mieli wyboru. Felix otoczył Reubena ramieniem i z ojcowską czułością zmierzwił jego włosy, a potem położył dłoń na jego karku.

- Braciszku - powiedział.

Było to jedyne słowo, które wypowiedział, odkąd razem wyruszyli na łowy.

Powrócili do przytulnego ciepła domu i do swoich pokojów.

Laura stała przy oknie sypialni, podziwiając stalowobłękitny świt.

Znowu byli w jadalni.

Ogień buchał wysoko w kominku z czarnego kamienia, a świece migotały i dymiły lekko, rozstawione na całej długości stołu, pośród półmisek z wonną pieczoną jagnięciną doprawioną czosnkiem i rozmarynem, rumianą kaczką, parującymi brokułami, kawałkami cukinii, stertą ziemniaków w mundurkach, karczochami w oleju, smażoną cebulką, bananami, melonem i gorącym chlebem.

W smukłych kieliszkach podano czerwone wino. Drewniane misy były pełne surówek. Czuć było ostro-słodki aromat miętowej galaretki, równie smakowity jak woń soczystych mięs i masła rozsmarowywanego na świeżutkim pieczywie.

Wszyscy solidarnie uczestniczyli w przygotowaniu tej uczty — nawet Stuart, który równiutko ułożył na stole stare, lniane serwetki i zadziwiająco wielkie, jak twierdził, antyczne noże i widelce. Thibault wniósł półmisek pomarańczowych bulw pochrzynu.

Margon zasiadł u szczytu stołu. Długie, gęste, kasztanowe włosy rozpuścił na ramiona; koszulę w kolorze burgunda nosił rozpiętą pod szyją. Siedział plecami do wschodnich okien, za którymi widać było w oddali pojedyncze sylwetki reporterów szukających sensacji w dębowym lasku, rozświetlonym białym jeszcze światłem popołudniowego słońca.

Gdy wreszcie wszyscy zajęli miejsca za stołem, Margon wezwał do krótkiego dziękczynienia i pochylił głowę.

- Margon Bezbożny dziękuje bogom - szepnął Felix, mrugając porozumiewawczo do Reubena, który znowu siedział z uśmiechniętą Laurą naprzeciwko niego. Zaraz jednak zamknął oczy, a pozostali wzięli z niego przykład.

- Mówcie, czego pragniecie, tej sile, która rządzi wszechświatem - rzekł Margon. - Może dzięki nam stanie się ciałem i pokocha nas tak, jak my ją.

Znowu zapadła cisza. Przyjemny, pracowity deszcz powoli zmywał świat do czysta i poił go. Szczapy drewna syczały i pluły iskrami, a płomienie tańczyły na tle pociemniałych cegieł. Z kuchni dobiegały łagodne tony muzyki - znowu fortepianowej i znowu Erika Satie - *Gymnopedie No. 1*.

Och, ludzkość rodem z tej drobiny żaru mknącej przez śmieszny Układ Słoneczny, zagubiony w maleńkiej Galaktyce, mknącej przez bezmiar kosmosu, potrafiła kiedyś tworzyć muzykę, pomyślał Reuben. Może Stwórca tego wszystkiego usłyszy ją kiedyś, jako formę modlitwy? Kochaj nas, kochaj nas tak, jak my kochamy Ciebie.

Stuart, który usiadł między Feliksem i Thibaultem po drugiej stronie stołu, ubrany w biały T-shirt i dżinsy, zaczął płakać. Skrzywioną twarz osłonił wielką dłonią, a jego szerokie barki przez chwilę unosiły się i opadały bezgłośnie. Wreszcie znieruchomiał i tylko spod jego zaciśniętych powiek płynęły łzy, jakby nadal był małym dzieckiem.

Jasne, kręcone włosy spisał tego dnia z tyłu głowy, odsłaniając masywne kości twarzy, szeroki nos z mrowiem piegów -naprawdę był wciąż tylko wyrosniętym chłopcem.

Spoglądając na niego, Laura przygryzła wargę. Widząc, że jest bliska płaczu, Reuben uściskał jej dłoń. Jemu także udzieliły się te emocje, mącąc tylko nieznacznie poczucie głębokiego szczęścia. Ten dom był dziś pełen życia, które - choć mieściło w sobie chwile grozy i czasem prawie go miażdżyło (ale tylko prawie!) -mimo wszystko było życiem wprost z najpiękniejszych snów.

Margon uniósł głowę. Chwila cichej modlitwy dobiegła końca. Potoczył wzrokiem po twarzach zebranych.

Ożyli. Podawali sobie talerze, dolewali wina, smarowali masłem gorący chleb i mięciutkie bułki, delektowali się aromatem czosnkowej oliwy, nakładając łyżkami surówkę, i kładli na starych, kwiecistych, porcelanowych talerzach wielkie kawałki mięsa.

— Cóż mogę wam zaoferować? — spytał Margon, jakby przez cały ten czas rozmawiali, a nie zajmowali się tysiącem nieistotnych, a tak absorbujących spraw. — W jaki sposób pomóc w tej podróży, którą rozpoczęliście?

Wziął zdrowy łyk gazowanej wody ze szklanki stojącej obok kieliszka na wino, którego nie używał. Zaraz też sięgnął po solidną porcję gorących brokułów i cukinii, a także karczochów. Spory kawałek gorącej bułki posmarował masłem.

— Oto najważniejsze sprawy, o których musicie wiedzieć. Przemiana jest nieodwracalna. Gdy krzyżmo się w człowieku zakorzeni, staje się on Morphenkindem - bo tak się nazywamy — i żadnym sposobem nie można tego odczynić.

Stuart przestał płakać równie nagle, jak wcześniej zaczął. Pożerał teraz niewiarygodne ilości jagnięciny tak łapczywie, że Reuben bał się, czy się nie udławi. Raz po raz zerkał błękitnymi oczami na Margona, słuchając wykładu.

A Margon, podobnie jak poprzedniego wieczoru, przemawiał przyjemnym, spokojnym i niemal pokornym głosem. Miał przy tym w sobie siłę perswazji, wewnętrzną moc. Jego ogorzała, złotobrazowa twarz łatwo odzwierciedlała emocje. Czarne oczy otoczone gęstymi rzęsami nadawały jego rysom dramatyzm, chwilami kontrastujący z łagodnością jego słów.

— W całym swoim życiu — ciągnął, nieświadomie gestykulując srebrnym widelcem - nie spotkałem jednak nikogo, kto prawdziwie pragnąłby przemianę odczynić. Są jednak tacy, którzy przeżywszy ją, zmierzają ślepo wprost ku zatraceniu, do-

prowadzeni do szaleństwa pragnieniem polowania. Zaniedbują wszystkie inne aspekty życia i w końcu zostają zniszczeni przez tych, którzy polują na nich. Wy jednak nie musicie się tego obawiać. Żadne z was — tu Margon spojrzął także na Laurę — nie jest bowiem typem głupca ani hulaki, by postradać taki dar losu. Stuart chciał o coś spytać, ale Margon uciszył go gestem.

— Pozwól, że skończę — powiedział. — Krzyżmo niemal zawsze zostaje przekazane przypadkiem. Możemy je przekazać, wyłącznie będąc w naszej wilczej postaci. Jednakże mój umysł, mój ograniczony, śmiertelny umysł, nęka wspomnienie ponurego legionu tych, którym odmówiłem tego daru. Dziś już się nie ograniczam. Gdy ktoś jest godny, gdy mnie o to prosi, ofiarowuję mu krzyżmo. Wymagam jedynie wiedzy i żarliwego pragnienia. Ale wam, Reubenie i Stuarcie, nie wolno tego robić. Nie przekazujcie krzyżma. Odpowiedzialność jest zbyt wielka. Zostawcie dokonywanie tak poważnych wyborów mnie, Feliksowi, Thibaultowi, nawet Frankowi i Siergiejowi, którzy wkrótce do nas dołączą.

Reuben skinął głową. To nie był odpowiedni moment, by pytać o Laurę, ale czy w ogóle musiał to robić? Nie padło jeszcze ani jedno słowo, które mogłoby sugerować, że Laura nie przynależy do tego grona. To, zdaniem Reubena, mogło oznaczać tylko jedno. Nie miał jednak pewności i to go dręczyło. Nie wiedział.

— Niekiedy krzyżmo przynosi zainfekowanemu śmierć — kontynuował Margon — ale to zdarza się niezwykle rzadko i zazwyczaj tylko osobnikom słabym lub bardzo młodym, a także tym, którzy odnieśli ciężkie rany lub zostali pogryzieni tak mocno, że nawet krzyżmo nie może ich uleczyć i powstrzymać upływu krwi. Wiedzę o tym nabyłem przypadkowo. Krzyżmo może zabić, ale zazwyczaj tego nie czyni...

— Marrok mówił, że tak - wtrącił Reuben. - Że z reguły tak się to kończy.

- Zapomnij o Marroku - odparł Margon. - Zapomnij o tym, co inni mogli mu powiedzieć, próbując przygasić jego pragnienie zapelnienia świata Morphenkindami podobnymi do niego. Wkrótce zatańczymy w puszczy, to będzie czas na requiem dla Marroka, teraz dość o nim. A pewności nigdy nie ma. - Umilkł, by pogryźć i przełknąć kęs kaczki i kawałek bułki. - Gdy krzyżmo trafia do młodego mężczyzny lub młodej kobiety, kogoś w waszym wieku, nie ma ryzyka - rzekł. - Gdy zostanie podane przez głębokie ugryzienie, wprost do układu krwionośnego i w wielu punktach, wtedy działa tak szybko, jak w waszym przypadku: po siedmiu, najwyżej czternastu dniach. Fazy Księżyca nie mają z tym nic wspólnego; to tylko legendy, pochodzące z innego źródła i niezwiązane z nami. Nie można jednak zaprzeczyć, że w pierwszych kilku latach przemiana zawsze nadchodzi po zmroku i niezwykle trudno wzbudzić ją w świetle dnia. Z czasem jednak można osiąść tę umiejętność; trzeba tylko wielkiej determinacji w ćwiczeniach. Osiągnięcie perfekcji w tej materii powinno być waszym celem. Jeśli bowiem nie będziecie umieli zmieniać się na zawołanie, nie będziecie nigdy panami tego daru. To on będzie waszym panem.

Reuben skinął głową i mruknął, że przekonał się o tym w najbardziej bolesny, przerażający i osobisty sposób.

- Zdawało mi się, że to głosy wywołują metamorfozę -dodał. — Że to one są bodźcem i muszę...

- Do głosów przejdziemy później - przerwał mu Margon.

- Ale dlaczego w ogóle je słyszemy? — spytał Stuart. — Dlaczego docierają do nas wezwania ludzi cierpiących, owładniętych bólem, ludzi w potrzebie? Mój Boże, w szpitalu myślałem, że oszaleję. Zdawało mi się, że słyszę dusze w piekle, błagające o litość...

- Później — powtórzył Margon i spojrzął na Reubena. — Ty, naturalnie, pracowałeś nad tym, by się kontrolować, i to z dobrym skutkiem. Z nadzwyczajnym skutkiem, jeśli mam

być szczerzy. Należycie do nowego pokolenia i macie siłę, jakiej nie widywaliśmy w przeszłości. Dodajecie do krzyżma takie zdrowie i energię, jakie przez wieki były rzadko spotykanym, wyjątkowym darem. A jeśli dodamy do tego wasz intelekt, otrzymamy wyjątkowo pięknych Morphenkindów.

— No, nie pochlebiaj im aż tak bardzo — odezwał się charakterystycznym barytonem Thibault. - Wystarczająco już urosli.

— Ja chcę być doskonały! — wykrzyknął Stuart, dźgając się kciukiem w pierś.

— Jeśli masz być doskonały wedle mojej miary - odparł Margon - to oceń wszystkie swoje przymioty, a nie tylko wilczy dar. Pomyśl o wszelkich ścieżkach swojej ludzkiej egzystencji. Co dla ciebie oznaczają? - Margon zwrócił się teraz do Reubena. - Ty jesteś poetą, Reuben, pisarzem, potencjalnym kronikarzem swojego czasu. To skarb, nieprawdaż? Ostatniej nocy - dodał, nie czekając na odpowiedź - zanim zabrałem tego młodzika do lasu, długo rozmawiałem z twoim ojcem. To on jest rodzicem, który przekazał ci twój największy talent, a nie matka, którą tak uwielbiasz. To człowiek stojący zawsze w twoim cieniu wyposażył cię w miłość do języka, która kształtuje dziś twój sposób postrzegania świata.

— Nie wątpię - odparł Reuben. - Matkę raczej zawiodłem. Nie mogłem zostać lekarzem, podobnie jak mój brat, Jim.

— Ach, twój brat Jim — powtórzył Margon. — Oto prawdziwa zagadka: ksiądz, który pragnie całym sercem wierzyć w Boga, ale nie wierzy.

— To nie taka rzadka przypadłość — zauważył Reuben.

— Ale żeby świadomie ofiarować swoje życie temu Bogu, który może nigdy nie odpowiedzieć? — nie ustępował Margon.

— A który z bogów kiedykolwiek komuś odpowiedział? — Reuben wbił spojrzenie w Margona i czekał.

— Czy muszę wskazywać, że tysiące zaświadcza, że słyszą Jego głos?



- Owszem, tylko czy naprawdę słyszą?

- A jakże mielibyśmy to sprawdzić?

- Och, dajcie już spokój! - odezwał się po raz pierwszy Felix. Odłożył nóż i widelec, spoglądając z wyrzutem na Margona. — Zamierzasz mieszać religią w głowach tych dwóch młodych wilczków? Ukrywać własny nihilizm? Dlaczego?

- Och, wybacz - odparł sarkastycznie Margon - że wspomniałem o licznych dowodach na to, że ludzie ponoć od zarania dziejów słyszą głosy swoich bogów. I że dla nawracających się akty nawrócenia mają zwykle bardzo realny i głęboko emocjonalny wymiar.

- W porządku — odparł Felix z łaskawym gestem. — Kontynuuj, nauczycielu. Chętnie posłucham tego raz jeszcze.

- Za to ja nie wiem, czy to zniosę — zadudnił Thibault z drwiącym uśmiechem na ustach.

Margon zaśmiał się cicho i spojrzał na niego z błyskiem w oku.

- Zaiste mroczny był dzień, w którym dołączyłeś do naszej kompanii - rzekł rubasznym tonem. - Wiecznie ta gorzka wesołość i cierpkie komentarze. Nawet we śnie słyszę twoje pomruki.

Thibault także się uśmiechnął.

- Wyraziłeś się jasno - wtrącił znowu Felix. - Reuben jest pisarzem. Być może pierwszym z Morphenkindów, który parać się będzie tym rzemiosłem...

- Nonsens, czy tylko ja mam pamięć do nieprzyjemnych zdarzeń? - spytał Thibault.

- Nie zamierzam streszczać tu dziejów Morphenkindów - rzekł Margon. - Chcę wam powiedzieć tyle. - Tu spojrzał znacząco na Stuarta, który właśnie sięgał po kolejną porcję ziemniaków. - Posiadacie ciało i duszę, pierwiastek wilczy i ludzki, a ich równowaga jest kluczem do przetrwania. Można zabić w sobie każdy dar, jeden wybrany albo wszystkie, jeśli ktoś

się uprze, żeby tego dokonać. Duma jest źródłem zniszczenia, duma pożera żywcem umysł, serce i duszę.

Reuben energicznie pokiwał głową, a potem wziął łyk czerwonego wina.

— Na pewno się zgodzisz — rzekł — że ludzkie doświadczenie błędnie w porównaniu z doświadczeniem bycia wilkiem. Każdy aspekt wilczej egzystencji jest bardziej intensywny... -Zawahał się. Morphenkind. I wilczy dar - piękne słowa, które sam wybrał.

Tak, to był dar.

— Nie w każdym momencie nasze istnienie musi być intensywne, czyż nie? - odparł Margon. - Śpimy, drzemiemy, medytujemy - odkrywamy samych siebie przez nasze pasje i nasze porażki, ale także w chwilach relaksu i w snach.

Reuben przyznał mu rację.

— Ta łagodna muzyka, której słuchamy. Fortepianowe utwory Satiego. W niczym niepodobne do dziewiątej Beetho-vena, czyż nie? — spytał Margon.

Ani do drugiej symfonii Brahmsa, pomyślał Reuben, sięgając pamięcią do swoich rozważań z ostatniej nocy.

— Ile razy jeszcze przemiana nastąpi wbrew mojej woli? — spytał nagle Stuart.

— Spróbuj się jej oprzeć — odpowiedział mu Thibault. — Może zadziwisz sam siebie.

— Jest za wcześnie, jeszcze z nią nie zwyciężysz — rzekł Margon. - Mniej więcej przez czternaście nocy wystąpi nieodwołalnie. Po ilu Reuben nauczył się samokontroli? Po dziesięciu? Ale tylko dlatego, że wcześniej poddawał się bez walki.

— Tak, pewnie tak — mruknął Thibault.

— Z mojego doświadczenia wynika, że dwa tygodnie to standard - odezwał się Felix. - Później nieskończenie łatwiej kontrolować przemianę. Wielu z nas siedem transformacji w miesiącu wystarczy, by zachować energię i zdrowie. Oczy-

wiecie można też blokować się w nieskończoność. Każdy ma własny rytm, indywidualny cykl, różnice są naprawdę spore. Jest jeszcze kwestia głosów, które wzywają pomocy - zawsze jesteśmy gotowi przemienić się, żeby na nie odpowiedzieć. Ale te dwa pierwsze tygodnie są tak naprawdę potrzebne: krzyżmo przebudowuje twoje komórki.

— Komórki, komórki — wymamrotał Reuben, po czym spojrzał na Laureę. — Jak je nazwał Marrok?

— Pluripotencjalne komórki prekursorowe — odpowiedziała. — Mówił, że to na nie oddziałuje krzyżmo, wywołując mutację.

— Oczywiście - mruknął Stuart.

— Taką wysnuliśmy teorię — rzekł Felix — bazując na skromnej jeszcze wiedzy. — Przez chwilę delectował się winem, a potem usadowił się wygodniej. - Uważamy, że to jedyne komórki, które mogą być odpowiedzialne za dokonujące się w nas zmiany. To oznacza, że każdy człowiek potencjalnie może zostać Morphenkindem. Opieramy to przekonanie na naszej wiedzy o chemii ludzkiego ciała, a wiemy o niej więcej niż dwadzieścia czy czterdzieści lat temu.

— Tylko że jeszcze nikomu nie udało się dokładnie zrozumieć tego procesu — stwierdził Thibault. — W początkach nowoczesnej nauki usiłowaliśmy tego dokonać, korzystając z nowych narzędzi. Wielkie mieliśmy nadzieje. Wyposażyliśmy laboratoria i zatrudniliśmy uczonych, używając różnych sprytnych podstępów. Zdawało nam się, że wreszcie poznamy samych siebie. A tak niewiele się dowiedzieliśmy! Tyle, ile dowiedzieliście się, obserwując samych siebie.

— Gruczoły dokrewne, hormony, to jest kluczowa sprawa — stwierdził Reuben.

— Niewątpliwie — zgodził się Felix. — Pytanie brzmi: jak i dlaczego?

— A od czego się zaczęło? — spytał Stuart, z rozmachem

kładąc dłoń na stole. - Zawsze było tak jak teraz? Co było na początku, Margonie?

- Istnieją odpowiedzi na te pytania... - odrzekł cicho Margon. Widać było, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat.

- A kto był pierwszym Morphenkindem? - zainteresował się Stuart.  
- No, powiedz; na pewno macie swoją Księgę Rodzaju. Musisz nam o tym opowiedzieć. Komórki, gruczoły, chemia to tylko jedna strona medalu. Ale co z historią? Jak to było?

Cisza. Felix i Thibault czekali na odpowiedź Margona. A Margon się zastanawiał, jakby zatroskany, a przez chwilę wręcz zatopiony w myślach.

- Zamierzchłe dzieje nie są aż tak ciekawe - rzekł wreszcie. - Teraz najważniejsze jest to, abyście się nauczyli korzystać ze swojego daru.

Laura odezwała się nieśmiało po dłuższej chwili milczenia:

- Czy wasz głód narasta z czasem? Mówię o pragnieniu polowania i ucztowania.

- Nieszczególnie - odparł Margon. - Zawsze nosimy go w sobie. Czujemy się niekompletni, słabsi, duchowo wyposzczeni, jeśli czasem sobie nie pofolgujemy, ale powiedziałbym, że ów głód jest jednakowy od początku. Niektórym z nas zdarza się natomiast, że mają dość łowów - wycofują się na dłuższy czas, ignorują głosy.

- A co z siłą? Potęguje się z czasem? - indagowała Laura.

- Poprawiają się umiejętności, to oczywiste - odpowiedział Margon.  
- Przybywa też mądrości. No, przynajmniej powinno. Nasze ciało odnawia się nieustannie. Słuch, wzrok i siła fizyczna raczej się nie poprawiają.

Spojrzał na Reubena, jakby czekał na jego pytania. Wcześniej tego nie czynił.

- Głosy - odezwał się Reuben. - Czy możemy już porozmawiać o głosach?

Starął się być cierpliwy, ale to chyba był właściwy moment.

- Dlaczego je słyszymy? - spytał. - Rozumiem, że mamy superwrażliwy słuch, to element naszego daru, ale dlaczego właśnie głosy ludzi potrzebujących pomocy wywołują w nas przemianę? Niby dlaczego komórki macierzyste w naszych ciałach przekształciły się w zmysł, który potrafi wykrywać zło i okrucieństwo — umiemy wywęszyć woń występku, czyż nie? I dlaczego coś nakazuje nam niszczyć źródło tego zapachu?

Odłożył serwetkę, wpatrując się intensywnie w oczy Margona.

- Dla mnie to właśnie jest największą zagadką - dodał po chwili. - Zagadką natury moralnej. Człowiek zmienia się w monstrum, w porządku, to żadna magia. To tylko nauka, nawet jeśli chwilowo dla nas niepojęta. Z tym potrafię się pogodzić. Ale dlaczego czuję strach i cierpienie innych? Dlaczego coś mnie popycha do działania? Za każdym razem, gdy zabijałem, ofiarą był człowiek zepsuty do szpiku kości. Nigdy się nie pomyliłem - mówił, spoglądając to na Margona, to na Feliksa, to znowu na Thibaulta. — Z wami z pewnością jest podobnie.

- Istotnie - przytaknął Thibault. - Ale to tylko proces chemiczny. Leży w naszej naturze. Czujemy zło i atakujemy je niemal na oślep, chcemy zniszczyć. Identyfikujemy się z niewinną ofiarą. Cierpimy, gdy ona cierpi.

- Czy to dar od Boga? - spytał Stuart. - To chcesz nam powiedzieć?

- Wręcz przeciwnie - odparł cierpliwie Thibault. - To tylko przejaw wysokiej specjalizacji, w sensie biologicznym. Cecha wynikająca z ulotnej chemii naszych gruczołów dokrewnych i umysłów.

- Dlaczego działa to właśnie tak? - nie ustępował Reuben. - Dlaczego te procesy chemiczne nie każą nam tropić i pożerać niewinnych? Są z pewnością równie smakowici.

Margon uśmiechnął się.

- Nie próbuj - powiedział. - Nie uda ci się.

- Wiem. Właśnie dlatego zginął Marrok. Nie potrafił zmusić się do zabicia Laury. Prosił ją o wybaczenie, tłumaczył się wręcz z tego, dlaczego musi odebrać jej życie.

Margon pokiwał głową.

- Ile lat miał Marrok? - spytał Reuben. - Czy duże miał doświadczenie? Czy nie powinien mieć dość umiejętności, by nas pokonać?

Margon znowu skinął głową.

- Marrok chciał skończyć ze sobą - powiedział. - Czuł już znużenie, było mu wszystko jedno. Stał się cieniem samego siebie.

- Tak sądziłam - powiedziała Laura. - Wyzywał nas na pojedynek, jakby chciał zostać zniszczony. Z początku próbował też dezorientować nas, wystraszyć na śmierć, że się tak wyrażę. Wreszcie zrozumiałam, że on po prostu nie może zrobić tego, co sobie zaplanował, jeśli i my nie będziemy chcieli z nim walczyć.

- Otóż to - podchwycił Reuben. - A kiedy już podjęliśmy wyzwanie, nie mógł nas pokonać. W jakimś sensie musiał przeczuwać, że tak się stanie.

- Czy ja się wreszcie dowiem, kim był ten cały Marrok? - wtrącił Stuart.

- Historia Marroka dobiegła końca - odparł Margon. - Z siebie tylko znanych powodów chciał zniszczyć Reubena. Przekazał mu krzyżmo przez pomyłkę, a następnie wmówił sobie, że będzie najlepiej, jeśli usunie namacalny dowód swojego błędu.

- Podobnie ja przekazałem dar tobie - mruknął pod nosem Reuben.

- Tylko że ty jesteś młody - zauważył Thibault. - Marrok był wiekowy.

- I dzięki temu moje życie zaczyna się tak tęczo - zawołał radośnie Stuart. - Przy dźwięku trąb!

Matgon zaśmiał się rubasznie, spoglądając znacząco na Feliksa.

- Nadal chciałbym wiedzieć, dlaczego staramy się chronić niewinne ofiary przed gwałtem i śmiercią - rzekł Reuben.

- Mały wilczku - odparł Margon - domagasz się efektywnej odpowiedzi, czyż nie? Z moralnym ładunkiem. Żałuję, ale nie mam takiej. Obawiam się, że to naprawdę tylko produkt ewolucji, jak wszystko inne.

- Zatem ten talent wyewoluował u Morphenkindów? - spytał Reuben.

- Nie. - Margon pokręcił głową. - Wyewoluował u istot innego gatunku, a my go przejęliśmy. Nie był to gatunek *Homo sapiens sapiens*. Porównałbym go raczej do *Homo ergaster* albo *Homo erectus*. Znane są wam te nazwy?

- Ja je znam - odpowiedział szybko Stuart. - I właśnie tego się spodziewałem. Pewnie był to gatunek, który żył w izolacji i świetnie sobie radził w jakimś odległym zakątku świata, prawda? Jak *Homo floresiensis* - gatunek hobbitów z Indonezji. Poboczna linia humanoidów, niepodobna do wcześniej znanych.

- Jaki znowu gatunek hobbitów? - zainteresował się Reuben.

- Niewysocy ludzie, mieli najwyżej trzy stopy - wyjaśniła Laura. - Dopiero parę lat temu znaleziono ich szkielety. Ewoluwali osobno i inaczej niż *Homo sapiens sapiens*.

- Ach, teraz sobie przypomnimy - mruknął Reuben.

- Proszę, opowiedz nam o tym gatunku - powiedział Stuart.

Felix wyglądał na zakłopotanego i chyba zamierzał znowu uciszyć chłopaka, ale Margon skinął głową.

Widać było, że wolałby nie opowiadać tej historii. Namyslał się jeszcze chwilę, zanim przemówił.

- Najpierw zrobmy tu porządek - rzekł, wskazując na stół. - Potrzebuję jeszcze chwili sam na sam z myślami.

Półmiski z resztkami potraw wylądowały w kuchni, na blacie wyspy. Zostało ich tak wiele, że z powodzeniem mogło wystarczyć na solidną kolację.

I tym razem pracowali wspólnie, szybko i w milczeniu. Na stole pojawiły się dzbanki z wodą, gorącą kawą i zieloną herbatą, a także karafki z winem. Nie zabrakło też świeżo upieczonych ciast z jabłkami, wiśniami i brzoskwiniami. Był nawet talerz francuskich serów, a także cukierki i owoce.

Margon ponownie zasiadł u szczytu stołu. Nie wyglądał na zachwyconego, ale jedno spojrzenie na pełne zapału oblicze Stuarta oraz cierpliwą, myślącą twarz Reubena przekonało go, że musi kontynuować wykład.

- Tak - rzekł - rzeczywiście istniał taki gatunek, odizolowany i z wolna wymierający gatunek naczelnych. Nie były to istoty zbyt podobne do nas. Tysiące lat temu zamieszkiwały wyspę u wybrzeży Afryki.

- I od nich mamy naszą moc? - spytał Stuart.

- Tak - potwierdził Margon. - A stało się to dzięki pewnemu głupcowi - albo mędrcom, to zależy od punktu widzenia - który chciał ich skrzyżować z ludźmi, tak by ci ostatni przejęli od nich ciekawą umiejętność: dar zmieniania się, w chwili zagrożenia, z potulnych małpoludów w rozszalałe wilkołaki.

- Współżył z nimi - domyślił się Stuart.

- To nie przyniosło skutku - odparł Margon. - Uzyskał tę moc po tym, jak został wielokrotnie i bardzo poważnie



pogryziony, ale wcześniej podjął liczne kroki przygotowawcze. Przyjmował płyny pochodzące od przedstawicieli tego gatunku — urynę i krew — w dużych ilościach. Poza tym przy każdej okazji zachęcał członków plemienia, by gryźli go w ramach zabawy. Zaprzyjaźnili się z nim, bo był wyrzutkiem w swojej społeczności. Wygnano go z jedyne go miasta, które istniało w ówczesnym świecie. - Ostatnie słowa Margon wyrzekł wyraźnie mroczniejszym tonem.

Przy stole zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na niego, on zaś zapatrzył się w swoją szklanę z wodą. Reuben nie umiał rozszyfrować dziwnego grymasu, który pojawił się na twarzy Margona. Stuart wyraźnie się niecierpliwił. Reuben odnosił wrażenie, że przypominając sobie tę historię i opowiadając ją, Margon czuje coś więcej niż tylko znużenie czy niesmak. Było w niej coś, co go mocno trapiło.

- Kiedy to było? - nie wytrzymał Stuart. - I co znaczy „z jedyne go miasta, które istniało w ówczesnym świecie”? - Był wyraźnie pobudzony; wciągnęła go ta opowieść. Uśmiechał się coraz szerzej z każdym powtórzonym słowem.

- Stuart, proszę cię... - upomniał go Reuben. - Pozwól Margonowi opowiadać tę historię tak, jak uważa za stosowne.

- Mówisz o sobie, prawda? - odezwała się Laura po kolejnej dłuższej pauzie.

Margon skinął głową.

- Trudno to sobie przypomnieć? - spytał z szacunkiem Reuben. Naprawdę nie umiał zgłębić mimiki Margona. W jednej chwili wydawał się daleki, zamyślony, w następnej pełen życia. Raz nieobecny, oderwany od rzeczywistości, raz szczerze i otwarcie zaangażowany w rozmowę. Ale czy można było spodziewać się czegoś innego?

Dziwna, wręcz szokująca była dla Reubena świadomość tego, że oto ma przed sobą istotę nieśmiertelną. Inaczej: nieśmiertelność może i przeczuwał, ale zdumiewające było to,

od ilu lat Margon chodzi po tym świecie! Reuben miał wrażenie, że to samo krzyżmo wsączyło mu do krwi wewnętrzne przekonanie o nieśmiertelności. Nie mógł tego pojąć, ale i nie mógł zapomnieć. Co więcej, zanim jeszcze został ugryziony, widział czcigodnych dżentelmenów na fotografii w bibliotece i już wtedy wyczuwał, że spaja ich wspólna wiedza, która nie jest z tego świata.

Stuart wpatrywał się w Margona jak w obraz, podziwiał jego twarz, postać, gesty, nawet dłoń spoczywającą na stole.

Cóż można wywnioskować, patrząc na niego, zastanawiał się Reuben. Może to, że niewiele się zmieniliśmy przez te tysiące lat. Ktoś tak wiekowy może pojawić się dziś na ulicy i nikt nie dostrzeże w nim niczego dziwnego, może poza nadzwyczajnym spokojem oraz subtelnie mądrym wyrazem twarzy? Margon imponował, ale dlaczego? Był władczy, ale dlaczego? Z jednej strony była w nim otwartość, a z drugiej kompletna nieprzystępność.

- Powiedz, co się wtedy stało? - poprosił Stuart jak najgrzeczniej. - Dlaczego cię wygnali? Co im zrobiłeś?

- Odmówiłem czczenia bogów - odparł cicho Margon, spoglądając prosto przed siebie. - Odmówiłem składania ofiar w świątyni bóstwom wyrzeźbionym w kamieniu. Odmówiłem recytowania hymnów przy wótrze monotonnego bicia w bębny: hymnów opowiadających o małżeństwach bogów i bogiń, które nigdy nie zostały zawarte, bo owe bóstwa nie istniały. Odmówiłem wmawiania ludziom, że jeśli nie będą czcić bogów, jeśli nie będą składać ofiar, jeśli nie będą urabiać sobie rąk, pracując na polach albo kopiąc kanały dostarczające uprawom wodę, to bogowie wywołają koniec wszechświata. Margon Bezbożny odmówił powtarzania kłamstw. - Urwał, by dodać po chwili nieznacznie podniesionym głosem: - Nie, przypominam sobie to wszystko bez kłopotu. Tylko dawno już zacząłem tracić głęboką, instynktowną wiarę w sens opowiadania tej historii po raz kolejny.

- Dlaczego po prostu cię nie zabili? - spytał Stuart.

- Nie mogli - odparł cicho Margon, spoglądając na niego. — Byłem ich boskim królem.

Ta odpowiedź wprawiła Stuarda w zachwyt. Ledwie panował nad podnieceniem.

To takie proste, pomyślał Reuben. Stuart zadaje wszystkie pytania, na które sam chciałbym znać odpowiedź, podobnie jak Laura. W dodatku pomagają w narracji, więc na co tu się skarżyć? Nagle poczuł morderczy żar irackiej pustyni. Zobaczył rowy pełne pyłu, teren wykopalisk archeologicznych, w których brał udział. Ujrzał znowu tabliczki z pismem klinowym, niepozorne skarby zgromadzone teraz w sekretnej sali tego domu.

Tak niewiele dotąd usłyszał, a tak był tym podekscytowany! Zupełnie jak wtedy, gdy przeczyta się fascynujące zdanie w książce i trudno jest kontynuować lekturę, bo to jedno jedyne zdanie stwarza tak wiele nowych możliwości, że myśli zaczynają się kłębić w głowie czytelnika.

Margon sięgnął po wodę, spróbował i wypił trochę. Odstawiwszy szklanekę, wciąż przypatrywał się wypływającym na powierzchnię bąbelkom powietrza, podświetlonym ogniem przez ołowiowe szkło kieliszków. Nawet nie tknął owoców, które leżały na talerzu. Pił natomiast kawę, póki była gorąca. Nagle sięgnął po srebrny dzbanek.

Reuben go uprzedził i napełnił szklanekę. Królewski podczaszy.

Felix i Thibault spoglądali na Margona ze spokojem. Laura obróciła się tak, by go lepiej widzieć. Złożyła ramiona na piersiach i czekała.

I tylko Stuart nie mógł się doczekać.

- Co to było za miasto? - dopytywał się. - No proszę, Margon, mów! Felix uciszył go gestem i surowym spojrzeniem.

- To przecież normalne, że chce wiedzieć — rzekł Margon. —

Pamiętasz, jak skończyli ci, którzy wcale nie byli ciekawi, których nie interesowała przeszłość? Może lepiej by im się wiodło, gdyby mieli jakąś historię, rodowód, nawet jeśli oparty tylko na opowiadaniu. Może właśnie tego nam trzeba.

- Ja tego potrzebuję - szepnął Stuart. - Chcę wiedzieć wszystko.

- Nie jestem pewny, czy naprawdę dotarło do ciebie to, co do tej pory mówiłem - odpowiedział łagodnie Margon.

Otóż to, pomyślał Reuben. Trudność przekazu. Jak można objąć umysłem to, że siedzący tu człowiek żyje, odkąd zaczęto liczyć czas? Jak zrozumieć coś takiego?

- Nie będę się teraz bawił w kronikarza Morphenkindów - rzekł Margon. - Może i nigdy nie będę tego robił. Ale opowiem wam o niektórych sprawach. Wystarczy wam wiedzieć, że zostałem obalony i wygnany. Nie chciałem głosić, że jestem boskim synem fikcyjnego boga, który zbudował wszystkie te świątynie i kanały, wielkiego poprzednika Enlila, Enkiego, Marduka i Amuna Ra. Poszukiwałem prawdziwych odpowiedzi. I wiercie mi, mój punkt widzenia nie był aż tak radykalny, jak się wydaje. Był dość powszechny. Tyle że wyrażanie takiego punktu widzenia nie było powszechne.

- To było w Uruk, prawda? - spytał Stuart bez tchu.

- Nie, o wiele wcześniej - odparł Margon. - Zanim jeszcze narodziły się miasta Eridu, Larsa i Jerycho i inne ze znanych wam miast. Piaski jeszcze nie odsłoniły ruin mojego miasta. I może nigdy nie odsłonią. Ja sam nie wiem, co się stało z nim i z moimi potomkami. Nie wiem nawet, ile mu zawdzięczają miasta, które powstały w pobliżu. Nie wiem, co się stało z jego placówkami handlowymi, z których w świat wędrowały nie tylko bydło, towary i niewolnicy, ale i styl życia. Nie wiem zatem i tego, co się stało z tamtym stylem życia. Nie byłem świadomym kronikarzem ani świadkiem wydarzeń, które się w tamtych czasach rozgrywały. Na pewno to rozumiecie.

Musicie rozumieć. Czy patrzycie tysiące lat w przyszłość? Czy mierzycie to, co was spotyka, miarą tego, co może być istotne za tysiąc lat? Błądziłem i potykałem się jak każdy inny człowiek, a czasem nawet tonąłem. — Margon mówił teraz z emfazą i bez przerw. - Nie miałem poczucia, że los lub przypadek uczyniły mnie załącznikiem bytu, który przetrwa tysiąclecia. Skąd miałbym je mieć? Nie doceniałem sił, które bawiły się moim losem. I nie mogło być inaczej. To, że przetrwałem, jest czystym przypadkiem. I dlatego nie lubię o tym opowiadać. Mowa jest podejrzana. Gdy mówimy o swoim życiu, długim czy krótkim, burzliwym i tragicznym lub rozciągniętym w czasie ponad ludzkie pojęcie, narzucamy mu pewną ciągłość, która jest kłamstwem. A ja gardzę kłamstwem!

Gdy tym razem umilkł, nikt się nie odezwał. Nawet Stuart siedział nieruchomo.

— Dość więc powiedzieć, że usunięto mnie z tronu i wydalono — powtórzył Margon. — Stał za tym mój brat — dodał, subtelnym gestem oddając niesmak. - Cóż, dlaczego nie? Prawda to ryzykowna droga. Przeciętniacy wierzą, że kłamstwa są niezbędne, że służą jakiemuś celowi, że prawda burzy porządek, że szczerłość jest niebezpieczna, że wszystkie filary życia społecznego oparte są na kłamstwie...

Znowu urwał. I nagle uśmiechnął się do Stuarta.

— To dlatego domagasz się ode mnie prawdy, czyż nie? Bo ludzie uczyli cię przez całe twoje krótkie życie, że kłamstwa są dla ciebie tak ważne jak powietrze, którym oddychasz. Dlatego teraz tak ochoczo skłaniasz się ku życiu zbudowanemu na prawdzie.

— Tak - odparł z powagą Stuart. - Właśnie tak - powtórzył i zawahał się nieznacznie. — Jestem gejem. Odkąd pamiętam, powtarzano mi, że istnieje wiele bardzo dobrych powodów, dla których lepiej mi będzie, jeśli w tej sprawie będę okłamywał wszystkich moich znajomych.

- Rozumiem to - rzekł Margon. - Architekci każdego społeczeństwa muszą polegać na kłamstwach.

- Powiedz, co się naprawdę wydarzyło.

- To nie ma znaczenia, to tylko pusta gadanina o bogach, boginiach i wygnanych księżętach - odparł Margon. - Dlatego wróćmy do opowieści, w której obaj chcemy znaleźć choć trochę prawdy.

Stuart skinął głową.

- Na szczęście dla Margona Bezbożnego, nikt nie zamierzał przelać krwi króla-heretyka. Wyprowadzono go poza mury miasta, skazując na los pustynnego włóczęgi, zaopatrzonego jedynie w skórzany bukłak wody oraz kij. Wędrowałem przez Afrykę, przez Egipt i dalej, wzdłuż wybrzeża, aż dotarłem na wyspę zamieszkaną przez lud żyjący w pokoju, a jednocześnie pogardzany przez inne plemiona. Trudno było nazwać te istoty ludźmi. Wtedy nikt ich nie uważał za ludzi, a jednak byli nimi -byli podgatunkiem, samodzielny plemieniem. Przyjęli mnie, nakarmili i ubrali, jeśli można nazwać ubranie to, co nosili na sobie. Bardziej przypominali małpy niż mężczyźni i kobiety. Mieli jednak swój język, a także znali miłość i potrafili wyrażać ją na różne sposoby. Gdy powiedzieli mi, że zbliżają się ich wrogowie, ludzie z wybrzeża, i gdy mi ich opisali, byłem przekonany, że wszyscy zginieją. Na samej wyspie panował pokój, ale ci z wybrzeża byli ludźmi takimi jak ja. To byli *Homo sapiens sapiens*, zajadli wojownicy, uzbrojeni we włócznie i prymitywne, kamienne topory, gotowi zgładzić każdego godnego pogardy wroga - dla samej zabawy.

Stuart skinął głową.

- Jak powiedziałem, spodziewałem się najgorszego. Proste małpoludy nie mogły przecież zorganizować skutecznej obrony przed tak wyrafinowanym i agresywnym najeźdźcą. Nie było też czasu, bym mógł ich nauczyć, jak się bronić. Cóż - myliłem się. „Idź, ukryj się”, powiedzieli moi gospodarze. „Będziemy

wiedzieli, że ich łodzie są już blisko". Gdy ludzie z wybrzeża lądowali na plaży, małpoludy zaczęły tańczyć w kółko, by wywołać w sobie przemianę. Wydłużone kończyny, kły, wilcze futro — widzieliście przecież, jak wyglądacie; doświadczyliście już metamorfozy. Całe plemię - i kobiety, i mężczyźni - zmieniło się na moich oczach w stado potworów. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. Patrzyłem więc, jak stado wyjących i warczących psów uderza na wroga, jak spycha go do oceanu i pożera, jak niszczy łodzie własnymi kłami i pazurami, jak ściga uciekających i do ostatka pożera ciała nieprzyjaciół. A potem wszyscy wrócili do dawnej postaci i byli znowu spokojnym ludem prostych małpoludów. Powiedzieli, żebym się nie lękał, bo rozpoznają wroga po zapachu zła. Wyczuwali tę woń, zanim jeszcze łodzie pojawiały się na horyzoncie. I tylko wrogom gotowali takie przyjęcie - taką moc dali im w zamierzonych czasach bogowie, by mogli bronić się przed złymi, którzy bez powodu naruszali porządek ich świata.

Mieszkałem wśród nich przez dwa lata - mówił dalej. -Pożądałem tej mocy. Jak mówiłem, piłem ich mocz, krew, łzy, wszystko, co zechcieli mi dać. Było mi wszystko jedno. Sypiałem z ich kobietami. Przyjmowałem nasienie od mężczyzn. Kupowałem cenne dla mnie wydzieliny ich ciał oraz ich krew za okruchy mądrości, dobre rady, małe sprytne wynalazki, o których nawet nie śnili. Rozwiązywałem problemy dla nich nierozwiązywalne. Tylko w jednym przypadku, dość oczywistym zresztą, ludzie ci potrafili własną wolą wzbudzić w sobie przemianę: gdy trzeba było ukarać przestępcę. Zwykle był to zabójca, najgorszy rodzaj zdrajcy wyspiarskiego pokoju. Rozpoznawali go, rzecz jasna, po zapachu, a potem otaczali go, zaczęli tańczyć i w transie przemieniali się w bestie, by pożreć nieszczęśnika. O ile mi wiadomo, nigdy nie pomylili się w ocenie, a widziałem niejedną taką egzekucję. Nigdy nie nadużywali tej mocy. Dla nich był to prosty system. Nie mogli

przelać niewinnej krwi; bogowie dali im ten niezwykle dar po to, aby tępił zło. Nie mieli żadnych wątpliwości, kiedy z niego korzystali. Niezwykle bawiło ich to, że tak bardzo pragnąłem, by i mnie udzielił się ten dar. Ze wierzyłem, iż mogę go w sobie zaszczepić. Mimo to, zawsze gdy przeżywali przemianę, robiłem, co mogłem, by mnie lekko pogryźli - uważali to za trochę nieprzyzwoity, ale i wybitnie zabawny proceder - a oni, jako że na co dzień mnie podziwiali, godzili się na współpracę.

Margon zamknął oczy i przycisnął palce do grzbietu nosa. Po chwili unióś powieki i rozejrzał się ze zdziwieniem, jakby się zgubił.

- Byli śmiertelni? - spytała Laura. - Mogli zginąć?

- Tak, byli śmiertelni - odparł Margon. - Jak najbardziej. I wciąż umierali z błahych powodów, z reguły z powodu dolegliwości, które moi pałacowi lekarze wyleczyliby bez trudu. Ropiejący ząb, który można było usunąć. Złamana noga, którą źle złożono, przez co wdała się infekcja. Tak, byli śmiertelni. A mnie uważali za największego z magów, po umialem wyleczyć niektóre choroby. Wierzyli, że mam wielką moc.

Margon umilkł.

Thibault, który wcześniej skarżył się w żartach, że nie chce więcej słuchać jego opowieści, teraz naprawdę słuchał — i to z głęboką fascynacją, jakby akurat tego fragmentu nigdy wcześniej nie słyszał.

- Zwrócili się przeciwko tobie? - spytał. - Nigdy o tym nie mówiłeś.

- Ta sama, stara historia - odparł Margon. - Po dwóch latach znałem ich prymitywny język na tyle, by im powiedzieć, że nie wierzę w ich bogów. Pamiętajcie, że byłem wtedy bardzo młody — może ze trzy lata starszy od Stuarta. Pragnąłem mocy. Mocy, która nie pochodziła od bogów. Pomyślałem więc, że powinienem im powiedzieć, co myślę. W owym czasie sądziłem, że zawsze należy mówić prawdę. — Zaśmiał się



półgłosem. - Zrozumcie, że oni nie posiadali złożonej religii, w przeciwieństwie do tych miast z żyznych równin. Nie mieli wielkiego systemu świątyń, podatków i zakrwawionych ołtarzy. Ale mieli swoich bogów. Ja zaś uznałem za stosowne powiadomić ich, że żadni bogowie nie istnieją. Ci ludzie zawsze byli dla mnie dobrzy i radowali się niezmiernie każdą nową sztuczką, której uczyli się ode mnie. Śmiali się ze mnie, jak mówiłem, bo pragnąłem ich mocy, ale tak naprawdę bawiła ich moja wiara w sukces tego przedsięwzięcia. Nie możesz sobie wziąć tego, czego bogowie ci nie dają, mawiali. A przecież bogowie dali tę moc im, a nie ludziom takim jak ja. Teraz jednak, gdy zrozumieli w pełni, że neguję istnienie ich bogów i że moje pragnienie mocy było w istocie nieskończenie heretyckie, ogłosili mnie przestępcą najgorszego rodzaju i wyznaczyli datę egzekucji.

Rytuały śmierci zawsze odbywały się o zmroku - kontynuował. - Jak się domyślacie, moi gospodarze bez trudu przemieniali się w wilki za dnia, gdy zbliżał się wróg, ale musieli czekać do wieczora, by wywołać w sobie transformację z okazji egzekucji. Gdy zapadł zmierzch, zapalili pochodnie i utworzyli wielki krąg, zamykając mnie w środku. Zaczęli tańczyć, by sprowadzić na siebie przemianę. Nie było im łatwo. Nie wszyscy chcieli w tym brać udział. Niektórzy trzymali się z boku -przecież wielu z nich uratowałem od śmierci, uzdrawiałem leż ich dzieci. Spostrzegłem wtedy w tych prostych istotach wielką niechęć do krzywdzenia niewinnych. Do dziś nie wiem i nigdy się nie dowiem, jaki właściwie zapach wyczuwały ode mnie. Wiem natomiast, jaki zapach wyczuwałem od nich: ohydny, palący smród zła. Nastawali na moje życie. Rzucili się na mnie jak wilki. Gdyby mnie rozerwali na sztuki, jak to czynili z wrogami i przestępcami, mój żywot dobiegłby końca. Moja podróż przez czas znalazłaby taki sam finał jak u każdego śmiertelnego człowieka. Ale oni tego nie zrobili. Coś ich powstrzymało, może resztką szacunku, może fascynacja, a może

nieufność wobec samych siebie. Jak można sobie wyobrazić, dzięki wcześniejszym, „zabawnym” ugryzieniom, a także dzięki eksperymentom z płynami z ich ciał, wyrobiłem w sobie wielką odporność oraz zdolność szybkiej regeneracji. Dzięki temu przetrwałem ich atak. Tak czy owak, ciężko pogryziony pełzłem w stronę dżungli, by tam skonać. Była to najgorsza męka, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem. Byłem wściekły, głównie dlatego, że właśnie w tak głupi sposób kończyło się moje życie. Oni zaś tańczyli jeszcze wokół mnie, zbliżając się i oddalając. Byli ze wszystkich stron. Stopniowo powracali do zwykłej postaci i przeklinali mnie, a potem znowu stawali się wilkami, bo jeszcze nie umarłem. Tylko że — co oczywiste — nie potrafili zmusić się do zabicia mnie. I wtedy się przemieniłem. Zrobiłem to na ich oczach. Rozwścieczony głosami i zapachami ich nienawiści, przemieniłem się i ruszyłem do kontrataku.

Oczy Margona rozszerzyły się teraz, jakby widział coś, czego nikt inny nie mógł dostrzec. Czekali w milczeniu na dalszy ciąg. Reuben miał wrażenie, że zaczyna rozumieć osobowość Margona: był niepisanym przywódcą, choć w żadnym z jego gestów nie było cienia władczości. Nawet gdy w jego głosie pojawiały się emocje, to ich strumień płynął równo, pod dyktando opanowanej natury skrytego i zdyscyplinowanego człowieka.

- Nie mogli się ze mną równać - rzekł wreszcie, wzruszając ramionami. — Byli przy mnie jak ujadające szczeniaczki o mlecznych zębach. Ja zaś byłem wilczym potworem o ludzkiej, silnej woli i głęboko urażonej dumie. Oni nawet nie znali takich emocji! W całym swoim życiu nie czuli takiej potrzeby zabijania, jaką ja poczułem owego wieczoru.

Reuben uśmiechnął się. Nie mógł wyjść z podziwu, że powieść Margona tak pięknie zilustrowała mordercze ciągoty człowieka.

— Tak narodziło się coś nieporównywalnie bardziej niebez-

piecznego niż nasza rasa i ich rasa - podsumował Margon.  
-Człowiek wilk, wilkołak - oto, czym jesteśmy.

Raz jeszcze umilkł. Można było odnieść wrażenie, że chciał coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział, jak to wyrazić.

- Wiele jest w tym wszystkim spraw dla mnie niezrozumiałych - przyznał. - Jedno wiem na pewno - i dziś wiedzą już o tym wszyscy - a mianowicie to, że każda cząstka życia eksploduje pod wpływem mutacji, pod wpływem przypadkowego połączenia składników na każdym poziomie. To przypadek jest odnawialnym źródłem Siły wszechświata, nic się nie dokonuje bez jego udziału, bez nierozwagi i błędu — czy chodzi o nasiona wyrwane przez wiatr z umierającego kwiatu, czy o pyłek niesiony na odnóżach skrzydlatego owada, czy o ruchy ślepej ryby patrolującej głębiny w poszukiwaniu form życia, o których na powierzchni nawet nam się nie śniło. Przypadek, wszystko to przypadek - tak było i ze mną, i z nimi. Nastąpił przypadkowy błąd i oto narodził się człowiek wilk. Narodził się ród Morphenkindów.

Margon wziął kilka łyków kawy, a Reuben na nowo napełnił jego filiżankę.

Stuart przysłuchiwał się opowieści jak urzeczony, ale po chwili milczenia znowu zagotowała się w nim dawna niecierpliwość. Nie umiał się powstrzymać.

— To lekcja cnoty — rzekł do niego Felix — słuchać wstrzeźmięzliwego narratora. Przecież wiesz, jak głęboko sięga po prawdę, z której możecie skorzystać.

- Wiem - odparł Stuart, walcząc ze sobą. - Przepraszam, wiem. Wiem, tylko że... Tak strasznie bym chciał...

— Chcesz zrozumieć to, przed czym stanąłeś — dokończył Felix. - Rozumiem. Wszyscy rozumiemy.

Margon znowu dryfował. Może zasłuchał się w dyskretnej muzyce? Wyizolowane, metodycznie ułożone nuty fortepianowej muzyki Satiego wznosiły się i opadały miarowo.

- Lecz w końcu uciekłeś z wyspy? - spytała Laura. W jej głosie były szacunek i niepewność.

- Nie uciekłem - przytaknął Margon. - Z tego, czego byli świadkami, mogli wyciągnąć tylko jeden wniosek: że pragnęli tego ich bogowie, a Margon Bezbożny jest nikim innym, tylko ojcem ich bogów.

- I uczynili cię swoim władcą - stwierdził Stuart.

- Uczynili go swoim bogiem - skorygował Thibault. - Na tym właśnie zasadza się cała ironia tej sytuacji. Margon Bezbożny został ich bogiem.

Felix westchnął.

- Nie uciekniesz przed tym przeznaczeniem — powiedział.

- Naprawdę?

- Chyba nie zostaniesz i naszym królem? - spytał Felix konfidencjonalnym szeptem, jakby byli sami.

- Dzięki Bogu nie - szepnął z tajemniczym uśmiechem Thibault. - Ale powiem szczerze, że jeszcze nigdy nie słyszałem, Margonie, żebyś opowiadał tę historię w taki sposób.

Margon roześmiał się niezbyt głośno, po prostu naturalnie. Po chwili westchnął i podjął przerwana opowieść.

- Rządziłem nimi przez lata. Byłem ich bogiem, ich królem, ich przywódcą, wszystko jedno, jak to nazwiemy. Żyłem w pełnej harmonii z nimi, a gdy zbliżali się nieprzyjaciele, kierowałem obroną. Wyczuwałem woń zła tak samo jak oni. I musiałem je niszczyć - tak samo jak oni. Zapach wroga wywoływał we mnie przemianę - tak jak w nich. Tak samo działała na mnie obecność złego między nami. Ale ja cierpiałem też na pragnienie karania zła, a oni tego pragnienia nie znali. Ja czekałem z utęsknieniem na woń napastników, oni nie. Byłem gotów szukać wroga na jego własnej ziemi, tylko po to, żeby przeżyć dreszcz towarzyszący zgładzeniu go. Aż tak bardzo kusiły mnie zapach zła oraz rozkosz jego niszczenia. Mówiąc

wprost, byłem nawet skłonny prowokować agresję wobec mnie, tylko po to, żeby następnie ogłosić ją złem i zniszczyć.

- Naturalnie - szepnął Stuart.

- Taka była królewska pokusa - powiedział Margon. - Być może istnieje ona i dziś. Ja ją poznałem. Ja, pierwszy *Homo sapiens sapiens*, który doświadczył metamorfozy. Dziś, gdy pokusa staje się silna, możemy uciec przed głosami. Możemy na przykład przybyć tutaj, do tego pięknego, majestatycznego lasu, i mieć nadzieję, że ustrzeżemy się aktów barbarzyństwa, których załóżek nosimy w sobie, ale prędzej czy później ta abstynencja zaczyna nas uwierać, a wtedy wyruszamy na oszukiwanie tego zła, którym tak gardzimy.

- Rozumiem. - Stuart pokiwał głową. Reuben także przytaknął.

- Szczera prawda — mruknął Felix.

- A gdy już go szukamy, to zawsze znajdujemy - dodał Margon. - W wolnych chwilach polujemy w puszczy i nie umiemy odmówić sobie jej hojnych darów, nie umiemy odmówić sobie prostoty zabijania, które jest zwyczajnie i brutalnie nieuniknione, ale nie jest przelewaniem niewinnej krwi.

- Czy tamci ludzie wywoływali przemianę, żeby polować? - spytał Reuben. Głowa mu parowała od tych rewelacji. Znowu czuł na języku smak łosiowej krwi i widział oczami wyobraźni tamto zwierzę o łagodnych oczach, które nie było zabójcą, tylko zdobyczą dla zabójców. Brutalnie nieuniknione, o tak. Ów łos nie był przecież złem. Nigdy nawet nie nosił zapachu zła.

- Nie, nie wywoływali - odparł Margon. - Polowali w zwyczajnej postaci. Ja jednak nie byłem taki jak oni. Gdy przyzywała mnie dżungla, gdy czułem łowiecki zew, po prostu się zmieniałem i biegłem. Uwielbiałem to. A oni przyglądali mi się

i z czasem doszli do wniosku, że to boska cecha. Nigdy jednak nie naśladowali mnie pod tym względem. Nie byli w stanie.

- Kolejna niespodzianka wynikająca z mutacji - zauważyła Laura.

- Właśnie - przytaknął Margon. - Nie byłem tym, czym oni. Stałem się czymś nowym. - Umilkł znowu na krótką chwilę. - Mijały miesiące i lata, a ja odkrywałem nowe zjawiska. Z początku nie wiedziałem na przykład, że nie mogę umrzeć. Widziałem tubylców w walce - byli niemal niezwyciężeni. Ranieni nożami, dziurawieni włóczniami, byli w stanie przeżyć prawie każdy atak, jeśli tylko byli w wilczej postaci. Ja, rzecz jasna, zyskałem podobną siłę życiową. A jednak moje rany, dowolne rany, goiły się znacznie szybciej niż ich - nawet gdy otrzymałem je jako człowiek. Mimo to nie zdawałem sobie sprawy, co to może oznaczać. Wreszcie opuściłem wyspę, nie wiedząc, że przez kolejne stulecia będę się włóczył po całej Ziemi. Jest jednak jeszcze coś, o czym muszę wam opowiedzieć, a przytrafiło mi się to na wyspie. - Margon spojrział w skupieniu na Reubena. - Może pewnego dnia doświadczysz tego ze swoim bratem, gdy będzie mocno cierpiał z powodu ciemnej strony swej duszy. O tym, co zaraz powiem, mówiłem do tej pory bardzo rzadko, a może i wcale.

Felix i Thibault wyglądali na mocno zaintrygowanych i najwyraźniej nie domyślali się, o czym jeszcze chce wspomnieć.

- Na wyspie mieszkał święty mąż - zaczął Margon. - Dziś nazwalibyśmy go szamanem, może mistykiem. Zjadał rośliny wywołujące trans, istne szaleństwo. Nie zwracałem na niego zbyt wiele uwagi. Nikomu nie robił krzywdy, bo większość żywota spędzał w błogim otepieniu. Wydrapywał te swoje znaki oraz symbole, które chyba tylko on rozumiał, wprost na ziemi albo na piaszczystej plaży. Na swój upiorny sposób był nawet pięknym człowiekiem. Nigdy nie rzucał mi wyzwania, a ja nigdy nie kwestionowałem jego rzekomej wiedzy tajemnej. Naturalnie nie wierzyłem w nią ani w nic innego. Utrzymałem, że nabytą moc zawdzięczam wyłącznie sobie. Gdy szykowałem

się do opuszczenia wyspy, gdy już przekazałem berło innemu, że się tak wyrażę, i byłem gotów wyruszyć w stronę stałego lądu, ów szaman zszedł na plażę i zawołał mnie w obecności całego plemienia. To był odpowiedni moment raczej na ceremonialne życzenia szczęśliwej podróży, nawet na łyzy. Dlatego też nie zachwyciło nas wtargnięcie tego dziwaka, odurzonego różnymi miksturami i gadającego zagadkami. A jednak przyszedł i gdy już wszyscy czekali z uwagą na to, co powie, wskazał na mnie palcem i oznajmił, że bogowie mnie ukarzą za to, że ukradłem im moc, darowaną wcześniej „ludowi”, a nie mnie. Powiedział też, że nie jestem bogiem. „Margonie Bezbożny, ty nie możesz umrzeć”, wołał. „Tak zadecydowali bogowie. Nie możesz umrzeć. Nadejdzie taki czas, że będziesz błagał o śmierć, ale ona nie będzie ci dana. Dokądkolwiek pójdziesz i cokolwiek zrobisz, nie umrzesz. Będziesz potworem pośród swoich. Twoja moc będzie ci udęką. Nie da ci spoczynku. To dlatego, że zawłaszczyłeś sobie moc, która była przeznaczona przez bogów wyłącznie dla nas”.

Tubylcy byli podnieceni, oburzeni, zdezorientowani tą przemową - mówił. - Niektórzy chcieli go pobić, zapędzić z powrotem do chaty i narkotycznych transów. Inni tylko się bali. „Bogowie mi o tym powiedzieli”, oświadczył. „Śmieją się z ciebie, Margonie. I zawsze będą się śmiać, dokądkolwiek pójdziesz i cokolwiek zrobisz”. Byłem wstrząśnięty, choć jeszcze nie całkiem rozumiałem dlaczego. Ukłoniłem się szamanowi, podziękowałem za mowę i twardo stwierdziłem, że trzeba mu współczuć, po czym kontynuowałem przygotowania do podróży. Przez wiele kolejnych lat nawet o nim nie myślałem. Aż wreszcie nadszedł czas, w którym zacząłem o nim myśleć. I od tamtej pory nie ma takiego roku, w którym nie przypomniałbym sobie każdego słowa, które wtedy wypowiedział. -Margon westchnął ciężko. - Po ponad stu latach wróciłem na tę wyspę, żeby zobaczyć, jak sobie radzą „moi ludzie”, jak

ich nazwałem. Ale już ich nie było. Wytepił ich *Homo sapiens sapiens* i teraz on sprawował tam władzę. Po dzikich ludziach została jedynie legenda. - Spojrzał na Reubena, potem na Stuarda i wreszcie na Laurę. Na niej zatrzymał wzrok najdłużej. -A teraz powiedzcie, czego możemy się nauczyć z tej historii?

Nikt się nie odezwał, nawet Stuart, który tylko wpatrywał się w Margona, podpierając ręką brodę.

- Cóż - zaczęła po chwili Laura - wydaje się oczywiste, że ta moc wyewoluowała w nich jako reakcja na ataki wrogów i pewnie trwało to Bóg wie ile tysięcy lat. Był to stopniowo wzmacniany mechanizm obronny.

- Tak.

- I że częścią tej mocy była umiejętność wyczuwania zapachu wroga, który z czasem stał się bodźcem do przemiany.

- Tak - potwierdził znowu Margon.

- Jednakże oni - ciągnęła Laura - nigdy nie wykorzystywali tej mocy do polowania i uctowania, bo łączyła ich ze zwierzętami z dżungli bardziej intymna więź.

- Być może.

- Ale ty, istota ludzka, *Homo sapiens sapiens*, już wcześniej nie czułeś tego związku z naturą. Pragnąłeś zabijać zwierzęta, choć nie były ani winne, ani niewinne, ani dobre, ani złe. Były po prostu zdobyczą, więc polowałeś na nie i w nowej postaci.

- Tym sposobem dokonała się w tobie zmiana ewolucyjna w tej mocy - wtrącił Stuart. -I pewnie po niej nastąpiły kolejne, i w tobie, i w innych Morphenkindach, bo przecież minęły tysiące lat, prawda? Mogło dojść do wielu zmian.

- Tak sędzę - odparł Margon. - Zrozumcie coś jeszcze. W owym czasie nie przeczuwałem nawet tego, o czym teraz mówicie, nie miałem poczucia ewolucyjnego kontinuum. Dlatego też choć zdobyłem tę moc, nową, wilczą moc, nie przestawałem myśleć o niej jak o odstępstwie od tego, o upadku, o utracie duszy, a także jak o skażeniu niższymi, prymitywniejszymi instynktami.



- A jednak jej pragnąłeś - zauważył Stuart.

- Tak, i to zawsze - przyznał Margon. - Pragnąłem jej i jednocześnie gardziłem sobą za to pragnienie. Dopiero później, z biegiem czasu, gdy zacząłem więcej rozumieć, doszedłem do wniosku, że coś wspaniałego może się kryć w tym niezwykłym potencjale. Mogłem stać się niepokonanym potworem, a jednocześnie zachować swój spryt, intelekt oraz ludzką duszę.

- Zatem wierzysz w duszę? - spytał Stuart. - Nie wierzyłeś w bogów, ale uwierzyłeś w duszę.

- Wierzyłem w unikatowość i wyźszość rodzaju ludzkiego. Nie sądziłem, że możemy się czegoś nauczyć od zwierząt. Nie wiedziałem, że istnieje wszechświat - w każdym razie nie w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Pomyślcie tylko, jakie są tego implikacje - my, ludzie tamtych czasów, naprawdę sądziliśmy, że poza Ziemią nie ma już nic. Królestwo duchów pod nią czy ponad nią było co najwyżej przedśmionkiem. Tak mały był nasz wyimaginowany kosmos. Wiem, że o tym wiecie, ale pomyślcie, jak musieliśmy się z tym czuć. Tak czy owak, chciałem osiąść tę moc, by uczynić z niej broń doskonałą, potężne przedłużenie mojego ciała. Gdyby na przykład mój brat ruszył moim tropem, chciałem mieć możliwość przemienienia się w dziką bestię i rozerwania go na kawałki. Naturalnie nie tylko tego pragnąłem. Chciałem na przykład widzieć i czuć tak jak prawdziwy wilk, a potem przenosić to, czego się dowiedziałem, do mojego ludzkiego świata. Jednak to, że poszukiwałem tej mocy i wreszcie ją zdobyłem, było aktem egoizmu i chciwości. Zapłaciłem za to cierpieniem, coraz rzadziej zmieniając się w bestię z radością, a coraz częściej w poczuciu klęski.

- Rozumiem - powiedziała Laura. - A kiedy zacząłeś inaczej postrzegać swoją sytuację?

- Dlaczego sądzisz, że zacząłem?

- Och, jestem tego pewna - odrzekła. - Dziś nazywasz ten dar krzyżmem. Nie ty wymyśliłeś tę nazwę, po co miałbyś

w ogóle jej używać? Moim zdaniem dziś dostrzegasz w krzyż-mie wielką moc syntezującą. Nie uważasz jednak, że jednoczy niższą i wyższą formę życia, ale dwie równorzędne.

- Tak, przyznaję, właśnie do takiego wniosku doszedłem. Wolno, ale doszedłem. Wreszcie otrząsnąłem się z nienawiści do samego siebie oraz z poczucia winy. Zacząłem postrzegać mój dar jako pouczający, a czasem nawet wspaniały. Nie potrzebowałem mądrości Darwina, żeby wiedzieć, że wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną: istotami zamieszkującymi Ziemię. Wyczułem tę wspólnotę wszelkiego żywego stworzenia. I nie musiałem znać zasad ewolucjonizmu, żeby otworzyć oczy na tę prostą prawdę. Miałem też nadzieję i marzenie, że oto powstaje ród nieśmiertelnych, łączących w sobie siły człowieka i bestii, którzy będą widzieć świat takim, jakim zwykli ludzie nie potrafią go widzieć. Wymyśliłem sobie plemię świadków, plemię Morphenkindów, czerpiących z ludzi i ze zwierząt transcendentną moc dającą im współczucie i uznanie dla wszystkich form życia, zakorzenione w ich własnej hybrydowej naturze. Wyobrażałem sobie, że będą stali na uboczu, obiektywni i niepojęci, ale zawsze po stronie dobra, miłosierdzia, opiekuńczości.

Umilkł, ale wytrzymał spojrzenie Laury.

- Teraz już w to nie wierzysz - zaryzykowała. - Nie wierzysz w tę świetlaną wizję, w to niezwykle plemię świadków?

Możliwe, że był bliski udzielenia odpowiedzi, ale się powstrzymał. Przez chwilę wodził wzrokiem po pustej przestrzeni ponad jej głową.

- Wszystkie istoty przychodzące na ten świat pragną nieśmiertelności - rzekł cicho. - Ale dlaczego plemieniem obiektywnych, nieśmiertelnych świadków mieliby być właśnie Morphenkindowie, pół ludzie, pół bestie?

- Sam sobie odpowiedziałeś na to pytanie - stwierdziła. - Mówiłeś, że powinni czerpać z dwóch stanów transcendentnej mocy, mieć w sobie współczucie dla wszystkich form życia...

- Czy naprawdę można tak o nas powiedzieć? - przerwał jej Margon. - Czy naprawdę czerpiemy z dwóch stanów transcendentnej mocy, by współczuć? Nie wiem, czy tak jest. Nie wiem, czy nasza nieśmiertelność jest czymś więcej niż tylko przypadkiem, podobnie jak jest ewolucyjnym przypadkiem ludzka świadomość.

Felix był poruszony słowami Margona i postanowił się wtrącić.

- Może nie rozwijaj tej myśli - poprosił łagodnie. - Zapuszczasz się w najmroczniejsze wspomnienia, w świat najczarniejszych rozczarowań. Nie czas na to i miejsce.

Margon chyba był tego samego zdania.

- Chciałbym, żeby inni mieli takie marzenie - rzekł, spoglądając na Laure, a potem na Stuarta i Reubena. — Chcę, żeby istniała wizja transcendentnego świadka. Nie wiem tylko, czy sam w nią wierzę i kiedykolwiek prawdziwie wierzyłem.

Można było odnieść wrażenie, że czuje się zraniony własnym wyznaniem. Jakby się załamał. Felix spojrzał na niego z troską. Thibault wyglądał na lekko wystraszonego i smutnego.

- Ja wierzę - rzekł Felix bez śladu wyrzutu w głosie. -Wierzę w plemię świadków. Zawsze wierzyłem. Nigdzie nie jest napisane, dokąd mamy pójść i co mamy robić. Wierzę, że przetrwamy jako plemię tych, którzy mają krzyżmo.

- Nie wiem — odparł Margon — czy nasze świadectwo będzie miało jakiegokolwiek znaczenie i czy nasza synteza mocy doczeka się innych świadków...

- Rozumiem i akceptuję to — powiedział Felix. — I zajmuję swoje miejsce wśród hybryd, wśród tych, którzy trwają, którzy dostrzegają świat duchowy i świat brutalny w sposób szczególny. Wśród tych, którzy spoglądają na oba światy jako na źródło prawdy.

- No tak — westchnął Margon. — Zawsze do tego wracamy: i świat brutalny, i świat duchowy są źródłem prawdy, a prawda

mieszka w trzewiach tych, którzy walczą, oraz w duszach tych, którzy są zbyt wzniośli, by walczyć.

W trzewiach tych, którzy walczą, powtórzył w myślach Reuben. Znowu miał przed oczami obraz kapliczki w konarach drzewa, z której spoglądał ku gwiazdom. W trzewiach kryje się puls Boga.

- Rzeczywiście, zawsze do tego wracamy - przyznał Felix. - Czy istnieje Stwórca beznadziejnie daleki od świata komórek i oddechów, który znamy, czy może jest tuż-tuż i zawiera to wszystko w sobie?

Margon pokręcił głową i spojrzał smutno na Feliksa, a potem odwrócił wzrok.

Wyraz twarzy Stuarta był tak piękny, że trudno było nań patrzeć. Dostał coś, czego pragnął - i już o nic więcej nie prosił. Spoglądał w przestrzeń, najpewniej układając w głowie wszystkie te lotne myśli, które obudziła w nim opowieść Margona, a także rozpatrując zupełnie nowe możliwości.

Laura także była pod wrażeniem. Skupiła się teraz na swoim wnętrzu - być może także otrzymała to, co było jej potrzebne.

Gdybym tylko umiał opisać to, co teraz widzę, pomyślał Reuben. To, że moja dusza się otwiera, że oddycha, że wnika coraz głębiej w tajemnicę, tajemnicę owych trzewi... Nie, nie umiał tego wyrazić. Miał wrażenie, że byli blisko czegoś naprawdę gigantycznego, ale teraz się cofnęli, jakby zeszli ze szczytu, który udało się zdobyć.

- A ty, Margonie? - spytała Laura, jak przedtem z zaciekawieniem i szacunkiem. - Czy i ty możesz umrzeć jak Marrok? I jak Reynolds Wagner?

- Tak. Sądzę, że tak. Nie widzę powodu, by sądzić, że różnię się od pozostałych członków plemienia. Nie wiem. Nie wiem, czy istnieją we wszechświecie bogowie, którzy przeklęli mnie za kradzież tej mocy i przeklęli wszystkich tych, którym ją własnymi zębami przekazałem. Nie wiem. Ale czy to cokolwiek

wyjaśnia? Wszyscy jesteśmy zagadką. I to pozostanie jedyną prawdą na ten temat, tak długo, jak długo będziemy wiedzieli jedynie, „jak” i „kiedy”, a nie „dlaczego”.

— Nie wykluczam, że Margon jednak wierzy w te rzeczy -wtrącił Thibault — bardziej, niż jest skłonny przyznać.

— Przekleństwo to tylko metafora — odezwał się Reuben. — To sposób na opisanie naszej ziemskiej niedoli. Wychowywano mnie w wierze, że całe dzieło stworzenia było przeklęte - upadłe, zdeprawowane - do czasu, aż ocaliła je Boża Opatrzność. To znaczy: najpierw przeklęła, a potem ocaliła.

— Amen - odpowiedziała mu Laura. - Powiedz, Margonie, dokąd się potem udałeś? I komu pierwszemu podarowałeś krzyżmo?

— Och, to był przypadek, jak to najczęściej bywa. I nawet nie wiedziałem, że zyskam tym sposobem towarzysza na tak wiele lat. A powiem wam, jaki jest najlepszy powód, by stworzyć kolejnego Morphenkinda. Otóż będzie to ktoś, kto nauczy was czegoś, czego nie nauczyły was wszystkie lata samotnych zmagañ. Ofiaruje wam jakąś nową prawdę, o której nawet nie śniliście. Margon Bezbożny spotyka Boga w każdym nowym pokoleniu.

— Amen. Zrozumiałam — szepnęła z uśmiechem. Margon spojrzał teraz na Reubena.

— Nie mogę ofiarować ci moralnych wskazówek, których tak potrzebujesz — rzekł.

— Być może się mylisz — odparł Reuben. — Być może już mi je ofiarowałeś. Być może opacznie zrozumiałeś, czego poszukuję.

— Stuarcie — rzekł Margon — powiedz nam, co się teraz dzieje w twojej głowie.

— Najcudowniejsze rzeczy — odparł Stuart, z uśmiechem kręcąc głową. — Bo jeśli możemy mieć przed sobą taki piękny cel i syntezować, łączyć w sobie nową prawdę, a potem także cały ból i dezorientację, i żal, i wstyd...

- I wstyd? - zdziwiła się Laura. Stuart wybuchnął śmiechem.
- Tak, wstyd! - potwierdził. - Nie masz pojęcia... Tak, pewnie, że wstyd.
- Ja cię rozumiem — wtrącił Reuben. — W naszym darze wilka jest porcja wstydu. Musi być.
- W pierwszych pokoleniach był wyłącznie wstyd - rzekł Margon. - I twarde, ponure pragnienie zatrzymania sobie tej mocy.
- Wyobrażam sobie.
- Ale dziś żyjemy w piękniejszym wszechświecie - dodał cicho i z podziwem Margon. - We wszechświecie, w którym trzeba szanować wszelkie formy energii i wszelkie procesy twórcze.
- Reuben był poruszony. Margon uniósł ręce i potrząsnął głową.
- Teraz musimy zająć się odpowiedzią na pytanie, którego nikt nie zadał - powiedział.
- To znaczy? - spytał Stuart.
- To znaczy: dlaczego żaden zapach nie informuje nas o bliskości innego Morphenkinda?
- O, właśnie - szepnął Stuart, znowu zadziwiony. - Nie ma żadnego zapachu! Ani od ciebie, ani od Reubena; nie pachniał nawet Siergiej, gdy był Człowiekiem Wilkiem!
- Dlaczego? - spytał Reuben. Nawet gdy walczył z Marrokiem, nie wyczuwał od niego woni zła. Siergiej nawet w chwili, gdy na jego oczach masakrował dwoje lekarzy, nie wydzieliał absolutnie żadnej woni.
- Czy to dlatego, że nie jesteście ani dobrzy, ani źli? - zasugerowała Laura. - Ani zwierzętami, ani ludźmi.
- Margon skinął głową, zadowolony z odpowiedzi.
- To kolejny element tajemnicy - odrzekł krótko.
- Przecież powinniśmy wyczuwać jakiś czysty zapach

Morphenkinda, tak jak czujemy woń człowieka albo zwierzęcia - zaoponował Reuben.

- A jednak nie czujemy - odparł Thibault.

- To poważna niedogodność - zauważył Stuart. Popatrzył na Reubena. - To dlatego potrzebowałeś tyle czasu, żeby mnie odnaleźć, gdy się zgubiłem.

- Tak. Ale odnalazłem. Musiało istnieć mnóstwo innych drobnych śladów. Na przykład twój płacz. Wiem, że go słyszałem.

Margon nie dodał już nic na ten temat. Siedział cicho, zajęty własnymi myślami, gdy Stuart i Reuben dyskutowali. Reuben przypomniał sobie, że nie czuł też zapachu Feliksa podczas spotkania w kancelarii, ani później, gdy Felix i Margon po raz pierwszy pojawili się w domu. Nie, zdecydowanie nie było zapachu.

Stuart miał rację, to była niedogodność. Nie byli w stanie wyczuć, gdy zbliżał się inny Morphenkind.

- Musi w tym tkwić głębszy sens - stwierdził Reuben.

- Wystarczy - oznajmił Margon. - Dość wam na dziś powiedziałem.

- Ależ dopiero zacząłeś! - jęknął Stuart. - Reuben, poprzyj mnie. Przecież obaj potrzebujemy odpowiedzi. Margon, opowiedz nam, w jaki sposób po raz pierwszy przekazałeś krzyżmo. Jak to było?

- Może byłoby lepiej, gdybyście usłyszeli relację z pierwszej ręki, od człowieka, który dostał ode mnie ten dar - odparł Margon z szelmowskim uśmiechem.

- Ciekawe, kto to mógł być? - Stuart spojrzał najpierw na Feliksa, a potem na Thibaulta. Felix tylko odwzajemnił spojrzenie, unosząc jedną brew; Thibault zaśmiał się pod nosem.

- Pomyślcie lepiej o tym, czego już się dowiedzieliście - rzekł Felix.

- Pomyślę, pomyślę - obiecał Stuart i spojrzał na Reubena, który pokiwał głową.

Czy on nie rozumie, pomyślał Reuben, że to zaledwie pierwsza z wielu rozmów bez końca, podczas których usłyszą odpowiedzi na pytania, których w tej chwili nawet sobie nie wyobrażają?

- Także o tym, że jesteśmy tak starzy jak rodzaj ludzki -dodał Felix.  
- Teraz już o tym wiecie, wszyscy troje. O tym, że jesteśmy zagadką, tak jak zagadką jest rodzaj ludzki. O tym, że jesteśmy częścią cyklu życiowego tego świata, ale na pytania, „jak” i „dlaczego”, sami musimy szukać odpowiedzi.

- Tak - odezwał się znów Margon. - Jest nas na świecie wielu, ale dawniej bywało znacznie, znacznie więcej. Nieśmiertelność, o której tu mówimy, chroni nas przed starością i chorobą, ale nie przed gwałtownym końcem żywota. W tym sensie jesteśmy śmiertelni jak wszyscy inni mieszkańcy tego padole łez.

- A ilu konkretnie? - spytał Stuart. - No, nie patrz tak na mnie - dodał natychmiast, spoglądając na Reubena. - Też chciałbyś wiedzieć, nie mów, że nie.

- Chciałbym - przyznał Reuben. - Gdy Margon uzna, że powinniśmy się dowiedzieć. Ta historia może się rozwinąć tylko w jednym kierunku.

- Nie wiem, ilu nas jest na świecie - rzekł Margon, wzruszając ramionami. - Bo skąd miałbym wiedzieć? Albo skąd Felix czy Thibault mieliby wiedzieć? Zagrożenie, przed którym stajemy w dzisiejszym świecie, nie ma nic wspólnego z innymi Morphenkindami. Niebezpieczni są ludzie nauki, tacy jak Kłopowa i Jaska. Trudności, które miewamy w codziennym życiu, też wiążą się z postęпами w nauce - nie możemy już przedstawiać się jako potomkowie samych siebie, skoro do potwierdzenia ojcostwa potrzebne są dziś badania DNA. Poza tym musimy dziś bardziej niż kiedykolwiek wcześniej uważać na to, gdzie i w jaki sposób polujemy.

- Czy możecie mieć dzieci? - spytała Laura.



- Tak - odparł Margon. - Ale tylko z kobietą-Morphenkindem.

Wstrzymała oddech. Reuben też był zszokowany. Dlaczego był taki pewny, że Laura nie zajdzie z nim w ciążę? Słusznie, jak się okazało. Nie mogła.

- Zatem kobieta-Morphenkind może rodzić — upewniła się Laura.

- Tak. Potomstwo zawsze jest Morphenkindem, wyjątki są niewiarygodnie rzadkie. Ale czasem... cóż, czasem zdarza się spory miot. Ale i płodnych par nie spotyka się często.

- Miot! - wyszeptała Laura. Margon skinął głową.

- To dlatego kobiety Morphenkindów często formują własne sfory - wyjaśnił Felix. - Mężczyźni też trzymają się razem. Choć nie tylko z tego powodu.

- No, bądźże uczciwy - upomniał go Thibault. - Powiedz, że to się rzadko zdarza. Nie wiem, czy przez wszystkie te lata znałem pięcioro rodzonych Morphenkindów.

- Jacy byli? - zainteresował się Stuart.

- Przemiana dokonuje się w nich po raz pierwszy pod koniec okresu dojrzewania — odparł Margon. — Pod każdym względem są podobni do nas. Gdy osiągają dojrzałość fizyczną, przestają się starzeć — tak jak my. Jeśli przekażecie krzyżmo małemu dziecku, wydarzy się to samo: przemiana nastąpi później, pod koniec okresu dojrzewania. Proces starzenia ustanie po osiągnięciu dojrzałości.

- Zatem jeszcze trochę urosnę — ucieszył się Stuart.

- Urośniesz - potwierdził Margon, uśmiechając się sarkastycznie i przewracając oczami.

Felix i Thibault parsknęli śmiechem.

- Wykazałbyś się wielką uprzejmością, gdybyś jednak przestał rosnać — rzekł Felix. — Jakoś nieswojo się czuję, już teraz zadzierając głowę, żeby spojrzeć w twoje błękitne oczy.

Stuart był zachwycony.

- Dojrzejesz - powiedział Margon. - Wtedy przestaniesz się starzeć.

Laura westchnęła.

- Trudno wymarzyć sobie coś lepszego.

- Chyba masz rację - odparł Reuben, ale dopiero teraz dotarła do niego oczywista prawda: nigdy nie będzie miał normalnych, ludzkich dzieci. Jeśli kiedykolwiek zostanie ojcem, to tylko istoty takiej samej jak on.

- A jeśli chodzi o innych Morphenkindów - odezwał się Felix — to chyba z czasem musimy przekazać chłopcom trochę wiedzy o nich, nie sądzisz?

- Masz na myśli to, że są skryci, często nieprzyjaźni? - spytał Margon. - Ze rzadko, jeśli w ogóle, ujawniają się przed innymi Morphenkindami? Co jeszcze można o nich powiedzieć? - spytał, rozkładając ręce.

- Jeszcze sporo i doskonale o tym wiesz — skarcił go spokojnie Felix.

Margon nie zareagował.

- Jesteśmy bardzo podobni do wilków. Wędrujemy sforami. Cóż nas obchodzą inne sfory, póki nie wchodzą na nasze tereny łowieckie?

- Wobec tego zasadniczo inni nie są dla nas groźni - ocenił Stuart. - To chcecie powiedzieć? Ze nie ma wojen terytorialnych i takich tam? Nikt nie próbuje zdobyć przewagi nad pozostałymi?

- Mówiłem już — odparł Margon — że największym zagrożeniem są dla nas ludzie.

Stuart zamyślił się na chwilę.

- Nie możemy przelewać niewinnej krwi — rzekł wreszcie. - W takim razie jak mielibyśmy walczyć o władzę? Ale czy nigdy nie pojawił się Morphenkind-renegat? Nikt nie zaczął mordować niewinnych? Nie oszalał?

Margon zastanawiał się długo.

- Zdarzały się czasem dziwne rzeczy — powiedział — ale nie takie.

- Czyżbyś się zastanawiał, czy nie zostać pierwszym renegatem? - spytał Thibault, drwiąco przeciągając sylaby. - Młodocianym przestępcą-Morphenkindem, że się tak wyrażę?

- Nie - odparł Stuart. - Po prostu chciałbym wiedzieć. Margon tylko pokręcił głową.

- Potrzeba unicestwienia zła bywa przekleństwem - stwierdził Thibault.

- W takim razie dlaczego nie wyhodujemy takiej rasy Morphenkindów, która zniszczy zło do samego końca? — spytał Stuart.

- Eh, ci młodzi i ich marzenia - westchnął Thibault.

- A jaka jest nasza definicja zła? - spytał poważnie Margon. - Czy wystarcza nam to, że nasi ludzie to ci, którzy są atakowani? Co jest dziś prawdziwym korzeniem zła, jeśli wolno spytać?

- Nie wiem, co jest jego korzeniem — odparł Felix — ale wiem, że zło przychodzi na ten świat za każdym razem, gdy rodzi się dziecko.

- Amen - mruknął Margon.

Thibault przemówił, spoglądając na Laurę:

- Jak już ustaliliśmy wczoraj wieczorem, zło jest kwestią kontekstu. To nieuniknione. Nie jestem relatywistą. Wierzę, że dobro i zło naprawdę istnieją, ale kontekst jest konieczny, gdy omylna istota ludzka wypowiada się o zlu. Musimy się z tym pogodzić.

- Zdaje się, że spieramy się tylko o dobór słów - odpowiedziała Laura. - I chyba o nic więcej.

- Zaraz, twierdzicie, że zapach zła jest dla każdego z nas kwestią kontekstu? - wtrącił Reuben. - To macie na myśli?

- Musi tak być - odparła Laura.

- Niezupełnie - odezwał się Margon, odrobinę sfrustrowany. Spojrzał na Feliksa, ale ten nie palił się do zabierania głosu w tej dyspacie.

O wielu sprawach nam nie mówią, pomyślał Reuben. Nie mogą przecież mówić o wszystkim. Jeszcze nie. Ogarnęło go bardzo silne przeczucie, że przemilczanych spraw jest ogromnie dużo, ale wiedział, że pytanie o to nie ma teraz sensu.

- Krzyżmo a sprawa indywidualnych cech i siły - odezwał się Stuart. - Jak to działa?

- Istnieją ogromne różnice w podatności na krzyżmo i w późniejszym rozwoju - odparł Felix. - Różne bywają też efekty, choć nie zawsze wiemy, dlaczego tak jest. Nie ulega wątpliwości, że zdarzają się wśród nas bardzo silni i bardzo słabi. Nie wiemy dlaczego. Rodzony Morphenkind może osiągnąć imponujące rozmiary, ale równie dobrze może być mały i nieśmiały, może bardzo źle przyjąć swój dar. Podobnie jest z ugryzionymi - chyba że sami proszą o krzyżmo, ma się rozumieć.

Margon uniósł się nieco i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że pora już kończyć.

- Dla was najważniejsze jest teraz to, żebyście pozostali w tym domu - wy dwaj i Laura oczywiście też. Będziemy mieszkać razem, z Feliksem i Thibaultem. Wkrótce poznacie jeszcze paru członków naszej wyborowej paczki. Istotne jest i to, żebyście nauczyli się kontrolować transformację i opierać się pokusie głosów, kiedy to konieczne. A przede wszystkim musicie wycofać się z życia do czasu, aż medialny hałas w sprawie kalifornijskiego Człowieka Wilka nareszcie ucichnie.

Stuart skinął głową.

- Rozumiem i zgadzam się. Chcę tu być. Zrobię wszystko, co każecie! Ale jest jeszcze tyle pytań...

- Będzie ci trudniej, niż sądzisz - uprzedził go Margon. -Poznałeś już głosy. Będziesz niespokojny i przygnębiony, gdy na jakiś czas przestaniesz je słyszeć. Będziesz pragnął ich szukać.

- Teraz jesteśmy przy was, przy całej waszej trójce - dodał Felix. - Zeszliśmy się bardzo dawno temu. Nazwiska wybraliśmy sobie nie tak znowu dawno, ze starych ksiąg o wilkołakach, jak się domyśliliście. Postąpiliśmy tak nie po to, żeby dać sygnał postronnym osobom, ale po to, by nasze nazwiska stały się drogowskazem dla nas samych i nielicznych przyjaciół spoza naszej grupy. Rzecz w tym, że dla tych, którzy nie umierają, nazwiska stają się z czasem ciężkim balastem. Podobnie jak posiadanie nieruchomości, dziedziczenie oraz obywatelstwo. W sprawie nazwisk znaleźliśmy proste i odrobinę poetyckie rozwiązanie. Nad rozwiązaniem innych problemów pracujemy, różnymi sposobami. Tak czy inaczej, jesteśmy grupą i niniejszym otwieramy się przed wami

Stuart, Reuben i Laura skinęli głowami i w ciepłych słowach podziękowali za ten gest. Stuart już zaczynał płakać. Coraz trudniej było mu usiedzieć w spokoju. W końcu wstał i zaczął dreptać w miejscu za oparciem krzesła.

- To twój dom i twoja ziemia, Feliksie - rzekł Reuben.

- Nasz dom i nasza ziemia - odparł łaskawie Felix, uśmiechając się ciepło.

Margon wstał.

- Wasze życie, małe wilczki, właśnie się rozpoczęło. Spotkanie dobiegło końca. Rozchodzili się do swoich pokojów. Pozostała jednak pewna sprawa, z którą Reuben nie mógł

dłużej zwlekać. Po prostu musiał wiedzieć, i to natychmiast. Poszedł więc z Feliksem, który był mu najbliższy, do biblioteki. Dołączył do niego w chwili, gdy rozpalał w kominku.

- O co chodzi, braciszku? - spytał Felix. - Wyglądasz na zmartwionego. A ja myślałem, że spotkanie przebiegło całkiem niezłe.

- Chodzi o Laurę — wyszeptał Reuben. — Co z Laurą? Przekażesz jej krzyżmo? Mam cię o to poprosić? A może Margona albo...

- Jest godna - odparł krótko Felix. - Zdecydowaliśmy o tym niemal natychmiast. Nie wiedziałem, że miałaś wątpliwości co do tego. Ona też o tym wie. Nie mieliśmy przed nią żadnych sekretów. Wystarczy, że poprosi, gdy będzie gotowa.

Reuben poczuł przyspieszone bicie serca. Nie mógł spojrzeć Feliksowi w oczy. Poczuł za to jego dłoń na ramieniu, uścisk silnych palców.

- A jeśli zechce - spytał cicho Reuben - ty to zrobisz?

- Tak. Jeśli zechce. Albo ja, albo Margon. Załatwimy to. Dlaczego było to tak bolesne? Czy nie to właśnie chciał

usłyszeć? Znowu miał przed oczami jej obraz z tej nocy, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją przy domku na skraju Muir Woods. Rozśpiewany wyszedł na trawiastą polanę, a ona stała na tarasie w swej długiej, białej koszuli nocnej.

- Jestem chyba najbardziej samolubnym człowiekiem w dziejach - wyszeptał.

- Nie, nie jesteś. Ale decyzja należy do niej.

- Sam siebie nie rozumiem.

- Ja cię rozumiem - zapewnił go Felix.

Mijały chwile. Felix zapalił długą zapałkę i rozniecił ogień w kominku. Podpałka zajęła się szybko, z dobrze znanym hukem płomieni. Ogień zaczął lizać cegły.

Felix stał przy Reubenie, milcząc cierpliwie. Wreszcie rzekł cicho:

- Jesteście niezwykłymi dziećmi. Zazdroszczę wam tego nowego świata. Nie wiem, czy miałbym odwagę dalej żyć, gdyby nie było was przy mnie.

Wiele się wydarzyło w ciągu tych dwóch tygodni.

Margon zawiózł Stuarta do Santa Rosa, by mógł zabrać swój samochód - starego jaguara kabriolet, należącego niegdyś do jego ojca. Odwiedzili też matkę Stuarta, wciąż przebywającą na oddziale psychiatrycznym, gdzie „nudziła się na śmierć”, „miała serdecznie dość tych dumnych piśmideł” oraz osiągnęła pełen stan gotowości do „gruntownej wymiany całej garderoby, żeby jakoś to przeżyć”. Jej agent zadzwonił z Hollywood z informacją, że znowu stała się „gorącym towatem”. Było to lekką ptesadą, ale rzeczywiście proponowano jej pracę, gdy tylko będzie mogła wsiąść do samolotu. Miała nadzieję na zakupy przy Rodeo Drive.

Grace, uznana za najbardziej wiarygodnego i wygadanego świadka ostatniego ataku Człowieka Wilka w hrabstwie Mendocino, regularnie występowała w telewizji, rozsądnymi słowami przekonując świat do swojej teorii, jakoby owym nieszczęsnym stworzeniem była osoba z wadą wrodzoną lub po ciężkiej chorobie, fizycznie zdeformowana i okaleczona psychicznie. Człowiek Wilk miał jej zdaniem już wkrótce wpaść w ręce władz i zostać poddany leczeniu, którego tak bardzo potrzebował.

Śledczy z biura prokuratora generalnego, FBI i policji San Francisco pojawiali się w Nideck Point bez końca, by przesłuchiwać Stuarta i Reubena, z nieznanej bowiem przyczyny właśnie oni dwukrotnie byli obecni przy atakach Człowieka Wilka.

Nie były to dla nich łatwe spotkania, gdyż żaden z nich nie był patentowanym łgarzem, ale wkrótce nauczyli się skutecznej

sztuczki: dawali jak najkrótsze odpowiedzi oraz sporo mruzcili i mamrotali, więc w końcu pozostawiono ich w spokoju.

Reuben napisał długi i wyczerpujący artykuł dla „San Francisco Observera”, w którym ujął najważniejsze tezy z poprzednich tekstów, a do tego dołożył własny, bardzo żywy opis ostatniego ataku Człowieka Wilka - pierwszego, który „widział na własne oczy”. Podsumowanie artykułu było oczywiście bardzo przewidywalne: nie był to żaden superbohater, więc nadszedł czas, by jego fani wreszcie się opanowali. Z drugiej jednak strony, sprawa pozostawiła wiele pytań bez odpowiedzi. Dlaczego tak łatwo było tak wielu obywatelom sympatyzować z tak okrutną ludzką bestią? Czy Człowiek Wilk przypominał nam czasy, w których wszyscy byliśmy bardziej okrutni i było nam z tym dobrze?

Bestia tymczasem dokonała jeszcze jednego spektakularnego ataku, tym razem głęboko na terytorium Meksyku, zabijając mordercę w Acapulco. Zaraz potem zniknęła bez śladu.

Frank Vandover, wysoki i czarnowłosy, o bardzo jasnej cerze i ustach w kształcie łuku kupidyna, powrócił do Nideck Point wraz z wesołym olbrzymem z północy, Siergiejem Gorlagonem. Dom wypełnił się śmiechem, gdy opowiadali, jak to bawili się w kotka i myszkę z policją i świadkami, podążając na południe. Frank był bez wątpienia najbardziej nowoczesnym ze wszystkich czcigodnych dżentelmenów. Był dowcipnym Amerykaninem z hollywoodzką ogładą i szczerym upodobaniem do kpin z Reubena (a ściślej z jego pierwszych „występów” w skórze Człowieka Wilka) i do mierzwienia fryzury Stuarta. Nazywał ich obu Cudownymi Szczeniakami i pewnie namówiłby ich na wyścig po okolicznych lasach, gdyby nie wyraźny zakaz Margona.

Siergiej był świetnie wykształcony; kochał abstrakcyjną teologię i filozofię bodaj bardziej niż Laura i Reuben, toteż uraczył ich cudowną tyradą na temat genialnych i proroczych myśli Teilharda de Chardina. Miał białe włosy i krzaczaste, białe brwi oraz bystre, figlarne, błękitne oczy.

Odgadnięcie wieku wszystkich towarzyszy Feliksa było po



prostu niemożliwe, ale Reuben, choć trawiła go ciekawość, uważał, że pytanie ich o to, „jak długo włóczą się już po tej planecie”, byłoby zbyt grubiańskie, zwłaszcza w stosunku do Franka, który konsekwentnie nazywał go „szczeniakiem”.

Często się zdarzało, czy to podczas lunchu, czy podczas kolacji, czy po prostu podczas rozmów w pokoju śniadaniowym, że dwaj, trzej lub czterej goście Nideck Point „zapominali się” i zaczynali nagle konwersację w zupełnie innej mowie. Reuben przysłuchiwał się wtedy z wielkim zainteresowaniem, ale wypowiedziane z ogromną prędkością głoski nie przypominały mu żadnego z ziemskich języków.

Margon i Felix często posługiwali się tą mową, gdy rozmawiali w cztery oczy. Reuben podsłuchiwał ich całkiem niechcący. Kusiło go, żeby spytać, czy wszyscy towarzysze znają wspólną mowę, ale gdyby to zrobił, czułby się podobnie, jak zadając pytanie o wiek, miejsce urodzenia albo znaki tajemnego pisma, które widział w dziennikach i listach Feliksa. Nie chciał się narzucać.

Stuart i Reuben chcieli wiedzieć, kto wprowadził do użytku termin Morphenkind i czy istnieją inne nazwy, które powinni znać. Czekali jednak cierpliwie, wiedząc, że przyjdzie czas na tak błahe sprawy i wiele innych.

Dość szybko uformowały się pary. Reuben spędzał większość czasu albo z Laurą, albo z Feliksem. Laura również uwielbiała Feliksa. Stuart przepadał zaś za Margonem i nie odstępował go ani na krok. Wydawało się, że jest w nim po prostu zakochany. Frank często zniknął gdzieś z Siergiejem. I tylko Thibault sprawiał wrażenie rasowego samotnika, a może raczej lubił w równym stopniu wszystkich członków grupy. Nić sympatii połączyła go na przykład z Laurą. Zresztą wszyscy za nią przepadali, ale Thibault w sposób szczególny. Chodzili razem na spacerunki do lasu, załatwiali sprawunki, a niektóre popołudnia spędzali wspólnie, oglądając filmy.

Cała rodzina Reubena, z Celeste, Mortem i doktor Cutler na

dokładkę, przybyła do Nideck Point na Święto Dziękczynienia, by dołączyć do Reubena, Laury, Stuarta oraz czcigodnych dżentelmenów. Było to najlepsze przyjęcie w dotychczasowej historii domu oraz doskonale potwierdzenie słuszności tezy Margona

O tym, że Morphenkind musi żyć w obu światach - w świecie ludzi i w świecie bestii — jeśli ma przetrwać.

Frank zaskoczył Reubena i jego rodzinę, dając po kolacji wspaniały recital fortepianowy. Zagrał brawurowo ulubione utwory Reubena najpierw z repertuaru Satiego, a potem Chopina. Na koniec zagrał kilka własnych, romantycznych kompozycji.

Nawet Jim, który przez cały wieczór pozostawał zasepiony

i małowówny, dał się najpierw wciągnąć w rozmowę z Frankiem, a potem zagrał dla wszystkich swój utwór sprzed bardzo wielu lat — jeszcze sprzed studiów w seminarium — jako akompaniament do wiersza Rilkego.

Była to bolesna chwila dla Reubena. Siedział w pokoju muzycznym, na złożonym stołku, słuchając, jak Jim zatracca się w tej krótkiej, mrocznej, melancholijnej melodii, tak bardzo podobnej do arcydzieł Satiego. Grał wolno, z namysłem, jakby w bólu. I tylko Reuben wiedział, że Jim zna prawie całą prawdę: jako jedyny z rodziny i gości jest świadom, kim są czcigodni dżentelmeni, co się przytrafiło Stuartowi oraz kim właściwie jest teraz Reuben.

Bracia nie rozmawiali ze sobą przez cały dzień i cały wieczór w Święto Dziękczynienia. Była tylko ta jedna chwila, gdy Jim grał przy świecach swój smutny kawałek. Reuben czuł wstyd, bo zadał bratu okrutne cierpienie, powierzając mu swoją tajemnicę, ale nie wiedział, co miałby teraz zrobić. Liczył, że nadejdzie kiedyś taki moment, w którym raz jeszcze przedyskutuje z Jimem to, co się wydarzyło, ale w tej chwili czuł się okropnie i wołał nawet o tym nie myśleć.

Grace jak zawsze czuła się w towarzystwie bardzo swobodnie; za to coś się zmieniło między nią a Reubenem. Właściwie już nie zastanawiała się nad tym, co się z nim stało; chyba nareszcie znalazła w swoim uporządkowanym umyśle miej-

sce na ten fenomen, który tak długo próbowała rozgryźć. Pojawił się jednak między nimi jakiś cień. Reuben starał się na wszystkie sposoby przebić tę zasłonę, przyciągnąć matkę ku sobie jak dawniej - i być może postronny obserwator nawet uznałby, że mu się udało. Ale tak nie było. Grace coś wyczuwała, jakąś wielką zmianę w swoim synu i tak oto w jej jasnym, migotliwym świetle pojawił się bezimienny cień grozy, o którym nie mogła nawet nikomu powiedzieć.

Celeste i Mort Keller bawili się znakomicie. Celeste pouczała Reubena bez końca o tym, jak bardzo niewskazane dla kogoś w jego wieku jest „analizowanie spraw w zaciszu”, Mort zaś spacerował z nim po dębowym lasku, rozprawiając o książkach i poetach, których uwielbiali. Zostawił też Reubenowi najnowszą wersję swojej pracy doktorskiej.

Krótko po Świącie Dziękczynienia przestawili fortepian do wielkiego salonu - znalazło się dla niego świetne miejsce tuż obok drzwi do oranżerii. Pokój muzyczny został tymczasem przemianowany na salę kinową: wstawili tam wygodne kanapy kryte białą skórą oraz kilka krzeseł, tak by całe towarzystwo mogło wygodnie oglądać filmy albo telewizję.

Wkrótce potem Reuben zaczął pisać książkę. Nie była to jednak autobiografia, lecz powieść. Bazował na swoich obserwacjach, pisząc ten czysty, niewinny tekst o najważniejszych prawdach, które, jak podejrzewał, każdy mógł odnaleźć, jeśli tylko szukał ich kotzeni w świecie natury.

Tymczasem rozpoczął się generalny remont piętrowego domku na niższym klifie poniżej rezydencji - domku dla gości, który Reuben widział już podczas spaceru z Marchent - z myślą o Philu, rzecz jasna. Felix osobiście wypisał czek i polecił Gal-tonowi, by na niczym nie oszczędzał. Galton był zaś urzeczony Feliksem z racji jego uderzającego podobieństwa do ojca. Być może z tego powodu z jeszcze większym zapałem stawał się spełniać życzenia nowych lokatorów Nideck Point.

Felix dał się też poznać w miasteczku Nideck jako syn Fe-

liksa Nidecka i na dobry początek zainwestował w Zajazd, by właściciele nie musieli go sprzedawać. Wykupił też sklepy po cenach wywoławczych, planując oddać je najemcom za śmiesznie niski czynsz. Było ważne, jak wyjaśnił Reubenowi, by rodzina wywarła pozytywny wpływ na życie miasteczka. W okolicy znajdowały się też grunty, które można było kupić, podzielić i przeznaczyć pod budownictwo. Felix pomyślał o wszystkim.

Zaskakiwał Reubena nieustannie, choćby wzmianką o dziadku Spanglerze (ojcu Grace), który był ponoć sławną postacią w ubiegłym wieku, planował bowiem nowe społeczności z niespotykanym rozmachem. Razem wyszukiwali strony internetowe, na których oglądali jego dokonania. Ale kto właściwie był właścicielem ziemi wokół Nideck Point? Naturalnie Felix, tyle że pod innym nazwiskiem. Spokojna głowa.

Reuben wybrał się z nim na kolację do burmistrza Nideck. Wkrótce potem znaleźli w Internecie ogłoszenie pewnego sprzedawcy narzut, który chciał otworzyć sklep przy głównej ulicy. Podobne zamiary mieli antykwariusz oraz kobieta z kolekcją zabytkowych lalek i zabawek.

- Może nie jest to załączek metropolii - wyznał Felix - ale bardzo dobry początek. Miasto potrzebuje też małej biblioteki, nie sądzisz? No i kina. Jak daleko stąd musimy jechać, żeby obejrzeć nowy film?

W miarę jak zainteresowanie sprawą Człowieka Wilka gasło, rosła sprzedaż koszulek z jego podobizną, kubków i innych pamiątek. W San Francisco organizowano już wycieczki śladami jego interwencji; w handlu pojawiły się nawet kompletne kostiumy. Działające lokalnie biuro turystyczne chciało naturalnie urządzać też wycieczki autokarowe do Nideck Point, ale Reuben zdecydowanie odmówił. Po raz pierwszy w historii południowa granica posiadłości została ogrodzona.

Reuben napisał jeszcze dwa długie artykuły dla Billie o roli wilkołaków w dziejach kultury. Wspominał w nich między innymi o swych ulubionych sztychach przedstawiających te

istoty oraz o krążących w mediach podobiznach Człowieka Wilka stworzonych przez anonimowych artystów, które łatwo było znaleźć, za to trudno było przed nimi uciec.

Każdej nocy polował w lesie z Feliksem. Zapuszczali się coraz dalej na północ, do okręgu Humboldt, raz łowiąc agresywnego odyńca o szablach ostrych jak brzytwy, a kiedy indziej potężną pumę - większą od tej, którą kiedyś upolował Reuben.

Reuben nie lubił jednak polować na zwierzęta stadne, a także na włóczące się pojedynczo jelenie i łosie, ponieważ nie były drapieżcami. Felix musiał mu przypomnieć, że niekiedy właśnie one giną najbardziej okrutną śmiercią.

Margon i Stuart dwukrotnie wybrali się wraz z nimi. Stuart był zapalonym i dość brutalnym łowcą, głodnym wszelkich nowych doświadczeń. Marzyły mu się na przykład skoki z klifu, gdyby tylko Margon pozwolił, ale on oczywiście nie pozwolił. Wydawał się coraz mocniej zauroczony Stuartem i stopniowo zmieniał się charakter ich wspólnych rozmów: Margon zadawał więcej pytań o współczesny świat niż Stuart pytań o historię Morphenkindów i inne sprawy.

Margon przeniósł się z pokoju na tyłach domu do jednej z frontowych sypialni, naturalnie po to, by być bliżej Stuarta. Często słyhać było, jak rozmawiają i spierają się do późnej nocy. Cyklicznego charakteru nabrały ich sprzeczki na temat garderoby: Stuart wiecznie namawiał Margona, by kupił sobie dzinsy i koszulki polo, Margon zaś przekonywał Stuarta do zalet trzyczęściowego garnituru oraz koszul wizytowych z francuskimi mankietami. Zdecydowanie najczęściej byli całkiem po prostu szczęśliwi.

W domu pojawiła się służba z Europy, w tym poważny, małomówny Francuz, pokojowiec Margona, oraz pogodna z natury i nigdy nienarzekająca kobieta z Anglii, która gotowała, sprzątała oraz piekła chleb. Thibault sugerował, że to jeszcze nie koniec rekrutacji.

Jeszcze przed Świętem Dziękczynienia Reuben podsłuchał

gdzieś rozmowę o małym, prywatnym lotnisku za Fort Bragg, skąd można było szybko dotrzeć samolotem na dość dalekie tereny łowieckie. Wiadomość ta ogromnie pobudziła jego ciekawość. Stuart również miał wielką ochotę spróbować. Jego dni wypełniało zgłębianie dziejów wilkołaków, historii świata, teorii ewolucji, prawa cywilnego i karnego, ludzkiej anatomii i endokrynologii oraz archeologii i zagranicznej sztuki filmowej.

Czcigodni dżentelmeni dość często pojawiali się w sanctum, by zajmować się glinianymi tabliczkami, które układali w pewnym porządku.

Felix spędzał sporo czasu na doprowadzaniu swoich bibliotek i galerii do dawnej świetności. Często można było go zastać na poddaszu nad główną sypialnią, gdzie lubił czytać - siadywał zwykle w miejscu, w którym Reuben znalazł kiedyś tomik Teilharda de Chardina.

Gdy późnym wieczorem w Święto Dziękczynienia dom wreszcie opustoszał, Laura wyjechała na południe, by spędzić kilka dni samotnie w swym domku na skraju lasu Muir. Reuben błagał, by pozwoliła mu pojechać, ale nie ustąpiła. To miała być jej samotna wyprawa. Chciała odwiedzić cmentarz, na którym byli pochowani jej rodzice, siostra oraz córka. Obiecała, że kiedy wróci, będzie już wiedziała, co kryje przed nią przyszłość. I że powie o tym Reubenowi.

Nie mógł znieść jej nieobecności. Niejeden raz kusiło go, by wsiąść do samochodu i pojechać na południe, tylko po to, żeby obserwować Laurę z daleka. Wiedział jednak, że ona potrzebuje czasu. Dlatego nawet do niej nie zadzwonił.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym czcigodni dżentelmeni zabrali dwa młode wilczki ze sobą na samolotową wycieczkę do meksykańskiego miasta Juarez, położonego bardzo blisko teksańskiego El Paso.

Miało to być polowanie hybrydowe, jak powiedział Margon, a to oznaczało, że musieli wystąpić w ubraniach - luźnych blu-

zach z kapturami, obszernych płaszczach, workowatych portkach i zbyt dużych butach - by jakoś zamaskować przemienione ciała.

Stuart i Reuben byli niesłychanie podnieceni. W najbliższych snach nie spodziewali się takich emocji - pusty, pozbawiony wszelkiego wyposażenia w ładowni samolot transportowy wylądował na tajnym lotnisku. Czarne SUV-y powiozły ich w dal ciemną nocą, a potem skakali po dachach budynków jak stado wielkich kotów, kierując się w stronę zapachu cierpiących dziewcząt i kobiet. Trzymano je jak niewolnice w baraku-burdelu, gdzie czekały na przerzut do Stanów Zjednoczonych. Zmuszano je do pracy torturami i groźbami śmierci. Zanim uderzyli na barak, odcięli w nim zasilanie i w pierwszej kolejności zamknęli kobiety w bezpiecznym pomieszczeniu.

Reuben nie wyobrażał sobie, że dane mu będzie uczestniczyć w takiej rzezi, w takiej orgii zniszczenia, takiej masakrze. Wszystko odbyło się w niskim, betonowym budynku, którego wszystkie drzwi starannie zamknęli od zewnątrz. Mężczyźni, których tam zastali, próbowali uciekać jak szczury po śliskich od krwi korytarzach i ginęli w izbach bez wyjścia, rozrywani kłami i pazurami wroga, którego nawet nie widzieli.

Budynek trząsał się od dzikich ryków Morphenkindów, wycia i kwiku mordowanych ludzi oraz okrzyków przerażenia dobiegających z zapuszczonego dormitorium, w którym stłoczono kobiety.

Wreszcie smród zła opadł. Morphenkindowie jeszcze przez chwilę ucztowali w dalekich kątach baraku, dojadając szczątki wrogów. Stuart, wielki i kosmaty Chłopiec Wilk, podniósł się wreszcie w swym długim, rozpiętym płaszczu i potoczył oszołomionym wzrokiem po rozrzuconych wszędzie resztkach trupów. Krzyki kobiet ucichły.

Nadszedł czas, by opuścić to miejsce. Wypuścili kobiety, by pobiegly w stronę najbliższych świateł, nawet nie poznawszy tożsamości zakapturzonych olbrzymów, którzy pomścili ich niedolę.

Nocni łowcy zaś z pełnymi żołądkami pomknęli po dachach w powrotną drogę na lotnisko, umorusani krwią od stóp do głów.

Zasnęli jak szczenięta z jednego miotu, ułożywszy się ciasno jeden przy drugim w ładowni samolotu. Gdzieś nad Pacyfikiem wyrzucili zakrwawione ubrania, by na lotnisku w Mendocino pojawić się w ludzkiej postaci i w świeżej odzieży. Niewyspani, najedzeni oraz bardzo spokojni w milczeniu pokonali krótką trasę dzielącą lotnisko od Nideck Point. Deszcz, jakże dobrze im znany, niestrudzony, kalifornijski deszcz bębnił energicznie o przednią szybę samochodu.

- To było polowanie! - stwierdził Stuart, człapiąc sennie w stronę tylnych drzwi domu. Odrzuciwszy głowę do tyłu, zawył jak najprawdziwszy wilk. Kamienne mury odbiły echem jego głos oraz salwę śmiechu, która mu odpowiedziała.

- Wkrótce - rzekł Margon - zapolujemy w kolumbijskiej dżungli.

Wdrapując się z trudem po schodach na piętro, Reuben marzył, że czeka na niego Laura, ale tak nie było. Znalazł tylko jej zapach na poduszkach i kołdrze. Wyjął z szafy jedną z jej koszul nocnych i położywszy się do łóżka, wtulił w nią twarz z mocnym postanowieniem, że będzie śnił o swojej kobiecie.

Kilka godzin później obudził go cud: widok błękitnego nieba nad oceanem, który tego dnia był granatową masą ze srebrzystymi grzbietami fal połyskującymi w słońcu. Wykąpał się i ubrał czym prędzej, by wykorzystać ten moment dobrej pogody. Poszedł na spacer i nie mógł się napatrzeć na pozornie zwyczajny spektakl: białe chmury sunące po błękitnie gdzieś nad wierzchołkami dachu, podobnymi do zamkowych blanek.

Tylko ktoś, kto spędził życie na tym szarym i zimnym wybrzeżu, mógł pojąć w pełni cudowność tej chwili. Zimowe mgły nareszcie ustąpiły.

Reuben miał wrażenie, że minęło całe życie, odkąd wyszedł na ten sam taras w towarzystwie Marchent Nideck, odkąd



spojrzał na ten dom i spytał go w duchu, czy da mu ten mrok i tę głębię, których tak potrzebował. Chciał, by to miejsce nadało mollową tonację jego życiu. I miał wrażenie, że usłyszał odpowiedź: obietnicę spełnienia marzeń.

Przemierzył smagany wiatrem kamienny taras, zmierzając prosto w stronę klifu, aż stanął przy starej, zniszczonej balustradzie, za którą były już tylko skały z wąską, niebezpieczną ścieżką. Wiodła w dół, ku wstążce plaży, samotnym głazom i wyblakłym od morskiej wody szczątkom drzew.

Zasłuchał się w huk fal. Czuł się nieważki, jakby mógł unieść się z wiatrem, gdyby tylko rozpostarł ramiona i skierował je ku niebu.

Po prawej miał ciemnozielone, porośnięte lasem urwiska, ochronny płaszcz sekwojowej puszczy. Na południu rosły cyprysy i dęby, które wiatr zamienił w umęczone rzeźby.

Poczucie tragicznego szczęścia owładnęło nim bez reszty. Uświadomił sobie, że kocha to, kim jest. Uwielbia te szalone łowy na brudnych korytarzach burdelu w Juarez, uwielbia szaleńczy bieg przez dziewicze lasy na północy, uwielbia smak mięsa swojej zdobyczy i szaleńczą walkę zwierzyny o to, by wypuścić ją z łap.

Wiedział jednak i o tym, że to dopiero początek. Czuł się młody, potężny i bezpieczny. Miał czas, bardzo dużo czasu na to, by odkryć, dlaczego i w jakim sensie się myli, dlaczego powinien się zmienić albo odrzucić wilczy dar, który stłamsił w nim tak wiele innych pasji.

Niebo i piekło czekają na młodych. Niebo i piekło unoszą się gdzieś tam, za oceanem, który rozciąga się przed nami i za niebem, które zawisło nad nami.

Lecz dziś słońce świeci w Ogrodzie Bólu. W Ogrodzie Poznania.

Widział twarz brata w Święto Dziękczynienia, widział jego smutne, zmęczone oczy i pękało mu serce. Było tak, jakby Jim był ważniejszy od samego Boga albo jakby Bóg przemawiał

przez Jima tak, jak mógłby przemawiać przez dowolną osobę postawioną na naszej drodze, przez każdego, kto zagroziłby, że przywoła nas do porządku, kto spojrzalby na nas oczami będącymi zwierciadłem serca tak złamanego jak nasze, tak kruchego, tak rozczarowanego.

Lodowaty wicher przeszywał go od stóp do głów. Miał zmarznięte uszy, a dłońmi, którymi zasłaniał twarz, prawie nie mógł poruszyć. Mimo to czuł się tak dobrze, tak cudownie, jak wtedy gdy nie doskwierał mu żaden chłód - jak pod osłoną wilczego futra.

Odwrócił się i spojrzął na dom, na wysokie, porośnięte bluszczem ściany, na dym z kominów uciekający z wiatrem ku niebu, by rozwiać się bez śladu.

Dobry Boże, pomóż mi. Nie zapomnij o mnie, dryfującym na tej bryłce żaru zagubionej w zapomnianej Galaktyce -o sercu nie większym niż pyłek, bijącym na przekór śmierci, na przekór pustce, na przekór winie, na przekór smutkowi.

Ustał pod naporem wiatru; naprawdę pozwolił się unieść, podtrzymać, by nie tunął w przepaść po drugiej stronie balustrady i dalej, w dół, aż ku falom rozciętym przez skały.

Odetchnął głęboko i łzy napłynęły mu do oczu. Poczuł, jak zdmuchnął je ten sam wiatr, który nie pozwalał mu upaść.

- Panie, wybacz mojej bluźnierczej duszy - wyszeptał łamiącym się głosem. - Ale chcę Ci podziękować z całego serca za dar życia, za wszystkie błogosławieństwa, których mi nie żałowałaś, za cud życia we wszystkich jego przejawach i wreszcie, Panie, dziękuję Ci za wilczy dar!

sierpień 2011

Palm Desert, Kalifornia